

# Spis Treści

Podziękowania

Od autorki

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

CZĘŚĆ DRUGA

15

16

17

18

19

CZĘŚĆ TRZECIA

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

CZEŚĆ CZWARTA

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

CZEŚĆ PIĄTA

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

CZEŚĆ SZÓSTA

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

CZĘŚĆ SIÓDMA

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

EPILOG

**Lesley Lokko**

# **Świat u stóp**

## Podziękowania

Pragnęłabym podziękować bardzo wielu osobom za pomoc i wsparcie podczas długiej pracy nad tą książką. Przede wszystkim - i jak najserdeczniej - dziękuję mojej agentce Christine Green, której gorące poparcie i szczery entuzjazm towarzyszyły pracy nad powieścią od samego początku; Jeremy Till, która wspianałomyślnie podsunęła mi pomysł jej napisania; Antonii Till, która przeczytała pierwszą wersję i poparła opinię Christine; Jane Wood i Kate Mills z Orion, które z niezwykłą cierpliwością redagowały i cyzelowały moją pracę; Annette Sommer, która przeczytała piątą wersję i orzekła, że jest „całkiem dobra”; tłumaczom: Sonji Perus - Spaner, Jonathanowi Manningowi, Bridget Pickering i Gigi Duuyc - Calla; oraz następującym osobom za inspiracje, jakich zupełnie nieświadomie w owym czasie mi dostarczali: Lori Rose - znajomej modelce z bardzo, bardzo dawnych czasów, której doświadczenia pomogły mi stworzyć jedną z pierwszoplanowych postaci; Lianie Landsberg - Lewis - która stała się pierwowzorem Gabby, a jest osobą jeszcze lepszą od bohaterki; Lisie Molander - za wprowadzenie mnie w tajniki świata prawniczego; Naelowi Evansowi - za bezwiedny wpływ na fabułę; Sachy Noordinowi - za niezwykłą łatwość, z jaką sobie ze wszystkim poradził; Raheshy Ram i Adrianowi Hallamowi - za zaufanie, jakim mnie obdarzyli, nawet nie znając konspektu powieści...

W następnej kolejności serdeczne podziękowania należą się tym, których osobowości jakimś cudem nie posłużyły (no, prawie nie posłużyły) za pierwowzory postaci opisanych w książce. Charlesowi - za wszystko, czego nawet nie jestem w stanie wyrazić; moim braciom i siostrom, którzy bardzo długo musieli znosić męki twórcze debiutującej pisarki, ale nie tracili wiary we mnie; Kay Preston, która od początku traktowała moją pracę bardzo poważnie, więc zasługuje na szczególną wdzięczność; przyjaciom: Patrickowi Ata, Samirowi Pandya, Victorowi Sackeyowi, Yawowi Kan Kam - Boadu, Seanowi Hardcastle'owi, Jonathanowi Hillowi, Greigowi Cryslerowi, Ro Spankie i Caroline Osewe. Wszystkim im dziękuję za cudowne wspólne osiem lat, a w niektórych przypadkach nawet więcej. Dziękuję „dziewczętom z pierwszych stron gazet”: Anie, Anyele, Bridget, Clare, Nadine, Patti, Paz, Sagit i Yael za ich cenne uwagi i rady. Wdzięczna jestem mojej najukochańszej „dziewczynie”, Marili Santos - Munne, Lorenz Wyss i mojemu chrześniakowi, Joanowi Nii Adomowi Wyss - Santosowi, za ich wspianałomyślność i wyjazd do Bazylei. A na koniec pragnę podziękować mojej kochanej kuzynce, Lois Innes Lokko, dzięki której to wszystko stało się możliwe i warte poświęcenia.

*Rozmawialiśmy, a ty zapomniałaś tych słów.*

J. L. Borges, "Dwa poematy angielskie", przeł. L. Engelking

## **Od autorki**

Powieść jest, oczywiście, fikcją literacką chociaż wplecione w nią zostały pewne wydarzenia historyczne i autentyczne postacie; które czytelnicy z pewnością rozpoznają. Nie wątpię, że zauważycie też Państwo, iż niekiedy akcja mija się z prawdą historyczną. Te niewielkie zmiany i przesunięcia w czasie były konieczne ze względu na fabułę powieści. Mam nadzieję, że podejdziecie Państwo do tego ze zrozumieniem.

# Prolog

*Grudzień 1990, Paryż*

O czwartej po południu było już zupełne ciemno. Pola Elizejskie tonęły w gęstej, szarej mgle. Bożonarodzeniowe lampki połyskiwały w deszczu, rzucając kaskadę czerwonych i złotych odblasków na moką powierzchnię ulic. Młoda, wysoka i smukła kobieta szybko zeszła z chodnika na jezdnię, jednocześnie szczerzej owijając się czarnym płaszczem. Niespokojnie zerknęła na zegarek; on czeka w drugim końcu miasta, tymczasem ona jak zwykle się spóźni. Tuż przed nią zatrzymał się czarny samochód. Nawet nie zwróciła na to uwagi; w powodzi zbliżających się świateł pojazdów bacznie wypatrywała taksówki. Z samochodu wysiadł mężczyzna, stanął tuż przed nią, zasłaniając widok na drogę. Zniecierpliwiona, próbowała go wyminąć, ciągle szukając taksówki. Wyciągnął do niej rękę i zawołał po imieniu.

Niepewnie na niego spojrzała. Była przyzwyczajona, że ludzie rozpoznają ją w miejscach publicznych, ale głos mężczyzny zabrzmiał dziwnie znajomo. Zerknęła jeszcze raz, próbując mu się lepiej przyjrzeć w świetle latarni i mijających ich samochodów.

- Co ty tu robisz? - Była szczerze zaskoczona spotkaniem. Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, gdzie widzieli się ostatnim razem. W Los Angeles? W Londynie? Zanim zdążył odpowiedzieć, zorientowała się, że tuż obok zatrzymuje się drugi samochód. Usłyszała trzaśnięcie drzwiami i czyjeś kroki za plecami. Odwróciła się, chcąc sprawdzić, co to za zamieszanie z tyłu. Nie spostrzegła, że mężczyzna, z którym rozmawiała, lekko skinął głową dwóm innym za jej plecami. Jeden z nich szybko rzucił się do przodu, chwycił ją za ramię i błyskawicznie przyciągnął do siebie. Ogarnęła ją panika, próbowała się wyrwać. Zanim jednak zdołała cokolwiek zrobić, bodaj krzyknąć, czyjaś dłoń w rękawiczce zakryła jej usta. Drugi mężczyzna otworzył drzwi samochodu i została bezceremonialnie, nawet brutalnie wepchnięta na tylne siedzenie. Przy okazji boleśnie uderzyła głową o drzwi. Na ulicy nikt nic nie zauważył, wszystko trwało zaledwie kilka sekund. W samochodzie ktoś gwałtownie szarpnął ją za włosy i popchnął twarzą w dół na obitą skórą kanapę. Mężczyzna, który na ulicy chwycił ją za ramię, wsunął się za nią na tylne siedzenie, jego kompan wsiadł z drugiej strony. Usłyszała odgłos kolejno zatraskiwanych drzwi, oba samochody ruszyły. Kiedy odbijali od krawężnika, zaczęła krzyczeć. Auto przecięło kilka pasów ruchu, jadąc w kierunku Łuku Triumfalnego. W trakcie tych manewrów kołysała się mimowolnie to w jedną to w drugą stronę. Raczej wyczuła, niż zobaczyła zbliżającą się dłoń. Doszedł ją ostry



zapach i nagle zapadła się w otchłań ciemności.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Wrzesień 1981, Malvern, Wielka Brytania*

## 1

Podczas jazdy w pewnym momencie ocknęła się, spłoszona. Przez ułamek sekundy wydawało się jej, że jest w domu, w Johannesburgu, w ogrodzie na tyłach budynku, i obserwuje, jak Poppie w jasnym blasku letniego słońca rozwiesza pranie. Przez krótką chwilę odnosiła wrażenie, że słyszy radosne piski kuzynów, Henniego i Mariki, kiedy uciekając przed upałem, wskakiwali do basenu w odległej części ogrodu. Basen. Niemal natychmiast napłynęły jej do oczu łzy. Energicznie potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od wspomnień. Tamto życie toczyło się w Republice Południowej Afryki. Tamto życie należało do przeszłości. Teraz była w Anglii. Wyglądała przez okno, kiedy mercedes szybko pokonywał kilometry dzielące londyńskie lotnisko Heathrow od Malvern, miejsciny położonej w zachodniej części Wielkiej Brytanii. Bure niebo, bury krajobraz, ciężkie chmury nisko zawieszane nad głowami - stale wisząca w powietrzu zapowiedź deszczu. Tak bardzo to wszystko różniło się od blasku słońca i ogromnych przestrzeni, które zostawiła za sobą. Zupełnie inny świat, w niczym nieprzypominający czystego błękitu nieba i olbrzymich, pokrytych soczystą zielenią połaci ziemi Prowincji Przylądkowej. O szyby samochodu uderzały krople deszczu. Wolno spływające strużki pochłaniały światło i zamazywały różnicę między chmurą a niebem. Anglia. Przeszył ją dreszcz. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bardzo samotna. Wtuliła się w miękkie, obite skórą siedzenie, wierzchem dłoni szybko otarła łzy. Znowu przymknęła powieki.

Przed oczami nadal miała ich twarze, kiedy razem czekali w sali odpraw. Buzia Mariki była mokra od łez, Hennie stał milczący i zamyślony, ciotka Lisette nie potrafiła ukryć zdenerwowania, jakby czuła się winna. Rianne starała się nie zwracać na nią uwagi, serce w piersi waliło jej jak młotem. Opuszczała dom. Lisette usuwała ją z jedynej rodziny, jaką miała od czasu najpierw śmierci matki, potem ojca. Cała się trzęsła - trochę ze złości, trochę ze strachu. Postanowiła jednak nic po sobie nie pokazać. Po raz ostatni przytuliła Marikę, podniosła podręczną torbę i nie oglądając się za siebie, zniknęła za drzwiami prowadzącymi do części przeznaczony dla pasażerów pierwszej klasy. Za nic w świecie nie pokaże Lisette łez.

Szybko przeszła na swoje miejsce, starając się nie zwracać uwagi na pełne współczucia spojrzenia stewardes. Ciężko jej było pożegnać się z Mariką i Henniem, ale najtrudniej przyszło rozstać się z Poppie - pokojówką, gospodynią domową, zastępczą matką, powiernicą najskrytszych tajemnic i najlepszą przyjaciółką. Wszystkie te cechy miała pulchna, ciemnoskóra, pełna ciepła kobieta. Tysiące razy

żegnała się z Poppie wcześniej, kiedy wyjeżdżała z Afryki Południowej przed zimą, żeby spędzić lato w Europie z krewnymi matki, albo w towarzystwie Lisette jechała na miesiąc do Nowego Jorku na spotkanie ze współpracownikami i kontrahentami ciotki. Ale zawsze wracała - do domu, do Poppie, do znajomych, miłych zapachów, które towarzyszyły jej od najwcześniejszego dzieciństwa. To właśnie Poppie tuliła Rianne i odwracała jej główkę, kiedy matka utonęła i zjawili się ludzie, żeby wyłowić ciało z basenu. To właśnie do Poppie pobiegła, kiedy zaginął ojciec, a Lisette musiała uznać, że brat nie żyje. I to właśnie Poppie zaproponowała, kiedy ciotka oświadczyła, że najlepiej będzie, jeżeli Rianne opuści Vergelegen i zostawi za sobą okropne wspomnienia, jakie wiązały się z rodzinnym domem. Chciała, żeby dziewczynka zamieszkała z jej rodziną w Johannesburgu. Rianne wpadła w histerię, nie chciała wyjeżdżać, kurczowo czepiała się służącej i krzyczała, że prędzej umrze, niż rozstanie się z nią. I tak Poppie razem ze swoimi dziećmi również przeniosła się do eleganckiego, przestronnego domu Lisette na północnych przedmieściach Johannesburga. Rianne za żadne skarby świata nie chciała jechać bez niej. A teraz wyjeżdżała sama, Poppie zostawała w domu. Nawet myśleć nie mogła o tym bez bólu. Głośno przełknęła łzy.

Kierowca szybko odwrócił głowę, kiedy skuliła się w fotelu i zniknęła mu z pola widzenia we wstecznym lusterku. Zastanawiał się, kim jest jego pasażerka. Instrukcje dostał proste: miał odebrać pannę de Zoete z hotelu Penhaligon na lotnisku Heathrow i zawieźć ją do szkoły z internatem. Sam urodził się i wychował we wschodniej części Londynu, nazwisko dziewczyny nic mu nie mówiło. Kim była? Nazywała się Rianne Marie Françoise de Zoete, była córką zaginionego potentata przemysłowego Mariusa Tertiusa de Zoete'a, kuzynką najbardziej wpływowej kobiety biznesu w Republice Południowej Afryki, Lisette de Zoete - Koestler i spadkobierczynią ogromnej fortuny rodziny de Zoete'ów, właścicieli między innymi kilku największych kopalni diamentów i szlachetnych kruszców. Miała szesnaście lat, była bogata, piękna i bardzo rozpieszczona. Wysoka, smukła, miała grube i gęste blond włosy, które sięgały talii, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i wyjątkowo ciemne, piwne oczy w kształcie migdałów. Te piękne oczy odziedziczyła po matce, charakter natomiast miała ojca.

Jej matka, Céline de Ribain, pochodziła z najwyższych sfer francuskiej śmietanki towarzyskiej. Miała dziewiętnaście lat, kiedy na balu w Londynie, wydanym przez wspólnych znajomych, poznała młodego, pewnego siebie przybysza z Afryki Południowej. Spodobał się jej, chociaż okropnie mówił po francusku, a ona słabo znała angielski. Rodzice Céline nie kryli niepokoju. Mimo że kręcący się wokół córki młodzieniec był bogaty, uważali, że brakowało mu towarzyskiej ogłady - wręcz zachowywał się prostacko. Krótko mówiąc, ich zdaniem był typowym nuworyszem. Nie potrafili zrozumieć córki, ba, byli nawet mocno przerażeni, kiedy trzy miesiące później poślubiła południowoafrykańskiego potentata. Trzeba przyznać, że mieli wszelkie po temu powody. Niemal zaraz po ślubie córka

wyjechała zacząć nowe życie, którego nawet nie potrafili sobie wyobrazić, gdzieś - jak to określali - „na samym dole świata”. Zanim rodzice się spostrzegli, niemal z dnia na dzień panna Céline de Ribain została w całym tego słowa znaczeniu panią Céline de Zoete. Niepocieszona matka, Marie - Hélène de Ribain, z przekąsem mówiła do męża, że zięć nie tylko pochodził z Afryki, ale może nawet był Żydem. Straszne.

Claude de Ribain również się martwił, tym bardziej że dyskretny wywiad, który usiłował przeprowadzić, przyniósł niewielkie efekty. W kręgach europejskich niewiele wiedziano o nowobogackich rodzinach z dalekiego południa. Dowiedział się, że ojciec zięcia - Żyd bez grosza przy duszy - rzeczywiście przyjechał do Afryki Południowej z jakiejś wioski w Europie Wschodniej. Jak wielu innych szukał szczęścia oraz fortuny w kopalniach złota i diamentów. Wzenił się w dobrą, szanowaną rodzinę, w czym też nie było nic szczególnego. Poza tym, ku swemu zdumieniu, Claude zebrał niewiele więcej informacji. Po ślubie Marius kupił sobie i żonie duży, słoneczny apartament w alei Focha, w Paryżu, w pobliżu posesji rodziców Céline, ale córka i tak była dla nich stracona. Początkowo mówiła po angielsku, potem w rozmowach z mężem i ich śliczną córeczką Rianne używała bardzo trudnego języka afrikaans. Dziadkowie uwielbiali jedyną wnuczkę. Za każdym razem, kiedy Céline przyjeżdżała do Paryża, błagali córkę, aby zostawiła u nich dziewczynkę - chociaż na jeden sezon, żeby miała mogła podszlifować francuski oraz lepiej poznać kulturę i kraj, w którym wychowała się jej matka. Céline konsekwentnie odmawiała. Ze śmiechem wyjaśniała, że nawet jednej nocy nie wytrzyma bez ukochanej córeczki.

Potem stała się rzecz niewyobrażalna - Céline utonęła. W prywatnym basenie. Na oczach córki. Wypadek miał miejsce pewnego pięknego, letniego, słonecznego dnia, typowego dla Kraju Przylądkowego, o jakich wielokrotnie opowiadała rodzicom. Rianne miała wówczas dziesięć lat, była dostatecznie duża, żeby zrozumieć, co się stało. Straciła matkę. Kiedy zaledwie kilka tygodni później zaginął ojciec, również pojęła, co to oznacza. Jej życie zmieniło się nieodwracalnie - i to zdecydowanie na gorsze. Pograżeni w żałobie dziadkowie z Francji, Claude i Marie - Hélène de Ribain, błagali Lisette o zgodę na powierzenie właśnie im opieki nad Rianne i jej wychowywanie. Claude osobiście poleciał do Kapsztadu, do pięknego rodzinnego domu Céline w Vergelegen. Błagał Lisette, żeby pozwoliła mu zabrać do Paryża jedyną latorośl jedynej córki. Lisette okazała się jednak twarda jak skała: Rianne była córką Mariusa, pochodziła z rodziny de Zoete'ów i dlatego opieka nad dziewczynką i jej wychowanie stawały się prawem i obowiązkiem ciotki, nie dziadków ze strony matki. Claude wrócił do Paryża z pustymi rękami i ciężkim sercem. Ból w piersiach właściwie nigdy nie zelżał, mimo że wnuczka co drugi rok odwiedzała dziadków we Francji. Dziewczynka nie wiedziała, jak bardzo zabiegali o opiekę nad nią. Ciotka uznała, że lepiej nic jej nie mówić. Postanowiła traktować

Rianne jak własną córkę, niestety dziewczynka oceniała sytuację zupełnie inaczej.

Stosunki między ciotką i bratanicą od początku nie układały się dobrze. Rianne unikała Lisette i gorliwie podejmowanych przez nią prób matkowania jej. Była oziębła, nieprzystępna, zdarzało się nawet, że zachowywała się po prostu wrogo. Miewała zmienne nastroje, często popłakiwała. Stała się nieprzewidywalna, kapryśna i krnąbrna. Chociaż Rianne i Hennie byli prawie w tym samym wieku, wiecznie ze sobą walczyli. Wręcz pałali do siebie nienawiścią. Za każdym razem, kiedy Lisette wjeżdżała na podjazd do domu, drżała na myśl, że zostanie tam pobojowisko. Z przerażeniem oglądała ręce syna, całe pokryte siniakami i zadrapaniami - śladami wielodniowych, wielotygodniowych walk z kuzynką. Czasami, kiedy zastawała dzieci zmagające się ze sobą i przewracające nawzajem po podłodze w holu albo nieustannie się podszczypujące, gdy siedziały obok siebie na podłodze i oglądały telewizję, zdesperowana wzywała na pomoc Poppie.

- Czy nie możecie przestać?! Czy obydwójcie nie możecie wreszcie przestać ze sobą walczyć?! - krzyczała, próbując rozdzielić bijące się dzieci, jednocześnie nie łamiąc sobie paznokci. - Dosyć, mówię: dość, Rianne! - Wtedy dziewczynka nieodmiennie wybuchała płaczem i szlochając, biegła do swojego pokoju. W takich sytuacjach tylko Poppie była w stanie ją utulić i Lisette z rezygnacją cedowała to zadanie na służącą. Ona musiała uspokoić Henniego. To były koszmarne czasy. Prawdziwe piekło. Trudno znaleźć inne określenie.

Marika obserwowała wszystko spokojnie, a nawet z pewnym podziwem. Nie potrafiła lub nie chciała uczestniczyć w wiecznych przepychankach i bójkach. Była dwa lata starsza od Rianne, już zwracała uwagę na swój wygląd i nie miała takiej śmiałości wobec wszystkich i wszystkiego. „Grzeczna” dziewczynka w skrytości ducha pragnęła być podobna do młodszej kuzynki. Często brała stronę Rianne, co Henniego doprowadzało do białej gorączki. Lisette odchodziła od zmysłów. Próbowwała wszystkiego, robiła, co mogła, wykorzystywała wszelkie możliwości, jakie jej tylko przyszły do głowy: starała się być matką, przyjaciółką, starszą siostrą, to znowu surową opiekunką. Żadne podejście nie zdało egzaminu. Rianne pozostała obca, ciągle trzymała się na uboczu.

Kiedy dziewczynka ukończyła dwanaście lat, udało się im zawrzeć trudny rozejm. Tolerowały się nawzajem. Lisette z niepokojem zwierzała się przyjaciółkom, że Rianne różni się od większości dziewcząt, a już w niczym nie przypomina starszej kuzynki, jej własnej córki. W szkole była bardzo lubiana. Każdy chciał nawiązać z nią kontakt, każdy chciał się z nią zaprzyjaźnić. Telefon nie przestawał dzwonić. Rianne zdawała się w ogóle na to nie zwracać uwagi, sprawiała wrażenie, że nie zależy jej nasympatii otoczenia. Równie dobrze czuła się w swoim własnym towarzystwie, jak w centrum uwagi innych. Lisette była ładna i zgrabna, ale ani wyglądu, ani smukłej sylwetki nie zawdzięczała naturze, tylko ogromnej samodyscyplinie. Doskonale pamiętała śliczne dziewczyny ze swojej klasy w

gimnazjum, dziewczęta urodziwe jak Rianne, które nigdy nie musiały się wysilać, o nic zabiegać. Była ładna, a uroda stanowiła przepustkę otwierającą wszystkie drzwi. Ludzie zabiegali o względy Rianne, ona nie starała się o przychyłność innych. Była przyzwyczajona, że wszystko toczy się po jej myśli. Po prostu brała, co dawano lub co chciała, wtedy kiedy miała na to ochotę.

Wysłano ją do Glendales, drogiej koedukacyjnej dziennej szkoły pod Pretorią. Marika już sobie tam zasłużyła na opinię wzorowej uczennicy, jednakże Rianne nie miała takich ambicji. Córką Lisette była dziewczynką odpowiedzialną, przykładała się do nauki. Jej kuzynka, odwrotnie, okazała się kapryśna, chimeryczna i niezdyscyplinowana. Marika została prymuską w swojej klasie, zawsze dostawała najlepsze oceny na egzaminach. Rianne często wagarowała. Dwukrotnie została przyłapana "za budynkiem laboratoriów chemicznych na paleniu papierosów z kilkoma starszymi chłopcami. Spódnicę miała przy tym podniesioną do góry i zatkniętą za majtki, tak by dumnie demonstrować długie brązowe nogi. W Glendales wybuchł prawdziwy skandal, a sprawy szybko przybrały jeszcze gorszy obrót. Ktoś zauważył, jak Rianne ukradkiem wsiada do samochodu chłopca ze starszej klasy, wyjeżdża z nim poza teren szkoły i wraca dopiero po zmroku. Nikt nie wiedział, dokąd pojechali, a dziewczynka odmawiała odpowiedzi. Została czasowo zawieszona, potem wezwano Lisette, żeby zabrała bratanicę ze szkoły. Gdy ciotka szła do kuchni po szklankę, oświadczyła Poppie, że już sama nie wie, co robić. Czuła, że musi się czegoś napić. Służąca tylko wzruszyła ramionami i przelotnie uścisnęła Rianne, kiedy dziewczynka ze znużoną miną na ślicznej buzi przechodziła obok. Lisette niemal pogodziła się z myślą, że w domu zawsze będzie piekło, tymczasem tuż przed szesnastymi urodzinami Rianne stał się cud. Bratanica niespodziewanie przestała walczyć z Henniem, zdawało się, że zawarli rozejm. W domu zapanował błogi spokój. Marika przygotowywała się do egzaminów maturalnych i prawie nie wychodziła ze swojego pokoju. Lisette, szczerze wdzięczna za zawieszenie broni, prawie nie zwracała uwagi na dwoje pozostałych dzieci. W tym czasie zresztą całkowicie pochłaniały ją rodzinne interesy. Razem z Hendrykiem, młodszym bratem Mariusa i Lisette, pracowała nad szybką ekspansją rodzinnych przedsiębiorstw. Z kopalni diamentów i złota przerzucali się na wydobycie platyny, tytanu oraz innych wartościowych i rzadkich metali szlachetnych. Często wyjeżdżała do Londynu, Amsterdamu i jeszcze dalej: do Nowego Jorku i Buenos Aires. Trójka dzieci - chociaż trudno je było jeszcze nazywać dziećmi - była przyzwyczajona do jej długich nieobecności i widoku opatrzonych eleganckim monogramem Lisette skórzanych waliz w holu. Opiekowali się nimi Poppie, Seni - najmłodszy syn Poppie - oraz dwaj kierowcy i trzech ochroniarze.

Czuli się bezpieczni, tak jak mogły być bezpieczne białe nastolatki w Republice Południowej Afryki: byli bogaci, zadbani i ochraniający. Ich świat został urządzony

jak należy i nie sądzili, że pod tym względem coś się może zmienić. Kiedy Rianne wracała do domu wczesnym wieczorem, co wcale często się nie zdarzało, brali talerze z jadalni i przynosili się do przytulnego saloniku, gdzie leżąc na brzuchach na podłodze, razem oglądali telewizję. Rianne lubiła te wieczory; przyjemnie było leżeć plackiem na podłodze między kuzynami. Stanowiło to miłą odmianę po wałęsaniu się po centrach handlowych czy - ostatnio - barach, w których i ona sama, i jej znajomi wyglądali dostatecznie poważnie, aby uznawano ich za osiemnastolatków. Często nieobecność ciotki sprawiała, że Rianne mogła robić, co chciała. Wyzwolona spod czujnego wzroku Lisette, nie musiała się zastanawiać, jak powinna się zachowywać, co robić, kim być. Tego zresztą nigdy nie wiedziała. Kim była w tym domu? Siostrą kuzynką, córką, przyjaciółką? Miała szesnaście lat, powinna zacząć się zastanawiać, co zrobić ze swoim życiem, czym się zająć, gdzie zamieszkać. Marika miała niedługo wyjechać, chciała studiować medycynę w Stellenbosch. Za mniej więcej rok Hennie wybierał się do wojska. Rianne nie miała ochoty kontynuować nauki na wyższej uczelni. Nie wyobrażała sobie również, że podejmie pracę. Może powinna wyjechać za granicę? Ale dokąd? Nie miała żadnych ambicji, wcale się tym jednak nie martwiła. Cieszyła się życiem z dnia na dzień. Tego roku Rianne i Hennie całe godziny spędzali na gadaniu przed telewizorem lub pływaniu na plecach w basenie w kształcie nerki. Coś się między nimi zmieniało. Te subtelne zmiany jednocześnie niepokoiły i podniecały dziewczynę. Zwróciła uwagę, jak dziwnie kuzyn na nią patrzy, że odrobinę drżą mu ręce, kiedy prosi go, żeby zawiązał jej stanik od bikini albo posmarował opalone ramiona balsamem z filtrem przeciw-oparzeniowym. O rok od niej starszy Hennie, mając siedemnaście lat, zaczynał coraz bardziej przypominać wuja, ojca Rianne. Miał tylko jaśniejsze włosy, no i był znacznie młodszy. Pełen życia, znakomicie zbudowany, pewien swojej atrakcyjności, zachowywał się na zmianę agresywnie i nieśmiało. Był też bardzo przystojny. Bez wątplenia nie narzekał na brak wielbicielki. W domu często bywały dziewczęta z Glendales i innych prestiżowych szkół. Niektóre z nich należały do grona koleżanek Rianne, ona zaś podśmiewała się z nich, siebie zaś uważała za najszcześliwszą dziewczynę w świecie: cały czas mogła być z Henniem, mieszkała z nim.

Niestety, nie tylko Rianne dostrzegła zachodzące zmiany. Pewnego dnia Lisette wróciła ze służbowego spotkania późnym wieczorem. Rianne i Hennie leżeli na podłodze w pograżonym w mroku pokoju telewizyjnym, ręce mieli splecione, dziewczyna trzymała głowę na brzuchu kuzyna, on szeptał jej coś do ucha. Przerazona Lisette zapaliła światło. Bardziej chyba przestraszyła się tym, co mogło zajść, niż tym, co w rzeczywistości zobaczyła. Drżącym głosem kazała dzieciom iść do łóżek.

- Jutro jest szkoła, co wy sobie myślicie? Już minęła północ!

Hennie przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zawstydzonego, policzki mu płonęły. Zerwał się na równe nogi i pobiegł szybko korytarzem do

swojego pokoju. Rianne po prostu się podniosła i spokojnie minęła ciotkę w drodze do siebie. Miała na sobie króciutkie, obcisłe szorty i luźny podkoszulek, pod którym wyraźnie huśtały się jej młode piersi.

Lisette stała na środku pokoju i oddychała głęboko. Proszę bardzo, do czego to doszło. Trzeba coś zrobić. Marika za kilka miesięcy wyjedzie z domu, a wtedy nie będzie mogła dwojga pozostałych dzieci zostawiać samych w domu. Przecież nie są już dziećmi - upomniała samą siebie w duchu. Musi coś z tym zrobić. Ale co? Odpowiedź znalazła kilka tygodni później, kiedy stała na patio, czekając, aż Hennie i Rianne skończą lekcję tenisa na kortach na tyłach posiadłości. Postanowiła wysłać bratanicę za granicę, do Anglii, tak jak jej ojciec postąpił kiedyś z nią samą. Zmiana otoczenia dobrze dziewczynie robi. Po roku czy dwóch być może uda się przenieść Rianne do Szwajcarii i umieścić w jednej z tych bardzo drogich szkół, gdzie uczą wdzięku i dobrych manier. Już rozmawiała z kilkoma znajomymi z Wielkiej Brytanii. Prosiła, żeby pomogli jej wybrać odpowiednią szkołę dla nieco niesfornej kuzynki. Najpierw jednak postanowiła porozmawiać z bratanicą. Z niepokojem obserwowała dwoje młodych. Trzymali się za ręce i powoli wspinali na niewielkie wzgórze, zmierzając w kierunku domu i ciągnąc za sobą rakiety. Byli bardzo do siebie podobni. Nie zrobiła zdjęcia, ale zatrzymała w pamięci ten obraz: syna z córką ukochanego Mariusa, jakby miał być to ostatni raz, kiedy widzi ich razem. Hennie był niemal o głowę wyższy od kuzynki, ale dziewczyna nie ustępowała mu sprawnością. Po Mariusie odziedziczyła miłość do zabaw na świeżym powietrzu, kochała sport i chętnie przyjmowała wyzwania; natomiast po matce otrzymała w spadku delikatną urodę. W wieku szesnastu lat wyglądała oszałamiająco. Lisette niepokoiła się nie tylko o syna, ale i o wszystkich innych młodzieńców, którzy ostatnio coraz liczniej i częściej zaczęli kręcić się po posiadłości, tak jak koleżanki Rianne z nadzieją kręciły się wokół Henniego. Mimo niezaprzeczalnej urody Rianne w osobowości dziewczyny czuć było jakąś... skazę. Było w niej coś kruchego, delikatnego i bolesnego. Lisette oczywiście zdawała sobie sprawę, że jest to piętno po stracie rodziców we wczesnym dzieciństwie, chociaż z drugiej strony przecież bratanicy niczego nie brakowało: była otoczona miłością, miała zapewnione poczucie bezpieczeństwa, przebywała wśród serdecznych, życzliwych jej ludzi. Lisette zrobiła, co tylko mogła, żeby wszyscy członkowie rodziny z otwartym sercem przyjęli Rianne, a jednak i to okazało się niewystarczające. W dziewczynie najwyraźniej drzemało jakieś niespełnione pragnienie, chociaż Lisette nie potrafiła sprecyzować, czego jej tak bardzo brakowało. Martwiła ją ryzykancka natura i lekkomyślne zachowanie bratanicy. Postępowała tak, jakby przed nikim nie musiała się z niczego tłumaczyć i nie była odpowiedzialna za swoje zachowanie nawet przed tą nieliczną rodziną, jaka jej została. To właśnie spędzało Lisette sen z powiek. Kiedy młodzi zbliżyli się do patio, uśmiechnęła się do nich. Oboje byli spoceni i zmęczeni godziną grą w popołudniowym słońcu.



- Kochanie - zwróciła się do Rianne, podając jej szklanekę zimnej lemoniady - mogłabyś usiąść tu ze mną na minutkę? Mam coś ważnego do powiedzenia... wam obojgu.

Rianne spojrzała na ciotkę podejrzliwie. Nigdy jeszcze nie usłyszała niczego dobrego, kiedy Lisette zwracała się do niej per „kochanie”. Tym razem też się nie myliła.

- Do Anglii? - Rianne z przerażeniem patrzyła na ciotkę. - Do Anglii? powtórzyła. - Dlaczego?

- No cóż, twój... twój ojciec by sobie tego życzył, kochanie - pospiesznie odpowiedziała Lisette. - Jak wiesz, sam też uczył się w Anglii. Na pewno chciałby, żebyś i ty tam zdobyła wykształcenie.

- Ależ - w oczach Rianne pojawiły się niebezpieczne błyski - ja nie chcę jechać do Anglii! - wybuchnęła ze złością. - Mnie się podoba tutaj. Nie chcę wyjeżdżać, ja...

- To dla twojego dobra, *skatjie* - przerwała jej ciotka. - Zobaczysz, na pewno ci się spodoba. Wiesz, jaw twoim wieku wszystko bym oddała, żeby tylko móc wyjechać.

- A co mnie to obchodzi! - wrzasnęła Rianne. - Nie jadę, nie i już!

- Mamo, czy Rianne nie może pójść do Ellersby - podsunął Hennie. Ellersby była ekskluzywną żeńską szkołą z internatem w pobliżu Kapsztadu. Wprawdzie to nie Johannesburg, ale też nie Anglia.

- Nie, to już postanowione - stanowczym tonem oświadczyła Lisette. - Wuj Hendryk i ja podjęliśmy decyzję. Rianne wyjeżdża we wrześniu, kiedy w Anglii zaczyna się rok szkolny.

- Nie. Nie! Nie jadę, słyszysz? Nigdzie nie jadę. Nie zmusicie mnie! - Z furią rzuciła rakieta na ziemię i wbiegła do domu.

Hennie natychmiast chciał za nią ruszyć, ale Lisette go powstrzymała.

- Zostaw ją teraz samą, kochanie. Jest wytrącona z równowagi.

- Oczywiście, że jest wytrącona z równowagi. Ty byś nie była? Dlaczego zawsze musisz za nią decydować?

- Ja? - zdenerwowała się Lisette. Hennie jeszcze nigdy tak się do niej nie odzywał. - Wszystko, co robię - co robimy - dla Rianne, jest dla jej dobra. Przecież o tym wiesz.

- Nie, wszystko, co robisz, robisz dla swojego dobra. Robisz to, co odpowiada tobie, nie jej. Nie możesz po prostu zostawić jej w spokoju?

- Hennie! - Matka była wściekła. - Hennie! W tej chwili tu wracaj! Ale syn już zniknął. Lisette usiadła w wiklinowym fotelu, ręce jej drżały, serce waliło jak szalone. Musiała zapalić papierosa. Zdenerwowała ją ostra wymiana zdań z chłopakiem. Nie była przyzwyczajona do rozmów z dziećmi takim tonem. Wiedziała jednak, że postępuje właściwie. Chociaż uważała, że między synem a kuzynką „do niczego nie doszło”, lepiej będzie ich od siebie oddzielić. Westchnęła. Po raz setny w tym tylko roku serdecznie żałowała, że brat nie żyje. Cóż ma począć z jego córką?

- Wszystko w porządku, panienko? - życzliwie zapytał kierowca. Wyrwał Rianne z ponurych myśli i sprowadził na ziemię.  
- Tak, dziękuję - sztywno odparła dziewczyna i energicznie otarła oczy.  
- Może chciałaby się panienka na chwilę zatrzymać, coś zjeść?  
- Nie! - Wolałaby, żeby kierowca zostawił ją w spokoju. Płacono mu za prowadzenie samochodu, nie za gadanie. Co on właściwie sobie wyobraża? Wszyscy kierowcy, z którymi stykała się w Afryce, byli czarni i znali swoje miejsce. Prawie nigdy się do Rianne nie odzywali. Milczenie bardziej jej odpowiadało.  
- Już niedługo dojedziemy. Jeszcze tylko godzina drogi. Okropna pogoda, prawda? No cóż, jest pani w Anglii - rzucił.  
Rianne nie zareagowała. Pogoda odzwierciedlała jej nastrój. Smutno. Szaro i smutno. Przez zażawione rzęsy obserwowała pracę wycieraczek. Szzz... szzz... skrzypiały, przesuwając się po przedniej szybie. Znowu zatopiła się w myślach.

## 2

Jak przez mgłę dotarło do niej, że samochód się zatrzymał. Otworzyła oczy. Stali przed ogromnym ciemnym budynkiem. Z wysiłkiem próbowała usiąść prosto, kiedy kierowca wysiadł i obiegnął auto dookoła, żeby otworzyć jej drzwi. Nadal padało. Na policzkach poczuła delikatną mżawkę, gdy bokiem, obie razem - tak jak wielokrotnie pouczała ją Lisette - wysunęła na zewnątrz nogi i wysiadła na pusty dziedziniec. Rozejrzała się dookoła. Duża mosiężna tablica na jednym z filarów bramy wjazdowej informowała, że jest to Niezależna Przyklasztorna Szkoła Żeńska Kongregacji imienia Świętej Anny. Bezgłośnie przesylabizowała nazwę i poczuła, że coś ściskają w dołku. Więc to tutaj. Z przerażeniem wpatrywała się w posępny gmach. Nawet we mgle wyglądał ponuro i groźnie. Z ciężkimi dębowymi lub żelaznymi drzwiami oraz tuzinami okratowanych okien przypominał starożytną warownię. Niewyraźnie zobaczyła dwa skrzydła z obu stron głównego budynku i park w angielskim stylu, który otaczał dziedziniec i spływał w dół stoku wzgórza. Frontowe drzwi otworzyły się z impetem i w świetle wydobywającym się ze środka Rianne zobaczyła w korytarzu jakąś postać, która szybkim krokiem szła w jej kierunku. Poczuła skurcz żołądka. Zarzuciła torbę na ramię i niechętnie skierowała się do wejścia. Postać z korytarza zatrzymała się w drzwiach i czekała, aż dziewczyna podejdzie.

- Rianne! - krzyknęła kobieta. - Moja droga, witaj u Świętej Anny! Uciekaj z tego deszczu! - Rozłożyła ramiona i dziewczyna nagle została przyciśnięta do piersi matrony. Poczuła zapach lilii, delikatny i słodki. Potem kobieta odsunęła ją na długość ramion i przyjrzała się z uznaniem. Rianne, skrecając się z odrazy, niegrzecznie odepchnęła kobietę. Nienawidziła przytulania. Szczególnie gdy robił to

ktoś obcy.

- Jestem panna Matthews, kierowniczką Gordon House - z uśmiechem przedstawiła się kobieta. - Ciężką miałaś podróż?

Rianne posępnie skinęła głową i spojrzała w głąb korytarza. Dokładnie tak wyobrażała sobie angielską szkołę z internatem. Wnętrze było mroczne, stolarka ciężka, podłogi przygnębiająco połyskiwały. Ściany zdobiły niezliczone trofea różnego rodzaju i wyblakłe akwarelowe portrety byłych dyrektorek szkoły oraz najlepszych uczennic. Szerokie kręcone schody prowadziły na piętra. Rianne dostrzegła kilka dziewcząt, które ciekawie się jej przyglądały. Przechylały się przez balustradę, żeby lepiej zobaczyć, kim jest nowo przybyła, dowiedzieć się, dlaczego rozpoczyna szkołę z prawie miesięcznym opóźnieniem i - oczywiście - czemu przyjechała mercedesem z kierowcą.

Zbliża się pora kolacji - oświadczyła ożywiona panna Matthews. Musisz umierać z głodu po takiej okropnej podróży. Zaprowadzę cię do twojego pokoju i przedstawię dziewczętom, z którymi będziesz mieszkała. Kiedy już się rozgościsz, koleżanki wskażą ci drogę do jadalni. Pokój będziesz dzieliła z trzema dziewczętami, wszystkie są bardzo miłe. Na pewno się zaprzyjaźnicie. Gabrielle Francis pomoże ci się zadomowić. Znowu poczuła skurcz żołądka. Trzy dziewczyny? Ma mieszkać w jednym pokoju z trzema dziewczynami? Nigdy w życiu z nikim nie dzieliła pokoju. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić dzielenia własnej przestrzeni życiowej z trzema zupełnie nieznanymi osobami. One naturalnie już się zdążyły ze sobą zaprzyjaźnić, wszystkie będą wrogo do niej nastawione - takiej spóźnialskiej, takiej obcej. Starając się nie zwracać uwagi na ból w piersiach, szła za panną Matthews.

### 3

Na górze, w pokoju nr 12 na drugim piętrze Gordon House, Charmaine Hunter i Gabrielle Francis przestawiały meble, żeby zrobić miejsce na czwarte łóżko w już dość zatłoczonym pomieszczeniu.

- Dlaczego to my musimy przyjąć ją do naszego pokoju? - narzekała Charmaine, przesuwając swoje wąskie łóżko bliżej ściany. - To niesprawiedliwe. We wszystkich innych pokojach mieszkają po trzy dziewczyny... nam też jest dobrze we trójkę. Nogą wsunęła walizkę pod łóżko i padła na nie. Koniec roboty.

- No, bo... - mruzczała Gabby - Matthie tak zdecydowała... szkoda gadania. Przestań narzekać, to nic nie pomoże. Matthie mówiła, że może na Boże Narodzenie zmienić pokoje.

- Ale zobacz, tu już w ogóle nie ma miejsca. Jeszcze jedna toaletka na pewno się nie zmieści.

- Ja mogę dzielić się z nią swoją toaletką. Zamknij się wreszcie i wstań z łóżka. Ona

lada moment tu będzie. Pomóż mi! Matthie się wścieknie, jeśli pokój nie będzie przygotowany, kiedy przyprowdzi tę nową.

- Cześć, co się tutaj dzieje? - Nathalie Maréchal, trzecia mieszkanka pokoju nr , wpadła do środka spocona i mocno zarumieniona po grze w lacrosse.

Nie uwierzysz! - zaskrzeczała Charmaine. - Wprowadza się do nas jeszcze jedna dziewczyna.

- Co takiego? Do naszego pokoju? Kiedy?

- Tak, do naszego pokoju, za jakieś pięć minut. Oczywiście to bez znaczenia, że już i tak gniewamy się tutaj jak śledzie w beczce. Charmaine, możesz przestać biadolić? - przerwała zirytowana Gabby, taszcząc stos prześcieradeł, poszewek i poduszek oraz kołdrę. - Chodzi tylko o kilka miesięcy. Lepiej pomóż mi pościelić łóżko. Nat, a ty dlaczego stoisz beczynnie? Czemu to ja muszę wszystko robić?

- Bo ty zawsze wszystko robisz - Charmaine słodko uśmiechnęła się do koleżanki. Gra kanadyjska podobna do hokeja na trawie. Uczestniczą w niej dwie drużyny. Zawodnicy lub zawodniczki starają się wbić piłkę do bramki przeciwnika, ale nie kijem, jak w hokeju, tylko laską podobną do rakiety (przyp. tłum.).

- Co to za dziewczyna? - Nathalie wsunęła rakiety do lacrosse pod swoje łóżko.

- Przyjechała z Republiki Południowej Afryki... nazywa się Rina czy jakoś tam.

Zaraz tu będzie. Matthie chce, żebyśmy się nią zaopiekowały, były dla niej miłe. Zdaje się, że jej matka nie żyje, a ona podobno jest bardzo bogata. - Gabby zaczęła powlekać kołdrę.

- Boże, tego właśnie było nam brak - Charmaine wzniosła oczy do nieba. - Zepsutej, rozpieszczonej, bogatej dziewczyny. Ona zemdleje, kiedy zobaczy ten pokój. Na pewno jest przyzwyczajona do całej czeredy służby. W Afryce chyba wszyscy mają służbę?

- Wcale nie wszyscy, ty idiotko - roześmiała się Gabby. - Chociaż ona chyba ma... Och, dajcie spokój, nie będzie tak źle... - Przerwała nagle. Wszystkie trzy usłyszały kroki za drzwiami. - Szybko! Idzie Matthie!

Panna Matthews wkroczyła do pokoju i rozejrzała się dookoła. Trzy dziewczyny stały jedna obok drugiej, żeby kolejno powitać Rianne, a w pokoju na szczęście był już porządek. Matrona, w formie podziękowania, posłała Gabby uśmiech i odwróciła się do Rianne. Dziewczyna ociągała się z wejściem, nadal niepewnie stała w drzwiach.

- Wejdz, kochanie, one nie gryzą!

Rianne zawahała się jeszcze chwilę, głęboko odetchnęła i weszła do pokoju.

Wszystkie trzy dziewczyny wpatrywały się w nią w osłupieniu. Nowa koleżanka nie tylko była bogata, ale również niesamowicie piękna.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza. Rianne, zupełnie nie zwracając uwagi na koleżanki, ze zdumieniem graniczącym z przerażeniem rozejrzała się po pokoju. Cztery osoby w tej klitce? Popatrzyła na wąskie łóżka. Stały tak blisko siebie, że niemal się stykały. Nie, to nie wchodzi w grę. Ściągnęła brwi i odwróciła się do panny Matthews.

- Nie będę tu mieszkała - oświadczyła stanowczym tonem, ciągle trzymając w ręku podręczną torbę. - Chcę mieć osobny pokój.

- Ależ, Rianne - odparła panna Matthews - u Świętej Anny nie ma pojedynczych pokoi. W szkołach z internatem uczennice mieszkają razem. Na tym między innymi polega idea internatu. - Uczymy się żyć wspólnie z innymi. Wiem, że jest tu trochę ciasno i pewnie nie jesteś przyzwyczajona do tak niewielkiej przestrzeni...

- Nic mnie to nie obchodzi - Rianne przerwała pannie Matthews w pół zdania. - Nie zostanę tutaj. Proszę znaleźć mi osobny pokój albo natychmiast wracam do domu. Trzy dziewczyny z otwartymi ustami przyglądały się pannie de Zoete, a potem zwróciły wzrok na kierowniczkę.

- Przykro mi, Rianne - matrona zacisnęła wargi. - Takie są zasady. Żadna z uczennic nie mieszka osobno, wszystkie dzielą pokoje. Musisz się z tym pogodzić. Będiesz mogła zmienić pokój po świętach Bożego Narodzenia, nie wcześniej. Teraz cię zostawiam, możesz się rozgościć. Gabby, dopilnuj, proszę, żeby Rianne zeszła do jadalni i nie spóźniła się na kolację. - Panna Matthews odwróciła się na pięcie i szybko wyszła z pokoju.

Rianne ze złością popatrzyła na oddalające się plecy matrony. Czy ta kobieta naprawdę odchodziła? W takim razie co ma teraz zrobić? Przywykła do tego, że tupnęła nogą i dostawała to, co chciała.

- No, wcale nie jest aż tak źle - usłyszała czyjś głos. Rianne odwróciła się w tym kierunku. Wysoka, tęga dziewczyna o rudych włosach i w paskudnych okularach w grubej oprawce uśmiechała się nieśmiało. Jest trochę ciasno, ale to tylko do Bożego Narodzenia. Wtedy nawet wszystkie możemy zmienić pokój, jeśli będziemy chcieli.

- Nieważne - Rianne z wściekłością popatrzyła na dziewczynę. - Nie zostanę tutaj.

- To dokąd pójdziesz? - pisnęła nieduża, seksowna blondynka. Miała spódniczkę co najmniej dziesięć centymetrów krótszą niż dwie pozostałe.

- Do domu - krótko odparła Rianne.

- To znaczy gdzie?

- Co ci do tego? - rzuciła panna de Zoete, a blondynka zarumieniła się ze złości.

- Wiesz, dzisiaj jest już zbyt późno, żeby gdziekolwiek wracać. Lepiej więc postaw torbę i chodź z nami na kolację. Kiedy wrócimy, możesz zatelefonować do rodziców, żeby to jakoś załatwili - zaproponowała pulchna dziewczyna.

- Moi rodzice nie żyją - Rianne popatrzyła na nią lodowatym wzrokiem, aż dziewczyna się skrzywiła.

- Oj! - Gabby była zła na siebie, że o tym nie pamiętała. - Bardzo cię przepraszam, zapomniałam. No to... kto to jest, zdaje się, że twoja ciotka? Jutro do niej

zadzwonisz. Czekaj, może najpierw się przedstawimy. Ja mam na imię Gabby. To jest Charmaine, a to Nathalie.

Cztery dziewczyny przez chwilę przyglądały się sobie. W pokoju znowu zapanowała cisza.

Chodź, pokażemy ci, gdzie podają kolację - zaproponowała Gabby. - Zaczyna się za dziesięć minut.

- Nie jestem głodna - Rianne odrzuciła propozycję. Była zdecydowana nie ustąpić nawet o milimetr. Zaraz dzisiaj zatelefonuje do Lisette i zażąda powrotu do domu.

- Musisz iść na kolację. Nie wolno nam opuszczać posiłków - z niepokojem w głosie odezwała się Nathalie.

- Nie dbam o to, co wolno, a czego nie. Nie idę i już.

- Dobrze. Powiem Matthie, że źle się czujesz - ucięła sprawę Gabby. Uznała, że nie ma sensu dalej spierać się z nową lokatorką. Kiwnęła na dwie koleżanki, żeby poszły za nią do jadalni.

- A mów, co chcesz - Rianne wzruszyła ramionami. Było jej wszystko jedno, co Gabby powie panie Matthews. Nie zostanie tu na tyle długo, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Jasny gwint - powiedziała Nathalie, kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły. - Ona jest koszmarna.

- Co za suka! - syknęła Charmaine, ciągle jeszcze czerwona ze złości, a Gabby twierdząco pokiwała głową.

- Ale jest bardzo ładna - dodała Nathalie z westchnieniem. Wszystkie trzy skinęły głowami. - Naprawdę śliczna - powtórzyła ponurym głosem.

Rianne usiadła na brzegu jednego z czterech łóżek. W pokoju były jeszcze trzy toaletki, dwie duże brzydkie szafy i dziesiątki poprzyklejanych do ścian, powycinanych ilustracji. Wszędzie wałały się sterty ubrań, porozrzucanych butów, książek i gazet. Wyglądało to strasznie. Na ścianach widać było ślady po pozrywanych ilustracjach, które przyklejały poprzednie mieszkanki. Pokój wymagał generalnego remontu. Bardzo różnił się od miłej, przestronnej sypialni i łazienki, które zajmowała w domu ciotki. Przypomniała sobie swój dawny pokój z podłogą wyłożoną ładną terakotą i dużymi balkonowymi drzwiami, prowadzącymi na jej prywatny, niewielki taras. Wspomniała śliczną, wyłożoną glazurą łazienkę z kabiną prysznicową, puszystymi białymi ręcznikami i świeżymi kwiatami, które Seni codziennie przynosił z ogrodu. To był dom. Nagle oczy Rianne się zaszklily. Nowy sweter i okropna sztruksowa spódnica - strój, który Lisette z takim pietyzmem wybierała, opierając się na otrzymanej liście rzeczy potrzebnych do szkoły - potwornie drażniły delikatne ciało. W tej chwili najbardziej na świecie pragnęła zrzucić z siebie to ubranie i wziąć długi, gorący prysznic. Ciekawe, gdzie tutaj są prysznice.

Dała za wygraną pięć minut później, kiedy już zajrzała do wszystkich pomieszczeń

na piętrze. Chociaż trudno jej było w to uwierzyć, pryszniców nie było. Na końcu korytarza znalazła łazienkę. Było to wilgotne, śmierdzące stęchlizną pomieszczenie, z wydzielonymi kilkoma kabinami z wannami i rzędem umywalek. Nigdy w życiu nie brała kąpieli w wannie. Bardzo przygnębiona, wróciła do pokoju, wzięła koszulę nocną, szczoteczkę do zębów i poszła z powrotem do łazienki. Kran zgrzytał i pischzał, kiedy wanna napełniała się gorącą wodą. Przyglądała się unoszącej się nad nią parze. Zdjęła sweter, rozpięła wykrochmaloną bluzkę, zrzuciła sztywną spódnicę i zsunęła ze stóp ciężkie brązowe półbuty. Ściągnęła wełniane skarpety, okropną bieliznę i drżąc na całym ciele, weszła do wanny. Woda była ciepła, działała kojąco. Przyciągnęła kolana do piersi i przymknęła oczy. Bardzo pragnęła znaleźć się w domu razem z Henniem i Mariką. Energicznie szorowała ciało, próbując zmyć z siebie wydarzenia dwóch ostatnich dni i podrażnienie skóry przez szorstkie nowe ubranie.

Wyszła z wanny i zaczęła myć zęby. Oczy miała czerwone i podpuchnięte. Zaraz zatelefonuje do ciotki Lisette. Nie zostanie tu za żadne skarby. Za nic w świecie. Ruszyła w kierunku pokoju. Poszuka tej kobiety, Matthie, czy jak tam się ona nazywa, i natychmiast zadzwoni do domu.

Jednak to panna Matthews pierwsza ją odnalazła. Serce Rianne stanęło w gardle, kiedy otworzyła drzwi do pokoju i zobaczyła, że kobieta stoi przy oknie.

- Rianne - zaczęła panna Matthews miłym, ale zdecydowanym tonem. - Gabby powiedziała, że źle się czujesz.

- Dobrze się czuję - odpowiedziała Rianne. Serce waliło jej jak młotem.

- Dlaczego zatem nie jesteś na kolacji? Nie wolno opuszczać posiłków. Już ci o tym mówiłam.

- Nie jestem głodna - z uporem odparła dziewczyna.

- To nieważne. Musisz schodzić na wszystkie posiłki do jadalni. Wyjątkiem jest sobotnia kolacja. - Rianne się nie odezwała. - Zdaję sobie sprawę, że jesteś zmęczona i pewnie troszkę wytrącona z równowagi, musisz jednak respektować regulamin szkoły. Jadłaś cokolwiek?

- Nie. Mówiłam, że nie jestem głodna. I nic mnie nie obchodzi wasz głupi regulamin. Jutro wracam do domu - niegrzecznie odpowiedziała panna de Zoete.

- To się jeszcze okaże - spokojnie odparła panna Matthews. - Teraz chciałabym, żebyś zeszła na dół do mojego mieszkania i coś zjadła przed pójściem do łóżka. Nie możesz kłaść się spać z pustym żołądkiem. Odmowy nie przyjmuję. Idziemy, kochanie. Włóż szlafrok.

Rianne nie miała wyboru, wyszła za matroną z pokoju. Fakt, była głodna. Z oczami znowu pełnymi łez szła za panną Matthews. Ale nie rozpłacze się. Za nic w świecie się nie rozpłacze. Przecież - jak Lisette nieustannie jej przypominała - pochodzi z rodu de Zoete.

Obudziła się raptownie, aż podskoczyła na łóżku. Budzik zaczął dzwonić i gwałtownie przerwał sen. Było jeszcze zupełnie ciemno, przez chwilę dezorientowana leżała bez ruchu. Gdzie jestem? W Anglii - przypomniała sobie nagle. Zamknęła oczy. Obok niej trzy dziewczyny wierciły się, niezadowolone. Słyszała dźwięk kolejno otwieranych drzwi sąsiednich pokoi, szum odkręcanych w łazience kranów. Nadal leżała bez ruchu. Wstanie, kiedy już wszyscy wyjdą i zadzwoni do Lisette. Przy odrobinie szczęścia wyjedzie jeszcze przed lunchem.

- Jasna cholera - jęknęła Charmaine, ziewając. - Jak tu zimno! Rianne wsunęła się głębiej pod kołdrę.

- Która godzina? - zapytała Nathalie zaspanym głosem.

- Czas wstawać. - Gabby zaczęła wyłaniać się z pościeli. Z trudem usiadła na łóżku i spojrzała na śpiącą obok postać. - Wstawaj! - Szturchnęła nogą schowaną pod kołdrą Rianne. - Czas wstawać! - powtórzyła. Za pół godziny śniadanie.

- Nie mam ochoty - wymamrotała Rianne. Nawet nie chciała myśleć o wstawaniu. Czowała się bardzo zmęczona i za dobrze jej było w przytulnym małym gniazdku.

- Nie mów potem, że cię nie ostrzegałam. - Gabby spuściła nogi z łóżka. - Idziecie, dziewczyny? - Szarpnęła kołdrę Charmaine. Nathalie jak lunatyczka ruszyła w kierunku łazienki. Rianne jeszcze głębiej wsunęła się pod kołdrę. Już po chwili została sama w pokoju ze swoimi myślami. Miała bardzo piękny sen... naturalnie, znalazła się z powrotem w domu, jeździła konno albo pływała... była w ruchu i na słońcu. Zasnęła.

- Rianne, wstawaj! - Ostry głos przerwał jej sen. Spojrzała w górę przez potargane włosy. Stała nad nią panna Matthews. Wyglądała na bardzo niezadowoloną.

- Masz siedem minut na ogarnięcie się i zejście na dół do jadalni. Prosiłam, żeby nie podawano śniadania niższej klasie szóstej, dopóki się nie zjawisz. Dwadzieścia trzy koleżanki z twojej klasy nie dostaną posiłku, dopóki nie będziesz uprzejma zejść do jadalni. Lepiej się pospiesz. - Panna Matthews zamknęła za sobą drzwi.

Rianne z niedowierzaniem wpatrywała się w pustą przestrzeń. Nie miała wyboru, musiała wstać, i to szybko.

Wciągnęła przez głowę sweter, pozapinała spódnicę i pięć minut później z płonącymi policzkami zbiegała na dół. Dwadzieścia trzy pary oczu patrzyły na nią z wyrzutem, kiedy zmierzała do stołu zajmowanego przez niższą klasę szóstą.

Wszystkie inne klasy już kończyły śniadanie, a niższa szósta jeszcze nawet nie zaczęła. Starła się nie zwracać uwagi na spojrzenia koleżanek, ale panna Matthews nie zamierzała jej popuścić.

- Śniadanie, Rianne, zaczyna się o siódmej trzydzieści. Proszę, żebyś od dzisiaj już nigdy się nie spóźniała. - Dziewczyna zamierzała poinformować matronę, że jutro rano będzie już daleko stąd, ale zmroził ją nieznoszący sprzeciwu ton panny



Matthews. Najbardziej lekceważąco, jak tylko potrafiła, pochyliła głowę, wykrzywiła wargi na widok zimnej jajecznicy i sięgnęła po grzanekę.

Skupiła uwagę na zawartości talerza, a dziewczęta przy stole ponownie zaczęły rozmawiać. Skorzystała z okazji i omiotła koleżanki szybkim spojrzeniem. Poza Gabby, Charmaine i Nathalie wszystkie wyglądały nieciekawie: większość dziewcząt była chuda, blada, miała mysio-szare włosy i pryszcze na twarzach. Przy końcu stołu, ku swemu zdziwieniu, spostrzegła cztery czarne dziewczyny. Jedna spoglądała na nią wyzywająco. Miały na sobie mundurki szkolne. To niemożliwe! Były uczennicami? Na pewno nie.

Poranny apel, jak co dzień, odbył się w wielkiej auli usytuowanej na stoku niewielkiego wzgórza, w pół drogi między Gordon House a Gmachem Głównym. Na szczęście nie trwał długo: modlitwa, ogłoszenia i krótki tekst, dedykowany temu dniu. Dyrektorka, panna Caruthers, postanowiła publicznie powitać Rianne w szkole. Dziewczyna była wściekła. Trzysta par oczu wbiło wzrok w córkę Mariusa de Zoete'a, a Gabby szturchnęła ją łokciem, żeby wstała. Panna Caruthers wspomniała nawet, że „Rianne przybyła do nas ze znacznie cieplejszego rejonu świata, z Republiki Południowej Afryki. Z otwartym sercem witamy ją w gronie naszych uczennic. Moja droga, mam nadzieję, że wspaniale będziesz się u nas czuła” - zakończyła z promiennym uśmiechem. Dziewczyna niecierpliwie skinęła głową. Witanie jej w szkole było niepotrzebną stratą czasu. Za kilka dni już jej tutaj nie będzie.

Po apelu uczennice podniosły się i szykowały do opuszczenia auli. Rianne spostrzegła, że dziewczyna, która przyglądała się jej podczas śniadania, teraz również patrzy na nią z taką samą wrogością. Spojrzała nieznajomej prosto w oczy. Za kogo, u diabła, ona się uważa? Panna de Zoete była oburzona. Nigdy by nie pomyślała, że w szkole w Anglii spotka czarne dziewczyny albo Indianki, tymczasem rozglądając się po auli, stwierdziła, że jest ich tutaj całkiem sporo. Rianne nigdy nie miała nic wspólnego z czarnymi, chyba że byli to służący.

- Kto to jest, u licha? - zapytała koleżankę, kiedy dziewczyna rzuciła jej ostatnie, pożegnalne spojrzenie. Rianne zmrużyła oczy. Jak ona śmie . tak na nią patrzeć?

- Och, ona. To Jumoke Olalade - szeptem odpowiedziała Gabby. Bardzo zdolna. W przyszłym roku będzie zdawała Oxbridge, egzamin uprawniający do kontynuowania nauki na uniwersytecie. Jest bardzo miła.

- Naprawdę? - fuknęła Rianne. - Czemu się na mnie gapi?

- No, wiesz... - zaczęła Gabby i nagle zdała sobie sprawę z szyderczego spojrzenia Jumoke. - Pochodzi z Nigerii, zapewne nie lubi mieszkańców Republiki Południowej Afryki. Lepiej jej powiedz, żeby przestała, bo o tym zamelduję.

- Komu? - Dwie pozostałe dziewczyny popatrzyły na nią ze zdumieniem.

Nie wiem. Komukolwiek. W moim kraju nie wolno byłoby się jej do mnie odezwać - rzuciła arogancko. Jeszcze jeden powód, żeby porozmawiać z Lisette. Ciotka dostałaby ataku serca, gdyby wiedziała, że bratanica będzie musiała chodzić na

lekcje - albo jeszcze gorzej, do tej samej łazienki - z Murzynkami i Indiankami.

- Ale teraz nie jesteś w swoim kraju - cierpkim tonem odparła Gabby. - W Anglii zachowujemy się inaczej. Po prostu nie wchodzi jej w drogę. Słuchaj, musimy pędzić do klasy - próbowała zmienić temat. - Jakie przedmioty wybrałaś? Ja mam pierwszą historię.

- Przedmioty? - Rianne, nie rozumiejąc, o co chodzi, pytająco spojrzała na koleżankę. Nikt nic jej nie mówił o wybieraniu przedmiotów.

- Tak, do zaliczenia stopnia A. - Gabby wyciągnęła z torby bardzo sfatygowany rozkład zajęć. - Musisz wybrać co najmniej dwa. Jeżeli, oczywiście, chcesz zaliczyć stopień A. Charmaine nie zalicza. Uczy się, żeby zostać sekretarką.

- Nic o tym nie wiem i guzik mnie to obchodzi - odparła Rianne. Niedługo stąd wyjadę.

- Ale dzisiaj lepiej jednak chodź z nami - zaproponowała Nathalie. - Później porozmawiasz z Matthie i wybierzesz sobie przedmioty.

- Już powiedziałam - powtórzyła zirytowana. - Nie obchodzi mnie wybór przedmiotów. Nie zostanę tutaj.

Gabby i Nathalie wymieniły spojrzenia.

- Weź to, Rianne. Gdybyś nie mogła wyjechać przed weekendem, powinnaś wiedzieć, gdzie masz lekcje konkretnego dnia. No, weź. - Gabby podała jej rozkład zajęć.

Niechętnie wzięła książkę do ręki i popatrzyła na nią niewidzącym wzrokiem. Nigdy nie spotkała się z tyloma przedmiotami: chemia, matematyka, historia, geografia.

Dobry Boże, jak ma wybrać co najmniej dwa? Ba, choćby tylko jeden? Z żadnego przedmiotu nie była dobra, może poza językiem francuskim. Znała go całkiem nieźle, był to przecież ojczysty język matki. Ojczysty język matki. Jej matki.

Natychmiast zamknęła oczy. Stosowała tę sztuczkę od owego strasznego dnia. Kiedy po krótkiej chwili ponownie otwierała oczy, obraz ociekającego wodą i zawiniętego w niebieski brezent ciała matki znikał. Bez pośpiechu podążyła za Gabby do klasy.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Tylko tak zwana jedenasta przerwała monotonne zajęcia. Podczas tej krótkiej przerwy dziewczęta biegły z powrotem do internatu, to znaczy do Gordon House, i zjadały jak najwięcej się dało grubo posmarowanych masłem grzanek. Rianne przez myśl by nie przeszło, że jedna osoba może pochłonąć tyle kromek chleba, ile zjadła Gabby. Kolejny szok przeżyła, kiedy jedna z Hindusek wzięła jej pusty kubek, opłukała go i naląła sobie herbaty. W Republice Południowej Afryki ludzie różnych ras nigdy nie korzystali z tych samych naczyń. Nigdy! To było wprost nie do pomyślenia. A to dopiero Lisette będzie zdumiona! Rianne nie miała wątpliwości, jak na tę wiadomość zareaguje ciotka: każe jej natychmiast wracać.

Tymczasem, jak na złość, ciotki nie było w domu, kiedy w końcu, po długich i nudnych popołudniowych zajęciach i następnej porcji grzanek - czwartej,

dziewczyna zatelefonowała do niej. Nie wiedziała, że panna Matthews przezornie zadzwoniła tam już rano. Obie panie ustaliły, że trzeba zmusić Rianne do pozostania w szkole Świętej Anny przez co najmniej dwa tygodnie, dlatego Lisette będzie udawała, że wyjechała w interesach nie można się z nią skontaktować. W ten sposób szkoła dostanie szansę... A potem, kto wie, może dziewczyna zmieni zdanie? Niewykluczone, że nawet polubi nowe miejsce. Z tego właśnie powodu pokojówka poinformowała ją że ciotka jest w podróży służbowej. Wróci za trzy tygodnie. Bez względu na to, w jak ważnej sprawie panna Rianne dzwoni, będzie musiała zatelefonować ponownie po powrocie ciotki. Dziewczyna była tak bardzo zawiedziona, że niemal rozplakała się z żalu. Rzuciła słuchawką telefonu w małym mieszkanku panny Matthews, nawet nie zwracając uwagi na pełne współczucia spojrzenie matrony, po czym pobiegła na górę do swojego pokoju i szlochając, rzuciła się na łóżko. W pokoju była tylko Nathalie. Koleżanka kilkakrotnie próbowała się dowiedzieć, co się stało, ale ponieważ nie dostała odpowiedzi, zrezygnowała i wyszła z pokoju poszukać współlokatorek. Niech Rianne zostanie sama ze swoim żalem, prędzej czy później i tak będzie musiała go z siebie wyrzucić.

## 6

Jednak nie pogodziła się z losem. Pod koniec drugiego tygodnia nawet panna Matthews zaczęła się niepokoić. Rianne sprawiała wrażenie tak samo nieszczęśliwej jak pierwszego dnia. Zamknęła się w sobie i odrzucała wszelkie próby wciągnięcia jej w życie szkoły. Była nieuprzejma, chodziła nadąsana, a w nielicznych przypadkach, kiedy raczyła się do kogoś odezwać, bywała sarkastyczna lub arogancka albo i sarkastyczna, i arogancka. Wieczory spędzała samotnie we wspólnym pokoju, pisząc pamiętnik lub słuchając walkmana i licząc dni do powrotu Lisette.

Współlokatorki były coraz bardziej zirytowane. Z powodu zachowania Rianne czuły się niezręcznie we własnym pokoju. Mruczała coś do siebie, głośno śpiewała, nastawiała walkmana na cały regulator, tak że pozostałe trzy nawet nie mogły normalnie rozmawiać. Gabby, pragnąc uniknąć pełnej napięcia sytuacji w pokoju, coraz dłużej przesiadywała w bibliotece. Nathalie nagle stała się wielką entuzjastką sportu i zapisała się na dodatkowe zajęcia; niemal codziennie grała w lacrosse i hokeja, aby jak najwięcej czasu spędzać poza pokojem. Tylko Charmaine, której nie interesowały . ani książki, ani zajęcia sportowe, musiała znosić niezręczną sytuację. Nadal się bała pięknej nowej koleżanki.

- Jakie masz plany na jutro? - zapytała mimochodem w piątek wieczorem pod koniec drugiego tygodnia pobytu panny de Zoete w szkole. Siedziała na podłodze i starannie malowała paznokcie u nóg. Rianne z zamkniętymi oczami leżała na łóżku.

Wyjątkowo zapomniała nałożyć słuchawki na uszy..

- Żadnych - odpowiedziała lakonicznie. Może chcesz pójść ze mną do miasta?

- Dokąd?

- Do miasta, wiesz, do Malvern. Co drugą sobotę spotykamy się z kilkoma dziewczynami w herbaciarni w mieście. Świetnie się bawimy.

Naprawdę? Popijając herbatę? - pogardliwie rzuciła Rianne. - Uprzejmie dziękuję.

- Daj spokój. - Charmaine nie dawała za wygraną. - Przecież i tak nie masz żadnych planów, prawda?

- Wolę nudzić się sama niż siedzieć w sali pełnej dziewczyn i popijać herbatę.

- Rób, jak chcesz - rozzłościła się Charmaine. Chciała tylko być miła. W pokoju zapanowała cisza.

- Dobrze - po kilku minutach niespodziewanie powiedziała Rianne.

- Słucham?

- Dobrze. Właściwie mogę pójść. Nie mam nic innego do roboty.

- Wspaniale! Będziemy się świetnie bawiły, zobaczysz. Pójdziemy po lunchu.

Charmaine była bardzo z siebie zadowolona. Przebiła się przez lodową skorupę koleżanki. Z rozjaśnioną twarzą spojrzała na nią, ale ta szukała walkmana.

Charmaine bardzo się myli, jeśli sądzi, że to początek przyjaźni - skomentowała w duchu Rianne. Pójście z kimś raz do miasta nic nie znaczy. Zlekceważyła

zadowolenie koleżanki i włożyła słuchawki na uszy. Sama była zaskoczona swoją

zgodą na wspólne wyjście. Czemu, u licha, zgodziła się spędzić popołudnie na picu

herbaty w towarzystwie głupich dziewczyn? W domu... Tam sytuacja była zupełnie

inna. W sobotę telefon zaczynał dzwonić już o ósmej rano. Wszyscy chcieli

podzielić się z nią swoimi planami na weekend, a najbardziej spędzić czas w jej

towarzystwie. Latem wstawała rano, rozsuwała drzwi i na przełaj po trawniku szła

do basenu. Lubiła patrzeć na błyszczącą w promieniach słońca rosę na trawie.

Uwielbiała jedwabisty dotyk wody cieplejszej niż temperatura powietrza, łagodnie

zmywającej sen z powiek. Potem razem z Henniem i Mariką jedli śniadanie w

ogromnej, słonecznej kuchni. Planowali, co będą robić w ciągu dnia, a Poppie

krzątała się wokół nich, nalewając kawę do filiżanek i nakładając im jajka na

talerz... albo oferując jeszcze jedną kromkę chleba. Zawsze coś się działo: można

było jeździć konno, pływać, iść do centrum handlowego lub pojechać za miasto

samochodem starszego brata czy siostry któregoś ze znajomych... ach, w domu. Tam

nie groziła nuda, zawsze miała pod ręką kogoś interesującego, z kim można się było

zabawić. A tu? Wystarczy na nią spojrzeć! Ugrzęzła gdzieś, gdzie diabeł mówi

dobranoc, i rozważa wyjście na herbatę. Do czego to doszło? Co, u diabła, się stało?

Nudziła się. Prawie dwa tygodnie siedziała w zamkniętym pomieszczeniu z gromadą

hałaśliwych dziewczyn. Dla kogoś przyzwyczajonego do życia w pełnym słońcu była

to największa kara. Położyła się na wznak i skupiła na słuchaniu muzyki, aż

Charmaine skończyła malować paznokcie i z tamponami waty między palcami

pokuśtykała do łazienki.

- Chyba żartujesz - z niedowierzaniem powiedziała Nathalie, wkładając do ust ostatni kawałek grzanki. Siedziały w kuchni w Gordon House i gawędziły. - Idzie z tobą jutro do miasta?

- Tak. Wybieramy się tam po lunchu - Charmaine popatrzyła na Nathalie i Gabby.

- No, to powodzenia! Mam nadzieję, że wyciśniesz z niej chociaż jedno słowo. Nadęta krowa. I lepiej dopilnuj, żeby jakoś się ubrała. Widziałyście, co miała na sobie w ubiegłym tygodniu? Pamiętacie te okropne spodnie?

- O Boże, naprawdę są okropne - skrzywiła się Nathalie. - Takie workowate i... prawdziwy koszmar!

- Ona chyba nie wie, że sztruksowe spodnie dawno wyszły z mody.

- Może do jej kraju moda w ogóle nie dociera.

- Nie, pewnie są tylko kilka lat do tyłu - spokojnie skwitowała Gabby. - Poza tym ona we wszystkim będzie dobrze wyglądała.

- Nie w brązowych sztruksach! - roześmiała się Charmaine. - Szczególnie, jeśli włoży do nich białe adidasy! Widziałyście jej buty? - Wszystkie trzy skinęły głowami i roześmiały się.

Zamilkły raptownie, kiedy drzwi do kuchni otworzyły się z trzaskiem. Weszła Rianne, bez słowa przeszła obok nich i otworzyła lodówkę. Jej twarz płonęła. Gabby również oblała się rumieńcem. Była pewna, że dziewczyna słyszała, co o niej mówiły. Dwie pozostałe współlokatorki wbiły wzrok w swoje kubeczki.

- Cześć, Rianne! - Gabby przerwała niezręczną ciszę. - Słyszałam, że jutro wybierasz się z Char do miasta. Będziesz się świetnie bawiła.

- Nie licz na to - odparła sucho. Wzięła z lodówki karton mleka i wyszła z kuchni. Dziewczęta popatrzyły na siebie.

- Cholera! Chyba nas słyszała - zaniepokoiła się Charmaine.

- I co z tego? Należało się jej. Staraliśmy się być dla niej miłe, a ona zachowuje się jak świnia - oburzyła się Nathalie.

- Teraz pewnie ze mną nie pójdzie - ze smutkiem w głosie odezwała się Charmaine.

- O to się nie martw. Co wieczór siedzi na łóżku i nudzi się jak mops - uspokajała ją Gabby. Wiedziała, nawet jeśli pozostałe koleżanki z pokoju tego nie dostrzegły, że Rianne co wieczór płakała. Sięgnęła po kolejną kromkę chleba.

Charmaine skinęła głową. Gabby zawsze miała rację.

- Chyba nie zamierzasz iść tak ubrana? - zapytała Charmaine następnego dnia tuż po lunchu. Z przerażeniem patrzyła na strój koleżanki. Rianne miała na sobie niebieską bawełnianą spódnicę, pulower w duży wzór, brązowe rajstopy i... koszmar nad koszmarami, jaskrawozielone ciepłe skarpety.

- A co ci się nie podoba w moim stroju? - ostrym tonem spytała Rianne, natychmiast przybierając postawę obronną. Prawdę powiedziawszy, długo się zastanawiała, co na

siebie włożyć. Miała wątpliwości co do skarpet - na liście rzeczy potrzebnych do szkoły znajdowały się w grupie „nocnych strojów” - ale prawie wszystkie dziewczyny je nosiły.

- No wiesz, właściwie wszystko - Charmaine z zadowoleniem podjęła swój ulubiony temat. Uwielbiała perorować na temat stylu i mody. - Przede wszystkim nie wolno łączyć różnego typu materiałów - oświadczyła stanowczo. - Bawełny i wełny. Włożyłaś spódnicę z bawełny i to jest pierwszy błąd. Mamy październik i bawełnianą możesz włożyć najwyżej bluzkę. Drugi błąd to kolory: spódnica jest niebieska, a skarpety zielone. Nie znasz zasad? Niebieskiego nigdy nie łączy się z zielonym. Sweter nie pasuje do niczego, rajstopy powinnaś mieć w zupełnie innym kolorze, a ciepłe skarpety wkłada się tylko do spodni.

- Jezu! Przecież wybieramy się tylko do jakiegoś głupiego miasteczka - zdenerwowała się Rianne. - Na miłość boską, to nie pokaz mody. - O co ta dziewczyna robi tyle szumu?

- W porządku. Rób, jak uważasz. Sama się przekonasz - mruknęła Charmaine. Niewdzięczna krowa. Wciskała się w drelichową spódnicę, kiedy koleżanka ściągnęła skarpety, zdjęła spódnicę i włożyła dzinsy. Charmaine uśmiechnęła się pod nosem. Jednak jej posłuchała.

Rianne kątem oka przyglądała się Charmaine. W dzinsowej minispódniczce, czerwonych rajstopach i czarnym swetrze wyglądała znacznie lepiej od niej. Był to dla niej kolejny szok: uświadomiła sobie, że tutaj to nie ona nadaje ton, jak się ubierać, jak wyglądać, o czym rozmawiać. Tutaj świat stał do góry nogami: to ona musiała naśladować innych, obserwować koleżanki, patrzeć, w co się ubierają, uważać, co mówią jak się zachowują... Okropność. Przyglądała się, jak Charmaine szcztokuje krótkie blond włosy i chyba jest już gotowa do wyjścia. Prawie. Po chwili zastanowienia koleżanka sięgnęła do szuflady, wyjęła błyszczak do ust, palcem wprawnie rozprowadziła go po wargach i nałożyła odrobinę na powieki. Odwracając się do Rianne, wyjaśniła, że uczennicom nie wolno było robić makijażu.

- Chcesz trochę? - zaproponowała natychmiast i podała koleżance niewielką tubkę. Rianne bez specjalnego zainteresowania wzięła błyszczak i nałożyła go na wargi. - Idziemy? - spytała Charmaine i po raz ostami przejrzała się w lustrze. Możemy. - Rianne starała się mówić obojętnie, chociaż nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie opuszczą teren szkoły. Od momentu przyjazdu nie wystawiła nosa poza jej mury.

- Popatrz, jedzie autobus! Musimy się pospieszyć! - krzyknęła Charmaine, kiedy zbliżały się do stóp wzgórza, i zaczęła biec z największym wdziękiem, na jaki pozwalała jej wąska spódniczka. Rianne nie miała pojęcia, dokąd biegną. Prześcignęła koleżankę i dobiegła do skrzyżowania dobrą minutę przed nią.

Widziała, jak autobus - stary niebieski grat - wtacza się na wzgórze i zbliża do nich, ale nie miała pojęcia, co robić dalej.

- Stań na przystanku, Rianne! - wrzasnęła Charmaine z tyłu. - Na przystanku! Na przystanku, idiotko!

Zdezorientowana Rianne rozejrzała się wokoło. Przystanek? Nie miała pojęcia, jak wygląda przystanek. Na szczęście kierowca je zauważył, zatrzymał pojazd i uprzejmie zaczekał.

- Nie widziałaś przystanku? - sapnęła Charmaine, kiedy stanęła obok koleżanki, z trudem łapiąc oddech i sięgając po pieniądze na bilety. - Trzeba czekać na przystanku, inaczej autobus się nie zatrzyma.

- To znaczy gdzie? - Rianne znowu rozejrzała się wokół siebie. Stały przy słupku. Czerwona tabliczka umieszczona na szczycie informowała, że to przystanek. Wzniosła oczy do nieba. - Skąd miałam to wiedzieć? Nikogo tu nie było. - Nigdy w życiu nie jechała autobusem. Widywała ludzi - oczywiście tubylców - czekających na autobus, ale zawsze były ich setki; najczęściej stali na skraju drogi... nie można było ich nie zauważyć.

- Nie opowiadaj, że nigdy nie jechałaś autobusem! - krzyknęła Charmaine z niedowierzaniem. Wsiadły. W środku było tylko kilka osób. Popołudniowy szczyt jeszcze się nie zaczął, dziewczęta z szóstej klasy trochę później wybierały się do miasta.

- W domu mamy kierowców - wyniośle wyjaśniła Rianne. - Tylko tubylcy jeżdżą autobusami.

- Naprawdę? Wszędzie wożą was kierowcy? A kiedy umawiasz się gdzieś z przyjaciółmi? Oni też mają szoferów? - Każdy ma kierowcę. Szofer odwozi cię i przywozi. Na tym polega ich praca.

- Naprawdę? - dziwiła się Charmaine. - Wożą was wszędzie, gdzie tylko chcecie pojechać?

- Naturalnie. A ty jak się poruszasz?

- W domu, w Londynie? Jeżdżę metrem, czasami taksówką, kiedy jestem z chłopakiem. Ale taksówki są bardzo drogie. - Rianne nic na to nie powiedziała. W jej kraju nikt nie mówił o pieniądzach, wszyscy po prostu mieli ich w bród. Oparła się wygodnie i zaczęła wyglądać przez okno.

Musiała przyznać, że okolica była całkiem ładna. Ciemnozielone liście zaczynały zmieniać kolor na jaskrawo-rudy i ognistożółty. Autobus, skrzypiąc, zjeżdżał ze wzgórze w kierunku miasteczka. Mijał domy z kamienia, niektóre z dachami krytymi słomą i ogrodami pełnymi herbacianych róż. Kilka razy zatrzymali się przy tych śmiesznych słupkach z czerwonymi tabliczkami i zabrali kilka osób.

Przyglądała się ludziom spod oka. Przeważały drobne starsze panie z torbami na zakupy, w chustkach na głowach i wygodnych do chodzenia butach. W RPA nigdy nie widziała, żeby starsza pani sama niosła zakupy, a co dopiero stała przy drodze, czekając na autobus. To znaczy biała starsza pani. Zastanawiała się, gdzie się podziela cała służba. Popatrzyła na domy przy drodze; były malutkie, niewiele większe od domów w mieście. Miały również śmieszne nazwy: „Pięć Wiązów”, „Nad Strumykiem”, „Dobry Uczynek”, chociaż w polu widzenia nie było ani jednego

wiązu czy rzeczki. Przypomniała sobie domy w swojej okolicy, w Bryanston. Wszystkie były ogromne i otoczone murem. Miały rozległe ogrody, baseny i korty do tenisa. Na niektórych ogrodzeniach leżało nawet potłuczone szkło, żeby nikt nie mógł się przez nie przedostać ani choćby zajrzeć do środka. Przy wjeździe na teren prawie każdej posiadłości stała budka. Dwadzieścia cztery godziny na dobę był w niej uzbrojony strażnik. Mieszkał tam, jadł i spał. Stanowił pierwszą linię obrony przed nimi. U ciotki Lisette strażnikiem był stary Murzyn z plemienia Zulu. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywał, ale tkwił w tej budce od zawsze. Miał przy sobie wielką drewnianą laskę, którą nazywał maczugą i zawsze opartą o krzesło strzelbę. Bał się jej używać. Hennie czasami żartował, że Festus - o właśnie, tak się nazywał - uważa, iż karabin jest tylko cięższą odmianą maczugi. Nie umiał posługiwać się bronią palną, a pewnie nawet nie wiedział, że strzela się z niej kulami. Zachichotała pod nosem.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała Charmaine. Po raz pierwszy zobaczyła, jak Rianne się uśmiecha. Z zazdrością spoglądała na równe perłowobiałe zęby i szeroki, szczery uśmiech, który całkowicie zmienił zazwyczaj napiętą i naburmuszoną twarz.

- Z niczego. Przypomniałam sobie coś o kimś z rodziny.

- Jak ona ma na imię?

- On. Hennie. Jest bardzo fajny.

- Też tu przyjechał? Jest w Anglii? - zainteresowała się Charmaine. Życie Rianne, z szoferami i tubylcami - kimkolwiek by oni byli - wydało jej się o wiele bardziej fascynujące od zwyczajnej egzystencji w dwupokojowym mieszkaniu matki w Pimlico, w Londynie.

- Nie, idzie do wojska.

- Do wojska? - Charmaine była pod wrażeniem.

- Tak. Choć wcale nie chce.

- To dlaczego idzie?

- Tam, gdzie mieszkam, wszyscy chłopcy w wieku osiemnastu lat idą do wojska.

- Aha. - Charmaine przypomniała sobie chłopca ze Szwajcarii, który był w męskim college'u i także musiał wstąpić do armii. Uważała, że to bardzo niesprawiedliwe. - Okropne. Okropne, że musi iść do wojska.

- Taaak. Gdzieś jest teraz wojna, ale nie sądzę, żeby Hennie musiał walczyć. -

Rianne przypuszczała, że kuzyn będzie łamał szyfry wroga albo dowodził wojskami z klimatyzowanego biura; w każdym razie coś właśnie w tym rodzaju.

- Naprawdę? To niesłychanie pasjonujące - emocjonowała się koleżanka. Wszystko to brzmiało bardzo romantycznie. Życie w niewielkim kręgu jej przyjaciół w porównaniu z tym, o czym mówiła współlokatorka, było wręcz nudne. Chyba tak. -

Rianne obojętnie wzruszyła ramionami. Cóż ją w ogóle mogły obchodzić wojny?

Nagle Charmaine spostrzegła, że młody człowiek na siedzeniu naprzeciwko z zainteresowaniem im się przygląda. Spojrzała w bok. Starła się nie rozmawiać z okolicznymi „kmiotkami”. Byli grubiańscy. Na szczęście autobus właśnie



podjeżdżał do przystanku.

- Chodź, tu wysiadamy - skinęła na koleżankę.

Młody człowiek również się podniósł. Charmaine zatrzymała się, żeby go przepuścić. - Pieprzone elegantki - warknął głośno chłopak, a Charmaine zarumieniła się z zakłopotania.

- Co powiedział? - spytała Rianne, kiedy wysiadały z autobusu.

Nie zwracaj uwagi. Po prostu jest zazdrosny - szepnęła koleżanka w odpowiedzi.

- O co?

- No, wiesz. O nas. Jest biedny. - Zaskoczona Rianne ponownie spojrzała na oddalające się plecy. Biedny? I wtedy sobie przypomniała. Kiedyś z Lisette i wujem Simonem, doradcą finansowym ciotki, przejeżdżała przez Transwał, północno-wschodnią prowincję Republiki Południowej Afryki. Pamiętała, że mijali jakieś farmy i wówczas zapytała ciotkę o małe białe dzieci, które na bosaka biegały w pobliżu drogi z dziećmi tubylców z wielkimi brzuchami. Ciotka mamrotała coś o biednych rodzinach afrykanerskich. Straszne, co - jakiego to słowa użyła ciotka? - bojkot, tak powiedziała: bojkot. Straszne, co bojkot uczynił z ich farm. A zatem gdzieś na świecie byli ludzie biedni. Ale co biedacy robili w Malvern?

Chodź! - Charmaine zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku końca ulicy.

Herbaciarnia Serendipity jest na rogu. Chcę zająć dobre miejsce.

- Po co? Przecież to herbaciarnia! - zdumiała się koleżanka.

- Żeby mieć dobry widok - odparła. Rianne przeszła za nią na drugą stronę ulicy.

Widok na co? Kiedy wchodziły do środka zatłoczonej herbaciarni, zabrzączał nad drzwiami mały dzwoneczek. W środku było gwarno i gęsto od dymu. Rozmowy na chwilę ucichły, wszystkie dziewczęta mierzyły wzrokiem nowo przybyłą - tym bardziej że przyszła z seksowną Charmaine Hunter - i jak jeden mąż jęknęły w duchu. Podwójna porażka. Rianne rozejrzała się po sali. Było dużo osób, przy czym dziewcząt mniej więcej dziesięć razy więcej niż chłopców. Nie mogła się nadziwić, że w tak małym pomieszczeniu udało się zmieścić aż tak wiele stolików.

Char, kochanie! - krzyknął ktoś z końca sali. O raju! Charmaine i trzy inne dziewczyny, które zawołały je do swojego stolika, wykonały angielską wersję francuskiego powitalnego pocałunku - dwa głośne cmoknięcia z każdej strony w powietrzu w okolicach policzka - po czym raczej wyniośle uśmiechnęły się do nowej i pięknej - koleżanki panny Hunter. W odróżnieniu od nowo przybyłych dziewczyny przy stoliku miały na sobie szkolne mundurki. Z napisu na żakietach wynikało, że są uczennicami żeńskiej szkoły w Ledbury. Gdzie, u licha, jest Ledbury? - zastanawiała się Rianne.

- Kochane - entuzjastycznie powitała je Charmaine. - To jest Rianne. Przyjechała z Republiki Południowej Afryki. Jej rodzina ma wszystkie albo prawie wszystkie kopalnie diamentów.

- Niemożliwe! - Jedna z dziewcząt uniosła w górę brwi. Piękna i bogata.

Panna de Zoete uśmiechnęła się lekko. Dlaczego wszyscy nagle zwracali się do siebie per „kochanie”? Charmaine zachowywała się bardzo dziwnie.

- Poznałaś Ree? On również jest z Afryki Południowej - zapytała jedna z dziewcząt, zwracając się do nowej znajomej. Ta przecząco pokręciła głową.

- Nie - wtrąciła się Charmaine. - Chyba dzisiaj go tu nie ma. - Rianne spojrzała na koleżankę. Odniosła wrażenie, że ta pragnie zachować chłopaka dla siebie.

- Zamówimy rożki? - zapytała jej współlokatorka. Usiadły i wsunęły torby pod stół.

- Jeśli chcesz. - Rianne wzruszyła ramionami. Otworzyła nową torebkę i wyjęła paczkę papierosów. Spostrzegła, że koleżanka z nieukrywanym podziwem obserwuje, jak zapala papierosa, wprawnie zaciąga się dymem i wydmuchuje go nosem. Wszyscy wiedzieli, że Charmaine od miesięcy próbowała nauczyć się palić i chociaż bardzo się starała, zawsze kończyło się to krztuszeniem i kaszlem. Ostatnio postanowiła się nie zaciągać, to jednak nie było prawdziwe palenie. Natomiast Rianne miała świadomość, że doskonale opanowała tę sztukę, toteż demonstrowała swoje umiejętności z całkowitym spokojem.

Chwilę później do stolika podeszło dwóch chłopców z wyższej klasy szóstej męskiego college'u.

- Cześć, Charmaine - powiedział jeden z nich, wcale nie patrząc na nią, tylko na Rianne. Ta powoli, z rozmysłem dmuchnęła w jego stronę dymem. Chłopak zaczął kasłać i zarumienił się.

- Cześć, Michael. - Dziewczyna uśmiechnęła się ujmująco. Stał przed nią Michael Rhys-Walker, wiceprzewodniczący samorządu szkolnego. Wcześniej nigdy na nią nawet nie spojrzał.

- My się chyba nie znamy - ignorując Charmaine, zwrócił się do jej koleżanki.

- Nie. - Rianne spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek. Dziewczęta przy stoliku obserwowały ją z podziwem. Była wspaniała, tego nie dało się opisać słowami! Michael Rhys-Walker po prostu nie wiedział, jak się zachować.

- Rianne, to jest Michael, Michael, to jest Rianne de Zoete - szybko przedstawiła ich sobie Charmaine. Jej koleżanka już prawie skończyła papierosa, ale nie spieszyła się z pozdrowieniem.

- Witaj, Rianne - skłonił się Michael. Dziewczyna skinęła głową. Drugi chłopak uśmiechał się do niej głupkowato. Przez chwilę panowała cisza. Charmaine i pozostałe dziewczęta, chcąc przerwać niezręczne milczenie, zaczęły nerwowo trąkotać.

Rianne uznała, że sytuacja jest po prostu głupia. W herbaciarni pięćdziesiąt dziewcząt rywalizuje o względy zaledwie kilku chłopaków o bladych twarzach. Spojrzała na dwóch młodzieńców przed sobą. Och! Coś było nie tak z angielskimi chłopakami? Jeden wyglądał, jakby przydał mu się dobry fryzjer, drugiego trzeba by dobrze wyszorować. Na szczęście, kiedy uświadomili sobie, że dziewczyna nie ma zamiaru włączyć się do rozmowy - dotyczyła ludzi i miejsc, o których nigdy nie

słyszała - odeszli do innego stolika, gdzie powitano ich znacznie cieplej. Charmaine i jej znajome zajęły się omawianiem krótkiego spotkania, a Rianne wyglądała przez okno. To ci dopiero dziecinada! Ciekawe, co robią teraz koledzy i koleżanki z kraju... co robi Hennie. Od przyjazdu nie pozwalała sobie zbyt często o nim myśleć. Bardzo za kuzynem tęskniła. Brakowało jej dźwięcznego śmiechu chłopaka, sposobu, w jaki mrużył oczy, kiedy się uśmiechał, a nawet ich kłótni. Już za kilka dni Lisette wróci - pomyślała. Wtedy zobaczy się ze wszystkimi. Stęskniła się nawet za ciotką. Co prawda nie za bardzo, ale kiedy wróci do domu, będzie dla niej troszkę miłsza.

- Słucham? - Charmaine o coś ją pytała.

- W co wystroisz się na bal? Wiesz, to już za trzy tygodnie. - Cztery dziewczyny podjęły najbardziej interesujący obecnie temat: balu w połowie semestru.

- Już mnie tu nie będzie - stanowczo oświadczyła Rianne.

- Dlaczego? - Jedna z dziewcząt spojrzała na nią zaskoczona. - Dokąd wyjeżdżasz? - zapytała.

- Do domu. W przyszłym tygodniu. Nienawidzę tego miejsca. - Rianne mówiła podniesionym głosem. Dwie dziewczyny przy sąsiednim stoliku odwróciły się i popatrzyły w jej kierunku.

- Och, nie możesz zrezygnować z balu! To pyszna zabawa - odezwała się dziewczyna o końskiej twarzy, ta sama, która zawołała Charmaine, kiedy tylko weszły do herbaciarni.

Rianne uniosła brwi. Pyszna zabawa? Z takimi chłopakami? Wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. Niedługo trzeba będzie wracać do szkoły. Zapaliła następnego papierosa. Boże, ależ się tu nudziła!

Gabby siedziała w bibliotece Świętej Anny na ulubionym miejscu, przy wysokim ładnym oknie. Z plaśnięciem zamknęła książki i przyglądała się, jak promienie popołudniowego słońca wdzięcznie tańczą na wypielęgnowanym trawniku. Była zdenerwowana. Trzy razy czytała ten sam akapit i w ogóle nie pamiętała, czego dotyczył. Siedziała na swoim ulubionym miejscu, uczyła się ulubionego przedmiotu: historii. Udało się jej nawet pokonać pokusę i do popołudniowej herbaty nie kupiła batonika. Chociaż dla niej był to niemal bohaterski wyczyn, czuła się nieszczęśliwa. Cały czas myślała o balu i o tym, w co się na niego ubierze. Już wiedziała, że ubiegłoroczna sukienka nie wejdzie na tegoroczne biodra. Któregoś wieczora przymierzyła ją w łazience, kiedy wszystkie dziewczęta już spały. Nawet nie przeszła przez uda.

W zamyśleniu gryzła ołówek. Nie miała nawet najmniejszych szans naciągnąć rodziców na nową sukienkę. Ale to był dopiero pierwszy problem. W ogóle nie chciała iść na bal, wiedziała jednak - po prostu wiedziała - że Matthie liczy na nią. Opiekunka jest przekonana, że będzie patrolowała korytarze i patio przed jadalnią, żeby nikt nie wymknął się gdzieś w krzaki czy, co gorsza, nie tańczył bliżej, niż

wpadało, to znaczy w odległości co najmniej trzydziestu centymetrów od partnera. Mówiono nawet, że panna Caruthers chodzi z miarką i sprawdza, czy tańczący zachowują właściwy dystans. Z nią i tak nikt nie będzie tańczył. I to był drugi problem. A może nawet trzeci? Szybko zaczęła liczyć i się zastanawiać. Bal był za trzy tygodnie. Jeżeli przez ten czas w ogóle nic nie będzie jadła, ile kilogramów uda się jej stracić? Czy schudnie na tyle, żeby wejść w zeszłoroczną sukienkę? Na szczęście była granatowa - praktyczna Charmaine już o to zadbała. Może zrobi coś z włosami. Przyjrzała się swojemu odbiciu w oknie. Gruba, wyfiokowana idiotka. Tak właśnie będzie wyglądała na balu. Kto chciałby zatańczyć z kimś takim? Charmaine z ociąganiem odwróciła się do Rianne. Dochodziła szósta, musiały zdążyć na ostatni autobus.

- Chyba powinnyśmy się ruszyć - powiedziała z żalem.

Panna de Zoete nawet nie śniła, że będzie marzyła za powrotem do Świętej Anny, jednak siedzenie w herbaciarni nie okazało się jej ulubioną formą spędzania wolnego czasu. Podniosły się od stolika.

Do zobaczenia za dwa tygodnie. - Charmaine pochyliła się i ostentacyjnie ucałowała koleżanki. Rytuał ten wydawał się jakąś kiepską teatralną sztuką.

- Do widzenia, kochanie - odpowiedziały chórem. - Cześć, Rianne. Do zobaczenia następnym razem.

- Nigdy w życiu - mruknęła pod nosem i nonszalancko pomachała im ręką. Energicznym krokiem ruszyła do wyjścia.

Charmaine ciągle jeszcze całowała powietrze, chichotała i w drodze do drzwi machała palcami w kierunku różnych stolików. Rianne wzniosła oczy do nieba i sięgnęła do klamki, jednak w tym samym momencie drzwi otworzyły się z impetem i dziewczyna straciła równowagę. Potknęła się o stopień, ale silne ramiona natychmiast ją podtrzymały. Prostując się, spostrzegła granatowy blezer i szare flanelowe spodnie.

- Ree! - usłyszała, jak gdzieś za nią krzyczy podniecona Charmaine.

Podniosła wzrok. Spojrzała prosto w twarz młodemu czarnemu mężczyźnie.

Wyrwała rękę i odskoczyła w tył. Zanim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, koleżanka odsunęła ją na bok. Młody człowiek wszedł do herbaciarni, entuzjastycznie witany przez gości przy stolikach. Charmaine szybko ruszyła odbić swoją zdobycz.

- Ree! - krzyknęła raz jeszcze. Najwyraźniej dziewczynie zależało na tym, żeby wszyscy zobaczyli ją obok młodzieńca. - Właśnie wychodzimy, jaka szkoda. - Rianne ze zdumieniem obserwowała, jak jej koleżanka i Murzyn całują się w policzki.

- Cześć, Charmaine - pozdrowił ją z przelotnym uśmiechem. Najwyraźniej nie cieszył się ze spotkania aż tak bardzo jak dziewczyna. Wyprostował się. Był o dobrą głowę wyższy od Rianne. Spojrzał na nią z nieco rozbawioną miną. Spłonęła rumieńcem. Jak śmie patrzeć jej w twarz?

- Och Ree, przedstawiam ci Rianne. Właśnie przyjechała. Też jest z Republiki Południowej Afryki. - Charmaine niechętnie dokonała prezentacji. Ree ponownie odwrócił się w stronę dziewczyny. Tym razem przyjrzał się jej uważniej.

- Nie usłyszałem, jak się nazywasz - powiedział po angielsku, dokładnie z takim samym czystym brytyjskim akcentem jak dobrze wykształceni chłopcy, których dzisiaj poznała.

Rianne nie wiedziała, co myśleć. Charmaine powiedziała, że chłopak pochodzi z Republiki Południowej Afryki, jednak mówił zupełnie inaczej niż czarni w jej kraju. Kim, u diabła, był ten człowiek? I co robił w mundurku męskiego college'u? Miał nawet złotą odznakę w klapie nieskazitelnej marynarki z napisem:

„Przewodniczący”. Kim był przewodniczący? Wpatrywała się w niego.

- Słucham? - zapytała najzimniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

- Jak się nazywasz? - powtórzył, tym razem wolniej.

- Rianne de Zoete - powiedziała wyniosłym tonem. Jeżeli naprawdę pochodził z Republiki Południowej Afryki, powinien wiedzieć, że należy okazać jej więcej szacunku.

Ściągnął brwi. Przez chwilę patrzył butnie na dziewczynę, a potem, ku jej ogromnemu zaskoczeniu i równie wielkiemu zdumieniu Charmaine, szybko je wyminął i odszedł w głąb sali.

- Ree! - krzyknęła za nim ta ostatnia. Wszyscy w herbaciarni przyglądali się im ciekawie. - O co chodzi?! Co się stało?!

- Nic. Jeśli chodzi o ciebie, nic. Po prostu starannie dobieram sobie towarzystwo. - Podeszedł do Michaela Rhysa-Walkera i jego znajomych. Cisza w sali aż świdrowała w uszach. Zrobił jej piramidalny afront. Ktoś się głośno roześmiał.

Charmaine szybko wyszła, ciągnąc za sobą koleżankę. Rianne mocno i zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi herbaciarni.

- O mój Boże! - Charmaine podniosła rękę do ust i krzyknęła rozdzierająco. - O mój Boże! - powtórzyła. Spojrzała na koleżankę, której twarz była cała w pąsach.

- Co za dupek! - ze złością wybuchnęła Rianne. Była bliska łez. Nikt nigdy tak się do niej nie odezwał, a szczególnie Murzyn!

- Co, na Boga... czy on cię zna? - Ależ skąd! Przecież to tubylec, idiotko. Jak śmiał tak się do mnie odezwać? - Rianne nie posiadała się ze złości.

- Co to znaczy? Kim jest tubylec?

- To Afrykanin, czarny, idiotko! - Energicznym krokiem ruszyła do przodu. Chciała zostawić tę cholerną herbaciarnię jak najdalej za sobą.

- Wiesz co? - Charmaine dreptała za koleżanką. - Przestań nazywać mnie idiotką, dobrze? Nie jestem głupia. Wiem, jaki ma kolor skóry. Ale Ree nie jest tubylcem, to Riitho Modise! - krzyknęła oburzona.

- Jak się nazywa? - Rianne zatrzymała się na chwilę. Modise? Gdzieś słyszała to

nazwisko już wcześniej. - Powiedziałaś, że jak się nazywa? - powtórzyła.  
- Riitho. Nikt z nas nie potrafi dobrze wymówić imienia przewodniczącego, dlatego nazywamy go Ree. Nie wiesz, kim jest jego ojciec?  
- Kim?  
- To Livingstone Modise! - triumfalnie oświadczyła Charmaine.  
- A kim jest Livingstone Modise? - zapytała zdumiona Rianne. Znała to nazwisko... ale skąd?  
- Co takiego? - Charmaine spojrzała na koleżankę. - Nie słyszałaś o Livingstone Modisie?  
- Nie. A powinnam? Kto to jest?  
- Nie wierzę! To chyba najbardziej znany człowiek na całym świecie! Został uwięziony. To ty okazałaś się idiotką! Modise jest znacznie bardziej popularny od ciebie.  
- Wiesz, jak mało mnie obchodzi popularność Ree czyjego ojca? Jest czarny i nie ma prawa patrzeć mi w twarz. W ogóle nie powinien podnosić wzroku. Ja...  
- Nie mów, że o tym zameldujesz! - ze złością fuknęła Charmaine. Koleżanka zaczynała działać jej na nerwy. Ree był wspaniałym młodzieńcem, nie jakimś tam tubylcem! Co ta dziewczyna sobie wyobraża? - Proszę bardzo, idź i zgłaszaj jakiś tam afront, zobaczymy, kto cię wysłucha. To nie Republika Południowej Afryki. Tutaj jest inaczej.  
Rianne miała ochotę uderzyć koleżankę w twarz. Ta dziewczyna o niczym nie miała pojęcia. Nie wiedziała, jak stworzony jest świat. Kto to widział: całowała czarnucha! Nie mogła zapomnieć obrzydzenia, jakie poczuła, kiedy zobaczyła ich powitanie. Musiała jednak przyznać - chociaż bardzo niechętnie - że Ree wyglądał znacznie lepiej niż młodzi Murzyni, których spotykała w Afryce. Z drugiej strony, prawdę powiedziawszy, nie poznała ich tam zbyt wielu. Ree był wysoki, szeroki w ramionach, dobrze ubrany... i bardzo ładnie mówił. Mimo wszystko! Co takiego powiedziała Charmaine? Że jego ojciec siedzi w więzieniu? Więc właściwie jest kryminalistą. Zatelefonuje do Mariki, kiedy tylko dotrą do internatu. Kuzynka będzie wiedziała, kim jest ten cholerny Livingstone Modise.

## 7

Godzinę później zapukała do drzwi mieszkania panny Matthews i poprosiła o pozwolenie na skorzystanie z telefonu. Było już po kolacji, której dziewczyna prawie nie tknęła. Tego dnia podano konserwę wołową i frytki. Zdaniem Rianne danie wyglądało i smakowało jak karma dla kotów. Panna Matthews wyraziła zgodę na telefon, był to przecież sobotni wieczór. Zostawiła dziewczynę samą w saloniku i poszła do kuchni przygotować dla siebie i gościa po filiżance herbaty. Dziewczyna

wykręciła znajomy numer. Słuchawkę podniosła Poppie; Hennie i Marika nigdy nie odbierali telefonów.

- Och Rianne, jak się masz? - zapytała podekscytowana w języku afrykanerskim.

- Oj Poppie, nie mogę tu zostać ani chwili dłużej - odpowiedziała dziewczyna, z trudem opanowując drżenie dolnej wargi.

- Ciotka Lisette już jutro wraca - uspokajała ją Poppie.

- Och Poppie - Rianne pociągnęła nosem. - Czy jest Marika? - Usłyszała, jak służąca woła kuzynkę, a ta z holu odpowiada, że już idzie.

- Cześć! - Marika powitała ją entuzjastycznie. - Jak szkoła?

- Okropnie, po prostu okropnie. Już nie mogę się doczekać powrotu cioci. Kiedy wraca? Jutro?

No tak... jutro - niepewnie przyznała kuzynka. Wszyscy mieli przykazane, żeby nie dopuścić do rozmowy Rianne z ciotką przez pierwsze trzy tygodnie. „To dla jej dobra” - nieznośnym sprzeciwu tonem oświadczyła domownikom Lisette. Marika przygryzła wargę. Nienawidziła kłamstwa. - Co się stało?

- Nic. Chodzi o to... - Rianne zawahała się na moment.

- No co? Mów, o co chodzi.

- Czy wiesz, kim jest Livingstone Modise? - pospiesznie wyrzuciła z siebie. Policzki znowu zapłonęły jej rumieńcem, kiedy przypomniała sobie bezczelne spojrzenie Ree.

- Livingstone Modise? - powtórzyła zaskoczona Marika. Była podwójnie zdumiona: po pierwsze tym, że kuzynka nigdy o nim nie słyszała, po drugie jej zainteresowaniem tą postacią.

- No tak... wiesz, ten, który siedzi w więzieniu. Kto to jest? - Rianne zniżyła głos.

- To więzień polityczny. Dlaczego pytasz?

- Naprawdę? - zdziwiła się. Więzień polityczny. Co to ma znaczyć? - Nie uwierzysz

- ciągnęła po chwili wahania - jego syn jest tutaj. W mojej szkole. No, niezupełnie w mojej, ale po sąsiedzku. Możesz w to uwierzyć? Okropność! - Dziewczyna z oburzenia podniosła głos. Matthie stanęła w drzwiach saloniku, Rianne odwróciła się do niej plecami. - Czekam, kiedy ciocia Lisette się o tym dowie. Zaraz następnego dnia będę w domu. Jestem pewna! - szepnęła do słuchawki.

- Poznałaś go? - Marika była pod wrażeniem. - O rany!

- Żadne „o rany”, to wprost okropne! Tu są przeróżni ludzie. Łazienkę muszę dzielić sama - wiesz - z - kim - szepnęła z naciskiem. Była rozczarowana. Kuzynka zareagowała prawie tak samo jak Charmaine!

- Co powiedzieć mamie? - pospiesznie zapytała Marika.

- Poproś, żeby zaraz po powrocie do mnie zadzwoniła. Może skontaktować się z opiekunką naszego internatu.

Wróciła do pokoju tuż przed ciszą nocną. Po rozmowie z Mariką poszła do odległej części szkolnego parku, usiadła na kamiennym murze i paliła papierosy. W pokoju miały gościa. Rianne niejasno kojarzyła dziewczynę. Nazywała się Rebecca jakoś

tam. Mieszkała obok z dwiema innymi dziewczętami i często do nich zaglądała. Gabby coś czytała, Nathalie ręcznikiem suszyła włosy. Charmaine i sąsiadka oglądały modele sukien w „Tatlerze”, swoim ulubionym magazynie. Szukały inspiracji, w co się ubrać - czy raczej czego absolutnie nie wolno włożyć - na bal. Kiedy weszła do pokoju, podniosły wzrok znad miesięcznika.

- Dobrze się dzisiaj bawiłaś? - zapytała Rebecca.

Gabby odłożyła książkę i spojrzała na nią ostrzegawczo. Rianne nie zrozumiała powodu przestrogi.

- Nie - odparła sucho. - Naprawdę? Dlaczego? - indagowała Rebecca. Gabby zmroziła ją wzrokiem. Obawiała się, że wcześniej czy później do czegoś takiego dojdzie.

- Po prostu nie bawiłam się dobrze. - Ruszyła do drzwi.

- Słyszałam, że poznałaś Ree Modise'a. Znaliście się wcześniej? To znaczy z ojczystego kraju?

- Becky - ostrzegawczo upomniała ją Gabby.

- Nie. Oczywiście, że nie. Nie bądź niemądra - odparła arogancko. Była już przy drzwiach.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Rebecca zignorowała ostrzegawczy ton Gabby.

- Jest Murzynem. Oczywiście, że się nie znamy. Tam, skąd pochodzę, czarni znają swoje miejsce.

- Och! Znają swoje miejsce? - Rebecca szeroko otworzyła oczy. Odwróciła się do pozostałych dziewcząt, szukając u nich poparcia. - Naprawdę znają swoje miejsce?

- Tak, naprawdę. I ty również powinnaś. - Rianne traciła cierpliwość.

- A gdzie jest moje miejsce?

- Rebecca! - Gabby podniosła głos. - Dość tego. Daj jej spokój.

- Pilnuj swojego nosa! - Rianne zezłościła się na Gabby. Doskonale potrafiła poradzić sobie sama. Zamknij się, Rianne! - niespodziewanie wybuchnęła Nathalie. Ostro spojrzała na współlokatorkę. Z policzków niemal tryskała jej krew. Wszystkie dziewczęta wbiły wzrok w Nat. Od lat nikt nie widział jej tak wściekłej.

- Dlaczego sama się nie zamkniesz?! - odpaliła Rianne. - Zresztą wszystkie się zamknijcie! - Czy miała pełne łez. - Odwalcie się wreszcie ode mnie! - Szerokim gestem otworzyła drzwi i z hukiem je za sobą zamknęła.

- Boże! - Poruszona do żywego Rebecca popatrzyła na pozostałe dziewczyny.

- Becky, nie musiałaś zaczynać tej awantury - odezwała się rozzłoszczona Gabby. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej Nathalie tak bardzo się zdenerwowała. - Ona mieszka z nami w pokoju, nie z tobą.

- Ja? To ona zaczęła! - gwałtownie zaprotestowała Rebecca. - Słyszałyście, co powiedziała o Ree? Wszystkie wiemy, skąd Rianne pochodzi, ale...

- Nie zaczynaj znowu - przerwała Gabby. - Wiem, że sama się o to prosiła, ale...



Znam wiele osób z Republiki Południowej Afryki... no, na pewno, jedną... tamta dziewczyna jest zupełnie inna.

- Myślę, że powinniśmy tę idiotkę ignorować i w ogóle się do niej nie odzywać. To będzie dla niej dobrą nauzką. Może tam, skąd pochodzi, wolno tak mówić, ale nie tu. - Wszystkie dziewczęta milczały, ale Gabby bardzo się zaniepokoiła. I ona uważała, że Rianne jest nieznośna, ale nie podobał się jej pomysł ignorowania współlokatorki. Atmosfera w pokoju jeszcze bardziej by się pogorszyła. Westchnęła. Miała nadzieję, że uda się jej utrzymać poprawne stosunki między nimi czterema, natomiast z pewnością nie ma szans na zawarcie przymierza między nieznośną koleżanką i wszystkimi dziewczętami z internatu.

- Będzie lepiej, Becky, jeśli teraz wrócisz do swojego pokoju. Jutro porozmawiam z Rianne - obiecała. - Dajmy jej trochę czasu. Jest nowa. To, oczywiście, żadne usprawiedliwienie, ale zostawmy to do jutra.

Rebecca zerwała się na równe nogi i jak bomba wypadła z pokoju. Gabby natychmiast zgasiła światło. Wszystkie musiały ochłonąć.

Rianne cały wieczór spędziła w wannie. Początkowo była zbyt wściekła, żeby płakać. Wpatrywała się w zanurzone w wodzie nogi, które zaczynały tracić złocistą opaleniznę, potem wsunęła się głębiej. Kontury ciała rozmazały się przed oczami, płakała. Znowu płakała. Dzisiaj czara goryczy się przelała. Postanowiła wyjechać stąd bez względu na to, czy Lisette wyrazi zgodę, czy nie. Niech się dziewczyny wypchają, niech sobie wsadzą gdzieś te swoje szkolne zwyczaje. Pojedzie gdzie indziej, coś wymyśli.

Następnego dnia z samego rana zastukała do drzwi mieszkania panny Matthews. Kierowniczka internatu bez słowa wpuściła ją do środka. Rianne zatelefonowała do domu. Lisette była bardzo stanowcza. Bratanica ma zostać w szkole do Bożego Narodzenia i już! Święta wszyscy spędzą razem w rodzinnej posiadłości w Sans Soucis, na Martynice, na Antylach. Do tego czasu dziewczyna ma zostać w szkole. Koniec dyskusji. Jeżeli będzie próbowała samowolnie opuścić szkołę, Lisette zawiadomi policję. Nie była to czcza groźba. Chociaż ciotkę przeraziło - przeraziło - że

Rianne w szkole przebywa w towarzystwie Murzynek i Hindusek, uznała, iż dziewczyna musi po prostu przejść nad tym do porządku dziennego.

Pozornie spokojnie wysłuchiwała oburzających i przeszywających serce opowieści bratanicy.

- Rianne, w ogóle nie zwracaj uwagi na inne dziewczęta i w żadnym wypadku nie zbliżaj się do kolorowych - poradziła dziarskim tonem. - Nie używaj tych samych naczyń i umyj wannę, zanim do niej wejdiesz. Rozumiesz? - Tak miało być.

Koniec, kropka.

Dziewczyna w milczeniu wysłuchiwała ciotki. Rzuciła słuchawkę na widełki i nie zwracając uwagi na wściekłą minę panny Matthews, pobięła na górę.

- Popatrz! - Nathalie podeszła do łóżka Charmaine z egzemplarzem „Vogue” z

ubiegłego miesiąca. - Co o tym myślisz? - Wskazała na prostą czarną suknię wieczorową z szeroką, kloszową spódnicą i odsłaniającym ramiona dekoltem.

- Aha. Jest OK. - Charmaine podniosła wzrok znad swojego czasopisma. Do balu zostały jeszcze tylko dwa tygodnie i obie dziewczyny cały czas się zastanawiały nad wyborem kreacji. - Nie uważasz, że trochę skromna?

- Z naszyjnikiem mojej mamy wcale nie będzie wyglądała skromnie - uśmiechnęła się szeroko Nathalie. Poza perfumami, oliwką do kąpieli i od czasu do czasu dziesięciofuntowym banknotem udało się jej wzbogacić swoją skromną kolekcję o kilka sztuk biżuterii matki. - Podwędziłam go jej latem. - Otworzyła niewielką skórzaną kasetkę, która stała na toaletce.

- Boże drogi, jest wspaniały! Nic nie zauważyła? - zapytała Charmaine. Z podziwem przyglądała się naszyjnikowi z białego złota z pojedynczym, oprawionym w złoto brylantem.

- Nie. Ma ich bardzo dużo. Ojczym ją rozpieszczą. Jak myślisz, czy mnie też się uda znaleźć kogoś, kto będzie mnie rozpieszczą? - zastanawiała się, czule gładząc naszyjnik. Ojczym był dla nich wszystkich bardzo hojny.

- Pewnie, że znajdziesz. Przymierz - poprosiła przyjaciółka. Nathalie przyłożyła naszyjnik do szyi. Przeglądała się w lustrze, odwracała to w prawo, to w lewo, brylant rzucał błyski na wszystkie strony.

- Rozpuszczone czy upięte do góry? - zapytała, zbierając włosy z karku. Upięte. Zdecydowanie - poradziła koleżanka. Lubiła rolę stylistki. - Skąd weźmiesz sukienkę?

- Mama mi przyśle. Dzisiaj wieczorem napiszę do domu. Muszę jej tylko powiedzieć, gdzie w Londynie mają kupić.

- Moja mama - Charmaine westchnęła z zazdrością - na pewno nie da mi na nową suknię, a ja nie mam grosza. Ale przecież nie mogę włożyć tej z zeszłego roku.

- Może ją trochę przerobisz? - podsunęła Nathalie. Jej matka po prostu dawała swoim dwojgu dzieciom pieniądze. Była to rekompensata za czas, którego nigdy dla nich nie miała.

- Pewnie będę musiała - mruknęła Charmaine. - Mam nadzieję, że ktoś poprosi mnie do tańca.

- Oczywiście - uspokajała ją koleżanka. - Zawsze proszą cię do tańca.

W drodze do biblioteki Gabby wciągała na siebie sweter. Było bardzo zimno. Szkoła Świętej Anny twardo trzymała się zasady niewłączania centralnego ogrzewania w pierwszej połowie semestru bez względu na temperaturę. Otworzyła ciężkie drewniane drzwi i przeciskając się między stanowiskami do czytania, przeszła do miejsca przy oknie, które zazwyczaj zajmowała. Owinęła szyję szalikiem i rzuciła książki na stolik. Miała tajemnicę, sekret, którego nikomu nie zdradziła - jeszcze nie zdradziła. W szkole Świętej Anny nie tylko Jumoke Olalade miała akademickie ambicje. Również Gabby w przyszłym roku chciała podchodzić do egzaminu

Oxbridge. Jedyną osobą która znała jej plany, była panna Featherstone, nauczycielka angielskiego, absolwentka Magdalen College uniwersytetu w Oxfordzie. Właściwie to właśnie ona podsunęła Gabby ten pomysł. Dziewczyna aż się zarumieniła, kiedy panna Featherstone powiedziała, że powinna przystąpić do egzaminu. Próbowała obrócić propozycję w żart.

- O nie - roześmiała się nerwowo. - Ja? Trzeba mieć tęgą głowę, żeby zdawać Oxbridge. Na pewno bym oblała.

- Masz tęgi umysł, Gabrielle - gorąco zapewniła ją panna Featherstone. - Powinnaś poważnie o tym pomyśleć. Bez względu na to, czy będziesz studiowała angielski, czy nie.

To bardzo miłe z pani strony, panno Featherstone. Zastanowię się - Gabby uśmiechnęła się nieśmiało. Niezupełnie uwierzyła nauczycielce, mimo to... cieszyła się, że ktoś tak wysoko ją oceniał.

Wcale nie staram się być miła, Gabrielle. Jesteś zdolna. Powinnaś to wykorzystać. Gabby czuła się zbyt szczęśliwa, żeby wydusić z siebie choćby jedno słowo. Skinęła głową. Nigdy nie potrafiła przyjmować pochwał, nie była do nich przyzwyczajona. W szkole Świętej Anny niewiele osób cokolwiek o niej wiedziało. W rodzinnym domu bardzo rzadko - właściwie prawie nigdy - mówiono sobie miłe rzeczy. Na dobrą sprawę w ogóle niewiele się tam mówiło. Ojciec Gabby, Geoffrey, trzeciorzędny prawnik i domowy tyran, nienawidził hałasu, podniesionych głosów i rozmów, w których sam, nie perorował. Dziewczyna pomyślała, że ojciec właściwie chyba wszystkiego nienawidził. Córka i matka żyły w jego cieniu, odzywały się tylko wtedy, kiedy były pytane, pogodziły się z tyranizowaniem przez głowę rodziny. Gabby była żywym i ciekawym świata dzieckiem, ale wychowywała się w domu pełnym ograniczeń.

Wiedziała, że rodzice jej nie oczekiwali. Od babki, którą uwielbiała, dowiedziała się, że matka wpadła w depresję, kiedy w wieku czterdziestu jeden lat stwierdziła, iż jest w ciąży. Nigdy w pełni nie doszła do siebie. Ellen Francis nie zamierzała mieć dziecka. Geoffrey, jak wszyscy dookoła doskonale wiedzieli, każde posunięcie rozważnie planował. Uchodził za nadętego, puszącego się prawnika. Przynajmniej na takiego pozował. Tymczasem w rzeczywistości był słabym, próżnym człowieczkiem, który w dorosłym życiu wykorzystywał doskonałe warunki, jakie stworzyli mu rodzice: najpierw szkoła w Harrow, potem Uniwersytet Cambridge, następnie praktyka w City. Za wszelką cenę pragnął ukryć prawdę: tyle razy oblał egzamin na obrońcę sądowego w wyższych instancjach, że nawet Ellen ośmieliła się powiedzieć, iż powinien dać za wygraną. Jak można było przewidzieć, ta delikatna sugestia bardzo go rozżłościła.

Wkrótce sytuacja w domu jeszcze się pogorszyła. W miarę jak spadała jego pozycja zawodowa, coraz bardziej tyranizował rodzinę - Ellen i Gabby. W dodatku córka nie była dzieckiem ani ładnym, ani cichym. Tymczasem w oczach Geoffrey a stanowiło to najważniejsze przymioty kobiety. Udało mu się poskromić żonę, Ellen Francis. Ta

nieśmiała, bujająca w obłokach kobieta, popijała małymi łykami dzin i zawsze mówiła szeptem. Gabby okazała się zupełnie inna. Pewnie dlatego, że chciała zwrócić na siebie uwagę rodziców, była niesforna i hałaśliwa. Geoffrey nieustannie się na nią wściekał.

Dziewczynka miała sześć lat, kiedy Ellen zaczęła zastanawiać się nad odesłaniem niezgrabnej, grubej córki do szkoły z internatem. Stanowczo sprzeciwiła się temu uwielbiająca wnuczkę babka. Uważała, że sześciolatnie dziecko musi mieć dom. Od tej chwili Gabby większość czasu spędzała w ogromnym, wygodnym domu babki w Herefordzie. Czytała setki książek, które dziadek przed śmiercią zgromadził w gabinecie na poddaszu, i zadawała tysiące pytań, chociaż zachwycona wnuczką babka na większość nie potrafiła odpowiedzieć.

Kiedy skończyła dziewięć lat, sytuacja całkowicie się zmieniła. Geoffrey nalegał, żeby córkę wysłać do szkoły z internatem, babka, choć niechętnie, tym razem się zgodziła. Dziewczynka nie mogła żyć w dalekim, prowincjonalnym Herefordshire, gdzie jej jedynym towarzystwem była starsza pani. I tak, wystrojona w sztywny mundurek i uciskające stopy pantofle, Gabby razem z tuzinem innych dziewczynek w jej wieku pojechała pociągiem do szkoły Świętej Anny. W internacie powitała ją uśmiechnięta tęga kobieta. Wyraz twarzy nowej opiekunki powiedział dziewczynie wszystko: od razu zrozumiała, że będzie jej tu lepiej niż w rodzinnym domu. W każde ferie i wakacje jeździła do babki. Do przygnębiającego domu rodziców w Londynie wpadała tylko na krótko tuż przed rozpoczęciem nowego semestru, żeby odebrać kieszonkowe. Z każdym rokiem coraz bardziej nienawidziła tej chwili. Geoffrey osobiście wydelał jej pieniądze na każdy semestr. Uroczyście wręczał córce czek na niemal taką samą kwotę, jaką sam otrzymywał w Harrow czterdzieści lat wcześniej. Nie przyjmował do wiadomości, że czasy się zmieniły, a inflacja zrobiła swoje. Z nadętą miną oświadczał, że to, co było dobre dla niego, jest dobre i dla niej. Nie omieszkał również podkreślać, jakie to Gabby ma szczęście.

Córka wyprowadzała Geofireya z równowagi, irytował go wyraz jej twarzy. Nie miał pewności, co dostrzega w minie Gabby. Czyżby pogardę? Cokolwiek to było, doprowadzało go do szału. Dziewczyna brała czek, składała go na pół i jeszcze raz na pół, po czym pytała, czy może się już pożegnać. Kiedyś zapomniała podziękować i zasłużyła sobie na policzek. Od tego czasu już zawsze pamiętała o „dziękuję”, ale ceremonii odbierania czeku nienawidziła jeszcze bardziej.

Popatrzyła na leżące na stoliku książki i uśmiechnęła się do siebie. W tym semestrze przerabiali Oberżą „Jamajka” Daphne du Maurier. Historia Mary Yellan i dziwnej rodziny, w której się niespodziewanie znalazła, oczarowała Gabby. Zainteresowały ją przede wszystkim relacje między bohaterami opowieści: prywatne piekło Patience Merlyn, w jakim tkwiła głównie ze strachu przed mężem. Gabby nie wiedziała, czy zafascynowało ją zachwianie równowagi sił między głównymi bohaterami, przypominało to bowiem sytuację w rodzinnym domu i jej własne kłopoty z

porozumieniem się z rodzicami, czy też była pod urokiem związku Mary Yellan z Jemem Merlynem, młodszym bratem Jossa.

Jako jedynaczka doskonale wiedziała, czym jest samotność, dlatego ten wątek głęboko poruszał jej serce. Tak czy inaczej była zachwycona opowiadaniem. Zaczęła się zastanawiać nad tematem, który uczennice miały opracować: Jakie powody, oprócz strachu, miała Mary Yellan, żeby pozostać w oberży?

W zamyśleniu gryzła koniec ołówka. Uważała, że doskonale rozumie okropny impas, w jakim znalazła się ciotka Patience, ale bardziej ciekawiły ją stosunki z Jemem. Gabby nigdy nie miała chłopaka, nigdy nie była zakochana, nigdy nawet o tym nie myślała. Miłość, która powodowała szybsze bicie serca, wpadanie w popłoch i brak apetytu, uczucie, jakiego doświadczały Charmaine i Nathalie, nie trafiało się takim dziewczynom jak ona. Miała jednego czy dwóch kolegów, ale to było coś zupełnie innego.

Jej kolegą był Nael Hughes z męskiego college'u. Razem uczęszczali na zajęcia z historii. W szkole Świętej Anny od kilku lat coraz mniej dziewcząt wybierało ten przedmiot. Kierownictwo placówki podjęło więc decyzję o niezatrudnianiu wykładowcy historii - nawet w niepełnym wymiarze godzin - a jedną czy dwie uczennice zainteresowane przedmiotem postanowiło wysłać na zajęcia do męskiego college'u. Początkowo Gabby była przerażona. Nie wyobrażała sobie siebie samej między hałaśliwymi, butnymi chłopakami. Później jednak, kiedy stwierdzono, że dziewczyna jest równie dobra, jeśli nie lepsza od wybijających się z tego przedmiotu uczniów w klasie, czuła się na zajęciach wspaniale. Nael był jednym z najlepszych uczniów i wprowadził nie od razu, ale z czasem polubił Gabby i zaczął ją darzyć szacunkiem. Zostali prawdziwymi przyjaciółmi, chociaż niekiedy ze sobą rywalizowali. Nael - naturalnie - będzie podchodził do egzaminu Oxbridge. Chciał studiować politykę i filozofię na Uniwersytecie w Cambridge. Gabby uwielbiała dźwięk przeróżnych dziwnych skrótów: PFE - polityka, filozofia, ekonomia. PFP - polityka, filozofia, psychologia. Nie wiedziała, co dokładnie studiuje się na kierunkach zaczynających się od „P”, ale wszystkie robiły na niej ogromne wrażenie. Sama jednak bardzo lubiła język angielski i nie chciała rezygnować z tego przedmiotu. Dla niej potrzebna by więc była nowa kombinacja: PHA - polityka, historia, angielski. Mogła sobie pomarzyć.

Nie miała wątpliwości, że Nael dostanie się na uniwersytet - taki mądry... i zabawny. A jeśli się nad tym zastanowić, także przystojny. Był pół kimś: Włochem albo Hiszpanem, dokładnie nie pamiętała, i pół Anglikiem - a może Walijszym. Niewiele mówił o swoich rodzicach. Gabby przeczuwała, że z jego rodziną było... coś nie tak. Nie wiedziała, co, ale wyraźnie to czuła. No i jeszcze jego imię: Nael, wymawiaj Neil. Kiedyś zapytała chłopaka, dlaczego tak dziwnie się je pisze. Powiedział, iż matka się pomyliła i w akcie urodzenia źle je wpisała, ale kiedy rok później Charmaine zadała mu to samo pytanie, odparł, że jest to stare walijskie imię rodowe. Gabby już chciała mu zarzucić wymyślanie historyjek, które uczyniłyby go

bardziej interesującym, ale zobaczyła, że się zarumienił, i w końcu nic nie powiedziała.

Nie wyglądał jak typowy angielski chłopak. Miał oliwkową karnację, ciemne, błyszczące, kasztanowe włosy i piwne oczy. Zeszłego lata, zaraz po egzaminach, niższa i wyższa piąta klasa historii pojechały na piknik w góry. Dzień był upalny i Gabby ze swoją jasną skórą i rudymi włosami musiała cały czas spędzić pod wielkim parasolem, który zapobiegliwy pan Rosenthal, ich nauczyciel historii, zabrał na wycieczkę. Siedziała w cieniu, czuła się gruba i niezgrabna. Nieładnie wyglądała w długiej spódnicy i powyciąganym, obszernym podkoszulku.

Zazdrościła Naelowi i innym chłopcom, którzy z rozpiętymi koszulami wyciągnęli się na trawie. Pod koniec dnia Hughes był brązowy jak czekoladka. Gabby nie mogła wyjść z podziwu: nigdy nie widziała, żeby ktoś tak szybko i tak ładnie się opalał. Uśmiechnął się i wyjaśnił, że jego matka pochodziła z rejonu Morza Śródziemnego o właśnie - i dlatego szybko się opala. Lubiła na niego patrzeć. Dobrze zbudowany, wyglądał krzepko, miał wyraźne rysy twarzy i kwadratową, sugerującą zdecydowanie szczękę. Był jednak tylko kolegą. Miał dziewczynę. Bardzo ładna Mandy chodziła do żeńskiego college'u. Gabby kiedyś się na nich natknęła, gdy trzymając się za ręce, spacerowali po Malvern. Szybko, zanim Nael ją zobaczył, skryła się w sklepie. Właściwie nie wiedziała, dlaczego tak się zachowała. Czasami czuła dziwne mrowienie gdzieś w żołądku, kiedy Nael na zajęciach odwracał się do niej i uśmiechał albo puszczał oczko, gdy pan Rosenthal zadał jakieś pytanie, a ona udzieliła prawidłowej odpowiedzi. Uważała jednak, że to tylko nerwy. W końcu była jedyną dziewczyną w grupie piętnastu chłopców. Westchnęła i wróciła do wypracowania.

Jakie powody miała Mary Yellan... Po raz trzeci czytała temat. Co się dzieje? Straciła kwadrans, myśląc o niebieskich migdałach. Musi się skupić. Przestała gryźć ołówki i zaczęła robić notatki. Dziwne, ale ilekroć myślała o Jemie Merlynie czy widziała go oczami wyobraźni, był bardzo podobny do Naela.

## 8

Ku zaskoczeniu Rianne czas zaczął szybciej płynąć. Odkąd przestała - przynajmniej na pewien czas - myśleć o wyjeździe, zaraz następnego dnia ' tok zajęć w szkole prawie natychmiast stał się całkiem znośny i zanim się obejrzała, nadszedł i minął następny weekend. Musiała wybrać przedmioty, skończyło się na językach: francuskim, niemieckim i angielskim. Był to prosty, żeby nie powiedzieć: najłatwiejszy wybór. Za nic w świecie nie chciałyby zaliczać zajęć z historii. Nie miała pojęcia, co się na świecie dzieje, a mnogość dat do zapamiętania po prostu dziewczynę przerażała. Języki to był najodpowiedniejszy wybór - sprawią jej

najmniej kłopotu. Na lekcjach z francuskiego i niemieckiego nudziła się jak mops, ale na zajęcia z języka angielskiego trzeba się było przygotowywać i dużo czytać. Gabby i Nathalie też wybrały angielski, a ta droga również francuski. Rianne prawie nie widywała Charmaine.

Współlokatorzy w pokoju prawie się do niej nie odzywały. Dziewczynie to odpowiadało. Ona też nie miała ochoty na rozmowy z nimi. Na zajęciach głównie wyglądała przez okno albo machinalnie rysowała coś w zeszycie. List do Henniego zaczęła zaraz po przyjeździe do szkoły, ale trzy tygodnie później był w takim samym stanie. Zadzwoniła dzwonek, ogłaszając koniec ostatniej w tym tygodniu lekcji. Rianne z ulgą zebrała książki i ruszyła do drzwi. Po kolacji skończyła pisać list do kuzyna. Jeszcze dwa tygodnie do połowy semestru - pomyślała, idąc w górę do Gordon House. Potem jeszcze pięć tygodni do ferii z okazji świąt Bożego Narodzenia. Czy tak długo wytrzyma?

- Lisette odłożyła słuchawkę i zmarszczyła brwi. Właśnie dzwoniła Rianne i zażądała sukni na szkolną potańcówkę... na bal. Suknię? Jaką suknię? Zapytała bratanicę. Rianne nie miała bladego pojęcia. Nie wiedziała, co kupić, więc zadzwoniła do domu, żeby Lisette coś jej przysłała. Ciotka powinna wiedzieć, przecież ciągle chodziła na jakieś głupie bale. Kobieta ponownie zmarszczyła brwi i palcem wskazującym natychmiast rozmasowała skórę na twarzy. Wprowadziła nową zasadę: żadnego marszczenia brwi, jeżeli chce mieć gładką skórę na twarzy. Westchnęła. Skoro Rianne potrzebowała sukienki, będzie musiała to jakoś szybko załatwić. Nie mogła jednak zrobić tego osobiście, była zbyt zajęta. Cały następny tydzień wypełniały jej służbowe spotkania, a w dodatku osobista asystentka się rozchorowała. Do diabła z tą dziewczyną! Dlaczego zawsze wszystko zostawiała na ostatnią chwilę? - Cała Rianne - pomyślała ze złością. Wszyscy musieli robić wszystko, kiedy jej się to podobało, zawsze dbać o zaspokojenie jej potrzeb. Zgasiała papierosa w kryształowej popielniczce, którą dostała od Clary i - mimo rozdrażnienia uśmiechnęła się z wdzięcznością. Była uprzejma dla służby i bardzo się tym szczyciła. W tym momencie pojawiła się córka. Szła na basen.

- Marika, kochanie! - zawołała. - Wejdz do mnie na chwileczkę - poprosiła. Dziewczyna wysunęła głowę zza framugi drzwi. - Kochanie, potrzebuję twojej pomocy - zaczęła Lisette, uśmiechając się do niej.

Dziesięć minut później było po wszystkim. Marika miała poszukać odpowiedniej sukienki dla kuzynki. Córka nawet bardzo chętnie zgodziła się tym zająć. Tylko niech nie będzie zbyt strojna, dobrze? - na wszelki wypadek ostrzegła Lisette, wstała i wygładziła spódnice. Wiedziała, że jeśli chodzi o stroje, Marika potrafiła przesadzić. Zapewne był to swoisty bunt córki przeciwko ascetycznej estetyce matki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze w holu. Wyglądała jak zawsze elegancko: ubranie w dobrym guście, starannie dobrane, każdy włoszek na swoim miejscu. Miała na sobie dopasowaną lila garsonkę i ulubioną dyskretną złotą biżuterię. Doskonale ostrzyżone blond włosy podkreślały owal twarzy. Kąciki oczu delikatnie zaznaczyła

czarnym ołówkiem, aby wydobyć ich głębię. W odróżnieniu od większości rodaczek nie lubiła mocnego makijażu; Afrykanerki lubowały się w fałszywym blasku, używały zbyt dużo różu, w ogóle we wszystkim cechowała je skłonność do przesady. Lisette malowała się delikatnie, sama też była delikatna. Ostatni rzut oka na zgrabne, lekko opalone gołe nogi i eleganckie sportowe pantofle, po czym zniknęła w chłodnym, klimatyzowanym holu.

- Seni! - krzyknęła. - Gdzie mój samochód? - Wcześniej poprosiła, żeby auto umyto i podstawiono przed główne wejście. Za godzinę była umówiona w Pretorii, a dzisiaj, wyjątkowo, miała ochotę sama prowadzić. Chwilę później usłyszała cichy warkot silnika mercedesa. Sięgnęła po torebkę.

Oddalona o sześć tysięcy mil Rianne spojrzała na zegarek. Dopiero dziesiąta. Pod pretekstem bólu brzucha nie zeszła na śniadanie. Nie miała czego żałować: płatki śniadaniowe, letnia jajecznica i spalone grzanki. Była niespokojna, nie wiedziała, co ze sobą zrobić, a na spacer nie miała ochoty. W kilka dni z jesieni zrobiła się zima. Z drzew opadły prawie wszystkie liście, wilgotna mgła jak całun przykryła świat. Czym by tu się, zając? Gabby siedziała w bibliotece, Charmaine i Nathalie przygotowywały się na przyszły tydzień i poddawały jakimś zabiegom upiększającym. Wydęła policzki. No, przynajmniej Lisette zajmuje się kupnem sukienki na bal. Zastanawiała się chwilę.

Może powinna pojechać do Worcester i kupić jakieś pantofelki. Przecież nie włoży tych okropnych czarnych sznurowanych półbutów ani pantofli na płaskim obcasie, które przed wyjazdem kupiła jej ciotka. Tak, tym właśnie się zajmie po południu. Wybierze się po zakupy. Nikomu nic nie powie, po prostu wymknie się po lunchu i wróci przed podwieczorkiem. Wiedziała, że powinna zabrać ze sobą co najmniej jedną koleżankę, samotnie nie wolno było opuszczać szkoły, ale w ubiegłym tygodniu widziała, że Charmaine wraca sama, i nikt nic jej nie powiedział. Panna Matthews nawet się nie dowiedziała. Uśmiechnęła się do siebie. Może nawet wybierze się do kina.

Poszło łatwo. O pół do drugiej, kiedy inne uczennice szykowały się do wyjścia do miasta albo biegły na boisko, Rianne włożyła wełniany płaszcz, zasznurowała buty i tylnym wyjściem opuściła Gordon House. Kawałek poszła w górę, potem, kiedy już nie było jej widać z okien mieszkania panny Matthews, przecięła wzniesienie i zbiegła z drugiej strony. Tylko dziesięć minut czekała na przystanku, kiedy terkocząc, nadszedł autobus do Malvern. W środku były trzy grupy uczennic młodszych klas. Nieśmiało uśmiechnęły się do pięknej szóstoklasistki, ale ta całkowicie je zignorowała. Przywykła już do tego, że wszyscy się jej przyglądają. Wysiadła przy Malvern Link - Charmaine i Nathalie wspomniały kiedyś, że tu właśnie była stacja kolejowa - i kupiła bilet. Kobieta w kasie na dworcu zmierzyła ją taksującym spojrzeniem. Dziewczyna udała, że tego nie widzi.

- Wracasz jeszcze dzisiaj, prawda? - zapytała pani w średnim wieku. Z



rozbawieniem przyglądała się złotej karcie kredytowej Rianne. - Trzy funty. Nie masz drobnych?

Zaraz. - Dziewczyna przeszukiwała kieszenie. Nie miała pojęcia, ile kosztuje bilet na pociąg. Wyciągnęła pognieciony banknot pięćofuntowy.

- Świetnie. Jesteś z żeńskiego college'u, prawda? - zapytała kobieta w kasie.

- Nie. - Rianne zaczynała się złościć. Co tę babę obchodzi, skąd ona jest.

- Ale nie podróżujesz w mundurku. Jesteś przewodniczącą?

- Tak. - Młoda osóbką trafnie odgadła, że tylko przewodniczące mogły w cywilnym ubraniu jeździć do Worcester. Skąd ta kobieta wiedziała, że Rianne była uczennicą? Dziewczyna lekko się do niej uśmiechnęła i odebrała bilet.

- Baw się dobrze, skarbie. Uważaj na siebie.

Skinęła głową, chciała już być w pociągu. Była bardzo podekscytowana wyjazdem z Malvern i wycieczką do miasta - do miasta! Po raz pierwszy wypuszczała się do Worcester, ale przecież to było miasto. Pociąg powoli wjechał na małą stację. Poza nią na peronie czekały jeszcze tylko dwie osoby. Jedne po drugich zatrzasnęły się drzwi do wagonów, konduktor gwizdkiem dał sygnał odjazdu i pociąg ruszył. Zachwycona wyprawą, znalazła miejsce przy oknie i usiadła. Z torby wyciągnęła walkmana, założyła słuchawki. Ale frajda!

Worcester okazało się jednym wielkim rozczarowaniem. Miasteczko było niewiele większe od Malvern. Bardzo zawiedziona Rianne rozglądała się po głównej ulicy: trzy sklepy z konfekcją, we wszystkich prawie takie same tanie, niechlujnie wykończone ciuchy, dwa sklepy obuwnicze z butami dla starszych pań, jakiś dom towarowy i piekarnia. Tęsknie wspomniała ośmiopiętrowe centrum handlowe Sandton w Johannesburgu: sklepy, kina, salony fryzjerskie, kawiarnie, elegancyjny ludzie, samochody, bary. A to tutaj? Co to, u licha, jest? Kina w ogóle nie widać! Była głodna, ale nic nie wyglądało wystarczająco apetycznie. Równie dobrze mogła zostać w Malvern.

Oddaliła się od stacji kolejowej w nadziei, że znajdzie sklepy gdzieś dalej, gdzie zaczyna się prawdziwe miasto. Zagadnęła paru przechodniów, ale po kilku próbach dała za wygraną. Po pierwsze, prawie ich nie rozumiała. Dlaczego nikt w szkole nie mówił takim językiem? Po drugie, miejscowi mieli takie same trudności ze zrozumieniem jej.

- Czgo szkasz? - pytał ją ktoś po raz trzeci. Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem - powiedziała rozdrażniona. Mężczyzna znów powtórzył pytanie.

Rianne bezsilnie wzruszyła ramionami i odeszła. Wspaniałe popołudnie w mieście - pomyślała ze złością.

Wróciła na stację, na peronie czekała na pociąg do Malvern. Kobięcy głos zapowiedział przez głośnik odjazd z peronu pierwszego pociągu do stacji Paddington z przystankami w Didcot, Swindon, Reading i w Londynie, na stacji Paddington. Nie zastanawiała się ani sekundy. Podeszła do wagonu, otworzyła drzwi i wsiadła. Po prostu. Chwilę później rozległ się gwizdek i pociąg ruszył ze stacji. Jakiś czas,

kiedy nabierał szybkości, stała w drzwiach i spoglądała na malejącą w oddali stację. Twarz powoli rozjaśniła się jej uśmiechem. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Zatrzyma się w apartamencie rodziny de Zoete'ow w Knightsbridge. Tam gospodyni jest na stałe. Potem pochodzi po sklepach, zrobi zakupy, zadzwoni do Matthew Hillmana albo Pearla Frasera, kolegów Henniego, którzy mieszkają w Londynie, a jutro po południu wróci do Świętej Anny. Współlokatorki nawet nie zauważą że jej nie ma. A jeśli nawet spostrzegą nieobecność Rianne, na pewno się tym nie przejmą. Wspaniały plan! Poszła wzdłuż pociągu, szukając wagonu pierwszej klasy. Przygoda powinna rozpocząć się w lepszym stylu.

- Nie wiesz, gdzie się podziewa Rianne? - Gabby zwróciła się do Nathalie. Zbliżała się pora kolacji, a współlokatorki nigdzie nie było.

- Widziałam ją rano - zapytana podniosła wzrok znad książki. - Czemu pytasz?

- Już niedługo kolacja, a przez cały dzień nigdzie się na nią nie natknęłam. Szła w górę, na wzgórze - wtrąciła Charmaine. - Czasami po południu wybiera się na spacer.

- Mam nadzieję, że się nie zgubi - Gabby była zaniepokojona. Na zewnątrz zrobiło się już zupełnie ciemno.

- Nie zgubi się - uspokajała koleżankę Nathalie. - Idziecie? Wszystkie trzy poszły do jadalni. Była sobota i nie musiały schodzić na kolację, ale były głodne, a żadna nie lubiła gotować.

Tego wieczora dyżur miała panna Featherstone. Uśmiechnęła się do nich, kiedy wchodziły do jadalni.

- Rianne z wami nie przyszła? - zapytała nauczycielka, w drodze do bufetu.

Nie czuje się dobrze - szybko skłamała Charmaine. Za nic w świecie nie chciały zwracać uwagi na nieobecność koleżanki. Konsekwencje mogły być różne, na przykład ścisły dozór, jak to się już zdarzyło w zeszłym roku. - Zaniesiemy jej owoce - dodała, a panna Featherstone z aprobatą kiwnęła głową.

- Ty głupia! - syknęła jej w ucho Nathalie, kiedy siadały przy stole. - Nie musiałaś kłamać!

- To co miałam zrobić? Nie chcę, żeby Matthe się wściekała, bo Rianne nie zna się na zegarku - zezłościła się Charmaine.

- Jeżeli nie wróci do dziewiątej, trzeba zawiadomić Matthe - odezwała się Gabby. Pal diabli ścisły dozór, po zmroku nikt nie powinien w pojedynkę chodzić po wzgórzach. Koleżanki przyznały jej rację.

Rianne nie pokazała się do dziewiątej. Gabby zaczynała panikować. A jeśli się przewróciła i coś się jej stało? A jeśli się zgubiła? Nie było wyjścia, musiały zawiadomić pannę Matthews.

Co znaczy „zginęła”? - dopytywała się kierowniczka internatu, jeszcze bardziej zaniepokojona od Gabby. - Kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

- Chyba dzisiaj rano, to znaczy nie ja, bo cały czas byłam w bibliotece, ale Nathalie

widziała ją w porze lunchu. Mówi, że Rianne szła w górę wzgórza.

- Sama?

- Tak.

Dlaczego Nathalie z nią nie poszła? - denerwowała się panna Matthews. Doprawdy, jak te dziewczyny mogły pozwolić biedaczce pójść samej?

- No... no, bo... pani wie... - zaambarasowana Gabby zaczęła się jąkać.

- Nie, nie wiem. Naprawdę, Gabby, zawiodłam się na tobie - ostrym tonem upomniała uczennicę.

Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię. Wiedziała, że to nie jej wina, ale Matthie miała rację: może powinny bardziej się starać zbliżyć do Rianne.

- Lepiej zadzwonię do panny Caruthers. Wracaj na górę. Zaraz do was przyjdę. -

Zamknęła drzwi i przygryzła wargę. Mój Boże! Poważna sprawa. Gdzie się podziewała ta dziewczyna? Trzeba zorganizować ekipy poszukiwawcze - zarządziła panna Caruthers. Ona również była bardzo zaniepokojona. Dziewczyna z rodziny de Zoete'ów była warta miliony. Boże broń, jeśli coś się jej stanie. Włożyła palto i poszła wezwać pana Collinsa, nauczyciela matematyki, oraz dwóch dozorców.

Panowie mieli zawiadomić innych mężczyzn, zorganizować ekipy poszukiwawcze i przeszukać wzgórza. Wyszła na zewnątrz. Chryste! Co za ziąb i w dodatku pada. Biegiem przebyła odległość do kwater dozorców. W ciągu pół godziny zorganizowali pomoc i ruszyli na poszukiwania. Zdenerwowane panie Caruthers i Matthews pobiegły wraz z nimi.

- Proszę się nie martwić - pocieszał je któryś z mężczyzn. - Niedługo ją znajdziemy. Nie mogła daleko odejść.

Do północy ani nie znaleźli dziewczyny, ani nie wiedzieli, co się z nią mogło stać.

Sześciu mężczyzn przeczesало teren w promieniu czterech mil. Dalej bez zawiadomienia miejscowej policji nie mogli szukać. Panna Caruthers nie chciała od razu zgłaszać zaginięcia uczennicy na policji, aby uniknąć psucia dobrego imienia szkoły. Wiedziała, że jeżeli Rianne jest na wzgórzach, szkolna ekipa ją znajdzie. Pozostawała tylko jedna możliwość: niewdzięczna dziewczyna uciekła.

Zawiesiła poszukiwania do rana. Obie kobiety ciężkim krokiem poszły do kuchni panny Matthews. Współlokatorki Rianne ciągle jeszcze nie spały, chociaż otrzymały surowy zakaz opuszczania pokoju. Chodziło o to, żeby nie wywoływać hysterii w internacie, co zwykle się zdarzało w takich sytuacjach. Gabby potwierdziła, że Rianne nie zabrała ze sobą żadnych ubrań. Nie wzięła nawet szczoteczki do zębów. Panna Caruthers wcale nie była przekonana, że to dobry znak, ale wnioski zachowała dla siebie. Martwiła się o uczennicę, doświadczenie podpowiadało jej jednak, że dziewczyna raczej uciekła, niż poszła w góry i spadła do jakiegoś parowu. Trudno będzie jednak wytłumaczyć ciotce panny, jakim cudem przez cały dzień nikt nie dostrzegł jej nieobecności. Postanowiła przeprowadzić rano dyskretny wywiad, popytać na stacji kolejowej, porozmawiać z taksówkarzami w Malvern. W tym małym miasteczku wszyscy wiedzieli, że takie sytuacje mogą się zdarzać i

rzeczywiście dość często do nich dochodzi.

W Londynie wieczór nie przebiegał zgodnie z planem. Rianne oglądała telewizję w dużym, wygodnym salonie w apartamencie przy Wilton Crescent. Ze stacji Paddington przyjechała taksówką tuż przed piątą. Dinah, gospodyni, na szczęście była na miejscu. Musiała być zaskoczona, widząc Rianne wysiadającą z czarnej taksówki bez bagażu, bez pieniędzy i w zgodnym ze szkolnym regulaminem wełnianym palcie. Jednak nie okazała zdziwienia i nic nie powiedziała. Zapłaciła taksówkarzowi i szybko zabrała dziewczynę do środka. Czy na długo przyjechała? - Nie, jutro muszę wrócić do szkoły - odpowiedziała Rianne i pomyślała, jak wspaniale jest być znowu w prawdziwym domu. Duży apartament przy Wilton Crescent był wykorzystywany tylko podczas krótkich pobytów w Londynie Lisette i innych członków rodziny, jednak nie szczczędono środków na jego utrzymanie. Przez cały rok był gotowy na przyjęcie gości. Co tydzień dostarczano świeże kwiaty, w każdy piątek przychodziła sprzątaczką. Odkurzała, polerowała i szorowała, jakby od tych czynności zależało jej życie. A sądząc po liczbie młodych kobiet, które przewijały się przez agencję, prawdopodobnie tak było. Dinah miała przytulne mieszkanie na pierwszym piętrze, całe drugie piętro zajmowała rodzina de Zoete'ów. Bardzo korzystny układ.

W trakcie podróży za ocean Lisette prawie zawsze zatrzymywała się w Londynie, a Dinah miała wszystko świetnie zorganizowane. Pani de Zoete dzwoniła przed odlotem z międzynarodowego lotniska imienia Jana Smutsa i gospodyni puszczała maszynę w ruch. Lot z Johannesburga do Londynu trwał dwanaście godzin. Służąca zamawiała samochód, który odbierał Lisette z londyńskiego lotniska Heathrow. Potem dzwoniła do agencji i umawiała dziewczynę do sprząkania, zamawiała świeże kwiaty - najczęściej ulubione przez ciotkę lilie i drobne żółte różyczki - do trzech łazienek. Składała zawsze to samo zamówienie w dziale spożywczym magazynu Harroda: kawa, croissanty, świeże warzywa, owoce i mięso. Całe popołudnie przyrządzała coś pysznego, potem przekładała dania do plastikowych pojemników i zostawiała w lodówce, żeby Lisette miała co zjeść na lunch następnego dnia. Gdyby jadła na mieście, co zdarzało się dość często, Dinah sama spożywała przygotowaną potrawę albo dawała ją sprzątaczkę, przypominając, że pudełko trzeba zwrócić czyste. Lisette zawsze przywoziła dwie butelki doskonałego wina z Republiki Południowej Afryki, ale Dinah i tak sprawdzała, czy barek jest dobrze zaopatrzony, a pod ręką ma kilka butelek dobrego alkoholu, gdyby pani de Zoete - Koestler przyjmowała gości w domu.

- Rianne, przygotować ci kolację? - Dinah wsunęła głowę w drzwi.

- Nie. - Dziewczyna była zła, co od razu rzucało się w oczy. Leżała na ogromnej kremowej sofie przed włączonym telewizorem, ale nie oglądała programu. Nie znalazła numeru telefonu do Matthew Hillmana, zadzwoniła więc do Henniego do Bryanston - niestety, również bez skutku. Poppie powiedziała, że Hennie z Marią są

w Kapsztadzie, Lisette też wyjechała, a ona sama nie miała pojęcia, kim byli Matthew Hillman albo Pearl Fisher. Ze łzami w oczach Rianne odłożyła słuchawkę. Jedyne wieczór wolności i nie ma go z kim spędzić!

Około ósmej włożyła palto i wyszła. Spacer był straszny. Szła Old Brompton Road ścigana lubieżnymi spojrzeniami podstarzałych mężczyzn. Starła się ich ignorować, ale poza nimi prawie nikogo na ulicy nie było, a już z całą pewnością wysokich, pięknych, młodych kobiet. Kiedy radiowóz policyjny zwolnił, żeby funkcjonariusze mogli lepiej się jej przyjrzeć, odwróciła się na pięcie i pognęła do domu. Za kogo ją wzięli? Za prostytutkę?

Zatrzymała się przy witrynach Harroda i obejrzała stroje na wystawach. Jutro tu wróci. Nie, jutro jest niedziela. No cóż, z powrotem do... tego okropnego miejsca poczeka do poniedziałku. Nie wróci bez nowych ubrań. Za żadne skarby świata nie przyznałaby się do tego, ale przez ostatnie dwa tygodnie bardzo uważnie się przyglądała, jak dziewczyny się ubierają. Wiedziała, co musi sobie kupić. Miała dosyć bycia źle ubraną, a co gorsza - niemodnie. Roześmiała się głośno. Ona? Niemodna? W domu wszyscy pragnęli ją naśladować! Zignorowała biznesmena w szarym garniturze. Czekał na kogoś przy wejściu do restauracji i najwyraźniej pomyślał, że jej uśmiech przeznaczony jest dla niego.

Chociaż Rianne podziękowała za kolację, Dinah i tak coś dla niej przygotowała. Dziewczyna od razu zauważyła posiłek. Kiedy tylko weszła do kuchni, podniosła pokrywkę z rondla na kuchence. Danie było wciąż ciepłe. Wzięła łyżkę i spróbowała. Pyszne. Coś przyprawionego na ostro, tak jak potrawy przygotowywane przez Marię w domu. Nałożyła sobie trochę, dodała ryż i wyjęła piwo z lodówki. Zniosła wszystko do salonu i włączyła ogromny telewizor. Proszę, jaka różnica - pomyślała, sadowiac się wygodnie na sofie. Trochę miejsca, wielgachny telewizor i piwo. Dlaczego nie mogło tego być u Świętej Anny? Godzinę później znowu zaczęła się nudzić. Dochodziła jedenasta. Nic więcej nie mogła zrobić, tylko iść do łóżka? Rzeczywiście była zmęczona. Niemniej... czy naprawdę cały weekend w Londynie miała spędzić sama? Dinah wsunęła głowę w drzwi. Czego chce? Nie, nie musi przygotowywać jej łóżka. Nie, jeszcze nie wie, co chciałaby na śniadanie. Nie, nie, nie... Dinah odeszła. Rianne wyłączyła telewizor.

## 9

Panna Caruthers zdobyła pierwsze informacje na temat Rianne, jeszcze zanim Gabby i inne dziewczęta zeszły na dół następnego dnia. Zatelefonowała do Margaret Simpson, kierowniczkę stacji kolejowej w Malvern.

- A tak - przyznała Margaret. - Bardzo ładna dziewczynka, blondynka. Mówiła, że jest przewodniczącą... Co? Naprawdę? Ależ te dzisiejsze dziewczęta mają tupet!

- A dokąd wykupiła bilet? - z wyraźną ulgą w głosie zapytała panna Caruthers.  
- Tylko do Worcester, ale jestem prawie pewna, że nie wróciła. Jeśli chcesz znać moje zdanie, dziewczyna jest w Londynie. Pamiętam, że miała kartę kredytową, taką luksusową, złotą. - Margaret Simpson raczej nie lubiła bogatych, rozpieszczonych pańienek, które pojawiały się na tym skrawku jej ziemi i wyniośle traktowały miejscowe dzieci.

- Dziękuję, Margaret - pani Caruthers kończyła rozmowę. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Może skontaktować się z Lisette Zoete - Koestler? - Bardzo mi pomogłaś. Jak zawsze zresztą. - Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do panny Matthews: - Chyba trzeba zadzwonić do ciotki dziewczyny. Wiem, że mają dom w Londynie. Może tam się zatrzymała. Bardzo prawdopodobne - panna Matthews pokiwała głową. - Chcesz, żebym to ja porozmawiała z panią Koestler?

- Nie, sama z nią pomówię. Zadzwonię ze swojego gabinetu. Powiem ci, co postanowimy. - Panna Caruthers podniosła się z krzesła. W Republice Południowej Afryki było już dwie godziny później. Miała nadzieję, że jeszcze zastanie Lisette w domu.

Dwadzieścia minut później odłożyła słuchawkę i odetchnęła z ulgą. Rianne rzeczywiście spędziła noc w łóżku w apartamencie przy Wilton Crescent. Lisette zatelefonowała do gospodyni. Postanowiły nie rozmawiać z dziewczyną, dopóki bezpiecznie nie wróci do Malvern. Tym bardziej że gospodyni potwierdziła, iż Rianne następnego dnia zamierzała pojechać do szkoły. W poniedziałek rano chciała zrobić zakupy. Lisette z doświadczenia wiedziała, że awantura z bratanicą do niczego dobrego nie prowadzi. Jeszcze nadejdzie odpowiedni moment, żeby porozmawiać o wyczynach podopiecznej. Teraz sprawą najważniejszą było zatrzymanie dziewczyny w szkole Świętej Anny przynajmniej do Bożego Narodzenia. Jeżeli zdecyduje się jeszcze na któryś weekend pojechać do Londynu, panna Caruthers będzie musiała jakoś to zaaranżować.

- Typowe - powiedziała panna Caruthers do panny Matthews. - Nawet nie pomyślą, jak odbiorą to inne dziewczęta. Jak mam wyjaśnić reszcie, że im nie wolno jeździć do Londynu?

No cóż, nie mamy wyboru, prawda? - westchnęła panna Matthews. Ona również poczuła wielką ulgę. Przynajmniej dziewczyna była cała i zdrowa. Pobiegła na górę zawiadomić dziewczęta.

- Nie do. - wiary! - krzyknęła Charmaine, kiedy panna Matthews zamknęła drzwi.

- Pojechała do Londynu? Tak po prostu? - W jej głosie słychać było podziw.

- Bomba - mruknęła Nathalie, ziewając. - Mają mieszkanie w Londynie?

Dziewczyna z tupetem, nie da się zaprzeczyć.

- Mogła zostawić chociaż jakiś liścik - gniewnie odezwała się Gabby. Źle spała, czuła się winna, myślała, że Rianne leży gdzieś w górach ze skręconym karkiem. - Zamartwiałam się na śmierć. Czy nie byliśmy dla niej zbyt surowe? - popatrzyła na koleżanki.

- Tak - przytaknęła Nathalie - zapewne. Co prawda Rianne jest suką i w ogóle, ale może powinniśmy trochę bardziej się postarać, no wiecie... Jak myślicie, co powie Matthie, kiedy ona wróci? Idę o zakład, że ujdzie jej to na sucho.

- Na pewno - zgodziła się z nią Nathalie. - Myślę, że panna Caruthers kazała się jej zachowywać, jakby nic się nie stało. Niektórzy mają szczęście.

I tak się stało. Kiedy Rianne wróciła w poniedziałek wieczorem, panna Matthews po prostu jej powiedziała, żeby następnym razem zawiadomiła szkołę o planowanym wyjeździe z Malvern. Trochę się o nią martwili.

Rianne patrzyła na starszą kobietę zaskoczona. Słyszała, że Dinah rano rozmawiała z Lisette, i domyśliła się, iż ktoś ze szkoły zawiadomił ciotkę o jej zniknięciu.

Oczywiście, dziewczyna wcale się nie bała. Wręcz odwrotnie, w ogóle nie obchodziło ją, co myślą, czy się niepokoją. Była rozczarowana delikatną reprimendą, oczekiwała bardziej drastycznej reakcji. Wniosła pakunki do pokoju tuż przed ciszą nocną.

- Cze... eść - powitała ją Nathalie, kiedy zbłąkana owieczka stanęła w drzwiach.

Dziewczęta były w piżamach, gotowe do łóżek. Rianne od niechcenia skinęła głową. Gabby i Charmaine uśmiechnęły się do niej.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytała ta pierwsza z nadzieją, że zbytnio się nie spoufala.

- W porządku. - Rianne postawiła pakunki na podłodze. Ciemnozielone i złote torby Harroda nie pasowały do skromnego pokoju, były zbyt wystawne.

- Co robiłaś? - zapytała Charmaine. - Słyszałam, że byłaś w Londynie.

- Pojechałam po zakupy - odparła Rianne. Wsunęła torby pod łóżko.

- Och, pokaż! Co kupiłaś? Wybrałaś suknię na bal? - Nathalie naprawdę bardzo się starała. Gabby powściągnęła uśmiech.

- Nie, nic specjalnego. - Rianne nie miała ochoty oglądać zakupów z koleżankami. Zdjęła płaszcz, wzięła kosmetyczkę i ręcznik. Gdzie nocowałaś? - z zazdrością dopytywała się Charmaine. Sama bardzo by chciała wyskoczyć do domu na weekend.

- W naszym mieszkaniu. - Rianne skierowała się do wyjścia.

- No cóż - Charmaine wzniosła oczy do nieba, kiedy drzwi za sublokatorką się zamknęły. - Wycieczka z pewnością nie zmieniła jej charakteru na lepsze - powiedziała rozdrażniona. - Ja tylko pytałam.

- Szkoda, że nie wpadła do jakiegoś parowu - poparła koleżankę Nathalie.

Gabby jednak dostrzegła coś, na co dwie pozostałe nie zwróciły uwagi: w głosie Rianne brzmiała duma - naturalnie obok zwykłej dla niej arogancji. Dziewczynę to zastanowiło. Do czego ona zmierzała? O co jej chodziło? Co próbowała osiągnąć? Aha! Była bardziej pewna siebie.

Tak, z pewnością tu właśnie był pies pogrzebany. Rianne próbowała powoli odbudować poczucie własnej wartości. Inne koleżanki widziały w niej tylko szorstkość, rezerwę i ogromną arogancję, Gabby jednak wyczuwała w dziewczynie

również strach... No, może nie dosłownie strach, bardziej rozdrażnienie. Irytowało ją, że nie jest osobą najbardziej lubianą, najlepiej ubraną, taką, z którą wszyscy chcą się przyjaźnić. W szkole Świętej Anny Rianne powierzono rolę, której nie zwykła grać: drugich, a nawet trzecich skrzypiec. Wyjazd do Londynu, zakupy, o których nawet nie chce mówić, i w ogóle robienie z wyjazdu tajemnicy... Nagle Gabby wszystko zrozumiała. To była strategia, która miała zaprowadzić koleżankę z powrotem na szczyt. Jak widać, była ona dobra, przynosiła efekty. Rianne zwróciła na siebie uwagę.

Punktualnie o jedenastej, zanim ktokolwiek zdążył dotrzeć do jadalni, Rianne pobiegła na górę do swojego pokoju. Wiedziała, że teraz nikt na piętro nie wejdzie. Ze skrzyżowanymi nogami usiadła na podłodze i otwierała paczkę, która właśnie nadeszła. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy sukienkę. Marika kilka dni szukała najpiękniejszej sukni balowej. Przez telefon mówiła kuzynce, że zajęło jej to dużo czasu i kosztowało wiele wysiłku. Była pewna, że Rianne będzie zachwycona. W tym tygodniu dzwoniła już dwa razy, żeby spytać, czy przesyłka nadeszła. W miarę jak zrywała papier i taśmę z pudła, Rianne, wbrew samej sobie, czuła się coraz bardziej podekscytowana... Nigdy w życiu nikomu by się do tego nie przyznała, ale z niecierpliwością czekała na bal. W duchu się usprawiedliwiała, że tęskni tylko za czymś innym, za przełamaniem szkolnej codzienności. Szybko zerwała sznurki i zaczęła rozpakowywać pudło. Było zabezpieczone metrami taśmy klejącej i plastikową pianką w bąbelki.

W końcu oderwała ostatni kawałek taśmy i podniosła przykrywkę. Szczeka jej opadła. Wewnątrz, otulona bibułą leżała biało - różowa jedwabna suknia z większą liczbą koronek, falbanek, kokardek i wstążek, niż kiedykolwiek na czymkolwiek widziała, włączając w to ozdoby na weselnych tortach. Wyglądała jak sukieneczka dla dwuletniej druhny. Cóż ta Marika sobie myśli? Wyciągnęła sukienkę ze złotej bibuły. Była długa do ziemi, miała dopasowany gorset i bufiaste koronkowe rękawy. Spódnice wykonano z grubszego i sztywniejszego jedwabiu, a talię - koszmar nad koszmarami - przewiązano szeroką różową jedwabną szarfą, którą z tyłu zwieńczała wymyślna kokarda. Rianne jęknęła. Przecież nie może ubrać się w to na bal. Mowy nie ma. Ale co zrobić? Nie miała w szafie nic, co mogłoby się ewentualnie i z braku innych możliwości nadawać. Nic, absolutnie nic. Z rozpaczą jeszcze raz spojrzała na jedwabne straszidło.

- Och, przepraszam. - W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła - Gabby. - Nie wiedziałam... O rety, co ty tutaj masz? - zapytała, upuszczając książki. - Nic. To tylko... - zarumieniła się Rianne - moja suknia. Na bal - dodała szybko. Zaczęła wpychać biało - różowe dziwadło z powrotem do pudełka.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza.

- Jest okropnie... no wiesz, ma strasznie dużo falbanek - w końcu odezwała się Gabby.

- To prawda. Kuzynka ją wybierała. Chyba... nigdy nie była na takim... głupim balu.



- Wiesz, może Charmaine coś z tym zrobi. Jest prawdziwą mistrzynią, jeśli chodzi o nożyczki i igłę - odezwała się Gabby pocieszającym tonem. Czuła, jak bardzo niezręcznie koleżanka się czuje.

- Och nie, chyba w ogóle nie pójdę. Jakiś głupi bal - szybko przerwała Rianne. Nie podobał się jej sam pomysł proszenia którejs z koleżanek o cokolwiek.

- Nie wygłupiaj się, musisz iść na bal. Wszyscy muszą. Nawet ja, na swoje nieszczęście, też muszę iść.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wiesz, nie lubię takich imprez. Wolałabym poczytać dobrą książkę. No i nie ustawia się do mnie kolejka partnerów do tańca. - Gabby roześmiała się z zakłopotaniem.

Rianne nic na to nie powiedziała. Zaczynała lubić tę dziewczynę, albo przynajmniej uważała ją za najmniejsze zło z trzech współlokatorek, musiała jednak przyznać, że Gabby ma rację. Koleżanka była najbardziej niezgrabną osobą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek znała. W towarzystwie, jakim otaczała się w domu, nie było ludzi z nadwagą, rudowłosych moli książkowych bez odrobiny wdzięku, za to z silnie rozwiniętą potrzebą matkowania innym. Znowu zapadła cisza.

- Lepiej już pójdę - odezwała się w końcu Gabby. - Dzisiaj po południu mam zajęcia w męskim college'u.

- No tak, ja za chwilę zaczynam francuski - niespodziewanie stwierdziła Rianne. Wsunęła pudło pod łóżko i podniosła się z podłogi. - No, to... do zobaczenia później

- rzuciła i wyszła z pokoju. Oniemiała Gabby stała na środku pokoju jak słup soli.

- Naprawdę, Char, musiałybyś to zobaczyć - zapewniała później gorączkowo. Trzy dziewczyny: Gabby, Charmaine i Nathalie, szły do cukierni. Rianne walczyła z zadaniem domowym z języka angielskiego - prawdopodobnie jedynym wypracowaniem, jakie zechciała napisać w całym semestrze.

- Jak wygląda? - roześmiała się Nathalie.

- Cała w falbankach i kokardkach... Rianne będzie wyglądała jak strach na wróble. Jak różowe ciasteczko.

- Co nas obchodzi, jak będzie wyglądała? Sama jest sobie winna. Gdyby była chociaż odrobinę miłsza, mogłybyśmy jej pomóc. Dlaczego nie wybrała sobie sukienki na bal, kiedy wykupywała całą konfekcję z innych działów Harroda?

- Nie wiem. Podobno kupiła i przysłała ją jakaś kuzynka. Ale Rianne stanie się na balu pośmiewiskiem. Nie mogłabyś po prostu zaproponować, że spróbujesz coś z tą suknią zrobić?

- Gabby Francis, lepiej przestań myśleć o tym, jak pomóc tej nieznośnej de Zoete, a zastanów się, w co sama się ubierzesz. W czym ty zamierzasz iść na bal? - zapytała Charmaine zdecydowanym tonem.

- Boże, nie wiem. Mam tę czarną spódnicę. Może będę musiała trochę ją poszerzyć przy suwaku...

To znaczy, że może Charmaine będzie musiała to zrobić. Przecież ty nawet nie potrafisz nawlec igły! - roześmiała się Nathalie.

- No, tak... Ale nie wiem, co włożyć do tej spódnicy.

- Możesz wziąć mój zielony żakiet, wiesz, ten długi, który mama kupiła mi w zeszłym semestrze. Wejdzie na ciebie, jest ogromny.

- Dzięki, Charmaine - sucho odparowała Gabby.

- Przecież nie to chciałam powiedzieć. Jest za duży na mnie - pospieszyła z wyjaśnieniem koleżanka.

- Przymierzę go... dziękuję - zakończyła sprawę Gabby. Spódnica była uszyta z czarnego, połyskującego materiału, nie z jedwabiu, ale trochę podobnej tkaniny. Gdyby udało się ją poszerzyć, a potem wcisnąć w żakiet Charmaine, może nie wszystko byłoby stracone. Przynajmniej nie wyglądałaby śmiesznie. - No więc - z uśmiechem zwróciła się do koleżanek - skoro to mamy już załatwione, co robimy z Rianne?

To, co się działo w piątek, Rianne pamiętała jak przez mgłę. Pod koniec dnia była ogromnie zmęczona nudnymi zajęciami i zarwaną nocą. Poprzedniego wieczora długo siedziała nad wypracowaniem. W drodze powrotnej do internatu w Gordon House uświadomiła sobie, że boi się balu. Obserwowała Nathalie i Charmaine kręcące się po pokoju w wyrafinowanych, „dorosłych” sukniach i coraz bardziej się denerwowała. Swoją sukienkę wepchnęła pod łóżko i starała się o niej nie myśleć. Teraz jednak pozostał tylko jeden dzień do balu i trzeba było coś z tym zrobić. Ale co? Drżała na myśl, że będzie musiała pokazać się na balu w tej sukience „Alicji - z-krainy - czarów”, jednak z drugiej strony nie chciała spędzić wieczoru samotnie w pokoju. Nawet Gabby wyładniała. Szmaragdowozielony żakiet podkreślił kolor jej włosów, a bez okularów wyglądała całkiem atrakcyjnie.

W Gordon House wrzało. Dziewczęta biegały z pokoju do pokoju, przymierzały pantofelki, pożyczały sobie nawzajem biżuterię, wymieniały się dodatkami do strojów. Były również katastrofy. Marianne Simpson, która mieszkała naprzeciwko ich pokoju razem z Gillian Hemmings, na wiór spaliła sobie grzywkę lokówką. Wyła z wściekłości i bólu, kiedy współlokatorka i Gabby odrywały lokówkę z większością włosów. Teraz chodziła w opasce nad czołem, ale pojedyncze spalone włosy i tak się spod niej wymykały. Wiele dziewcząt zrobiło się jednak na bóstwa. Chantal Laurent, cicha Francuzka o mysich włosach, która mieszkała z dwiema innymi równie spokojnymi dziewczynami, zaszokowała wszystkich, kiedy pojawiła się w dopasowanej do figury czerwono - czarnej sukni z usztywnionym stanikiem i wyjątkowo efektownym rozcięciem. Zrobiła też coś z włosami. Była blondynką. Teraz miała błyszczące, piękne, złotoblond włosy. Wszystkim dziewczętom oczy wyszły na wierzch, kiedy pojawiła się w sali telewizyjnej w wieczór poprzedzający bal. Charmaine zmrużyła oczy i postanowiła powiększyć rozcięcie w swojej spódnicy. Nie zamierzała dać się pokonać jakiejś głupiej Francuzce, nawet jeśli tamta miała najwspanialsze w świecie rozcięcie i pasemka we włosach.

Rianne westchnęła. Wyglądało na to, że tylko ona miała problem, i to poważny. W dodatku, w przeciwieństwie do Charmaine i Nathalie, nie odróżniała jednego końca igły od drugiego. Ze złością spojrzała na niedokończone wypracowanie. Nie miała pojęcia, kim są bohaterowie, o których miała pisać. Do tego miejsca książki jeszcze nie przeczytała.

## 10

Sala nawet na Rianne zrobiła wrażenie. Szkolna jadalnia, miejsce obrzydliwych kolacji i zimnych śniadań, zmieniła się nie do poznania. Pani Smith oraz jej zespół całe popołudnie wynosili i przynosili meble, dekorowali salę białymi balonami i srebrnymi serpentynami. Długie, koszarowe stoły ustawiono pod ścianą i przykryto ładnymi, białymi obrusami. Na każdym postawiono nieduży wazonik z białymi liliami i różowymi goździkami. Całe pomieszczenie oświetlono migocącymi świecami. Na podwyższeniu, w jednym końcu sali, gdzie zwykle stał główny stół dla dyrekcji i grona pedagogicznego, ustawiono sprzęt grający. Najstarszy syn pani Smith, Neil, był dyskdzokejem. Matka baczenie i z niepokojem go obserwowała, ponieważ chłopak już flirtował z jakąś dziewczyną ze starszej klasy szóstej. Uczennice piątej klasy z kierunku gospodarstwa domowego były odpowiedzialne za catering. Sądząc po ilości jedzenia ustawionego na stołach, cały tydzień musiały przygotowywać potrawy. Były półmiski z puszystymi pasztecikami z parówkami w środku, małe korniszony, pomidorki i ser feta, ciemnozielone liście winogron nadziewane grubo siekaną jagnięciną i ryżem z przyprawami, delikatne paszteciki z grillowanymi warzywami i cieniutkie jak bibułka plasterki pieczonej piersi kurczaka. Dziewczyny przeszły same siebie. Szkoda, że osobiście nie będą mogły spróbować tych przysmaków.

W jednym końcu sali, pod okiem pana Collinsa i panny Featherstone, stał gwóźdź wieczoru: czara z ponczem. Zawartość alkoholu nie przekraczała pół procent, ale wszystkie dziewczęta - oraz pan Collins - wiedziały, że chłopcy przyniosą ze sobą małe kieszonkowe buteleczki wódki. Nawet plastikowe kubki, które pani Smith ustawiła na stołach, w migotliwym, łagodnym blasku świec wyglądały urokliwie i tajemniczo.

- Och! Spójrzcie na Chantal Laurent! - krzyknęła jakaś uczennica wyższej klasy szóstej, kiedy do sali zaczęły wchodzić dziewczęta z szóstej niższej. Starsze dziewczyny stały w małych grupkach, rozproszone po całej sali. W swoim gronie mogły na siebie nawzajem liczyć. Żadna nie odbije chłopaka drugiej. Byłby to okropny wstyd i jaką by potem miała reputację! Wszystkie z roku starannie przestrzegały reguł, wypracowanych w ubiegłych tygodniach. Niestety, trudno było liczyć na to, że dziewczęta z młodszej klasy szóstej również nie będą łamały

ustalonych zasad. Co gorsza, w tym roku w młodszej szóstej było kilka prawdziwych piękności, przede wszystkim Charmaine Hunter, następnie ta nowa dziewczyna o imieniu Rianne, jakkolwiek tam miała na nazwisko, no i Chantal Laurent! Boże, przecież ona niemal wylewała się z sukienki!

- A skąd u niej nagle się wzięły takie piersi? - złościła się Madeleine Blythe-Stanton.

- Skarpetki - sucho stwierdziła Justine Scott. W Australii, skąd pochodziła, wszystkie dziewczyny znały ten trik. W rodzinnym kraju trudno było jednak stosować taki podstęp. Wcześniej czy później wszyscy szli pływać, a ze skarpetkami w staniku kostiumu było to niemożliwe. Uważnie przyglądały się przechodzącym obok Chantal i Gillian.

- O rany! - sapnęła Gabby. - Ależ się zmieniała!

- Chantal wygląda bajecznie - jęknęła Charmaine i nerwowo wygładziła swoją sukienkę.

- Ty też - zapewniła ją Nathalie. Uważnie rozejrzała się po sali. Z ulgą stwierdziła, że nie widać wielu ładnych dziewcząt. Z niewiadomego powodu dziewczyny ze starszej klasy szóstej w tym roku wyglądały bezbarwnie. Z całego grona kujonów zainteresowanie mogły budzić tylko Justine Scott i Madeleine Blythe-Stanton. Na szczęście nawet one nie mogły równać się z Charmaine czy z nią samą, no i - skoro już o tym mowa - z Rianne. Rzuciła okiem na stojącą obok niesforną koleżankę. Jej suknia została przerobiona z szybkością światła, niestety niezbyt starannie. Zabrakło czasu. O jedenastej wieczorem Rianne zaskoczyła je obie prośbą o pomoc.

Natychmiast przystąpiły do pracy: odcięły rękawy, zrobiły dekolt, odpruły różową szarfę i zlikwidowały dwie warstwy koronki pod spódnicą. Teraz była to biała suknia z satyny, bez rękawów, bez paska, ze swobodnie opadającą spódnicą nieokreślonej długości. Górna część sukienki została spięta szpilkami, a potem zaszyta na Rianne. Dziewczyna musi rozpruć szew, żeby ją z siebie zdjąć. Na szczęście - jak powiedziała Charmaine, zszywając suknię - będzie już po północy i nikt tego nie zobaczy.

Rianne miała rozpuszczone blond włosy. Grube, gęste, długie do pasa sploty szczęśliwie zasłaniały nieudolny szew z tyłu. Skorzystała z mascary Nathalie, a raczej jej matki, żeby wydłużyć i pogrubić i tak długie rzęsy. Charmaine wyrwała kilka niesfornych włosków z jej wąskich, błyszczących brwi, które wydłużały i przepięknie podkreślały owal twarzy. Migdałowe, piwne oczy odzyskały blask, kiedy rozglądała się po sali. Wilgotnym językiem przejechała po wargach. Charmaine nalegała, żeby pokryła je błyszcznikiem, i teraz się kleiły. Sama nie mogła w to uwierzyć, ale była podekscytowana!

Nagle drzwi w końcu sali otworzyły się z impetem. Do środka wkroczyła panna Caruthers. Była w błyszczącej, złotej wieczorowej sukni z narzuconym na ramiona czarnym jedwabnym szalem. Miała szminkę na ustach i chyba dzięki temu jej końskie rysy twarzy złagodniały. Uśmiechnęła się promiennie do zespołu pani Smith i podeszła do głównego stołu.

Wygłosiła pięciominutowe przemówienie na temat znaczenia imprez towarzyskich dla dziewcząt ze szkoły Świętej Anny i chłopców z męskiego college'u, na temat znaczenia właściwego zachowywania się zawsze i wszędzie oraz na temat ogromnego znaczenia zachowania umiaru, szczególnie w odniesieniu do ponczu. Była absolutnie pewna, że żadna z dziewcząt nie splami dobrej opinii szkoły ani w jakikolwiek inny sposób nie zawiedzie kierownictwa.

Bawcie się dobrze, młode damy. I pamiętajcie, kim jesteście. Młodymi damami właśnie. - Wszyscy na sali grzecznie się roześmiali. Z korytarza dał się słyszeć odgłos kroków. Przyjechali chłopcy.

Czy można... czy można cię prosić... do tańca? - Wysoki, szczupły młody człowiek podszedł do Rianne, gdy tylko muzyka zaczęła grać. Rozejrzała się po sali. Thierry Pasquier porwał Charmaine na parkiet, zanim jeszcze puszczono muzykę. Thierry razem z Ree Modise'em, Michaeliem Rhysem-Walkerem i Naelem Hughesem był w wyższej klasie szóstej i miał tylko dwie okazje poderwać Charmaine: na tym balu i na balu letnim, który odbędzie się za dziewięć miesięcy. W sekundę zmierzył Charmaine od stóp do głów. Wyglądała tak ślicznie w tej wąskiej jedwabnej sukni z czarnym paskiem i czarnym aksamitnym kołnierzykiem, że miał ochotę ją schrupać. Najbardziej pragnął wsunąć dłoń w rozcięcie sukni... miała cudowne, duże, mięciutkie piersi. Włosy zaczesana gładko i przytrzymała żelem, musiała także zrobić coś z oczami: były bardzo ciemne, jakby przydymione. Miała w sobie i odrobinę kokieterii, i widoczną klasę. Serce zabiło mu szybciej, kiedy się do niego uśmiechnęła. Znajdzie sposób, żeby gdzieś się z nią wymknąć, zanim impreza się skończy! Do diabła, musi coś wymyślić!

Nathalie stała w gronie oszołomionych chłopców z niższej klasy szóstej. Młodzieńcy z całych sił chcieli zdobyć partnerki, zanim do gry przystąpią starsi koledzy.

Wyglądała prześlicznie, brylant pobłyскиwał w świetle świec. Czarna aksamitna sukienka leżała doskonale, była elegancka, a jednocześnie w pewien wyrafinowany sposób seksowna. Wyzwalała w chłopcach instynkt opiekuńczy. Wyglądali, jakby pragnęli trzymać ją w ramionach, objąć w wąskiej talii, pogłaskać po policzku, całować cudownie zarysowane wargi. Martin Pickering kopnął w kostkę Stuarta Gravesa, jednego z chłopców z zachwytem wpatrujących się w Nathalie.

Rianne jeszcze raz zerknęła na potencjalnego partnera. Skinęła głową, chociaż chłopiec niespecjalnie się jej podobał. Był stanowczo zbyt chudy - stwierdziła, kiedy prowadził ją na parkiet.

- Jak masz na imię? - zapytał, przekrzykując głośną muzykę.

- Rianne - odpowiedziała. Okazało się, że na domiar złego chłopak nie potrafił tańczyć.

- Ładne imię. Ty również jesteś bardzo ładna - wyrzucił z siebie.

- Co mówisz? - nie usłyszała. Zespół „Duran Duran” grzmiał z głośników.

Przynajmniej muzyka była dobra. Jesteś bardzo ładna! - krzyknął raz jeszcze. -

Czyżbyś była tutaj nowa? zapytał. Kolanami nieustannie uderzał w jej kolana. Odsunęła się trochę. Dobrze tańczyła. Miała naturalne, znakomite wyczucie rytmu. Kilku młodzieńców przyglądało się jej z oddali. Postanowiła, że zostawi partnera, kiedy tylko ten kawałek się skończy.

- Tak - przyznała.

- Zdawało mi się, że wcześniej cię tu nie widziałem - ciągle wrzeszczał jej do ucha. - W jakiej szkole byłaś przedtem?

- Chodziłam do szkoły w swoim ojczystym kraju. - Wolałaby, żeby się zamknął.

- To znaczy gdzie?

- W Republice Południowej Afryki.

- Naprawdę? Nie masz południowoafrykańskiego akcentu.

- Doprawdy? A jaki powinnam mieć akcent? - zapytała, znudzona. Rozmowa nie należała do najbardziej interesujących.

- Nie wiem... Chyba jakiś inny. Znasz Ree? Też pochodzi z Republiki Południowej Afryki, ale on również mówi bez obcego akcentu.

Rianne zeszytniała. Ree był ostatnią osobą, z którą chciałyby się zetknąć tego wieczora. Ciągle czuła gorycz zniewagi, jakiej doznała przy ich pierwszym spotkaniu.

- Tak, rzeczywiście. Znamy się - odpowiedziała szybko. Poczowała delikatne klepięcie w łokieć. Zjawił się ktoś trzeci. Odwróciła się i podniosła wzrok. Ujrzała innego młodzieńca, znacznie przystojniejszego. Był wysoki, szeroki w ramionach i ładnie opalony. Miał kręcone kasztanowe włosy, śliczne, piwne oczy i szeroki, ujmujący uśmiech. Czyżby miał zamiar poprosić ją do tańca?

- Parker... mogę? - powiedział pełnym słodczy głosem. Młody człowiek, który tańczył z Rianne, z rezygnacją wrzucił ramionami. Nic przecież nie mógł zrobić. Nael Hughes był w wyższej klasie szóstej. Niechętnie odszedł.

- Cześć, jestem Nael - przedstawił się nowy partner. Zaczął się inny utwór i rytm melodii się zmienił. Chłopak również znacznie lepiej tańczył. Poruszał się płynnie, jego ruchy doskonale harmonizowały z ruchami jej ciała. Znacznie lepiej tańczył. W drugim końcu sali Gabby jadła jeden pasztecik z parówką za drugim. Chciało się jej płakać. Od razu zauważyła Naela. Wszedł z Ree Modise'em. Gabby lubiła go, ale zawsze czuła się przy nim trochę niezręcznie. Ree ją onieśmiała. Był bardzo przystojny, pewny siebie, uszczypliwy, a ponadto przy jego doskonale rzeźbionej figurze i ciemnej skórze czuła się jak gruba, blada, niewyraźnie mamrocząca pod nosem idiotka. Właściwie w jego towarzystwie nigdy nie wiedziała, co powiedzieć. Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca? Podoba ci się u nas? Uważam, że jesteś szalenie dziwny? Żadna z tych uwag nie wydawała się stosowna, chociaż takie właśnie myśli przebiegały jej przez głowę przy tych rzadkich okazjach, kiedy się spotykali. Nie uczęszczał na zajęcia historii w jej grupie, ale czasem czekał na Naela. Obserwowała ich z oddali. Wyraźnie wyróżniali się w tłumie chłopców. Obaj wysocy, mieli ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, obaj grali w rugby i

byli zbudowani jak rasowi rugbiści. Ree poruszał się miękko, seksownie, jakby tańczył, nie chodził. Zresztą i tak prawie nie mógł się przemieszczać po sali, gdyż dziewczęta niemal mdlały mu u stóp. Uczennice wyższej klasy szóstej, włącznie z Justine i Madeleine, otoczyły go zaraz po wejściu. Sprawiały wrażenie, że są gotowe zjeść go żywcem. Zobaczyła, jak Nael rozgląda się po sali i że ją dostrzega. Uśmiechnął się i zaczął iść w jej kierunku. Coś ścisnęło Gabby w żołądku, poczuła, że nie może złapać oddechu.

- Jak się masz - powiedział, podchodząc, i uściśnął ją za ramię. W miejscu dotknięcia poczuła, jakby ktoś dźgnął ją sztyletem.

- Cześć - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.

- Nie... - Z trudem przełknęła ślinę. - Wszystko w porządku. Bardzo ładnie wyglądasz - powiedziała. To była najprawdziwsza prawda. Śnieżna biel wykrochmalonej koszuli jeszcze podkreśliła opaleniznę na twarzy. Miała ochotę wyciągnąć dłoń i go pogłaskać.

- Ty też - powiedział automatycznie, ale już na nią nie patrzył. - Kim jest ta dziewczyna? - zapytał, ponownie dotykając jej ramienia. Gabby podążyła za jego wzrokiem. Serce jej stanęło.

- Och, to Rianne. Jest nowa.

- Wspaniale. - Nael przejechał ręką po kręconych włosach. - Jest świetna - gwizdnął cicho. Popatrzyła na niego z przerażeniem w oczach. - Coś się stało? - Zauważył jej spłoszony wzrok.

- Nie, nic... To znaczy... a co... no, wiesz, co z Mandy?

- Mandy? - roześmiał się. - To właśnie w tobie lubię, Gabs. Zawsze walisz prosto z mostu! - Nie, nic. Mandy i ja. Chwilowo nie najlepiej się między nami układa.

- Gabby odruchowo chwyciła go za ramię. Przykrył jej dłoń swoją ręką. - Ale co tam. W morzu jest dużo ryb. Na przykład ta dziewczyna! - wskazał Rianne. Gabby na chwilę pozostawiła rękę Naela na swojej dłoni, napawała się dotykiem palców chłopaka. W jego dłoni jej ręka wydawała się bardzo mała, na moment przymknęła oczy. Ogarnęło ją miłe, nieznane uczucie, jakby ktoś ją przytulał. Chłopak cofnął rękę, a ona poczuła ból porzucenia. - Życz mi szczęścia! - szepnął, pochylając się nad nią, i odszedł. Gabby podniosła rękę do ucha. W miejscu, w którym go dotknął ustami, było bardzo gorące. Co się z nią u licha, dzieje?

Nieszczęśliwa, patrzyła, jak Nael zmierza w kierunku Rianne i jej partnera.

Współlokatorka nawet w idiotycznej sukience wyglądała fantastycznie. Szyja i odsłonięte ramiona lśniły w świetle świec. Miała twarde, ładnie wykształcone mięśnie i gładką lekko opaloną skórę. Nael fantastycznie tańczył. Gabby czuła się okropnie, widząc, jak tych dwoje z wdziękiem się porusza. Kiedyś próbowała niezdarnie tańczyć przed lustrem w sypialni. Z partnerem nie robiła tego nigdy, jeśli nie liczyć przyjęcia weselnego ciotki. Była jej druhną, ale wówczas miała jedenaście

lat. Znowu popatrzyła na Rianne i Naela. Para obdarzona pocałunkiem słońca. Zmarszczyła brwi. Cóż ona sobie myśli? Nael był przecież jej przyjacielem. Powinna się cieszyć, że kolega dobrze się bawi, a nie zżymać na niego z drugiego końca sali jak jakaś zakochana nastolatka. Chwileczkę - zmusiła się do zastanowienia. Zakochana? Och nie, Gabby Francis, nie mów, że się zakochałaś - pouczyła się surowo. Nie bądź niemądra! Spojrzała na bufet. Sięgnęła po pasztecik z parówką. Dobrze, że jedzenie zawsze poprawiało jej humor. Wzięła jeszcze jeden. O, wreszcie coś wolniejszego... Nael uśmiechnął się do Rianne, kiedy rozpoczął się kolejny utwór. Na całym parkiecie młodzieńcy odetchnęli z ulgą słysząc inną muzykę. Dochodziła dziesiąta. Teraz mogli zabrać się do rzeczy.

Rianne odwzajemniła uśmiech. Prawie cały wieczór przetańczyli razem. Tylko Michaelowi Rhysowi - Walkerowi, i zresztą na krótko, udało się wyrwać dziewczynę z ramion Naela. Teraz partner przyciągnął ją bliżej do siebie. Przez koszulę czuła gorącą pierś chłopaka.

- Słyszałem, że jesteś nową współlokatorką Gabby - powiedział, muskając wargami jej włosy. Przypominał jej Henniego. Rianne uświadomiła sobie, że przytula się do Naela, dopasowuje swoje ciało do jego figury. Objął ją mocniej ramieniem. - I jesteś z Republiki Południowej Afryki? - zamruczał. - Znasz Ree?

- Tak - Rianne cofnęła się gwałtownie. Co się z tymi ludźmi dzieje? Dlaczego wszyscy zadają jej to samo pytanie? - I nie. Nie znamy się. W porządku? - zareagowała dość ostro.

- O co chodzi? - zapytał, odsuwając twarz od jej włosów i spoglądając pytająco.

- O nic. Po prostu wszyscy zadają mi to samo idiotyczne pytanie.

- Wcale nie jest idiotyczne. Normalne - zdumiał się Nael.

- Nie, nie jest normalne. Dlaczego miałabym go znać? To duży kraj. - Czuła, że Nael nie bardzo rozumie jej reakcję. Może przyjaźnił się z Ree. W takim razie...

- Wiesz co? Powinnaś go poznać. Wspaniały facet.

Nic nie powiedziała. Nie chciała myśleć o Ree Modisie, nawet jeśli był wspaniałym facetem. Nael nagle się pochylił, wargami musnął ją w ucho.

- Nie jest ci gorąco? - zapytał, ponownie mocniej ją przytulając. Skinęła głową. -

Wiesz co, spróbujemy wyrwać się na trochę na dwór. Chodź za mną. - Puścił dziewczynę i powoli ruszył w kierunku drzwi. Pan Collins nie spuszczał wzroku z czary z ponczem, a panna Featherstone, która pełniła wartę przy drzwiach, straciła rachubę, kto, kiedy i na jak długo opuścił salę.

- Muszę wstąpić na chwilę do łazienki - uprzedził Nael, kiedy jeszcze szli przez salę.

- Daj mi kilka minut, a potem wyjdź z sali. Z boku holu, tuż przed wejściem do biblioteki, są niewielkie drzwi. Będę czekał na ciebie na zewnątrz.

Skinęła głową. Miała wielką ochotę na papierosa, nawet nie myślała, o co może chodzić Hughesowi. Ścisnął jej ramię i zniknął. Rozejrzała się za Gabby. Zobaczyła Charmaine. Obejmowała ramionami jakiegoś szczęściarza. Spleceni w uścisku, skrywali się za kotarą w odległym końcu sali. Nathalie nigdzie nie było widać.



Ponownie odwróciła się do drzwi, poczekała, aż panna Featherstone zajmie czymś uwagę, i niepostrzeżenie wymknęła się na zewnątrz. W szerokim holu nie zauważyła nikogo. Było cicho i chłodno. Szybko ruszyła naprzód, obcasowy nowych butów stuknęły po kamiennej posadzce. Chciała zapalić i wrócić w gorące, kojące ramiona Naela. Jego młode, silne ciało przywołało miłe wspomnienia z domu, jak mawiały dziewczęta, pieszczoty z chłopcami ze starej paczki. Żadna jeszcze, nawet Rianne, nie poszła na całość, chociaż to właśnie ona już kiedyś była diabelnie blisko. Oczywiście, że to robi. Jeżeli istniały jakiegokolwiek granice, jeżeli były bariery, które można było przełamać, Rianne była gotowa zrobić to pierwsza. Tylko dlatego, że nie bardzo potrafiła określić uczucie, jakim darzyła Henniego, nie pozwoliła mu na wszystko. Chociaż, jak kiedyś mu się wyrwało, rozpaczliwie pragnął być jej pierwszym mężczyzną. W odróżnieniu od innych dziewcząt nie bała się konsekwencji, jakiegokolwiek by one były. Zawsze rozsądna Lisette rozmawiała na ten temat z córką i bratanicą, a reszty Rianne domyśliła się sama.

Doszła do małych bocznych drzwi. Rozejrzała się dookoła. Nikogo nie było. Sięgnęła ręką do klamki, kiedy ktoś otworzył drzwi od zewnątrz. Zdążyła cofnąć się o krok i oparła o framugę. Dobrze zrobiła. Któż inny mógłby się znaleźć po drugiej stronie wyjścia, jak nie jedyna osoba, której w ogóle nie chciała spotkać. Z niedowierzaniem spojrzała na stojącego przed nią młodzieńca.

Ree Modise wszedł do środka, przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Kiedy stał w wejściu, miała okazję się przekonać, jak bardzo jest wysoki. Wzrok miał zaskakująco przenikliwy. Hebanowa skóra wyraźnie kontrastowała ze śnieżnobiałą koszulą, oczy za okularami w srebrnej oprawie płonęły. Przewiercał ją wzrokiem. Na ułamek sekundy ich oczy się spotkały, następnie, już po raz drugi, bezczelnie zmierzył ją od stóp do głów tym samym pogardliwym wzrokiem i bez słowa poszedł dalej. Nie posiadając się ze złości, popatrzyła za oddalającym się chłopakiem. Znowu to samo! Arogancki dupek, znowu zrobił jej afront! Poczowała znajome szczypanie pod powiekami, do oczu napływały łzy. Zawsze płakała ze złości.

- Rianne! - ktoś cicho zawołał. Podniosła wzrok. Na przełaj przez trawnik szedł ku niej Nael. Głęboko odetchnęła i wyszła z budynku. Wieczór był chłodny, powietrze ostre. Zadrzała. - Masz. - Chłopak podszedł z kurtką zarzuconą na ramię. - Włóż, zamarzniesz w tej skąpej sukience!

Zimne powietrze chłodziło rozpalone policzki. Z wdzięcznością przyjęła okrycie i włożyła na siebie. Kurtka była ogromna, ciepła i pachniała chłopakiem. Czowała delikatną, zmysłową kompozycję wody kolońskiej i tytoniu.

- Masz papierosa? - zapytała, jednocześnie próbując się uspokoić.

- Tak... proszę... - Włożył rękę do kieszeni kurtki i wyjął paczkę. Oboje się poczęstowali i przypalili papierosy. Rianne z przyjemnością głęboko się zaciągnęła. Kilka minut palili w milczeniu.

Przyglądała mu się spod półprzymkniętych powiek. Był przystojny, nie, należałoby

raczej powiedzieć: bardzo przystojny. Miał ciepłe, piwne oczy, ciemne, kręcone włosy, trochę dłuższe niż inni chłopcy, wydatne, mocno zarysowane szczęki. Podobała się jej jego oliwkowa cera, był ładnie opalony. Nie wyglądał na Anglika, raczej na Włocha lub Hiszpana. Z przyjemnością przypomniała sobie bliskość jego ciała podczas tańca. Był zdecydowany, seksowny... silny.

- Chodź - powiedział nagle i zgasił papierosa. - Chodźmy na krużganek, tam jest trochę ciepłej.

- Skąd tak dobrze znasz te wszystkie miejsca? - zapytała, kiedy szli przez ogród.

- Wiesz, byłem tu już kilka razy - odpowiedział z lekkim uśmiechem. Chcesz powiedzieć: z innymi dziewczynami? - roześmiała się.

- To też. Ale przede wszystkim jestem w college'u od bardzo dawna.

- Cóż wy, Anglicy, macie za zwyczaj? - zdziwiła się. - Odsyłacie dzieci do szkoły z internatem, kiedy tylko nauczą się chodzić.

- Tego nie wiem. Nie jestem Anglikiem.

- Nie?

- Nie.

- A kim jesteś? - Zdumiewające, że tym razem to ona zadała pytanie, na które sama musiała często odpowiadać.

- Mój ojciec jest Walińczykiem.

- To przecież to samo - znowu się roześmiała. - A matka?

- Co matka?

- No, skąd pochodzi? - cierpliwie się dopytywała.

- A... z basenu Morza Śródziemnego - odpowiedział wymijająco.

- Co to znaczy? Jest Włoszką? Hiszpanką? - pytała.

- Coś w tym rodzaju - zatrzymał się i odwrócił do niej. - Spójrz. Widzisz tamto wejście? - Wskazał nieduże drewniane drzwi. Skinęła głową. - To drzwi na krużganek. W zeszłym tygodniu zapłaciliśmy jednemu z ogrodników, żeby dzisiaj zostawił je otwarte. - Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - Ten facet pracuje i w naszych ogrodach. Chodź, uważaj na głowę. - Poszedł przodem. Drzwi prowadziły do podziemnego przejścia, wiernej kopii korytarza na górze, łączącego jadalnię z gmachem głównym. Półkuliście zwieńczone otwory zasłonięto szklanymi płytkami, dzięki czemu temperatura wewnątrz była do zniesienia. Nael zamknął drzwi.

Ogarnęła ich ciemność. Rianne ucieszyła się, że w tej chwili ma kogoś przy sobie.

- Czy jesteśmy sami? - zapytała szeptem.

- Tak - Nael skinął potakująco głową. - W tej chwili. Ale w ogóle jest nas czterech.

- Jak to czterech? - Nie widziała nikogo więcej.

- Ja, Ree i jeszcze dwóch. Złożyliśmy się i opłaciliśmy Jimmy'ego, ogrodnika.

Musiałas minąć się z Ree, przed chwilą wyszedł. Chyba z dziesięć dziewczyn na niego czeka. - Roześmiał się z podziwem. - Teraz tutaj nikogo nie ma. Chodź, pójdziemy w drugi koniec. Stamtąd widać jadalnię. - Wziął ją za rękę. W

podziemiach stukot kroków wydawał się głośniejszy. - Widzisz? Usłyszemy, kiedy

ktoś wejdzie - powiedział. - Nie musimy szeptać. - Doszli do rogu. Wyjrzała przez zakurzone okno. Rzeczywiście, widać było jadalnię i zachodnią stronę budynku. Widok był śliczny: oświetlone blaskiem świec okna delikatnie jarzyły się w ciemności. Nael stanął za nią i oplótł ramionami w tali. Oparła się o niego, poczuła, jak napina mięśnie. Twarz ukrył w jej włosach. Powoli odwracała się w jego objęciach, aż stanęli twarzą w twarz. Pochylił głowę i pocałował ją delikatnie, czule. Rianne go zaskoczyła: rozsunęła wargi i językiem pieściła jego język. Jęknął, mocniej ją do siebie przytulił, łapczywie całował i...

- Och! - Gwałtownie oderwał rękę. Coś go ukłuło. Dziewczyna zamarła w bezruchu. Kolana jej drżały.

- O co chodzi? Co się stało?

- Nie wiem... och! Masz coś na plecach... Popatrz! Cholera, igła czy coś takiego! syknął, rozcierając palec. - Krew mi leci... co to jest, u diabła?!

- O Boże! - Zaczęła się śmiać. - To sukienka. Charmaine ją dzisiaj wieczorem tuż przed baleem przerabiała. Musiała zostawić jakąś szpilkę. - W słabym świetle spojrzała na palec. Rzeczywiście krwawił. - To tylko zadrapanie. Possij, za chwilę przestanie. - Podniosła ramiona i przyciągnęła jego głowę do swojej twarzy. Chciała się całować. Nael nie dał się prosić.

Gabby z nieszczęśliwą miną siedziała nad pustym półmiskiem po pasztecikach. Zauważyła, że panna Matthews spogląda na zegarek i z innymi członkami personelu rozpoczyna rutynowy obchód. To był wieczór najgorszy z możliwych. Nikt nie poprosił jej do tańca, nawet jeden jedyny raz. Rozmawiała z przyjaciółmi, chłopcami, których znała od pierwszego roku nauki w szkole Świętej Anny, potem patrzyła, jak odchodzili, chcąc spróbować szczęścia z dziewczętami takimi jak Nathalie i Charmaine. A Nael zginął gdzieś z Rianne. Właśnie teraz razem wracali na salę. Więcej już nie była w stanie znieść.

- Cześć! - Nael podszedł i uśmiechnął się do Gabby. Szturchnął ją serdecznie. - Założę się, że zdarłaś podeszwy w tańcu - powiedział. Oboje obserwowali płynącą przez salę Rianne. Gabby po prostu skinęła głową. Żadnemu z nich nie mogła spojrzeć w oczy.

Zebrano i policzono uczennice niższej klasy szóstej, po czym pod opieką panny Matthews i panny Featherstone odesłano do Gordon House.

W tym roku obyło się bez incydentów, nikt się nie upił, nikt nie chował się na krużganku. Na szczęście tydzień temu ktoś pomyślał o zamknięciu bocznych drzwi. W ubiegłym roku było okropnie. Na kamiennej podłodze, pośród starych siatek do tenisa i zniszczonych biurków, przyłapano dwanaście niekompletnie ubranych parok. Okropność!

Gabby otworzyła drzwi do pokoju. Łzy strumieniem płynęły jej po policzkach. Na szczęście nie było koleżanek i nikt nie widział rozpaczliwej dziewczyny. Rianne poszła do łazienki z Nathalie i Charmaine. Miały pomóc jej zdjąć sukienkę. W drodze

powrotnej Gabby nawet się nie odezwała do dziewczyny pochodzącej z południa Afryki. A przecież to wcale nie była jej wina. Nie wiedziała, co Gabby czuje do Naela. Prawdę powiedziawszy, Nael też tego nie wiedział. Jediną osobą, która mogła się trochę orientować w sytuacji, była Charmaine, ale nawet ona nie brała poważnie zaangażowania koleżanki. Gabby zdjęła spódnicę i żakiet, spod poduszki wyciągnęła piżamę i wsunęła się pod kołdrę. Gorzej być nie mogło.

Nael nie rozumiał, co się dzieje. W drodze powrotnej do college'u Ree prawie się do niego nie odzywał. Mieszkali razem na ostatnim piętrze Plymouth House. Dzielili duży, wygodny, słoneczny pokój z przylegającym do niego pomieszczeniem, w którym mogli się uczyć. Warunki były doskonałe, ale przecież mieszkał z przewodniczącym samorządu.

- Co ci jest? - zapytał Nael, kiedy wchodzili na górę.

- Nic - krótko zbył go Ree.

- Hughes głośno westchnął. Współlokator czasami miewał humory. Gównu prawda. Warczysz cały wieczór. O co chodzi? - Znali się od sześciu lat. Nael wiedział, że z kolegą trzeba rozmawiać szczerze i nie owijać niczego w bawełnę.

Ree milczał. Zaczął rozpinać koszulę. Nael wzruszył ramionami. Wcześniej czy później się dowie. Wyciągnął koszulę zza spodni i powiesił na wieszaku marynarkę. Wziął przybory do mycia i poszedł do łazienki.

- Co robiłeś z tą de Zoete? - zapytał Ree, chwilę później wchodząc tam za nim.

- Czemu pytasz? - wymamrotał Nael z ustami pełnymi pasty do zębów.

Tak sobie. Po prostu jestem ciekaw. - Kolega mówił zaskakująco cichym głosem. No wiesz, to, co zwykle. Gorąca dziewczyna. - Hughes wyszczerzył zęby. Na wspomnienie wieczora poczuł gwałtowne podniecenie.

- Trzymaj się od niej z daleka. - Ree pochylił się i zaczął szcztokować zęby.

- Dlaczego? Jesteś nią zainteresowany czy co? - Nael w lustrze spojrzał przewodniczącemu samorządu w oczy. Bez okularów wydawały się jeszcze głębsze.

- Nie bądź głupi. Nie wiesz, kim ona jest?

- No cóż, wiem, że pochodzi z Republiki Południowej Afryki... Zaraz, czyżby...? Ale przecież ty ciągle umawiasz się z białymi dziewczynami. To dlaczego akurat jej się czepiasz? - dziwił się Nael. W ubiegłym roku Ree sypiał z Francine du Toit, dziewczyną z Republiki Południowej Afryki, która uczęszczała do pobliskiej Wychwood School for Ladies. Czym od niej różni się Rianne?

- Jest córką Mariusa de Zoete'a. Pochodzi z rodziny tych bogatych właścicieli kopalni. Praktycznie rządzą krajem. - Ree energicznie szcztokował zęby. Był zły. Nael widział, jak pracują mu mięśnie na ramieniu.

- Co z tego? Kim jest Marius?

- Daj spokój, Nael, te łobuzy ryją pod całym krajem. Chyba tobie nie muszę udzielać lekcji poprawności politycznej. - Hughes się nie odzywał. Ree odwrócił się do niego twarzą. - To tak jakbyś ty poszedł do łóżka z córką Menachema Begina - powiedział z goryczą. Młodzieńcy mierzyli się wzrokiem. Naelowi pociemniała twarz. Zapadła

pełna napięcia cisza.

- Jasne - pierwszy odezwał się Hughes. - Rozumiem. Przepraszam. Nie pomyślałem.

- Zabrał swoje rzeczy i wyszedł z łazienki.

Ree odwrócił się do lustra i przyglądał swemu odbiciu. Nie chciał tego powiedzieć, ale musiał. To była ich tajemnica, jego i Naela, coś, co bardzo ich ze sobą związało, coś, co odkrył zupełnie przypadkiem. Nael kazał mu przysiąc, że absolutnie nikomu nie zdradzi prawdy. Od tego zależało życie jego matki, która wcale nie pochodziła z basenu Morza Śródziemnego - przynajmniej nie w europejskim rozumieniu tego określenia. Była Palestynką. I również siedziała w więzieniu.

## 11

W Johannesburgu Marika spojrzała na matkę i szeroko się uśmiechnęła.

- Naprawdę? - pisała. - Mówisz poważnie? - Lisette skinęła głową. Siedziały w domu na werandzie, a Hennie kręcił się koło basenu. Był ciepły wiosenny wieczór, powietrze pachniało jaśminem i konwaliami. Poppie właśnie podała lekką sałatkę i schłodzone białe wytrawne wino.

- Tak. - Lisette rozlała wino do kieliszków. - Wylecicie w przyszły piątek, w Londynie będziecie w sobotę rano, a Rianne przyjedzie w sobotę wieczorem. - Z zadowoleniem patrzyła na córkę. Marika świetnie pozdawała egzaminy i zasłużyła na nagrodę: tygodniowy pobyt w Londynie, zakupy, wyjście do teatru, wszystko, co Lisette uwielbiała robić podczas pobytu za granicą. Wszystko, czego - jak narzekała - już nie można robić w kraju.

- Mamo, jesteś najukochańsza. - Marika uściskała matkę. Lisette uśmiechnęła się. Uwielbiała uszczęśliwiać dzieci.

- Mogę to zaraz powiedzieć Henniemu? - Dziewczyna - zerwała się na równe nogi.

- Oczywiście, pewnie, że możesz. Tylko nie wpadnij do basenu, skatjie. Masz nową fryzurę. - Lisette właśnie wydała majątek u fryzjera, gdzie Marice rozprostowywano i strzyżono kręcone włosy. Jej obecne uczesanie było ostatnim krzykiem mody. Córka skinęła głową, z podniecenia nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zeskoczyła z werandy i przez ogród pobiegła do basenu.

Lisette nawet z miejsca, gdzie siedziała, widziała, jak Henniemu pojaśniała twarz. Westchnęła z ulgą. Odkąd kuzynka wyjechała, syn był nie do zniesienia. Szwendął się po domu, bez powodu kłął na Seniego, nawet przytarł zderzak w nowym mercedesie Lisette, kiedy na pełnym gazie cofał z podjazdu. Bardzo się martwiła, że syn w grudniu idzie do wojska, a jednak w duchu musiała przyznać, że było to chyba najlepsze rozwiązanie. Widziała, jak chłopak sprawnie wyskakuje z basenu i ociekając wodą, biegnie przez ogród. Z przyjemnością patrzyła na zgrabną sylwetkę chłopca. Był wysoki, muskularny, silny. Bardziej podobny do Mariusa niż ojca -

pomyślała i natychmiast coś ścisnęło ją w gardle. Pisnęła, kiedy podbiegł do niej, rozpryskując wokół krople wody.

- Och Hennie! - krzyknęła. - Uciekaj! Najpierw się wytrzymaj. Jaka zimna woda!

- Mamo! - Hennie chwycił ją za rękę. - To wspaniale! Naprawdę? W przyszłym tygodniu?

- Tak, tak! Teraz uciekaj i się wytrzymaj. Potem przyjdź i usiądź. Poppie nakryła do stołu. No, ruszaj i uspokój się! - wyganiała syna. Była szczęśliwa: i syn, i córka bardzo się ucieszyli z niespodzianki. Hennie, krzycząc z radości, pobiegł do domu.

- Proszę pani? - Zaciekawiona rozgardiaszem służąca wsunęła głowę w drzwi.

- Nic, nic - ciągle się śmiejąc, Lisette potrząsnęła głową. - Wszystko w porządku. W przyszłym tygodniu jadą do Londynu odwiedzić Rianne. - Poppie uśmiechnęła się, cieszyła się radością dzieci. Lisette wiedziała, że i służąca tęskni za Rianne. Na spotkanie z wychowanką będzie jednak musiała poczekać do świąt Wielkiejnocy, kiedy Rianne przyjedzie do domu. Poppie nigdy nie była za granicą. Prawdę mówiąc, przenosiny z Kapsztadu do Johannesburga były najdłuższą wyprawą, jaką odbyła od czasów dzieciństwa. A tej pierwszej prawie nie pamiętała. Jej rodzina pochodziła z Natalu. Dawno temu zostali przesiedleni w ramach jakiegoś rządowego programu migracji ludności. Poppie nie pamiętała, kiedy to było. Wiedziała tylko, że mieszkała w zwyczajnej, krytej słomą chacie w osadzie, zwanej kraal, gdzieś u stóp gór Drakensberg, a chwilę później znalazła się w obozie przesiedleńców w Khayalitsha. Państwo de Zoete zabrali ją do siebie, kiedy miała dziesięć lat. Przeprowadzka zdawała się jej snem. Nie pamiętała dokładnie, jak to się stało... Jej ojciec spotkał ojca Rianne. Jak go poznał? Nie miała pojęcia. Meneer Marius i jego pierwsza żona stali się jej jedyną rodziną. Lisette nic nie mogła zarzucić, daleko jej jednak było do brata, pana Mariusa. Poppie boleśnie odczuwała jego brak. Na Wielkanoc przyjedzie do domu jej ukochane dziecko, Rianne. Z radości aż klasnęła w dłonie.

Rianne nie rozumiała, co się dzieje. Było środowe popołudnie, a Nael od soboty się nie odezwał. Była pewna, że chłopiec zatelefonuje. Jak zawsze po imprezie, w której udział brali uczniowie męskiego college'u, od niedzieli telefon na pierwszym piętrze praktycznie dzwonił bez przerwy. Jej jednak do aparatu nikt nie poprosił. Nie mogła tego zrozumieć, chłopak wydawał się nią bardzo zainteresowany. Była w kuchni z Gabby, robiły sobie herbatę, kiedy ktoś krzyknął:

- Gabby! Telefon!

Dziewczyna podniosła wzrok. Telefon? Do niej? Nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś do niej zadzwonił do internatu. Odłożyła grzanekę, ściereczką wytarła zatłuszczone masłem palce i wyszła.

- Halo? - powiedziała, ciągle nawet nie domyślając się, kto to mógł być.

- Gabs, mówi Nael.

- Och... cześć! - Poczowała zimny dreszcz. Nael? Serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

- Gabs, chciałbym cię prosić o przysługę. Czy mogłabyś się ze mną spotkać w

Serendipity za jakąś godzinę?

Uhm... - Spojrzała na zegarek. Była za kwadrans czwarta. - Jasne. Ale o co chodzi? Coś się stało? - Serce waliło jak młotem. Chciał się z nią spotkać!

- Wszystko ci wyjaśnię, kiedy się spotkamy. Chodzi o Rianne... trochę mi niezręcznie mówić o tym przez telefon.

- Aha. - Gabby poczuła, że uchodzi z niej powietrze. - Rozumiem. Autobus jest piętnaście po czwartej, zdążę na niego. - Odwiesiła słuchawkę. Oczywiście, że chodziło o Rianne. Jak mogła nawet przez moment pomyśleć, że to z nią Nael chciał się spotkać? Poszła na górę. Z wieszaka na drzwiach zdjęła granatowy płaszcz, wyciągnęła botki i włożyła wełniane skarpety.

Kiedy dotarła do herbaciarni Serendipity, było tam prawie pusto. Nael siedział w głębi sali. Pomachał dziewczynie ręką, kiedy wchodziła do środka. Sprawiał wrażenie zmęczonego i trochę zasmuconego. Piwne oczy chłopca straciły blask. Uśmiechnął się, kiedy podeszła do stolika.

Dzięki, Gabs... jesteś prawdziwą przyjaciółką. Dziękuję, że przyjechałaś. Na dworze jest okropnie zimno.

Gabby odwinęła szalik z szyi. Twarz miała zaczerwienioną z zimna. Skinęła głową.

- O co chodzi? - zapytała, siadając przy stoliku.

- No więc... - Nael powoli mieszał herbatę. - Chodzi o Ree, znaczy o Riitha, nie o Rianne - zaczął, upijając łyk herbaty. - Wiesz, że się przyjaźnimy od... jesteśmy przyjaciółmi od zawsze. - Gabby twierdząco skinęła głową. Chłopcy byli prawie nierozłączni. - Nie podobało mu się, że bawiłem się z Rianne. Ma swoje powody. Wiesz, chodzi o to, że ona jest biała i pochodzi z Republiki Południowej Afryki - ciągnął, ostrożnie ważąc słowa. - Rzecz w tym, że doskonale go rozumiem. Gdyby sytuacja była odwrotna, też tak bym się czuł. Rozmawialiśmy o tym wieczorem po balu i uważam, że lepiej będzie, jeśli nigdy więcej nie spotkam się z Rianne.

- Aha. Rozumiem. Chcesz, żebym jej to powiedziała? - zapytała Gabby. Pomyślała, że właśnie w tym celu prosił ją o spotkanie, że to z tego powodu do niej zadzwonił.

- Powiedziała Rianne? - Chłopak był zaskoczony. - Nie... Pragnąłbym tylko z tobą o tym porozmawiać - wyjaśnił. - Nie chcę, żebyś mnie uważała za kompletnego palanta.

- Aha. - Nie wiedziała, co powiedzieć. Zależało mu na tym, co o nim myśli?

No wiesz, Rianne jest ładna i w ogóle... Gdybym był na miejscu Ree, czułbym to samo...

- Ale nie jesteś - przypomniała.

- Wiem. Nie mogę mu jednak tego zrobić. On jej nienawidzi. To znaczy naprawdę nienawidzi.

- Boże, te przyjaźnie... dla mnie to zbyt skomplikowane - stwierdziła dziewczyna. Nagle bez znaczenia okazał się fakt, iż Nael zatelefonował, żeby porozmawiać o Rianne. Czuła się dobrze w jego towarzystwie, miło było, że się do siebie

uśmiechają, że zachowują się jak... przyjaciele właśnie. Tak, byli przyjaciółmi.  
- Dziękuję, że się ze mną spotkałaś, Gabs. - Godzinę później, kiedy zbliżała się pora zamykania herbaciarni, Nael pochylił się nad stołem i dotknął ręki dziewczyny. - Naprawdę, bardzo jestem ci wdzięczny. Po rozmowie z tobą czuję się znacznie lepiej. Gabby zarumieniła się z radości. Uśmiechnęła się do chłopaka. Jej przyjaźń z Naelem była czymś wyjątkowym - pomyślała, kiedy machała mu na pożegnanie z autobusu. Chłopcy się zmieniali, dziś ten, jutro inny. Tyle wiedziała, obserwując koleżanki - ale prawdziwych przyjaciół miało się na zawsze. Chciała wierzyć, że także ich przyjaźń będzie trwać wiecznie.

## 12

Nathalie wałęsała się po piętrze. Philippe miał się zjawić dopiero o piątej. W dodatku zadzwonił, żeby uprzedzić, iż przyjedzie z kolegą z uniwersytetu. Była zła. Całe lato prawie go nie widywała, ponieważ podróżował po Europie z kumplami ze studiów, a teraz jeszcze będzie musiała się dzielić bratem z jednym z nich. Tego przynajmniej jeszcze nie знаła. Uważała jednak, że koledzy Philippe'a są nudni. Ten pochodził z Malajów czy jakiegoś innego zapomnianego przez Boga zakątka świata. Na imię miał Sasza. Wykrzywiła twarz i otworzyła szafę'. Zaczęła się pakować. Nie ma sensu zabierać do Malmesbury nic modnego. Dwie pary spodni, kilka bluzek. Jej matka co wieczór stroiła się, jakby na kolację mieli przybyć członkowie królewskiego rodu: czarna koktajlowa suknia, złota biżuteria. W Malmesbury! Nathalie uśmiechnęła się pod nosem. Lubiła irytować matkę, siadając do kolacji w dżinsach i starym swetrze. Całe dziesięć dni z matką. Zastanawiała się, jak to wytrzyma. Łączyły ich dziwne stosunki: Nathalie w równym stopniu uwielbiała matkę, jak się jej bała. Pragnęła być taka jak ona, ale nigdy się jej to nie udało. Cordelia Sutton-Farris, poprzednio Bates, a jeszcze wcześniej Maréchal, z domu Weissberg, była piękną kobietą, Nathalie ładną dziewczyną; Cordelia była osobą interesującą, Nathalie rozsądną; Cordelia była niezwykła, Nathalie zwyczajna i nudna. Cordelia z całą pewnością była kobietą nietuzinkową. Nathalie i Philippe wprawdzie stosunkowo niewiele wiedzieli o życiu matki, od czasu do czasu jednak docierały do nich zachwycająco interesujące wzmianki. Dzieci wiedziały, że urodziła się w rodzinie czesko-żydowskiej, gdzieś w pobliżu granicy z Austrią. Została adoptowana przez przyjaciół rodziców, którzy pragnęli uchronić dziewczynkę przed Holocaustem. Dorastała w Wiedniu, do dzisiaj starannie dbała o akcent. Potem przeprowadziła się do Paryża, następnie do Londynu, po drodze - jak to ujmowała - zawierając korzystne małżeństwa. Ojciec Nathalie i Philippe'a, Claude Maréchal, zginął w wypadku samochodowym. Zostawił żonie przyzwoity majątek i dom gdzieś w Dolinie Loary. Młoda i pełna życia



Cordelia nie zamierzała jednak spędzić życia na francuskiej prowincji. W latach sześćdziesiątych Londyn był miastem, w którym należało być, a Cordelia - osobą z którą należało być. Wyszła za mąż za Nicka Batesa, brytyjskiego gwiazdora rocka. Nick, niestety, miał słabość do białego proszku i nastolatek. Zmarł wcześniej i marną śmiercią, a Cordelia została z jeszcze jednym domem, tym razem w Chelsea, w Londynie, i księgowym w średnim wieku, który, najdelikatniej jak potrafił, zawiadomił ją, że jest na skraju bankructwa.

Trzecie małżeństwo, z księgowym, okazało się zaskakująco udane. Clive Sutton-Farris uwielbiał Cordelię, a co ważniejsze - przynajmniej z punktu widzenia Nathalie również jej dwójkę dzieci. Dziewczyna nigdy w życiu nie spotkała człowieka tak cierpliwego, dobrego i kochającego jak Clive. Wszystko potrafił załatwić, szczególnie jeśli chodziło o Cordelię. Był na jej każde zawołanie. Nathalie często się zastanawiała, co ojczym z tego miał. Cordelia wiecznie narzekała, bardzo niezadowolona z życia na prowincji. Clive ją przekonał, żeby sprzedała dom w Londynie i przeprowadziła się z nim do jego rodzinnej posiadłości w Malmesbury. W tygodniu Clive nadal pracował w biurze na Hanover Square w Londynie, ale w czwartkowe wieczory z wielką przyjemnością wracał do dworku „Rosebud”. Uwielbiał spokój i ciszę okolic Wiltshire oraz grę w golfa w sobotnie poranki. Cordelia natomiast uważała, że Malmesbury jest dla niej zbyt zaściankowe. Była od męża jedenaście lat młodsza. Bardzo dbała o wygląd, rygorystycznie przestrzegała diety, chociaż figurę miała dokładnie taką jak dwadzieścia lat temu, czyli w wieku dwudziestu jeden lat. Błyszczące blond włosy ciągle były gęste i lśniące, na twarzy żadnych zmarszczek poza malusieńkimi kresczkami wokół ust, które mężczyźni uważali za niezwykle kuszące.

Rzucano się w oczy, że życie w Malmesbury doprowadzało Cordelię do frustracji. Podczas wakacji matka wyładowywała niezadowolenie na Nathalie, dlatego dziewczyna obawiała się pobytu w domu podczas ferii semestralnych. Miała nadzieję, że Cordelia nadal codziennie jeździ konno, i ta myśl trochę ją uspokoiła. Będzie miała Philippe'a dla siebie przez całe dwie godziny, kiedy w domu zapanuje spokój.

Usłyszała, że Charmaine i Gabby szykują się do wyjazdu. Zbiegła na dół, aby się z nimi pożegnać. Rianne też już była gotowa. We trzy zdecydowały pojechać na stację jedną taksówką. Nathalie pomachała im na do widzenia. W internacie zostało już tylko kilka dziewcząt. Ziewnęła. Postanowiła przespać się ze dwie godzinki. Była pewna, że dobrze jej to zrobi.

Tuż przed piątą jakiś samochód zatrafił przed internatem. Nathalie rozsunęła zasłony w oknie. Na zewnątrz było już ciemno. Wyjrzała na podjazd. Tak! Przed wejściem stał znajomy ciemnoniebieski jaguar, który ojczym kupił jej matce w prezencie ślubnym. Chwyciła torbę i płaszcz, po czym pędem zbiegła na dół. Otworzyła drzwi wejściowe i skoczyła na brata. Nie spodziewał się aż tak entuzjastycznego powitania, zachwiał się i niemal przewrócił do tyłu na schody.

- Muszko! - roześmiał się, prostując. Tak nazywał ją w dzieciństwie.

- Maluszk! - uśmiechnęła się od ucha do ucha. Padli sobie w objęcia. Philippe wziął bagaże i wstawił do kufra.

- Okropnie wyglądasz - otworzył przed nią drzwi. - Co robiłaś?

- Całe popołudnie spałam - próbowała się bronić, siadając na tylnej kanapie. - Strasznie długo tu jechałeś. Wszyscy już się porozjeźdzali. - Spojrzała na osobę na siedzeniu obok kierowcy.

- Muszko, to jest Sasza. Sasza, moja malutka siostrzyczka. - Wsunął się na miejsce kierowcy. Latem zdał egzamin na prawo jazdy Nathalie pomyślała, że musiał długo przekonywać matkę, aby dzisiaj pożyczyła mu samochód.

- Cześć, Malutka Siostrzyczko. - Młody mężczyzna na przednim siedzeniu odwrócił się do tyłu i uśmiechnął. Nathalie zarumieniła się. W ciemności dostrzegła tylko rząd równych, bielusiennych zębów i burzę kręconych, czarnych włosów. Miał dziwny akcent - trochę amerykański, trochę brytyjski z domieszką jeszcze jakiegoś, którego nie potrafiła rozpoznać.

- Cześć - powiedziała swobodnie. - Mam na imię Nathalie, nie Muszka czy Malutka Siostrzyczka.

- Wiem. Philippe dużo mi o tobie opowiadał. - Z tonu głosu wywnioskowała, że się uśmiechał.

- Oj - zachnął się Philippe, uruchamiając silnik. - Jeszcze nie dojechaliśmy do domu, a już mam kłopoty. - Cała trójka serdecznie się roześmiała.

Nathalie odwróciła się i spoglądała na pozostający w tyle Gordon House. Szkoda, że w internacie już nikogo nie było i nikt nie widział jej wspaniałego odjazdu. Philippe wykręcił ogromnym samochodem i ruszył w dół wzgórza. Nathalie przyglądała się profilowi Saszy. Chłopak był wysoki, głową niemal sięgał sufitu auta. Włosy miał zaczesane do tyłu, nos prosty, ładny, kwadratową szczękę - raczej zdecydowaną zgadywała, przyglądając mu się ukradkowo z tylnej kanapy. Nie widziała dobrze jego oczu, spostrzegła tylko błysk ciemnych, czarnych jak smoła źrenic i proste, krzaczaste brwi... W porównaniu z tym niezwykłym nieznanym Stuart Graves nagle wydał się jej strasznie niski i nieciekawym.

- Jesteś w Reading razem z Philippe'em? - zapytała, pochylając się do przodu między fotelami. Chciała jeszcze raz usłyszeć ten dziwny, miękki akcent. Jak to się stało, że nie poznała go wcześniej?

- Aha. Na pierwszym roku byliśmy w tym samym kolegium, wówczas jednak prawie go nie znałem. W ubiegłym roku mieszkaliśmy razem.

- Sasza jest z Kuala Lumpur - rzucił Philippe.

- Aha. - Gdzie jest Kuala Lumpur? - zastanawiała się gorączkowo.

- W Malezji - Sasza odgadł jej myśli. - Mój ojciec jest Malajem, matka Finką.

- Naprawdę? - Nathalie była pod wrażeniem. To pierwszy Malaj i pierwszy Fin, jakiego poznała.

- Tak. Ale wychowywałem się na Malajach. Rodzice są rozwiedzeni. Nathalie uśmiechnęła się radośnie. Mieli ze sobą coś wspólnego. Sasza również pochodził z niepełnej rodziny.

- Nasza mama ponownie wyszła za mąż, ale ojczym to wspaniały facet!

- Rzeczywiście, poznałem go dzisiaj rano. Wasza mama jest bardzo piękna. ' Nathalie się skrzywiła. To prawda, jej matka naprawdę była piękna. Doskonale o tym wiedziała.

- Jak tam Charmaine? - zapytał Philippe, spoglądając na Nathalie we wstecznym lusterku. Na początku wielkanocnych ferii koleżanka siostry spędziła kilka dni w dworku „Rosebud”. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zmysłowa piętnastolatka bardzo się Philippe'owi spodobała.

Doskonale. Pojechała do Londynu spotkać się z Thierrym - ponurym tonem odpowiedziała Nathalie. - Ona to ma szczęście.

- Kim jest Thierry?

- Jej chłopakiem. Chodzi do męskiego college'u. Mają się spotkać dzisiaj wieczorem. Wyobrażasz sobie?! Matka jej na wszystko pozwala. Nasza mama nie puszcza mnie nawet do Cheeltenham - narzekała niezadowolona.

- Teraz będzie inaczej, Nat. Jeśli chcesz, nauczę cię prowadzić samochód. Och! Naprawdę?! - krzyknęła zachwycona. Będzie się uczyć jeździć! Już nie mogła się doczekać, kiedy pochwali się koleżankom!

- Jasne. - Sasza z uśmiechem odwrócił się do tyłu. - Obaj będziemy cię uczyć. - To nic trudnego.

Nathalie poczuła ucisk w żołądku. Myśl, iż siedzi obok Saszy, kiedy on wyjaśnia jej zawiłości prowadzenia auta, była zbyt piękna, żeby teraz dłużej się nad nią zastanawiać. Samochód pędził, połykając kolejne kilometry pagórkowatej okolicy Worcestershire. Oparła się wygodnie na kanapie pokrytej miękką skórą. Może to wcale nie będą złe ferie. Zwinęła się w kłębek i jednym uchem słuchając rozmowy Saszy z Philippe'em, zasnęła.

Było już zupełnie ciemno, kiedy samochód wjechał na podjazd przed posiadłością „Rosebud”. Philippe delikatnie zatrzymał auto i zaciągnął ręczny hamulec.

- Tylko popatrz - powiedział, odwracając się i spoglądając na Nathalie. - Zgasła jak świeczka.

- Ja ją obudzę - zaproponował Sasza, wysiadając z samochodu. - Ojciec pokazał mi tę sztuczkę. Stosuje ten sposób na swoich pacjentach. Popatrz. - Otworzył tylne drzwi, pochylił się nad śpiącą Nathalie, po czym delikatnie palcem wskazującym i kciukiem zaczął masować płatek ucha.

Budziła się wolno, delikatny dotyk powoli wyrywał ją ze snu. Był to bardzo miły sposób powrotu do rzeczywistości. Niejasno - zdawała sobie sprawę z piżmowego zapachu wody po goleniu.

- Przepraszam... Nie słyszałam, o czym rozmawialiście. - Rozespana, uśmiechnęła się do nich niepewnie. - Zrobiło się nudno...

- Z nami? Nudno? - Philippe serdecznym gestem zmierzwił jej włosy. - Chodź, kolacja czeka. Daj torby. - Podała mu bagaż i podążyła za chłopcami do domu.

- Nathalie! - wykrzyknęła matka i cała w uśmiechach wyszła ich przywitać. - Kochanie, sprawiasz wrażenie bardzo zmęczonej! I co zrobiłaś z włosami? Wyglądają strasznie! - Szybko przytuliła rozdrażnioną córkę i zwróciła się do dwóch młodzieńców: - Chodźcie, wchodźcie - zapraszała, biorąc Saszę i Philippe'a pod rękę. Uroczego przyjaciela syna poznała przed południem. Odwróciła się do córki. - Nathalie, poproś Janice, żeby zaniósła twoje bagaże do pokoju. To wszystko? A co się stało z tym ślicznym płaszczykiem, który kupiliśmy zeszłej zimy? Co ty masz na sobie?

- Och mammo! - zirytowała się Nathalie. Nawet pięciu minut nie była w domu! Wolę ten płaszcz. Jest cieplejszy. Bez wyrazu - skrzywiła się Cordelia. - W poniedziałek wybierzemy się po zakupy, *bien*?

- Dobrze, jak chcesz - mruknęła dziewczyna i odwróciła wzrok. Czemu matce zawsze - ale to zawsze - udawało się sprawić, że czuła się równie atrakcyjna jak... jak mucha? Olśniewające europejskie maniery Cordelii - malutkie *bien*, zamiast dobrze, *Schatz* zamiast skarbie, które tu i ówdzie wtrącała - brzmiały czarująco, szalenie wytwornie. Kiedy tylko matka otwierała usta, Nathalie czuła się jak prowincjonalna gaska. Tak nie powinno być, to nie fair. Philippe odwrócił się do siostry i puścił do niej oczko.

- Witaj, kochanie! - W holu pojawił się Clive Sutton-Farris. - Wydawało mi się, że słyszę twój słodki głosik.

- Clive! - Nathalie uściskała ojczyma. - Tak się cieszę, że jesteś. Myślałam, że przyjedziesz dopiero jutro!

- Nie mogłem się doczekać, kiedy was oboje zobaczę - wyjaśnił. Żałował, że nie widział, jak dorastają jego własne dzieci, a pasierba i pasierbicę szczerze lubił. - Kto się czegoś napije? - Odwrócił się, żeby powitać Philippe'a i Saszę. Z Philippe'em wymienili galicyjskie pocałunki. Bardzo mu się podobał ten niemiecki zwyczaj kultywowany przez Cordelię i jej dzieci. Wziął do ręki ciężką kryształową karafkę. Była szczególna okazja: cała rodzina w domu. Trącił się kieliszkiem z Philippe'em. - Cieszę się, że wróciłeś. Samochód w jednym kawałku?

- Clive, Philippe wspaniale prowadzi - zachwycała się Nathalie. - Będzie mnie uczył jeździć!

- Dobry Boże, nie! - przekomarzał się z nią ojczym. Philippe i Sasza popatrzyli na siebie porozumiewawczo i wymienili uśmiechy.

- Kochanie, chyba powinnaś wziąć kąpiel przed kolacją i włożyć na siebie coś ładnego? - przerwała Cordelia, patrząc znacząco na córkę.

- Po co, mammo? Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Nie, no wiesz, kochanie... dzinsy? Doprawdy, *mein Schatz*. Janice poda kolację o ósmej, masz godzinę.

- Daj jej skończyć drinka, Cordy - łagodnie wtrącił Clive. - Biedactwo dopiero przyjechało.

Cordelia zmarszczyła brwi. Mąż zawsze natychmiast stawał w obronie pasierbicy.

- Zaraz pójde - niespodziewanie skapitulowała Nathalie. Popatrzyła na matkę: prosta czarna wieczorowa sukienka, cienkie pończochy, czarne pantofle na wysokim obcasie i nienaganne uczesanie... Może rzeczywiście powinna włożyć sukienkę. Na pewno znajdzie coś w szafie. Boże, ależ matka działała jej na nerwy! Wypiła duży łyk sherry.

- Bardzo dobrze, skarbie - uśmiechnęła się Cordelia. - Pójde zobaczyć, jak Janice sobie radzi.

Z wdziękiem oddaliła się w kierunku kuchni. Clive zaprosił Philippe'a i Saszę do salonu.

Nathalie skończyła drinka i pobiegła na górę wziąć kąpiel.

Wlała do wanny sporą porcję ulubionego zapachu Cordelii: Chanel No. 19. Jedną jedyną rzecz lubiła u swojej matki: jej toaletkę. Rozebrała się i ostrożnie weszła do pachnącej piany. Zanurzyła się w wodzie i przymknęła oczy. Przez chwilę pomyślała o Stuarcie Gravesie i jego niezdarnych próbach pocałowania jej w ubiegłym tygodniu. A potem z rozmarzeniem myślała o Saszy. Całe dziesięć dni...

- Nathalie! - krzyknęła Cordelia z dołu, przerywając zadumę córki. Z poczuciem winy wygramoliła się z wanny i owinęła ogromnym ręcznikiem. Korytarzem pobiegła do swojego pokoju. Otworzyła drzwi szafy i szybko przejrzała jej zawartość. Wybrała sukienkę z dzianiny w cytrynowym kolorze i skromne czarne pantofelki - nic specjalnie wytwornego. Szybko się ubrała i przejechała szczotką po kręconych włosach. Przyjrzała się sobie w lustrze. Lepiej... może nawet bardzo ładnie. Nałożyła po kropelce perfum za uszami i zbiegła na dół.

- Znacznie lepiej, *mein Schatz*. - Cordelia uśmiechnęła się łaskawie, kiedy Nathalie weszła do salonu. W kominku płonął ogień, Philippe i Sasza podziwiali zbiór starych obrazów o tematyce marynistycznej, będący własnością Clive'a. Nathalie usiadła obok ojczyma na ogromnej, jasnoniebieskiej kanapie i z oddali przyglądała się matce. Po raz nie wiem który zastanawiała się, jak ona to robi, że w ogóle się nie starzeje. Cordelia wyglądała prześlicznie: pełna wdzięku pani domu z dużym obyciem towarzyskim. Długim palcem zakończonym ciemnoczerwonym paznokciem poprawiła delikatny złoty naszyjnik.

- Możemy? - spytała młodych mężczyzn. Obaj, odrobinę skonsternowani, odwrócili się do niej. Tematyka marynistyczna nie była mocną stroną Cordelii. Wstała i ponownie wsunęła rękę pod ramię Saszy. Clive uśmiechnął się do Nathalie i podał jej ramię. Cała piątka przeszła do eleganckiej jadalni.

Kolacja była wytwornym, celebrowanym posiłkiem: pięć dań i nieustanna zmiana nakryć. Biedna Janice biegała między jadalnią a kuchnią, pilnując, żeby wszystko gładko poszło. Nad całością czuwała Cordelia. Na szczęście było dużo wina. Pani domu zabawiała wszystkich przy stole, opowiadała ciekawe historyjki o ludziach i

miejskach, które znała. Blond włosy lśniły w świetle ognia, stanowiły błyszczącą, pełną blasku oprawę owalnej twarzy. Jadła niewiele: „dbam o linię” - mówiła figlarnie. Clive uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni. Wolałby, żeby miała troszkę więcej ciała - te sterczące kości i ćwiczenia na mięśnie brzucha. Przeżywał katusze, patrząc, jak się gimnastykowała.

- Po kolacji przeszli do salonu na drinka. Philippe i Sasza przeprosili i zaczęli się żegnać. Wstali bardzo wcześnie, żeby zdążyć na pociąg do Malmesbury, no i jeszcze odbyli długą drogę w tę i z powrotem po Nathalie... Mam nadzieję, że miło spędzisz u nas czas - zwróciła się Cordelia do Saszy. Wstała i odprowadziła chłopców do drzwi. - Wiesz, w Malmesbury niewiele się dzieje, ale może jeździsz konno? Nathalie ze złością spojrzała na matkę. Kiedy miała dziewięć lat, spadła z Midgeta, swojego kucyka, i od tej chwili nie chciała wsiąść na konia. Philippe i Clive również nie byli wielkimi miłośnikami jazdy konnej.

- Tak, tak, jeżdżę - Sasza radośnie uśmiechnął się do Cordelii. - Nie wiedziałem, że trzymacie państwo konie.

- Och, mój drogi - roześmiała się Cordelia odrobinę zbyt nerwowo. - Tylko to tutaj mamy. Musimy wybrać się razem na przejażdżkę. Może jutro? Wczesnym rankiem okolica wygląda najładniej.

- Z wielką przyjemnością - zgodził się Sasza. Philippe wyglądał na zadowolonego - matka z reguły ignorowała jego przyjaciół. Nathalie usiadła na kanapie obok Clive'a. Poczwała wściekłą zazdrość. Była prawie gotowa złamać przyrzeczenie sprzed siedmiu lat i pojechać z nimi. Prawie, ale nie zupełnie. Przez resztę wieczora była zaskakująco cicha i uciekła do swojego pokoju, kiedy tylko uznała, że już wypada opuścić rodziców.

- Na pewno chcesz wstać tak wcześnie, kochanie? - z troską zapytał Clive żonę, kiedy przygotowywali się do snu. - Wiesz, w końcu to pierwszy dzień wakacji... Oczywiście, że chcę - zapewniła Cordelia, kremując twarz i szyję. - Nigdy ze mną nie jeździsz, a przecież wiesz, jak bardzo lubię tę porę dnia. Nie bój się, nie pojedziemy daleko.

- No cóż, jeśli tak uważasz... - Clive wziął spodnie i starannie je złożył, tak jak to czynił od jedenastu lat.

- Tak uważam - Cordelia podniosła się sprzed toaletki. Idąc do łazienki, uśmiechnęła się zwyczajnie do męża. - Za bardzo się wszystkim przejmujesz. - Clive odwzajemnił uśmiech i sięgnął po piżamę. Jego żona zniknęła za drzwiami łazienki. W łazience cichutko przekręciła blokadę w drzwiach i zdjęła brzoskwiniowy jedwabny szlafrok. Naga stanęła przed lustrem w złoczonej ramie i spod krzesła wyciągnęła łazienkową wagę. Weszła na nią i z niepokojem spojrzała na licznik. Znakomicie. Nawet grama więcej niż wczoraj czy przedwczoraj. Przeglądała się w dużym lustrze, zadowolona ze swojego wyglądu. Brzuch miała idealnie płaski, nawet patrząc z profilu, a piersi okrągłe i jędrne.

Uśmiechnęła się do własnego odbicia, uniosła do piersi palec z pomalowanym na czerwono paznokciem i zaczęła masować sutek. Brodawki stwardniały, Cordelia usiadła na zabytkowym krześle koło wanny i rozsunęła uda. Szybкими, wprawnymi ruchami doprowadziła się do rozkosznego orgazmu, tak jak to czyniła co wieczór od jedenastu lat. Pozwoliła sobie na ciche westchnienie. Sasza. Uśmiechnęła się do siebie i sięgnęła po szlafrok. Spojrzała na zegarek. Wieczorny rytuał zajął niespełna dziesięć minut. Przy odrobinie szczęścia Clive będzie już spał.

## 13

Nathalie była w złym, bardzo złym humorze. Wakacje nie okazały się tak miłe, jak się początkowo zapowiadały. Była połowa tygodnia. Clive spędzał całe dni w Cheltenham, wracał dopiero na kolację i wyjeżdżał wcześniej rano. Pracował nad jakąś poważną sprawą. Wyglądał na zmęczonego. Philippe'a i Saszy nigdy nie było, Nathalie nie miała pojęcia, gdzie się podziewali. Tylko w niedzielę wieczorem poszli razem do pubu, poza tym chłopcy w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Matka po porannej przejażdżce z Saszą - co stało się codziennym zwyczajem - resztę dnia spędzała w łóżku. Pojawiała się dopiero w porze kolacji, ubrana nawet bardziej elegancko niż zwykle, i bezczelnie flirtowała z przystojnym gościem. A Sasza był przystojny. Zauroczona nim Nathalie uważała, że jest najbardziej niezwykłym chłopakiem, jakiego poznała. W tych rzadkich chwilach, kiedy Sasza i Philippe byli dostatecznie długo w domu, żeby mogła z nim porozmawiać, zawsze pragnęła, aby te chwile nigdy się nie kończyły. W porównaniu z ich życiem jego było znacznie bardziej ekscytujące. Matka Finka - nieważne, że uciekła do Finlandii zaraz po urodzeniu syna - ojciec Malaj, zamożny, uprzywilejowany, on absolwent amerykańskiej szkoły w Kuala Lumpur, potem wysłany do szkoły z internatem w Anglii, przed studiami na uniwersytecie spędził rok w podróży dookoła świata... Zdaniem Nathalie tak właśnie wyglądało wspaniałe, pełne przygód życie. Natomiast Sasza traktował wszystko zupełnie normalnie, dla niego to było... po prostu jego życie.

Kopnęła kamyk. Dochodziła jedenasta, dzień był pochmurny, w powietrzu wisiła burza. Przeszła przez dziedziniec i zajrzała do kuchni. W środku nikogo nie było, nawet Janice. Na kuchence coś się gotowało. Otworzyła szafkę i wyjęła paczkę ciasteczek. Postanowiła poszukać czegoś do czytania. Udała się do salonu i wzięła jedną z należących do matki, a ciągnących się w nieskończoność powieści o miłości. Ponownie wyszła na wysypany żwirem dziedziniec i skierowała się do drugiego rzędu pustych stajni. Od dawna lubiła chować się na ich wysokim poddaszu. Na początku, kiedy tylko zamieszkali w posiadłości „Rosebud”, całe godziny spędzała tam ze starym kocem i ciekawą książką. Tu skrywała się przed docinkami i złym

humorem matki. Z czasem wyposażyła swoje maleńkie gniazdko w starą kanapę i - mimo sprzeciwów matki ze względu na ryzyko pożaru - niewielki piecyk. Chrupiąc ciasteczka, usadowiła się na kanapie, nogi okryła kocem i otworzyła książkę. Chwilę później ze smutnej rzeczywistości przeniosła się w świat wielkich namiętności, intryg i zrad.

Początkowo sądziła, że ciche jęki i westchnienia, jakie mimowolnie słyszała, są wytworem jej wyobraźni. Odłożyła książkę, zaniepokojona szelestem gdzieś na dole. Robiło się ciemno, przez świetlik w dachu do środka docierało coraz mniej światła. Zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta. Siedziała tu od kilku godzin. W pustej stajni rozległ się jęk. Nathalie na kolanach zbliżyła się do brzegu podestu i spojrzała w dół.

Zachwiała się i niemal straciła równowagę. Tuż pod sobą w mdłym świetle zobaczyła własną matkę. Zmierzwiłone blond włosy rozsypały się na kocu, na którym leżała na pół naga. Nathalie sapnęła z zaskoczenia, kiedy obok rozpoznała kruczoczarne, kręcone włosy. Sasza. Zamarła z wrażenia, nie była w stanie ani się ruszyć, ani oderwać od nich oczu. Kobieta uśmiechała się błogo, ujęła rękę chłopaka i położyła ją sobie na brzuchu... niżej... niżej. Nathalie coś ścisnęło w gardle.

- O tak - szeptała Cordelia z rozmarzeniem i odwróciła twarz do Saszy. Roześmiał się cichutko.

Nagle muskularne plecy zasłoniły ciało matki, rozsunał jej nogi i wszedł w nią. Zaległa głucha cisza. Nathalie oderwała wzrok i odsunęła się. Słyszała ciężki oddech Saszy i westchnienia matki. Rękoma zasłoniła uszy. Drżała. Znalazła się w pułapce.

Jedyna drabina znajdowała się tuż przed parą na dole. Dziewczyna stała bez ruchu, dłonie mocno przyciskała do uszu. Płynęły minuty, słyszała bicie własnego serca.

- *Kom, Schatz* - usłyszała w końcu głos matki. - Niedługo wróci Philippe, a gdzie podziewa się Nathalie, nie mam nawet zielonego pojęcia. Lepiej wróćmy do domu. Pójdę pierwsza, a ty wymknij się tamtymi drzwiami. Oczekaj chwilę, dobrze?

Rozległ się szelest ubrania i zgrzyt zasuwanego zamka błyskawicznego. Nathalie usłyszała skrzyp otwieranych ciężkich dębowych drzwi, potem kroki Cordelii na dziedzińcu. Sasza odetchnął głęboko i kilka sekund później również wyszedł.

Nathalie poczuła, że nogi się pod nią uginają. Musiała usiąść. Twarz jej płonęła. Serce waliło opętańczo, dłonie miała wilgotne ze wstydu i zażenowania. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała na własne oczy. Sasza? Robił to z jej matką? Poczowała spływające po policzkach łzy. Czy będzie mogła spojrzeć im w oczy? Pierś zaczęła drżeć spazmatycznie, szlochała. Ogarnął ją wstyd i strach, czuła mdłości i wielką słabość. Wydawało się jej, że całą wieczność siedziała na kanapie, łzy spływały po twarzy, rozum nie mógł pojąć tego, co widziała.

Wieczór był okropny. Łapała się na tym, że ciągle przygląda się matce. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że Cordelia zachowuje się zupełnie normalnie, nadskakuje Clive'owi, małymi łykami popija wino, pyta Nathalie, jak jej minął dzień. Była po prostu sobą - uroczą i uwodzicielską. Chwilami Nathalie zastanawiała się, czy nie



wyobrazila sobie całego incydentu. Uważnie przyglądała się Saszy, ale jego oczy również niczego nie zdradziły. Czyżby oszalała?

\*

- Przyjechała! - krzyknęła Marika od okna, przy którym czatowała od godziny. Robiło się ciemno, Dinah przed chwilą pozapalała lampy. Duży salon, dwa razy większy niż pozostałe pomieszczenia, z ogromnymi kanapami oraz głębokimi, skórzanymi fotelami, był przytulny i elegancki. Bardzo się jej podobało, że w tak krótkim czasie można przenieść się ze skąpanego w słońcu Johannesburga do mrocznego, ponurego Londynu. Tyle tylko, że było zimno. Miała na sobie dzinsy, dwa podkoszulki i wełnianą kamizelkę w kolorze burgunda, wełniane skarpety i jeden z kaszmirowych szalów Lisette, chociaż w domu, jak na angielskie warunki, wcale nie było zimno. Wręcz odwrotnie. Zaraz po przyjeździe Hennie sprawdził, gdzie jest termostat, i nastawił go na wyższą temperaturę. Spacerował po domu, jakby nadal był w kraju: w koszulce do gry w rugby i bawełnianych spodniach. Teraz biegł korytarzem. Przyjechała Rianne.

- Sza! - upomniała go Marika i wciągnęła do wnęki za zasłoną przy oknie. Słyszeli, jak Dinah wita Rianne, potem dźwięk wciąganej po schodach torby.

- Są dla mnie jakieś wiadomości? - zapytała córka Mariusa, stawiając torbę w holu. Potem Dinah zanieśe bagaż do jej pokoju.

- Nie, ale przyszedł list. Leży w salonie na stoliku do kawy - powiedziała służąca, tak jak prosiła ją Marika.

- Naprawdę? - Rianne nie miała pojęcia, kto mógł do niej napisać na adres Wilton Crescent.

Za zasłoną Marika z trudem tłumiała śmiech. Było to trochę dziecinne zagranie.

- Niespodzianka! - krzyknęła, kiedy kuzynka podchodziła do stolika do kawy.

Rianne podskoczyła, na sekundę odjęło jej mowę. Mocno objęła kuzynkę na powitanie, potem odwróciła się do Henniego.

Zatrzymał się trochę z tyłu, był jakiś inny.

- Cześć - zarumienił się i wzruszył ramionami. - Ten list to był jej pomysł. Ręką wskazał siostrę.

Rianne roześmiała się. Wszystko jedno, czyj był to pomysł, lepszej niespodzianki nikt nigdy jej nie sprawił!

- Na długo przyjechaliście? Odkąd tu jesteście? A gdzie Lisette? - pytania padały jedno po drugim.

- Jest w Nowym Jorku. Wraca do Johannesburga tydzień po nas. Mamy prawie trzy tygodnie wolności! - oświadczyła Marika z szerokim uśmiechem.

- To prezent pożegnalny dla Henniego.

Brat rzucił jej gniewne spojrzenie. Nie lubił, kiedy mu przypomiano, że idzie do wojska.

- Co będziemy robić? Co chcecie robić? - zapytała Rianne, spoglądając na zegarek. Dochodziła szósta. Miała wielką ochotę gdzieś z nimi wyjść. Po więzieniu, w którym była zamknięta, chciała udać się w jakieś miłe miejsce, gdzieś, gdzie bywają dorośli. - Chodźmy do baru!

Marika zrobiła niepewną minę. Niespecjalnie lubiła bary. Przekonała ją dopiero rozjaśniona zadowoleniem mina kuzynki, kiedy Hennie wyraził zgodę. Wszystko jedno, gdzie pójdą... chciała dowiedzieć się wszystkiego - jak to nazwała - „przygodach” Rianne w angielskiej szkole i, naturalnie, o balu. Miała nadzieję, że kuzynka zrobiła sobie kilka zdjęć w pięknej balowej sukience. W jej mniemaniu życie Rianne nagle zmieniło się w jedną z tych przepięknych historii Enid Blyton o szkole z internatem, które czytała, mając dwanaście lat. Cała trójka poszła do kuchni. Na szczęście Dinah miała nastoletnią córkę, która znała wszystkie „miejsca, gdzie można się było zabawić, i wiedziała, jak do nich dojechać.

W domu w Pimlico, w ładnym, nieco zbyt upiękuszonym drobiazgami mieszkaniu, które dzieliła z matką, Charmaine nerwowo chodziła od ściany do ściany. Była w swoim pokoju, ale niecierpliwie nadśluchiwała, czy trwająca ponad godzinę rozmowa telefoniczna matki dobiega wreszcie końca. Miała ochotę wrzasnąć: „Odłóż słuchawkę! Thierry może dzwonić!” Przygryzła wargi. A jeśli już zrezygnował? Słyszała, że matka gawędzi w najlepsze, i wzniosła oczy do nieba. Mary Hunter mogła gadać w nieskończoność.

- Mamo! - Nie mogąc znieść tego dłużej, dziewczyna wsadziła głowę w drzwi. - Błagam! - prosiła. Chwileczkę, Charmaine - szepnęła Mary, zakrywając dłonią mikrofon. - Już kończę.

- To samo mówiłaś godzinę temu - żaliła się córka. - Czekam na telefon. To koleżanka zadzwoni jeszcze raz później - powiedziała Mary i wróciła do przerwanej rozmowy.

- Mamo! Czekam na telefon od Thierry'ego! - lamentowała dziewczyna. Później może nie zadzwonić! Na miłość boską, Charmaine! - zdenerwowała się Mary i machnęła ręką w kierunku córki. - Betty, muszę kończyć - powiedziała do słuchawki. - Pewna dama czeka na telefon. Książę z bajki może dzwonić - dodała znacząco. Dziewczyna za plecami matki zrobiła groźną minę. - Zadzwoń później. Jak już książę się do nas dodzwoni.

- Na pewno zadzwoni. To nie twój chłopak - wytknęła matce Charmaine. Mary oblała się pąsem.

Dziewczyna ze złością poszła z powrotem do swojego pokoju. Mężczyźni byli drażliwym tematem w rozmowach matki i córki. Charmaine nigdy nie przestała obwiniać Mary za odejście ojca. Zostawił je dziewięć lat temu, a córka nadal śniła o

nim po nocach. Charlie Hunter pewnego ranka po prostu wyszedł do pracy i już nigdy nie wrócił. Nie zostawił żadnej kartki, żadnego wyjaśnienia, nic. Miesiąc później Mary otrzymała od niego list. Charlie był w Nowej Zelandii i rozpoczął nowe życie. Przepraszał, ale twierdził, że dłużej już nie mógł. Zadbął, żeby Mary i Charmaine niczego nie brakowało: pierwszego każdego miesiąca - bez pudła, bez wyjaśnień i bez najmniejszej wskazówki co do nadawcy - dostawały czek wystawiony przez szwajcarski bank i wysyłany z Zurychu. Ojciec Mary, którego Charmaine prawie nie pamiętała, również zostawił córce pokaźny spadek i dzięki temu mogła ona wieść wygodne życie, do jakiego była przyzwyczajona. Nie miało to jednak większego znaczenia. Liczyło się to, że Charlie Hunter, którego poślubiła w wieku osiemnastu lat, ją porzucił.

Nowe życie. Charmaine miała wówczas siedem lat i nie potrafiła zrozumieć, co się za tym kryje. Zadawała mnóstwo pytań, na które Mary nie umiała odpowiedzieć. Nowe życie? Jak można postanowić, że rozpoczyna się nowe życie? A co się dzieje ze starym? Czy założył nową rodzinę? Czy miał inną małą córeczkę? Kogoś innego, komu opowiadał bajki na dobranoc i sadzał sobie na kolanach, kiedy wracał do domu po pracy? To ona była malutką córeczką tatusia, kochał ją - tak przecież powtarzał dziesięć razy dziennie. Co Mary mu zrobiła?

Łatwo było winić matkę; zrozpaczona, zapłakana Mary w oczach córki była przyczyną nieszczęścia. Jednak nocą, kiedy światła pogaszono i do głowy przychodziły najdziwniejsze myśli, Charmaine, wbrew samej sobie, nie mogła nie zastanawiać się, czy przypadkiem to nie ona była powodem odejścia ojca. Może coś zrobiła albo powiedziała? Może nie spełniała jego oczekiwań, nie była dostatecznie ładna, nie dość często się uśmiechała... albo uznał, że jest zbyt gruba? Kilka miesięcy przed zniknięciem Charlie narzekał, że córka zaczyna być zbyt ciężka, żeby siadać mu na kolanach; mówił o niej „mój słodki ciężar”. Charmaine często ukrywała twarz w poduszce i płakała.

Zanim córka stała się podlotkiem, Mary spotykała się z wieloma nieodpowiednimi mężczyznami. W domu pojawiali się wujkowie: Justin, Henry, Peregrine, i wszyscy znikali, znudzeni nieznośną uprzejmością Mary, zirytowani rozmowami, które zawsze kończyły się płaczem i wspomnianiem Charliego - męża, który ją porzucił. Wnioski, zdaniem Charmaine, nasuwały się same i były oczywiste. Matka postępowała niewłaściwie. W skromnych bliźniakach i sznurze pereł, ze starannie polakierowanymi włosami i zdrowym obuwiu na płaskim obcasie ze złotymi klamerkami roztaczała wokół siebie matczyne czar przyprawiony szczyptą rozpacz. Dziewczyna uznała, że uprzejmość i desperacja do niczego nie prowadziły. Osobiście sprawdziła, że właściwym sposobem był seks i znudzona obojętność. Dwa lata temu, latem, kiedy skończyła czternaście lat, z przyjemnością spostrzegła zakłopotanie jednego z konkurentów matki, kiedy na nią patrzył. Siedziała z nimi i popijała wino. W pewnej chwili oblizła językiem wargi - bynajmniej nie celowo - a

kiedy ich oczy się spotkały, facet spurpurowiał. Od tej pory było łatwiej. Każdego następnego lata jej spódniczki były odrobinę krótsze, bluzka niezapięta na trzy, a nie na dwa guziki od góry, podkoszulki coraz bardziej przylegające do ciała. Z pełnego pożądanego wzroku mężczyzn, którzy przychodzili zabrać Mary na kolację czy do teatru, wniosowała, że woleliby zostać na kanapie projektu Laury Ashley, na której z podkulonymi nogami siedziała nastolatka.

Tak, seks był skuteczną bronią a Charmaine w wieku szesnastu lat wiedziała, jak jej używać. Potrafiła zdobywać mężczyzn i umiała mścić się na nich. Nie była najładniejszą dziewczyną w szkole Świętej Anny, szczególnie od kiedy pojawiła się Rianne, natomiast na pewno miała najwięcej seksapilu. W herbaciarni Serendipity chłopcy z college'u robili wszystko, żeby usiąść przy jej stoliku.

Kochanie! - krzyknęła Mary Hunter, wyrrywając córkę z zadumy. - Telefon do ciebie, jakiś Thierry czy ktoś taki.

Charmaine wyskoczyła z pokoju i wyrwała matce słuchawkę. Chwilę pottrzymała ją przy piersi - nie chciała, aby usłyszał, że nie może złapać oddechu. Dwie minuty później zakończyła rozmowę. Szczęście miała wypisane na twarzy. Thierry, jak obiecywał, umówił się z nią w Chelsea, ale to nie wszystko. Miał się również spotkać z Naelem i Ree oraz kilkoma innymi chłopakami z męskiego college'u. Wszyscy spędzali przerwę semestralną w Londynie. Czy będzie jej to przeszkadzało? Charmaine z podniecenia mocno zacisnęła powieki. Czy będzie jej przeszkadzało? Oszalał czy co? Pobiegnęła z powrotem do swojego pokoju i otworzyła szafę. W co się ubrać? Coś obcisłego i z dużym dekoltem - zdecydowała i pospiesznie ściągała sukienki z wieszaków.

Dziesięć minut później była gotowa. Wcisnęła się w bardzo wąską czarną sukienkę z dżerseju, która ledwo dopinała się na piersiach; w najszerszym miejscu musiała zapięcie między guzikami wzmocnić agrafką. Spod łóżka wyciągnęła ulubione zamszowe botki. Wokół szyi zawiązała apaszkę w białe - niebieskie pasy i uznała, że wygląda fantastycznie. Chwyciła palto i poszła do salonu.

- Kochanie - Mary skrzywiła się na widok stroju córki. - Ta sukienka... - zaczęła z wahaniem. - Nie sądzisz, że jest trochę zbyt obcisła? Widać ci stanik... Mamo, właśnie taka ma być. Jest modna - pogodnie oświadczyła Charmaine, wciągając rękawiczki. - Na pewno wrócę przed północą.

- Już dobrze. Ale weź taksówkę, dobrze? I Thierry niech cię odprowadzi pod same drzwi. O tej porze po ulicach kręcą się różne typy.

- Dobrze, mamo - zgodziła się dziewczyna.

- Wujek Justin może wpaść na drinka - krzyknęła jeszcze Mary za oddalającą się córką. - Pewnie jeszcze będziemy na nogach, kiedy wrócisz - dodała.

Charmaine wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Już się postara wrócić grubo po północy. Nie ma ochoty widzieć, jak wujkowi Justinowi trzęsą się ręce, kiedy podaje jej drinka. Wezwała taksówkę.

Gdybym umarła w tej chwili, byłabym szczęśliwa - pomyślała Charmaine, widząc,

jak Thierry, Ree i Nael przechodzą przez King's Road i idą w jej kierunku. Pełnia szczęścia. Siedziała przy oknie w Blushes, swojej ulubionej kawiarni, przy - zdaniem dziewczyny - najpiękniejszej ulicy świata, chociaż prawdę powiedziawszy, niewiele go widziała. Podniosła rękę i pomachała chłopcom. Pierwszy dostrzegł dziewczynę Thierry i również pozdrowił ją z entuzjazmem. Ree i Nael zachowali swój zwykły spokój. Był z nimi jeszcze jeden mężczyzna. Charmaine ściągnęła brwi. Aha, to ochroniarz Ree. Czyżby też zamierzał do nich dołączyć?

- Cześć, Charmaine - powitał ją Thierry, zdejmując szalik. Ucałował ją w oba policzki. - Długo czekasz? - zapytał.

- Dopiero przyszłam. Cześć, Ree - powiedziała. Z przyjemnością zauważyła, że w kawiarni wszyscy się im przyglądali. Stanowili interesującą grupę. Trzej młodzi mężczyźni bardziej nie mogli się od siebie różnić: Thierry miał jasną karnację, blond włosy, paryskie maniery, szkocką chustkę na szyi i ciemnoniebieski trencz; Ree - czarną jak smoła skórę i równie czarne oczy, krótko obcięte włosy, markowe czarne dżinsy i czarny płaszcz; Nael natomiast - oliwkową cerę, piwne oczy i kręcone, kasztanowe włosy. Każdy z nich prezentował się tak wspaniale, że...

- Cześć - Nael pochylił się, żeby pocałować ją na powitanie. Ree nawet nie drgnął. Zawiedziona Charmaine usiadła na swoim miejscu. Ochroniarz przewodniczącego zajął stolik w pobliżu. Sytuacja była zbyt podniecająca, żeby można ją opisać słowami. Podszedł kelner. Tak, dziękuję, chętnie napiję się drinka, prosi o Krwawą Mary. Słyszała, jak inne dziewczęta ją zamawiały, nazwa brzmiała niezwykle światowo. Ree i Nael zamówili piwo, a Thierry lampkę wina. Ochroniarz pił wodę.

- Nie czujesz się niezręcznie - Charmaine zwróciła się do Ree, podczas gdy kelner podawał im drinki - kiedy on tak bez przerwy przy tobie się kręci? - Wskazała ochroniarza.

- Przyzwyczailem się. - Chłopak wzruszył ramionami.

- A czy zdarzyło się kiedykolwiek... no, wiesz, żeby do ciebie strzelano albo coś w tym rodzaju?

- Nie! - Ree najwyraźniej nie chciał ciągnąć tematu.

Zobaczysz się z Rianne? - zapytała, zwracając się do Naela. Pamiętała szkolny bal.

- Nie. - Nael się zarumienił. Zapadła cisza. Charmaine sęczyła drinka. Och.

Rozmowa nie toczyła się tak gładko, jak oczekiwała. Thierry siedział obok niej, rękę położył swobodnie na oparciu krzesła dziewczyny. Uśmiechnęła się do niego, odpowiedział uśmiechem. Podobała mu się i doceniał jej towarzystwo, nawet jeśli na pozostałych dwóch nie robiła wrażenia. Przysunęła się bliżej.

O jedenastej Charmaine była pijana. Wypiła dwie krwawe mary, lampkę wina, kieliszek tequili i jeszcze jeden kieliszek wina. Nael radził, żeby nie mieszała trunków, ale zignorowała delikatne ostrzeżenia kolegi. Nael i Ree pożegnali się około dziesiątej. Ochroniarz odszedł z nimi. W rzeczywistości wieczór nie spełnił jej nadziei. Ree i Nael prawie cały czas rozmawiali tylko ze sobą, zostawiając

Thierry'emu wolną rękę. Chłopak nosem muskał jej ucho, dłonią wodził po udzie i z zadowoleniem patrzył, jak wychyla jednego drinka po drugim.

- Pójdziemy, *cheriel* - zapytał, kiedy dzwonek oznajmił przyjmowanie ostatnich zamówień. - Słucham? Do domu? - wymawiała słowa trochę niewyraźnie. Thierry próbował szybko zebrać myśli. *Merde*, cholera... Jego ciotka i wujek byli w domu, do niego nie mogli pojechać. Wiedział, że Charmaine mieszka z matką. Do hotelu? Nie w tej okolicy. Nie stać go było na taki hotel.

- Nie, może nie. Chciałabyś jeszcze gdzieś pójść?

- Naprawdę... gdzie? - rozjaśniła się Charmaine. - Na imprezę?

- No, niezupełnie. Możemy zorganizować sobie swoją własną imprezę, tylko my dwoje...

- Dobrze, ale gdzie? U mnie jest mama, chociaż pewnie już śpi.

- Może pójdziemy do hotelu? - ośmielił się zaproponować Thierry.

- Do hotelu? Dobrze... ale którego?

Charmaine nie mogła utrzymać się na nogach. Podtrzymał ją w talii i pomógł włożyć palto.

- Zobaczymy. Złapiemy taksówkę. - Pomógł jej wyjść z kawiarni. Po kilku godzinach w zadymionym, ciepłym wnętrzu powietrze na zewnątrz raniło płuca. Zatrzymał czarną taksówkę, wsiedli. Gdzie jechać? Przypomniał sobie, że w okolicy Victoria Station jest cała masa tanich hotelików.

Dziesięć minut później taksówka zatrzymała się przed Belgravia Gardens, przyzwoicie wyglądającym hotelem w pobliżu Eaton Square. Charmaine cicho pochrapywała. Thierry nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Zapłacił taksówkarzowi i ze ślaniającą się na nogach dziewczyną pokonał kilka stopni. Posadził ją na krześle obok recepcji i szybko opłacił pokój. Znudzona recepcjonistka zerknęła na śpiącą nastolatkę oraz zdenerwowanego młodego człowieka i prychnęła pod nosem. Miał szczęście. Zapłacił tylko 49,99 funta za całą noc na twardym, wygniecionym materacu. Pomógł dziewczynie wstać.

- Chodź, Charmaine, jesteśmy na miejscu. *Viens*, chodź... na górę. Jęknęła. Pokój zaczynał się kołysać. - Gdzie, u diabła, była? Powoli wspinali się schodami na górę. Recepcjonistka powiedziała, że winda nie działa. Nie wyglądała, jakby przeproszała gości za awarię. Thierry z trudem prowadził dziewczynę korytarzem. *Dieu*, Boże, nie była duża, ale też i nie lekka. Dziesięć, jedenaście, dwanaście... no, wreszcie, pokój numer trzynaście. Włożył klucz w zamek i otworzył drzwi. Nie jest źle - pomyślał, sadzając Charmaine na łóżku. Przynajmniej wygląda czysto. Zdjął płaszcz i szalik, dziewczyna osunęła się na materac i pochrapywała. Włożył rękę do kieszeni - doskonale, *merci, Dieu*, dzięki Ci, Boże, były. Wcześniej wpadł do drogerii i kupił paczkę prezerwatyw. Słyszał, że inni chłopcy tak właśnie robią. Chociaż to straszne, Thierry - podobnie jak śpiąca na łóżku dziewczyna - jeszcze nie miał doświadczeń seksualnych. Nikt jednak o tym nie wiedział. Mieszkał w Paryżu, mógł więc wymyślać niezliczone podboje, włączając w to pokojówkę, jej matkę, kuzynki i

siostrę. Na szczęście dla niego większość kolegów nie była w stanie odróżnić fantazji od prawdy, ponieważ sami nie mieli żadnego doświadczenia, a opowieści Thierry'ego brzmiały bardzo przekonująco.

- Charmaine - szepnął, siadając obok niej na łóżku. Poruszyła się. Twarz miała ubrudzoną szminką, tusz do rzęs rozmazany, jakby tarła dłonią oczy. Będzie musiał pomóc jej się rozebrać. Pochylił się, chwycił za botek, ściągnął go, potem drugi. Coś wymamrotała i niezadowolona przewróciła się na drugi bok.

- Charmaine! - zawołał cicho. - Chodź, odwróć się. Musisz się rozebrać. - Nie zareagowała. Zaklął pod nosem. Leżała na boku, doskonale widział czerwony koronkowy staniczek, który przebijając przez cienki materiał sukienki, cały wieczór doprowadzał go do szału. Spróbował rozpiąć guziki. Niezręcznie poruszał palcami, a w dodatku naszyjnik o coś zaczepił... Rozległ się cichy dźwięk rozzieranego materiału. Merde! Podarł sukienkę. Z przerażeniem spojrzął na dziewczynę. Znowu przewróciła się na wznak. No, tak już lepiej. Udało mu się podnieść do góry sukienkę. Stracił oddech z wrażenia, kiedy odsłonił białe koronkowe majteczki. Myślał, że lada moment serce wyskoczy mu z piersi. Coś innego również było gotowe wyskoczyć. Zdjął sukienkę, następnie sam się rozebrał. Został w skarpetkach, w pokoju było zimno. Położył się obok niej.

Cudownie miękkie, pełne piersi przepięknie wyglądały w czerwonym staniczku. Przełknął ślinę. Charmaine poruszyła się przez sen. Wymamrotała, że jest jej zimno. Pociągnął koc, który leżał złożony w nogach łóżka, i niechętnie ją przykrył. Teraz będzie musiał kierować się zmysłem dotyku. Wpatrywał się w jej piersi. Powoli gładził wzniesienia wypchnięte staniczkiem z fiszbinami, pieścił mięciutką skórę. Charmaine cicho jęknęła. Wsunął palec pod koronkę i odszukał brodawkę. Dziewczyna znowu jęknęła, tym razem głośniej. Musiał położyć sobie rękę na drżącym brzuchu, żeby powstrzymać wytrysk. Znowu przewróciła się na bok, leżała tyłem do niego. Przytulił się mocno do osłoniętych koronką pośladków i rozpiął staniczek. Szybko poszło. Przełożył rękę i dotknął uwolnionych z pancerza piersi. Nie wytrzyma... uniósł i podniósł koc, żeby spojrzeć... och, merde! Zaczął ocierać się o nią - nie mógł się powstrzymać.

- *Merde, merde!* Charmaine! - okrzyk po prostu wyrwał mu się z ust. Dziewczyna niejasno poczuła jakąś wilgoć z tyłu i to, że czyjaś ręka tak mocno ściska jej pierś. Obudziła się i natychmiast zwymiotowała.

\*

Gabby wpatrywała się w górę jedzenia na swoim talerzu. Babka nałożyła sobie maleńką część tego, czym uraczyła dziewczynę, obeszła kuchenny stół i usiadła na swoim miejscu. Z czułością uśmiechnęła się do wnuczki i zaraz potem zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

- O co chodzi, skarbie? Nie lubisz dziczyzny? - zapytała z niepokojem.

- Nie, babciu, nie o to chodzi. - Gabby wpatrywała się w talerz, potem podniosła wzrok na babkę. - Babciu - zaczęła - czy uważasz, że jestem... gruba? - Dziewczyna uważnie wpatrywała się w staruszkę.

- Ależ, kochanie - półgłosem odezwała się Clarissa. - Wyglądasz dobrze taka, jaka jesteś. Czemu pytasz?

- Czy ja wiem... Wszystkie dziewczęta w szkole są bardzo szczupłe i jeszcze ta nowa... pochodzi z Republiki Południowej Afryki. Jest bardzo ładna. No i, wiesz, jest ktoś, kto bardzo mi się podoba, ale jemu podoba się ona i tak sobie pomyślałam... - plątała się Gabby.

- Wiem, skarbie, jest ci ciężko. - Babka wyciągnęła rękę przez stół i poklepała dłoń wnuczki. - Coś ci powiem. Moim zdaniem jesteś ładna właśnie taka. Jeśli jednak chcesz być jeszcze ładniejsza, obie nad tym popracujemy. - Gabby z wdzięcznością uśmiechnęła się do babki. Starsza pani naprawdę wiedziała, jak ująć problem. - Przygotujemy plan, dobrze? Plan jedzenia, nie diety. Żadnych ziemniaków ani kromki chleba i nic słodkiego. Będziemy jadły dużo warzyw i owoców oraz piły wodę. Wiesz, ja też kiedyś byłam całkiem... pulchna. - Zaskoczona Gabby spojrzała na babkę. Odkąd pamiętała, starsza pani zawsze była szczupła.

- A tak - ciągnęła Clarissa. - Zdziwisz się, jak wiele wiem o planowaniu posiłków. Przecież ty, babciu, prawie nic nie jesz - zaprotestowała dziewczyna. - Ja umarłabym z głodu, gdybym tyle jadła.

- To dlatego, że jestem już stara, kochanie, i wszędzie chodzę pieszo. Założę się, że ty tak nie robisz. Te wszystkie taksówki, którymi się rozjeżdżasz! - W oczach babki pojawiły się wesołe ogniki. Gabby przyjechała pod bramę taksówką ze stacji, chociaż było to tylko niespełna pół kilometra.

- Co mam z tym zrobić? - Dziewczyna wskazała górę jedzenia na talerzu. - Już źle się czuję.

Zjedz połowę wszystkiego poza ziemniakami puree. Między kęsami pij dużo wody i wszystko dokładnie żuj. Nie martw się, skarbie. Jeśli wytrzymasz, na Boże Narodzenie będziesz szczupła. A wtedy wybierzemy się po zakupy. Co ty na to? Dziewczyna już poczuła się lepiej. Odłożyła ziemniaki, połowę pysznego gulaszu z dziczyzny, a nałożyła sobie trochę więcej marchewki. Babka z aprobatą skinęła głową. Naprawdę uwielbiała wnuczkę taką jaką była. Rozumiała jednak, że może jej być trochę trudno znaleźć chłopaka... Gabby była wysoka i inteligentna, Clarissa z doświadczenia wiedziała, że te cechy nie zawsze działają na korzyść kobiety. Jeżeli dziewczyna chce zrzucić kilka kilogramów, poczuć się bardziej pewna siebie, babka zrobi wszystko, żeby ją do tego zachęcić. Była wspaniałą wnuczką... zasługiwała na specjalne traktowanie.



Ferie w połowie semestru skończyły się nieoczekiwanie szybko. Marika i Hennie odprowadzili Rianne na stację i z rozbawieniem patrzyli, jak kuzynka ciągnie przez peron dwie ogromne walizy. Dziewczyna zrobiła zakupy. Wyjaśniała zdumionej Marice, że teraz pokaże koleżankom ze szkoły Świętej Anny, jakie są dziewczyny z Republiki Południowej Afryki. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że przestała myśleć o powrocie do domu. Teraz zastanawiała się, jak odzyskać pozycję na szczycie. Zaczęła od rzeczy, które stały się przyczyną jej upadku: od ubrań. Prawie wszystko z „regulaminowej” listy strojów wymieniła na rzeczy bardziej szykowne.

Ekspedientka u Harroda wychodziła z siebie.

Odnalazła właściwy pociąg w tej samej chwili, kiedy ją samą spostrzegła Charmaine i dwie inne dziewczyny z internatu. Poszła za nimi do przedziału, położyła sobie na kolanach nowy, granatowy płaszcz z paskiem w talii, uprzednio starannie go złożywszy. Wyglądała przez okno, kiedy pociąg ruszał ze stacji Paddington.

Charmaine bez przerwy opowiadała, co robiła podczas ferii, o Thierrym Pasquierze, coś o hotelu i mokrej pościeli. Rianne nie rozumiała, co . się właściwie stało.

Cokolwiek by to jednak było, współlokatorka była z siebie niezmiernie zadowolona.

Rianne westchnęła. Jeszcze trzy godziny paplaniny. Zdrzemnęła się i nie spostrzegła, kiedy wjeżdżali na teraz już znajomą stację w Malvern.

- Cześć - ostrożnie powiedziała Rianne, kiedy Gabby weszła do pokoju. Jeszcze się nie przyzwyczyła do entuzjastycznych powitań i pożegnań koleżanek z internatu.

- Udały ci się ferie? - z uśmiechem zapytała Gabby. Rzuciła torbę na łóżko. Skinęła głową. Rozwieszała nowe ubrania.

- O rany, robiłaś zakupy! - roześmiała się współlokatorka.

Kupiłam kilka rzeczy. - Rianne się zarumieniła. - Miałam dość ciuchów, w które wyposażyla mnie ciotka.

- Fantastyczne! - Gabby przyglądała się nowym nabytkom. - Naprawdę wspaniałe. - Wzięła do ręki parę czarnych skórzanych botków do kolan. - Gdzie to wszystko kupiłaś?

U Harroda. Wiesz, klientowi przydzielają tam osobistą obsługę, coś w rodzaju doradczynie. Mówisz, co chcesz kupić, a ekspedientki szukają tego i ci przynoszą. Nic łatwiejszego.

No, no. Cóż, nigdy nie korzystałam z osobistej obsługi... ale kto wie, może kiedyś. - Gabby była w dobrym humorze. Cały tydzień trzymała się „planu” i razem z babką chodziła na długie spacerunki po spokojnej okolicy Herefordu. Codziennie wypijała dużą butelkę wody i czuła się doskonale. Po każdym „dobrym” dniu ogarniało ją wspaniałe uczucie spokoju i satysfakcja z panowania nad sytuacją. Pragnęła czuć się „dobrze” i uważać się za osobę zdyscyplinowaną, a nie wściekłą na siebie i pogrążoną w depresji. Rezultatów jeszcze nie było widać, chociaż codziennie wieczorem przed pójściem do łóżka przyglądała się sobie w lustrze. Mimo to czuła się szczuplejsza.

Z zazdrością patrzyła, jak Rianne rozpakowuje ciemnobrązową tweedową spódnicę z

jedną głęboką fałdą od połowy uda i czarny kaszmirowy sweter, który powiesiła na spódnicy na tym samym wieszaku. Spojrzała na swoją granatową spódnicę i sweter. Były duże i bezkształtne - skrzywiła się z niezadowoleniem. Chociaż nigdy nie będzie tak szczupła, żeby wcisnąć się w którąkolwiek z rzeczy koleżanki, może śmiało przypuszczać, że już niedługo zacznie kupować rzeczy, w których będzie się czuła dobrze, a nie takie, w których się zmieści. „

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi i weszła Charmaine, ciągnąc za sobą walizkę.

- Gabby - pisnęła, zarzuciła koleżance ręce na szyję i niemal zrzuciła ją z łóżka.

- Och, tak się cieszę, że cię widzę. Nigdy nie zgadniesz, co się wydarzyło... - Nawet nie zadała sobie trudu i nie zdjęła płaszcza, tylko padła na łóżko obok koleżanki i od nowa zaczęła opowiadać o dramatycznych przeżyciach podczas ferii. Tym razem Rianne słuchała uważniej. Aha, więc o to chodziło: Charmaine „to” zrobiła.

- Bolało? - w końcu zapytała Gabby, odpowiednio poruszona. Współlokatorka pokręciła głową. Jeśli chodzi o szczegóły, nie była zbyt konkretna. Właściwie niewiele pamiętała.

- Nie, w ogóle nie bolało. Nic nie czułam. No, naturalnie czułam... troszeczkę. Było raczej... przyjemnie.

Rianne nadal rozwieszała ubrania, ale w tym momencie uniosła brwi. Przyjemnie?

Niemożliwe. Każdy wiedział, że za pierwszym razem boli jak cholera!

To znaczy, że teraz z nim chodzisz? - zapytała Gabby. Przygody koleżanki w niczym nie przypominały spacerów z babką i dwoma labradorami. Charmaine energicznie pokiwała głową. O tak. Właściwie są zaręczeni.

Rianne prychnęła pod nosem. Niby takie wyrafinowane, a jednak niektóre z tych angielskich pańek o niczym nie miały pojęcia. Była przekonana, że to efekt spędzenia połowy życia w takich miejscach jak szkoła Świętej Anny. Pozbawione męskiego towarzystwa, fantazjują na temat kontaktów z chłopakami. A przecież wszyscy doskonale wiedzą, że jeśli chodzi o chłopaków, nic nie jest tak, jak sobie człowiek wyobraża.

- Boże, mnóstwo rzeczy kupiłaś. - Charmaine popatrzyła na stertę ubrań na łóżku Rianne i nagle zmieniła temat. Wzięła do ręki długą, szarą, wełnianą spódnicę u dołu obramowaną musztardowo-żółtym haftem. - Ładna. Gdzie ją kupiłaś?

- Ma osobistą ekspedientkę - doradczynię u Harroda - pospieszyła z wyjaśnieniem Gabby.

- Każdy może mieć - zarumieniła się Rianne. - One tam po prostu pracują, są w sklepie. Trzeba tylko poprosić. - Nie tak to wyglądało. Klientka musiała mieć rachunek u Harroda. Lisette oczywiście miała.

- Ta twoja wiedziała, co wybrać. Ach, te są naprawdę ekstra. - Wzięła do ręki sprane dzinsy ze specjalnymi rozdarciami na wysokości kolan - ostatni krzyk mody. - Cholera, będziesz najlepiej ubraną dziewczyną w Malvern.

- Jasne, w dziesięć dni od najgorzej do najlepiej - sarkastycznie zauważyła Rianne.

Koleżanki się roześmiały.

Ona sama była zaskoczona swoją reakcją. Spojrzała na współlokatorki. Po raz pierwszy od przyjazdu do szkoły Świętej Anny poczuła sympatię. Dziwne uczucie. Przez pierwszy miesiąc za wszelką cenę pragnęła stąd uciec. Nigdy w życiu nie czuła się aż tak nieszczęśliwa. Natomiast teraz, chociaż nadal nie podobał się jej pobyt w żeńskiej szkole w środku zimnej, deszczowej Anglii, musiała przyznać, że pewnych rzeczy się tu uczy, a nawet zaczyna je trochę lubić. Spokojnie, powoli. Na przykład nie miała nic przeciwko siedzeniu w pokoju w zimne, wilgotne wieczory, oglądaniu ubrań i rozmowom o chłopakach. Cieszyło ją również wybieranie stroju na ten bardzo ważny, pierwszy wieczór po feriach.

- Mam to włożyć? - Wyjęła džinsy z szafy i zwróciła się do Gabby i Charmaine. Obie energicznie pokiwały głowami. Ta druga zastanawiała się, jak i kiedy będzie mogła wspomnieć o pożyczaniu sobie nawzajem ubrań... widziała jedną czy dwie rzeczy, w których wyglądałyby absolutnie szalowo. Nawet gdyby były na nią odrobinę za długie, a może również zbyt obcisłe.

- Ciekawe, gdzie jest Nat - głośno zastanawiała się Gabby, patrząc, jak Rianne wślizguje się w nowe džinsy. Czy można być aż tak szczupłą?

- Brat ją przywiezie - odpowiedziała Charmaine. Gładziła jeden z nowych sweterków od Benettona. Rianne kupiła ich sześć, leżały jeden na drugim i wyglądały jak ogromna lukrecja. Czarny, kremowy, pomarańczowy, zielony...

Philippe płynnie pokonywał zakręty. Jechali w górę drogą prowadzącą do szkoły Świętej Anny. Nathalie była przygnębiona. Brat nie mógł zrozumieć, dlaczego nastrój siostry tak bardzo się zmienił. W pewnym momencie podczas ferii dziewczyna po prostu zamknęła się w sobie. Przestała się odzywać, a właściwie i jeść. Wszelkie próby wyciągnięcia jej z apatii szły na marne. Długie godziny spędzała w swoim pokoju i - sądząc po czerwonym nosie i zapuchniętych oczach - płakała. Wczoraj wieczorem przy kolacji Cordelia, zmęczona dąsami córki, zapytała, czy Nathalie tęskni za jakimś chłopakiem. Córka wybuchnęła płaczem i pobiegła na górę do swojego pokoju. Philippe pamiętał jednak, że ferie i wakacje zazwyczaj kończyły się w ten sposób: Cordelia wsadzała szpilki Nathalie, co doprowadzało ją do łez.

- Nat, możesz mi zaufać i o wszystkim powiedzieć. Wiesz o tym, prawda? powiedział, kiedy mijali ostatni zakręt.

Nathalie skinęła głową. Wpatrywała się w ciemność za oknem. Jak mogła mu powiedzieć? Tego samego popołudnia, gdy Nathalie szykowała się do powrotu do szkoły Świętej Anny, Clive pojechał na spotkanie w interesach do Bristolu, a Sasza wolał zostać w domu. Jak twierdził, bolała go głowa. Siedząc w samochodzie obok Philippe'a, Nathalie mocno się zarumieniła... doskonale wiedziała, co Sasza robił z Cordelią... dokładnie w tej właśnie chwili. Prawdopodobnie robili to... w sypialni matki, w tym samym łóżku, w którym...

- Nat? - Philippe drażył temat. - Powiedz, o co chodzi.
- O nic - cieniem głosem odparła Nathalie. - Po prostu... nie czuję się dobrze. Brat przygryzł wargi. Nie czuje się dobrze? Nie podobało mu się to. Pewna dziewczyna w Reading miała aborcję kilka tygodni po rozpoczęciu semestru. Cały czas płakała albo uciekała do swojego pokoju. Nathalie zachowywała się dokładnie tak samo. Nie, to niemożliwe, to nie może się przytrafić jego małej siostrzyczce, Nat. Rzucił na nią okiem. Nie był w stanie wspomnieć o takiej możliwości. Zatrzymał samochód przed głównym wejściem. Może lepiej na razie nie męczyć dziewczyny i zostawić sprawy własnemu biegowi. Powie mu, kiedy będzie gotowa. Może matka ma rację i chodzi o jakiegoś chłopaka. Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik, wyjął torbę i uściskał siostrę. Była bardzo smutna, ale odwróciła się i poszła schodami do wejścia. Cokolwiek by to było, musi poczekać do ferii bożonarodzeniowych.
- Nat! - Charmaine zerwała się na równe nogi, kiedy Nathalie otworzyła drzwi. Nat! Co się stało?
- Na sam widok koleżanek Nathalie wybuchnęła płaczem. Wszystkie najpierw stanęły jak wryte, a potem podbiegły do niej.
- Co się stało, Nat? - pytała Gabby, obejmując szczupłe ramiona koleżanki. Ta nie przestawała łkać. Bezwolnie pozwoliła koleżance podprowadzić się do łóżka, zdjąć płaszcz i odebrać torbę. Zanosila się płaczem i z trudem łapała powietrze, ale opowiedziała przyjaciółkom całą historię. Wszystkie, nawet Rianne, były przerażone. Coś takiego! No, cóż - odezwała się Gabby, kiedy w końcu Nathalie przestała szlochać. - To rzeczywiście straszne, ale ty nic nie możesz w tej sprawie zrobić. Jeśli twoja mama...
- Nie chodzi o nią! - wybuchnęła Nathalie. - Chodzi o mnie!
- Co chcesz przez to powiedzieć? - Gabby nie rozumiała koleżanki.
- Jak mogę... nie mogę... nie chcę - nie była w stanie skończyć myśli.
- To nie twoja wina - oburzyła się Charmaine. - Winna jest ona. I on.
- To nie o to chodzi! - jeszcze głośniejsze płaczliwie krzyknęła Nathalie. Pozostałe dziewczęta popatrzyły na siebie pytająco. - A więc o co?
- Kochanie - zaczęła Gabby - to ich sprawa, oboje są dorośli. Nawet jeżeli Sasza jest w wieku twojego brata. Nie myślisz chyba, że on nigdy wcześniej, no wiesz, nigdy wcześniej tego nie robił?
- Nic nie rozumiesz! - łkała Nathalie. - Czuję się... okropnie, kiedy o tym myślę - zakryła twarz dłońmi. Gabby błagalnie spojrzała na Charmaine. Liczyła na pomoc koleżanki. Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć. Może Nathalie powinna... z kimś porozmawiać?
- Nat - zaczęła z wahaniem - uważam, że powinnaś przestać o tym myśleć. To do niczego nie prowadzi. Naprawdę. Po prostu spróbuj zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło.
- Nie potrafię. Nie potrafię spojrzeć im w twarz... Nie potrafię spojrzeć w twarz

matce. Kiedy ją widzę, przypominam sobie...

- Słuchajcie, może pojedziecie ze mną na Karaiby? Wszystkie. Pojedziecie? - Rianne niespodziewanie wtrąciła się do rozmowy. Trzy współlokatorki spojrzały na nią bardzo zaskoczone. Zarumieniła się. Czemu to powiedziała? - zastanawiała się w duchu.

- Co takiego? - Gabby nie była pewna, czy się nie przesłyszała. - Na Karaiby? - No tak, spędzamy tam każde święta Bożego Narodzenia. Nic wielkiego. Będziecie się dobrze bawić, a Nathalie o tym zapomni - szybko wyjaśniała Rianne, starając się mówić obojętnym tonem. Ponownie zajęła się rozwieszaniem ubrań. Co, do diabła, najlepszego zrobiła? Właśnie zaprosiła trzy koleżanki - jeśli w ogóle można je tak nazwać - do siebie na Boże Narodzenie. Oszalała czy co? Przecież pragnęła się uwolnić od ich towarzystwa, a nie zabierać z sobą do domu!

- Mówisz poważnie? - Nathalie popatrzyła na Rianne zażwawionymi oczami. Na Boże Narodzenie?

- Właśnie. Wyjedziemy z Londynu pierwszego dnia ferii.

- A nie będzie to strasznie dużo kosztować? - zastanawiała się Gabby.

- Nie mam pojęcia. - Rianne wzruszyła ramionami. - Nie może wyjść aż tak drogo. Musicie tylko załatwić bilety na samolot. - Kto wie, może nawet będzie fajnie. Przynajmniej Lisette jej nie zarzuci, że się nie stara...

- Na pewno, Rianne? Wszystkie trzy? Nie będziemy się narzucały? Nie będziemy przeszkadzały? - niepokoila się Gabby.

- Oczywiście, że nie. To żaden kłopot. Ciotce wcale - nie będziemy przeszkadzały. Jest dużo miejsca. - Rianne robiła lekceważącą minę. - Ciotka nawet nie zauważy, że jesteśmy. - Była to lekka przesada - pomyślała, ale prawdopodobnie bardzo bliska prawdy. I - przede wszystkim - Nathalie przestała płakać.

- O raju - odezwała się z niepewnym uśmiechem. - To bardzo miłe z twojej strony, Rianne. Chętnie pojedę, nie wyobrażam sobie spędzenia ferii w domu.

- O tak, ja też - bez widocznego powodu dodała Charmaine.

- Chodź, Nat, wytrzymaj oczy - odezwała się Gabby. Spojrzała na zegarek. - Może pojedziemy na Karaiby na Boże Narodzenie - powiedziała półzartem - ale za dziesięć minut powinniśmy być w jadalni. Chodźmy. - Dziewczęta podniosły się z ociąganiem. Nathalie w towarzystwie Charmaine poszła do łazienki obmyć twarz.

- To naprawdę ładnie z twojej strony, Rianne - dziękowała Gabby, kiedy pod drzwiami czekały na koleżanki - ale nie czuj się zobowiązana. Nathalie zawsze może pojechać do mnie.

- Ależ to żaden problem. - Rianne wzruszyła ramionami. - Będzie fajnie.

Na pewno, chociaż przypuszczam, że pojedziesz beze mnie - smutnym głosem wyznała Gabby. - Wątpię, czy ojciec zafunduje mi bilet na słońce. - Nawet nie wyobrażała sobie, że może poprosić ojca o pieniądze na wycieczkę na Karaiby. Wystarczająco trudno było wycisnąć je na czesne.

- Poproś babcię - zasugerowała Charmaine. Wyszła z łazienki i usłyszała ostatnie

zdanie. Gabby przygryzła wargę. To była myśl. Babcia będzie zachwycona, kiedy usłyszy, że wnuczka wybiera się na wakacje. Z jeszcze większą determinacją postanowiła trzymać się „planu”. Być może będzie musiała pokazać się w kostiumie kąpielowym na plaży.

- OK. Już w porządku. - Nathalie wyszła ze świeżo odmalowanej łazienki.

Wyglądała lepiej. Miała zaróżowione policzki i przestała pociągać nosem. Razem zeszły na dół do jadalni.

Karaiby! Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Oczywiście, utrzymanie planów wakacyjnych w tajemnicy nawet przez chwilę było całkowicie niemożliwe. Pod koniec tygodnia wszyscy, nawet personel kuchni - chociaż Bóg jeden wie, jak to do nich dotarło - wiedzieli, że cztery dziewczyny z niższej klasy szóstej na ferie świąteczne jadą na prywatną wyspę Rianne de Zoete na Karaibach. Dziewczyna wyjaśniała, że wyspa nie była prywatna - Martynika jest departamentem zamorskim Francji, nie należy do Republiki Południowej Afryki! Dziewczętom zazdrościła cała szkoła, w tym kilka nauczycielek.

Rianne, która dotychczas była osobą obcą, z której się nabijano, nagle stała się obiektem zazdrości. Co prawda nigdy nie błyszczała i nie będzie błyszczała na zajęciach w klasie jak Gabby ani na boisku do lacrosse jak Nathalie, nie uważano również, że była równie seksowna jak Charmaine, jednak pod względem obycia towarzyskiego i mody okazała się nie aż taką oferwą, za jaką początkowo ją uważano. Nie umiała jeszcze pogodzić się z tym, że dzieli życie z czterema afrykańskimi dziewczynami. Kiedy zdarzyło się, że spotkała Jumoke... zwykle odwracała wzrok i patrzyła w drugą stronę. Spojrzenie tej dziewczyny przypominało jej Ree Modise'a, a na to wspomnienie policzki natychmiast ją piekły.

Nathalie stwierdziła, że jeżeli koncentruje się na zajęciach, w weekendy do upadłego gra w hokeja i lacrosse, a w ciągu dnia myśli o Sans Soucis - sama nazwa brzmiała uroczo - obraz Saszy kochającego się z jej matką staje się coraz mniej wyraźny.

Wprawdzie uczucie zawstydzenia i niesmaku nie osłabło, ale przynajmniej samej sceny nie miała bez przerwy przed oczami. Przestała interesować się Stuartem Gravesem - na dobrą sprawę inne dziewczęta siłą wyciągały ją na wypad do miasta w sobotnie popołudnia.

- Zrozum - mówiła Gabby - każdy, kto zobaczyłby własną matkę w takiej sytuacji, mógłby oszaleć.

Rianne wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co robić ani nawet co o tym wszystkim myśleć. Sama ledwo pamiętała matkę. Przypominała sobie pewne szczegóły: na przykład jej uśmiech, jak się poruszała... Sposób, w jaki niespodziewanie chowała twarz między ramieniem a szyją córki, jakby nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Pamiętała takie drobiazgi. Nie potrafiła jednak przypomnieć sobie twarzy Céline de Zoete czy choćby dźwięku jej głosu. Ona również ukryła wspomnienia gdzieś głęboko w sobie. Tylko dzięki temu potrafiła przeżyć wstrząs i ból związany ze

stratą matki. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiała. Bezpośrednio po jej śmierci chciała o tym mówić, pragnęła pobiec do ojca i powiedzieć mu, jak bardzo cierpi, ale Marius sam szalał z żalu - nawet dziesięcioletka widziała to wyraźnie - i nie potrafił nawet na nią spojrzeć. Pewnego wieczora poszła do niego. Był w gabinecie. Skulony na kolanach na podłodze, jak zwierzę wył z bólu. Cichutko się wycofała. Była zbyt przerażona, żeby się odezwać. Nikomu o tym nie powiedziała. Tydzień później, kiedy ojciec zaginął, wiedziała, dlaczego. Nie potrafił znieść straty żony. Nathalie bez trudu uzyskała zgodę matki na opłacenie biletu. Początkowo zwlekała z telefonem do domu. Miała nadzieję, że uda się jej osobiście porozmawiać z Clive'em. Jednak bez rozmowy z Cordelią nie mogła się z nim skontaktować. W końcu pewnego zimowego wieczora zadzwoniła, odebrała matka. Nie miała pojęcia, dlaczego Nathalie jest tak nieprzyjaźnie nastawiona. Nie rozmawiała z nią od ostatniej wizyty w domu, kiedy córka zachowywała się bardzo dziwnie.

- Nie, nie możesz pojechać, Nathalie. Nie ma mowy. Wyjeżdżam z Clive'em na Boże Narodzenie, ty i Philippe zostaniecie z wujkiem Robinem - stanowczo oświadczyła Cordelia. Wyspa na Karaibach? Córka chyba straciła rozum! Z wujkiem Robinem? Dlaczego? Dokąd jedziecie? - wojowniczym tonem dopytywała się Nathalie.

- Do Singapuru. Clive ma tam jakieś interesy do załatwienia, a ja zrobię zakupy... W Singapurze! - Nathalie poczerwieniała ze złości. - Może przez Kuala Lumpur? - rzuciła z sarkazmem.

W Malmesbury Cordelia również się zarumieniła. Co, u licha, to dziecko chce powiedzieć? Chyba niczego nie zauważyła...

- O czym ty mówisz? - ostro spytała.

- Doskonale wiesz. Czy Sasza też jedzie do Singapuru? Cała wasza trójka, to dopiero będzie ubaw!

- Nathalie! - niemal krzyknęła Cordelia. - Natychmiast przestań! Natychmiast! Jak śmiesz tak do mnie mówić?!

- Czy powinnam porozmawiać z Clive'em? - zuchwale przerwała córka. - Jestem pewna, że będzie uszczęśliwiony... jego żona z...

- Dość tego, Nathalie! Ile kosztuje bilet? - Dwie intensywnie czerwone plamy rozlały się na policzkach Cordelii. Córka musiała coś widzieć. Ale gdzie? Kiedy? Zrobiło się jej słabo.

- Około sześciuset funtów.

- Wyślę czek pocztą. - Cordelia odłożyła słuchawkę.

W ostatnią sobotę przed zakończeniem semestru cztery koleżanki po raz ostatni poszły do Serendipity. Wszystkie pożyczały ubrania od Rianne, nawet Gabby korzystała z nowej apaszki. Rozmowy przy stolikach natychmiast ucichły, kiedy tylko weszły do herbaciarni.

- O cholera! - pomyślał Nael, kiedy zobaczył dziewczęta. Od czasu balu w połowie semestru nie widział się z Rianne, udało mu się prawie wyrzucić ją z myśli. Patrzył, jak wchodzi. Rianne była wyższa od koleżanek, od razu rzucała się w oczy. Długie

blond włosy, które doskonale pamiętał, miała schowane pod kolorową czapkę połączoną z chustką. Początkowo dziewczyna go nie dostrzegła i Nael był wdzięczny losowi. Miał kilka sekund na ochłonięcie. Próbował zignorować nagły ucisk w żołądku. Była taka piękna, czuł ból w piersi.

- Popatrz, kogo przyprowadziła ta kocica - powiedział Ree, siadając obok niego przy stoliku. Nael wykrzywił usta. Przestał myśleć o dziewczynie w chwili, gdy Ree przedstawił mu swoje racje. Jednak jej widok wzbudził w nim uczucia, które powinien w sobie zdusić. Gorzej, że był z nim Ree i prawdopodobnie bacznie go obserwował. Spuścił głowę. Miał nadzieję, że Gabby okaże się dobrą koleżanką i poprowadzi dziewczyny do innego stolika. Tak też zrobiła. Jeżeli Rianne spostrzegła któregoś z nich, nie dała tego po sobie poznać. Trzeba oddać jej sprawiedliwość - pomyślał

Nael, potrafiła zachować zimną krew. I klasę. Boże, trudno mu będzie o niej zapomnieć.

Gabby i inne dziewczęta z podziwem patrzyły na Rianne. Spokojnie paliła jednego papierosa za drugim, wypija filiżankę herbaty i po prostu udawała, że nie dostrzega Ree oraz Naela. Kiedy wychodziły, wolnym krokiem przeszła obok ich stolika i rzuciła słodki uśmiech zaskoczonemu Michaelowi Rhysowi-Walkerowi. Nie było nawet najmniejszej wątpliwości, że Ree Modise już nigdy więcej nie zrobi jej afrontu. Kiedy doszły do wyjścia, pod wpływem nagłego impulsu objęła Gabby ramieniem i razem z nią wyszła na ulicę. Gabby uśmiechnęła się do koleżanek. Tak, Rianne przystosowywała się, przyłączała do grupy. Cztery dziewczyny, śmiejąc się i żartując, poszły na przystanek autobusowy.



## CZĘŚĆ DRUGA

15

*Grudzień 1981, Sans Soucis, Martynika*

Samolot Air France lot 747 powoli krążył nad Martyniką. Charmaine i Nathalie z nosami przyklejonymi do szyb okienek i z otwartymi ustami patrzyły na idealne półokręgi białego piasku i lazurowego morza. Rianne i Gabby ciągle drzemały. Podróż była długa: z Malvern do apartamentu na Wilton Crescent - który, jak szeptem wyznała Charmaine, kiedy szykowały się do snu, było największym mieszkaniem, jakie kiedykolwiek widziała w Londynie - a następnego ranka na lotnisko Heathrow. Oczywiście, spać poszły późno, pół nocy przegadały. Dinah podała śniadanie: świeże owoce, sok pomarańczowy, płatki śniadaniowe i jajecznicę. Trzy dziewczyny były zbyt podekscytowane, żeby cokolwiek zjeść. Rianne rozmawiała przez telefon z Mariką. Kuzynka, Lisette i Hennie już byli na wyspie. W Sans Soucis dochodziła druga rano, ale Marika nie mogła spać z powodu emocji i lekkiego zdenerwowania perspektywą poznania trzech koleżanek Rianne. Uwaga! - krzyknęła Nathalie bezosobowo, kiedy samolot zanurkował i poszybował w dół, szykując się do lądowania w Fort - de - France. Pozostałe dziewczyny pochyliły się i w milczeniu podziwiała roztaczający się pod nimi tropikalny raj. Takie widoki ogląda się tylko w drogich katalogach biur podróży: Otoczone wysokim ogrodzeniem białe wille, pokryte brunatnożółtą dachówką, łagodnie poruszające się palmy, tu i ówdzie turkusowy błysk tafli wody w basenie. Prawdziwy raj. Przez kabinę pierwszej klasy przeszła stewardesa, sprawdziła, czy zapięte są pasy bezpieczeństwa, i pozbierała ostatnie szklaneczki po napojach. Kilka minut później, z lekkim uderzeniem o ziemię, samolot usiadł na pasie startowym. Były na miejscu. Przez odprawę celną przeszły bez problemów. Cały personel znał Rianne i po półgodzinie dziewczęta przemaszerowały rękawem „Nic do oclenia”, po czym wyszły na zewnątrz na oślepiające słońce popołudnia na Karaibach.

- Witaj, Rianne! - ktoś krzyknął.

Był to Hennie. Obok niego stała Marika i machała jak szalona. Podbiegła do kuzynki i nagle wszyscy zaczęli się całować oraz obściskować, nawet Hennie. Poprowadził dziewczęta przed teren lotniska, gdzie zaparkował jeepa. Samochód stał przy krawężniku, w miejscu niedozwolonym, ale w pobliżu nie było żadnego policjanta. Ktoś bez polecenia zabrał ich bagaże. Teraz ładowano je do drugiego jeepa, również zaparkowanego w niedozwolonym miejscu, za samochodem Henniego. Wysoki,

gibki młody mężczyzna o brązowej skórze stał obok wozu. W rękę trzymał kluczyki. Będzie trochę ciasno - powiedział Hennie, robiąc więcej miejsca na tylnej kanapie. Podniósł kilka toreb i nie patrząc, rzucił je w kierunku ciemnoskórego młodzieńca przy drugim samochodzie. Ten bez słowa schylił się i je podniósł. Gabby popatrzyła na młodego człowieka. Nikt nie powiedział do niego ani słowa, nawet „dzień dobry”. Miał na sobie szorty i wypłowiały podkoszulek z napisem „Sans Soucis” na plecach. Z pewnością był pracownikiem.

- Chodźcie, wskakujcie - ponaglił Hennie i sam wsunął się na siedzenie kierowcy. - Będzie trochę ciasno, ale nie jedziemy daleko. Marika, może pojedziesz z Joulesem? - Kciukiem wskazał w tył. - Wszyscy chyba się nie zmieścimy. - Dziewczyna niechętnie skinęła głową; chciała zostać z kuzynką.

- Pojadę z Mariką - oświadczyła Rianne. Wskoczyły do stojącego z tyłu jeepa. Charmaine z uśmiechem usiadła obok Henniego, Gabby i Nathalie usadowiły się na tylnej kanapie i z otwartymi ustami rozglądały się dookoła. Naprawdę znalazły się w tropikalnym raju. Małe lotnisko było na wskroś nowoczesne, wykonane ze stali i szkła, wyposażone w niebieskie i żółte znaki, naturalnie z napisami po francusku. Podjeżdżały tam i zatrzymywały się na pasie „Tylko dla wysiadających” najnowsze europejskie i amerykańskie modele znanych marek: Mercedesa, BMW - między nimi kabriolety i jeepy, podobne do tego, którym jechały. Panował upał, ale od oceanu wiał orzeźwiający wiatr i wprowadzał liście palm w szalony, taneczny ruch. Kwiaty były dosłownie wszędzie. Ogromne, obsypane krwistoczerwonym kwieciem drzewa niemal na każdym rogu rzucały cień. Nawet najmniejsze domy obrośnięte były gęstymi, wspaniale rozrośniętymi pnączami o purpurowych, pomarańczowych i różowych przylistkach. Kiedy jechali główną drogą do Fort - de - France, od czasu do czasu w polu widzenia ukazywała się niebieskozielona tafla oceanu.

- Jedziemy do Le Marin! - wrzasnął Hennie, przekrzykując hałas silnika jeepa. Dziewczęta patrzyły na znaki drogowe. La Savane, Les Trois -Illets, Anse d'Arlets... Odczytywały kolejno nazwy. Były oczarowane. Na tylnej kanapie Nathalie i Gabby trzymały się rękoma wykonanego z rury stelaża nad głowami i upajały muśnięciami wiatru na odkrytych ramionach. - Dom jest położony na południowych plażach, tych białych - ciągnął Hennie. Są znacznie ładniejsze.

O czym on mówi? - szepnęła Gabby do Nathalie. - O ludziach? O piasku. - Hennie zauważył ruch dziewczyny we wstecznym lusterku. Północne plaże są pokryte pyłem wulkanicznym - wyjaśnił sucho.

Gabby się zarumieniła. Od razu nie spodobał się jej wysoki, zbyt pewny siebie młodzieniec. Dziewczynie nie przypadło do gustu, w jaki sposób rzucił na chodnik torby w kierunku Joulesa i nawet nie spojrzął, gdzie upadły.

W jakim języku ludzie się tutaj porozumiewają? - zapytała, próbując zmienić temat. - Tylko po francusku i angielsku - odparł arogancko. - Tubylcy mówią jakimś śmiesznym dialektem, po kreolsku, ale właściwie nie jest to język. Naturalnie nikt z nas go nie używa.

- Naturalnie - mruknęła Gabby. Po kreolsku... podobał się jej dźwięk tej nazwy. Jechali w górę krętą drogą wokół południowego półwyspu. W oddali niewyraźnie, ze względu na popołudniowe słońce, widać było niebieskie pasma gór. Zrobiło się chłodniej. Gabby oparła się wygodnie, wiatr muskał wilgotny kark. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrą do Sans Soucis. Marzyła o długim, chłodnym prysznicu.

- A to co? - Nathalie wskazała niewielką skałę u wejścia do zatoki. Niebawem, ale na szczycie powiewała brytyjska flaga.

- Rocher du Diamont - roześmiał się Hennie. - Kiedyś, chociaż nie pamiętam kiedy, była to część Imperium Brytyjskiego. Ten przyczółek zajęli brytyjscy żołnierze... chodziło o kontrolę nad cieśniną między wyspami Martyniką i St. Lucia. Wydaje mi się, że mieszkali tutaj ponad rok. Wyobrażacie sobie? - Nathalie potrząsnęła głową. Nie mogła uwierzyć, że opuściły szkołę zaledwie dzień czy dwa temu. A jeszcze trudniej było przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle przyjechały na Martynikę. Sasza i matka. To stało się tak dawno. Odwróciła się i uśmiechnęła do Gabby.

Przy niewielkiej, ręcznie wykonanej przydrożnej tablicy, na której widniał napis: „Trinite - Tartane - Sans Soucis”, Hennie skręcił na wyboistą, piaszczystą drogę. Jechali między palmami, różowymi i żółtymi ketmiami i bambusami, aż zatrzymali się przy bramie prawie całkowicie ukrytej wśród pnączy i paproci. Mała mosiężna plakietka na białym murze witała przybyłych w Sans Soucis.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył chłopak. Nacisnął klakson i wyskoczył z samochodu. Drewniana brama otworzyła się, zza niej wyszła powitać gości para ciemnoskórych w białych uniformach. Hennie rzucił im kluczyki do samochodu i poszedł dalej. Nie ulegało wątpliwości, że jest przyzwyczajony, iż cała armia służących czeka na jego skinienie. Podjechał Joules, Rianne i Marika wyskoczyły z samochodu. Gabby podeszła do drugiego jeepa i zaczęła wyciągać z samochodu swoją walizkę. W ułamku sekundy Joules znalazł się przy niej. Energicznie pokręcił głową i zdjął walizkę dziewczyny.

- To należy do moich obowiązków - powiedział poprawnie po angielsku, chociaż z obcym akcentem. Podziękowała mu uśmiechem. Nie zareagował.

- Wchodźcie do środka. Przedstawię was ciotce Lisette - rzekła Rianne i pierwsza przeszła przez bramę. - Oni zajmą się bagażami.

Odwróciła się do kobiety i szybko wydała kilka poleceń: gdzie zanieść poszczególne walizki, kto z kim będzie dzielił pokój. Gabby czuła się bardzo niezręcznie. Rianne nawet nie przywitała się z parą służących. Speszona dziewczyna uśmiechnęła się do nich, kobieta opuściła oczy.

Minęły bramę i poszły ścieżką w dół. Ściana zieleni nagle się rozsunęła i ich oczom ukazała się willa, a za nią morze. Gabby głośno wciągnęła powietrze. Dom był dwupiętrowy, bielony wapnem, z szerokimi tarasami wokół parteru i pierwszego piętra. Łukowate okna, ciemne mahoniowe okiennice i kamienne płytki doskonale kontrastowały z chłodną, elegancką bielą budynku. Ogród stanowił istną orgię barw:

wszelkie możliwe odcienie czerwieni, pomarańcza, żółci i różu, a trawa była miękka, gęsta i świeża. Gabby czuła puszystość naturalnego dywanu pod sandałkami. Na tyłach ogrodu stał rząd ciemnozielonych drzew, które odgradzały dom od plaży. Powiew wiatru delikatnie poruszał liśćmi, a między gałęziami widać było czyste, turkusowe morze. Posiadłość była położona nad zatoką w kształcie półksiężyca. Gabby dostrzegła niedużą łódź przycumowaną przy drewnianym moło i ogrodzenie z każdej strony półkilometrowej plaży, zaznaczające granice prywatnego terenu. Odwróciła się do koleżanek - stały równie oniemiałe jak ona.

- To ci dopiero! - powiedziała. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Nathalie i Charmaine kiwnęły twierdząco głowami. Im również brakło słów.

- Moje kochane - rozległ się z tarasu kobiecy głos. Odwróciły się. Smukła, elegancko ubrana kobieta w białej bawełnianej sukience z jasno - koralową apaszką swobodnie zawiązaną wokół szyi zeszła na dół po kilku stopniach, żeby je powitać. To musiała być ciotka Lisette. Najpierw ucałowała Rianne, potem każdą z koleżanek bratanicy. Naprawdę urocze - pomyślała pani de Zoete - Koestler, kiedy Rianne przedstawiała jej Nathalie i Charmaine. Ładne, dobrze wychowane i zachwycone Sans Soucis. Trzecia, Gabrielle, nie pasowała na koleżankę Rianne - była bardzo niezgrabna.

Poleciała Marie, kobiecie, która była przy bramie, wskazać dziewczętom pokoje, a Joulesowi - zanieść na górę bagaże. Lisette знаła może dziesięć słów po francusku, ale Marie przez lata opanowała w dostatecznym stopniu angielski, żeby rozumieć chlebobdawczynię.

- Macie dwa pokoje, podzielcie się nimi między sobą - powiedziała Rianne, kiedy Joules wniósł walizki na pierwsze piętro. - Mój pokój jest w końcu korytarza. Tu, po drugiej stronie, jest pokój Henniego, a sypialnia Mariki sąsiaduje z moją.

- Jezu, ile. tu jest pomieszczeń? - Charmaine z zachwytem rozglądała się po przestronnym wnętrzu z dobrą wentylacją. Pokój był piękny. Dwa łóżka ze śnieżnobiałą bawełnianą pościelą osłaniały moskitiery, cieniutkie jak mgiełka, przezroczyste welony, które poruszały się przy najmniejszym podmuchu. W jednym końcu pokoju stała wiklinowa sofa z puszystymi białymi poduszkami i mały stolik do kawy, w drugim konsola z telewizorem i odtwarzaczem wideo. Pomieszczenie przypominało bardziej pokój w luksusowym hotelu niż w prywatnym domu.

W tej willi jest ich osiem, ale po drugiej stronie ścieżki jest jeszcze domek gościnny.

Na Nowy Rok są tu zwykle tłumy. Zobaczycie, będzie tłoczno. - Rianne otworzyła balkonowe drzwi, które wychodziły na taras. - Rankiem możecie sobie tutaj

posiedzieć. Jeśli nie będziecie miały ochoty schodzić na dół, Marie przyniesie wam śniadanie. - Odwróciła się do Joulesa, który cierpliwie czekał przy bagażach. - Tu

peux les déposer ici... et là - zadysponowała, gdzie wnieść bagaże. Chłopak bez słowa wykonał polecenie. - Idę wziąć prysznic - zwróciła się do koleżanek - a potem

popływać. Tak jest najlepiej. Mówię wam, jeśli teraz pójdziecie spać, przez kilka dni będziecie odczuwały zmianę czasu. Wpadnę po was za dziesięć minut.

Dziewczęta skinęły głowami, z wrazenia nadal nie mogły wydobyć z siebie głosu. Rianne wyszła, za nią podążył Jules.

- No, dobra. Poddaję się. Umarłam i poszłam do nieba! - Nathalie rzuciła się na sofę.

- Możecie w to uwierzyć?

- Pójdę do drugiego pokoju - odezwała się Gabby i zarzuciła torbę na ramię. Miała wielką ochotę na prysznic i pięć minut na wygodnym łóżku ze świeżą pościelą. Sąsiednia sypialnia była identyczna, tylko na wiklinowej sofie leżały jasnozielone, a nie białe poduszki. Zamknęła drzwi i zajrzała do białej łazienki. Wspaniała. Po prostu wspaniała. Teraz trochę lepiej rozumiała pierwszą reakcję Rianne na warunki bytowe w szkole Świętej Anny: skoro była przyzwyczajona do takiego luksusu i bogactwa, nic dziwnego, że z trudem przyszło jej zaakceptować warunki życia w angielskim internacie. To jednak tylko częściowo wyjaśniało zachowanie koleżanki. Sądząc po tym, jak traktowana jest tu służba, złożyło się na to wiele więcej. Nie przypadł jej do gustu Hennie. W ogóle się jej nie podobał.

Dziesięć minut później, po upięciu sarongu na dziesięć różnych sposobów, tak żeby ukryć zwal tłuszczu w okolicach przepony, Gabby była gotowa. Udało jej się zmieścić w czarny szkolny kostium kąpielowy. Jeszcze sześć tygodni temu mogła o tym tylko pomarzyć. Jednak w porównaniu z pozostałymi trzema, nie, czterema dziewczętami - ciągle zapominała o Marice - wyglądała równie apetycznie jak prawoślaz lekarski. Spotkały się w korytarzu. Charmaine miała na sobie żółte bikini, które ledwo osłaniało biust, taki sam sarong i klapki. Nathalie ładnie wyglądała w bikini w kwiaty, białych płóciennych szortach, tenisówkach i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Razem z Charmaine tydzień przed wyjazdem odwiedziła w Worcester sklep Miss Selfridge. Zbliżała się do nich Rianne, ubrana w białe bikini trzymające się na tasiemkach i bawełniane szorty. Była boso, włosy związała w koński ogon. Jak na kogoś, kto nigdy nie uprawia sportu, jedynie od czasu do czasu chodzi pod górę, miała figurę tancerki: mocne, długie nogi, skórę napiętą na doskonale ukształtowanych mięśniach ramion, pleców i brzucha. Miała mięśnie na brzuchu? Dziewczęta patrzyły na nią z zazdrością. Przeszły przez ogród, otworzyły furtkę i weszły na miękkie, biały piasek. Nadal panował upał; słońce dopiero zaczynało pochylać się nad horyzontem. Marika i Hennie już byli na plaży.

Chłopakowi oczy niemal wyszły z orbit, kiedy zobaczył zbliżającą się Charmaine. Rianne spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Nie była zachwycona, sposobem, w jaki kuzyn patrzył na koleżankę. Z podziwu nawet otworzył usta.

Jednak Charmaine bardzo się to podobało. Chichotała bez przerwy.

Rozłożyły ręczniki na piasku, zrzuciły buty i piszcząc z radości, pobiegły do czystej błękitnej wody. Z brzegu rozległ się okrzyk. To Hennie ruszył biegiem, żeby je dogonić. Przebiegł przez płyciznę, młóćąc nogami i rękoma oraz rozpryskując wodę, potem niespodziewanie zanurkował. Ciało chłopaka rysowało się jaśniejszą plamą pod wodą, a on rozglądał się za czyjąś stopą, którą mógłby chwycić.

Tu nie ma rekinów, prawda? - nerwowo upewniała się Charmaine, stojąc na brzegu.

- Nie o tej porze dnia! - odkrzyknął Hennie, wypływając na powierzchnię.

- Żartujesz. - Dziewczyna stanęła jak wryta. - Nie wchodzę.

Nie słuchaj go - spokojnie powiedziała Marika, minęła Charmaine i weszła do wody.

Brat zachowywał się bardzo dziwnie. - Bzdury opowiada.

Dziewczyna nadal się wahała.

- Chodź, tu nie ma ani rekinów, ani meduz, ani węży, przysięgam - zapewnił Hennie.

- Woda jest idealnie czysta. Można zobaczyć jedynie ryby, a i one nie podpływają blisko.

- Skąd wiesz? - zawodziła płaczliwie. Wiem i tyle. Nie ufasz mi? - zapytał chłopak, bez żenady wpatrując się w biust Charmaine.

Rianne lekko drżała. Nie przypuszczała, że tak silnie zareaguje na zachowanie kuzyna. Kiedy spotkali się podczas przerwy w połowie semestru, wszystko było w porządku. Odsunęli się od siebie, to naturalne. Ona rozpoczęła nowe życie, chociaż nienawidziła tej zmiany, a on swoje. Dzisiaj po południu, od momentu, kiedy przyjechały, czuła ostry ból w piersiach, widząc, jak Charmaine flirtuje z kuzynem, a było jeszcze gorzej, kiedy Hennie podejmował grę. Zanurkowała. Bardziej poczuła, niż usłyszała, jak woda wpada jej do uszu, ciało idealnie dostosowało się do łagodnego kołysania fali. Wynurzyła się i zaczerpnęła powietrza. Popołudniowy wietrzyk cudownie ją chłodził. Słońce niemal stykało się z horyzontem; zdumiewające, jak szybko zachodziło w tej części świata. Dookoła niebo zmieniało kolor: z płomiennej żółci stawało się złote, potem ciemnopomarańczowe. Odwróciła się na plecy i dryfowała. Zanim pozostali powycierali się i zebrali swoje rzeczy, niebo stało się purpurowe, miało kolor rodzynek. Kiedy zaczęło się ściemniać, niechętnie wyszła z wody.

W ogromnym gabinecie w willi Lisette ślęczała nad stosem papierów.

Przeciwsłoneczne okulary zamieniła na okulary do czytania. Z ołówkiem w dłoni i leżącym obok notatnikiem wyglądała jak atrakcyjna profesor języka angielskiego sprawdzająca wypracowania. Była jednak kobietą interesu i nie siedziała nad pracami domowymi uczniów. Kierowanie gigantem gospodarczym, jakim stało się przemysłowe imperium de Zoete Inc., było nie lada zadaniem. Lwią część zysków przynosiły wielkie kopalnie, ale doskonale zarabiali także na operacjach związanych z rynkiem nieruchomości. W tym celu utworzyli firmę córkę: Kalen de Zoete Koestler. KdZK dysponowała obecnie atrakcyjnymi nieruchomościami w światowych stolicach biznesu: w Londynie, Nowym Jorku i Frankfurtach. Lisette stała na czele obu firm i w związku z tym musiała działać na kilku poziomach jednocześnie. Była właścicielką, inwestorem, decydowała o polityce rozwojowej przedsiębiorstw. Każda decyzja wymagała jej autoryzacji, wskutek czego musiała zajmować się coraz większą liczbą spraw. Okazało się to bardzo wyczerpujące: bezustannie musiała podróżować na drugi koniec świata, nadzorowała pracę kopalni i ich kierownictwo o bizantyjskiej strukturze, czytała sprawozdania, analizowała

informacje, podejmowała decyzje. Nic dziwnego, że zachowała idealną figurę. Nie miała czasu na jedzenie. Poza tym były dzieci. Sama przed sobą wstydziła się do tego przyznać, ale niecierpliwie czekała na moment, kiedy wyjadą z domu. W związku z tym, że Rianne już była w szkole z internatem, Hennie niedługo miał iść do wojska, a Marika za kilka miesięcy wyjeżdżała do Stellenbosch, Lisette już wkrótce miała nadzieję zostać zwolniona z codziennych obowiązków rodzicielskich samotnej matki. Nie chciała jednak w swoim życiu niczego zmieniać. Kochała je takim, jakim było. Szczególnie lubiła przedsięwzięcia, którymi sama kierowała. Lisette, Simon Kalen, wiceprezes de Zoete Inc., i jej zmarły mąż Axel Koestler utworzyli KdZK, żeby rozwinąć interesy, które firma de Zoete Inc. sfinansowała, ale których sama nie mogła prowadzić. Sprawy kopalni powierzyła Hendrykowi. Nie chciała przez resztę życia nadzorować pracy przedsiębiorstw, w których nic się jej nie podobało. Mierziły ją nieustanne wewnętrzne waśnie w łonie ścisłego kierownictwa, napięte stosunki ze związkami zawodowymi, których nienawidziła, brudne, gorące tereny kopalń z robotnikami rekrutowanymi spośród tubylców i ich okropny język - fanagalo. Kopalnie pracowały dla rodziny od pięćdziesięciu lat. Obecnie zarządzał nimi Hendryk, a wkrótce mieli mu zacząć pomagać jego dwaj synowie, Piet i Coen, oraz Hennie. Przedsiębiorstwa przemysłu wydobywczego z pewnością bez większych wstrząsów będą pracowały następne pięćdziesiąt lat. Taką przynajmniej miała nadzieję. Ostatnie doniesienia o rozruchach i zamieszkach wywołanych przez robotników były bardzo niepokojące. Oczywiście, chodzi o problem rdzennej ludności. Westchnęła. Czy ci ludzie nie widzą, jakie mają szczęście? Wystarczy spojrzeć na warunki życia na innych obszarach tego zapomnianego przez Boga kontynentu, aby zrozumieć, że gdyby nie biali, tubylcza ludność w Republice Południowej Afryki byłaby w takiej samej sytuacji. Tymczasem nie grozi im głód, krajem nie targają plemienne wojny, nie ma zamieszek politycznych. Ludzie mają dach nad głową i trzy posiłki dziennie. Czego, u diabła, jeszcze chcą? Postukała ołówkiem o zęby i wróciła do sprawozdania. Strategia rozwoju, Portfel akcji, Ryzyko inwestycyjne. Przebiegła wzrokiem tytuły. Rynek nieruchomości był jej oczkiem w głowie, a firma KdZK rozważnie - albo szczęśliwie - zainwestowała kapitał w najbardziej interesujących miejscach świata. Lisette uwielbiała Nowy Jork, kochała dziką witalność i optymizm tego miasta. Widok z Carlton Towers, ich osiemdziesięcioletniego wieżowca w Czwartej Alei, nie miał sobie równych. Czasami, kiedy pułap chmur zatrzymał się na wysokości pięćdziesiątego piętra, stawała w swoim biurze na siedemdziesiątym piętrze przy ogromnych, sięgających od podłogi do sufitu oknach i spoglądała na świat, uwięziony między niebem na górze a gęstym, białym całunem na dole. W takie dni, kiedy ziemi nie było widać, unosiła się w powietrzu, otoczona tylko innymi wieżowcami, i czuła, że ma u swoich stóp cały świat. Niesamowite wrażenie. Lubiła również Frankfurt z jego godną zaufania atmosferą, europejskim charakterem,

starym kapitałem, wykształconymi mieszkańcami i ich spokojnym, rozważnym zachowaniem. Obecnie jednak najbardziej interesował ją Londyn.

Niedawno razem z Simonem, na którego profesjonalnym doradztwie polegała i któremu ufała, przez tydzień oglądała tereny, gdzie - w normalnych warunkach - nigdy by się nie zapuściła. W jej odczuciu londyński East End - podobnie jak miasteczka dla tubylczej czarnej ludności w kraju - nie był miejscem, które warto odwiedzić. Całe życie, czterdzieści sześć lat, mieszkała w Republice Południowej Afryki i nigdy jej stopa nie postąpiła w takich miejscach jak Soweto, Katlehong i Langa czy innych miasteczkach zbudowanych dla murzyńskiej biedoty.

East End? Spojrzała na Simona i zdziwiona, zmarszczyła brwi. Mimo to cały tydzień chodziła z nim i dwoma londyńskimi współpracownikami po ogromnych opuszczonych terenach doków. Sceptycznie oceniała miejsce, które wiceprezes firmy nazywał Nowym Manhattanem. Nie mogła uwierzyć, że na pustym skrawku ziemi, po którym właśnie chodzili, pewnego dnia stanie najwyższy budynek w Europie. Marzenie Simona. Teren ten nazwał „Królewskie Nabrzeże”. Rozejrzała się dookoła. Nic, tylko puste doki, wrzeszczące mewy i garstka zbulwersowanych miejscowych, którzy wykonywali nieprzyzwoite gesty, kiedy przejeżdżali prowadzonym przez kierowcę samochodem. Nieużytek, teren do niczego nieprzydatny. Simon jednak był pewien swoich racji. Właśnie tę działkę KdZK powinna zakupić, właśnie tu mądrzy, wizjonerscy przemysłowcy powinni inwestować. Chociaż początkowo nastawiona sceptycznie, zaczynała przekonywać się do projektu Kalena. Nowe centrum biznesu - Londynu, Europy, całego świata. Sięgnęła po telefon. W Londynie była północ, wiedziała jednak, że Simon nie śpi.

- Lisette, jak się masz? - Kalen rzeczywiście nie spał.

- Przeglądam dokumenty - Lisette od razu przeszła do rzeczy. Uśmiechnął się do siebie. Właśnie to mu się w niej podobało. To i cała reszta.

Wszyscy członkowie ścisłego kierownictwa w firmie de Zoete Inc. wiedzieli, że Simon Kalen od lat kocha się w nieprzystępnej szefowej. Lisette była prawdopodobnie jedyną osobą, która tego nie widziała.

- I co o tym sądzisz? - zapytał.

- Na papierze wygląda całkiem dobrze. Jakie stanowisko zajmuje rząd? - Pani de Zoete - Koestler była ostrożna. Simon wiedział, że nauczyła się tego od ojca, Antona de Zoete'a. Obserwuj, w jakim kierunku wieją polityczne wiatry - mawiał. Ale działaj sama, unikaj władz; nie rób interesów z rządem, tylko związane z przedsięwzięciami rządowymi. I bądź ostrożna.

- W stu procentach popierają projekt. - W ubiegłym miesiącu Simon był na przyjęciu, na którym jeden z zaproszonych mówców, minister ochrony środowiska Michael Heseltine, mówił o perspektywicznych planach zabudowy i rozwoju terenów londyńskich doków. Kalen był pod ogromnym wrażeniem przedstawionej przez tego polityka wizji. Konieczne jest - mówił Heseltine, przeczesując dłonią blond grzywę - żeby przedsiębiorcy wykorzystali okazję i dali Londynowi to, czego



miasto potrzebuje: nowe osiedla mieszkaniowe, nowe środowisko, nowe przedsięwzięcia przemysłowe, nową architekturę. Wszystko, dzięki czemu będzie można jak najkorzystniej wykorzystać pusty teren.

Uwagę Simona zwróciło określenie jak najkorzystniej. Na atrakcyjność projektu składało się kilka czynników: szybka degradacja miasta i ucieczka z tego terenu przemysłu; bliskość uznanego i zatłoczonego finansowego serca stolicy; szansa na nadanie nowego impetu podupadającej gospodarce poprzez promowanie czegoś, co z czasem stanie się jednym z największych programów odrodzenia miasta. Rząd mianował kierownictwo Miejskiego Rozwoju Terenów Londyńskich Doków zarządem Korporacji Rozwoju Terenów Londyńskich Doków i tym samym rozpoczęła się nowa era w obrocie nieruchomościami.

- Dziesięć lat, Lisette - grzmiał podekscytowany Simon. - Dziesięć lat jesteśmy zwolnieni z podatku. Będą forsowali ustawę prywatyzacyjną dotyczącą rozwoju infrastruktury sieci dróg transportu, a w 1985 roku zostanie otwarte nowe lotnisko. Za cztery lata. Jeżeli ruszymy teraz, będziemy gotowi dokładnie wtedy, kiedy połączenia kolejowe i powietrzne zaczną już funkcjonować. Czego więcej nam trzeba?

Lisette twierdząco skinęła głową.

Transport miał kluczowe znaczenie. Jeżeli rząd zbuduje infrastrukturę, wówczas - jak przewidywał Simon - będą siedzieli na żyłce złota.

- OK. Wchodzimy w to - zdecydowała. - Kiedy możesz przyjechać? Zadzwońisz do Mike'a Ruescha? Jest w Nowym Jorku. Niech razem z zespołem przyjedzie tutaj na Nowy Rok. Musimy to wspólnie omówić. Daj znać, kiedy przylatujecie, to wyślę Joulesa na lotnisko. Przylecisz ze Stellą i dziećmiakami? Jest Rianne z koleżankami ze szkoły, bardzo miłe dziewczynki.

- Jasne, szefowo - Simon roześmiał się cicho. Poczł coś dziwnego. Strach? Podekscytowanie? To będzie największe przedsięwzięcie. Czy sobie poradzą? Był przekonany, że tak. Chciał ujrzeć Lisette, pragnął zobaczyć, jak jej twarz rozjaśnia się uśmiechem. - Zobaczymy się za tydzień - powiedział. Odłożył słuchawkę i podszedł do okna.

W Londynie padało, ulica była śliska, na wilgotnej powierzchni tańczyły światła nielicznych samochodów. Przyglądał się parze po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna niósł parasol - duży, barwny, z nazwą firmy wypisaną na wierzchu - kobieta wisała na jego ramieniu, kiedy przebiegali przez jezdnię. Musieli być zakochani - stwierdził, widząc, z jaką troską mężczyzna trzyma parasol nad głową swojej towarzyszkę i jak kobieta do niego przylgnęła. Kiedy przechodzili tuż pod oknem, zauważył, że byli w średnim wieku. Westchnął i pomyślał o swoim pozbawionym uczucia małżeństwie. Stella spała w gościnnej sypialni w Wilton Crescent, dwójka nastoletnich dzieci w innych pokojach. Kiedy przyjeżdżał do Londynu, zatrzymywał się w apartamencie przy Wilton Crescent. W rzeczywistości mieszkanie należało do

Lisette. Przynajmniej w ten sposób był obecny w jej życiu. Jednak nie tylko tego pragnął.

- *Bann beke salop* - parsknął Joules.

Marie łuskała groszek. Martwiła się o syna. Był inny, odkąd po sześciomiesięcznym pobycie w stolicy wrócił do Sans Soucis.

- *Poukifoc ce mwen ki poci pote say yo a? Yomira pote safe ya yo men?*

(Dlaczego ma wyładowywać i nosić za nich bagaże?) - pytał ze złością.

- *Se kon sa baguayla yé.* (Ponieważ to należy do twoich obowiązków). - Marie nadal łuskała groszek. Ponieważ tak właśnie było na Martynice bez względu na to, co o tym sądził Joules i jego nowi znajomi. Popatrzyła na syna. - *Calmé cou* - poradziła. Chciała, żeby się uspokoił. - *Sonje bien... si yo paté - la. Pa te ke ni lecol, pa te ke ni travay, ni la jan.* (Tylko pomyśl. Gdyby nie oni, nie mielibyśmy ani szkół, ani pracy, ani pieniędzy).

- *Ki moun ki bizouin vye lajan y o a?* (A komu potrzebne są ich pieniądze?) - odparł pytaniem. Podniósł się gwałtownie i kopnął metalową miskę z groszkiem. Na chwilę zapadła cisza. - *Souple eskize mwen. Mwen pa te le diw sa* - powiedział w końcu.

Skinęła głową. Przeprosiny zostały przyjęte. Bez względu na to, co go nurtowało, nie miał prawa tak się do niej odzywać. Popatrzyła za nim, kiedy wychodził.

## 16

- Czy zastanawiałaś się, co chcesz robić? - zapytała bratanicę Lisette, kiedy siedziały przy śniadaniu na werandzie. Wyjątkowo były same. Hennie już pływał, a pozostałe cztery dziewczyny nadal smacznie spały.

- Robić? - naburmuszyła się Rianne. - O co ci chodzi? Czemu miałabym cokolwiek robić?

- Na miłość boską, Rianne! Nie możesz nie myśleć o przyszłości. Co miałabyś ochotę robić? To jest proste pytanie. - Lisette upiła łyk kawy.

- Nie wiem. Wszystko jedno. Ugrzęzłam w tamtym okropnym miejscu, nienawidzę tej szkoły. Doskonale wiesz, że jej nienawidzę. Wszystko mi jedno, co będę robić. Chcę się stamtąd wydostać. - Rianne przesadzała, ale pytanie ciotki wytrąciło ją z równowagi. Wiedziała, że Lisette tylko udaje, iż interesuje się jej przyszłością. W głębi serca rzeczywiście niewiele to ją obchodziło.

- Ależ, skarbie, popatrz, zdobyłaś nowe przyjaciółki, wydają się bardzo miłe...

- Są w porządku - przyznała dziewczyna - ale różnią się od przyjaciół, jakich znałam w domu. Mówiłam ci. W tej szkole są nawet tubylcy. Muszę z nimi jadać. A ten człowiek, Modise, jego syn uczęszcza do męskiego college'u i był wobec mnie niegrzeczny...

- Czyj syn? O kim ty mówisz? - Lisette badawczo spojrziała na kuzynkę. Chyba nie

chodzi o Livingstone'a Modise'a?

- No, wiesz, o tym, który siedzi w więzieniu. Livingstone Modise. Jego syn jest w męskim college'u. To totalny dupek. Był wobec mnie arogancki, i to w miejscu publicznym...

- Słuchaj, skarbie, musisz się trzymać od niego z daleka... od nich wszystkich, słyszysz? Po prostu nie zwracaj na nich uwagi. Livingstone Modise? Co ci ludzie sobie myślą? Jakim cudem syn tego człowieka znalazł się w Anglii? O nie, tego już za wiele! - Lisette nie posiadała się ze złości. Modise? Komunista? Wyjęły spod prawa przywódca tej organizacji terrorystycznej, jakkolwiek się ona nazywa... Afrykańska Partia Wolności? Jakim cudem jego syn znalazł się w tym samym miejscu co jej kuzynka? Kiedy tylko wróci do Johannesburga, zadzwoni do Francine van Gelderen. To ona poleciła szkołę Świętej Anny. Czy w ogóle miała pojęcie, kto jeszcze przebywa w tamtej okolicy?

- O co chodzi, mamo? - zapytała Marika, ziewając. Na górze słyszała podniesiony głos matki. Opadła na jeden z wiklinowych foteli i sięgnęła po croissanta. Przepraszam, skarbie, nie powinnam podnosić głosu. Obudziłam cię, co? Lisette miała mocno zarumienione policzki.

- O co chodzi, co się stało?

- Nic takiego, kochanie - szybko powiedziała matka. Wolą, żeby Marika nie martwiła się o kuzynkę tuż przed wyjazdem na uniwersytet.

- Powiedziałam twojej matce o Ree Modisie w męskim college'u - z sarkazmem wyjaśniła Rianne, zanim ciotka zdążyła zmienić temat. Była wściekła. Wyglądało na to, że Lisette wcale się nie martwiła o bratanicę i nie zastanawiała, jak ona się czuje. Bardziej zaniepokoił ją ten Kaffir Ree!

- Pamiętam. Moim zdaniem jest naprawdę fajny - powiedziała Marika prostodusznie. - Jest też bardzo przystojny. Czytałam o nim artykuł w „Weekly Mail”...

- Marika! - Lisette prawie spadła z krzesła. - Marika, kochanie, co ty mówisz? To absurdalne! On może być niebezpieczny! - Kobieta zbladła jak papier.

- Powiedziałam tylko... - zaskoczona Marika spojrzała na matkę. Właściwie, co takiego powiedziała?

- Dość! Nie chcę już słyszeć ani słowa na ten temat. Dostyc tego, przestańcie, obie. - Lisette podniosła się od stołu, ręce jej drżały. „Weekly Mail”! Jej córka czytuje ten komunistyczny szmatławiec? Weszła do gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na poręczy skózanego fotela. Sprawozdanie, które przeglądała wczorajszego wieczora, leżało na podłodze. Chcąc opanować drżenie rąk, podniosła dokumenty. Oddychała głęboko, nierówno. Nikt, nawet Simon, nie powinien się dowiedzieć, jak bardzo zdenerwowała ją rozmowa z córką i bratanicą.

Przypomniała sobie sytuację, kiedy po raz ostatni widziała ukochanego brata. To było prawie trzy tygodnie po śmierci Céline. Marius nie mógł otrząsnąć się z rozpaczy. Lisette przyleciała z Johannesburga natychmiast, gdy się o tym

dowiedziała, ale brat był już w innym świecie. Słyszała, jak nocą chodzi na parterze. Nie mógł ani spać, ani myśleć, ani jeść. Pewnej nocy, nad ranem, obudziły ją dziwne odgłosy. Był to płacz mężczyzny. Zrzuciła szlafrok i wyskoczyła z łóżka. Znalazła brata w eleganckiej jadalni. Klęczał na podłodze, ze ścian niewidzącymi oczami przyglądały mu się portrety przedstawicieli kilku pokoleń rodziny de Zoete'ów.

- Marius?! - krzyknęła, przerażona, że widzi go w ciemności na kolanach. - Marius?! Dobrze się czujesz?! - Ruszyła w jego kierunku z sercem na dłoni. Tragedia do głębi poruszyła wszystkich, nawet służbę. Dotknęła ramienia brata. Spojrzał na nią, nie dostrzegł, kiedy weszła do pokoju.

- Jak długo jeszcze? - Odwrócił się i patrzył na nią zaczerwienionymi, zmęczonymi oczami. Lisette spojrzała na niego pytająco.

- Jak długo jeszcze? - powtórzyła. - O czym ty mówisz? Co jak długo jeszcze?

- Jak długo, Lisi? - zwrócił się do niej imieniem z dzieciństwa. - Jak długo jeszcze będzie nam to uchodziło bezkarnie? - Potrząsnął głową jakby z niedowierzaniem. Przysiadł na piętach. Był ubrany - najpewniej wcale się nie kładł.

- Marius, o czym ty mówisz? Komu? Komu uchodzi coś bezkarnie? - Mocno zaniepokoił ją wyraz oczu brata, zdenerwowało pytanie.

- Nam! Nam, Lisette! Jak długo jeszcze pociągniemy? - Chwycił siostrę za rękę i pociągnął w dół na podłogę obok siebie. Ścisnął ją mocno. - Lisi, to już niedługo się skończy, wszyscy będziemy skończeni. - Zacisnął palce jeszcze mocniej.

- Marius, proszę, to boli! - krzyknęła i próbowała wyrwać rękę. Była przerażona. Puścił ją gwałtownie i wstał. Nie spojrzawszy na siostrę, wyszedł z pokoju. Wtedy po raz ostatni go widziała. Zaginął następnego ranka.

Wzdrygnęła się. Nagle zrobiło się jej zimno. Wzięła głęboki oddech. Sięgnęła po chusteczkę i wysuszyła oczy. Nie mogła teraz pójść do dzieci. Potrzebowała kilku minut, żeby się uspokoić. Podniosła się i szybkim krokiem poszła na górę. Pójdzie popływać. Woda rozjaśni jej w głowie.

Kiedy Lisette niemal dosłownie uciekła z werandy, między Rianne a Mariką zapadła na kilka minut krępująca cisza. Obie dziewczyny były bardzo zaskoczone. Po chwili Marika wstała i ruszyła na poszukiwanie matki. Czuła się winna. Rianne jeszcze trochę posiedziała na werandzie, potem zdecydowała się pójść na spacer. Już nie miała ochoty na rozmowę z Henniem. Przeszła przez ogród i znalazła się na plaży. Widziała kuzyna daleko w morzu. Zdecydowanymi ruchami rozgarniał wodę poza linią zatoki, kilometry od brzegu, gdzie toń była chłodniejsza... ciemnoniebieska. Doszła do granicy posiadłości rodziny de Zoete i wyszła na publiczną plażę, którą rzadko kiedy odwiedzały postronne osoby. Prawie całe wybrzeże podzielone było między trzy posiadłości: Trinité, Tartane i Sans Soucis. Spacerowała pod rzędem palm, kopiąc łupiny orzechów kokosowych, które spadły z wysokich, falujących gałęzi. Z każdą minutą robiło się coraz bardziej gorąco. Przez cienkie podeszwy tenisówek czuła prażący piasek.

Szła dalej. I pomyśleć, że zaledwie miesiąc temu to samo robiła na zupełnie innych wzgórzach - w Malvern. Spojrzała na morze. Przed oczami rozciągała się lśniąca błękitna tafla wody. Wyglądała jak twarda, błyszcząca skóra. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Minęła zakręt ich prywatnej maleńkiej zatoczki i już nie widziała Henniego. Podeszła bliżej wody. Delikatne fale muskały, opływały jej stopy i chłodziły nogi: wspaniałe uczucie. Pochyliła się, zdjęła tenisówki i zawiesiła je na palcach jednej ręki. Obserwowała, jak stopy zapadają się w mokrym piasku i wynurzają z cichym pluskiem, kiedy stawiała jedną przed drugą. Malutkie rybki o srebrnych grzbietach śmigają wokół jej nóg i umykały to w jedną, to w drugą stronę. Zaczynała się czuć trochę lepiej.

Może błędem było zaproszenie ich wszystkich do Sans Soucis. Nie знаła dobrze koleżanek. Gabby okazała się w porządku, zaprzyjaźniła się z Mariką, obie były molami książkowymi. Poza tym nie próbowała odebrać jej kuzynki. Rianne zdumiewały własne reakcje. Stopniowo uświadamiała sobie, że obawia się, iż jedyne dwie osoby, na których jej zależało - naturalnie poza Poppie, która w tej chwili zupełnie się nie liczyła - bardziej zbliżą się do kogoś innego. Nie chciała ich stracić, nie chciała zostać porzucona. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zależy jej na Henniem i Marice. Przecież tylko ich miała. Niestety, nie mogła tego samego powiedzieć o Lisette. Bywały chwile, kiedy wręcz nienawidziła ciotki.

Zatrzymała się i spojrzała w słońce. Stało niemal prosto nad głową, świeciło oślepiającym blaskiem; zbliżało się południe. Temperatura coraz bardziej wzrastała, czuła, że ramiona zaczynają ją piec. Popatrzyła na pojedyncze ślady stóp na białym piasku. Czas wracać. Jeszcze trochę i porządnie się poparzy.

\*

- Ma śliczne oczy, prawda? - odezwała się Nathalie do Charmaine. Leżały w łózkach, wiatrak pod sufitem powoli obracał skrzydłami. - Szczególnie kiedy się uśmiecha. Chociaż zbyt często to on tego, niestety, nie robi - dodała. Poprzedniego dnia jednak się do niej nagle i zupełnie niespodziewanie uśmiechnął. Wpadła na chłopaka, kiedy wyskoczyła z sypialni z bezpiecznym balsamem do opalania w dłoni, po który wróciła do domu. Młodzieniec codziennie punktualnie o jedenastej rano przychodził sprzątnąć pokoje.

- O... *pardon* - powiedziała po francusku i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem. Zarumieniła się gwałtownie i pędem zbiegła na dół.

- Jest służącym, Nat - z naciskiem przypomniała Charmaine. - Wszystko jedno, czy ma ładne oczy, czy nie, służący nie może ci się podobać. To jakby... jakby... No, po prostu nie może - zakończyła nieprzekonująco, nie mogąc znaleźć odpowiedniego porównania.

- A to dlaczego? - Nathalie wojowniczo domagała się wyjaśnień. Kiedy zobaczyła matkę z Saszą, jej poglądy na to, co uchodzi, a co nie, radykalnie i nieodwołalnie się zmieniły. - Poza tym on wcale mi się nie podoba, powiedziałam tylko, że ma ładne oczy - dodała z irytacją.

- Tak, jasna - Charmaine odrzuciła prześcieradło i spuściła nogi z łóżka. - Pójdziemy popływać? - zapytała, przechodząc przez pokój, żeby odsłonić żaluzje. Oślepiające światło słoneczne zalało pokój. Jeszcze jeden cudowny dzień w raju. Nawet nie wyobrażała sobie powrotu do szkoły Świętej Anny.

- Nie. - Nathalie osłoniła oczy dłonią. - Dzisiaj zostanę w łóżku. Nic mi się nie chce robić.

- Rób, jak chcesz, ja wychodzę. - Charmaine wyciągnęła z walizki bikini. Nigdy się nie rozpakowała. Odkryła, że w tym domu po prostu zostawiało się rzeczy do uprania lub odprasowania na stoliku w korytarzu. Po mniej więcej godzinie były jak nowe. Zdjęła piżamę, wślizgnęła się w różowe bikini w kratkę i obejrzała opaleniznę. Poza Gabby wszystkie dziewczęta były złotobrazowe. Chwyciła ręcznik, machnęła koleżance ręką na pożegnanie i popędziła szukać Gabby. No i - naturalnie - Henniego.

Po wyjściu Charmaine Nathalie podniosła się i z powrotem spuściła żaluzje. W pokoju znowu zapanował błogosławiony mrok. Nie wyłączając wentylatora, wsunęła się ponownie do łóżka i spojrzała na zegarek. Robiło się coraz goręcej, nawet w zaciemnionym pokoju. Czuła, jak między piersiami spływają kropelki potu. Zdjęła górę piżamy i naga od pasa w górę leżała w pomiętej pościeli. Cudownie było czuć podmuchy powietrza na wilgotnej skórze. Zamknęła oczy. Jeszcze tydzień do Bożego Narodzenia. Już wysłała karty z życzeniami do Philippe'a i Clive'a, chociaż obaj przebywali poza domem. Brat był z kolegami w Rotterdamie, a Clive i Cordelia w Singapurze. Już prawie przez tydzień udało się jej nie myśleć o Saszy. Ale teraz, gdy leżała w pogrążonym w mroku pokoju, zagubiła się w myślach. Przypomniała sobie jego twarz, ciemny kolor skóry, gęste, czarne włosy. Sposób, w jaki przeczesywał dłonią czuprynę, kiedy mówił czy szukał odpowiedniego słowa. Jego głos... ta dziwna mieszanina akcentów. Podobały się jej zmarszczki w kącikach oczu, kiedy się uśmiechał albo... Nagle uświadomiła sobie, że przed oczami wcale nie ma twarzy Saszy. Widziała Joulesa.

Odwróciła się z rozmarzeniem i ukryła twarz w miękkiej poduszce. Joules... Sasza... wcale tak bardzo się od siebie nie różnili. Ciemna skóra o złotawym odcieniu, czarne, kręcone włosy... Uśmiechnęła się do siebie. Ciało miała bardziej niż zwykle rozpalone, w dole brzucha czuła niezwykle ciepło. Odwróciła się na plecy. Powietrze z wentylatora muskało twardniejące brodawki. Nagle wszystko wydało się żywe, niecierpiące zwłoki. Włożyła rękę pod pasek spodni piżamy i - po raz pierwszy w życiu - dotknęła się. W mózgu rozległ się przeraźliwy krzyk, kiedy wsunęła rękę niżej; palce dłoni drżały. Dziewczynie zdawało się, że w jej uszach brzmi śpiew. Palce natrafiły na coś... ogarnęło ją tak przyjemne uczucie, że westchnęła. Usłyszała

jakiś szmer w pokoju... ale bardzo odległy. Zamknęła oczy, całe ciało było napięte, znajdowało się na krawędzi czegoś, czego jeszcze nigdy nie czuła. Sasza. Jules. Nagle czar prysnął. Leżała, drżąc w mroku, serce waliło jak młotem. Z całą pewnością usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Gwałtownie usiadła na łóżku. Była przerażona. Czy ktoś wchodził do pokoju?

Tego wieczora przy kolacji wszyscy byli raczej wyciszeni. Nadszedł ten moment ferii, kiedy każdy każdemu działał na nerwy. Nathalie milczała, zajęta własnymi myślami. Czuła się niewyobrażalnie zawstydzona. Kto widział ją tego ranka?

Podejrzliwie przyglądała się współbiesiadnikom.

Charmaine była zakochana. Cały dzień pływała i bawiła się z Henniem, wpadała na niego, pozwoliła się zabrać daleko w morze, tam gdzie sama nigdy nie odważyła się popłynąć. Jeszcze nic się nie stało, jednak była pewna, że wkrótce się stanie.

Widziała to w oczach chłopaka. Gabby i Marika czuły się zmęczone. Po południu długo rozmawiały o polityce i prawie się pokłóciły.

Lisette zajmowała się sprawozdaniami i telefonami: organizowała grupę osób, które miały przyjechać do Sans Soucis na sylwestra - i to nie tylko w celu uczczenia Nowego Roku. To miało być największe kiedykolwiek zorganizowane przez KdZK spotkanie w interesach. Była milcząca, niewiele jadła, co chwila podnosiła dłoń i wygładzała zmarszczki między brwiami. Wszystkim dobrze zrobią spokojne święta. Kilka dni odpoczynku, pływania, spacerów, wycieczek w plener i może wideo lub dwa przed, wieczornym przyjęciem. Rano porozmawia z Marie o menu. Trzeba się zająć tyloma sprawami.

W chłodnym, klimatyzowanym pokoju hotelowym Cordelia Sutton-Farris po raz trzeci próbowała podnieść słuchawkę telefonu i wykręcić numer. Ręce jej drżały.

Wzięła głęboki oddech. Podnieś słuchawkę. Wykręć jego numer. Zawahała się i znowu zrezygnowała. Jeszcze nie teraz. Usiadła na dłoniach na brzegu przykrytego jedwabiem łóżka i rozejrzała się po pokoju. Apartament, który z Clive'em zarezerwowali w legendarnym hotelu Raffles, spełniał jej wszelkie marzenia.

Wszystko było piękne: od ogromnego, wyłożonego marmurem foyer z gośćmi hotelowymi w liberiach, szumiącymi wodospadami i fontannami po mile brzmiące z odległego kąta dźwięki pianina. Luksusowy styl Dalekiego Wschodu. Nawet białe lilie w ogromnych kryształowych wazonach były większe i mocniej pachniały niż te, za które w kraju płaciła majątek. Wszystko było doskonałe. Tego ranka Clive wyjechał w trzydniową podróż służbową do Hongkongu. Z głuchym biciem serca ucałowała go na pożegnanie. Teraz została sama w luksusowym pokoju jednego z najlepszych hoteli świata. Długo jednak sama nie będzie.

Po raz czwarty podniosła słuchawkę. Szybko wykręciła nieznaną numer. Usłyszała krótki sygnał, kiedy przełączano rozmowę międzynarodową a potem - Cordelii trudno było w to uwierzyć - rozległ się jego głos.

- Halo, mówi Sasza.

- Sasza - powiedziała i poczuła ucisk w żołądku - tu Cordelia.

\*

W swojej sypialni w domu babki Sasza Nilam powoli odłożył słuchawkę telefonu. Nie wiedział, co o tym myśleć. Cordelia była w Singapurze? Cóż ona tam, u diabła, robi? I jest bez męża. Nie będzie go trzy dni. Chciała, żeby natychmiast przyjechał do Singapuru. Przejechał dłonią po włosach. W ustach mu zaschło.

- Sasza?! - zawołała babka.

- *Nek*, za chwilę - odpowiedział. Rozejrzał się po pokoju. Dopiero przyjechał. Nawet nie zdążył rozpakować walizek. Ma teraz .wyjechać do Singapuru? Jak to wyjaśni babce?

- Przecież dopiero przyjechałeś! - zaskoczona, powtórzyła jego myśl.

- Wróć w poniedziałek, Mai, nic się nie martw. Powiedz ciotce Nurii, że pożyczyłem jej samochód. Zadzwonię, kiedy dojadę na miejsce. - W rękę trzymał torbę podróżną. Zanim babka zdążyła gwałtowniej zaproponować, pochylił się, głośno pocałował ją w oba policzki i już go nie było.

Uruchomił silnik srebrnego mercedesa ciotki i pomyślał, że w poniedziałek będzie się musiał tłumaczyć z cholernie wielu rzeczy. Wtedy się zaczne o to martwić - pomyślał ponuro. Mimo niepokoju i zakłopotania pragnął zobaczyć się z Cordelią. Kiedy odbierał bilet wjazdu na autostradę przy roгатce Shah Alam, poczuł ogarniające go podniecenie, które nie ustąpiło przez całą trzyipółgodzinną jazdę do granicy między Malezją i Singapurem.

Zadzwoił do niej z recepcji i pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Zapukał, Cordelia podskoczyła. Pobiegła do drzwi, obcasy stuknęły o marmurową podłogę. Otworzyła, przez chwilę oboje stali w przyćmionym świetle, wpatrując się w siebie. Miała na sobie czarny jedwabny przezroczysty szlafrok. Przez cienką tkaninę widział, jak pod jego wzrokiem twardnieją jej sutki. Ostrożnie wyciągnął rękę, wsunął dłonie pod szlafrok. Cicho jęknęła.

Nogą zamknął za sobą drzwi i przyciągnął kobietę do siebie. Dłoni wodził po jej plecach, gładził delikatną skórę między łopatkami i niżej, po całej długości pleców. Była nawet delikatniejsza, niż zapamiętał. Wsunął język do jej ust, twardy i natarczywy. Cordelia zamknęła oczy, palcami przeczesywała jego gęste, kręcone włosy z tyłu głowy i otworzyła usta szeroko... jeszcze szerzej. Powoli opadli na dywan. Popychał ją w tył, aż znalazła się na podłodze pod nim, potem uniósł się tylko odrobinę, żeby ściągnąć koszulę, nawet nie próbując porozpinać guzików. Nie odrywała od niego oczu: złotobrazowy tors z ledwo widocznymi czarnymi, kręconymi włoskami, które układały się w literę „V” i znikwały gdzieś w dzinsach. Poszedł za jej wzrokiem, potem wysunął długie muskularne nogi ze spodni. I nagle



leżał nagi obok niej... na niej... w niej. Znów jęknęła, tym razem głośniej. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy doprowadzał ich oboje do szybkiego, gwałtownego orgazmu. Skrył twarz w załamaniu jej szyi i lekko pieścił zębami, pozwalając, żeby upojenie powoli osłabło. Kilka minut leżeli bez ruchu i bez słowa. W cichym, klimatyzowanym pokoju słycać było tylko ich nierówne oddechy.

- Bardzo się cieszę, że dojechałeś - Cordelia przerwała ciszę. Sasza przewrócił się na wznak, uśmiech błąkał mu się po twarzy.

- To ja się cieszę, że ty dojechałeś - uśmiechnął się figlarnie. - Chciałabyś jeszcze raz? - Cordelia się roześmiała. Była szczęśliwa. Wyciągnęła rękę i dotknęła napiętego brzucha, wzrokiem pieściła jego ciało. Oddychał szybko, nierówno. Zaczęła go drażnić, pocierała i czubkiem palca głaskała nabrzmiałe prącie.

- Czyja chęć? - szepnęła, pochylając głowę. - Myślę, że będziesz tam przede mną... Dwa dni później siedzieli na balkonie; przez cały czas nie oddalili się od hotelowego pokoju. Bezustannie się kochali, krótkie przerwy służyły tylko do zamówienia posiłku do pokoju lub wspólnej kąpieli. Cordelia nigdy niczego takiego nie doświadczyła. Skończyła czterdzieści jeden lat, trzy razy była zamężna, miała dwójkę dzieci... robiła już wszystko: ocalała z zawieruchy wojennej, poślubiła gwiazdę rocka, ogłosiła bankructwo, przenosiła się z jednego kraju do drugiego. Można powiedzieć: żyła pełną piersią.

- Muszę się jeszcze z tobą zobaczyć. Muszę. - Popatrzyła na niego zza okularów słonecznych Diora i upiła łyk kawy. Jedli śniadanie. A właściwie Sasza jadł śniadanie. Wyczyścił również dokładnie jej talerz. Jak to zrobisz? - Patrzył na nią spokojnie pozbawionymi wyrazu oczami. - Nie przyjedziesz do Kuala Lumpur, a twój mąż wraca jutro.

- Coś wymyślę. - Głos Cordelii brzmiał bardzo przekonująco, ale ona nie czuła się wcale tak pewnie. W co, na Boga, się wpakowała? Wzdrygnęła się na myśl o jutrzejszym powrocie Clive'a z Hongkongu. Jak zniesie jego poważne rozmowy i starannie złożone spodnie? Sasza wyciągnął rękę przez stolik i sięgnął po ostatniego croissanta. Podniósł bułeczkę do góry. Cordelia potrząsnęła głową. Przez ostatnie dwa dni prawie nic nie jadła. Popatrzyła na silne, muskularne ramię Saszy i gdzieś głęboko w środku poczuła falę rozkoszy i dziwną tęsknotę. Musi się z nim jeszcze zobaczyć. Musi i koniec. Nic prostszego, coś wymyśli.

Cordelia ponownie spojrzała na datę na ręcznym zegarku marki Piaget: 26 grudnia. Miesiączka spóźniła się dwa miesiące. Zamknęła oczy. Minął tydzień od chwili, gdy Sasza wczesnym rankiem wsiadł do swojego mercedesa i rozpoczął czterystukilometrową drogę powrotną do Kuala Lumpur. Samolot Clive'a wylądował o siódmej trzydzieści, a o ósmej trzydzieści mąż już był w hotelu. Udawała, że ma migrenę po zakupach w upale poprzedniego dnia. Clive nic nie powiedział, chociaż był zdziwiony. Wyjechał aż na trzy dni, tymczasem Cordelia nic nie kupiła. W pokoju nie zauważył toreb z zakupami, żadnych nowych pantofli czy biżuterii. Żona uwielbiała chodzić po sklepach, zakupy stanowiły całe jej życie. Rozpalały zmysły

Cordelii, nawet kiedy on tego nie potrafił.

- Jeszcze jednego drinka, kochanie? - zapytał. Siedzieli przy hotelowym basenie i obserwowali zachód słońca. Przecząco potrząsnęła głową, niewidzącym wzrokiem patrzyła w dal. Palcami nerwowo bębniła w poręcz fotela. Zastanawiała się, jak wymknąć się mężowi i zatelefonować do Saszy. Podniosła się gwałtownie, wsunęła stopy w klapki na wysokich obcasach i sięgnęła po torbę.

- Idę na chwilę do środka, zapomniałam o czymś - powiedziała pospiesznie. Patrzył za nią, kiedy przemierzała patio przy basenie i zniknęła wewnątrz hotelu. Zmarszczył brwi, był zaniepokojony. Bez wątpienia działo się z nią coś złego. Może to reakcja na tutejsze jedzenie.

Wsiadła do windy i pojechała do apartamentu na najwyższym piętrze. Minęła jednak pokój. Schodami awaryjnymi zeszła piętro niżej, gdzie na ścianie wisiało kilka telefonów publicznych. Wrzuciła kilka monet i wykręciła numer Saszy. Miała wrażenie, że telefon dzwoni całą wieczność, zanim w trzeszczącej słuchawce usłyszała głos starszej kobiety.

- Halo?! Halo?! - krzyknęła Cordelia, starając się coś usłyszeć poprzez trzaski. Czy mogę prosić Saszę? - zapytała. Czuła, że robi się jej słabo.

- Saszę? - powtórzyła starsza pani. Potem nastąpił potok niezrozumiałych słów.

Sasza! Sasza Nilam?! - ponownie krzyknęła Cordelia. - Czy pani mówi po angielsku?! Po angielsku?! - Była bardzo zawiedziona, czuła, że jeszcze chwila i się rozplacze. - Czy mogę rozmawiać z Saszą?

Kobieta odpowiedziała w swoim języku. Cordelia zrezygnowała i odwiesiła słuchawkę. Nagle uświadomiła sobie, że bacznie się jej przygląda para Singapurczyków. Przygryzła wargi. Poprawiła włosy, wygładziła spódnice i najspokojniej, jak potrafiła, udała się do wyjścia awaryjnego. Otworzyła drzwi, wyszła na klatkę schodową i niewidziana przez innych, oparła się o ścianę. Co ma teraz zrobić?

Sasza miał dobre przeczucie - po powrocie musiał się gęsto tłumaczyć. Ciotka i babka patrzyły na niego z niedowierzaniem. Zniknął na trzy dni - na trzy dni - a to było zupełnie do niego niepodobne. W dodatku zapomniał zadzwonić z Singapuru do którejkolwiek z nich. Co, u licha, robił tam zabranym bez pozwolenia samochodem? Zwariował czy co? Ciotka nie posiadała się ze złości. Podejrzewała najgorsze: na pewno chodziło o dziewczynę, jakąś ładniutką Angielkę lub Amerykankę. Nie miała żadnych wątpiwości. Niecierpliwym machnięciem pulchnej dłoni odrzuciła wersję o koledze ze szkoły, który potrzebował pomocy Saszy. Rozmawiała z chłopakiem po angielsku, żeby babka nie mogła ich zrozumieć. Starsza pani nie potrafiłaby uwierzyć, nie uwierzyłaby, że jej ukochany Sasza mógłby zrobić coś aż tak bardzo niegodziwego.

- Dobrze - szybko powiedziała ciotka. - Tym razem jestem gotowa przyjąć twoje tłumaczenie. Wiedz jednak, że jeżeli coś takiego się powtórzy, zawiadomię twojego

ojca. Czy wyrażam się jasno?

- Sasza grzecznie skinął głową i poszedł do swojego pokoju. Za nic w świecie nie chciał, aby ojciec dowiedział się o romansie. Nie chodziło o to, że nie zaaprobuje takiego związku - będzie wściekły, gdy dowie się, że Cordelia jest Europejką. Tego dnia, kiedy matka Saszy zostawiła kilkumiesięcznego syna pod opieką teściowej i wsiadła do samolotu odlatującego z międzynarodowego lotniska w Kuala Lumpur do Helsinek, doktor Yusef Nilam zabronił wszystkim w domu, włączając w to malutkiego Saszę, który nawet jeszcze nie potrafił mówić, wymieniać jej imię.

Nienawiść do byłej żony rozciągnęła się na wszystkie Europejki, wszystkie białe kobiety. Kiedy Sasza stał się nastolatkiem, ojciec oświadczył jednoznacznie: „Nie mam nic przeciwko dziewczynom, ale nie wolno ci się spotykać z dziewczętami z Europy. Nigdy”. Sasza nauczył się ukrywać swoje znajomości. A pa yang telah terjadi? - Zdezorientowana babka z rozpaczą zwróciła się do córki. Pytała, co mogło się zdarzyć. Ze smutkiem popatrzyła na zamknięte drzwi do sypialni Saszy. Po raz pierwszy od bardzo dawna miała powód, żeby podnieść głos na ukochanego wnuka.

- Prawdopodobnie chodzi o jakichś kolegów z uczelni - uspokajała Nuria. - Wiesz, Emak, jacy są ci młodzi ludzie. *Jangan khawatir, ianya tak akan berlaku lagi* (Nie martw się, to się już nie powtórzy).

Starsza pani popatrzyła na córkę z troską. Nikt lepiej od niej nie znał Saszy. Nic nie powiedziała. Kiedy chłopiec będzie gotowy, sam jej powie, co się stało. W tej chwili trzeba dziękować Allahowi, że wrócił do domu cały i zdrowy. To było najważniejsze. Potem jednak, po południu, odebrała telefon od kogoś - od kobiety, roztrzęsionej kobiety, nie dziewczyny. Nieznajoma chciała rozmawiać z Saszą. Babka znowu się zdenerwowała.

- Karadia... Cabodia... Cameelia? - wymieniała wnukowi nieznane imiona. Cordelia?

- podsunął Sasza, mrużąc oczy. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu. - Mój Boże, to nie może być znowu ona.

- Cordeelya - powtórzyła babka, energicznie kiwając głową. - *Siapakah perempuan itu?* (Kim jest ta kobieta?)

- To matka mojego przyjaciela Philippe'a - odpowiedział Sasza zgodnie z prawdą. - Może coś mu się stało.

- Zatem lepiej do niego zadzwoń - podsunęła babka. Z trudem wstała i przyniosła wnukowi telefon.

- Ja... ja zgubiłem numer jego telefonu - wymijająco odparł Sasza. Nie lubił kłamać babce, nie mógł jednak przy niej rozmawiać z Cordelią. Chociaż nie znała angielskiego, nie była głupia. Poza tym dokąd ma zadzwonić do kochanki? Do hotelu? I trafić na jej męża? - Zadzwonię później - powiedział, podnosząc się z krzesła.

- Sasza! - zawołała babka, kiedy chłopak zniknął w swoim pokoju. Zauważyła, że wnuk się zmieszał i był wyraźnie zaniepokojony. Uznała, że nadszedł czas, aby powiedział jej prawdę. - *Ada sesuatu yang Nek hendak bincangkan* (Chcę z tobą

porozmawiać). - Usadowiła się na kozetce i poklepała miejsce obok siebie. - *Mañ. Duduklah di sini, disebelah Nek* (Chodź. Usiądź obok mnie).

Nie mogę, *Nek... maafkanlah saya* (Przepraszam).

Błagalnie popatrzył na babkę i zamknął za sobą drzwi. Patrzyła na nie, a jej niepokój jeszcze bardziej wzrósł.

Ukryty w zaciszu swojego pokoju, Sasza włączył klimatyzator i położył się na łóżku. Zamknął oczy. Bolała go głowa. Jak się w to wpakował? Bardzo lubił Cordelię: była piękna, czarująca i doświadczona. Podobało mu się również, jak czuła się przy nim i z nim. Wszystko się zaczęło, kiedy pojechali na konną przejażdżkę. Na szczycie wzgórza zaczęła się do niego przystawiać. Zsiadła z konia, spod zgrabnego bocznego siodła wyciągnęła koc i rozłożyła go na ziemi. Rankiem o tej porze roku na dworze było zimno, im jednak, po szybkiej jeździe, zrobiło się gorąco.

Siedzieli na kocu, odpoczywali i obserwowali, jak konie odzyskują siły. Wyjęła małą, srebrną kieszonkową butelkę i wspólnie napili się whisky. Spróbował trunku na języku Cordelii, kiedy przyciągnęła usta chłopaka do swoich i wsunęła jego rękę między uda. Bezpośredniość kobiety zszokowała Saszę, ale i podnieciła. Do niczego wtedy nie doszło, było zbyt zimno. Potem jednak kochali się każdego dnia, czasem - jeśli się udało - nawet dwa razy dziennie. Ryzykowali dużo. Nie pamięta, jakim cudem mógł co wieczór siadać ze wszystkimi do kolacji, spokojnie jeść, rozmawiać z jej mężem, uśmiechać się do Nathalie i Philippe'a.

Cordelia okazała się najbardziej wymagającą kobietą z jaką kiedykolwiek był.

Zresztą nie miał ich tak wiele. Pierwszą była słodka, mała Emily Baker, dobra dziewczyna - Angielka i koleżanka z klasy w międzynarodowej szkole średniej.

Boże, wstrząsającym doświadczeniem było samo wsunięcie dłoni pod jej bluzkę. W końcu zmęczył się brakiem doświadczenia dziewczyny, traktowaniem go jak kolegi z podwórka i stanowczą odmową nawet rozważenia możliwości przespania się z nim.

Zastąpiła ją Torii, ciemnowłosa Szwedka, również koleżanka z klasy. Było świetnie, ale trwało krótko. Po kilku nieporadnych, chociaż pełnych zapału spotkaniach oboje stracili dziewictwo, a wkrótce on stracił Torii.

Zamieniła go na lepszego, starszego chłopaka - dżokeja, który brał udział w wyścigach konnych.

Sasza miał już upatrzoną następną dziewczynę, Samanthę Donaldson, Amerykankę, która przyjechała w ramach wymiany uczniowskiej. Wyglądała jak typowa Kalifornijka.

Zanim jednak zdążyli się do siebie zbliżyć, ni stąd, ni zowąd ojciec oświadczył, że natychmiast musi się przenieść do szkoły w Eton. Miał mieszkać wśród Anglików. „Lepiej pobić Angoli na ich własnym terenie” - stwierdził w rozmowie z synem. Dr Nilam nigdy nie wyjaśnił Saszy, o co dokładnie mu chodziło. Wszystko jedno. Saszy podobała się perspektywa życia z dala od despotycznego ojca.

W Eton nie było dziewcząt, chociaż chłopcy spotykali się z kilkoma odważniejszymi z żeńskiej szkoły, oddalonej o pół godziny drogi spacerem. Jednak poza sobotnimi

popołudniami spędzonymi w wiejskiej kawiarence, gdzie wydawało się niewielkie kieszonkowe, nie było gdzie zabrać dziewczyny, nawet gdyby okazała się chętna. Dopiero kiedy zaczął studiować w Reading, przekonał się, jak wielką uwodzicielską moc ma połączenie interesującego wyglądu i egzotyki. Po raz pierwszy dziewczęta dosłownie mu się narzucały. Bardzo mu się to podobało. Po wyjeździe z domu czuł się wyzwolony - w każdym znaczeniu tego słowa. Mógł robić, co mu się podobało, kiedy i z kim chciał. Dziewcząt było dużo - wśród nich i ładne, i nieciekawe, wszystkie niedoświadczone. Jednak Cordelia okazała się zupełnie inna. Otworzył oczy. Mimo młodego wieku wiedział, że jej nie kocha. Być może pożąda, ale nie ma to nic wspólnego z miłością. Cordelia oczekiwała zbyt wiele. Traktowała go, jakby był jednocześnie dzieckiem i ojcem - przedziwna płatanina własnego braku poczucia bezpieczeństwa. Pragnęła, żeby nieustannie poświęcał jej całą swą uwagę. Kiedy się z nią kochał, widział w oczach kobiety nienasycony głód: chciała być kochana, uwielbiana, szanowana, pragnęła, żeby z nią został. Tymczasem on nie miał takiego zamiaru. Jak jednak miał kochance to powiedzieć? Tu tkwił problem. Jak powiedzieć jej o tym tak, żeby ona nie powiedziała innym? Wiedział, że zrobił coś niedopuszczalnego, Philippe nigdy by mu tego nie wybaczył. A teraz, kiedy Cordelia miała jego numer telefonu... Zacisnął szczęki. Nie będzie się z nią kontaktował przez kilka dni. Może zrozumie i chociaż trochę odpuści. Zobaczy się z nią, kiedy wróci do Anglii, wtedy wszystko kochance wyjaśni. Był młody, właśnie kończył studia, miał przed sobą całe życie. Nie mógł pozwolić sobie na związek z taką kobietą jak ona, chociaż była bardzo piękna i wzbudzała pożądanie. Nie chciał zrywać przyjacielskich stosunków z jej synem. Cordelia na pewno zrozumie.

## 17

Nathalie przemknęła przez furtkę na końcu ogrodu i pilnie wpatrywała się w ciemność. Gdzie on się podział? Za nią w najlepsze trwało sylwestrowe przyjęcie. Na werandzie cicho grała orkiestra jazzowa, muzyka płynęła w czarną aksamitną ciemność nocy, mieszała się ze śmiechem i brzękiem kieliszków szampana. Marie, Joseph i jeszcze dwóch pomocników z wioski - gdziekolwiek ona jest - obsługiwali gości. Rozejrzała się jeszcze raz. Było bardzo ciemno. Na tafli wody słabym blaskiem odbijała się kwadra księżyca, rzucała tylko mdłe, niewyraźne światło.

- Hej ! - W ciemności rozległ się męski głos.

Spojrzała ponownie. Siedział na piasku, trochę na lewo od niej. Widziała, jak zaciąga się papierosem; w ciemności rozbłysnął pomarańczowy ognik.

- Joules? - zawołała cicho.

- Way. - Uwielbiała dźwięk jego mowy. Kreolska. Ostrożnie ruszyła w kierunku chłopaka, pod bosymi stopami czuła ciepły piasek. Wstał, kiedy podeszła. - Chodź. Odejdźmy stąd. Znajdziemy inne miejsce. - Wsunęła rękę w jego dłoń. Wszystko

było takie proste.

Napięcie między nimi narastało cały tydzień. Wiedziała, że właśnie on wszedł do pokoju tamtego ranka. Dostrzegła to w jego spojrzeniu, co ją podniecało. Nie robili nic, tylko się do siebie uśmiechali, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Raz jej dotknął, kiedy wychodziła z pokoju na plażę. W domu nie było nikogo, wszyscy już poszli nad morze. Leciutko musnął jej ramię; dla Nathalie była to delikatna, najczulsza pieśczoła. Spojrzała na niego, serce biło jak oszalałe. I wtedy zniknął.

Zobaczyła go dopiero wieczorem. Był ubrany w białą koszulę i czarne spodnie.

Twarcz miał zarumienioną świeżą, ciemnozłotą opalenizną ponieważ cały dzień spędził na powietrzu, rozwieszając światła i dekorując ogród. Na widok chłopaka gwałtownie skurczył jej się żołądek i na chwilę straciła oddech. Podszedł do niej z tacą kieliszków szampana.

- À boire? - z uśmiechem zapytał, czy się napije.

Spojrzała w jego roześmiane oczy i szybko rozejrzała się po pokoju. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Oui - odpowiedziała. - Merci.

Ah, tu parles bien le français. - Pochwalił jej bezbłędny francuski i podał kieliszek.

Ich palce na sekundę się zetknęły, odniosła wrażenie, że przeszywa ją prąd.

Uśmiechnął się znowu i odszedł.

Po tym przelotnym dotyku czuła mrowienie w palcach. Wychyliła kieliszek, bąbelki szły prosto do głowy. Spacerowała po ogrodzie, całe ciało owładnęła zmysłowa energia, jakiej nigdy dotąd nie czuła. Poczęstowała się jeszcze jednym kieliszkiem wina, poskubała jedną z pysznych kanapek, przygotowanych przez Marie, pociągnęła kilka łyków whisky z coca-colą ze szklaneczki Rianne. Głośniej niż ktokolwiek śmiała się z kiepskich dowcipów Henniego, szeroko uśmiechała do Gabby. Jej oczy błyszcząły tajemniczym, zmysłowym podnieceniem. Po jedenastej, kiedy już było po obiedzie i wszyscy goście tańczyli, Joules szepnął jej do ucha, żeby spotkała się z nim na plaży. Rozmarzona, zbliżyła się do niego i odważnie położyła mu rękę na ramieniu.

- Dix minutes? (Za dziesięć minut?) - zapytał. Skinęła głową. Znowu zniknął.

Rozejrzała się dookoła. Nikt nie zwrócił uwagi. Poczekała, aż orkiestra rozpocznie nowy kawałek, i dopiero wtedy szybkim krokiem poszła przez krzewy rododendronów w kierunku plaży. Zniknęła w ciemnościach. Nikt jej nie widział.

Łatwo poszło.

- Dokąd pójdziemy? - szepnęła, kiedy oddalali się plażą od domu.

Jest takie miejsce... no, jak to się nazywa? Do pływania? Wiesz, żeby zostawić ubranie - powiedział Joules, nie patrząc na nią.

- Chata? - podsunęła Nathalie. Poczowała, jak napięcie w pachwinach obejmuje całe ciało.

- Way. Une cabine. - Znał drogę, szedł pewnie nawet w egipskich ciemnościach.

Była to prosta, kryta słomą konstrukcja, nawet nie chata. Trzy ściany i dach, który

chronił przed palącym słońcem. Teraz, w środku ciepłej, parnej nocy, było tu wilgotno i chłodno.

- Nie ma węży? - zapytała Nathalie z niepokojem.

- *Non* - roześmiał się Joules. Rozłożył sizalową matę i strzepnął z niej piasek. - Chodź. Usiądź koło mnie. *Ou pa bezwen pè. M'pap fèw anyen* (Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy).

Nathalie uklękła. Serce waliło jej jak młotem. Wychylił się i pociągnął ją ku sobie. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w ciemności. Kiedy pochylił głowę, Nathalie widziała tylko jego ciemne, błyszczące oczy i rząd białych zębów. Pocałowali się, początkowo delikatnie, potem poczuła, jak język chłopaka wsuwa się do jej ust, twarde, gorący i wilgotny. Wszystko działo się tak szybko. Pod sukienką poczuła jego rękę, palce niezdarnie gmerały wokół gumki majtek. W pewnej chwili musnął ją dłonią dokładnie tam, gdzie sama się wówczas dotykała. Była tak bardzo poruszona siłą doznań, jaka ją wtedy ogarnęła, że bała się to powtórzyć. Ale teraz, kiedy leżała obok Joulesa i czuła, że jego dłonie pieścą ją tak samo, jak sama się pieściła, obezwładniająca fala znowu zaczęła gwałtownie ogarniać ciało dziewczyny; wygięła się w łuk. Poczuła, że na sekundę odsuwa się od niej, rozpina spodnie i unosi się, żeby je zdjąć. Położył się na Nathalie, wgniótł w wilgotny piasek, jego ręce i usta pożerały ją łakomie, muskały, przyciągały do siebie.

Nagle poczuła, że przenika ją chłód. W tym momencie całe podniecenie i pożądanie zmieniło się w strach. Słyszała, jak mruczy, kiedy poczuł wilgoć pod palcami. W jednej chwili znalazła się na poddaszu w Malmesbury i słyszała jęki Saszy, kiedy pieścił Céline. Spojrzała na Joulesa, ale widziała tylko kręcone włosy Saszy, kiedy zaczynał się kochać z matką. Z jej matką. Dziewczynie kręciło się w głowie, nie mogła złapać oddechu... Przyciskał wargi do jej ust, język wsuwał do środka, między nogami czuła coś twardego. Wpadła w panikę, próbowała się odsunąć. Nie była gotowa, wszystko działo się zbyt szybko. Jęknęła, odwróciła głowę i odepchnęła go. Jednak chłopak był już zbyt podniecony.

- Jedną ręką przytrzymał ramię dziewczyny, drugą rozsunął nogi i gwałtownie w nią wszedł. Nathalie zaczęła płakać. Sprawiał jej ból, uderzał, a ona waliła głową w twarde piasek. Był ciężki, zbyt ciężki. Poczuła, że coś gorącego gwałtownie w niej wybucha. Joules głęboko wciągnął powietrze, jego ciało napięło się, potem uderzył ostatni raz i osiągnął orgazm. Drgał i drżał, leżąc na niej. Nathalie przycisnęła twarz do piasku, z dala od niego. Słone łyzy łaskotały posiniaczone usta, na zębach czuła ziarenka piasku. Stłumiła szloch. *C'était bien?* - usłyszała głos Joulesa gdzieś z oddali. Teraz leżał obok niej, sięgnął po papierosa. Pogłaskał ją po twarzy. Nathalie nie mogła poradzić sobie z uczuciami. Wśród wielu innych czuła strach i wstyd.

- *Ça va?* - zapytał. Pokiwała głową, nie chciała się odezwać, bała się, że głos się jej załamie. To trwało tak krótko... i, mój Boże, bardzo bolało. Przyciągnęła kolana do

piersi i zamknęła oczy.

Piętnaście minut później Nathalie wślizgnęła się z powrotem do ogrodu i pobiegła do łazienki. W środku zapaliła światło, oddychała ciężko. Wargi miała posiniaczone i opuchnięte, twarz z jednej strony pokryta była piaskiem. Odkręciła kran i wyjęła ręcznik. Dokładnie umyła twarz i ręce. Podniosła białą spódniczkę ubrudzoną piachem i błotem. Jak najlepiej umiała, próbowała usunąć plamy. Zamknęła oczy i wycierała lepka wilgoć między udami. Kiedy wyciągnęła ręcznik, zobaczyła, że jest zakrwawiony. Teraz wiedziała, dlaczego poczuła krótki, ostry ból, kiedy Joules w nią wszedł. Zaczęła płakać. To nie tak miało być. Usłyszała krzyki w ogrodzie. Wystrzelono sztuczne ognie. Wyrzała przez okno. Niebo było usiane zielonymi, czerwonymi i złotymi błyskami. Nastął 1982 rok.

Za 1982 rok! Lisette podniosła kieliszek. Kilkunastu gości poszło za jej przykładem. Popatrzyła na grupę mężczyzn stojących na werandzie; była wśród nich jedyną kobietą. Miała pewność, że rok 1982 będzie dla nich dobry, przyniesie nowe wyzwania i możliwości. Z czułością spjrzała na brata Hendryka, młodszego, chyba mniej przystojnego i charyzmatycznego od Mariusa. Był jednak jej najbliższą rodziną i to uważała za najważniejsze. Teraz byli z Hendrykiem sami na świecie. Matka i ojciec nie żyli, a Marius? Któż to wie? Jego ciała nigdy nie znaleziono. Nigdy nie zostawił listu, nie zadzwonił, nie dał znaku życia. Nic, absolutnie nic. Jednego dnia rozmawiali w domu, następnego gdzieś przepadł. Miała jeszcze dzieci i za nie była bardzo wdzięczna losowi.

Rozejrzała się po ogrodzie: Hennie ramieniem obejmował tę małą latawicę Charmaine; Rianne stała - jak zwykle sama. W białej, wieczorowej sukni i włosach szczesanych do tyłu wyglądała równie niesamowicie jak kiedyś jej matka; Marika z zachwytem na ślicznej buzi obserwowała pokaz sztucznych ogni. Lisette oczy zasłzy mgłą. Dzieci wyglądały na zadowolone i szczęśliwe, uwielbiała patrzeć na ich rozpromienione twarze.

Synowie Hendryka, Piet i Coen, zostali z matką w Pretorii. Bratowa nie lubiła rodzinnych spotkań. Renata van Wyk była prostą dziewczyną, pochodzącą z farmerskiej rodziny Afrykanerów. Nigdy nie wyobrażała sobie, że może wejść do rodziny de Zoete'ów. Bóg jeden wie, gdzie poznała męża, Hendryk nigdy o tym nie mówił. Lisette miała swoje podejrzenia, z nikim się jednak nimi nie podzieliła. W odróżnieniu od życia zawodowego dzieciom Antona de Zoete'a życie prywatne nie ułożyło się najlepiej: Céline zmarła w wieku trzydziestu trzech lat; mąż Lisette, Axel, zginął w strasznym wypadku samochodowym, kiedy miał lat czterdzieści jeden; a żona Hendryka Renata zamykała się w rodzinnej posiadłości w Pretorii. Z nikim się nie spotykała, więc dla rodziny też jakby nie żyła.

Lisette odwróciła się do gości zgromadzonych na werandzie. Trzy dni przeglądali dane, analizowali informacje i planowali, planowali, planowali. Byli gotowi. W ciągu dwóch następnych dni porozjeżdżają się z powrotem do swoich przedstawicielstw i rozpoczną przygotowania do zdecydowanego wprowadzenia



KdZK na rynek finansowy.

## 18

Była piąta po południu. Marie i Joseph patrzyli, jak samochody znikają za zakrętem, potem odwrócili się, żeby wejść do środka. Po trzech tygodniach gwaru i zamieszania w domu zapanowała błoga cisza. Marie odetchnęła z ulgą i podążyła za mężem do willi. Oboje mieli nadzieję spędzić tu resztę życia, nic, co działo się w tym domu, nie miało dla nich tajemnic. Od dziesięciu lat rokrocznie robili to samo, dlatego teraz bez namysłu zabrali się do pracy: wyciągali pokrowce na meble, zdejmowali powłoczki z pościeli, zamykali naczynia w szafkach. Cieszyli się perspektywą spędzenia kolejnych jedenastu miesięcy w ciszy i spokoju. Byli bardzo zadowoleni z umowy z właścicielką: cały rok mieli obowiązek doglądać posiadłości, dbać o ogród, a w czasie świąt Bożego Narodzenia pozostawać do dyspozycji dwanaście godzin dziennie. Dzięki otrzymywanemu wynagrodzeniu mogli posłać najstarszego syna do dobrej szkoły, École Supérieure.

Marie zastanawiała się, gdzie się podziewa Joules. Wiedziała, co zaszło między synem i tą drobną brunetką. Przekonywała samą siebie, że i tak dobrze się stało, iż Joules nie próbował wyciągnąć nocą na plażę panienki Rianne. Bóg wie, czym to mogłoby się skończyć. Wiedziała, że synowi trudno pogodzić się z faktem, iż Hennie, Rianne, Marika i ich koleżanki mogą robić, co chcą wyjeżdżają i przyjeżdżają kiedy się im podoba, podczas gdy on jest skazany na Sans Soucis, bez możliwości ucieczki. Mimo to i tak czuła ulgę, że nie chodziło o Rianne, tylko o la p 'tite Anglaise.

Razem z Josephem szła od pokoju do pokoju, kolejno zamykając okna i drzwi. U jej pasa brzęczał ogromny pęk kluczy. Jeszcze jedno święta Bożego Narodzenia za nimi, jeszcze jedna roczna pensja w kieszeni.

## 19

Kiedy tylko usłyszał w słuchawce głos Philippe'a, wiedział, że zdarzyło się coś bardzo złego. Babka przyglądała mu się z niepokojem. Sasza wolno kiwnął głową. Nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Wnuczek słuchał przez chwilę, potem odłożył słuchawkę. Kilka minut stał bez ruchu, odwrócony do niej plecami, i ciężko oddychał.

- Sasza, co się stało? - delikatnie dotknęła jego ramienia. Drgnął i powoli się do niej odwrócił.

Nenek - zaczął, patrząc jej prosto w oczy. Wzrok miał czysty, spojrzenie uczciwe,

szczerze. Doskonale je znała. Ludzie zawsze mówili, że wnuk ma oczy czarne jak smoła. Jej zdaniem były jasne. Jasne i czyste, w kolorze oberżyny. Patrzyła na wnuczka z czułością, czekała na wyjaśnienia. Kiedy powiedział, milczała. Nie wiedziała, jak zareagować. Nic, co przeżyła zarówno z wnukiem, jak i jego ojcem, nie przygotowało jej na taką sytuację. Kiedy głos Saszy ucichł, czuła wstyd i przerażenie. Wpatrywała się w złożone na podolku ręce i bezwiednie obracała na wskazującym palcu pierścionek, jedyny klejnot, jaki miała.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytała, nie wiedząc, jakich słów użyć.

- Jakies cztery miesiące temu, Nek. Byłem u nich w domu. To ona zaczęła...

Przerwał.

Kręciła głową. W tradycyjnej rodzinie malajskiej niedopuszczalne były rozmowy na takie tematy między przedstawicielami różnych pokoleń. Bardzo trudno byłoby jej rozmawiać o tym z synem, z wnukiem po prostu nie potrafiła.

- Ale dlaczego? Dlaczego...? - zmusiła się do zadania pytania. - Sasza, ona jest stara, mogłaby być twoją matką. - Gwałtownie podniosła rękę do ust. Może właśnie w tym rzecz. Nigdy nie rozmawiała z Saszą o matce. Yusef już o to zadbał. Jamila martwiła się, co powie wnukowi, kiedy Sasza o nią zapyta. Jednak nigdy dotąd nie pytał. Nie wiedziała, co chłopak myśli. W milczeniu patrzył na nią pustym, nieodgadnionym wzrokiem.

- Sasza - zaczęła łagodnie. - Ja... nie potrafię... nie umiem ci doradzić. Sam musisz podjąć decyzję. Ale jeśli jest... dziecko, powinieneś do niej pojechać. Musisz jej pomóc. Porozmawiam z twoim ojcem.

- Nie! - Sasza gwałtownie się odwrócił. Oczy chłopaka zmieniły wyraz. - To nie jego sprawa. Nie musi wiedzieć.

- Co ty mówisz?! - krzyknęła babka. - On cię utrzymuje. Dzięki niemu tam jesteś... w tamtym miejscu. Może stałeś się już na tyle dorosły, żeby być ojcem, ale nadal pozostajesz jego dzieckiem.

- Nie! Przykro mi, babciu, ale nie możesz, nie wolno ci mu powiedzieć. Jeżeli powiesz... - Przerwał. Uświadomił sobie, że wkraczają na niezbadany grunt, poruszają temat, na który nigdy ze sobą nie rozmawiali. Babka popatrzyła na niego w milczeniu. - Jutro wylatuję do Londynu. Powiedz ojcu, że musiałem nagle wyjechać. Chodzi o jednego z moich przyjaciół. - Błagalnie spojrzął na babkę. Westchnęła. Wiedziała, że Nuria będzie wściekła. No cóż, będzie musiała jakoś wytłumaczyć wnuka. Nie spuszczała wzroku z Saszy. Chłopak wstał, otworzył drzwi do swojej sypialni i cicho zamknął je za sobą. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy uzmysłowiła sobie, przez co chłopiec przechodzi. Niech szlag trafi tę babę! - pomyślała ze złością. Niech ją diabli! Ją i dziecko.

Cordelia jak przez mgłę zdawała sobie sprawę z tego, że wokół niej kręcą się ludzie. Nogi miała ciężkie, ołowiane, zwiotczałe. Starła się otworzyć oczy. Nie była w stanie, wysiłek ją zmęczył. Ponownie opuściła powieki i z powrotem zapadła w ciemność. Czuła, że ktoś bierze ją za rękę, potem ukłucie... i nicość. Zapomnienie. I

cisza. Kompletna cisza. Spała.

Clive był przy jej łóżku, obserwował żonę z niepokojem. Twarz miał ściągniętą z bólu, zmęczoną. Minęło prawie dwanaście godzin od chwili, gdy przywieźli Cordelię do szpitala. Na chwilę przymknął powieki, chcąc wymazać sprzed oczu okropną scenę.

Przyszła z łazienki i opadła na siedzenie obok. Wyglądała mizernie, ręce lekko jej drżały.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytał. Nie wyglądała dobrze od wyjazdu z Singapuru, jakieś dziesięć godzin temu. Nie chciała nic jeść ani pić, spała niespokojnie. W ciągu ostatniej godziny chodziła do łazienki co dziesięć minut.

Trochę kręci mi się w głowie - zamruczała i przymknęła oczy. - Czuje się... dziwnie.

- Zawołać stewardesę, kochanie? - zaproponował i zaczął rozglądać się po kabinie pierwszej klasy. Obsługa zawsze była pod ręką.

- Będzie dobrze, kiedy wylądujemy - szepnęła.

Ale nie było dobrze. Gdy samolot dotknął kołami pasa startowego lotniska Heathrow, próbował obudzić żonę. Dopiero kiedy jedna z kompetentnych stewardes linii lotniczych British Airways pochyliła się, żeby mu pomóc, zauważył jaskrawoczerwoną plamę na spodniach od Karla Lagerfelda. Cofnął się z przerażenia, a potem zaczęło się piekło. W kilka sekund zawiadomiono lekarza, na pasie startowym pojawiła się karetka.

- Czy żona jest w ciąży? - zapytał lekarz, przykładając stetoskop do brzucha Cordelii.

Clive przecząco potrząsnął głową. Nie kochali się od miesięcy.

Cordelię delikatnie ułożono na noszach i przeniesiono do czekającej karetki. Na szczęście ich towarzystwo ubezpieczeniowe szybko nadało bieg sprawie.

Błyskawicznie zawieziono oboje do szpitala w Portland i chorą natychmiast zabrano na salę operacyjną. Clive z niepokojem czekał w prywatnej poczekalni...

- Ma pan ochotę na filiżankę herbaty? - obudziła go pielęgniarka, delikatnie potrząsając za ramię. - Daliśmy jej środek uspokajający, będzie teraz spała. - Clive, początkowo dezorientowany, chwilę patrzył na nią nieprzytomnie, potem skinął głową. Od przyjazdu nie miał nic w ustach. Wstał, musiał zatelefonować do Philippe'a. Na szczęście Nathalie była na wakacjach, dzięki temu oszczędzi jej bólu. Wróciła pielęgniarka z filiżanką herbaty i kilkoma kanapkami. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

- Chciałbym zadzwonić do syna. Jest w Somerset - powiedział.

- Naturalnie - odparła pielęgniarka. Telefon stał z drugiej strony łóżka. Pielęgniarka podała aparat Clive'owi. - Będzie pan dzwonił do Saszy? Śliczne imię, ale trochę niezwykle.

- Do Saszy? - Clive poczuł, że oblewa go zimny pot.

- Tak, ciągle go wołała. Bez przerwy powtarzała: „nasz syn”. Dobrze się pan czuje? -

zaniepokoiła się, ponieważ Clive zbladł jak płótno.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszło dwóch mężczyzn, częściowo jeszcze ubranych w sterylne, operacyjne stroje.

Pan Sutton-Farris? - Jeden z nich wyciągnął rękę do Clive'a. - Semple, jestem konsultantem na oddziale ginekologicznym, a to doktor Banks, asystował mi podczas operacji. - Clive przywitał się z oboma lekarzami, potem zwrócił do nich pozbawioną wyrazu, odrętwiałą twarzą. Był przerażająco pewny, że wie, co usłyszy. Bardzo mi przykro, panie Sutton-Farris - zaczął konsultant. - Nie udało się nam uratować dziecka. Żona wróci do siebie, tego może być pan pewny, ale obawiam się, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Musieliśmy usunąć macicę. - Clive ze wszystkich sił starał się skoncentrować na tym, co mówił lekarz. Zignorował zaniepokojenie obu mężczyzn oraz pielęgniarkę, która nagle zamilkła, i wyszedł z pokoju.

Cordelia obudziła się nagle, jakby czymś się przeraziła. Szeroko otworzyła oczy. W kącie pokoju zobaczyła sylwetkę kogoś niedbale siedzącego na krześle. Poznała Clive'a. Najwyraźniej był wyczerpany czuwaniem przy niej. Cierpiała, ponownie zamknęła oczy. Mogła myśleć tylko o przeszywającym bólu w dole brzucha i o Saszy. Gdzie był? Gdzie była ona sama? Ostrożnie otworzyła ponownie oczy i próbowała poruszyć głowę, żeby się zorientować, gdzie jest i dlaczego się tu znalazła.

Pielęgniarka wsunęła głowę w drzwi i weszła do pokoju.

- Witaj, skarbie - uspokajająco pogładziła pacjentkę po ramieniu. - Jak się czujesz? - Cordelia poruszyła się, do jej oczu napłynęły łzy. Pielęgniarka ze współczuciem pokiwała głową, przeszła do stóp łóżka, żeby spojrzeć na kartę choroby. - Dostałaś lek godzinę temu - powiedziała, sprawdzając czas na zegarku na łańcuszku. - Nie mogę ci nic podać jeszcze przez godzinę. Wytrzymasz? - Cordelia potrząsnęła głową.

W tym momencie Clive szarpnął się na krześle. Musiały obudzić go głosy w pokoju. Jego żona szybko zamknęła powieki. Nie była w stanie spojrzeć mężowi w oczy. Wiedział, wiedział o wszystkim. Musiał wiedzieć. Niemożliwe, żeby nie wie... Myśli kłębiły się w bolącej głowie, aż znowu zapadła w nicość. Ciemność. Tonę w ciemności - pomyślała, zapadając się głębiej i jeszcze głębiej. Potem zapadła cisza. Zasnęła.

\*

Sasza niezwykle mocno uściskał babkę. Taksówka już czekała.

Nie bój się, Nek, będzie dobrze. - Ręką przeczesał kręcone włosy. - Zadzwoń, kiedy tylko przylecę do Londynu. Philippe będzie na mnie czekał na lotnisku.

Prychnęła. W jakim świecie się teraz żyje, skoro syn człowieka, którego Sasza skrzywdził - żeby nie użyć bardziej drastycznego określenia - proponuje, iż będzie czekał na niego na lotnisku, jakby nic się nie stało? Dawniej byłoby to nie do pomyślenia. Czasy się jednak zmieniają - pouczyła się w duchu, kiedy patrzyła, jak wnuczek wkłada walizkę na tylną kanapę taksówki - a Sasza zmienia się razem z nimi. Westchnęła. Kiedy Yusef powiedział, że Sasza ma jechać do Europy, na kontynent, z którego pochodziła Anna - Mikka, od razu wiedziała, że czekają ich kłopoty. Tego jednak nikt nie mógł przewidzieć. Taksówka ruszyła podjazdem i przyspieszyła przed bramą. Babka długo stała, patrząc na drogę. Piękne perskie koty Saszy ocierały się o jej nogi. Sasza przespał prawie cały lot do Londynu. O ósmej rano, kiedy samolot wylądował, poczuł ucisk w żołądku. Otrząsnął się ze snu, starając się nie myśleć o sensacjach żołądkowych. Wziął bagaż podręczny i niecierpliwie czekał na możliwość opuszczenia samolotu.

- Philippe - zawołał cicho. Przyjaciel się odwrócił. Dwaj młodzieńcy popatrzyli na siebie. Żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć. - Dziękuję, że po mnie przyjechałeś. - Sasza podniósł torby. Przez chwilę bez słowa stali twarzą w twarz. - Philippe, bardzo mi przykro, że... - zaczął znów. - Nie wiem, co powiedzieć. Ja... nigdy nie chciałem, żeby do tego doszło...

- Nie mówmy o tym - przerwał Philippe. - Nie chcę nic wiedzieć.

Sasza rozumiał. On również nie chciał o tym mówić.

- Chodźmy. - Syn Cordelii głową wskazał wyjście. - Zaparkowałem na podjeździe. - Poszedł przodem.

Do Londynu jechali w milczeniu, każdy zajęty własnymi myślami.

Kiedy Clive zobaczył wchodzącego z Philippe'em Saszę, siłą zdusił w sobie chęć uderzenia młodego człowieka. Przecież on ma zaledwie dwadzieścia dwa lata - upomniał się w duchu. Dla niego sytuacja musi być równie trudna jak dla nich. Poza tym Clive doskonale znał Cordelię. Gdyby sam był na miejscu chłopaka, nie miał pewności, czy znalazłby w sobie dość siły, żeby się jej oprzeć, nawet gdyby była mężatką. Skinął na Philippe'a. Zostawili Saszę samego z Cordelią. Nie dam im dużo czasu - myślał, idąc z pasierbem do kawiarenki. Tyle tylko, ile wymaga przyzwoitość.

- Sasza - słabym głosem szepnęła Cordelia. Patrzył na nią bez słowa. Bardzo się zmieniła: nic nie zostało po błysku w oczach, uroczym, zalotnym sposobie bycia. Była wynędzniała i stara. - Sasza... ja... je straciłam... Straciłam dziecko, nasze dziecko. - Rozpłakała się, ramiona drżały jej z wysiłku. Nie ruszył się z miejsca, dalej stał w nogach łóżka. Zamknęła oczy, po jej policzkach płynęły łzy. W tym momencie pielęgniarka wsadziła głowę w drzwi, zobaczyła rozpacz Cordelii i wzięła sprawę w swoje ręce.

- Pan jest synem? - zapytała ostro. - Pacjentka ma odpoczywać, nie płakać. Proszę wyjść. Ojciec, zdaje się, jest na dole, w kawiarence. Przykro mi, ale naprawdę musi pan wyjść. Pańska matka musi odpocząć. - Cordelia ciągle łkała.

Sasza jeszcze raz na nią spojrzął, ciemne oczy nie zdradzały żadnych emocji. Wyszedł z pokoju. Równie szybko jak cztery miesiące temu podziw dla atrakcyjnej, pełnej życia kobiety zmienił się w pożądanie, tak teraz poczuł do niej niesmak. Nie chciał Cordelii więcej widzieć.

# CZĘŚĆ TRZECIA

20

*Sierpień 1983, Nowy Jork*

- Rianne? - W zatłoczonej poczekalni agencji reklamowej Face! rozległ się kobiecy głos.

Podniosła wzrok. Siedziała niewygodnie na brzeżku kanapy razem z kilkunastoma innymi pełnymi nadziei dziewczynami. Bezskutecznie wachlowała się czasopismem, które wzięła z małego stolika ze szklanym blatem. Trudno było wytrzymać w Nowym Jorku w sierpniu. W dusznym i gorącym pomieszczeniu jeden klimatyzator głośno i z wysiłkiem próbował obniżyć temperaturę powietrza. Kobieta stała w drzwiach, w rękę trzymała tabliczkę z zaciskiem na papiery i niecierpliwie kiwała na wezwaną. Dwanaście par oczu z zazdrością śledziło Rianne, kiedy przechodziła przez pokój. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, dziewczęta popatrzyły na siebie niespokojnie. Zastanawiały się, dlaczego właśnie ona została wybrana i nie musiała czekać. Co miała, czego im brakowało?

Rianne podążyła za kobietą długim korytarzem. Ta lekko zastukała w drzwi na końcu holu i wpuściła dziewczynę do środka. Ta niepewnie zatrzymała się na progu dużego, słonecznego gabinetu. Było w nim chłodniej niż w poczekalni. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Panował w nim cudowny chaos. Były tu światła, wielkie, białe stopy fotograficzne, stelaże, druty i kable kłębiące się po całej podłodze, zdjęcia przypinane do ścian, negatywy i odbitki stykowe porzucane na ziemi oraz walające się niemal wszędzie okładki czasopism. Face! była jedną z najlepszych agencji modelek w mieście, a jej właścicielka, urodzona w Republice Południowej Afryki Ross Carter, mogła pochwalić się wyjątkowymi osiągnięciami w swoim fachu. Rianne! - Zza ogromnego szklanego biurka podniosła się drobna siwowłosa kobieta. Ręką przywołała dziewczynę do siebie. - Moja droga, bardzo się cieszę, że cię znowu widzę. - Chwyciła ją za ręce i szybko ucałowała w oba policzki. - Mój Boże, kiedy cię ostatnio widziałam, byłaś taka! - powiedziała, pokazując ręką mniej więcej swój wzrost i z radości krztusząc się ze śmiechu.

Rianne uśmiechnęła się niewyraźnie. Kiedy to mogło być? Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek spotkała Ross Carter, chociaż Lisette również tak twierdziła.

Kobieta przyglądała się jej z uznaniem.

- Skarbie, obróć się, proszę - powiedziała niespodziewanie. - A teraz przejdź się kawałek... O to, to... Doskonale. Idź do drzwi i z powrotem, powoli, a teraz się obróć. Znakomicie. - Wróciła do biurka, usadowiła się wygodnie w skórzanym obrotowym krześle i nacisnęła klawisz na konsoli aparatu telefonicznego.

- Gina, pozwól na chwilę, dobrze?

Kilka sekund później drzwi się otworzyły i do środka weszła młoda kobieta, mimo upału ubrana w elegancką czerń.

- Gina, to jest Rianne de Zoete, stara znajoma rodziny. Co o niej powiesz? Ile masz lat? - zapytała Gina, przechodząc przez gabinet, żeby stanąć przy Ross. Obie kobiety spojrzwały na dokumenty w teczce, którą sekretarka zostawiła otwartą na biurku.

- Osiemnaście - odpowiedziała Rianne.

- Trochę późno na rozpoczynanie kariery modelki - mruknęła Ross i skrzywiła się. - No cóż, zobaczymy.

Dziewczyna patrzyła na nie w osłupieniu. Za późno? W wieku osiemnastu lat?

- Czy kiedykolwiek wcześniej próbowałaś swoich sił jako modelka? Przecząco pokręciła głową. To był pomysł Lisette, nie jej.

- A dlaczego by nie? - miesiąc temu zapytała ją ciotka, kiedy Rianne wałęsała się bez celu po domu w Johannesburgu. - Chciałabyś robić coś innego? - Dziewczyna, jak zawsze, markotnie wzruszyła ramionami. Co chciałaby robić? Ulubione pytanie Lisette. Nie miała zielonego pojęcia.

- OK - Gina odwróciła się do dziewczyny. - Rianne, bez wątpienia jesteś bardzo ładna, ale, niestety, to nie wystarczy. Mamy tutaj bardzo wiele ładnych dziewcząt. Wszystko zależy od tego, jak wychodzisz na zdjęciach, jak się poruszasz, czy będziesz dobrze się czuła na wybiegu, i jeszcze mnóstwa innych rzeczy. Nasz dyżurny fotograf zrobi ci dzisiaj po południu próbne zdjęcia i zobaczymy, jak wyjdiesz.

Rianne miała wielką ochotę powiedzieć obu paniom, żeby dały sobie spokój. Zachowywały się, jakby to jej ogromnie zależało na karierze modelki, tymczasem wcale tak nie było. Jak zwykle po prostu przystała na propozycję Lisette - zresztą tylko dlatego, że niczego lepszego sama nie wymyśliła. Inne pomysły ciotki, na przykład specjalizowanie się w dekoracji wnętrz, wydawały się zbyt pracochłonne. Wbiła wzrok w podłogę.

- Jadłaś śniadanie? - zapytała Ross. Twierdząco skinęła głową.

- Co jadłaś?

Bajgla i kawę. Dlaczego pani pyta? Trzeba to zmienić. Nic mącznego na śniadanie. Rozpycha żołądek. Tylko kawa... i może mały owoc. - Ross uśmiechnęła się przełomie. - Nie rób takiej przestraszonej miny! Musisz robić to, co trzeba. Idź teraz z Giną, skarbie. Zobaczymy się później. - Machnęła pulchną ręką na pożegnanie i wróciła do oglądania zdjęć ostatniej, cudownej młodej panienki, która pojawiła się w agencji. Do pokazów wiosenno - letniej kolekcji w Mediolanie, Paryżu i Nowym Jorku pozostał zaledwie miesiąc. Dla agencji był to najbardziej gorący okres w roku. Rianne podążyła za Giną. Kobieta popędziła na złamanie karku przez dawną halę fabryczną, schodami wbiegła na górę, gnała korytarzami, przez biura, gdzie zatrzymała się na chwilę, żeby rozkazującym tonem wydać polecenia. Kiedy w końcu dotarły do pomieszczenia wyglądającego na salon fryzjerski, dziewczyna nie mogła złapać tchu.



- Gina, kochanie, co to jest?

Jakiś mężczyzna podszedł z tyłu do Rianne i podniósł jej włosy. Dziewczyna skrzywiła się. Nie mogła znieść, jak ją oglądali, dotykali, kazali się przechadzać. Czuła się jak towar. Została popchnięta na krzesło i obrócona twarzą do ściany luster. Mężczyzna palcami przeczesał jej włosy, uniósł je do góry i zebrał na czubku głowy, potem puścił i pozwolił opaść na ramiona. Odstąpił krok w tył i mierzył ją wzrokiem.

- Kto to jest? - zażądał wyjaśnień.

- Rianne... de Zoete? Nie przekreśliłam nazwiska? - Gina spojrzała na tabliczkę z zaciskiem na papiery. Dziewczyna skinieniem głowy potwierdziła poprawność nazwiska. - Polecenie szefowej. Zrób coś z jej fryzurą, ale bez dużego strzyżenia, nadaj włosom trochę puszystości. O pierwszej ma próbne zdjęcia ze Stevenem. Mężczyzna skinął głową, wprawnymi dłońmi przeczesał złotą burzę włosów, odrobinę podnosił, oceniał, gdzie i jak je podciąć. Popatrzył na odbicie Rianne w lustrze. Hm... ładna twarz, może odrobinę zbyt ładna? Jednak połączenie ciemnobłond włosów, piwnych oczu i nieco posępny wyraz twarzy stanowiły odmianę po uśmiechniętych blondynkach o niebieskich oczach, z którymi pracowali przez ostatnie dziesięć lat. Podobał mu się wyniosły, pełen wyższości wyraz twarzy tej dziewczyny. Wyglądała, jakby potrafiła dać się ponieść złości. Odwrócił ją twarzą do siebie.

- Jestem Martin - przedstawił się i wyciągnął rękę. - Z Manchesteru. To znaczy z Manchesteru w Anglii, nie z Manchesteru w stanie Illinois. Jestem stylistą, dyrektorem studia. Słuchaj się mnie, a będzie się nam doskonale współpracować. Sprzeciwisz się, będziesz... no cóż, lepiej mi się nie sprzeciwiaj. No dobrze, teraz cię umyjemy, odrobina odżywkii... Ling! - wydarł się na cały głos. Zza ściany luster wybiegła malutka młoda Azjatka. - Mycie! Odżywka! Natychmiast! - Dziewczyna rzuciła się do przodu i odholowała Rianne za przepierzenie. Ta nawet nie musiała wstawać z krzesła.

Godzinę później znowu znalazła się przed lustrem. Brwi bardzo ją piekły. Zespół, który nad nią pracował, zgromadził się wokół i podziwiał swoje dzieło. Włosy zostały wycieniowane i podstrzyżone. Teraz łagodnymi falami spływały z czoła, wiły się odrobinę wokół twarzy i ciężkimi lokami opadały na plecy i ramiona. Były gęste i lśniące, sprężynowały, kiedy poruszała głową. Podniosła rękę, żeby ich dotknąć.

- Nie baw się włosami - groźnie ostrzegł Martin i uderzył ją po dłoni.

Rianne przyglądała się swojej twarzy. Brwi wyregulowano i nadano im kształt za pomocą kawałka nitki. Jenny, specjalistka od makijażu, wyjęła ją ze swojej walizeczki i zanim Rianne spostrzegła, co robi, poczuła delikatne ukłucie, kiedy okręciła bawełnę wokół włoska, a potem szarpnęła.

Stara indiańska technika. Bardzo trudno się jej nauczyć, ale jest najlepsza wyjaśniła

Jenny, przeciągając głoski, tak jak to czynią południowcy.

Dwadzieścia minut później było po wszystkim. Zmiana okazała się subtelna, a jednak wyraźnie widoczna. Oczy Rianne były większe, czyściej sze. Nowa, prosta i elegancka linia brwi otworzyła twarz i w pewien sposób ją uszlachetniła. Była teraz starszą, lepszą, bardziej wyrafinowaną wersją poprzedniej Rianne.

- Fantastycznie, kochanie - upajał się Martin.

- Wcale nie musiałam wiele robić - przyznała Jenny, kiedy cała trójka przyglądała się odbiciu dziewczyny w lustrze. - Odrobina podkładu, troszeczkę różu i wygląda wcale nieźle. Co powiecie? - Pozostali skinęli głowami z aprobatą. Martin był zadowolony. Odwrócił się i krzykiem wezwał jeszcze jednego asystenta. Tym razem przybiegł młody człowiek i poderwał Rianne z fotela.

- Do studia fotograficznego - sapnął i razem pobiegli schodami piętro wyżej.

- Wspaniale! Popatrz na mnie, tak patrz... nie ruszaj się! Fantastycznie, kochanie. Teraz odwróć się odrobinę... odrobinę. Właśnie tak, skarbie, odwracaj się... Dobrze, zatrzymaj! Cudownie! - półgłosem pouczał dziewczynę Steven, patrząc na nią przez obiektyw aparatu. - Tak trzymaj, nie, nie uśmiechaj się, podnieś głowę... Doskonale!

- Aparat fotograficzny starego typu trzaskał i szumiał, przewijając film; pstrykał, zwalniając migawkę. Wbrew obawom Rianne sesja nie była krępująca. Steven wydawał jasne polecenia, dobrze się z nim pracowało. Dzięki Bogu nie kazał jej wydymać warg, uśmiechać się czy śmiać, tak jak robiły to inne dziewczęta. To byłoby zbyt żenujące. Odnosiła wrażenie, że podoba mu się jej rezerwa i lekko znudzony wyraz twarzy.

Pracowali bez wytchnienia przez następne dwie godziny. Zdjęcia z profilu, na wprost, pod kątem czterdziestu pięciu stopni, na siedząco, na stojąco, w ruchus w zamyśleniu; każda poza i pod każdym kątem, jakie mu tylko przyszły do głowy. W końcu, właśnie gdy Rianne uznała, że nie wytrzyma ani minuty dłużej, oświadczył, że jest zadowolony z sesji i modelka może odpocząć. Jezu Chryste - pomyślała dziewczyna, upijając łyk wody - jeśli tak wygląda praca modelki, jest znacznie cięższa, niż się wydaje. Oszołomiona, obserwowała, jak Steven w wielkim pośpiechu wybiega z filmem do atelier, żeby wykonać stykówki.

- OK, skarbie - od drzwi skinęła na nią Gina. - Na dzisiaj skończyliśmy. Odpocznij, skontaktujemy się z tobą rano. Gdzie się zatrzymałaś?

- Posiadamy dom w Nowym Jorku - odpowiedziała Rianne. - Gdzieś powinnam mieć adres. - Znalazła karteczkę: - Mulberry Place pięćdziesiąt dziewięć. Gina nie mogła powstrzymać uśmiechu. Elegancki dom w mieście w samym sercu Greenwich Village. Kiedy Rianne była na sesji zdjęciowej, Ross wyjaśniła Ginie, że praca modelki w rzeczywistości może być dla młodej dziedziczki wielkiej fortuny swego rodzaju społeczną degradacją.

- OK. Zamówię samochód, zawiezie cię do domu. Ross ma twój numer telefonu? - Rianne twierdząco skinęła głową. - Odezwiemy się jutro. Znakomicie sobie dzisiaj poradziłaś - dodała niespodziewanie.

Dziewczyna zastanawiała się, co Gina chciała przez to powiedzieć. Wzięła torebkę i z powrotem przeszła przez budynek do poczekalni we frontowej części. Te same dziewczyny nadal czekały, nadal miały nadzieję. Popatrzyła na nie ze współczuciem. Nie miały pojęcia, jaka to ciężka praca.

- Panna de Zoete? - Zjawił się kierowca. Rianne podążyła za nim do lśniącego czarnego samochodu, zaparkowanego przy krawężniku. Wsiadła i kiedy auto ruszyło, spoza przyciemnionych szyb patrzyła, jak świat znika w tyle. Zamknęła oczy. Jeszcze czuła zmęczenie po dwudziestodwugodzinnym locie z Johannesburga przez Londyn do Nowego Jorku. Marzyło się jej łóżko w domu Lisette.

Trochę później tego samego popołudnia Ross stała przy biurku i podziwiała odbitki stykowe i fotografie, które właśnie przyniesiono.

- I co myślicie? - zapytała nieliczną grupę współpracowników, którzy zebrali się w jej gabinecie.

- Ma w sobie coś - powiedział powoli Stefano Pilla, dyrektor kreatywny Face! Bardzo uważnie oglądał przygotowany materiał.

Ross skinęła głową. Rokrocznie oglądała tysiące ładnych dziewcząt. To prawda, Rianne była bardzo ładna, ale w jej twarzy kryło się coś znacznie bardziej interesującego niż uroda. Złość albo cierpienie... a może znudzenie? Kiedy kamera to uchwyciła - na przykład sposób, w jaki unosiła podbródek, poruszała nozdrzami, znaczące, protekcyjne spojrzenie - jej twarz przyciągała jak magnes. Problem w tym, czy modelka potrafi na zamówienie wyrazić odpowiedni nastrój. Tego Ross nie wiedziała. Dziwne. - Stefano się wyprostował, na ustach plątał mu się lekki uśmiech.

- Wiecie, ona jest wyjątkowa. Ma wszystkiego po trochu: jest silna i zmysłowa, a jednocześnie podatna na ciosy i delikatna. Jednym słowem jednak nie można jej określić. Biała karta. Może okazać się fantastyczna.

Ross musiała rozważnie przemyśleć następny krok. Rianne była dobra, to nie ulegało wątpliwości. Miała wdzięk, była pewna siebie, arogancka, dokładnie taki typ modelki, jakiej wielkie domy mody zawsze poszukują do wprowadzenia na rynek nowej kolekcji. Agentka nie wątpiła, że dziewczyna na wybiegu zdobędzie sławę. Było w niej jednak jeszcze coś... Jeżeli dobrze się ją poprowadzi, skontaktuje z odpowiednimi klientami, zakontraktuje reklamę właściwych artykułów, dziewczyna może większą karierę zrobić jako fotomodelka. Ma szansę zostać następną Diandą albo Tiffany West. Te modelki zarabiały więcej niż pozostałe razem wzięte. I, co ważne, obie pracowały dla konkurencji. Diandra przysłała do Ross dwa lata temu. Wspomnienia nadal sprawiały ból. Była chudą szesnastolatką o prostych włosach. Ross wahała się, czy ją przyjąć. Diandra bardzo różniła się od dziewcząt, z którymi w tym czasie się pracowało, może nawet za bardzo. Ross zabrała jej zdjęcia do domu na weekend, chciała sprawę dobrze przemyśleć. W poniedziałek kontrakt z dziewczyną podpisał Ford. Obecnie była twarzą koncernu Lancôme'a i podpisała najbardziej lukratywny kontrakt w dziejach reklamy. Ross ciągle nie mogła sobie

darować, że przegapiła taką okazję. Od swoich cichych informatorów wiedziała, że gigant przemysłu kosmetycznego, firma Lovell, szuka nowej twarzy lat osiemdziesiątych. Zdobyć kontrakt równało się najwyższej wygranej na loterii, a zdarzało się jeszcze rzadziej. Każda modelka o tym marzyła. Zostać twarzą jednego z największych graczy: Revlona, Estee Laudera, znaczyło podpisać milionowy kontrakt. Do tego dążyli najlepsi agenci. Milion dolarów, czasem więcej, za dwa tygodnie pracy rocznie. Nieźle. I to bez honorarium agencji. Jeszcze raz popatrzyła na zdjęcia na biurku.

- OK, przygotujmy album jej fotografii. Zamówię Stevena jeszcze raz na piątek. Zorganizujemy całodniową sesję zdjęciową. Gina, zajmiesz się tym? Rianne dotarła do Mulberry Place, otworzyła frontowe drzwi i postawiła walizkę w chłodnym holu. Po pracy czuła się lepka i było jej gorąco. Elise, ładna młoda gosposia z Gwatemali, krzątała się w kuchni. Rianne pobiegła na górę. Marzyła o chłodnym prysznicu i drzemce. Elise przygotowała łóżko, a obok niego postawiła wazon ze świeżymi dzikimi różami. Spokój. Błogi spokój.

Zdjęła koszulową bluzkę, dżinsy i poszła do łazienki. Musiała oddać Lisette sprawiedliwość. Teraz, kiedy KdZK stała się jednym z głównych graczy na rynku nieruchomości, a projekt kompleksu architektonicznego pod nazwą Królewskiego Nabrzeża nabierał realnych kształtów, firma zainwestowała w domy w Londynie, Nowym Jorku, Los Angeles i Frankfurcie, tak żeby można było prowadzić interesy „w warunkach w miarę wygodnych”, jak to określiła ciotka. Rianne rozejrzała się po łazience i pomyślała, zresztą nie po raz pierwszy, że dla Lisette „w miarę” oznacza cholernie wysoko. Trzy-poziomowy dom w centrum w jednej z najbardziej eleganckich dzielnic Nowego Jorku został wyremontowany ogromnym nakładem kosztów, co zresztą było widać. Dwie sypialnie na najwyższym piętrze, gdzie Rianne postanowiła zamieszkać, miały wspólną łazienkę. Była w kolorze mięty, miała ogromną porcelanową wannę i kabinę prysznicową. Obie sypialnie zostały wykończone w głębokiej czerwieni burgundzkiej, ciemnym mahoniu i jasnej szarości. Cudownie gruby dywan okazał się tak miękki, że można było na nim spać. Jednak dziewczynie najbardziej się podobały wysokie, twarde łóżka ze śnieżnobiałą pościelą z irlandzkiej bawełny. Zaangażowany przez Lisette nowojorski dekorator wnętrz wykonał świetną robotę.

Weszła pod prysznic i przez dziesięć minut stała pod silnym strumieniem wody. Czuła, jak zmęczenie i lepkość skóry znikają. Na koniec splukała się letnią wodą, jak nauczyła ją matka, kiedy spędzały święta Bożego Narodzenia w tropikalnym Durbanie. „Kąpiel w letniej wodzie spowoduje, że dłużej będzie ci chłodno” - pouczyła ośmioletnią córkę. Rianne wyszła z kabiny na cudownie puszystą łazienkową matę. Osuszyła się i udała z powrotem do sypialni. Spojrzała na zegarek. Wieczorem miała - w pewnym sensie - randkę. Musiała się przespać, zanim chłopak po nią przyjedzie. Westchnęła. Nie miała ochoty na randkę zaaranżowaną przez Lisette. Ciotka dowiedziała się, że Bruce Eastman, najstarszy syn Rona i Deirdre, jej

sąsiadów w Bryanston, studiował w Nowym Jorku, i umówiła ich na spotkanie.

- Nie widziałam Bruce'a całe lata! - protestowała Rianne. - Prawie go nie znam.

- To bez znaczenia, *skatjie*. Są naszymi sąsiadami. Bruce nie ma nikogo w Nowym Jorku, musi się czuć bardzo samotny. Przecież to tylko jeden wieczór - przekonywała.

- A ty skąd wiesz, że czuje - się samotny? Nie czepiaj się, Rianne. Zabierze cię na kolację. Dałam Deirdre listę dobrych restauracji. Bądź dla niego miła, ten jeden jedyny raz, dobrze?

- Chryste, OK. Ale tylko ten raz. Sama potrafię zorganizować sobie życie towarzyskie, jestem dostatecznie dorosła!

- Wiem, kochanie - zgodziła się Lisette, zapalając papierosa. Jezu, Rianne potrafiła sprawiać kłopoty. - Jak ci dzisiaj poszło?

- Nie wiem. I jest mi wszystko jedno.

- Dobrze. Jutro porozmawiam z Ross. Ubierz się ładnie, dobrze? To bardzo miły chłopiec - Lisette zakończyła rozmowę instrukcją.

Rianne wzniosła oczy do nieba. Ubierz się ładnie! Ciotka potrafiła być nieznośna.

Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Miała co najmniej trzy godzi. ny. Uklękła na podłodze i zaczęła przeglądać przywiezione rzeczy. Wyjęła z walizki pogniecioną szyfonową sukienkę w kwiaty, na wąskie ramiączka. Będzie odpowiednia. Rianne w ręczniku zbiegła na dół i podała ją Elise. Gospościa bardzo słabo mówiła po angielsku, a Rianne w ogóle nie знаła hiszpańskiego, więc na migi pokazała, czego oczekuje. Pobiegła na górę. Związała włosy z tyłu, wyciągnęła luźną bawełnianą koszulę nocną i włożyła ją. Wreszcie. Spokój i cisza. Leżała w wykrochmalonej białej pościeli na puchowych poduszkach i rozważała wydarzenia dnia. Trudno uwierzyć, że zaledwie sześć tygodni temu opuściła szkołę Świętej Anny. Sześć tygodni temu po raz ostatni wsiadła do pociągu na stacji Malvern Link. Obejrzała się za siebie, po raz ostatni rzuciła okiem na rysujące się na niebie szczyty Malvern Hills. Po dwóch latach wreszcie wracała do domu.

Natychmiast poleciała do Johannesburga. Podróż była nudna. Z Europy obrali kurs na zachód, ponieważ żaden z afrykańskich krajów, przez które samoloty linii lotniczych Republiki Południowej Afryki musiałyby przelatywać, nie wydał zgody na korzystanie z jego przestrzeni powietrznej. Lecieli więc nad ocean, okrążyli wybrzuszenie Afryki Zachodniej, zatrzymali się na maleńkiej wysepce u wybrzeży Senegalu, potem znowu na południe nad Atlantykiem, przez Prowincję Południowo-Zachodnią i w końcu do Johannesburga. Osiemnaście godzin lotu. Bardzo wyczerpująca podróż. Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w domu. To nie był już jednak ten sam dom. To już nie było to samo miasto, z którego wyjechała, a ona też nie była tą samą dziewczyną. Nie wiedziała dlaczego, ale przyjaciele się zmienili. Uważała, że są nudni, prowincjonalni, mają ograniczone horyzonty. Obsesyjnie pragnęli wyjechać z Republiki Południowej Afryki. Bez

końca rozprawiali, kto wyjeżdża za granicę, kto planuje wyjazd, kto właśnie wrócił. Chcieli wiedzieć, co teraz nosi się w Londynie, Nowym Jorku, Paryżu, co ludzie robią w Londynie, Nowym Jorku i Paryżu, gdzie spędzają czas wolny i z kim się spotykają. Ich zdaniem Republika Południowej Afryki była krajem zacofanym, pozostawała daleko w tyle za Europą i Ameryką. Narzekali, że nie mogą obejrzeć najnowszych filmów, czytać najnowszych czasopism. Skarżyli się, że „ugrzęźli” - jak to określali - w kraju. Rianne złościła się, chciała wykrzyknąć, że to szczęście mieszkać tutaj, jednak nie mogła tego zrobić. Znajomi uważali ją za wyjątkową szczęściarę. Wyjazd za granicę uważano za szczytowe osiągnięcie dorastającej młodzieży. W oczach koleżanek i kolegów była teraz lepiej ułożoną bardziej obytą, bywała w świecie wersją ich samych. Nie potrafili i nie chcieli inaczej tego widzieć. Europa, a w szczególności Londyn, była centrum wszechświata. Ona oczywiście miała inne zdanie, ale czyż nie była to typowa reakcja Rianne de Zoete? Powrót do domu okazał się dla niej największym życiowym rozczarowaniem. Pragnęła przecież opowiedzieć przyjaciółom, jak bardzo czuła się samotna, jak było zimno, jak Anglicy potrafią być małostkowi i nikczemni, jak wielki wstrząs przeżyła, kiedy okazało się, że musi przestawać z czarnymi dziewczynami z Afryki. Tego wszystkiego nie mogła powiedzieć - nie tylko dlatego, że nie chcieliby jej słuchać; duma jej nie pozwalała. Milczała więc i próbowała zainteresować się miejscowymi ploteczkami: kto z kim się spotyka, kto kogo zdradził, kto kogo i z kim zdradzi, jeśli tylko będzie miał okazję. Okropne nudy, szkoda gadać.

Brakowało jej Henniego. Ciągłe był w wojsku, w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi obozie w pobliżu granicy z Zimbabwe. Raz do niego zadzwoniła, rozmawiali nienaturalnie, sztywno. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo się od siebie oddalili. Wojskowe życie zmieniło Henniego, uczyniło twardszym, nie miał czasu na pogaduszki. Rianne odłożyła słuchawkę ze łzami w oczach. Marika przebywała w Kapsztadzie ze swoim nowym chłopakiem. Zamierzała wrócić dopiero pod koniec lata. Rianne była w domu sama z Poppie. A teraz, kiedy miała osiemnaście lat, jej stosunki ze służącą również się zmieniły. Już nie uważała opiekunki za najlepszą przyjaciółkę. Poza tym Poppie myślała wyłącznie o zniknięciu Seniego, jej najstarszego syna. Pewnego dnia wyjechał z Bryanston odwiedzić przyjaciela w pobliskiej Alexandrii i ślad po nim zaginął. Przez dom przewinęło się kilkunastu oficerów policji i ochrony, nikt jednak nic nie wiedział. Poppie spędzała dni, płacząc i sprzątając.

Początkowo, chcąc wyrwać się z przytłaczającej atmosfery, Rianne codziennie rano pływała, chociaż na dobrą sprawę było na to zbyt zimno. Popołudniami grała w tenisa lub jeździła konno, najczęściej sama. W Johannesburgu, podobnie jak w Malvern, nie umiała zdecydować o swojej przyszłości. Po dwóch latach spędzonych w szkole Świętej Anny właściwie nie mogła się niczym pochwalić. Najwięcej wysiłku włożyła w przetrwanie w szkole. Kiedy pewnego popołudnia, mniej więcej miesiąc po powrocie, Lisette przyparła ją do muru, Rianne z ukrywaną ulgą

odpowiadała na pytania ciotki i pozwoliła jej zaplanować dalsze ruchy. W ten właśnie sposób w środku tygodnia na początku sierpnia znalazła się w domu na Mulberry Place. Popołudnie było parne, dziewczyna zapadła w sen.

Kiedy Elise piętnaście minut później weszła na górę, żeby oddać panience sukienkę, Rianne spała jak suseł. Córka señory Lisette była muy, muy guapa (bardzo, bardzo piękna) - pomyślała, wchodząc do sypialni na palcach. Powinna zostać modelką albo kimś w tym rodzaju. Starannie powiesiła sukienkę na wieszaku, pozbierała porozrzucane na podłodze ubranie i po cichutku wyszła. Obudzi Rianne za dwie godziny. Wiedziała, że dziewczyna przyjechała z daleka. Señora Lisette powiedziała, że z Afryki. Dziwne. Elise myślała, że w Afryce mieszkają czarni.

- *Señorita, señorita... andalé.* - Elise potrząsała delikatnie dziewczyną. Na dole czekał na nią młody człowiek.

Zaspana Rianne próbowała otworzyć oczy i oprzytomnieć.

- *Hay un hombre, señorita... bajo en la casa. Meester Eastman.*

- Bruce? - zapytała, starając się usiąść prosto. Spojrzała na zegarek. Cholera!

Dochodziła ósma. Przespała prawie pięć godzin!

- *Si, si!* - gorączkowo potwierdziła Elise. - *Meester Bruce Eastman - quieres usted algo más?*

Nie znam hiszpańskiego, Elise - powiedziała Rianne, wstając. Jak, do diabła, radziła sobie Lisette? Na migi pokazała, że *señor* ma poczekać. - Wprowadź go do salonu. Powiedz, żeby usiadł i poczekał. - Zdania popierała gestami. Elise skinęła głową i zbiegła na dół. Zdumiewające, jak wiele można przekazać bez słów - pomyślała Rianne, idąc do łazienki.

Starannie odprasowana sukienka wisiała na wieszaku. Rianne już wzięła prysznic. Za dziesięć minut będzie gotowa. Właściwie nie pamiętała Bruce'a Eastmana. Był o dwa lata starszy od niej i z jakichś powodów wyjechał do szkoły w Suazi czy w inne, równie dziwne miejsce. Nie miała pojęcia, dlaczego. Mgliście pamiętała, jak chłopak wygląda: średniego wzrostu, średniej budowy ciała, pryszczaty, jasnowłosy? A może myli go z kimś innym? Zdjęła sukienkę z wieszaka, włożyła i obejrzała się w ogromnych lustrach w łazience. Ujdzie.

- O, cześć - rzuciła niedbale, kiedy zobaczyła go w holu. Oglądał zdjęcia, które Lisette z uporem i - zdaniem Rianne raczej bezsensownie - ustawiała w widocznych miejscach w każdym domu, chociaż spędzali w każdym z nich nie więcej niż miesiąc rocznie. Przyzwyczyła się już do ciężkich srebrnych ramek w domu na Wilton Crescent, w Sans Soucis, na Avenue Foch i teraz przy Mulberry Place. Na szczęście nie było tu zdjęcia jej matki. Na Wilton Crescent prowadziła z Lisette cichą wojnę o rodzinną fotografię: Céline, Mariusa i małej Rianne. Zaraz po przyjeździe dziewczyna chowała zdjęcie do szuflady ładnego, ozdobnego stolika, na którym eksponowane były fotografie. W tym miejscu nie chciała niczego, co przypominałoby jej matkę czy ojca. Każdego ranka Lisette prosiła Dinah lub inną

aktualną gospodynię, żeby postawiła zdjęcie z powrotem na konsoli. Potem dziewczyna znowu je chowała. I tak bez końca.

- Cześć, Rianne - powitał ją Bruce, kiedy schodziła po schodach.

Nie był średniego wzrostu i średniej budowy ciała chłopakiem z sąsiedztwa, jakiego pamiętała. Przed nią stał wysoki, ciemnowłosy i bardzo dobrze - jak zawodnik rugby zbudowany młodzieniec. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę wyrzuconą na brązowe spodnie. Rianne pomyślała, że jak na rodaka z Johannesburga wygląda dość oryginalnie.

- Jak się masz? - zapytał, całując ją w policzek. Dołączyła do niego w chłodnym holu. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Dziękuję, dobrze. A ty?

- Doskonale. Strasznie gorąco. Nie mogę się przyzwyczaić do tak wysokiej wilgotności powietrza.

- To prawda, jest okropnie. Napijesz się czegoś? - Rianne była mile zaskoczona wyglądem kolegi.

- Jasne. - Poszedł za nią do kuchni. Elise pakowała przeróżne pyszne potrawy do pojemników i wkładała do ogromnej lodówki. Rianne przemknęła obok gosposi i wyjęła dwa piwa. Przeszli przez salon na tyły domu. Było jeszcze widno, nadal bardzo ciepło. Patio oświetlały cytrynowe świece ogrodowe i stojące lampy. Z ogrodu płynął i uderzał do głowy zapach jaśminu, migdałowca i róż. Bruce wystawił jedno z tapicerowanych tekowych krzesel, których dekorator zaangażowany przez Lisette szukał wiele miesięcy.

- Na zdrowie - stuknęli się butelkami. Rianne wyjęła paczkę papierosów.

- A teraz powiedz: co robisz w Nowym Jorku? - zapytał, kiedy zapalała papierosa. Bruce podziękował, rzucił palenie.

- No wiesz... różne rzeczy. Trochę pracuję jako modelka. Właściwie nie wiem, czy chcę się tym zajmować - odparła.

- Jesteś dość ładna - powiedział z uśmiechem.

Wzruszyła ramionami, ale zarumieniła się odrobinę. Dobrze się czuła, siedząc z Bruce'em na patio. Podobał się jej tembr głosu chłopaka; przeciągane samogłoski przypominały jej Henniego.

- A ty co robisz? - zrewanżowała się pytaniem.

- Jestem w szkole filmowej. Na Uniwersytecie Nowojorskim. Na drugim roku. Jest fajnie. Podoba mi się. Lubię ludzi, z którymi się tam spotykam.

- Byłeś ostatnio w domu? - zapytała, gasząc papierosa. - Widziałeś się z Henniem i starymi znajomymi?

- Nie. - Zamilkł nagle. Kilka minut siedzieli w milczeniu. Rianne nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Może zaczniemy już się zbierać - przerwał ciszę. - Twoja ciotka przefaksowała mamie listę lokali, ale pomyślałem, że może chciałabyś zobaczyć coś nowego. W centrum otwarto fantastyczną restaurację. Nazywa się: Cheech 'n' Chu's. Mają tam



kubańsko-chińską kuchnię. Wspaniałe jedzenie. - Odpowiada ci? - Rianne skinęła głową zapowiadało się nieźle.

Przeszli przez dom do frontowej części.

- Od jak dawna tu mieszkasz? - zapytał Bruce, kiedy dziewczyna brała klucze ze stołu w kuchni.

- Tutaj nikt nie mieszka. Czasami zatrzymuje się tu ciotka, a ja przyleciałam w sobotę. Ciotka korzysta z tego domu, kiedy jest w Nowym Jorku. Mamy go od niedawna.

- Chcesz powiedzieć, że utrzymujecie dom, nawet gdy nikt tu nie mieszka?

- Taaak... Przypuszczam, że takie rozwiązanie jest korzystniejsze niż rezerwowanie pokoju w hotelu. - Rianne się skrzywiła. - Znasz moją ciotkę.

- Chyba masz rację.

- Jedziemy taksówką? - zapytała. Schodzili w dół zewnętrznymi schodami na trzypasmową ulicę.

- Tak. Troszkę za daleko, żeby iść na piechotę, szczególnie w tych pięknych pantofelkach - dodał, spoglądając na sandały dziewczyny. Zarumieniła się. Od dawna nie była na randce.

Bez trudu złapali taksówkę i po półgodzinie tłoczyli się u wejścia Cheech 'n' Chu's razem z trzydziestoma innymi parami, które czekały na stolik. Nie ulegało wątpliwości, że restauracja cieszyła się dużą popularnością.

- Prawie nic nie zjadłaś - stwierdził Bruce, kiedy skończyli posiłek.

- Daj spokój, nie mogę się ruszyć! W piątek mam sesję zdjęciową i już mi powiedziano, żebym nie jadła pieczywa na śniadanie - zaprotestowała dziewczyna. Było trochę inaczej: wypła więcej, niż zjadła. Dochodziła północ, kręciło się jej w głowie. Zachichotała.

- Chyba lepiej odprowadzę cię do domu - powiedział Bruce bez przekonania. - Pójdziemy? - Odsunął swoje krzesło i obszedł stół, żeby pomóc jej wstać. Rianne nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś zachował się wobec niej równie szarmancko.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała. I tak nie wiedziałyby, o jakiej okolicy mówi. Zupełnie nie znała Nowego Jorku.

- Po drugiej stronie rzeki, na Brooklynie.

- Gdzie to jest?

- Trochę na południe, trzeba przejechać przez Brooklyn Bridge. Tej dzielnicy chyba nie widać z twojego domu, ale może następnym razem... - Rianne poczuła mrowienie w żołądku. Następnym razem! Czyżby chciał...? - Jak długo zostaniesz w Nowym Jorku? - zapytał, jakby czytał w jej myślach.

- Nie wiem. To zależy, jak się sprawy potoczą.

- Zawsze jesteś taka... niezdecydowana, obojętna? - dopytywał się Bruce.

Wychodzili z restauracji, chłopak zdecydowanie wsunął jej rękę sobie pod ramię.

Rianne stąpała niepewnie.

- O co ci chodzi? - Nie była pewna, jak ma rozumieć pytanie.

- Sprawiasz wrażenie, jakby ci nie zależało na tym, co robisz. Nie trzymasz się żadnego planu, nawet własnego.

- Nie, chyba nie. Rzeczywiście, jest mi wszystko jedno. Mogę zajmować się czymkolwiek albo w ogóle niczym.

- To nieprawda. - Zmarszczył brwi. Próbowwała zrozumieć, o co mu chodzi, ale głowa okropnie jej ciążyła. Zatrzymał taksówkę, oboje wsunęli się na tylną kanapę. Oparła głowę na koszuli chłopaka, Bruce podał taksówkarzowi adres, potem objął ją ramieniem. Ładnie pachniał. Zamknęła oczy.

Taksówka cicho mknęła przez śródmieście, podskakiwała i turkotała po wyboistych ulicach Nowego Jorku. Rianne wcale to nie przeszkadzało. Z każdym wstrząsem bardziej przytulała się do piersi chłopaka. Czuła się wspaniale, miło było czuć bliskość tego ciepłego, muskularnego ciała. Czy to był pocałunek? Czy pocałował ją w czubek głowy?

- Hej śpiochu - szepnął, trącając dziewczynę łokciem. - Jesteś w domu. Otworzyła oczy. Mimo drzemki czuła się zmęczona. I pijana. Bruce kazał taksówkarzowi poczekać i pomógł Rianne wejść na schody. Zanim znalazła klucze w torebce, Elise otworzyła drzwi i wprowadziła ją do środka.

- *Gracias, Meester Eastman.* - Uśmiechnęła się do Bruce'a i wzięła od Rianne klucze oraz torebkę. - *Gracias. Valle.*

- Dobranoc, Rianne - czule powiedział chłopak. - Do zobaczenia. - Odwrócił się i szybko zbiegł po schodach. Półprzytomnie poszła na górę. Do zobaczenia. Miała nadzieję, że mówił poważnie.

## 21

W Londynie, w salonie cudownie luksusowego jeszcze jednego domu Lisette, na kanapie leżała Gabby. Sięgnęła po pilota. Dochodziła północ. Lato spędzała w Londynie. Mieszkała tutaj i pracowała, żeby trochę zarobić, zanim w październiku rozpocznie studia w Oxfordzie. Semestr wcześniej, życzliwie zachęcana przez pannę Featherstone, przystąpiła do egzaminów wstępnych i ku zdziwieniu wyłącznie jej samej dostała się. Przyjęto ją na podstawie wyników jako studentkę bez stypendium. Miała studiować język angielski, czego zawsze pragnęła. Nael, po rocznej przerwie, podejmował naukę w college'u Christ's na Uniwersytecie w Cambridge. Szedł na wymarzone studia, miał zgłębiać PFE: Politykę, Filozofię, Ekonomię. Już dawno zapomniała o „idiotycznym uczuciu” do Naela. Teraz był jej najlepszym przyjacielem i właśnie tym powinien być dla niej od początku. Przypuszczała, że nawet nie dostrzegł jej trzymiesięcznego cierpienia po Tym Balu. Nigdy też więcej nie rozmawiał z Rianne. Obecnie, mimo że babka obiecała jej pomoc, musiała

zarobić jakieś pieniądze, zanim rozpocznie życie ubogiej studentki. Możliwość zamieszkania przy Wilton Crescent była dla niej prawdziwym błogosławieństwem: nie musiała wynajmować mieszkania i go opłacać.

Znalazła pracę w pięciopiętrowej księgarni Dillona przy Gower Street. Całe dni nosiła tam książki. Sklep był pełen studentów, przyszyłych studentów, młodych ludzi, którzy żalowali, że nie są studentami, i starszych, którzy nie mogli pogodzić się z tym, że nigdy studentami nie byli. W księgarni tłoczyło się więcej studentów i potencjalnych studentów, niż można ich było naliczyć po drugiej stronie ulicy, w londyńskim University College. Przyjęło się uważać, że młodzi ludzie zatrudnieni w księgarni właściwie nie pracują. Zajęcie to uznawano raczej za płatne hobby i powszechnie aprobowano. Rianne zaproponowała przyjaciółce, żeby zamieszkała przy Wilton Crescent. Zaproszenie nie mogło przyjść w bardziej odpowiedniej chwili. Gabby była bardzo podekscytowana perspektywą zamieszkania w Londynie i prowadzenia samodzielnego życia. Do towarzystwa miała Charmaine i Nathalie. Żalowała, że nie ma w Londynie Rianne. W ubiegłym roku bardzo się do siebie zbliżyły, to znaczy tak bardzo, jak tylko można się było zaprzyjaźnić z Rianne. Gabby brak było koleżanki; szkoda że przyjaciółka wyjechała do Nowego Jorku. Dzień jednak zaczynała wcześnie, w pracy musiała być punktualnie o dziesiątej, co oznaczało, że wstawała o siódmej. Rzadko kiedy też wracała do domu przed ósmą wieczorem. Nie miała zatem czasu, żeby za kimkolwiek tęsknić.

Gabby żyła jakby w zawieszeniu między jednym etapem życia a drugim. Z jednej strony była przeszłość i szkoła Świętej Anny, a praca w księgarni Dillona zdawała się przedłużeniem czasów szkolnych: ci sami ludzie, te same dowcipy, te same nazwiska; z drugiej przyszłość: uniwersytet i wszystko, co się wiąże ze studiami na wyższej uczelni. Nie mogła się tego doczekać, a jednocześnie ogarniało ją przerażenie. Cały czas była niespokojna. Znowu zaczęła więcej jeść: częściowo odreagowywała w ten sposób stres związany ze zmianami w życiu, a częściowo jadła po prostu z głodu. Dźwiganie książek i układanie ich na półkach, bieganie w górę i w dół po schodach, żeby zrealizować zamówienie klienta - to wszystko było zajęciem bardzo wyczerpującym. I tak zamiast jednej kupowała dwie kanapki w porze lunchu, nie jedną lecz dwie „przegryzki”: batonik Marsa czy paczkę chipsów.

Usprawiedliwiała się sama przed sobą, że przecież na to zasługuje. Kalorie spali w pracy. Kiedy rozpocznie studia, łatwiej jej będzie trzymać się planu. Tak też sobie powiedziała, sięgając po ostatnie kruche ciasteczko na małym stoliku.

W podłej okolicy Stoke Newington, w północnej części Londynu, Charmaine używała życia. Nie pracowała - Boże, nie! - I, dzięki Bogu, nie mieszkała w domu pod nerwowo czujnym okiem matki. Była niezależna, powiedzmy: prawie niezależna. Nawet nie warto wspominać o niewielkiej sumie, jaką co miesiąc dostawała od Mary, chociaż - musiała przyznać - bez tych pieniędzy nie dałaby rady. Skończyła szkołę Świętej Anny, nie uzyskawszy żadnych, absolutnie żadnych kwalifikacji.

- Nie masz nawet dyplomu z maszynopisania! Charmaine, jak można oblać maszynopisanie? - Mary Hunter z rozpaczą patrzyła na córkę. Dziewczyna przygryzła wargę. Maszynopisanie wcale nie jest łatwe. - I co, na Boga, masz zamiar teraz robić?

Córka uśmiechnęła się. Odpowiedź była prosta.

- Zamieszkać z Bazem - oświadczyła. Mary Hunter wzniosła oczy do nieba. Baz! Nie miała dobrego zdania o ostatnim chłopaku Charmaine. Uważała go za wielkiej klasy próżniaka... Baz? Co to za imię?

- Bartholomew, mamó, ale nikt tak go nie nazywa. Czy ty chciałabyś tak się do niego zwracać?

- Nie o to chodzi, Charmaine. Czym się zajmuje?

- Niczym, mamó. Nic nie robi. Wiesz, ludzie nie zawsze muszą coś robić. - Dziewczyna zapaliła papierosa i dmuchnęła chmurką dymu w kierunku matki. Mary z irytacją odegnała ją ręką.

- A cóż ty możesz o tym wiedzieć, młoda damo? - odparowała.

- Wszystko jedno. Baz ma już mieszkanie. W Stoke Newington. Będziemy mieszkali razem z jednym z jego przyjaciół.

- Stoke Newington? - Mary była bliska łez. - Przecież to już nie jest Londyn!

- Mamó, nie bądź staroświecka. Wiesz, teraz to bardzo modna okolica.

- Daj spokój, Charmaine! Tam jest niebezpiecznie. Tam mieszkają różni ludzie. Dlaczego nie możesz mieszkać w domu, a jego tam po prostu odwiedzać?

- Bo nie! - Charmaine okazała się niewzruszona. Dopiero co uwolniła się od restrykcyjnych zakazów szkoły Świętej Anny i nie zamierzała poddać się kolejnym ograniczeniom, jakie narzucało mieszkanie matki, nawet jeśli było znacznie wygodniejsze.

Ku zaskoczeniu Mary w następną sobotę Baz przyjechał po Charmaine. Dwie walizki, później morze łez i córka odjechała. Będzie odwiedzała ją w weekendy.

„Obiecuję!” - krzyknęła, wychylając się z okna samochodu, kiedy ruszali z powrotem na północ Londynu. Północny Londyn? Mary nawet niezbyt dobrze wiedziała, gdzie to jest. Owinęła się swetrem i ciężkim krokiem weszła do pustego mieszkania. Nie tak wyobrażała sobie powrót córki do domu. Już za nią tęskniła.

Kiedy zatrzymali się na Windus Road, Charmaine była w siódmym niebie. Baz wspólnie z Richardem wynajmowali połowę bliźniaka, dwurodzinnego domu.

Richard pochodził z Nowej Zelandii i uczył w miejscowej szkole podstawowej. W domu był duży salon prawie bez mebli, za to z imponującym sprzętem grającym i kilkoma głośnikami, oraz mała, przytulna kuchnia z piecykiem, kilkoma szafkami i stołem. Na piętrze były dwie sypialnie i łazienka. W jednej sypialni Charmaine i Baz spędzali większość czasu.

Początkowo narzuciła sobie rolę „kobiety” w domu. Richard nie był zachwycony, kiedy po powrocie z pracy zastawał dowody nieudanych prób stworzenia przez

Charmaine ogniska domowego: jednego wieczora spalona lasagne, następnego twardy ryż i wodniste warzywa. Kiedy niemal spowodowała pożar w kuchni, próbując usmażyć kiełbaski, zaproponował, żeby podzielili się obowiązkami w kuchni.

- Jeśli chcesz, będziemy gotowali na zmianę - podsunął.

- Bardzo dobrze, wszystko jedno. Baz wzruszył ramionami, skupił się na ważniejszym zadaniu: robił skręta. Charmaine, ku swojemu wielkiemu zadowoleniu, odkryła, że palenie skręta wieczorem wywołuje dwa zjawiska, zresztą ściśle ze sobą związane. Skręt tłumił uczucie głodu - dzięki czemu straciła na wadze - i wzmagał ochotę na seks. Baz był zachwycony tym drugim odkryciem i dlatego przygotowywanie oraz palenie skrętów stało się cowieczornym rytuałem. Po dwóch miesiącach mieszkania z dwoma mężczyznami szkoła Świętej Anny, w której spędziła ogromną część życia, wydawała się odległą planetą. Pod wieloma względami tak też właśnie było. Nathalie również nic nie robiła, ale niezbyt się tym przejmowała. Po drugiej stronie miasta, w pobliżu Gabby i Mary Hunter oraz pod znacznie lepszym adresem, oglądała puste lokum z mieszanymi uczuciami: niepokojem, poczuciem winy i zadowoleniem. Clive kupił jej i Philippe'owi - który właśnie zaczął pracować dla Bloomberga - mieszkanie z dwoma sypialniami w dobrej części Notting Hill. Stanowiło ono część eleganckiego, chociaż zniszczonego domu przy Elgin Crescent, o rzut kamieniem od bazaru Portobello i rynku kwiatowego. Było wspaniałe.

Po strasznych przeżyciach z Cordelią i jej kochankiem w ubiegłym roku oraz zerwaniu przez Philippe'a przyjaźni z Saszą brat i siostra bardzo się do siebie zbliżyli. Nathalie w ogóle nie chciała wracać do „Rosebud Cottage” i napiętej rodzinnej atmosfery. Oboje skwapliwie skorzystali z niewiarygodnie wielkodusznej propozycji Clive'a. Nathalie nie chciała iść na uniwersytet, przynajmniej na razie. Nie była pewna, co chce robić. Myślała o czymś związanym z modą albo handlem detalicznym. Doskonale oceniała pojedyncze elementy, rodzaj tkaniny, meble, kochała wystawy, aranżację witryn sklepowych i tego rodzaju rzeczy.

Początkowo byli bardzo podekscytowani przeprowadzką na Elgin Crescent. Zdzierali tapety, remontowali i odnawiali mieszkanie, chociaż dysponowali raczej skromnymi środkami. Kiedy zakończyli pracę, Nathalie nie mogła znaleźć sobie miejsca. Philippe miał pracę i przyjaciół. Prawie nie było go w domu. Poznał również nową dziewczynę. Miesiąc po skończeniu szkoły Nathalie nie miała ani chłopaka, ani pracy.

Wszystko w swoim czasie - cierpliwie tłumaczył jej Philippe. - Ja potrzebowałem roku, żeby stanąć na nogach. Czasami wcale nie jest łatwo żyć w Londynie.

Wiedziała, że brat ma rację. Z czasem i ona się tutaj odnajdzie, tak jak odnalazła się w szkole Świętej Anny. Miała nadzieję, że nie będzie musiała długo czekać.

Był koniec sierpnia. Gęsty, oblepiający upał lata ustąpił miejsca częstym burzom. Nie trwały długo, zaledwie około godziny, ale odświeżały powietrze. Wilgotność malała. Dla Rianne zmiana pogody była prawdziwym błogosławieństwem. Kiedy przyjechała do Nowego Jorku pod koniec lipca, nie wiedziała, jak długo tu zostanie. Teraz, po nadzwyczajnych wydarzeniach ostatnich trzech tygodni, wyglądało na to, że jakiś czas w tym mieście zabawi.

Nie wszystko dobrze się układało. Bruce Eastman okazał się wielkim rozczarowaniem. Umówili się raz jeszcze, mniej więcej tydzień po pierwszej randce, ale potem nie wiadomo dlaczego przestał dzwonić. Druga randka okazała się bardzo miła. Poszli do kina - nie pamiętała tytułu filmu, było to coś o koszykówce - wypili kawę w pobliżu agencji i pokazała chłopakowi, gdzie pracuje.

Wracali spacerem Broadwayem, trzymał ją za rękę. Zachowanie Bruce wydawało się naturalne i sprawiało jej przyjemność. Obiecał zadzwonić za kilka dni. Był bardzo zajęty, chodziło o jakiś film dokumentalny, nad którym pracował. I cisza. Z zaskoczeniem stwierdziła, że nadal boli ją wspomnienie zachowania Naela. Zastanawiała się, czy już zawsze będzie tak jak z Henniem, Naelem, Bruce'em: zabiegali ojej względy, robili wszystko, żeby zwrócić na nich uwagę, a kiedy okazywała im zainteresowanie, po prostu znikali.

- Co o tym myślisz? - zapytała Ross Rianne, wskazując na rozrzucone na biurku stykówki. Dziewczyna przyglądała się fotografiom. Nie mogła uwierzyć, że ta chłodna, wyniosła i pełna rezerwy twarz jest jej własną buzią. Podniosła jeden z arkuszy. Wszystkiego osiem zdjęć, na końcu fotografia, której najbardziej nie lubiła, cała figura. Ciało miała ładne, nie podobał się jej sam pomysł. Nadal krzywiła się, kiedy przypominała sobie sesję zdjęciową. Ross upierała się przy swoim: Rianne pochodziła z Republiki Południowej Afryki i miała określone walory.

Symbolizowały to diamenty, złoto, bogactwo. Agentka chciała mieć fotografie, które uwidaczniałyby te cechy.

- Nie jest czarna - oponowała Gina. - To absurdalne. Nie przejdzie.

Nie bądź niemądra, Gino. Nie mówię, żebyśmy ją ubrali jak Murzynkę.

Wykorzystajcie swoją wyobraźnię i pomyślcie o czymś, co wykaże związek Rianne z Afryką. Przecież to w końcu jej dom. Nie wiem, może jakieś zwierzęce nadruki, może złoto, może odważne wzory, coś w tym rodzaju. Dobra, Stefano, liczę na ciebie, wymyśl coś. Przecież właśnie za to płacę ci taką górę pieniędzy.

Stefano wzniosł oczy do nieba. Egzotyczna, tak, właśnie egzotyczna: Rianne była śniada, miała koci wygląd. Przy odpowiednim makijażu i dobrym oświetleniu będzie wyglądała egzotycznie - nie etnicznie, ale egzotycznie. Ma rzadkie nazwisko, a przy danych osobowych mogą podać dodatkową informację: „Z Republiki Południowej Afryki”, a to - w opinii Stefana - uczyni jej wygląd jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Dwie godziny później wyglądała oszaleńczo. Całe ciało pokryte ' złotawym make-upem, oczy wyeksponowano czarnym, ostrym makijażem.

- Biała Sheba. - Stefano, zadowolony z rezultatu, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rianne skrzywiła się z niezadowolenia. Bardzo nie lubiła podkreślania jej związków z Republiką Południowej Afryki. Dlaczego ludzie nie dostrzegali, że niczym się od nich nie różni? Od kiedy wyjechała z Johannesburga, pochodzenie nieustannie ją prześladowało, było jak kamień u szyi. Nie chciała, żeby ciągle przypominano, skąd się wywodzi.

- Rianne, w poniedziałek lecisz do Paryża - oświadczyła Ross w piątek rano, kiedy dziewczyna weszła do jej gabinetu. - Wysyłamy cię na pierwszą próbną sesję do domu mody Yves'a Saint Laurenta. Szukają modelki do przymiarek, sądzimy jednak, że im się spodobaś i zaangażują cię do pokazu. Zarezerwujemy bilet na poranny lot, załatwimy hotel i samochód, który zabierze cię z lotniska...

- Hotel jest niepotrzebny. Mamy apartament w Paryżu - przerwała Rianne. Była zadowolona, że wyjeżdża z Nowego Jorku. Nie lubiła mieszkania przy Mulberry Place, ponieważ za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, czuła skurcz w żołądku. Ross się roześmiała. Naturalnie. Mieszkania we wszystkich częściach świata. Ciągłe o tym zapominała.

- Oczywiście. Podaj Ginie adres, żebyśmy mogli podesłać po ciebie samochód we wtorek rano. Naszym przedstawicielem w Paryżu jest Anne Clochard. Tutaj masz telefon. Po przymiarkach skontaktuj się z nią. Rozumiesz? Nie zapomnij dać vouchera do podpisu i opowiedz jej, jak ci poszło.

- To zawsze jest trochę denerwujące - przyznała Gina, upijając łyk kawy espresso. Jadła z Rianne śniadanie w znanej restauracji naprzeciwko agencji Face! Dokładnie rzecz biorąc, Gina jadła śniadanie; Rianne piła wodę z cytryną i zjadła trzy plasterki mango. - Zadzwoń do rodziców, ech... do ciotki poprzedniego dnia wieczorem, żeby trochę podniosła cię na duchu. Naprawdę pomaga, szczególnie przy pierwszym zleceniu. Nie dzwoń do przyjaciółek. Zdenerwują cię jeszcze bardziej, a musisz być spokojna. Nie znasz mojej ciotki - sucho skwitowała Rianne.

- Postaraj się odprężyć najlepiej, jak potrafisz. Anneline może zamówić ci masaż albo coś w tym rodzaju, jeżeli rano będziesz się czuła bardzo spięta. Ważne, żebyś sprawiła wrażenie osoby pewnej siebie i w pełni profesjonalnej. Wiem, zawsze wyglądasz na bardzo pewną siebie, mimo to uważaj na nerwy. Znasz Diandrę? Kiedy poszła na pierwszą próbną sesję do Diora, zwymiotowała na szwaczkę. Myślała, że umrze.

Na Rianne nie zrobiło to żadnego wrażenia. Zdenerwowana? Nie, nie ona. Jest zrobiona z twardszego materiału.

Nie była jednak tego już tak bardzo pewna, kiedy we wtorek rano stała przed reprezentacyjnym budynkiem Yves'a Saint Laurenta na rue Rambuteau. Popatrzyła na imponującą kamienną fasadę i z trudem przełknęła ślinę. Budynek wyglądał monumentalnie i sprawiał niezwykle wrażenie. Nacisnęła dyskretny złoty brzęczyk i

czekała. Po chwili brama z kutego żelaza otworzyła się z lekkim trzaskiem. Rianne weszła na dziedziniec. Z lewej strony usłyszała inny brzęczyk. Zobaczyła przeszklone drzwi frontowe, a za nimi - jak się domyśliła - biuro przyjęć. Przeszła przez brukowany dziedziniec i pchnęła drzwi. Znalazła się we wspaniałym westybule, wyłożonym białym marmurem, z ogromnymi teatralnymi schodami prowadzącymi na piętro, złotymi balustradami, biurkiem w recepcji wykonanym z ciemnego mahoni i odpowiednio onieśmielającą recepcjonistką.

- *Bonjour* - powiedziała nieco zdenerwowana. Kobieta zmierzyła ją od stóp do głów. Gina dała jej jasne instrukcje: ma włożyć mundurek obowiązujący na pierwszej próbnej sesji - wąskie, czarne spodnie i czarną, dopasowaną bluzkę z krótkimi rękawkami. Doradczyni twierdziła, że w czerni zawsze wygląda się bardziej profesjonalnie. Włosy Rianne związała z tyłu, w ręku miała ogromną, markową, czarną torbę, w której mieściło się wszystko, czego ewentualnie mogła potrzebować.  
*Oui?*

- Hm... na przyimiarki? Czy... Byłam umówiona.

*Aha. Suivez - moi.* - Recepcjonistka szybkim krokiem powiodła ją przez hol i wprowadziła do pokoju z boku.

Rianne rozejrzała się i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Jeszcze nigdy nie znalazła się w towarzystwie tylu pięknych dziewczyn. Były tu platynowe blondynki, brunetki, jedna lub dwie rudowłose, czarna jak węgiel dziewczyna z ogoloną głową, dwie - bliźniaczki? - o skórze w kolorze kawy - z białymi kędziorkami, Azjatka z długimi granatowoczarnymi włosami. Przełknęła ślinę. Co ona, u diabła, tutaj robi?

- *Mettez ça.* - Recepcjonistka podała jej starannie złożony fartuch, parę pończoch i pantofle na wysokich obcasach. Poleciała jej przebrać się w tym pokoju, sans brassière, na oczach wszystkich i czekać na wezwanie. Potem odwróciła się i stukając obcasami, wyszła z pokoju. Rianne rozejrzała się wokół siebie. Ma zdjąć stanik w obecności tych wszystkich dziewcząt? Jednak wiele z nich rozbierało się do bielizny, a nawet zupełnie do naga, bez żadnego skrupowania. Nie miała wyboru, poszła za ich przykładem. Wszystkie dziewczyny świadomie ignorowały pozostałe. Zdjęła ubranie, łącznie z małym koronkowym staniczkiem, i włożyła biały fartuch. Potem wciągnęła na nogi i wygładziła pończochy oraz przymierzyła pantofle. Wszystko pasowało jak ulał. Usiadła, dłonie miała spocone. Starła się nie patrzeć na otaczające ją ze wszystkich stron wzory kobiecej urody. Zrozumiała, dlaczego Ross i Gina zastanawiały się, czy zbyt późno nie zaczyna kariery modelki. Niektóre dziewczęta w pokoju nawet nie miały czternastu lat! Zapomniała zabrać z sobą książkę, a Gina mówiła, że koniecznie powinna jakąś mieć.

Minęło pół godziny. Potem kolejne. Co pewien czas recepcjonistka wzywała jakąś dziewczynę. Nikt nie rozmawiał. Bardziej doświadczone po prostu siedziały w białych fartuchach i czytały, opiłowywały paznokcie albo przeglądały czasopisma. Jedna robiła na drutach! Młodsze dziewczyny ukradkiem przyglądały się sobie



nawzajem, porównywały nogi, piersi, pośladki, karnację, włosy. Prawdziwy handel żywym towarem. Minęła godzina. I następna. Z głodu skręcało ją w żołądku. Napiała się wody z butelki. W końcu, kiedy już miała wstać, zrzucić z siebie idiotyczny pielęgniarzski fartuch i wyjść, recepcjonistka wywołała jej nazwisko.

Wyjątkowo przystojny młody asystent zaprowadził ją na pierwsze piętro. O ile na parterze panowała sztuczna atmosfera wzajemnej obojętności, o tyle na piętrze aż wrzało. Asystenci biegali w tę i z powrotem z naręczami tkanin, kapeluszy i pantofli. Stało tu kilka manekinów, szwaczki jak oszalałe upinały, robiły zakładki, podwijają, mierzyły i kroily. Rianne niczego podobnego w życiu nie widziała. Przeprowadzono ją przez atelier i przywieziono do cichego, ustronnego pokoiku. Asystent zamknął za sobą drzwi i nagle znalazła się sam na sam z mistrzem. Nie odezwał się, jedynie ruchem dłoni pokazał, że ma przejść się przed nim w jedną i drugą stronę. Gestem polecił jej dalej się przechadzać, sam wstał i chodził obok. Markowe okulary w czarnych oprawkach połyskiwały, kiedy przyglądał się jej pod każdym możliwym kątem. Po pięciu minutach mruknął: „Dziękuję”, i tak zakończyła się próbna sesja. Rianne nie miała pojęcia, jakie zrobiła na nim wrażenie. Drzwi się otworzyły i piękny asystent wyprowadził ją z pokoju. Koniec sprawy.

- Zaczekaj tutaj - polecił i sam się oddalił. Po piętnastu minutach przyszła starsza szwaczka z pomocnicą. Przyniosły kilka zwojów białego muślinu. Kobieta poprosiła Rianne, żeby się rozebrała. Obie zaczęły upinać na niej model długiej, wieczorowej sukni bez ramiączek. Szwaczka wyjaśniła dziewczynie, że kopia zostanie dokładnie dopasowana, a potem wykorzystana jako wzór takiej właśnie sukni. Rianne czuła się zdezorientowana. Czy to miało znaczyć, że dostała pracę? Kobieta wzruszyła ramionami. Wiedziała tylko, że ma zdjąć z niej miarę. Pracowały szybko. Zdjęły miarę na sześć różnych strojów, a wszystko to trwało prawie dwie godziny. W końcu, tuż przed czwartą, kiedy myślała, że zemdleje z głodu i zmęczenia, skończyły pracę. Ubrała się po raz ostatni, zrzuciła biały fartuch, pończochy i pantofle, po czym zgodnie z poleceniem zaniósła voucher do recepcji. Skontaktują się z madame Clochard w sprawie pokazu. Rianne nie mogła się w tym wszystkim połapać.

Wyszła na zalaną słońcem paryską ulicę, przebiegła na drugą stronę jezdni i wstąpiła do najbliższej kawiarenki. Zamówiła hamburgera i lampkę wina. Umierała z głodu. Usiadła na zewnątrz i zastanawiała się, czy aby podjęła właściwą decyzję. Z dotychczasowych doświadczeń wynikało, że kariera modelki sprowadza się do stania przez cały dzień pod obstrzałem zawistnych oczu konkurentek, podczas gdy inni wbijają w nią szpilki. Rzeczywistość zupełnie nie pasowała do wyobrażeń. Kiedy Lisette rzuciła tę propozycję, Rianne oczekiwała wspaniałego, olśniewającego życia. Teraz zastanawiała się nawet, czy nie zamówić na deser crepes Suzette, fantastycznych naleśników. Do diabła z nimi - pomyślała i zamówiła następną lampkę wina. Wszystko jedno, czy ją wybiorą, czy nie.

Gabby rozmawiała z Rianne następnego dnia wieczorem. Jej zdaniem życie koleżanki było jednym pasmem niezwykle pasjonujących wydarzeń. W pewnym

sensie wydawało się to całkiem zrozumiałe. Gdy ktoś jest bogaty, piękny i znudzony życiem, takie rzeczy mu się zdarzają. Jeśli nie, nic się nie dzieje. Proste jak drut. Żałowała, że jej życie nawet w jednej set, nej nie przypomina życia koleżanki. Poza pewnym niepokojem i skurczami żołądka, kiedy myślała o studiach w Magdalen College uniwersytetu w Oxfordzie i o tym, jak zmieni się jej życie, kiedy rozpocznie naukę, nic nie zakłócało szarej codzienności. Dzień w dzień biegała pieszo do pracy na Tottenham Court Road i z powrotem. Monotonię przerywały tylko sporadyczne spotkania z Naelem w jednej z kawiarenek w Covent Gardens i czasami wspólne wyjście do kina.

- Jak sądzisz, kiedy przyjedziesz do Londynu? - zapytała Gabby, dzierżąc w rękę jak oręż pilota. W telewizji nie było nic ciekawego.

- Nie wiem. Jutro rano mam następną przymiarę, potem wracam do Nowego Jorku. To naprawdę bardzo ciężka praca.

- Nie opowiadaj bajek - roześmiała się Gabby. - Oddałabym trzonowe zęby...

- Na pewno nie, wierz mi. Po prostu cały czas się czeka. Trudno uwierzyć.

Godzinami czekasz na coś, co trwa zaledwie dziesięć minut.

- I tak ta praca wygląda raczej na wspaniałą niż żmudną. Poznajesz nowe miejsca, to taka „Historia świata w dziesięciu i pół rozdziału”. - Gabby nie mogła zdobyć się na współczucie. - Mam nadzieję, że zjawisz się tutaj, zanim wyjadę. O Boże, słyszałaś o Charmaine? - zapytała, uderzając się dłonią w czoło.

- Nie. Co się stało? Wiesz, że mieszka z tym okropnym typem, Bazem? Namawia ją na wspólny wyjazd do Los Angeles. Chce przyłączyć się do jakiejś kapeli czy coś takiego. Charmaine ma zamiar z nim pojechać. Chyba oszalała! Co tam będzie robiła? Wyobrażasz sobie?

Rianne była zaskoczona. Głupiutka, zakochana Charmaine chce uciec do Los Angeles? Myślała, że z nich czterech to ona jest największą ryzykantką. Po córce Mary Hunter najmniej się spodziewała niespodzianek. Gabby opowiadała, co działo się u wspólnych znajomych, a Rianne uświadomiła sobie, jak bardzo jej ich wszystkich brakuje. To również było dla niej dużą niespodzianką.

Weekend powoli mijał. Gina przyleciała do Paryża, żeby być przy Rianne podczas jej pierwszego zawodowego występu. Siedziały w kawiarni przy stacji metra Bastilia. Gina najbardziej lubiła właśnie tę okolicę. Próbowwała powiedzieć Rianne kilka rzeczy o przemyśle, z którym się związała. Dziewczyna była na wpół przytomna.

Dochodziła dopiero dziewiąta rano, jak na nią o wiele za wcześnie. Kategorię rzeczy „do noszenia” Europejczycy nazywają modą *prêt-à-porter* wyjaśniała ziewającej dziewczynie. W modzie tego rodzaju liczyły się tylko trzy miejsca: Mediolan, Paryż i Nowy Jork. Pokazy nowych kolekcji odbywały się dwa razy w roku, we wrześniu i w październiku oraz w lutym i marcu. Terminy były ściśle określone: tydzień na początku września dla kreatorów mody z Mediolanu, potem, dwa tygodnie później,

pokazy w Paryżu prezentujące kolekcje paryskich domów mody i w końcu, w połowie października, projektanci amerykańscy zamykali sezon w Nowym Jorku. - Rianne, czy ty mnie słuchasz? - zapytała Gina. Dziewczyna sennie skinęła głową. - Więc przestań ziewać - skarciła ją. Widziała wiele pięknych dziewcząt, które zaczynały karierę modelki i bardzo szybko ją z hukiem kończyły. Wygląd nie wystarczał, żeby utrzymać się na rynku. Trzeba było jeszcze mieć rozum i zwracać uwagę na szczegóły. Godzinę później Rianne spoglądała na połówkę niedojedzonego croissanta na talerzyku Giny. Umierała z głodu.

- Nie chodzi o rynek szerokiego odbiorcy w Paryżu - kończyła Gina, żując bułeczkę - tylko o przepych. Pomyśl o nazwiskach: Chanel, Yves Saint Laurent, Dior, Givenchy. W Paryżu wychodzi chyba najwięcej czasopism i wydawnictw o modzie, jest tu najwięcej firm kosmetycznych, no i naturalnie kreatorów mody, a ci są bardzo wybredni, jeśli chodzi o modelki, które angażują do swoich pokazów. Ale kiedy już znajdziesz się na wybiegu w Paryżu, wszystko inne z czasem się ułoży. Skarbie, jesteś w doskonałej sytuacji. Jeżeli zdołasz ich podbić w poniedziałek, następny przystanek mamy w Nowym Jorku. A to właśnie tam robi się wielkie pieniądze, kochanie. Proste. Wyrabiasz sobie nazwisko w Europie, a potem wracasz do Stanów i zarabiasz krocie. W Nowym Jorku za materiały reklamowe płacą najwięcej i podpisuje się najdłuższe kontrakty. Oczywiście, przy dużym szczęściu możesz zostać „twarzą” wielkiego koncernu. O tym pomówimy innym razem. - Rianne zapaliła papierosa. Jezu, tyle rzeczy musiała zrozumieć, tak wiele zapamiętać. A nawet jeszcze nie jadła śniadania.

## 23

- Cześć, Gabs, przepraszam za spóźnienie. - Nael wszedł do kawiarni. Pochylił się, żeby ją pocałować, potem usiadł, torbę z książkami położył na podłodze. Rzuciła okiem na tytuły. Filozofia. Polityka. Tylko takie książki czytał.

- Co tam w pracy? - zapytał. Skinął na kelnerkę i zamówił piwo. Spojrzał na szklankę Gabby i zmarszczył czoło. Piła wodę z czymś, co wyglądało jak rozmiękła i rozmiądzona cytryna.

Zawahała się przez moment. Nie była pewna, czy powinna mu przekazać fantastyczne nowiny dotyczące Rianne. Zdecydowała się nie wspominać o koleżance. Czuła, że chociaż nie zostało to nigdy powiedziane, oboje postanowili nie rozmawiać o niej.

- Koszmar - odpowiedziała pogodnie. - Klienci, jak zawsze, w ogromnej większości są nieuprzejmi. I leniwi. Przychodzą do księgarni, czytają nazwy działów, ale po schodach nie chce się im chodzić. Proszą więc mnie o przyniesienie książki, a jak wiesz, windy nie ma! Co u ciebie?

Nael skrzywił twarz z niesmakiem. Znalazł, jak to mówił, najnudniejszą pracę pod słońcem. Wywoływał klisze i robił odbitki zdjęć w drogerii Bootsa. Narzekał, że jego włosy i ubranie ciągle śmierdzą odczynnikami chemicznymi. Gabby ze zrozumieniem pokiwała głową. Obojgu im zostało jeszcze tylko kilka dni. Ona pojedzie do Herefordu odwiedzić babkę, a potem już zaczyna się rok akademicki. Czuła pustkę w żołądku, ilekroć wyobraziła sobie, że idzie przez tętniące radością korytarze akademika do swojego nowego pokoju.

- Moi klienci robią fatalne zdjęcia, a potem winią nas za ich jakość - powiedział Nael. - Daj spokój, nie chcę mówić o pracy. Kiedy jedziesz na północ?

Gabby poczuła dreszczyk podniecenia. Jedzie na północ, do Oxfordu.

- W przyszłym tygodniu. A ty?

- Też. Ojciec przyjedzie po mnie do Bena. - Nael zatrzymał się na Earls Court u kuzyna.

- A twoja mama? Nie przyjedzie?

- Nie. - Nael nagle spowaźniał.

Gabby spojrzała na kolegę. Od kiedy go znała, nigdy nie mówił o matce. Dużo słyszała o jego ojcu, lekarzu z prywatną praktyką na Harley Street, dwóch siostrach, nawet o kuzynie. Jednak nigdy nic o matce.

- Co chcesz zobaczyć? - Nael szybko zmienił temat.

Postanowili pójść do kina. Gabby miała ochotę obejrzeć jakiś zagraniczny film bez dubbingu, z napisami. Na takich filmach czuła się bardziej dorosła. Nael wyciągnął z torby pogniecioną gazetę. Miał „Evening Standard”. Przejrzeli program.

- Może Wybór Zofii? - zaproponowała Gabby. Nie był to wprawdzie zagraniczny film, ale z pewnością adresowany do bardzo dojrzałych widzów.

- Tylko jeśli obiecasz, że nie będziesz płakała - surowo upomniał ją Nael. Na początku wakacji oglądali razem E.T. i ostatnie piętnaście minut filmu dziewczyna przepłakała.

- Nie będę. Obiecuję - roześmiała się.

- Poprzednim razem też obiecywałaś, a potem zniszczyłaś mi chusteczkę do nosa. Dobra, Wybór Zofii. O której się zaczyna?

- Za dwadzieścia minut. Lepiej już chodźmy. - Gabby wypila do końca napój cytrynowy i z niesmakiem wykrzywiła twarz. Nazwa brzmiała zachęcająco, ale w rzeczywistości była to bardzo droga szklanka wody z lekką goryczką.

Najprawdopodobniej prosto z kranu. Wstali od stolika.

W Paryżu, za kulisami u Yves'a Saint Laurenta, Rianne czekała na przyjazd wizażystów. Próbę przed pokazem mieli wcześniej rano, a ona przyjechała jeszcze przed wszystkimi. Pierwszego dnia pracy nie chciała się spóźnić, poleciła więc kierowcy, żeby podjechał po nią na Avenue Foch o siódmej trzydzieści. Teraz była na siebie zła: przymiarkę miała wyznaczoną na dziewiątą, a dojazd na miejsce zabrał zaledwie pięć minut. Na szczęście tym razem pamiętała o książce. Wyjęła ją z torby i usadowiła się w kącie ogromnej sali. Zajmie się czytaniem, dopóki nie zjawi się

reszta zespołu.

O ósmej trzydzieści za kulisami już wrzało. Rianne stwierdziła, że obserwowanie tego, co się wokół dzieje, jest znacznie ciekawsze od fabuły książki. Nigdy czegoś podobnego nie widziała. Zaczęły się zjeżdżać modelki. Każda następna była bardziej kapryśna i rozdrażniona od poprzedniej. Chociaż sama Rianne nie grzeszyła grzesznością ani dobrymi manierami i potrafiła źle się zachować, nie zważając na uczucia innych, postawą kilku dziewcząt była wstrząśnięta. Niektóre nawet słyszeć nie chciały o przymierzeniu strojów, dopóki ktoś nie przyniósł im cappuccino, paczki papierosów, tabletek od bólu głowy albo kwiatów do wazonu na toaletce. Piękna rudowłosa dziewczyna zażądała prywatnej garderoby. Jej zdaniem w ogólnej sali było zbyt duszno, kręciło się tu zbyt wiele osób, a szczególnie fotografów, było zbyt silne światło.

Członkowie zespołu przygotowującego pokaz robili, co mogli, żeby załagodzić sytuację i udobruchać nadwrażliwe modelki; jedne uspokajali, inne łagodnie besztali i wysyłali jakiegoś biednego pomocnika po kawę, papierosy czy tabletki. Rianne czuła się otoczona ludźmi, których jedynym celem było ekspozowanie przerośniętego poczucia własnej wartości.

Oszołomiona, nie wierzyła własnym oczom. I pomyśleć, że to siebie uważała za osobę zepsutą i zblazowaną! Próba powinna być sprawą prostą: trzeba przymierzyć stroje, ustalić kolejność, w jakiej modelki pojawiają się na wybiegu, sprawdzić, czy nowe twarze odpowiednio się prezentują i dobrze wkomponują w występ stałych, zawodowych modelek. Tymczasem próbny pokaz przekształcił się w cyrk. Nikt do nikogo się nie odzywał, niektóre dziewczęta twierdziły, że wszystko doskonale wiedzą, i przeszły tylko do połowy wybiegu, inne wyglądały, jakby wciąż jeszcze spały. Jedna z modelek, kiedy miała wychodzić na wybieg, potknęła się tuż przed nią i dopiero wtedy Rianne uświadomiła sobie, że stoi jak skamieniała. Z trudem stłumiła śmiech.

Nadeszła jej kolej. Troszkę niepewnie szła przez wybieg, starając się skoncentrować wzrok, tak jak robiła to podczas lekcji baletu, na jakimś punkcie w przestrzeni, daleko przed sobą. Prowokacyjnie poruszała biodrami, naśladując dziewczęta występujące wcześniej. Proste. W głębi sali widziała Ginę, opiekunka uważnie ją obserwowała. Na końcu wybiegu obróciła się, jedną nogę wysunęła nieco do przodu i oparła przed drugą potem płynnie wykonała jeszcze jeden obrót. Nic trudnego. Wróciła do zasłoniętego kotarą wejścia, zatrzymała się raz jeszcze i zniknęła za zasłoną. Kiedy schodziła po schodach w dół, nikt nawet na nią nie spojrział. Pięć dziewcząt w samej bieliźnie, a niektóre z lokówkami we włosach tłoczyło się w kącie. Rianne zastanawiała się, co tam robią. Potem spostrzegła, że piją whisky i palą skręty. O dziesiątej rano! Odwróciła się w drugą stronę.

W końcu, mniej więcej godzinę później, było po wszystkim. Nikt się do niej słowem nie odezwał poza porządkowym, który za kulisami ustawiał dziewczęta w

kolejności, w jakiej powinny się pojawić na wybiegu, i pilnował, żeby w odpowiedniej chwili wyszły na scenę. Nawet on rzucał tylko krótkie polecenia. Popatrzyła na Morę, najpopularniejszą obecnie modelkę. Jej twarz pojawiała się we wszystkich czasopismach, była na każdym billboardzie. Nawet niezupełnie ubrana wyglądała sztywno i bardzo profesjonalnie. Gina uprzedziła Rianne, że na próbie nie pojawią się sławne modelki. Te o prawdziwie wielkiej renomie - opowiadała - bardzo rzadko uczestniczą w próbach. Były profesjonalistkami, oczekiwano, że zjawią się na pokazie i będą wiedziały, co robić. Mora stanowiła wyjątek. Chodziła na wszystkie próby, brała udział we wszystkich przeglądach, uczestniczyła we wszystkich spotkaniach. Była bardziej profesjonalna od uznanych profesjonalistek w tym fachu, ale lubiła trzymać rękę na pulsie. Musiała wiedzieć wszystko, co dotyczyło kolekcji i pokazu.

Po przedpołudniowej próbie Rianne wykonała szybki rajd po sklepach. Obciążona torbami ledwo zdążyła na czas. Zapomniała, jak trudno poruszać się po Paryżu w godzinach szczytu. Taksówkarz podrzucił ją najbliżej, jak mógł, wejścia do nieczynnego gimnazjum, w którym Yves Saint Laurent prezentował swoją wiosenno-letnią kolekcję. Dziewczyna zapłaciła i wysiadła z taksówki.

Wewnątrz wszystko wyglądało inaczej niż rano. Paskudne betonowe wnętrza udekorowano kremowymi i białymi tkaninami, po obu stronach wybiegu starannie i równiutko ustawiono ponad pięćset krzeseł. Całe popołudnie przywożono kwiaty i drzewka w ogromnych donicach, z których na końcu sali stworzono coś na kształt wewnętrznego żywopłotu. Zieleń zasłoniła brzydkie okna i gołe betonowe ściany. Oświetlenie było niesamowite: pojedynczy rząd reflektorów skierowano na wybieg, pozostała część sali tonęła w półmroku. Z wielkich głośników porozstawianych w różnych punktach sali rozbrzmiewała głośna muzyka dyskotekowa. Atmosfera kojarzyła się bardziej z nocnym klubem niż z pokazem mody.

- Rianne! - ktoś krzyknął. Wołała ją wizażystka - dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć jej imienia. Rano spotkały się tylko przelotnie.

- Tutaj. Chodź szybko, musimy zacząć.

Dołączyła do rzędu modelek, siedzących na obrotowych krzesłach. Niektóre rozpoznała z porannego pokazu, kilka wyglądało na bardzo zmęczone, żadna nawet nie powiedziała: „Cześć”. Rianne poczuła się okropnie, jakby z powrotem znalazła się w szkole Świętej Anny. Ścisnęło ją w żołądku.

- OK. - Wizażystka szarpnęła krzesło i odwróciła dziewczynę twarzą do lustra.

Uważnie przyjrzała się leżącym przed nią szkicom. Na pokazie miała zademonstrować sześć strojów wieczorowych. Kolekcja była bardzo bogata kolorystycznie. Prezentowała między innymi wąską szmaragdową suknię z błyszczącego jedwabiu, białą, przylegającą do ciała dżersejową sukienkę z przewiewnej, cieniuteńkiej wełenki oraz kilkuwarstwową platynowo - srebrno-ciemnoszarą suknię koktajlową, a do tego sandały z wąziutkich paseczków na niewyobrażalnie wysokich obcasach. Rianne przełknęła ślinę. Przed wyjściem na

wybieg musi jeszcze poćwiczyć chodzenie na takich wysokich obcasach. Dwie dziewczyny zajęły się jej włosami, podczas gdy Mina - tak miała na imię wizażystka pracowała nad makijażem twarzy.

Wokoło coraz bardziej wrzało. Z tyłu, za modelkami, ustawiono stoły z szampanem i przekąskami. Z wyjątkiem modelek wszyscy czymś się częstowali. Dziewczęta nie jadły, nie piły, tylko paliły papierosa za papierosem, aż za kulisami zrobiło się czarno od dymu. Zespoły wizażystek miały się jak w amoku, pudrowały, lakierowały, obrysowywały konturówką usta, ołówkiem podkreślały brwi, czerniły zalotne pieprzyki. Fryzjerzy biegali z miejsca na miejsce, szukając suszarki do włosów, szczotki, grzebienia.

Rianne ciągnięto za włosy, prostowano pukle, podkręcano loki, żeby w końcu ułożyć fryzurę. Włosy rozdzielono przedziałkiem i układano pojedynczymi pasmami, aż ciężkimi falami spływały po obu stronach twarzy i na plecy. Oczy podkreślono przydymioną czernią, a na końcówki rzęs nałożono złotą maskarę. Usta pomalowano ciemnoczerwoną szminką a konturówkę nałożono nieco powyżej linii warg, tak że wydawały się jeszcze pełniejsze.

W końcu wizażystka odstąpiła krok do tyłu i z podziwem spojrzała na swoje dzieło. Jeszcze tylko kilka muśnięć złotym pudrem po policzkach i Rianne była gotowa. Odbicie spoglądało na nią z lustra. Pod pogodną, piękną maską prawie nie mogła się rozpoznać. Garderobiana pomogła jej włożyć pierwszą kreację: szmaragdową suknię z jedwabiu na wążiutkich, nabijanych diamentami ramiączkach, która łagodnie falowała wokół nóg. Pod suknią nie miała nic, nawet pończoch. Jedwab lgnął do ciała jak druga skóra. Wsunęła stopy w pantofelki na wysokich obcasach, a garderobiana zapięła malusieńkie klamerki.

- *Che bella!* - krzyknęła włoska garderobiana i Rianne niepewnym krokiem poszła w kierunku dziewcząt czekających w szeregu za kotarą na wyjście na wybieg. Słyszała głośną muzykę i burzę oklasków, kiedy, jako pierwsza, z długimi złotobrazowymi nogami na bardzo wysokich obcasach, spowita w pomarańczowy jedwab, na wybieg wyszła Mora. Jedna po drugiej modelki zniknęły za kotarą. Każdą witano gromkimi brawami. Rianne ze zdenerwowania prawie nie mogła złapać tchu. Za kotarą zniknęła dziewczyna, która stała przed nią. Ktoś Rianne popchnął i oślepiona reflektorami znalazła się na wybiegu. Niejasno zdawała sobie sprawę z błyskających dookoła setek fleszów, burzy oklasków oraz głośnych akordów muzyki i nagle, równie niespodziewanie, znowu znalazła się za kulisami. Garderobiana niecierpliwie ciągnęła ją za sobą. Zanim zdążyła pomyśleć, jak czuła się na scenie, znowu była na wybiegu, jedna stopa do przodu, kołysanie biodrami, obrót, dłoń na biodrze, kolejny obrót. Czuła się tak, jakby robiła to całe życie.

Pięć razy zmieniała stroje. Po upływie półtorej godziny mimo chłodu spływała potem. Była otoczona wrzeszczącymi modelkami, podekscytowanymi przedstawicielami handlowymi, fotografami i pochlebcami. Za kulisami rozpętało

się prawdziwe piekło. Zza kurtyny właśnie wyłoniła się Mora z Yves'em. Wszystkie modelki cisnęły się wokół nich, podnosiły w górę kieliszki z szampanem i uśmiechały się szeroko do pstrykających zdjęć fotografów. Na Rianne nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Chciała zdjąć z siebie ostatnią suknię, niebywałą kombinację szarej koronki, tafty i białego surowego jedwabiu, ale garderobiana gdzieś zniknęła, a sama nie była w stanie rozpiąć haftek. Przygryzła wargę. Żadna z dziewcząt nie wydawała się skora do pomocy. Spostrzegła fotografa kobietę i skinęła na nią, prosząc o pomoc. Dziewczyna podeszła. Kiedy rozpinała haftki, Rianne usłyszała, jak jakaś modelka złośliwie szepcze do innej

- Spójrz na tę nową! Jest tu zaledwie od pięciu minut, a już podlizuje się prasie! Rianne nie posiadała się ze złości. Suki! Trzymała dłońmi sukienkę, nie mogła więc do nich podejść, rzuciła im tylko pełne nienawiści spojrzenie.

Była w błędzie, tutaj było jeszcze gorzej niż w szkole Świętej Anny. Znacznie gorzej.

- Rianne! Tutaj! - usłyszała Ginę, przekrzykującą wrzawę. - Świetnie się spisałaś oświadczyła opiekunka, przedzierając się przez tłum. - Fantastycznie. Wyglądałaś wspaniale. Cudowne suknie. Można dla nich stracić głowę! - Gina była w dopasowanym żakiecie z aksamitu w kolorze burgunda, z perłowymi guzikami, zapinanym pod szyję. Krótkie czarne włosy miała zaczesane do tyłu, na nosie ciężkie, wyglądające na bardzo stare okulary, w uszach kolczyki z rubinami. Wyglądała zupełnie inaczej niż ze zjeżonymi włosami i w szykownych, ale dość monotonnych czarnych garsonkach, w jakich chodziła na co dzień do pracy. - Chodź, przebierz się. Jedziemy do Byblos, tam jest przyjęcie po pokazie. Masz co na siebie włożyć?

- Tak.

- No to ubieraj się i znikajmy stąd. Chcę cię przedstawić kilku osobom, a nie mogę, bo wciąż jesteś półnaga. No, rusz się, dziewczyno! - Uśmiechnęła się i odwróciła, żeby porozmawiać z kimś innym.

Rianne szybko rozejrzała się wokół. Dziewczęta bez skrupowania przebierały się w swoje rzeczy, poszła za ich przykładem.

## 24

Nathalie z przerażeniem patrzyła na sięgające sufitu stopy pudeł. Był to jej pierwszy dzień pracy w sklepie o nazwie Top Girl na Oxford Street i już czuła się jak popychadło. Z przyczyn wyłącznie sobie wiadomych kierownictwo nagle uznało, że cała znajdująca się na składzie bielizna, w tym staniczki, powinna nosić oznakowania w systemie metrycznym. Julie, hoża przełożona Nathalie - choć wcale



nie wyglądała na wiele starszą - przekazała jej polecenie zwierzchników. W poprawnej angielszczyźnie, ale z twardym akcentem, powiedziała, gdzie magazynowana jest bielizna, której jeszcze nie wypakowano z kartonów, i gdzie są nowe metki. Nathalie miała wziąć do ręki każdy wieszaczek ze staniczkiem, ostrożnie odkleić stare oznaczenia: 34B, 36A, 38C itd., a na to miejsce przykleić nowe metki: 95D, 105C, 100B. To samo miała zrobić z majteczkami.

Patrzyła na przełożoną z niedowierzaniem. Czy ta kobieta oszalała?

- To idiotyczne - zaprotestowała, idąc za Julie do magazynu na tyłach sklepu. - Nikt się nie połapie w tych oznaczeniach. Od świtu do nocy będę wyjaśniała klientkom, że 95C to nic innego jak 36C. Będzie bałagan jak na targu rybnym, kiedy starsze panie chciały kupić funt łupacza, tylko nie potrafiły powiedzieć, ile ryby sprzedawczyni ma im zważyć.

Julie spiorunowała ją wzrokiem. Krnąbrna, bogata gówniara. Jakim prawem kwestionuje polecenia kierownictwa? Przecież dopiero wczoraj rozpoczęła pracę!

- Ma być zrobione. Nic więcej nie wiem - rzuciła lodowatym tonem. - I musisz szybko się z tym uporać, ponieważ w poniedziałek przyjeżdża pan Byrd. - Odrzuciła głowę do tyłu, zadarła nos do góry i energicznym krokiem wyszła z magazynu.

Nathalie westchnęła. Rzuciła okiem na stos kartonów. Dwadzieścia, może trzydzieści, prawdopodobnie dwadzieścia staniczków w kartonie... Ile to będzie?...

Czterysta metek odkleić i tyle samo przykleić. O Boże! To zajmie kilka dni.

Rozejrzała się za niewielką drabinką którą widziała poprzedniego dnia. Będzie potrzebna, żeby dostać się do kartonów na górze.

W porze lunchu czuła się już śmiertelnie znużona monotonnym zajęciem. Końca nie było widać. Małym nożykiem otwierała pudło, ze środka wyjmowała plastikowy pakiet, również go otwierała i układała przed sobą stos małych wieszaczków.

Kolejno odklejała metki, zastępowała je nowymi, ponownie pakowała wieszaki do pudła, zabezpieczała plastikową osłoną, zaklejała karton. Otwierała następne pudło.

Nie tak wyobrażała sobie pracę w handlu konfekcją. Nic fascynującego zostać zamkniętą w dusznym magazynie z trzydziestoma kartonami. Ze złością rozcięła taśmę zabezpieczającą następny.

Wczoraj wieczorem rozmawiała z Gabby i z niedowierzaniem oraz zazdrością słuchała nowin o Rianne. To dopiero było wspaniałe życie. Wprawdzie podzielała zdanie przyjaciółki, że jeśli ktoś już rodzi się w czepku, to rzadko spada mu on z głowy, ale mimo wszystko czuła się zraniona niesprawiedliwością losu. Przez ostatnie sześć miesięcy w szkole Świętej Anny Nathalie naprawdę bardzo ciężko pracowała. Znacznie bardziej przykładła się do nauki niż Rianne, która z trudem zdała francuski, choć był to ojczysty język jej matki. Tymczasem teraz, mimo najlepszych ocen z trzech przedmiotów i własnego mieszkania w Notting Hill, tkwiła tutaj i przyklejała metki do staników. Natomiast koleżanka tanecznym krokiem weszła prosto na wybieg jednego z najlepszych projektantów mody. Wieczorem, po powrocie do pustego mieszkania z pustą lodówką i brakiem

jakiegokolwiek znaku życia od Philippe'a, zatelefonowała do Charmaine. Gabby poszła do kina z Naelem.

- To nie w porządku - przyznała przyjaciółka. Jedną ręką trzymała przy uchu słuchawkę, drugą malowała paznokcie u nóg. Odkąd Baz mimochodem wspomniał, że może „gdzieś wyjadą... nie wiem gdzie... może do Los Angeles czy gdzieś tam” , szalała z podniecenia. - Pewnie ciotka czy ktoś ze znajomych wprowadził ją w świat mody. Przecież wiesz, jak z tym jest, modelki nie bierze się z ulicy, trzeba znać kogoś z tej branży.

Nathalie w duchu przyznała koleżance rację, chociaż z drugiej strony Rianne była bardzo, ale to bardzo ładna.

- Dobra, dość już o Rianne, co powiesz o mnie? Co myślisz o propozycji Baza? Mam z nim jechać? - zapytała uszczęśliwiona Charmaine.

Baz był ulubionym tematem jej rozmów. Nathalie czasem niepokoiła się o koleżankę. Charmaine w przerażająco szybkim tempie zastępowała jednego chłopaka drugim, a przy każdym z nich również sama niepokojąco się zmieniała. Przy Thierryem Pasquierze była elegancka, pewna siebie i zalotna. Wszyscy widzieli, że chłopak ją uwielbia. Jednak z jakiegoś powodu Charmaine wiązała się z partnerami, którzy wcale nie chcieli ani nie potrzebowali jej oddania, podczas gdy ona bezskutecznie próbowała ich zdobyć i do siebie przywiązać. Thierry był zbyt łatwym łupem... za bardzo mu na niej zależało. Prawie natychmiast się nim znudziła. Zerwała z Pasquierem oficjalnie i z hukiem w herbaciarni Serendipity. Potem były owe wakacje na Martynice - osobiście Nathalie wspominała je z bólem w sercu - i Hennie. Z dnia na dzień Charmaine stała się drażliwa, niepewna siebie. Wdzięczyła się i chichotała, wsłuchiwała w każde jego słowo. Była na każde skinienie chłopaka. Po powrocie do szkoły Świętej Anny przez wiele miesięcy chodziła jak struta. Hennie prawie do niej nie pisał, nigdy nie dzwonił, a kiedy już raz na jakiś czas przysłał kartkę pocztową, doprowadzała wszystkich do szału nieustannym rozważaniem każdego napisanego słowa i doszukiwaniem się w naprędce skleconych zdaniach dowodów „miłości”. Nawet Rianne musiała przyznać, że kuzyn zachowuje się podle.

Nathalie modliła się, żeby Charmaine jak najprędzej znalazła sobie innego chłopaka. Co, oczywiście, wkrótce nastąpiło.

Następny na liście był Johnathan Hamilton - Butler, jeden z najelegantszych młodzieńców w męskim college'u. Przy nim Charmaine za wszelką cenę chciała uchodzić za osobę towarzysko obytą światową i zamożną jaką - oczywiście - nie była. Wszyscy musieli znieść kolejne przeobrażenie osobowości koleżanki, a Johnathan i tak ją w końcu rzucił, chociaż nie zrobił tego formalnie: po prostu przestał dzwonić. Charmaine i jej najbliższym koleżankom pozostawił pogodzenie się z kolejnym miłosnym zawodem, co trwało całe miesiące. A teraz ten Bartholomew Howell, dla przyjaciół Baz. Wysoki, przystojny, długonogi uwodziciel

z brudnymi blond włosami i niebieskimi oczami, wyrzucony ze szkoły za handel narkotykami. Trudno uwierzyć, ale był kolegą Pasquiera. Charmaine poznała go na przyjęciu w Londynie w wielkanocne ferie, jeszcze zanim zerwała z Thierrym. Baz był padalcem - wszyscy o tym wiedzieli i tak o nim mówili. Oczywiście, wszyscy poza Charmaine. Ona kochała jego insouciance, chociaż, zdaniem Gabby, myliła bez troskę z narkotycznym otepieniem. Dla Charmaine Baz stanowił uosobienie tego wszystkiego, czego brakowało jej w szkole Świętej Anny. Był niezdyscyplinowany, prowadził nieuregulowany tryb życia, zachowywał się nieszablonowo, nie respektował ogólnie przyjętych zasad. Nie pracował - nie musiał. Jego ojciec był właścicielem sieci aptek „gdzieś na północy”, jak niejasno mówił, dzięki czemu Baz dość wygodnie żył za pieniądze rodziców. Uważał się za poetę i piosenkarza. W rzeczywistości nie był ani jednym, ani drugim, natomiast w chwilach natchnienia pisywał dla Charmaine dziwaczne rymowanki.

Poza tym bardzo dużo słucha muzyki - dodała dziewczyna z przejęciem. Nathalie prychnęła. Wiedziała już wszystko. Muzyka, słoneczne plaże i dziewczyny w bikini skłaniały go do wyjazdu do Los Angeles. Miał tam przyjaciela, niejakiego Toucha - skąd takie przedziwne imię? - który „siedział w branży”. Baz nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w LA i „wskoczy na scenę. Czujesz to, człowieku?!” Początkowo, kiedy tylko zaczął nosić się z tym zamiarem, jasno dał do zrozumienia, że zamierza wyjechać sam na jakieś dwa miesiące. Kiedy już się „tam” urządzi, Charmaine będzie mogła do niego przyjechać. Co do tego pozostał nieugięty. Dziewczyna, jak zwykle w takich przypadkach, gniewała się, dąsała, płakała. Nie ustępował. Potem, pewnego dnia - nie miała pojęcia, dlaczego - zmienił zdanie. Charmaine bardzo się tam spodoba. Ogromnie się jej spodoba. Będą się świetnie bawili. Poza tym pomoże mu założyć kapelę, będzie kontaktowała się z agentami, załatwiała sale na występy i temu podobne rzeczy. Charmaine nie posiadała się ze szczęścia.

- Zatrzymamy się u Toucha Pod Tysiącem Dębów. Czy to nie piękna nazwa? Baz mówi, że lokal jest położony gdzieś w dolinie. Miałam rano kupić mapę Los Angeles, ale zapomniałam.

- Dobrze, Charmaine, ale co ty będziesz tam robiła? - zapytała Nathalie. Jechać z Bazem to jedno, co innego jednak ugrzęznąć tam bez żadnego zajęcia.

- Nie wiem, zobaczymy. Mogę nawet trochę śpiewać z zespołem. Z zespołem? - Nieoczekiwanie Baz, który zaledwie kogoś znał w Los Angeles, miał tam już teraz jakiś zespół.

Nathalie westchnęła. Charmaine bujała w obłokach.

- Wiesz, lepiej wykup bilet powrotny - ostrzegła przyjaciółkę. - Jeśli coś nie wyjdzie, zawsze będziesz mogła wrócić. - Ta tylko niecierpliwie pokiwała głową. Cała Nathalie, nie rozumie, co to pragnienie przeżycia przygody. Oczywiście, że wszystko się uda.

Czarny mercedes zatrzymał się przy krawężniku nieopodal wejścia na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Kierowca wyskoczył, żeby otworzyć drzwi. Rianne i Gina

uginały się pod ciężarem bagażu. Opiekunka dała kierowcy sowity napiwek i zarzuciła torbę na ramię. Wyjęła bilety. Na dworze lekko mżyło, niebo było szare, zasnuwane chmurami.

- Masz wszystko? - zapytała dziewczynę, kiedy samochód odjeżdżał. Rianne skinęła głową. Cieszyła się z powrotu do Nowego Jorku, nawet jeżeli Bruce Eastman miałby się więcej nie odezwać. Miała za sobą bardzo wyczerpujący tydzień: pokazy, próby, przyjęcia, kolacje. W ciągu tego tygodnia wypła więcej alkoholu niż przez ostatnie pół roku i z nikim się nie zaprzyjaźniła. W porównaniu z modelkami, które spotkała za kulisami, dziewczęta z internatu szkoły Świętej Anny były przemiłe. Obrótowymi drzwiami weszła za Giną do sali odpraw. Podeszły do stanowiska linii lotniczych Air France, miały jeszcze godzinę do odlotu. Gina nienawidziła się spóźnić - i spieszyć. Szczególnie na kacu.

Zgłosiły się do odprawy paszportowo - biletowej, wzięły karty pokładowe i przeszły do sali klubowej dla pasażerów pierwszej klasy. Podeszedł kelner z kieliszkami szampana. Podziękowały, poprosiły o sok pomarańczowy. Rianne nie miała nic do czytania. W ubiegłym tygodniu tyle czasu spędziła na czekaniu, aż coś się zacznie dziać, że przeczytała wszystko, co z sobą zabrała. Przypomniała sobie, że na drugim czy trzecim piętrze świetnie zaopatrzonej strefy wolnocłowej na lotnisku Charles'a de Gaulle'a była księgarnia. Pójdę kupić coś do czytania - powiedziała, kiedy pojawił się kelner z dwoma wysokimi szklankami soku.

- Dobrze, mamy mnóstwo czasu. - Gina z wdzięcznością przyjęła napój. Rianne wyszła z sali do wewnętrznego atrium. Uwielbiała przeszklone windy. Skierowała się do księgarni. Była prawie pusta. Sięgnęła po „Vogue” i „Time'a”, potem zaczęła przeglądać tytuły popularnej beletrystyki. Szukała czegoś ciekawego do poczytania podczas długiego lotu. Po dziesięciu minutach miała w ręku sześć książek. Przystanęła, żeby sięgnąć po jeszcze jedną. Po drugiej stronie półki, naprzeciwko miejsca, gdzie stała, ktoś się poruszył i zasłonił światło. Zirytowana, podniosła wzrok znad książki i szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Nie, nie i jeszcze raz nie. To nie może być...

Nie mogła uwierzyć w to, co widziała. Niespełna metr od niej za sięgającą ramion półką z książkami stał Ree Modise. Wytrzeszczyła oczy. To naprawdę był on: ten sam wzrost, takie same szerokie ramiona pod szarą marynarką, włosy obcięte tuż przy skórze. Przygryzł dolną wargę i oglądał książki. Nosił inne okulary: miały czarną a nie srebrną oprawkę i były prostokątne, nie okrągłe. Z zaskoczeniem skonstatowała, że pamiętała takie szczegóły. Nagle, jakby poczuł na sobie jej spojrzenie, podniósł oczy - i zamarł. Wpatrywali się w siebie. Tym razem to ona pierwsza odwróciła wzrok. Ani sekundy dłużej nie mogła na niego patrzeć. Spostrzegła, że ochroniarz Modise'a prawie niedostrzegalnie przysunął się bliżej. Zapewne zastanawiał się, czemu lub komu przygląda się jego podopieczny. Odwróciła się na pięcie i niemal wybiegła ze sklepu, nie płacąc za naręczne

czasopism i książek. Sprzedawca krzyknął za nią. Zmieszana i zawstydzona, pospiesznie rzuciła je na ladę i szybko wyszła z księgarni.

- Co się stało? - zainteresowała się Gina, kiedy Rianne wróciła do sali klubowej.

- Nic.

- Na pewno? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Wszystko w porządku. Kiedy odlatujemy? - Dziewczyna była zdenerwowana, policzki jej płonęły.

- Nic nie znalazłaś? - Gina patrzyła na nią zdziwiona.

- Co takiego?

Nie znalazłaś nic do czytania? Myślałam, że poszłaś kupić jakąś książkę wyjaśniła kobieta.

- Och nie... nie... nie było nic ciekawego.

- Nawet „Vogue'a”? Chociaż w tym numerze jeszcze ciebie nie będzie, pewnie dopiero w następnym.

- Mm, nie.

- Na pewno wszystko w porządku? Napijesz się czegoś?

- Nie. Dziękuję. Wszystko w porządku. Naprawdę. - Spojrzała na ręce. Czowała, że policzki nadal jej płoną. Nie była w stanie wytrzymać wzroku Ree. Wszystko w nim było takie samo. Gładka, czarna jak smoła skóra, żywe, ciemne oczy za szklami okularów, pełne, ciemne, wyraźnie obrysowane wargi, wzrost i sprężyste ciało. Nawet za półką czuła jego fizyczną siłę.

## 25

Zaczął się październik - w Johannesburgu późna wiosna. W powietrzu nie czuło się wilgoci, było przeraźliwie sucho. Zdawało się, że wszystko zamarło w oczekiwaniu na wiosenne deszcze. Zieleń na weldzie pożółkła; chłodna, sucha zima wyprała z koloru wysokie, gibkie trawy. Lisette przestała mówić i z gabinetu na piętnastym piętrze patrzyła przez okno na miasto. Zapadał zmierzch. Zwołała posiedzenie ścisłego kierownictwa, żeby omówić problem ostatnio częstych strajków w kopalniach. Odwróciła się do grupy mężczyzn siedzących wokół konferencyjnego stołu. Gniewnie spojrzała na młodszego brata.

- Nie mam zamiaru, powtarzam: nie mam zamiaru z nimi pertraktować! Nie ugnieśmy się pod presją związków zawodowych! Nie ma mowy! A wam nie pozwalam nawet brać takiej możliwości pod uwagę.

Daj spokój, Lisette - jęknął Hendryk. - Będziemy musieli coś zrobić. Tak dalej być nie może. Od czasu powstania komisji vuilege znajdujemy się pod silną presją. Uwierz mi, już odchodzę od zmysłów. - Siedział przy oknie przygarbiony. Lisette wydeła policzki. Rzecz w tym, że Hendryk nie potrafił rozwiązywać trudnych problemów. A w tym przypadku mieli do czynienia z bardzo poważnym konfliktem.

Ze sprawozdania, które leżało przed nią, Lisette z przerażeniem dowiedziała się, że średnia płaca robotnika w Republice Południowej Afryki wynosi obecnie pięć dolarów za godzinę, czyli dwa razy tyle, ile płaci się robotnikom w Brazylii czy Meksyku, i pięć razy tyle, ile w Chinach. Prawdziwa katastrofa. Inwestorzy będą lokowali kapitał na innych rynkach, tam gdzie korporacja de Zoete nie prowadzi interesów. Lisette nie posiadała się ze złości. Sprawy KdZK pochłaniały ją bez reszty, poświęcała firmie mnóstwo czasu i energii, tym bardziej irytował ją Hendryk, który nie potrafił samodzielnie poprowadzić spraw kopalni.

- Musimy coś z tym zrobić - powtórzyła i powiodła wzrokiem po twarzach zebranych. - Słucham propozycji. - Odchyliła się w tył.

Po chwili odezwał się Kapie Vorster, szef policji w stanie spoczynku. Hendryk zatrudnił go, żeby ograniczyć do minimum ciągle powtarzające się incydenty w Deep Kloof, najbardziej dochodowej kopalni rodziny de Zoete'ów.

- Dobrze - zaczął. - Dajcie mi miesiąc. Pozbędę się tych szumowin z domów noclegowych. Jeśli nie zaczniecie kwestionować - moich działań, zostawicie mi wolną rękę i nie będziecie przeszkadzać, ręczę za skutki. - Popatrzył prosto na Lisette, ale z jego oczu nic nie można było wyczytać.

Kobieta zadrzała w środku. Bardzo pragnęła, żeby kopalnie przynosiły tak duże zyski jak w czasach, kiedy jeszcze nie było kłopotów z robotnikami, chciała również zdecydowaną, silną ręką kierować rodzinnym interesem, jednak w tym, emerytowanym policjancie było coś, co budziło w niej odrazę. Mimo markowych garniturów, które ledwo dopinały się na ogromnym brzuchu, wyglądał jak zbir z plantacji. Słabo mówił po angielsku. Czy naprawdę nie było innego sposobu opanowania sytuacji?

- Dobrze, Meneer Vorster. Ma pan moją zgodę - oświadczyła.

- *Dankie*. - Mężczyzna skinął głową i bez słowa przeprosin czy pożegnania wyszedł z gabinetu.

Lisette wiedziała, że Vorster był zły, iż musi jej - kobiecie - podziękować, a jednocześnie zadowolony ze „zgody” na załatwienie sprawy po swojemu. Milion razy słyszała, jak mówił o vuilege kaffirs. To oni oraz komuniści, którzy przenikają do zakładów pracy i zatruwają umysły jego „chłopcom”, są wszystkiemu winni. Nie była pewna, czy dobrze zrobiła, przekazując sprawy w ręce takiego człowieka. Czy miała jednak inne wyjście? Musieli stłumić zamieszki, zaprowadzić porządek. A Hendryk nie potrafił albo nie chciał się tym zająć. Pozostawał Vorster. Znowu zadrzała.

- Co takiego zrobiłeś? - Justin Groenewald z niedowierzaniem patrzył na Bruce'a Eastmana. Byli w malutkim, jednopokojowym mieszkaniu Justina na ulicy Sto Czterdziestej Trzeciej, w samym sercu Harlemu. - Kiedy?

- Boże, nie pamiętam. Może miesiąc temu. Dlaczego? - Bruce był zdenerwowany; jakimś cudem informacja o jego spotkaniu z Rianne dotarła do kolegi.

- Chrzań się, Eastman. Żarty sobie stroisz?

- To było niewinne spotkanie. Rianne jest zwyczajną dziewczyną. Zjedliśmy razem kolację. Poszliśmy do kina. Nic się nie stało. Z jej strony nic nam nie grozi, przysięgam.

- Jak to nic nam nie grozi? Na miłość boską, przecież należy do rodziny de Zoete'ów! Jest bratanicą Hendryka! - Justin zaciągnął się papierosem. Wściekłym wzrokiem wpatrywał się w zbyt pewnego siebie białego młodzieńca.

- Przepraszam, Justinie. - Bruce westchnął z rezygnacją. - Rozumiem. Od tamtej pory już do niej nie dzwoniłem. Zaufaj mi, więcej się z nią nie spotkam.

- Mam ci zaufać? Jak, do jasnej cholery? Jesteś u nas nowy, Eastman, nie masz pojęcia o sprawie. Przed nami całe miesiące, może nawet lata, zanim... Proszę cię tylko, żebyś w nic się nie mieszał. Czy to aż takie trudne? Nie proś się o kłopot... Na nic nam się nie przydasz, jeżeli zaczną cię podejrzewać. Rozumiesz? - Chłopak zgasił papierosa na podłodze i wstał. Podeszedł do biurka, na którym trzymał starą maszynę do pisania, i podsunął sobie krzesło. - Dobra, zapomnij o tym. Nie zamelduję. A ty nawiązuj kontakty z ludźmi, których ci wskażemy, nie angażuj się w znajomości z innymi. Rozumiesz?

Ależ ja nie jestem zaangażowany! Po prostu zabrałem ją na kolację protestował Bruce.

Więcej tego nie rób! - przykazał Justin. - Jestem gotów zapomnieć, że coś takiego się zdarzyło, i lepiej będzie, jeśli i ty zrobisz to samo. A teraz spadaj, Eastman, mam robotę! - Przysunął krzesło do biurka i odwrócił się do gościa plecami. M Bruce westchnął i podniósł się z okiennego parapetu. Podeszedł do drzwi i zatrzymał się: chwilę uważnie nadśluchiwał, tak jak go uczono. Potem szarpnął za klamkę i wyszedł na korytarz. Nie wszedł do windy, tylko zbiegł po schodach prosto na ulicę. Miał ochotę spojrzeć w górę, sprawdzić, czy Justin go obserwuje, ale się powstrzymał.

Na górze Justin popatrzył za odchodzącym Bruce'em, potem wrócił do biurka. Wkręcił czystą kartkę papieru w starą maszynę do pisania, wystukał datę, tytuł cotygodniowego raportu i szczegółowo opisał wszystko, co Bruce mu powiedział. Nie on decydował, co powinno znaleźć się w raporcie, a co można było pominąć. Tego jednak Bruce Eastman nie wiedział i - jeśli idzie o Justina - wcale nie musiał wiedzieć.

## 26

Pierwszy tydzień Gabby w Oxfordzie był dokładnie taki, jak sobie wymarzyła, a może nawet jeszcze bardziej udany. Początkowo odniosła wrażenie, że czuje się jak w internacie u Świętej Anny. Takie same zwyczaje, podobni ludzie, których poznała pierwszego dnia przy kolacji, przyjacielska atmosfera na korytarzach. Wszystko

wydawało się zaskakująco znajome. Dostała mały, ale bardzo przytulny pokoik w południowym skrzydle college'u i nie musiała go z nikim dzielić. Drzwi wejściowe były nieco skrzywione, a i ściany nie całkiem proste.

- Zapada się. - Mary z pokoju naprzeciwko uśmiechnęła się z satysfakcją, kiedy wpadła pożyczyć trochę cukru. - Od wieków cały budynek się zapada. Zwróć uwagę na główne drzwi. Musimy schylać głowy, żeby wejść do środka. Wcale nie chodzi o okazanie pokory, nie ma w tym żadnych ukrytych intencji. Po prostu ludzie kiedyś byli znacznie niżsi.

Gabby uśmiechnęła się. Polubiła Mary, studentkę ostatniego roku romanistyki. Prawdę mówiąc, polubiła większość nowo poznanych osób. Wszyscy byli bardzo przyjaźnie do siebie nastawieni, wszyscy wszystkich - w tym również Gabby - zapraszali do siebie na kawę. Pobiegła do sklepu i kupiła nieodzowny czajnik, słoiki do przechowywania produktów i kubeczki, żeby również móc częstować gości kawą i herbatą oraz puszczać obiegami paczuszek herbatników. Już niedługo, jak zapewniała Mary, będzie mogła wykorzystywać parapet okienny w charakterze całkiem niezłej lodówki.

- Zimą w pokojach panuje okropny ziąb - oświadczyła ponuro koleżanka. - Na pierwszym roku mieszkasz w akademiku - wyjaśniała Gabby, kiedy razem schodziły na kolację. - Na drugim musisz sobie coś wynająć poza campusem. Ja mieszkałam w Cowley. Boże, co za rudera! Na trzecim roku, przy odrobinie szczęścia, znowu dostajesz pokój w uniwersyteckim akademiku. Ja dostałam. Mam zamiar zdobyć pierwsze miejsce na roku. Chyba uważali, że zasługuję na akademik. - Mary była również bardzo pewna siebie.

Pod koniec tygodnia odbyła się uroczystość przyjęcia nowych studentów. Po raz pierwszy Gabby poczuła prawdziwy smak uczestnictwa w uroczystej paradzie i wyjątkowej ceremonii, jakie towarzyszyły przyjęciu na jeden z najlepszych uniwersytetów w świecie. Przepadła z kretesem w chwili, kiedy drżącymi palcami włożyła na głowę uniwersytecką czapkę z kwadratowym, płaskim denkiem. Wszyscy nowo przyjęci studenci Magdalen College zebrali się we Wspólnej Auli Studentów Pierwszego Roku i próbowali nie okazywać podekscytowania czy zdenerwowania. Mary oraz wielu innych studentów drugiego i trzeciego roku obserwowali pierwszoroczniaków i robili, co mogli, żeby na młodszych kolegów nie patrzeć protekcyjnie. W Oxfordzie dwoma najważniejszymi wydarzeniami roku były uroczystość przyjęcia studentów pierwszego roku i ceremonia wręczania dyplomów ukończenia studiów.

- Dlaczego tamci mają inne togi? - Gabby szeptem zwróciła się do Suzy, jednocześnie mocniej nasuwając na głowę studencką czapkę. Suzy Menzies również miała studiować na wydziale anglistyki.

- W Oxfordzie w zasadzie są trzy grupy studentów. Zwyczajni, tacy jak ja i ty. Mamy krótsze togi. Popisowi, którzy otrzymują niewielkie stypendia, ale nie pamiętam, dlaczego. Trzecią grupą są stypendyści. Przypuszczam, że to studenci...



no wiesz, z ubogich rodzin.

- Właśnie dlatego mają dłuższe togi. Więcej miejsca na chowanie resztek jedzenia ze stołówek - zażartował Dominie Fraser, dołączając do dziewcząt. - Idiotyczne podziały. Przecież tutaj wszyscy jesteśmy studentami, czyli obywatelami niższej kategorii, chociaż niektórzy mają wielkie ambicje.

Gabby roześmiała się serdecznie. Dominie również był studentem anglistyki. Uwielbiała jego poczucie humoru i błyskotliwe komentarze. Chciałaby mieć równie bystry umysł.

- Gotowe? - zapytał, podając ramię obu dziewczynom. Parada, prowadzona przez uniwersyteckich wykładowców w galowych togach i biretach, powoli szła w górę główną ulicą, mijając Bibliotekę im. Bodleiana i ulicą New Cattle Lane zmierzała do Sheldonian, gdzie przyłączali się do niej wszyscy inni studenci pierwszego roku z około trzydziestu college'ów rozsianych po całym mieście. Uczestnicy parady, doceniając powagę ceremonii, kroczyli dostojnie. Nastrój był wyjątkowo podniosły, tylko tacy studenci jak Gabby szeroko otwierali oczy ze zdumienia, nie mogąc uwierzyć, że uczestniczą w tak niezwykłym wydarzeniu. Uroczystość trwała ponad trzy godziny, celebrowana była po łacinie i dlatego mało kto rozumiał jej przebieg. Gabby była zachwycona każdą cudowną sekundą. Zupełnie jak w szkole u Świętej Anny - opowiadała Nathalie przez telefon w następny weekend - tyle tylko, że wszyscy tutaj są bardzo mądrzy.

W takim razie zupełnie inaczej niż u Świętej Anny - roześmiała się Nathalie. A jakich macie tam chłopców?

- Chłopców? Jakich chłopców? - zapytała Gabby odrobinę zbyt nerwowo. Poza Dominikiem z żadnym nie rozmawiała. - Tutaj są prawie same dziewczęta, szczególnie w moim otoczeniu. Przecież mieszkam w żeńskim akademiku. Zapomniałaś, głuptasie?

- Aha. No, dobrze, pogadamy o tym później. Miałaś jakieś wieści od Rianne?

- Od zeszłego tygodnia się nie odezwała. Chyba jest w Nowym Jorku.

- Ona to ma cudowne życie. Lata po całym świecie, codziennie fryzjer układa jej włosy, kosmetyczka robi makijaż, a ona tylko stoi i uśmiecha się do kamery - powiedziała Nathalie z zazdrością.

- Oj, nie wydaje mi się, że to tylko na tym polega - sprzeciwiła się Gabby. - Kiedy pomyślę, jak bardzo musi się starać, żeby zachować szczupłą sylwetkę i w ogóle... Ja bym nie wytrzymała.

- Pewnie, że ty byś nie wytrzymała - roześmiała się Nathalie. - A propos...?

Wiem, wiem. Zaczynam od poniedziałku - skrzywiła się Gabby. Kiedy ostatnio widziała się z Nathalie, cały wieczór wyjaśniała przyjaciółce, dlaczego znowu zaczęła przybierać na wadze. Po ciężkiej batalii w internacie u Świętej Anny, uwieńczonej utratą prawie trzynastu kilogramów, w miesiąc z powrotem przytyła ponad sześć.

- Naprawdę? Musisz wziąć się za siebie. Za miesiąc przyjadę cię odwiedzić, więc lepiej od razu zacznij się odchudzać.

- Obiecuję. A co u ciebie? - Gabby za wszelką cenę chciała zmienić temat. - Co nowego? - Od poniedziałku przejdzie na dietę. Do tego czasu może do woli cieszyć się zakazanymi owocami. Oczami wyobraźni już widziała batonik Marsa.

- U mnie? - Nathalie westchnęła. - A ile masz czasu?

- Charmaine! - wrzasnął Baz z sypialni. - Gdzie jest ta pieprzona zapalniczka?! Nie wiem. Nie ma jej na łóżku? - odpowiedziała dziewczyna. Szczotkowała zęby w łazience.

Gdyby była, tobym nie pytał. Jasne? - Odrzucił kołdrę i sprawdził pod poduszkami. - Gdzie ją, do cholery, zostawiłaś?!

- Nawet jej nie widziałam! - oburzyła się Charmaine. Wypłukała usta i wypluła wodę. Doprawdy, ostatnio Baz o byle co się wkurzał.

- Gdzie ta cholerna zapalniczka?! - krzyknął jeszcze głośniej.

- Zamknij się, dobra?! - wrzasnął Richard z sąsiedniego pokoju. - Niektórzy rano wstają, pamiętasz? Są ludzie, którzy muszą zarabiać na życie.

Charmaine westchnęła. Baz stawał się nie do zniesienia. Od czasu, kiedy wprowadzili się na Windus Road, narkotyzował się coraz bardziej. Teraz brał ponad dwa razy więcej niż na początku. Martwiła się o niego, Richard również był zaniepokojony. Tylko Baz nic sobie z tego nie robił. Po prostu zapalał następnego skręta i rozpierał się wygodnie. Ostatnio robił to coraz częściej - szczególnie kiedy uprawiali seks. Charmaine nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz dostatecznie mocno się podniecił, żeby się z nią naprawdę kochać.

Miała nadzieję, że po wyjeździe do Los Angeles wszystko jakoś się ułoży. W końcu zmusiła go do zrobienia rezerwacji. Jeszcze miesiąc i zamienią smutny, posępny Londyn na jasne słońce południowej Kalifornii. Już nie mogła doczekać się wyjazdu.

- Char! - wrzasnął Baz.

- Już idę. Mów ciszej, Richard chce spać! - syknęła. Zgasiła światło w łazience i weszła do sypialni. Leżał rozparty na poduszkach – wziął wszystkie cztery. Pod bokserkami widać było członek w wzwodzie. Charmaine doskonale wiedziała, o co mu chodzi.

- Jakie masz plany na Boże Narodzenie? - zapytała Rianne Gabby podczas rozmowy telefonicznej. Właśnie wróciła do Nowego Jorku po tygodniowej sesji zdjęciowej w Tajlandii dla magazynu „Elle”. Na Wschodnim Wybrzeżu było sucho i zimno, co stanowiło miłą odmianę po wilgotnym klimacie rejonu Morza Andamańskiego. Ku niezadowoleniu Ross podczas pobytu w Azji opaliła się na złoty brąz.

Pracuję - powiedziała Gabby, krzywiąc się. - Pojadę do babci tylko na trzy dni, a poza tym nalewam piwo z beczki u Lisa i Nagonki.

- U Lisa i Nagonki?

- To miejscowy pub. Jest tuż za rogiem. Będę pracowała na wieczorną zmianę. Zarobki kiepskie, ale podobno przychodzi tam wielu Amerykanów, a oni zawsze

zostawiają napiwki. Będzie fajnie. Mary i Dom tam pracują.

- Naprawdę? - Rianne nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić pracę w pubie. Poczła się winna. Pewnie w godzinę zarabiała więcej niż przyjaciółka przez całe ferie. Ale jednocześnie jej zazdrościła. Gabby wydawała się bardzo szczęśliwa w Oxfordzie. Otoczona mądrymi, ciekawymi ludźmi, czuła się jak ryba w wodzie. Znalazła się w odpowiednim dla siebie towarzystwie. Była - jak by powiedziała matka Rianne: *bien dans sa peau* - z przyjaciółmi z Magdalen College i w samym centrum studenckiego życia.

- Będzie fajnie. To jakby w ogóle nie praca. Szczególnie że Mary i Dom też tam będą. Rianne, musisz poznać Mary, na pewno ją polubisz. Jest taka zabawna i błyskotliwa. - Rianne nie znała żadnej z nowych koleżanek: ani Suzy, ani Mary, ani Dominica, mimo to poczuła w sercu ukłucie. Wróciło dawne poczucie niepewności. Czy Gabby także się od niej odsuwa? Nagle uświadomiła sobie, że tęskni za starą koleżanką. W Nowym Jorku czuła się bardzo samotna.

- A może wybierzesz się tutaj na święta? - zaproponowała, kierowana impulsem.

- Bardzo bym chciała - roześmiała się Gabby. - Przecież nie mogę, głuptasie. Pracuję, nie pamiętasz?

- No tak. A gdybym ci zafundowała bilet na samolot? W ramach gwiazdkowego prezentu? I tak nie mogę. Kto wzięłby moją zmianę w pubie? A może ty przylecisz tutaj? Możesz zatrzymać się w moim pokoju i przychodzić do pubu popatrzeć, jak pracuję. Zgódź się, będzie fajnie! Ferie zaczynają się w przyszłym tygodniu, mogłabyś przylecieć w następny poniedziałek i zostać do mojego wyjazdu do Herefordu. Czemu nie? Może uda się namówić Nathalie, żeby również przyjechała. Charmaine już nie będzie, ale we trzy cudownie spędzimy czas. Powiedz, że przylecisz. Bardzo proszę!

- OK. Dobra - zgodziła się podekscytowana Rianne. Ciągle jeszcze nie potrafiła się uspokoić po niedawnym spotkaniu z Ree Modise'em i miała ochotę... Na co? Opowiedzieć o tym Gabby? Sama nie była pewna. Wiedziała tylko, że na jego widok coś w niej drgnęło. Nie mogła zapomnieć jego twarzy. - Jutro wieczorem jest kolacja, na której muszę być. Wiesz, takie tam uroczyste podpisanie kontraktu z firmą Lovell. Coś jeszcze mam w weekend. Wylecę w niedzielę wieczorem, w Londynie będę w poniedziałek i od razu pojedę do Oxfordu.

- To jesteśmy umówione - skwitowała uszczęśliwiona Gabby.

Nathalie wprost drżała z radości. Cieszyła się odwiedzinami u Gabby, a jeszcze bardziej spotkaniem z Rianne. W dalszym ciągu jak niewolnica pracowała w TopGirl i nienawidziła każdej minuty spędzonej w sklepie. Nawet dwudziestopięcioprocentowa zniżka na ubrania zakupione w sklepie nie rekompensowała straszliwie nudnej pracy. Ostatnio awansowała na ekspedientkę w dziale z bielizną, co tak naprawdę oznaczało kręcenie się po tym sektorze sklepu i uważanie, czy ktoś nie wsuwa za koszulę pary majtek albo nie idzie do

przymierzalni z więcej niż trzema sztukami odzieży. Nawet nie przypuszczała, że wałęsanie się przez cały dzień po sklepie może być tak bardzo męczące. O szóstej, po sprawdzeniu torby przez miłego ochroniarza, wychodziła zupełnie wykończona i wsiadała do autobusu numer piętnaście. Zdarzało się, że zasypiała, a ponieważ końcowy przystanek tej linii był dopiero przy Kensal Rise, raczej późno docierała do domu.

- Co mam zabrać z ubrania? - pytała koleżankę przez telefon.

- Jak to? Nie rozumiem - zdziwiła się Gabby.

- No wiesz, może pójdziemy gdzieś na kolację do eleganckiej restauracji?

Chyba żartujesz. Jestem studentką, Nat. Nie mam pieniędzy! - Gabby potrząsnęła głową. Wcześniej o tym nie pomyślała, dopiero teraz uświadomiła sobie, że spośród ich czterech tylko ona musi zarabiać na życie. Nathalie wprowadziła pracowała w jakimś sklepie z konfekcją, ale nie robiła tego dla kasy. Planowała zostać kobietą interesu - jeszcze dokładnie nie wiedziała, czym konkretnie się zajmie - i w pracy chciała po prostu zdobyć doświadczenie. Marne pieniądze, jakie tam zarabiała, starczały zapewne na pokrycie kosztów dojazdu do pracy i wzbogacenie garderoby o ciuchy z TopGirl.

- Mimo to musisz jadać - zauważyła Nathalie.

- Jasne. Ale nie w eleganckich restauracjach!

- Zaprosimy cię. To będzie nasz gwiazdkowy prezent dla ciebie. - Gabby wybuchnęła śmiechem. Bilet na samolot do Nowego Jorku, wykwinna kolacja... Nie można zaprzeczyć, koleżanki miały fantazję!

- Dobra, wygrałaś - zgodziła się Gabby. - Pomyślę, gdzie mogłybyśmy się wybrać, kiedy przyjedziecie. A teraz wracam do książek. Jutro rano mamy seminarium, muszę się przygotować. Zatem widzimy się w przyszłym tygodniu?

- Do zobaczenia. Już nie mogę się doczekać! - Nathalie odłożyła słuchawkę.

Limuzyna dyskretnie - jeżeli jest to w ogóle możliwe w przypadku śnieżnobiałego i długiego wielometrowego samochodu - czekała tuż przed frontowym wejściem na Mulberry Place. Elise co pięć minut rozsuwała żaluzje i wyglądała przez okno. Na widok schodzącej po schodach Rianne najpierw krzyknęła z zachwytem, potem głośno wciągnęła powietrze.

Ay, que bella! - sapnęła, kiedy dziewczyna po raz ostatni przeglądała się w lustrze. Jechała na przyjęcie organizowane przez firmę Lovell z okazji świąt Bożego Narodzenia i podpisania z Rianne kontraktu, co, zdaniem Ross, było znacznie ważniejszym powodem do świętowania. Całe popołudnie spędziła w jednym z luksusowych salonów piękności na Szóstej Alei. Ross i Gina nalegały, żeby przed przyjęciem zafundowała sobie odświeżającą sesję. Została tam wymasowana, nawilżona, odświeżona i wypielęgowana do perfekcji. Potem szybko wróciła do domu. Czasu było niewiele, limuzyna miała przyjechać za godzinę. Prawdę mówiąc, wcale nie potrzebowała go więcej. Włożyła białą jedwabną suknię, którą Gina zgarnęła z wieszaka u Diora, na ramiona zarzuciła białą kaszmirową etolę obszytą

szarym futerkiem, na nogi wsunęła błyszczące sandały i wyglądała bosko. Elise gapiała się na nią oniemiała, a Rianne po raz ostatni zacisnęła wargi i poszła w kierunku drzwi.

Szofer w odświętnym, czarnym uniformie gwizdnął pod nosem, kiedy pojawiła się na schodach. Otworzył drzwi auta i z szacunkiem pomógł jej wsiąść. Przyćmione szyby zasunęły się płynnie i bezszelestnie, limuzyna powoli ruszyła. Wewnątrz samochód przypominał bardziej niewielki pokój niż pojazd. Na stoliku czekał na nią kieliszek szampana i czerwona róża. Podniosła kwiat i otworzyła załączony mały, biały liścik.

„Sięgniesz nieba. Gratulacje, skatjie. Ross”. Rianne uśmiechnęła się do siebie. Całkiem nieźle jak na kogoś, kto jeszcze pół roku temu musiał prosić o pozwolenie na wyjście do herbaciarni Serendipity. Wypiła łyk szampana i spojrzała na zegarek. Była dziesiąta. Przyjęcie zapowiadało się wspaniale.

Limuzyna zatrzymała się przed restauracją na Szóstej Alei. Szofer wyskoczył z samochodu. Otworzył drzwi przed Rianne, dziewczyna wysiadła. Popatrzyła w górę i w dół ulicy. Nic nie może się równać z obchodami świąt Bożego Narodzenia w Nowym Jorku. Drzewa na ulicach w centrum miasta mieniły się blaskiem tysięcy choinkowych lampek, nad głowami błyszczały sznury rozpiętych między budynkami ozdobnych dekoracji świątecznych: na jednej ulicy całe rzędy migających złotych i żółtych pięcioramiennych gwiazd, na drugiej setki miniaturowych srebrzystych Mikołajów, na jeszcze innej ogromne wieńce z ostrokrzewu, migające szyszki i czerwone żarówki.

Świat wyglądał bajkowo. Właśnie przestało padać. Niespodziewanie nie wiadomo skąd pojawił się śnieg i sypał przez pół godziny. Cienka warstwa świeżego, białego puchu pokryła miasto. Mimo przetaczających się tłumów ulice zdawały się czyste, dziewicze, nietknięte ludzką stopą. Samochody powoli przeciskały się jezdnią. Sklepy jeszcze były otwarte, wokół kręciły się setki ludzi. Przechodnie obrzucali Rianne zaciekawionym spojrzeniem. Otuliła się szczerzej etolą i zniknęła za ogromnymi stalowymi drzwiami. Wewnątrz przyjęcie trwało już w najlepsze. Dziesiątki elegancko ubranych osób z kieliszkami szampana w ręku spacerowały po sali, witając i pozdrawiając znajomych. Firma Lovell wynajęła całą restaurację. Na przyjęcie zaproszono pracowników oraz starannie wybrane grono najlepszych modelek, modeli oraz przedstawicieli agencji i świata mody. Rianne ze zdumieniem ujrzała wszędzie swoje zdjęcia: na ścianach delikatnie falowały olbrzymie czarno-białe jedwabne ekrany z nadrukowaną fotografią jej twarzy. Była gościem honorowym. Kiedy schodziła po schodach, zmierzając w kierunku radośnie się do niej uśmiechających Ross i Giny, tłum zaczął bić brawo. Zarumieniła się z zażenowania. Cudem nie potknęła się na żadnym stopniu. W sali na dole powitały ją pocałunki i gratulacje. Dean Prescott, dyrektor do spraw marketingu firmy Lovell, ujął nową twarz korporacji pod rękę i poprowadził w kierunku innych osobistości.

Poznała Martine Turner, dyrektora do spraw handlu zagranicznego, Sylvie Hammond, zajmującą się kontaktami ze środkami masowego przekazu, Nicole, Jose, Stefana... nie była w stanie zapamiętać wszystkich nazwisk i twarzy osób przedstawianych jej podczas wędrowki po sali. Wszyscy chcieli poznać Rianne, wszyscy chcieli zrobić sobie z nią zdjęcie, flesze błyskały nieprzerwanie. Była odkryciem firmy Lovell, głównym atutem planowanej kampanii reklamowej. Ross przekonała kontrahentów, że Rianne to dziewczyna nie tylko piękna, pełna wdzięku i elegancji, ale również legitymuje się pochodzeniem, za jakie wielu przedstawicieli najwyższego kierownictwa firmy dałoby sobie obciąć prawą rękę. Jest bogata, uprzywilejowana i przeżyła osobistą tragedię. Już na pierwszym spotkaniu w Lovell z mocą podkreśliła, że rodzina de Zoete'ów jest dla Republiki Południowej Afryki tym, czym ród Kennedych dla Amerykanów. Byli pod wrażeniem. Kiedy teraz obserwowali, z jakim wdziękiem przechodzi od grupy do grupy, musieli przyznać, że miała klasę.

- Takiej modelki jeszcze nie było - szepnął Dean Prescott do Martine Turner.

Pochodzi z dobrej rodziny... to widać, prawda?

Ross usłyszała uwagę dyrektora i zarumieniła się z zadowolenia. Jak napisała w liściku gratulacyjnym do Rianne, to był dopiero początek jej kariery. Protegowana czuła się w tłumie jak zawodowa modelka, ale Ross postanowiła porozmawiać z nią zaraz po przyjęciu. Debiutująca w świecie mody Rianne od razu wspięła się niemal na sam szczyt. Teraz trzeba zadbać o to, żeby się tam utrzymała.

Cały tydzień upłynął pod znakiem kontaktów z prasą. Rianne doskonale radziła sobie z dziennikarzami, chociaż z każdym dniem coraz bardziej widać było po niej zmęczenie odpowiadaniem po pięćdziesiąt razy dziennie na te same idiotyczne pytania.

- W tej branży wszystko się zmienia - powiedziała Ross, sięgając po papierosa po wspólnej kolacji. Podczas przygotowań i uroczystości związanych z podpisaniem kontraktu nie miała czasu szczegółowo omówić z Rianne strategii przyjętej przez agencję ani wyjaśnić, jakiego rodzaju kontrakt jej podopieczna właśnie podpisała. Panna de Zoete miała zostać twarzą kampanii reklamowej nowej, wiosennej kolekcji firmy Lovell, z możliwością przedłużenia umowy na następny sezon.

Estelle Lovell z zarządu firmy powiedziała o Rianne coś, co zwróciło szczególną uwagę Ross.

- Zabawne, ona wcale nie wygląda na typową przedstawicielkę białych kobiet z klasy średniej z anglosaskim pochodzeniem. Zauważyłaś? Estelle przeglądała zdjęcia Rianne. - Jest biała i w ogóle, ale w zasadzie mogłaby być kimkolwiek: Hiszpanką, Włoszką. Brazylijką. Ma ciemniejszą karnację i bardziej ognisty temperament, niż się to może wydawać. Te cechy wyraźniej widać, kiedy się ją pozna. Dla nas to dobrze. Nie jest kolorowa, ale nie jest również śnieżnobiała. To nie druga Christie Brinkley. Trafi do znacznie szerszego grona odbiorców. - Ross z uznaniem pokiwała głową. Jak zwykle Estelle uchwyciła istotę sprawy...

Rianne podniosła głowę znad filiżanki kawy. Zjadła porcję makaronu z suszonymi pomidorami z odrobiną oliwy z oliwek. Nadal była głodna. O czym, u licha, mówi Ross? Miała dość pogaduszek, aprobujących i ganiących spojrzeń, zamieszania z układaniem włosów i robieniem make-upu. Ross zaczynała przypominać Lisette, była tylko trochę niższa i bardziej pulchna.

- Co masz na myśli? - Dziewczyna zmarszczyła brwi. - Co się zmienia?

- Modelki wkraczają teraz w świat z własnym... bagażem. Publiczność nie chce cię wyłącznie oglądać, ludzie pragną również cię poznać.

- I co z tego?

- Co z tego? Bardzo wiele. Kiedyś modelki były po prostu modelkami. Miały ładnie wyglądać, z wdziękiem poruszać się na wybiegu, prezentować stroje, makijaż czy cokolwiek innego. Dzisiaj wszyscy chcą wiedzieć, kim jesteś, skąd pochodzisz, co sobą reprezentujesz, co myślisz. Już nie wystarczy sama uroda.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - dociekała odrobinę zniecierpliwiona Rianne. Ross nigdy niczego nie mówiła wprost.

- Chcę ci powiedzieć, jak to uroczo ujęłaś, że media zaczną się tobą bardzo interesować. Dziennikarze będą chcieli poznać szczegóły z twojego życia, dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś.

- I co z tego? - powtórzyła Rianne.

- Ludzie zaczną wścibiać nos w twoje prywatne sprawy, szczególnie dziennikarze. Nie muszę ci chyba mówić, jakie znaczenie będzie dla nich miało twoje pochodzenie.

- Nadal nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. - Rianne niecierpliwiła się coraz bardziej.

- Rzecz w tym - zaczęła Ross najdelikatniej, jak umiała. Przecież sama również pochodziła z Republiki Południowej Afryki. Pamiętała, jak bardzo przykre zarzuty musiała odpierać, kiedy rozpoczynała działalność agencji Face! - Jesteś z RPA, pochodzisz z bogatej rodziny, media będą na twój temat publikować niestworzone historie. Zaczną plotkować o twoich bliskich, pisać o tragedii, którą przeżyłaś, mówić o społeczno-ekonomicznej pozycji rodziny w Afryce... może nawet o twoich poglądach politycznych. Będą pojawiały się przeróżne opowieści, niektóre bliskie prawdy, inne zupełnie absurdalne. Agencja pomoże ci nie tylko zdobyć korzystne kontrakty i zarobić przyzwoite pieniądze. Jesteśmy z tobą również po to, żeby pomóc ci we wszystkich innych trudnych sytuacjach. Obiecałam twojej ciotce, że zaopiekuję się tobą i tak właśnie mam zamiar zrobić. Ale ty musisz nam w tym pomóc.

- Nie jestem pewna, czy dobrze cię zrozumiałam. Co kogo mogą obchodzić moje poglądy na jakiś tam temat?

- Publiczność chce to wiedzieć. I to pomaga w karierze. Spójrz na Morę, Diandrę, Tiffany. Są rozchwytywane. Zabiegają o nie czołowe magazyny: „Vogue”, „Elle”,

„Marie Claire”. Teraz są w tej branży najlepsze. I wcale nie dzięki urodzie. Są interesujące, mają własne życie, chodzą na przyjęcia, do klubów, umawiają się ze sławnymi mężczyznami. Emanują czarem i dlatego wszyscy starają się je zdobyć dla siebie. Tak samo będzie z tobą, a ja chcę mieć pewność, że sobie z tym poradzisz. Rianne, czasami może być naprawdę okropnie, ty jednak miałaś szczęście, trafiłaś do nas. Ogromna większość dziewcząt nigdy nie osiąga nawet połowy twojego dotychczasowego sukcesu. Proporcje są jak jeden do stu; na każdy sukces przypada sto porażek.

- Nadal nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego ze mną - przerwała Rianne.

- Jestem w Nowym Jorku. Obiecałaś cioci Lisette, że się mną zaopiekujesz. W porządku. Jeżeli w pewnej chwili dojdę do wniosku, że dłużej nie chcę być modelką, rzucę to. Proste?! Robisz wiele hałasu o nic.

- Kobieta westchnęła. Rianne potrafiła być trudna. Pozwól więc, że powiem ci wprost. - Ross bębniła palcami w blat stolika. - Żadnych zarwanych nocy, zapominania o umówionych spotkaniach, żadnych humorów, napadów złości, alkoholu, narkotyków, skandali. Podpisaliśmy bardzo poważny kontrakt i mam zamiar dotrzymać warunków umowy. A to oznacza reklamowanie produktów Lovella dwadzieścia cztery godziny na dobę. Masz się nie spóźniać, być grzeczna, zachowywać się profesjonalnie. Wyrażam się jasno?

Rianne skinęła głową. W końcu Ross powiedziała, o co jej naprawdę chodzi. Nie musiała się martwić. Jediną słabością dziewczyny były papierosy i od czasu do czasu kieliszek wina. Nie miała zamiaru nagle oszaleć. Ross jednego nie rozumiała: Rianne całe życie była bogata. Cieszyła się z kontraktu z firmą Lovell, nie podpisała go jednak dla zysku. Prawdę mówiąc, właściwie nawet nie wiedziała, po co to zrobiła.

## 27

Charmaine zaklęła pod nosem. LAX okazało się najbrzydszym, najpaskudniejszym lotniskiem, jakie widziała. Takie było jej pierwsze wrażenie po trzynastogodzinnym locie. Wyglądało, jakby jeszcze trwały tu prace budowlane, wszędzie widziała obrzydliwe płoty i ogrodzenia. Sprawiało okropne wrażenie! Sala przylotów była niewiele większa od przenośnej przebieralni! Wylecieli z Londynu o dziesiątej rano, ale ze względu na różnicę czasu w Los Angeles wylądowali o drugiej po południu.

Rozejrzała się za Bazem. Zbliżał się do niej chwiejnym krokiem. Od wylotu z Heathrow nieustannie pił, teraz, z powrotem na ziemi, wyglądał koszmarnie.

- Gdzie nasz bagaż? - zapytała. Nie było monitorów, znaków informacyjnych, pracowników służby naziemnej, dosłownie nic.

- Diabli wiedzą - odparł. Musiał zapalić. Lot był bezpośredni, bez międzylądowania, a pracownik biura podróży sprzedał im miejsca dla niepalących. Za każdym razem,



kiedy chciał zapalić, musiał wstawać i przechodzić na tył samolotu. Teraz miał ochotę na coś więcej niż zwyczajny papieros, ale nawet jemu zabrakło odwagi sięgnąć po skręta. Żywił nadzieję, że Touch czeka na zewnątrz. Jeżeli tylko w końcu uda się opuścić lotnisko.

Popatrz... chyba tam jadą nasze bagaże... Widzisz? - Charmaine wskazała poruszającą się prowizoryczną taśmę do przesuwania ładunku. Rozpoznała twarze kilku osób z samolotu. Baz wzruszył ramionami. To ona była Panią Głównodowodzącą. Niech się zajmie bagażem. Może w toalecie mógłby potajemnie zapalić skręta?

Pół godziny później, po przeprawie z Urzędem Imigracyjnym i kontrolą paszportową mogli wreszcie wyjść na oślepiające kalifornijskie słońce.

- Jaki jest cel pani wizyty w Stanach Zjednoczonych? - zapytał Charmaine urzędnik z wąsami, sceptycznie przyglądając się fotografii w jej paszporcie. Zdjęcie zrobiono, kiedy miała dwanaście lat.

No... jesteśmy na wakacjach - odrzekła niepewnie. Właściwie nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Jak długo zamierza pani u nas zabawić?

- No... dwa miesiące? Nie jestem pewna. Mój chłopak jest piosenkarzem. - Urzędnik spojrzał na biust dziewczyny, chrząknął i pozwolił jej przejść. Miała na sobie biały podkoszulek z głębokim dekoltem i z dużym napisem: ODPREŻ SIĘ z przodu i NIE RÓB TEGO z tyłu. Ostatnim krzykiem mody w tym roku były podkoszulki inspirowane filmem Frankie jedzie do Hollywood. Charmaine chwyciła paszport i poszła szukać Baza.

Jak zwykle wyszedł z kolejki i udał się do toalety sprawdzić, czy będzie mógł zapalić skręta, ale źle zrozumiał tablice informacyjne. Uznał, że kolejka do okienka z napisem „Cudzoziemcy” w żadnym wypadku nie jest dla niego. Pół godziny później, kiedy już odesłano go z kwitkiem od stanowiska „Tylko dla obywateli USA”, dotarł do właściwego okienka. Młoda funkcjonariuszka hiszpańskiego pochodzenia, która sprawdzała dokumenty, była oczarowana akcentem chłopaka i szybko go przepuściła.

- Jest podobny do Davida Bowiego! - szepnęła do koleżanki. Baz fuknął. W ogóle nie był do niego podobny.

- Hej! Baz! Hej! Tutaj! - Odwrócili się oboje. Przed nimi stał człowiek, który krzyczał.

- Cześć, Touch! - Baz rzucił walizkę na stopy Charmaine. Podeszedł do niższego, starszego mężczyzny - Boże drogi, znacznie starszego - pomyślała Charmaine. Objął go i uścisnął.

Jak się masz? Fantastycznie, że jesteś, chłopie. Co to za panienka? - Touch obejmował Baza, pożądliwie łyptał na Charmaine i uśmiechał się, pokazując braki w uzębieniu.

Dziewczyna gapiła się na nowego znajomego. Miał przynajmniej pięćdziesiątkę...

Był niski, żyłasty, nieogolony i odrażająco się uśmiechał. W wielu miejscach w jego ustach widniały puste zębodoły. Zrobiło się jej niedobrze.

A, ona? To Charmaine. Możesz nazywać ją Char - wyjaśnił Baz. Nagle wydawał się bardzo podniecony, przeskakiwał z nogi na nogę, palcami bębnił w zegarek.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Co się z nim działo? - Ej Touch. Przyjechałeś samochodem? - zapytał.

- Tak, jasne. Stoi na parkingu. Masz wszystko? - Odniosła wrażenie, że słowo „wszystko” zostało powiedziane z naciskiem, jakby miało szczególne znaczenie.

- Chodźmy - powiedział Baz, jednocześnie twierdząco kiwając głową. - Ruszmy się stąd. - Pstryknął palcami na Charmaine, która ciągle gapiła się na Toucha. - Chodź, Char, rusz się. Zabierajmy te walizki do samochodu. - Wziął dwie lżejsze,

Charmaine i Touch musieli się zająć najcięższą. Już po raz nie wiem który, odkąd wyjechali ze Stoke Newington, dziewczyna zastanawiała się, po co Bazowi taka wielka waliza. Przecież nawet nie miał tylu ubrań. Prawdę mówiąc - niewiele. Poza

tym walizki były niezwykle ciężkie. - Mam w nich swoje płyty - wyjaśnił w Londynie. - Muszę je zabrać. - Podniosła oczy do nieba. Po kiego licha mu płyty?

Myślała, że w Los Angeles będzie tworzył i grał, a nie słuchał muzyki.

Dziesięć minut później, kiedy walizki zostały załadowane na tył olbrzymiego, brzydkiego, parkoczącego samochodu Toucha - To jest Pacer, kochanie, najlepszy wóz, jaki kiedykolwiek wypuścił na rynek koncern Forda! - z rykiem silnika

wyjechali z parkingu i skierowali się na drogę nr 405. Patrząc na rozpościerające się przed nią miasto, Charmaine zapomniała o wcześniejszym rozczarowaniu Los

Angeles. Baz wydawał się spokojniejszy. Kiedy wjechali na Century Boulevard, wydał okrzyk radości, odwrócił się z przedniego siedzenia, chwycił dłońmi jej głowę

i mocno pocałował w usta. Zarumieniła się. Już dawno nie zrobił nic tak miłego.

- Mam dla was niewielkie mieszkanie w Redondo! - Touch przekrzykiwał warkot silnika.

- Gdzie to jest? - zapytała Charmaine. - Myślałam, że jedziemy do Tysiąca Dębów.

- Nie, skarbie, tam ja mieszkam. W Redondo jest znacznie ładniej. Leży przy plaży. To zespół budynków mieszkalnych. Mieszkanie należy do jednego z moich przyjaciół.

Wyjechał na dwa miesiące. Bardzo się wam tam spodoba. Szkoda, że mamy zimę, moglibyście od świtu do nocy chodzić prawie na golasa. Cudownie,

nie? - roześmiał się głośno.

Obrzydliwy staruch. Charmaine patrzyła przez okno. Los Angeles było ogromnym miastem, rozciągało się na wszystkie strony po kres horyzontu. Budynki nie były

wysokie, w większości parterowe. Całe tysiące małych, podobnych do pudełek domków, przeważnie białych ze starannie przystrzyżonymi trawnikami od frontu.

Drogi były ogromne, szerokie jezdnie odpowiednie dla wielkich przestronnych samochodów. Uśmiechnęła się. To jest Ameryka! Wszystko tu okazywało się

większe, jaśniejsze, lepsze. Szkoda, że koleżanki z Anglii tego nie widzą -

pomyślała. Szukała w torebce okularów słonecznych Ray - Bana, którą na pożegnanie dostała w prezencie od matki.

- Mamo, wyjeżdżam tylko na dwa miesiące! - przekonywała ją w przeddzień wyjazdu. - Przecież nie przenoszę się tam na stałe. Daj spokój! Uśmiechnij się. Można by pomyśleć, że nigdy nie mieszkałam poza domem! - Mary jednak rozplakała się jeszcze bardziej. Charmaine nie mogła zrozumieć jej reakcji. Przecież większość życia spędziła poza domem. Znalazła okulary: świetne, czarne, podróżne, jakie Tqhi Cruise nosił w filmie Ryzykowny interes, i wsunęła na nos.

Touch przygotowywał się do zjazdu z autostrady. Charmaine czytała nazwy: „Plaża Redondo”, „Plaża Manhattan”, „Plaża Hermosa”. Wszystkie brzmiały wspaniale. Jechali do ich własnego mieszkania, jak to się nazywało?... Zespół budynków mieszkalnych przy plaży. Będą mogli wieczorem podziwiać z okien salonu, jak słońce zanurza się w falach, wcześniej wstawać, żeby rano popływać, godzinami spacerować po białym piasku. Nagle poczuła, że kocha Baza jeszcze bardziej. Był fantastyczny - najwspanialszy facet na świecie. Co prawda Touch to obrzydliwy staruch, ale pozostali znajomi Baza na pewno będą fajni. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znajdą się w „domu”. Napiją się zimnego piwa i zapalą fajkę szczęścia.

- No, rzeczywiście, nie leży dosłownie przy plaży, ale dość blisko. I jest basen. Mnie się podoba. Musicie obejrzeć mieszkanie. - Charmaine niepewnie rozglądała się po kompleksie budynków mieszkalnych. Na wielkiej tablicy widniał adres: Camino Village Apartments. 10921 Camino Real, Plaża Redondo, Kalifornia 92045. Wysiadła z samochodu i podążyła za Bazem. Pomyślała, że na tym niewielkim kawałku gruntu, oddalonym od plaży, stłoczono ponad trzysta mieszkań.

Wnieśli walizki po schodach, dozorca otworzył drzwi do holu. Touch powiedział mu, że ma klucze do mieszkania numer 226, mężczyzna odsunął się od wejścia. Charmaine rozglądała się ciekawie. Było czysto, w holu stały donice z roślinami, zauważyła też stanowisko recepcji. Czyżby trafili do hotelu? Szli dalej przez krajobrazowy ogród i wtedy zobaczyła, że wśród zieleni rzeczywiście turkusowo błyszcząca tafla wody w całkiem przyzwoitej wielkości basenie. Wokół soczystą zielenią pyszniły się drzewa i duże krzewy, trawniki starannie przystrzyżono. Wyglądało nieźle. Prawdę mówiąc, nawet bardzo dobrze, jeśli zapomniało się, że kompleks jest położony dwa kilometry od plaży. Touch zatrzymał się przed drzwiami mieszkania na parterze, chwilę pogmerał kluczami przy zamku i otworzył drzwi. Charmaine zostawiła walizkę na progu i weszła do środka. W mieszkaniu w ogóle nie było mebli.

- Na czym będziemy spali? - szepnęła do Baza, kiedy przechodzili z pokoju do pokoju.

- Nie martw się - powiedział Touch z tyłu. - Jeszcze dzisiaj wieczorem przywiozę tu materac i kilka rzeczy. Urządzimy was w mgnieniu oka, skarbie, sama zobaczysz. A

teraz, wybacz nam na chwilę. Mamy z twoim chłopakiem pewne sprawy do załatwienia.

- Ale - zaczęła Charmaine i zdezorientowana spojrzała na Baza. Zastanawiała się, jakie sprawy mogą mieć do załatwienia i dlaczego ona ma być z nich wyłączona.

- Char, daj nam minutę, dobra? - przerwał zirytowany Baz. Razem z Touchem przeciągnęli ciężką walizę ze środka salonu do jednej z sypialni i zamknęli za sobą drzwi.

Dziewczyna usłyszała zgrzyt rozsuwanych suwaków, potem cichy, długi gwizd Toucha. Co, u licha, tam się działo? Na palcach, po cichu podeszła do zamkniętych drzwi. Panowała za nimi cisza. Spojrzała przez dziurkę od klucza. To był wielki błąd. Drzwi gwałtownie się otworzyły i Charmaine dosłownie wpadła do środka. Kątem oka zobaczyła wyraz twarzy Baza. Był zaskoczony i ział złością. Z otwartej walizki wysypywały się wypchane plastikowe torby ze znakiem firmowym i nazwą dużego sklepu: Sainsbury. Wśród nich leżało kilka płaskich, brązowych pakunków owiniętych taśmą maskującą. Narkotyki.

Nie mogła uwierzyć, że nie domyśliła się, o co chodziło. Zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju. Zatrzymała się tylko na chwilę, aby wsunąć na nogi klapki, i z impetem otworzyła frontowe drzwi. Głupia! Głupia! Słyszała, że Baz za nią biegnie. Gdzie jest basen? Bez trudu ją dogonił, chwycił za ramię i niemal uniósł w górę.

- Char, wracaj do środka. Natychmiast!

- Och... och! Baz, to boli. O Jezu! - zaczęła płakać.

- Cicho! Zamknij się, słyszysz?! Ludzie cię usłyszą. Wracaj do środka! No chodź, wracamy! - Mocno trzymał ją za ramię i ciągnął do mieszkania.

W drzwiach wejściowych stał zdenerwowany Touch.

- Słuchaj, chłopie, muszę uciekać. Zajmij się nią. Zadzwoń do mnie później. W porządku?

Nie ma sprawy - odparł Baz, ciągnąc dziewczynę w kierunku drugiej sypialni. Daj mi ze dwie godzinki. Przepraszam cię za to.

- Spoko, stary. Rób, co trzeba. Widzimy się później. - Touch zniknął.

- Char... - zaczął Baz, spoglądając na płaczącą dziewczynę. Rękę miała zaczerwienioną w miejscu, gdzie ją trzymał.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - łkała Charmaine, rozcierając obolałe ramię. -

Myślałam, że jedziesz tutaj, aby grać w zespole - jęknęła płacząco. - A gdyby mnie złapali? - Przypomniała sobie, że ciężką walizę to ona oddawała na bagaż.

Rozpłakała się jeszcze głośniej.

- Cicho, dziecinko. - Baz przytulił głowę dziewczyny do piersi. Starł się szybko zebrać myśli. Musiał ją uspokoić, sprawić, żeby przestała płakać i znowu stanęła po jego stronie. Potem zastanowił się, co dalej robić. Miał przygotowany cały plan. Pracowali nad nim z Touchem przez ostatnie dwa miesiące. Charmaine była mu potrzebna.

- Cicho... Daj spokój, Char, no już, uspokój się... - Delikatnie scałował łązy z jej twarzy, głaskał wilgotne policzki. - Potrzebuję cię, Char. My obaj cię potrzebujemy. Ja i Touch. - Czuł, jak powoli się odprężył. Szybko podjął rozmowę w tym samym tonie. - Powiedziałbym ci, naprawdę, powiedziałbym. Ale bałem się, że ze mną nie pojedziesz.

- Oczywiście, że bym pojechała - zakwiliła Charmaine, nieco mniej rozpaczliwie. Było jej dobrze w jego objęciach, czuła wargi Baza tuż nad uchem. Dalej ją przekonywał cichym szeptem. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, pewnego jej... pewnego miejsca dziewczyny w całym planie... Potrzebował Charmaine. Przecież tak właśnie powiedział.

## 28

Nathalie siedziała na brzegu łóżka i z rozdrażnieniem patrzyła na szufladę pełną bielizny. Dlaczego wszystko po kilku tygodniach prania robiło się szare? Wzięła do ręki staniczek. Coś, co przed tygodniem czy dwoma było delikatną, białą koronką, teraz wyglądało jak brudna ścierka - nawet metka odpadała. Westchnęła. Dzisiaj wieczorem była umówiona na spotkanie, chciała wyglądać jak najlepiej. Philippe miał dość patrzenia, jak siostra szwenda się bez celu po domu, i zaproponował, żeby razem z nim i Jenny poszła na kolację. Zaprosił też swojego kolegę Marcusa.

- I ubierz się przyzwoicie. Marcus to fajny facet, a ty wyglądasz jak gosposia! Roześmiał się.

- Odwal się! Jestem gosposią! - Nathalie uśmiechnęła się szeroko. Od dawna tak między sobą żartowali. Każdego ranka Nathalie wychodziła do pracy na Oxford Street wystrojona w najmodniejsze ciuchy. Co wieczór, kiedy Philippe wracał do domu, kręciła się po domu w spodniach od dresu i powyciąganych swetrach. - W tym jest mi wygodnie - buntowała się na uwagi brata. - Codziennie muszę się stroić i przez cały czas wystrzałowo wyglądać. Daj mi spokój!

Jesteś taka sama jak inne dziewczyny. Kiedy tylko złapią męża, od razu przestają robić makijaż i golić się pod pachami. A gdybym tak wrócił z jakimś kolegą i facet zobaczyłby cię w tym stanie! Wyglądasz jak stara mamcia Hubbard. Donaszasz swetry dziadka?

- To twoje swetry, głupku - odparowała Nathalie. - I możesz przyprowadzić kolegę, wszystko mi jedno. Nie mam zamiaru umawiać się z twoimi kumplami. Poza tym zawsze golę się pod pachami.

- Po co? Przecież nigdy się z nikim nie umawiasz!

- Odczep się - powtórzyła.

- Cześć. Dobrego dnia w pracy, skarbie. - Philippe chwycił teczkę i pognął do autobusu.

Wyjęła parę majtek, które stanowiły część kompletu. Ponieważ prała je częściej, jeszcze szybciej traciły kolor i kształt. Po kilku tygodniach było więcej niż pewne, że staniczek i majteczki nie będą do siebie pasowały. Pieniądze wyrzucone w błoto - pomyślała ze złością. Wyciągnęła kolejną parę i uważnie obejrzała koronkę. Darła się przy szwach.

Spojrzała na kapę na łóżku i nagle zwróciła uwagę na rodzaj tkaniny. Kupiła ją razem z Cordelią w magazynie Heala za ostatniej bytności matki J w Londynie. Była piękna, na lekko kremowym, jedwabnym tle widniały różowe, czerwone i białe różyczki. Ktoś przecież mógłby wyprodukować taką bieliznę. Staniczki, majteczki, slipki, spodenki, haleczki w wielu kolorach, z różnych tkanin i w przeróżnych fasonach. Była teraz specjalistką w dziale bielizny w TopGirl, wiedziała o niej więcej niż ktokolwiek inny w sklepie. Prawdę mówiąc, wiedziała więcej, niż przypuszczała, że można wiedzieć.

Nagle wyprostowała się gwałtownie. Ktoś? Dlaczego ktoś miałby robić taką bieliznę? Czemu nie ona? Niemal spadła z łóżka. Jasne! Bielizna! To jest to! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Otworzy własną firmę, będzie projektowała i produkowała bieliznę. Ręce jej drżały. Wreszcie odkryła, czym chce się zająć. Nagle wszystko wydało się dziecinnie proste. Bielizna. Świetny pomysł! - Nat, moim zdaniem to fantastyczny pomysł - powoli, cedząc słowa, powiedział Philippe. Dym z papierosa wydmuchiwał w bok od stolika. Philippe, Jenny, Marcus i Nathalie siedzieli w Fame, modnej nowej restauracji na Westbourne Grove, niedaleko ich mieszkania. Oczy Nathalie błyszczały z podniecenia. Nie była w stanie zachować tego dla siebie, musiała podzielić się pomysłem.

- Jak nazwiesz firmę? - zapytał Marcus, patrząc na nią z podziwem.

- Oj, nie wiem. O tym jeszcze nie myślałam. - Chłopak podobał się Nathalie. Była też zadowolona, że brat i znajomi poważnie potraktowali jej pomysł.

- Bieliźniany Raj! - podsunęła Jenny, uśmiechając się do Philippe'a. Była prawnikiem i odbywała staż w dużej firmie w City. Nathalie również, ją lubiła, uważała jednak, że dziewczyna brata jest raczej nieciekawa i pozbawiona poczucia humoru.

- Jezu, Jen - prychnął Philippe - to musi być coś bardziej chwytliwego. Lepsza jesteś w sprawach zawodowych. - Dziewczyna roześmiała się, nie czuła się urażona.

- Idealna Bielizna? - zaryzykował Marcus.

No, nie wiem... - Nathalie wyduła wargi. To było... zbyt oczywiste. Myślała o nazwie dowcipnej i śmiesznej. - Zabawne, ale wszystko już sobie obmyślałam. Wiem, jak będzie wyglądać sklep. Musi być wspaniały, urządzone z przepychem, z kotarami z aksamitu, pięknymi dywanami, koszyczkami zamiast szuflad, elegancki, nieprzeciętny. Chcę, żeby wzbudzał pozytywne emocje, był zmysłowy. Ekspedientki będą przynosiły klientkom właściwe rozmiary, służyły radą. Musi być szykowny. Tak, to jest to. Chcę, żeby było szykownie.

- Naprawdę? Coś jak Góra, Dół, gdzie ekspedientki będą zdejmowały czepeczki i

zmysłowo poprawiały włosy? - drażnił się z nią Philippe.

- To jest to! Góra, Dół - ucieszyła się Nathalie. - Doskonale, świetna nazwa.

- O nie! W żadnym wypadku! - jednym głosem ryknęli Marcus i Philippe. - Jest okropna! Nie, nieprawda - wtrąciła się Jenny. - Jest zabawna. Góra... - Dłońmi uniosła w górę piersi.

- Dołu lepiej nie pokazuj - Philippe wzniósł oczy do nieba. - To okropnie staromodne.

- Fakt. Żaden facet nie przyjdzie do sklepu o takiej nazwie. Nawet jeśli będziesz sprzedawała bokserki - poparł Philippe'a Marcus.

- Nie zmartwię się, jeżeli mężczyźni nie będą odwiedzać mojego sklepu. Kobiety potrzebują czegoś dla siebie. Miejsca, gdzie bez skrępowania mogą przymierzyć rzeczy, popatrzeć na inne kobiety, porozmawiać o bieliźnie i... - Nathalie zarumieniła się.

- I o seksie? - zachichotała Jenny. - Oczywiście, że tak! Mogłabyś sprzedawać gadżety.

- Dość tego! - Philippe zaczął się serdecznie śmiać. - Dość. Na ten temat nic więcej nie chcę słyszeć. Przestań, Jenny, demoralizujesz mi siostrę. Albo odwrotnie, to ty, Nat, demoralizujesz mi dziewczynę. Płacimy i wracamy do domu.

Nathalie nie oponowała. Ciągle jeszcze miała na twarzy rumieńce zażenowania.

Wciąż nie potrafiła rozmawiać o seksie - szczególnie przy bracie. Od czasu strasznej przygody na Martynice, kiedy zrozumiała, że po doświadczeniach z Saszą i Joulesem nigdy nie będzie potrafiła cieszyć się seksem, starannie unikała bliższych związków z mężczyznami i nawet nie odważyła się myśleć o miłosnych uniesieniach. Pozornie była tą samą Nathalie - ładną, czarującą, kokieterijną. Na wieczorkach tanecznych w szkole tańczyła prawie ze wszystkimi chłopcami, nawet z Ree ku oburzeniu Rianne. Jednak wyjść w ustronne miejsce z nikim nie chciała, nawet z Modise'em, któremu nigdy jeszcze żadna dziewczyna nie odmówiła. Po pierwszej próbie pocałunku odsuwała się. Wkrótce w Malvern zaczęto mówić, że Nathalie Maréchal jest słodka, ale nieprzystępna. Łatwiejszym łupem była Charmaine Hunter.

- Dobra. Rzeczywiście muszę już iść. - Marcus wstał i odsunął krzesło Nathalie.

Dzięki za miły wieczór. Doskonale się bawiłem. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego ciepło. Okazał się grzeczny i uprzejmy. Właściwie wszyscy koledzy Philippe'a byli grzeczni i uprzejmi. Poza jednym. Nieświadomie potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? - zapytał Philippe, kiedy pożegnali się z kolegą. Marcus mieszkał w South Kensington i poszedł poszukać taksówki.

- Tak, nic mi nie jest. To tylko zmęczenie. I chyba za dużo wypięłam.

- Na pewno dużo mówiłaś. Spodobałaś się Marcusowi? O tak, nie krył zainteresowania tobą - dorzuciła Jenny. - Ciągle się do ciebie uśmiechał.

- Dajcie spokój. Dopiero się poznaliśmy. - Nathalie była zakłopotana. Doszli do

domu. - Poza tym nie będę miała czasu na chłopaka. Stanę się bardzo sławna i bardzo bogata.

- Na pewno. - Philippe czule zmierzwił siostrze włosy. - Góra, Dół. Chodź, zaprowadzę cię na górę... czas do łóżka!

- Będę sławna i bogata. Zobacysz. - Nathalie weszła rękami na piętro i otworzyła drzwi swojej sypialni. Kiedy się rozbierała, pomyślała, że nie powinna mówić takich głupstw. Zachowała się jak mała dziewczynka. Będę bogata. Będę sławna. Znowu zachichotała.

## 29

Niemożliwe. - Długonoga blondynka ze zgrozą spojrzała na Riitha Modise'a. Nie odezwał się, tylko przewrócił oczami. Dochodziła druga nad ranem, był zmęczony. Stali w kuchni ogromnego domu jej rodziców w londyńskiej dzielnicy St John's Wood. W salonie trwała impreza. Jakimś cudem wylądował tu po przyjęciu na tej samej ulicy, na które poszedł z dwoma kolegami - braćmi - z uniwersytetu.

Nazywali się Kunie i Bayo. Riitho ich lubił - za to, iż pochodzili z Afryki, a jeszcze bardziej, że byli z tego dumni. W odróżnieniu od większości chłopców z Afryki, których spotkał w męskim college'u, niemal natychmiast zmieniających imiona na angielskie albo przynajmniej zangielszczających swoje - tak jak Ree zamiast „trudniejszego” Riitho - bracia uparcie postępowali inaczej. Mieli w nosie to, że ich imiona są dla Anglików bardzo trudne. Biali mają się nauczyć je wymawiać. Mają poznawać ich język. Najbardziej zaskakujące było to, że ludzie się uczyli.

Dziewczęta gimnastykowały języki na ich imionach, a jeszcze częściej na wszystkich trzech chłopcach. Riitho zawsze miał powodzenie u kobiet, natomiast popularność tamtych dwóch przerastała wszelkie wyobrażenia. Ponownie skoncentrował uwagę na stojącej obok blondynce. Lebohang, jego ochroniarz o świętej cierpliwości, czekał na dole ze szklaneczką dietetycznej coca-coli.

- No, spróbuj, powiedz moje imię. - Riitho spojrzał na dziewczynę, próbując ocenić, czy i jak bardzo jest pijana.

- Jak je wymawiasz? Riiitchuu?

- Riitho. Po prostu Riitho.

- W języku jakiego kraju? Chodzi mi o to, skąd pochodzisz - zapytała zmysłowo i przysunęła się bliżej.

Była pijana.

- A jak myślisz? - zrewanżował się pytaniem. Zawsze najbardziej lubił ten moment. Geografia kolonialna. Zdumiewające, jak wiele nie wiedzieli.

- No, z Afryki. To jasne. - Zachichotała.

- Naprawdę?



- Mógłbyś pochodzić z Jamajki albo gdzieś stamtąd, ale nie wyglądasz na Jamajczyka.
- A jak wygląda Jamajczyk? - Wiedział, co będzie dalej.
- No, czy ja wiem... To znaczy... oni mają... no, wiesz... złote zęby i takie tam.
- Nie - uśmiechnął się i potrząsnął głową. Głupia dziwka. - Nie jestem z Jamajki. Nie mam złotych zębów. Sama zobacz. - Otworzył usta. - Patrzyła na niego jak zhipnotyzowana. Pocałował ją. Oddała pocałunek, językiem muskała go po zębach. Czuł w jej ustach alkohol. Whisky. John - nie Walker.
- Ktoś trącił go łokciem. To był Kunie, szedł do sypialni z taką samą dziewczyną.
- Pierwsza na lewo - bezgłośnie powiedział kolega. Podtrzymywał słaniającą się dziewczynę. - Zajmij drugą sypialnię. Jest jej. - Riitho skinął głową.
- Co powiedział? - wymamrotała dziewczyna, dłońmi sięgnęła klamry przy pasku do spodni Riitha.
- Nic. Gdzie jest twój pokój?
- Drugi po lewej.
- Prowadź.

Godzinę później wyczerpany leżał na plecach. Dziewczyna mogła być pijana, ale miała wigor. Z rozrzuconymi ramionami leżała w poprzek podwójnego łóżka. Spała. Rozejrzał się po pokoju. Wokół panował bałagan. Wszędzie walały się porozrzucone ubrania, torby po zakupach, pantofle, kosmetyki, papier toaletowy, opakowania po czekoladowych batonikach, czasopisma. Wszystkiego nie sposób wymienić. Pamiętał, co powiedział mu kierownik internatu, kiedy przyjechał do męskiego college'u: „Utrzymuj porządek w pokoju. Nie sprowadzaj do siebie dziewcząt”. Dziewczyna najwyraźniej nigdy nie spotkała kierownika internatu. Uniósł się na łokciu i przysunął do siebie stos czasopism. Te same co zwykle: „Elle”, „Marie-Claire”... „Vogue”.

Zmarszczył brwi. Wpatrywał się w zdjęcie. To nie może być...

Poszukał wyłącznika nocnej lampki. Zapalił światło. Dziewczyna mruknęła coś pod nosem. Zignorował ją i przysunął magazyn do światła. Brytyjska edycja „Vogue”. Z marca 1984 roku. Poszukał artykułu w środku czasopisma. To rzeczywiście była Rianne de Zoete. Powoli odłożył magazyn. Jezu, wyglądała przepięknie. Jednak coś w jej fotografii go zaniepokoiło. Co dokładnie, nie potrafił określić.

Gabby wróciła do dawnych przyzwyczajień. Gryzła koniec ołówka. W tym tygodniu miała pierwsze egzaminy do stopnia naukowego, który uzyska po ukończeniu studiów humanistycznych. Cała sala wypełniona była studentami pierwszego roku. Semestr skończył się nie wiadomo kiedy, a wraz z nim pierwszy rok studiów. Po egzaminach wracała do Londynu. Dostała pracę jako sekretarka u dwóch młodych przedsiębiorców budowlanych. Rianne nalegała, żeby zamieszkała na Wilton Crescent. Nael obiecał, że ją odwiedzi. Najpierw jednak musi pozdawać egzaminy. Tymczasem zupełnie nie mogła skupić się na nauce, a przecież nigdy wcześniej nie denerwowała się egzaminami. Dominie siedział przed nią; Suzy zajęła miejsce

gdzieś w głębi sali. Gabby utkwiała wzrok w tyle głowy chłopaka. Wydawało się jej niewiarygodne, że przyjaźnili się cały rok. Przyzwyczaiła się do widoku chudej sylwetki kolegi na swoim wąskim łóżku. Przez ten rok stał się tak samo zwyczajny jak widok szczoteczki do zębów w plastikowej szklaneczce na umywalce.

Tymczasem teraz, kiedy tylko Dominie się pojawiał, na niczym nie potrafiła się skoncentrować. Traciła czas, gapiąc się na niego albo na najbliższą chmurkę na niebie. Ciągle nie rozumiała, co się z nią dzieje, dlaczego tak się zachowuje.

Wkuwali do egzaminów, leżąc na trawie w parku. Było bardzo gorąco, Gabby poszła kupić lody dla wszystkich. Kiedy wróciła, spostrzegła, że Dominie jest zarumieniony, a Suzy dziwnie się do niego uśmiecha.

Co się dzieje? Gadajcie - zapytała, podając im cieknące różki z lodami. Usiadła na trawie.

- Nic - krótko skwitował Dominie i wrócił do książek. Gabby popatrzyła na Suzy. Koleżanka zamrugła rzęsami i potrząsnęła głową. Dziewczyna była coraz bardziej zaintrygowana.

- Jezu - niespodziewanie odezwał się Dominie. Przewrócił się na brzuch i popatrzył na dwie koleżanki. - Jaki to ma sens? Jest śliczny dzień, miałbym ochotę popływać łódką z sympatycznymi dziewczynami, tymczasem siedzimy tutaj i analizujemy jakiegoś cholernego Beowulfa. Po co komu do szczęścia potrzebny ten staroangielski poemat? Świat stanął na głowie! Zwariowaliśmy czy co? - Suzy zachichotała. Dominie przekręcił się na plecy i popatrzył w niebo. - Poza tym chcę być ostatni. Pierwszy lub ostatni, inna pozycja mnie nie interesuje. - Suzy znowu się roześmiała.

Gabby patrzyła to na jedno, to na drugie. Och! Och, nie! Dominie interesował się koleżanką. Gorzko rozczarowana, spojrzała na chłopaka. Oczywiście, dlaczego nie miałby się zakochać w ładnej Suzy? Miała długie, ciemnokałtanowe włosy, bardzo ciemne ogromne oczy - nawet kiedy marszczyła brwi - i, co najważniejsze, oczywiście była szczupła. Wbiła wzrok w trawę i otwarty egzemplarz Beowulfa. Pod powiekami poczuła piekące łzy. Powtórzyła się historia z Naelem. Nie, nie będzie płakała. Boże, proszę, nie pozwól mi płakać. Próbowała zachować spokój.

- I słusznie! Rób to, na co masz ochotę - powiedziała, próbując nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie. Przed oczami zamazywał się obraz książki.

Pójdiesz ze mną? - Dominie wyciągnął rękę i złapał ją za kostkę. Zaskoczona Gabby szarpnęła się i kopnęła go w twarz. - O rany! Gabby!

- Cholera! Przepraszam, naprawdę, bardzo przepraszam. Okropnie mnie przestraszyłeś! Nic ci się nie stało? - pytała przerażona.

- Oboje zachowujecie się jak dzieci. Wszyscy się na was gapią - roześmiała się Suzy.

Gabby i Dominie rozejrzeli się dookoła. Poza nimi w polu widzenia nie było nikogo.

- Suzy, ty diablico! - Dominie klepnął ją żartobliwie.

- Słuchajcie. - Suzy wstała i otrzepała spódniczkę z trawy. - Muszę lecieć. Za kilka minut jestem umówiona z... z Lisą. Wy idźcie sobie popływać, jeśli chcecie. Ja zdobędę pierwsze miejsce, możecie się o mnie nie martwić. Zobaczymy się przy kolacji? - Zebrała swoje podręczniki.

Gabby zrobiło się przykro ze względu na Dominica. Powinna zrozumieć aluzję i zostawić ich samych.

- Jasne - pogodnie powiedział Dominie. - Zobaczymy się później. Pozdrów od nas... Lisę.

Gabby zastanawiała się, kim jest Lisa.

- To jak, Frankie, idziesz?

Nigdy nie nazywał jej: Gabby, zawsze mówił: Frankie. Twierdził, że Frankie podoba mu się bardziej niż Gabrielle, Gabby czy Francis.

Uśmiechnęła się, nagle poczuła się zakłopotana. Nigdy jeszcze nie pływała łódką.

- No cóż, OK. Ale to ja powinnam się zmyć. Przepraszam.

- O co ci chodzi? - Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chyba chciałeś popływać z Suzy. Mnie to nie przeszkadza. Mogliście pójść razem... O czym ty, u licha, mówisz? - Dominie wyglądał na zaskoczonego.

- Nie, właściwie... nic takiego. - Gabby nie wiedziała, jak ma się wytłumaczyć.

- Chciałem pójść z tobą - wyrzucił z siebie, patrząc jej prosto w oczy.

- Ze mną?

- Tak. Z tobą.

- Och! - Znowu nie wiedziała, co odrzec. Chyba nie chciał powiedzieć... nie, na pewno nie... nie mógł przecież... Co takiego właśnie oznajmił? W milczeniu szli obok siebie w kierunku rzeki.

- Dlaczego...

- Czy... - Oboje jednocześnie zaczęli i wybuchnęli nerwowym śmiechem. Ręka Gabby powędrowała do cienkiego złotego łańcuszka, który nosiła na szyi. Wiele lat temu dostała go od babki. Obracała w palcach łańcuszek i gorączkowo myślała, co powinna teraz zrobić. Sytuacja była absurdalna. Dominie to jej najlepszy przyjaciel. W jego towarzystwie nigdy nie czuła się niezręcznie, nigdy nie zastanawiała się, co i jak powiedzieć. Przy nim zachowywała się równie swobodnie jak... jak przy kimkolwiek innym.

- Panie mają pierwszeństwo - zdecydował chłopak. Prawie dotarli już do rzeki. - Co chciałaś powiedzieć? - Przy małym moło cumowało dwanaście wolnych łódek. Dominie dał chłopcu z przystani pięć funtów i pomógł mu odzepić jedną z nich. Gabby obserwowała ich z brzegu.

- Byłam po prostu ciekawa... To znaczy, dlaczego... O Boże, Dom, jakie to głupie. Właściwie to ja głupio się czuję. A co ty chciałeś powiedzieć?

- Nic ważnego, naprawdę. Chciałem cię zapytać, czy masz coś przeciwko temu.

Wiesz, o co mi chodzi?

- Czy mam coś przeciwko? Ja?

- No tak, ty. Słuchaj, nie przerabiamy tej pantomimy jeszcze raz. Dobrze?

- Jakiej pantomimy?

- Kto, ja? Tak, ty. Ja? Ty. - Gabby roześmiała się. Nagle poczuła się lepiej. Dominie zawsze potrafił ją rozśmieszyć. Odczepił łódkę, teraz niepewnie chybotwała się przy pomocy. Wyciągnął do dziewczyny rękę. Już drugi raz tego dnia. Gabby ujęła wyciągniętą dłoń i ostrożnie weszła do rozkołysanej łódki. Rękę miał ciepłą, silną. Stał pewnie jak opoka, kiedy próbowała usiąść, nie wywracając łodzi. Odchyliła się w tył, widziała, że tak właśnie robią dziewczyny, kiedy ich chłopcy walczą z wiosłami. Okazało się to trudniejsze, niż się z pozoru wydawało. Milczeli kilka minut, Dominie odbił od mola i skierował łódkę na środek rzeki. Przepłynęli pod Magdalen Bridge, minęli boiska i popłynęli w kierunku Summertown.

- Dokąd chcesz pójść? - zapytał Dominie i uśmiechnął się do niej. Odchyłona w tył, siedziała z przymkniętymi oczami i słodkim uśmiechem na ustach. Jest zdumiewająca - pomyślał, patrząc na nią. Zawsze lubił Gabby, od pierwszego dnia, kiedy tylko ją poznał. Była wesoła, ciepła i mądra jak diabli. Swoimi uwagami i spostrzeżeniami sprawiała, że czuł się przy niej jak chłystek. W szczególny sposób widziała różne problemy. Kiedy dyskutowali na jakiś temat - co zdarzało się bardzo często - i Gabby całą siłą swej inteligencji kierowała w Dominica, odnosił przedziwne wrażenie, że prowadzi go gdzieś, dokąd sam nigdy by nie dotarł. Był bystry i mądry - co wszyscy od razu zauważali. Nigdy jednak nie spotkał osoby o umyśle Gabby. To go niepokoiło. Wiedział, że dziewczyna jest nieśmiała wobec chłopców, nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego. Była równie ładna jak inne dziewczęta: wysoka, zaokrąglona, gdzie trzeba, delikatna i miała fantastyczne kręcone rude włosy. Powinna nosić je rozpuszczone. Zawsze związywała je w koński ogon i podpiniała do góry albo zaczesywała w tył. Teraz jeden kosmyk wymknął się spod kontroli i wił się po twarzy.

- To dokąd? - powtórzył, czując, że serce szybciej mu bije.

- Może do Vicky Arms? - zaproponowała. Pub o nazwie Victoria Arms był ulubionym przystankiem na trasie wodnej.

- Dobra.

Po godzinie - nie mogła uwierzyć, że aż tyle zajęło im pokonanie dwóch mil w dół rzeki Cherwell - znaleźli się na wysokości pubu. Dobili do brzegu. Gabby zdjęła buty i najwdzięczniej, jak tylko umiała, wyskoczyła na brzeg. Był błotnisty i zimny. Chlupiąc w błocie, poszli po trawie do pubu. Dziesięć minut później, kiedy już siedzieli obok siebie pod wielkim parasolem z piwem w rękę, pogratulowali sobie sukcesu.

- Świetnie się spisałeś - pochwaliła kolegę Gabby, wznosząc szklanekę.

- Dziękuję szanownej pani - Dominie odwrócił się do niej twarzą. Chwilę patrzył na dziewczynę, potem bardzo powoli pochylił głowę i ją pocałował. To był jej pierwszy pocałunek. Pierwszy w życiu.

A teraz siedziała w sali egzaminacyjnej, pustym wzrokiem spoglądała ' na temat pracy, gryzła pióro, jakby cała jej przyszłość od tego zależała, i wpatrywała się w ciemne, kręcone włosy na głowie chłopaka.

### 30

Charmaine gwałtownie się wyprostowała, kiedy kokaina uderzyła jej do głowy. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Przez półprzymknięte oczy ledwo widziała Baza. W drugim końcu pokoju palcem zebrał resztki narkotyku i wtarł go w dziąsła nad przednimi zębami.

Była przerażona, kiedy po raz pierwszy spróbowała białego proszku. Przecież koka to prawdziwy narkotyk. Skręty właściwie nim nie były. Tak na dobrą sprawę ich palenie niewiele się różniło od palenia papierosów. Jednak kokaina... tę wciągało się nosem. Ale polubiła kokę. Po niej miała świetny nastrój, była silna, pewna siebie, zmysłowa. Po skrętach czuła się ociężała, po kokainie mogła przenosić góry. Minęły dwa miesiące od chwili, gdy Baz po raz pierwszy podał jej biały proszek, i chociaż nie była uzależniona - oczywiście, że nie musiała przyznać, iż żaden dzień właściwie na dobre się nie zaczął, dopóki albo jeżeli nie wzięła narkotyku.

Podniosła się niezdarne i chwiejnym krokiem poszła do kuchni. Touchowi udało się zorganizować dwa materace, kanapę, telewizor i stół z czterema różnymi krzesłami, niemniej mieszkanie nadal nie wyglądało na umeblowane. Mieli jednak na czym usiąść, już nie musieli opierać się na poduszkach o ścianę. Przez pierwsze dwa tygodnie po przyjeździe właśnie tak spędzali czas w mieszkaniu. Charmaine na chwilę zatrzymała się na tej refleksji. Właściwie jak długo już byli w Los Angeles? Trzy miesiące? Czas tak szybko płynął.

Otworzyła lodówkę. Po co przyszła do kuchni? Aha, po piwo. Wzięła dwie zimne butelki i powlokła się z powrotem do sypialni, gdzie leżał nieprzytomny Baz.

- Masz. - Przyklęknęła i podała mu jedną z butelek. - Jest zimne.

- Usiądź na mnie. - Baz nawet nie otworzył oczu.

- Daj spokój. - Zdecydowanym ruchem odsunęła jego rękę. Z doświadczenia wiedziała, że nie dojdzie nawet do połowy drogi, kiedy chłopak zaśnie i odwróci się na bok. - Baz - próbowała go obudzić. - Baz.

- Co jest?

- Od jak dawna tu jesteśmy?

- Co?

- W Los Angeles. Jak długo już tu jesteśmy?

- Nie wiem. Dwa miesiące. Dlaczego pytasz?

- Jak długo możemy tutaj zostać?

- O co ci chodzi? W tym mieszkaniu?

- Nie. Kontrola paszportowa. Nie pamiętam, na ile dostałam wizę.

- Gdzie masz paszport? - Baz otworzył oczy. - Gdzie jest mój paszport?

- Nie wiem. Nie pamiętam, gdzie je położyłam - Charmaine była coraz bardziej zaniepokojona.

- Żarty sobie robisz, do cholery?! - Baz wyskoczył z łóżka. Nago podbiegł do walizki. Dziewczyna zaczęła chichotać. - - Ty głupia cipo, to wcale nie jest śmieszne! Jeśli Urząd Imigracyjny zacznie nas szukać, mamy przechłapanie. Zdajesz sobie sprawę, ile w tym mieszkaniu jest kokainy?

- O Boże! - Charmaine przestała się śmiać. - Pamiętam, że przez pierwszych kilka dni je widziałam, ale później, od kiedy przyjechały meble... nie wiem.

- Pomożesz mi?! - Baz już krzyczał. Charmaine słyszała, że po kokainie ludzie wpadają w paranoję. Chłopak z pewnością reagował paranooidalnie. Podniosła się i zaczęła przeglądać rzeczy.

- Są! - krzyknęła triumfująco godzinę później. - Były w kuchni! Znalazłam! - Baz, potykając się, ciągle nagi, wpadł tam i wyrwał jej z ręki paszporty. Z niezrozumiałych powodów Charmaine włożyła dokumenty do plastikowej torebki spożywczej i schowała w puszcze na płatki śniadaniowe.

- Cholera! - Chłopak kartkował swój granatowy paszport. - Wiza skończyła się tydzień temu - powiedział. - Kurwa mać!

- Nie panikuj. Najwyżej nie pozwolą wam przez jakiś czas przyjechać ponownie do Stanów. - Touch szykował sobie skręta. Spokojnie popatrzył na Baza. - Są zbyt zajęci wyłapywaniem nielegalnych imigrantów z Meksyku - ciągnął. - Nawet nie przyjdzie im do głowy szukać was dwojga. W Kalifornii Anglicy są potrzebni, chłopie. O nic się nie martw.

- Ale co to znaczy, że nie będziemy mogli ponownie przyjechać? Chcesz powiedzieć, iż nie możemy opuścić Stanów? - dopytywał się zdenerwowany Baz.

- Nie, nic podobnego, stary. Po prostu mówię, że nie będą was szukać. Widzisz to? - Touch wskazał na białą kartę o symbolu I-94 przyczepioną zszywką do paszportu Baza. - Przy wyjeździe ze Stanów oddajecie ten świstek przedstawicielowi linii lotniczych, a on przekazuje go służbom imigracyjnym. Dzięki temu wiedzą że opuściliście Stany. Jeśli tej kartki nie oddacie albo ją wyrzucicie i powiecie, iż zgubiliście, czy cokolwiek innego, pouczą was, że możecie mieć kłopoty z ponownym przyjazdem do Ameryki. Oczywiście, jeżeli służby paszportowe wam nie uwierzą. To nie ma najmniejszego znaczenia. Jesteście Anglikami. Następnym razem normalnie was wpuszczą. A tak przy okazji, jak długo jeszcze zamierzacie tu siedzieć? Dużo ci jeszcze towaru zostało? - Touch spojrział na Baza. Był pewny, że i on, i Charmaine zażywają kokainę. Widział to po nich.

- Daj spokój. Nie mam pojęcia. Może zostaniemy jeszcze jakieś dwa miesiące. Zobaczmy, jak będzie. Rozumiesz? - Touch skinął głową. Kumpel przywiózł z Anglii towar pierwszej klasy. Najwyższy znak jakości. Już nie mógł się doczekać, kiedy Baz przywiezie następną partię.

- Baz! - Charmaine potrząsnęła go za ramię. - Baz! Obudź się! - Mruknął coś przez sen i odwrócił się do niej plecami. Dziewczyna spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta w południe. - Baz! - Potrząsnęła nim znowu, tym razem silniej.

- Charmaine... co, do cholery? - Otworzył oczy.

- Potrzebuję pieniędzy. - Nie było go prawie dwa dni. Przyzwyczaiła się do jego przedziwnych nagłych zniknięć i niespodziewanych powrotów. Ale aż dwa dni? Zostawił ją bez pieniędzy, a jedzenie się skończyło. Czuła się okropnie.

- Jestem bez grosza. A teraz zamknij jadaczkę.

- To co mam zrobić? - zaczęła płakać. - Nie było cię dwa dni. Nie dzwonisz, nie mówisz mi, gdzie byłeś. Siedzę tutaj sama od czwartku, a w domu nie ma nic do jedzenia. Co mam robić?

- Jezu, Charmaine, nie mam pojęcia. Nie mogę znaleźć Toucha. Są problemy ze zdobyciem pieniędzy i nie mamy towaru. Co tu gadać, fart się skończył. Nie wiem, co robić. Kapujesz? - Baz był teraz zupełnie przytomny.

- Mam zadzwonić do mamy? - zapytała zdenerwowana. Przestała pochlipywać. Okropnie nie lubiła okłamywać matki, poza tym nie rozmawiała z nią od miesiąca.

- Jasne - westchnął.

- Mogłaby przysłać nam jakieś pieniądze, wiesz, przez Western Union czy jak to się tam nazywa. W piętnaście minut je dostaniemy. - Nie powiedziała mu, że już dwukrotnie prosiła matkę o pieniądze.

Wygramoliła się z łóżka. Minęła dwunasta. W Londynie była dziewiąta wieczorem. Jeśli chcieli coś zjeść jeszcze dzisiaj, musiała szybko zadzwonić. Na stacji Victoria w Londynie znajdowała się ekspozytura Western Union, firmy przelewającej pieniądze do wszystkich zakątków świata; ze względu na różnice czasu była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ostatnim razem matka korzystała z ich usług. Wciągnęła dzinsy.

- Wiem, mam. To naprawdę już ostatni raz, obiecuję. Kierownik kapeli jeszcze nie zapłacił Bazowi, zupełnie nie wiem, dlaczego. Tutaj wszystko trwa tak okropnie długo. Wszystko jest takie skomplikowane. Nie mamy wyboru, musimy czekać.

- Ale, skarbie, odkąd tam jesteście. Baz nie dostał żadnej wypłaty. A to już ponad trzy miesiące. Dlaczego nie wrócisz do domu? - Mary Hunter nie mogła powstrzymać łez.

- Wróć, mam. Już niedługo wrócę. Zostanę tu jeszcze jakiś miesiąc, a potem wracam, obiecuję. - Dziewczyna wierzchem dłoni otarła łzy.

- Charmaine, gdyby coś się stało, powiedziałaś mi, prawda, kochanie? Bez względu na to, co by to było.

Oczywiście, że bym ci powiedziała, mam. Nic się nie stało. Naprawdę. Ja tylko... '

- Tylko co, skarbie?

- Nic, naprawdę. Posłuchaj, będę w domu za miesiąc. Obiecuję. I dziękuję za

pieniądze.

- Nie ma o czym mówić. Tylko, kochanie, wracaj szybko. Bardzo za tobą tęsknię.

- Ja też tęsknię za tobą. - Charmaine odłożyła słuchawkę. Prawdę mówiąc, bardzo za matką tęskniła. Nie mogła jednak zostawić Baza. Co by zrobił bez niej w Los Angeles? Potrzebował jej. Wiedziała, że jej potrzebował. Wytarła nos i wolnym krokiem poszła do supermarketu na rogu ulic Camino Real i Baxter. Pracownicy ekspozytury Western Union w centrum handlowym już ją znali.

- No, cóż - powiedział Clive i oparł się wygodnie na poduszce. - To brzmi dość rozsądnie. - Nathalie spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Ależ, kochanie, nie rozumiem - odezwała się Cordelia. - Czeka cię tyle pracy. Czemu nie zajmiesz się czymś innym? Znajdź sobie chłopaka, zachowuj się jak normalna kobieta.

- Co takiego? Może tak jak ty? - ostro zareagowała Nathalie. Matka spojrzała na nią z wyrzutem. Jeśli chodzi o pewne sprawy, jej stosunki z córką już nigdy nie będą takie jak dawniej. Westchnęła.

- Kochanie, uważam, że to dobry pomysł - wtrącił Clive, jak zawsze pojednawczym tonem - ale matka ma rację. Czeka cię ogrom pracy. Produkcja, sprzedaż, zarządzanie firmą... Przecież masz zaledwie dziewiętnaście lat. Wiem, ale skompletowaliśmy już cały zespół. Philippe mi pomoże. Marcus też. I mamy koleżanką, Juliette. Studiuje projektowanie konfekcji, już prawie kończy studia. Będziemy pracowali razem, dzielili się zyskami.

- Marcus?

- To... to przyjaciel Philippe'a. Jest bardzo miły. - Cordelia uważnie spojrzała na córkę. Nathalie się zarumieniła. - Ale będziemy po prostu współnikami - szybko dodała dziewczyna. - Mamy już prawnika, wszystko zostało dobrze przemyślane.

- W zasadzie spółka z małżonkiem czy przyjacielem nigdy dobrze się nie kończy wtrącił Clive - można jednak przedsięwziąć prawne kroki, żeby...

- Clive! - zaprotestowała Cordelia. - Jest o wiele za młoda. To zbyt duża odpowiedzialność. Nie możemy jej na to pozwolić.

- Cordy - łagodnie wtrącił Clive - pomyśl, co ty już miałaś za sobą, zanim skończyłaś dziewiętnaście lat.

- To prawda. Ale wtedy czasy były inne. Sam wiesz.

- To nieprawda - sprzeciwiła się Nathalie. - Poza tym jestem dobra w tym, co robię w TopGirl. Wiem to. Moi pracodawcy też to wiedzą. Mam dość wykorzystywania swoich umiejętności dla napychania kieszeni innym. Dam sobie radę. Pokonam wszystkie trudności.

O tym samym Nathalie rozmawiała z Juliette.

- Niewiele tego - powiedziała koleżanka, podnosząc z kuchennego stołu staniczek i obracając materiał w rękę. - Fiszbiny, ramiączka, zapięcia; takie tan} drobiazgi - mruzczała pod nosem. - Potrzebny nam producent, godny zaufania i odpowiedzialny. No i tani. Zakład produkcyjny powinien być ulokowany w kraju, w którym mówi się



po angielsku. Steve, wykładowca z college'u, twierdzi, że najlepsza byłaby Malezja. Malezja? - powtórzyła zaskoczona Nathalie. - Dlaczego właśnie Malezja? - W kuchni zaległa cisza. Spojrzała na brata, potem na Juliette, która opowiadała o swojej rozmowie z wykładowcą. Steve uważa, że to miejsce najlepsze z możliwych - ciągnęła Juliette. - Ludzie mówią tam niezłe po angielsku, przecież to dawna kolonia brytyjska. Największy atut to tania siła robocza; robotnikom płaci się jedną czwartą tego, co w Hongkongu czy na Tajwanie. Pracują dobrze, etyka pracy jest wysoka. Ten kraj zabiega o inwestycje zagraniczne. Steve mówi, że nie może się nam nie udać.

- Nie znamy nikogo w Malezji. Jak się do tego zabierzemy? - wtrącił Philippe. Nathalie gryzła koniec ołówka.

- Steve może nam przygotować listę firm, z którymi warto się skontaktować. Takich niewielkich zakładów produkcyjnych - wyjaśniała Juliette. - Będziemy musieli tam pojechać, przynajmniej jedno z nas. Najwięcej zakładów przemysłowych jest w Kuala Lumpur. Ja nie mogę jechać. Za miesiąc mam pokaz dyplomowy. Nathalie, najlepiej będzie, jak sama tam pojedziesz. Może być bardzo fajnie.

- Czekaj, jeszcze się nad tym zastanówmy. Może Malezja nie jest jedynym krajem, którym należy się zainteresować. Chyba warto rozważyć inne możliwości. - Nathalie miała rumieńce na twarzy.

- Oczywiście, ale to na pewno najlepsze miejsce. - Dlaczego ci się nie podoba? Byłaś tam?

Nie! - gwałtownie przerwał Philippe. - Rozważymy tę propozycję. Dobra robota, Juliette - pochwalił i wstał nalać wody do czajnika.

Nathalie obserwowała, jak Juliette starannie składa rysunki jeden na drugim. Miała zajęcia z wykrojów i już była spóźniona. Całe popołudnie oglądali próbki tkanin i omawiali następne posunięcia. Wieczorem miał przyjść Marcus i Nathalie chciała przedstawić mu konkretne propozycje. Miała doskonały gust, ale nie potrafiła narysować prostej kreski. A nawet krzywej. Opisywała, wycinała, pokazywała rękoma, a Juliette przenosiła jej pomysły na papier. Dziewczyna okazała się fantastyczna. Nathalie wzięła do ręki jeden z projektów, nad którym pracowała. Nazwała go Tutti frutti. Na rysunkach były staniczki i majteczki z materiału z nadrukiem różnych owoców: plasterków pomarańczy, jabłek, mandarynek, cytryn. Wzory wykonano w jaskrawych kolorach: czarnym i pomarańczowym, czarnym i zielonym, czarnym i żółtym. Nawet na rysunku bielizna wyglądała kusząco.

- Do zobaczenia! - krzyknęła Juliette. Trzasnęły frontowe drzwi. W domu zapanowała cisza.

- Nat? - łagodnie odezwał się do siostry Philippe.

Od czasu okropnego wypadku z Saszą - wszyscy tak właśnie woleli określać to zdarzenie - Philippe i Nathalie w ogóle nie rozmawiali o Malezyjczyku.

- Nat? - powtórzył. - Wszystko w porządku?

Wcale nie musimy - Nathalie odwróciła się i spojrzała na brata - się z nim spotkać czy coś w tym rodzaju - powiedziała przyciszonym głosem. - Kuala Lumpur jest dużym miastem.

- Chyba tak.

- I wygląda na to, że to dla nas najlepsze miejsce, prawda?

- Chyba tak. Naprawdę nie będzie ci to przeszkadzało, Nat? - upewniał się Philippe. - Pewnie boisz się, że na niego wpadniesz, więc jeśli chcesz, pojedę z tobą. Albo Marcus może z tobą pojechać...

- Nie bądź niemądry. Zapomniałeś, że pracujesz? Nic mi nie będzie. Nie wpadnę na niego. Przygotuję sobie dokładny grafik. Jestem pewna, że wykładowca Juliette skontaktuje nas z kimś odpowiedzialnym, kto będzie mógł nas tam pilotować. Wszystko będzie dobrze - przekonywała Nathalie pewnym tonem, chociaż tak naprawdę wcale pewnie się nie czuła.

- Dobrze. Chyba masz rację. Myślisz, że zbytnio się o ciebie martwię?  
Niepotrzebnie, ja tylko staram się cię chronić.

- Philippe, nie musisz chronić mnie przed Saszą. On nic dla mnie nie znaczy. Dla ciebie zresztą też. Daj spokój, cała ta idiotyczna sprawa dawno się skończyła. Ten rozdział jest już zamknięty. Zapomnijmy o tym.

- Nawet nie. chcę myśleć, co będzie, kiedy mama się dowie - zasępił się Philippe. Nie możesz pozwolić jej jechać samej! - krzyczała Cordelia do Clive'a. - To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Na drugi koniec świata? Straciłeś rozum? Jedno z nas musi z nią pojechać. Ja pojedę. - Cordelia cała drżała. Do Kuala Lumpur? Nathalie wybierała się do Kuala Lumpur? Sama? Serce, - biło jak oszalałe. Starła się zapomnieć o Saszy, od miesięcy nawet o nim nie pomyślała. Tymczasem teraz Clive mówił, że Nathalie wybierała się w dziesięciodniową podróż w interesach do miasta, w którym on mieszka. Chyba stroi sobie z niej żarty. Nie może mówić poważnie.

- Daj spokój, Cordy. - Clive jak zawsze próbował załagodzić sytuację. - Jest dorosła, zgodziliśmy się przecież...

- Jest moim dzieckiem! - krzyknęła Cordelia. - Tobie może jest wszystko jedno, co się jej stanie, mnie nie! - rzuciła w niego okrutnym oskarżeniem. Doskonale wiedziała, że jest kompletnie bezpodstawne, ale zupełnie oszalała na myśl, że Nathalie i Sasza znajdą się na tej samej półkuli.

- Cordelia! - ryknął Clive. Przerwała w pół zdania. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby krzyczał. Zamarła z otwartymi ustami. - Zamilcz wreszcie! Nathalie pojedzie sama. To jest podróż służbowa. Postaram się zapewnić jej pomoc kilku moich współpracowników. Wynajmą jej samochód z kierowcą, upewnią się, że wie, dokąd jedzie, i to wszystko. Więcej na ten temat nie chcę już słyszeć! - Clive wyszedł z pokoju.

Cordelia popatrzyła za mężem. Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozdrażnionego.

Nathalie niemal tydzień się zastanawiała. Cały czas po głowie kołatało się jej pytanie, czy powinna zatelefonować do Saszy i otwierać stare rany. Z Marcusem układało się jej bardzo dobrze, lubiła go. Był uprzejmy i cierpliwy, nie nalegał... na nic nie nalegał. Przy nim nie czuła się zdenerwowana, nie była tak rozkosznie, że aż boleśnie, podniecona, jak zawsze, kiedy myślała o Saszy. Udało się jej nawet - prawie pocałować go, nie mając przed oczami tej strasznej sceny matki w objęciach Malezyjczyka. Nie czuła się również tak paskudnie jak na wspomnienie Joulesa. Nie, Marcus był inny - dokładnie taki jak Clive. Uprzejmy, cierpliwy, czuły. Dlaczego zatem nie pragnęła się z nim kochać? W Marcusie znalazła wszystko, czego normalna młoda kobieta mogła szukać w mężczyźnie. Był miłym, uczciwym młodzieńcem, dlaczego więc go nie pragnęła? Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. Kiedy obejmował ją ramionami lub kiedy czuła na sobie jego wargi, odsuwała się od niego. Jakby był zbyt... miły.

Miesiąc później weszła do niewielkiego baru w Bangsarze, najbardziej eleganckiej części Kuala Lumpur. Była zadziwiająco spokojna. Zauważyła go od razu. Siedział przy oknie i czytał gazetę. Wyglądał tak samo wspaniale, jak go zapamiętała. Włosy nadal miał czarne i kręcone, chociaż teraz krócej obcięte, i nosił okulary. Zatrzymała się, serce stanęło jej w gardle.

W tej chwili poczuł na sobie czyjś wzrok i podniósł głowę znad gazety. Ich oczy się spotkały. Powoli wstał i podszedł do niej.

- Nathalie - ucałował dziewczynę w oba policzki.

- Sasza.

- Dawno się nie widzieliśmy. - Z jego twarzy nie potrafiła nic wyczytać.

Denerwowała się przy nim. - Napijesz się czegoś? - zapytał. Gdyby tylko mogła, wytrąbiłaby butelkę ginu... Poszli w kierunku baru. - Co ci zamówić?

- Poproszę gin z tonikiem - powiedziała, bawiąc się paskiem od zegarka. Spokój, jaki ją ogarnął poprzedniego dnia, kiedy do niego zadzwoniła, teraz gdzieś się rozplynął. Powiedział coś po malajsku do barmana.

- Proszę bardzo. Usiądziemy?

Skinęła głową. Nogi miała jak z waty. Poprowadził ją do stolika przy oknie. Usiedli. Nathalie pociągnęła duży łyk drinka. Żałowała, że przed, wyjściem nie wypila ze dwóch dla kurażu.

- Masz pozdrowienia od Philippe'a - zaczęła pogodnie. Nieszczercze.

- Naprawdę? - Świdrował ją wzrokiem.

- Właściwie to nie. - Spąsowiała z zakłopotania. - Dostałby ataku serca, gdyby wiedział, co teraz robię. - Sasza milczał. Nathalie przygryzła wargę. Nie zaczęło się najlepiej.

- Co porabiasz w Kuala Lumpur? - zapytał. Myślmy o otwarciu firmy - zaczęła.

- Tak? - Uniósł brwi i podniósł szklaneczkę do ust.

- Jeden z naszych... konsultantów polecił nam Kuala Lumpur. Uważa, że tutaj powinniśmy zlokalizować produkcję. - Wypiła następny łyk, przedstawiła mu biznesplan, opisała strukturę organizacyjną koncepcje, poszukiwania lokalizacji. Sasza zdawał się być pod wrażeniem. - I tak - kończyła pół godziny później - się tutaj znalazłam. Lim Soon jest wspaniały. - W ostatnich paru dniach kilkakrotnie spotkała się z producentami drobnej konfekcji. Bardzo się jej spodobali. Teresa Soon była zawsze uśmiechniętą panią w średnim wieku i - jak dziewczyna przypuszczała - mózgiem fabryki. Kierowała produkcją i robiła to doskonale. Nathalie polubiła ją od pierwszej chwili. Kobieta nie zachowywała się wobec niej protekcjonalnie, co dla dziewiętnastoletniej i debiutującej na rynku dziewczyny miało ogromne znaczenie.

- Ho, ho. Nie przypuszczałem, że jesteś kobietą interesu, Nathalie - cicho powiedział Sasza.

- Och, nie, nie jestem - rozpromieniła się dziewczyna. - Przynajmniej jeszcze nie. Dopiero zaczynamy.

- Mimo wszystko. Jestem pod wrażeniem tego, co usłyszałem. Gdzie studiowałaś?

- Nie byłam na uniwersytecie. Chyba nie chcę studiować.

- Rzeczywiście. Byłaś w szkole, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- Tak. W niższej klasie szóstej. A ty i Philippe właśnie kończyliście Reading. - Sasza twierdząco skinął głową. - No, ale dość już o mnie - Nathalie zamknęła temat. - Powiedz, co ty robisz. - Wypiła do końca gin z tonikiem.

- Ja? - Sasza dał znak barmanowi, żeby podał następnego drinka. - Jestem księgowym, no prawie. W tym roku zdaję ostatnie egzaminy. Ogólnie bardzo nudne, ale trudne. Mam bardzo dużo do zaliczenia. Zaraz, jadłaś kolację? - Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Nie. Zapomniałam o kolacji. Po południu byłam bardzo zajęta - Nathalie kłamała jak najęta. Całe popołudnie zastanawiała się, co na siebie włożyć, i przymierzała różne stroje. Do ósmej wieczorem zdążyła przejrzeć walizkę z dziesięć razy. W końcu zdecydowała się na czarne jedwabne spodnie i bluzkę ze srebrnej lamy, do tego srebrne kolczyki w kształcie koła i płaskie czarne pantofelki. Od przyjazdu do Kuala Lumpur zdążyła się trochę opalić i policzki miała ładnie zaróżowione. Szczególnie teraz po drinku. - Czy restauracje tutaj zamykają wcześniej? - zapytała, rozglądając się po barze. Odniosła wrażenie, że w tym miejscu jedzenia się nie podaje.

- Żarty sobie robisz? To jest KLla - niespodziewanie się uśmiechnął, chyba pierwszy raz tego wieczora.

Nathalie serce w piersi podskoczyło. Niesamowite! Nie mogła oderwać wzroku od jego uśmiechu, cudownych, białych zębów i delikatnego cienia brody na opalonej skórze.

- Co to znaczy? - odprężyła się i również roześmiała.

- Która część? KL czy „la“?

- I jedna, i druga - pytała ciekawie.

- KL, czyli Kuala Lumpur, nigdy nie śpi. Tak jak Nowy Jork. Możesz tu dostać, co tylko chcesz, o każdej porze dnia i nocy. Tu się pracuje, jesteśmy Malezyjczykami. Tym różnimy się od was, leniwych Brytyjczyków.

- Daj spokój, Brytyjczycy ciężko pracują! - zaprotestowała Nathalie.

- Jasne. Przerwa na herbatę - la... co pięć minut. Pracowałem kiedyś na budowie.

- Niemożliwe. Naprawdę? Dobrze, a co znaczy „la”?

- „La” dorzucamy na końcu tego, co mówimy. OK - la. Idziemy - la. Jak się nazywasz - la? Nic nie znaczy. To tylko taka typowa malezyjska końcówka. A ty jesteś typowym Malezyjczykiem? - odważyła się zapytać Nathalie.

- Jasne. Jan Kowalski. Przykładowy przeciętny obywatel.

- Daj spokój. Nie wszyscy Malezyjczycy są do ciebie podobni. Nawet ja to widzę. Ale, ale, czy twoja matka nie pochodziła z Niemiec? - Nathalie udawała, że nie pamięta.

- Z Finlandii. Wyjechała bardzo dawno temu. No, chodźmy. Chcesz zobaczyć KL- a?

- Dokończył swojego drinka. Dziewczyna zrobiła to samo. Wstali od stolika. Na zewnątrz było przyjemnie chłodno, nie tak duszno jak w ciągu dnia. Skręcili w lewo, oddalali się od głównej ulicy.

- Dokąd idziemy?

- Najpierw trochę pojeździmy po mieście. Pokażę ci pewne miejsca. Jadłaś już satayl

- Zatrzymał się przed srebrnym BMW i otworzył przed Nathalie drzwi auta.

- Nie. A co to takiego?

- Bardzo smaczne. A teraz przestań gadać. Zadajesz zbyt wiele pytań. - Dziewczyna zachichotała, a Sasza włożył płytę kompaktową do odtwarzacza i uruchomił silnik. Trzy godziny później na jakimś skrzyżowaniu na przedmieściach Kuala Lumpur pili coś, co nazywało się *tea-taree* i okazało się słodką herbatą z mlekiem. Mimo pierwszej w nocy w kawiarni nie było jednego wolnego miejsca.

- Wszyscy przyjeżdżają tutaj na *tea-taree* - wyjaśnił Sasza. - Przychodzimy napić się przed pójściem do klubu czy jakiejś restauracji, a wracając, znowu wступujemy na *tea-taree*. Nawet o piątej nad ranem jest tu tłum.

Nathalie była oczarowana. Kuala Lumpur bardzo się jej podobało. Miasto tętniło życiem, wszechobecnym optymizmem. Wszyscy byli bardzo mili, przyjacielscy i przedsiębiorczy. Po raz pierwszy znalazła się w państwie, w którym aż tak wielu ludzi „robiło interesy”. Cały kraj dynamicznie się rozwijał. Każdy albo ubijał jakiś interes, albo negocjował umowę, albo podpisywał kontrakt. Malezja rozwijała się gospodarczo; powoli, ale konsekwentnie i pewnie pięła się w górę, a każdy obywatel stawał się współtwórcą gospodarczego wzrostu. Dla pochodzącej z Wielkiej Brytanii Nathalie była to kraina jak z bajki. Tutaj nikogo nie dziwiło, że drobna dziewiętnastolatka ma pomysł na firmę, organizuje grono współpracowników czy partnerów i jedzie na drugi koniec świata, żeby wcielić swój pomysł w życie. Ale

czy dzięki kontaktom ojczyzna jej wyprawa nie była łatwiejsza? Tak właśnie robi się interesy. Przecież wszystkie wielkie dynastie handlowe zaczynały w ten sam sposób. Malezyjczycy mieli wielowiekowe doświadczenia w handlu i obrocie towarami. Tradycje brytyjskie również sięgały zamierzchłych stuleci.

- Chodźmy - cicho zaproponował Sasza. Pojechali na wzgórze za Kuala Lumpur. Siedzieli w samochodzie i patrzyli na migające światła miasta. Dochodziła trzecia nad ranem. Nathalie nie mogła uwierzyć, że jeszcze nie śpi, że ciągle siedzi obok Saszy, że wsłuchuje się w każde jego słowo. Cały wieczór czuła żar i drżenie w dole brzucha. Za każdym razem, kiedy na nią spojrział, podawał szklaneczkę z drinkiem lub szklankę *tea-taree*, czuła, jak ogarnia ją fala gorąca i cała drży w środku. Uruchomił silnik. Jechał szybko w milczeniu, zatrzymał się tylko raz, żeby kupić papierosy od ulicznego sprzedawcy. Dziewczyna nie śmiała odezwać się ani słowem, dopóki nie zatrzymał się na podjeździe do małego domku i nie zgasił silnika. Odwrócił się do niej twarzą.

- Czy to twój... - zaczęła.

- Cicho. Już ci mówiłem, zadajesz za dużo pytań. Chodź. - Ostrożnie otworzył drzwi samochodu i wysunął się z siedzenia.

Nathalie jak w transie podążyła za nim. Była podniecona i zdenerwowana. Zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi i zdjął buty. Zrobiła to samo. Malezyjczycy nigdy nie wchodzili do domu w butach. Cicho otworzył drzwi i wciągnął ją do środka. Było ciemno i gorąco. Czuła ręce Saszy na ramionach, prowadził ją do swojego pokoju. Zamknął drzwi, włączył klimatyzator i rozsunał zasłony. Uliczna latarnia mdłym blaskiem oświetliła pokój. Oparł się o drzwi i patrzył na nią.

Nathalie z trudem przełknęła ślinę. Milczała, bała się, że głos się jej załamie. W słabym świetle widziała, jak zdejmuje okulary, rozpina koszulę i zdejmuje ją razem z białym podkoszulkiem, który miał pod spodem. Dostrzegła ciemne włosy pod pachami. Potem rozpiął i zdjął dzinsy... i czekał na nią.

Podeszła do chłopaka, pod powiekami czuła łzy. Wsunął ręce pod bluzkę, szukał mięciutkich piersi, pieścił każdą brodawkę, aż zaczęła cichutko jęczeć. Niemal bolesny dreszcz rozkoszy przeszył jej ciało. Pochylił głowę i pocałował ją. Zsunął ręce niżej, zatrzymał dłonie tuż pod paskiem spodni, leniwie, zmysłowo muskał pępek. Była napięta, bardzo napięta. Dłońmi przejechała po jego ramionach, czuła naprężone mięśnie i gładką skórę. Oddychał coraz ciężiej, rozpiął jej spodnie; zsunęły się na ziemię. Podniósł bluzkę do góry i nie starając się jej zdjąć, rozpiął koronkowy staniczek.

- Sasza - szepnęła, kiedy popychał ją do tyłu, w stronę łóżka. Już nie mogła go powstrzymać - podobnie jak samej siebie. Wstrzymała oddech, czekała na chwilę, kiedy samo ciało zbuntuje się przeciwko niej i powstrzyma ogarniające ją pragnienie... Nic takiego się jednak nie stało. Fale pożądania ogarniały Nathalie coraz mocniej, a kiedy poruszał się w niej, nie myślała już o niczym. Czuła bezbrzeżną rozkosz, kiedy oboje szczytowali. Zamknęła oczy.

- Kocham cię - szepnęła z wargami przy jego szyi. - Kocham cię. Nic nie powiedział. Obudził się przed świtem i delikatnie zdjął z szyi rękę dziewczyny. Wstał z łóżka, podniósł rzucony na podłogę podkoszulek i wyjął czystą parę bokserów. Ostrożnie otworzył drzwi sypialni. W domu panowała cisza. Włożył ubranie i przeszedł przez salon.

Otworzył frontowe drzwi. Na zewnątrz było ciepło i bezwietrznie, ogromna różnica po chłodzie klimatyzowanego pokoju. Stał w ciemności i przysłuchiwał się cykaniu świerszczy. Przypomniał sobie, że po drodze kupił paczkę papierosów, poszedł po nią do samochodu. Zapalił papierosa i usiadł na schodkach werandy. Z niedowierzaniem potrząsnął głową, nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. Właśnie przespał się z córką Cordelii. Była tutaj, leżała w jego łóżku, w domu jego babki. Dlaczego nie zabrał jej do hotelu? Co będzie, jeżeli babka się zorientuje? Szybko skończył papierosa i zerknął na zegarek. Musiał wyciągnąć Nathalie z łóżka, zanim Nek się obudzi. Było pół do szóstej. Babka będzie spała mniej więcej do pół do siódmej. Wcześniej się nie obudzi. Ciotka Nuria żartowała, że nawet trzęsienie ziemi by nie przerwało jej snu. Wstał i cichutko wrócił do sypialni. Ku jego zaskoczeniu Nathalie, owinięta prześcieradłem, stała przy oknie. Odwróciła się, kiedy wszedł do pokoju, i niewyraźnie uśmiechnęła.

- Zauważyłam... że cię nie ma - zaczęła, zbliżając się do niego.

- Podniósł ręce do góry, jakby chciał powstrzymać dziewczynę. Zatrzymała się, jej serce też stanęło. Posłuchaj - powiedział szybko. - Przepraszam za to, co się stało. Nie powinienem do tego dopuścić. Nie chcę ranić twoich uczuć.

Co chcesz mi powiedzieć? - szepnęła. Miała okropne przeczucia. Wiedziała, do czego Sasza zmierza.

- Nathalie. Mam... mam dziewczynę. To ktoś... ja się z nią ożenię. Nasze rodziny zaplanowały ten związek bardzo dawno. Powinienem ci powiedzieć. Wiem, że powinienem. Przepraszam.

- Och! - Dziewczyna nie wiedziała, jak zareagować. Nagle poczuła się bardzo niedojrzała i bezbrzeżnie głupia. Oczy zaszyły jej łzami, odwróciła się do chłopaka plecami. - Lepiej będzie, jeśli odwieziesz mnie do hotelu - szepnęła.

- Chyba tak. - Sasza podniósł dżinsy.

Możesz poczekać na zewnątrz, aż się ubiorę? - zapytała. Łzy płynęły jej po policzkach.

Oczywiście. - Zebrał pozostałe części garderoby i poszedł ubierać się do salonu. Dwadzieścia minut później wysiadła z samochodu przed Marriottem i bez słowa weszła do hotelowego holu. Nie powiedziała mu nawet „do widzenia”. Otworzyła drzwi swojego pokoju, weszła do środka i osunęła się na podłogę.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, gapiąc się przed siebie. Podniosła się, kiedy nogi całkowicie jej zdrętwiały, i utykając, pokuśtykała do łazienki. Świtało, a ona zmywała z siebie wszelkie ślady Saszy. Niewidzącym wzrokiem patrzyła, jak

mydlana woda wiruje wokół jej stóp i znika w odpływie.

## 32

Charmaine całą siłą woli próbowała otworzyć oczy. Powieki miała jakby sklezione butaprenem. Kiedy w końcu jej się udało, rozejrzała się za Bazem. Chłopaka nie było. Usiadła i starała się przypomnieć sobie, co robili poprzedniego wieczora. Nie pamiętała. Miała niejasne wrażenie, że wychodzili z Touchem i jednym czy dwoma jego kolegami. Chyba gdzieś do klubu w pobliżu lotniska. Jakiś Blue czy coś takiego. Było gorąco i ciemno, w pomieszczeniu kłębiło się od dymu. Wypiła drinka, w toalecie wzięła kreskę czy dwie kokainy. Zwyczajny piątkowy wieczór. Tyle pamiętała. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, jak wrócili do domu i dlaczego wciąż była kompletnie ubrana. Spuściła nogi z łóżka i spróbowała wstać. Dudniło jej w głowie, czuła mdłości. Pchnęła drzwi i starając się głęboko oddychać, weszła do łazienki. Nie chciała zaczynać dnia od wymiotów.

Po omacku szukała wyłącznika. Zmrużyła oczy, kiedy światło zalało malutkie pomieszczenie. Odkręciła kran, żeby umyć zęby, i spojrzała na siebie w lustrze. Cera zszarzała, łuszcząca się, cała w plamach; oczy zamglone, zmęczone, z rozmazanym makijażem; włosy martwe, proste, z widocznymi odrostami. Patrzyła na siebie, nawet nie będąc w stanie ocenić, jak okropnie wygląda. Automatycznie pochyliła się i zaczęła szczotkować zęby. Wypluła pastę i wypłukała usta. Wtedy zauważyła, że dziąsła krwawią. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Kilka dni temu Touch pokazywał straszne dziury w dziąsłach, gdzie powinny być zęby.

- A tak - oświadczył dumnie, widząc przerażenie Baza i Charmaine. - Choroba dziąseł. To gówno je zżera - powiedział, rozcierając odrobinę kokainy między palcami. - Musicie uważać. Trzeba chodzić do dentysty. Nie róbcie tego, co ja robiłem. Nie wcierajcie coraz więcej, żeby złagodzić ból.

Charmaine nauczyła się wcierać odrobinę kokainy w dziąsła, zanim wciągnęła kreskę. Zarówno Baz, jak i Touch twierdzili, że przez ślinę proszek bezpośrednio dociera do krwiobiegu i szybciej jest się na haju. Popatrzyła na różową pianę w umywalce. Nagle ktoś zapukał do drzwi. To ją zaskoczyło, Baz nigdy nie pukał, drzwi nawet nie były dokładnie zamknięte. Wypłukała usta.

- Baz?! - zawołała, splukując krew z umywalki. - Czego chcesz?

- To nie Baz, to ja, Lindy. Mogę wejść? Zaraz się zleję. Charmaine szarpnęła drzwi i otworzyła je na oścież. Kim, u diabła, była Lindy? Do łazienki wpadła prawie naga, drobna, ciemnowłosa dziewczyna i usiadła na sedesie. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy z obecności drugiej osoby.

- Kim jesteś? - zapytała Charmaine, przyglądając się nieznajomej. - Skąd się tu



wzięłaś?

- Przyszłam z Bazem - pogodnie odparła dziewczyna i sięgnęła po papier toaletowy.

- Nie pamiętasz? Przyszliśmy wszyscy razem. Co to znaczy? Co za my? Ja i Baz?

- Taaak. Wczoraj wieczorem... Co z tobą? - Wstała i spuściła wodę. Miała na sobie coś, co wyglądało jak bokserki Baza, i nic poza tym. - Boże, jak ja kurewsko wyglądam. - Krytycznym wzrokiem obejrzała się w lustrze. Była młoda, miała nie więcej niż osiemnaście lat, jasną karnację, duże, niebieskie oczy i ciemne, kasztanowe włosy. Charmaine nigdy jej wcześniej nie widziała.

- Przepraszam, ale dlaczego masz na sobie majtki Baza? - zapytała. - Przyszłaś z Touchem? Jesteś jego znajomą?

- Nie, już ci mówiłam. Jestem znajomą Baza. O co ci chodzi? Będziesz tak tu stała cały ranek i zadawała kretyńskie pytania? - Wzięła szczoteczkę do zębów z rąk Charmaine i zmoczyła pod wodą. Najwyraźniej miała zamiar jej użyć.

- To moja szczoteczka! - krzyknęła Charmaine i wyrwała ją z ręki Lindy.

- Och! - pisnęła dziewczyna. Charmaine zadrapała ją paznokciami. - Nie wyciągaj łap do mnie! - warknęła.

- Wynoś się z mojej łazienki! - drżącym z wściekłości głosem nakazała Charmaine.

- O ho ho! Przepraszam bardzo! - dziewczyna roześmiała się nieprzyjemnie.

Sądziłam, że to mieszkanie Baza.

- Wynoś się! - Charmaine już krzyczała. Nie wiedziała, kim jest Lindy, i wcale nie chciała wiedzieć. Pragnęła tylko, żeby dziewczyna wyniosła się z mieszkania, i to jak najprędzej.

- Co tam się, do cholery, dzieje?! - zaspanym głosem krzyknął z salonu Baz. Obie dziewczyny odwróciły się w tamtą stronę. Charmaine szarpnięciem otworzyła drzwi do salonu. Baz leżał na rozłożonych na podłodze poduszkach z kanapy, które tworzyły prowizoryczne łóżko. Podwójne łóżko. Między prześcieradłami walały się części garderoby Lindy: czarny staniczek, wojskowa bluza i minispódniczka w lamparci wzorek. Charmaine z niedowierzaniem patrzyła na bałagan w salonie.

- Char, daj jej spokój, dobra? - Baz nakrył głowę poduszką. Dziewczyna odwróciła się do nieznajomej, oczy jej płonęły. Coś w niej pękło. To była ostatnia kropla, czara się przelała.

- Wynoś się z mojego domu, zanim wezwę policję. Rusz się, zbieraj swoje manatki i wynoś się - powiedziała najspokojniej, jak mogła. Podeszła do prowizorycznego łóżka, pochyliła się i zaczęła zbierać garderobę dziewczyny. - Rusz się! - krzyknęła, rzucając w nią ubraniami. - No, rusz się! Natychmiast!

Lindy popatrzyła na rywalkę i zaczęła się ubierać.

- Do jasnej cholery, Char - jęknął Baz spod poduszki.

- Baz - Charmaine spojrzała na niego lodowatym wzrokiem - jeszcze jedno słowo, a przysięgam, że chwycę za telefon. Jestem pewna, że policja z Los Angeles będzie zachwycona informacją, co robiłeś, odkąd skończyła ci się wiza. - Obrzuciła oboje pogardliwym spojrzeniem i poszła z powrotem do łazienki.

Usiadła na sedesie, krew uderzyła jej do głowy, ręce drżały, w uszach szumiało. Przez cienkie ściany słyszała, że rozmawiają szeptem. Baz zrobił rzecz straszną: przyprowadził do domu dziewczynę, kiedy Charmaine po alkoholu i narkotykach leżała nieprzytomna. Jednak okropieństwo jego zachowania zbladło, kiedy uświadomiła sobie, co robi ona sama. Prawdziwą grozę budził jej własny stan. Musiała się stąd wyrwać. Musiała stanąć na nogi. Dla niej i dla Baza był to już kres wspólnej drogi. Bardzo bała się zostać sama w Los Angeles, wiedziała jednak, że musi od niego odejść. Znajdzie jakąś pracę, zarobi pieniądze i oszczędzi na bilet powrotny do Anglii.

Baz znalazł się na dnie - pomyślała i dopiero teraz uświadomiła sobie, że chciał ją pociągnąć za sobą. Przyjechał do Los Angeles pełen pomysłów, marzeń i nadziei - chociaż w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć, jakie to były pomysły - i związał się z nieodpowiednimi ludźmi. Touch był jego złym duchem. Zwodził Baza obietnicami i nierealnymi marzeniami o wielkiej karierze. Dwie łzy spadły na dłonie. To było ponad jej siły: ta głupia dziewczucha w jej łazience, czyszcząca zęby jej szczoteczką po tym, gdy nie wiadomo co robiła z jej chłopakiem... Dłużej nie wytrzyma nawet jednego dnia. Tylko co, do diabła, ma zrobić? Sięgnęła po papier toaletowy. Czuła mdłości. W głowie miała gonitwę myśli. Była bez pieniędzy, zostało jej jakieś dwadzieścia dolarów w bilonie... nie miała gdzie mieszkać, nie licząc tej zaplutej nory, którą dzieliła z Bazem i skąd musiała uciec. Ale gdzie? Matki już nie mogła prosić nawet o jednego centa. Potrzebowała środków na przeżycie kilku tygodni i bilet lotniczy do Londynu. Skąd wziąć pieniądze? Nie miała nawet na taksówkę do miasta.

Nagle przypomniała sobie rozmowę z jedną z dziewczyn, którą bez najmniejszego trudu poderwał i przyprowadził do domu Touch. Nazywała się Jessica. Była tak zwaną tancerką. Pracowała w jakimś klubie w centrum miasta. W tym lokalu mężczyźni płacili tancerkom za taniec z nimi - nic poza tym, no może jeszcze za chwilę rozmowy. Pracowała na najpóźniejszą zmianę, od północy do czwartej nad ranem, i zarabiała furę pieniędzy. Ja też mogłabym to robić - pomyślała Charmaine i wydmuchała nos. Nie trzeba wielkich umiejętności, żeby tańczyć i prowadzić głupiutką rozmowę z garstką biznesmenów w średnim wieku, a tak właśnie swoją pracę opisywała Jessica. Nie robiła striptizu ani niczego podobnego. Usłyszała trzask frontowych drzwi. Mała suka wyszła. Charmaine wstała. Postanowiła odnaleźć numer telefonu Jessiki i do niej zadzwonić. To będzie pierwszy krok. Nie była pewna siebie, tylko przerażona i bardzo samotna, ale kiedy zobaczyła w swojej łazience tę małą zdzirę, coś w niej pękło. Musiała uciec od Baza. I to szybko. Dlaczego, u licha, tak długo z nim była?

Był jeden z tych cudownych, jasnych, słonecznych dni, jakie czasami zdarzają się pod koniec września, kiedy wiatry Santa Ana przejdą nad Los Angeles i przegonią smog nad ocean. W krystalicznie czystym powietrzu wszystko było widać wyraźnie i ostro, nawet cienie. Po błękitnym niebie bardzo wysoko płynęły kilka śnieżnobiałych chmur. Wszystko sprawiało wrażenie idealnej doskonałości. Z lewej strony szumiało morze, głębsze błękitne lustro bezkresnych przestworzy nad głową. Ciemne szczyty pasma górskiego Sierra Mądre wiły się razem z krętą drogą wzdłuż wybrzeża. Bruce Eastman pędził autostradą nad brzegiem Pacyfiku w kierunku Santa Barbara. Stary kabriolet Karmann Ghia pokonywał drogę z szybkością ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Jeszcze nigdy aż tyle nie wyciągał. Bruce był w Kalifornii już sześć tygodni, ale po raz pierwszy wyjechał za Los Angeles, paskudne, rozległe miasto, do którego został wysłany, a raczej zesłany - pomyślał z goryczą. Nienawidził Los Angeles.

Wspominał Kapsztad, ciemnoniebieski ocean i jasny błękit nieba - najbardziej bezmiernego na świecie - nad Afryką Południową. Nigdzie niebo nie było tak wysoko jak nad Kapsztadem. Poczul tęsknotę za rodzinnym domem. Starał się otrząsnąć z tych uczuć. Jechał na najważniejsze spotkanie w życiu. Chwila zupełnie nieodpowiednia na nostalgiczne rozmyślenia. Oderwał wzrok od morza i spróbował skoncentrować się na zadaniu, które go czekało. Całe miesiące zacieśniał znajomość z najnowszym kontaktem, młodym studentem z Bahrajnu. Jego ojciec miał dostęp do broni, której bardzo potrzebowali. Teraz on, Abdul i Justin umówili się na spotkanie w barze przy college'u w Santa Barbara, aby omówić warunki finansowe. Po raz pierwszy będzie brał udział w takim spotkaniu, natomiast Justin miał spore doświadczenie, uczestniczył już w niejednych rozmowach. Nawet był w Algierii, kiedy MK, inaczej Włócznia Narodu (Umkhonto we Sizwe), jedna z licznych organizacji narodowowyzwoleńczych, której wszyscy trzej byli członkami, zeszła do podziemia. Przynajmniej tak twierdził.

Bruce prowadził samochód w górę rozległego wzgórza na północ od Malibu. Przy odrobinie szczęścia za dwie godziny będzie w Santa Barbara. Jeszcze raz przeanalizował w myślach całą sytuację. Zniszczył wszystkie numery telefonów, które dostał. W kieszeni miał telegram od Paula z Londynu i potwierdzenia z Bahrajnu oraz Abu Zabi. Poczul ucisk w żołądku. Bardzo długo czekał na tę chwilę.

## CZĘŚĆ CZWARTA

34

*Listopad 1986, Londyn*

Dwa lata później, podczas wspaniałego przyjęcia w hotelu Grosvenor House na Park Lane, Nathalie otrzymała pochwałę komisji przyznającej nagrody dla Najlepszego Młodego Przedsiębiorcy Roku z rąk promieniejącej Liz Brown, wydawcy miesięcznika „Cosmopolitan” i współorganizatora imprezy. Z trojgiem partnerów, Philippe'em, Marcusem i Juliette, pozowała do zdjęć, a potem poszli w miasto uczcić wyróżnienie i upili się do nieprzytomności.

Następnego ranka obudziła się obok Marcusa. W ustach czuła coś w rodzaju knebla z waty, pod powiekami miała piasek. Leżała bez ruchu i patrzyła, jak długie muślinowe firanki falują w podmuchach porannego wietrzyku. Jesień była zaskakująco pogodna, zza chmur co chwila wyglądało słońce, a w jego promieniach za każdym razem biała sypialnia wyglądała inaczej. Chłopak leżał na plecach i cicho pochrapywał. Nathalie sama nie mogła uwierzyć, że udało się jej zapomnieć o Saszy i wrócić do Marcusa.

W głębi duszy wiedziała, że nigdy nie wzbudzi w niej uczucia, jakim darzyła Saszę. Czasami myślała, że Marcus również wie, że jej serce należy do innego, nigdy jednak nic na ten temat nie powiedział. Twierdził, że jest z nią szczęśliwy, nawet jeśli tylko tyle może mu ofiarować.

Westchnęła. Wiedziała, że nie jest w stanie zmusić serca do uczucia, którego nie ma. Chłopak jednak pogodnie na wszystko się godził, znosił jej zmienne nastroje, porywczy temperament, fakt, że nie lubiła uprawiać seksu - przynajmniej z nim... Czasami myślała, że ta jego gotowość do akceptowania jej taką, jaka jest, jeszcze pogarszała sprawę. Czuła nagą nogę Marcusa obok swojej... Chyba kochali się wczoraj. Chyba się nie sprzeciwiła. Poczowała ulgę. Tylko w jeden sposób udawało się jej przemóc niechęć: kiedy upiła się niemal do nieprzytomności i mocno zamykała oczy. Niestety, piła niewiele, więc takie sytuacje zdarzały się bardzo rzadko. Mimo to chłopak nigdy nie narzekał. Nieustannie powtarzał, że bardzo ją kocha i nie przeszkadza mu, że nie lubi uprawiać seksu. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś przeżyje zmysłową rozkosz, jakiej doświadczyła z Saszą.

Poczowała mdłości. Wiedziała, że będzie wymiotować. Podniosła ciężką kołdrę, wysunęła się z łóżka i ledwo zdążyła do łazienki. Zwróciła kawior, krewetki i czereśniowe pomidorki - wszystko, co zjadła podczas przyjęcia. Wyprostowała się i spojrzała na siebie w lustrze. Była blada, włosom przydałoby się strzyżenie... powinna wziąć urlop. Rozejrzała się po łazience. Ten widok zawsze poprawiał jej humor. Cordelia zajęła się urządzaniem mieszkania, które razem z Marcusem kupili

na początku lata. Jenny, dziewczyna Philippe'a, była w ciąży i Nathalie uznała, że powinna się wyprowadzić ze wspólnego apartamentu.

Znaleźli mieszkanie z jedną sypialnią w kompleksie Chelsea Studios, uroczym, zacisznym osiedlu niedaleko Fulham Road. Kiedyś mieściła się tu odlewnia żelaza, w latach sześćdziesiątych prywatny przedsiębiorca budowlany przekształcił to miejsce w kompleks pracowni artystycznych i mieszkań na poddaszach we włoskim stylu. Na środku ładnego, wspólnego dziedzińca tryskała fontanna. Miejsce było urocze. Grube dębowe wrota w trudnym do określenia murze, odgradzającym enklawę od głównej ulicy, otwierały drzwi do innego świata. Delikatne gałązki wierzb płaczących, drzewiaste pnącza i szum wody w fontannie na dziedzińcu czyniły z osiedla Zaczarowany Ogród. Od pierwszego wejrzenia zakochali się w tym miejscu.

Cordelia spisała się znakomicie. Wkrótce miała zostać babcią, serce eksplodowało jej macierzyńskimi uczuciami. Tego nikt, a już najmniej własne dzieci, po niej się nie spodziewał. Przyjęła rolę Wielkiej Pomocnej Dłoni i poświęciła się jej bez reszty. Była gotowa zająć się wszystkim, nic nie sprawiało jej kłopotu. Na każdą prośbę dzieci przyjeżdżała do Londynu. Pomagała w wybieraniu sprzętów, przy urządzaniu mieszkania, zabierała Jenny na ekstrawaganckie zakupy, zapraszała Nathalie i Marcusa na podwieczorki, do opery. Niespodziewanie odkryła w sobie pasję dekoratorki wnętrz. Całe godziny spędzała nad czasopismami z ogromnymi nożycami w ręku, wycinała rozwiązania, które wpadły jej w oko, i wklejała je do dużego, oprawionego w skórę albumu. Kiedy Nathalie i Juliette miały wolną chwilę, siadała z nimi i przedstawiała gotowe pomysły i projekty.

Do łazienki na podłogę wybrała prawie białą terakotę. Ściany były kredowobiałe, a akcesoria z ciemnego drzewa tekowego. Na jednej ścianie pod odpowiednim kątem stało ogromne lustro w rzeźbionej drewnianej ramie indonezyjskiej. Wanna była głęboka i szeroka, słuchawka prysznicowa przymocowana wyżej. Drewniane koszyczki z ręcznikami, mydełkami i pachnącymi olejkami umieszczono w różnych miejscach.

- Co - tylko - potrzebujesz lub wszystko - czego - potrzebujesz do Kompletniej Rozkosznej Toalety - śmiała się Cordelia, przeglądając kolejny album z wystrojami wnętrz. Stała się ekspertem w tej dziedzinie. Nathalie uśmiechnęła się do siebie.

Dobrze się czuła w mieszkaniu, które urządzili z Marcusem.

- Nat?! - zawołał chłopak. - Dobrze się czujesz?

- Tak, dobrze - odpowiedziała, wchodząc do sypialni. - Wezmę prysznic. Co chcesz robić przed południem? - zapytała, podnosząc z podłogi szlafrok. Przez chwilę milczał. Prawdę mówiąc, najbardziej pragnął znowu się z nią kochać - rankiem zawsze miał największą ochotę na seks - to jednak nie wchodziło w rachubę.

Westchnął.

- Co powiesz na śniadanie? - popatrzył na nią pytająco. - Dasz radę coś przełknąć?

- Jasne. Za pół godziny. - Zniknęła w łazience. Podniósł kołdrę i popatrzył na siebie. Orzech do zgryzienia stawał się coraz twardszy. I wcale nie myślał o prąciu. Rianne

i Gabby siedziały przy stole w kuchni. Rianne przyglądała się koleżance. Gabby bardzo schudła, była niepokojąco szczupła, obojczyki wyraźnie sterczały.

Obojczyki? W przypadku Gabby?

Co się z tobą dzieje? Nikniesz w oczach. Oj, nie mów głupstw. Nic podobnego. Po prostu ciężko pracuję. Nie mam czasu na jedzenie.

- Bzdury. Nigdy nie byłaś aż tak chuda. Martwię się o ciebie.

- To ja powinnam martwić się o ciebie - sucho odparowała Gabby. Wstała, żeby postawić czajnik na gazie. - Z ciebie praktycznie już nic nie zostało. - Mówiła prawdę. Rianne jeszcze wyszczuplała i wyglądała fantastycznie. Przyjechała do Londynu ze swoim nowym chłopakiem, Olivierem, zdaniem Gabby tak przystojnym, że na jego widok można było paść trupem. Podobnie jak Rianne pracował jako model. Do Londynu przyjechali wziąć udział w pokazach z okazji Londyńskiego Tygodnia Mody.

- Gabby, przestań zmieniać temat - stanowczym tonem sprzeciwiła się Rianne. - Jak tam Dominie?

- Jest wspaniały. - Koleżanka uśmiechnęła się promiennie. Może odrobinę zbyt promiennie.

Rianne zmarszczyła brwi. Wspaniały? Gabby zazwyczaj nie używała takich określeń. Działo się coś dziwnego. Koleżanka stała się podejrzanie wesoła i niezwykle jak na siebie ożywiona. Wyglądała dobrze, chociaż była wręcz chuda. Włosy miała długie, kręcone i... czyżby je ufarbowała?

- Co zrobiłaś z włosami? Wyglądają wspaniale. - To jest właściwe zastosowanie tego przymiotnika.

- Podobają ci się? - Gabby niespodziewanie się zarumieniła. - Położyłam hennę. Sama nie wiem... ja... no, wyglądają inaczej. - Ręką sięgnęła do włosów.

- Nie, wyglądają wspaniale, naprawdę wspaniale. Poza tym nigdy nie nosiłaś tak długich włosów, to wszystko. Bardzo ci w nich dobrze. - Gabby znowu się zarumieniła.

- Co się z nią dzieje? - zastanawiała się Rianne. Koleżanka zachowywała się tak, jakby nigdy nikt nie prawił jej komplementów. Czy o to chodzi? Rianne od ponad roku nie widziała Dominica. Nie mieszkali razem, Dominie z kilkoma znajomymi wynajmował mieszkanie w Clapham, a Gabby dzieliła z koleżankami dom w Bloomsbury. Stanowczo odmówiła zamieszkania przy Wilton Crescent, kiedy przyjechała do Londynu na kurs prawa międzynarodowego i praw człowieka.

- Nie bądź niemądra - zdecydowanym tonem tłumaczyła koleżance - od początku studiów w Oxfordzie tylko cię wykorzystuję. Wystarczy.

Rianne protestowała długo i głośno, ale Gabby pozostała nieugięta. Dodała jeszcze, że przepych apartamentu przy Wilton Crescent nie pasuje do jej aktualnego stylu życia. Z drugiej strony nie było ono zbyt intensywne.

- Wiesz co? - odezwała się Gabby. - Wiesz, o kogo naprawdę się martwię? Rianne

twierdząco skinęła głową. Wszystkie martwiły się o Charmaine.

- Udało ci się z nią skontaktować? - zapytała.

- Nie. Jej mama dała mi numer telefonu, ale nigdy nikt nie odbiera... i nie ma automatycznej sekretarki. Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje. Co możemy zrobić?

- Rianne pomyślała, że życie jest niesprawiedliwe. Im trzem wszystko dobrze się układało, a Charmaine miała kłopoty. W ciągu trzech lat od ukończenia szkoły Świętej Anny Rianne nie tylko zrozumiała, jak wiele znaczą dla niej przyjaciółki, uświadomiła sobie również, jak bardzo wszystkie cztery potrzebują siebie nawzajem. Po szkole ich przyjaźń jeszcze się pogłębiła. Kiedy poznała powierzchowny, zmienny świat mody i zdała sobie sprawę, jak krótko świecą gwiazdy na firmamencie sławy, zrozumiała, czym są dla niej przyjaciółki i jak bardzo może na nich polegać. Poza ciotką Lisette, której wsparcie sprowadzało się bardziej do gderania niż pochwał, trzy koleżanki ze szkoły zawsze były niezawodne. Na początku znajomości trochę się na nie boczyła, teraz jednak ufała im bezgranicznie, szczególnie Gabby. Stały się dla niej kimś więcej niż przyjaciółkami, traktowała je jak siostry. Sama była zaskoczona takim stanem rzeczy, przecież właściwie nie miała rodziny, a jednak czuła z nimi prawdziwie rodzinną więź.

- Nie wiem - powiedziała Gabby, w zamyśleniu mieszając kawę. - Może jedna z nas powinna tam pojechać.

- Przecież nie wiemy, gdzie jest. Los Angeles to wielkie miasto - wolno powiedziała Rianne. Czuła się winna. Sześć miesięcy temu była w LA. Uważała, że miasto jest okropne. Nie próbowała odnaleźć Charmaine, nawet nie wiedziała, od czego zacząć.

- No, tak. Głupi pomysł. Bardzo się o nią martwię. Popatrz, co za niesprawiedliwość. Spójrz na siebie, popatrz na Nathalie, ułożyłyście sobie życie. Doskonale się wam wiedzie.

- A ty, Gabs - przypomniała Rianne i znowu zmarszczyła brwi. Z przyjaciółką naprawdę działo się coś złego. Pal diabli Charmaine. - Gabby, powiedz prawdę, u ciebie wszystko w porządku? Co? Powiedz. - Dziewczyna nie odpowiedziała. - Gabby? - Rianne uważnie przyglądała się przyjaciółce. Ta milczała i siedziała bez ruchu. - Gabby? - powtórzyła Rianne.

- Och, wszystko w porządku - niespodziewanie odezwała się Gabby. Wstała i podeszła do zlewozmywaka. Zrobiła wielkie przedstawienie: starannie umyła kubek, potem go wytarła, splukała i wytarła do sucha zlew.

Rianne przyglądała się jej z niepokojem. Z przyjaciółką niewątpliwie coś było nie tak. Nie chodziło tylko o jej wygląd, działo się coś niedobrego. Miała ochotę powiedzieć: przestań się martwić o Charmaine, pomyśl o sobie.

Na drugiej półkuli powód niepokoju londyńskich koleżanek szykował się do pracy. Było pół do jedenastej wieczorem, za pół godziny zaczynała zmianę. Charmaine szybko dokończyła tuszowanie rzęs i nałożyła na policzki odrobinę korektora. Jeszcze trochę lakieru na włosy i była gotowa. Dokładnie o dziesiątej trzydziści pięć usłyszała klakson taksówki. Otworzyła drzwi pokoju motelowego i zbiegła po

schodkach.

- Cześć, Księżniczko z Bajki - powitał ją Joe, zaprzyjaźniony taksówkarz, kiedy wsiadała. - Jak leci?

- W porządku, Joe. Dzisiaj jestem trochę zmęczona - uśmiechnęła się do niego. Zawsze nazywał ją Księżniczką z Bajki. Mówił, że to z powodu jej pięknego głosu. Takiego samego, jaki ma Lady Di. Był najmilszą osobą, jaką poznała, odkąd zaczęła pracować w klubie Flamingo. Pochodził z głębokiego południa, gdzieś z Luizjany. Miał potężny głos i równie głośno się śmiał. Był podobny do Barry'ego White'a, ale śpiewał - jak twierdził - znacznie lepiej, chociaż nie nagrał jeszcze żadnej płyty. Mawiał, że „sława czeka za rogiem”. A on właśnie tam zmierza.

- Ale nie wyglądasz na zmęczoną. Ładna sukienka.

- Dzięki, Joe.

Piętnaście minut trwała jazda na róg ulicy Vermont i Trzeciej, gdzie mieścił się klub. Przez okno patrzyła na Pico Boulevard. Kręciło się tu mnóstwo naganiaczy, handlarzy narkotyków i prostytutek. Na każdym rogu była cukiernia i stał wóz policyjny, a tej części miasta wcale jeszcze nie uważano za najgorszą. Otworzyła torebkę - miała w niej czterdzieści dolarów, trochę drobnych i szminkę. Joemu była winna dwadzieścia pięć dolarów, Jessice dziesięć. Pozostałe pięć dolarów musiało jej wystarczyć do poniedziałku. Wyjęła dwadzieścia pięć dolarów dla Joego i ze złością zatrzasnęła torebkę.

- Proszę uprzejmie, Księżniczko z Bajki. Uważaj na siebie. Do zobaczenia jutro rano. - Mężczyzna wysiadł z taksówki i otworzył dziewczynie drzwi. Dochodziła jedenasta. Wręczyła mu tygodniową zapłatę za taksówkę i wbiegła po schodach na górę. W tej części miasta, a szczególnie w pobliżu klubu Flamingo, lepiej było zbyt długo nie zatrzymywać się na ulicy.

Charmaine? - Sharkey, kierownik klubu, popatrzył na nią groźnie, kiedy szła przez parkiet. W środku był tłum klientów. Panowie w średnim wieku taksowali wzrokiem dziewczęta stojące w rzędzie w głębi sali. Spostrzegła kilka dziewczyn, które teraz były jej najlepszymi koleżankami.

Tania, wysoka, interesująca blondynka, z pochodzenia Rosjanka, pracowała w klubie niemal tak długo jak Charmaine, prawie półtora roku. Półtora roku? Czas płynął bardzo szybko. Zamierzała pracować w lokalu nie dłużej niż dwa miesiące.

Dostrzegła Shanique, ubraną w rzucający się w oczy cukierkoworóżowy obcisły strój z lycry. Już szła na parkiet ze swoim stałym klientem, niskim, łysiejącym mężczyzną o imieniu Johnny. Johnny? Jasne. Każdy z nich miał na imię Johnny. Żaden ze stałych klientów Charmaine jeszcze się nie pojawił. Zniknęła w szatni, chciała poprawić usta i zostawić torebkę.

Przebój Tiny Turner - ulubiony kawałek w klubie Flamingo - grzmiał z głośników. Prywatna tancerka... Kilku mężczyzn uśmiechnęło się pod nosem, kiedy Charmaine dołączyła do dziewcząt, czekających, aż ktoś poprosi je do tańca.



Już po kilku sekundach wybrał ją dla siebie niski, spocony Koreańczyk. Podał numer dziewczyny kontrolerowi i ruszył z nią na parkiet.

- Skąd pochodzisz? - zapytał, kiedy w takt walca wirowali po parkiecie. Charmaine westchnęła. W Los Angeles zawsze zadawano to samo pytanie: skąd jesteś? Czy w ogóle nikt nie pochodził z Los Angeles?

- Z Moskwy - odparła znudzonym tonem.

- Aha - skwitował bez uśmiechu. Dziewczyna nie miała zamiaru się starać. Już zapłacił piętnaście dolarów za taniec, z których ona dostawała pięć. Niecierpliwie czekała na koniec dziesięciominutowego bloku melodii.

- Charmaine - usłyszała głos Jessiki. - Jesteś tam?

- Jestem. Za chwilę wychodzę. - Spuściła wodę w łazience. Miała przerwę.

- Masz dla mnie dziesięć dolarów? - zapytała Jessica, kiedy wyszła.

- W torebce - Charmaine skinęła głową. - Co palisz?

- Trawkę. Chcesz?

- Nawet bardzo - szczerze odpowiedziała Charmaine - ale nie mam dzisiaj przy sobie więcej pieniędzy - skłamała. - Mogę ci za nią zapłacić w poniedziałek?

- Jezu, Charmaine! Dlaczego zawsze coś mi wiesz? - burknęła Jessica. Poprawiła perukę w pękniętym lustrze. - No dobra, ale to już ostatni raz, słyszysz? - W torebce szukała małej plastikowej torebeczki. - Ostatni raz, przysięgam! Dawaj te moje dziesięć dolców!

Charmaine podała koleżance pieniądze, z wdzięcznością wzięła torebeczkę i wsunęła za stanik. Czas wracać na parkiet. Spojrzała na zegar na ścianie: jeszcze tylko dwie godziny.

O czwartej była bardzo zmęczona. Tej nocy w klubie pojawiło się tylko dwóch jej stałych klientów, co oznaczało, że większość czasu spędziła przy barze, czekając, aż ktoś ją poprosi. Wypiła chyba ze cztery litry lemoniady. Sharkey nie lubił, kiedy dziewczyny się upijały. Smutniały po alkoholu. Skończyła ostatni taniec tej nocy i poszła do szatni. Joe już pewnie zaparkował przed wyjściem; starała się, żeby nigdy na nią nie czekał. Chwyciła torebkę, przecisnęła się obok Sharkeya i poczuła jego obmierzłe, grube dłonie na biodrach. Musiała znosić obłapywania kierownika. Był to jeden z warunków pracy, „lewy” zarobek, jak żartowały dziewczyny. Na szczęście niczego więcej z nią nie próbował.

- Cześć! - krzyknęła, zbiegając po schodach w dół. Marzyła o gorącym prysznicu. Potem się położy i trawką ulula do snu.

- Dobry wieczór, Królowno z Bajki! - Joe otworzył drzwi taksówki. - Miałaś dużo pracy?

- Za dużo. Marzę o łóżku!

- Słyszałem! - Joe obszedł samochód i wsunął się na miejsce kierowcy. Pracował na martwą zmianę, a także na poranną, popołudniową i wieczorną. Charmaine pomyślała, że chyba nic innego nie robi, tylko na okrągło pracuje. Mieszkał gdzieś w okolicach Compton, jak jej kiedyś powiedział. I tak nie wiedziała, gdzie to jest.

Przez półtora roku, od czasu, kiedy wyprowadziła się z brudnego mieszkania Baza, widziała centrum miasta, Blue Anchor Motel, w którym mieszkała, Beverly Hills i prze piękną plażę Pacific Palisades. Kiedyś wybrały się tam z dziewczynami na całodniową wycieczkę. Była w Los Angeles dwa lata i jeszcze nigdy nie wyjechała za miasto.

Otworzyła drzwi do pokoju 301, zrzuciła z nóg białe pantofle na wysokich obcasach i boso poszła do łazienki. Rozebrała się, odkręciła kurki i podziękowała Bogu za Amerykę: nawet w najpodlejszych miejscach prysznic działały sprawnie. Umyła włosy, splukała dym papierosowy z utlenionych pukli - panowie woleli blondynki, tak przynajmniej twierdził Sharkey. Otworzyła torebkę, wyjęła trawkę i sprawnie przygotowała skręta. Pięć minut później, nieco bardziej odprężona, wgramoliła się do łóżka. Zanim zasnęła, tęsknie i z rozrzewnieniem pomyślała o Londynie. Zastanawiała się, co porabiają Rianne, Nathalie i Gabby. Przypomniała sobie, że kilka miesięcy temu widziała twarz Rianne na okładce jakiegoś czasopisma. Pomyślała też o matce. Na szczęście zasnęła, zanim do oczu napłynęły jej łzy.

## 35

- Znowu znakomicie się spisałeś, Eastman - pochwalił Justin i zaciągnął się papierosem. Obaj obserwowali, jak Abdul al - Rasani wsiada do swojego kabrioletu marki Porsche i ostro rusza z miejsca.

- Dzięki. - Bruce starał się nie okazywać zadowolenia. - Kiedy będzie dostawa?

- Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu. Mzima zatelefonuje, żeby potwierdzić termin. Dobra robota - powtórzył. - Jeśli wszystko pójdzie gładko, za niespełna rok znajdziemy się w siodle.

Bruce milczał. Nie miał pojęcia, co dokładnie kryje się za określeniem „znajdziemy się w siodle”. Justin mu nie powiedział. To była jedna z niepisanych reguł. Słyszał o białych, którzy awansowali ponad szeregowych współpracowników, ale nigdy nikogo takiego nie spotkał. Na tym etapie wtajemniczenia cieszył się, że może pomóc nawet w niewielkim stopniu. Dziwne czasy - mruknął pod nosem, kiedy razem sączyli piwo. Dla reszty świata wyglądał; jak koledzy z college'u. W rodzinnym kraju nawet by się nie spotkali, a tym bardziej nie planowaliby wspólnie obalenia rządu. To nie znaczy, że był blisko ośrodków decyzyjnych. Nawet nie wiedział, ilu członków liczy MK, na czym koncentruje swoją działalność i kto jest przywódcą. W pewnym sensie nawet nie chciał tego wiedzieć. Nie przeszkadzało mu, że odbiera rozkazy od człowieka, którego ojciec prędzej by zastrzelił, niż wpuścił do salonu albo pił z tej samej co on filiżanki. W tym tkwił cały paradoks: kochał swoją rodzinę, kochał swoją ojczyznę i kochał swoje nowe życie oraz tę malutką rolę, jaką mógł w nim odgrywać.

- No, *boertjie* - powiedział Justin. - Dokąd teraz?

- Nie wiem. Chyba z powrotem do Los Angeles.

- Będziemy w kontakcie. Możemy mieć dla ciebie inne zadania. Dam ci znać. - Justin podniósł się i wychylił piwo do dna. Po raz pierwszy trzykrotnie uściśnął Bruce'owi dłoń i odszedł.

Eastman patrzył za nim i ze wszystkich sił powstrzymywał łzy. Współpracowali już trzy lata, a dopiero dzisiaj po raz pierwszy Justin okazał mu zadowolenie. Czuł się szczęśliwy.

## 36

- *Unjani, mfana?* (Jak się masz, młody człowieku?). - Czterej mężczyźni unieśli głowy, kiedy Riitho wszedł do eleganckiego gabinetu. Wszystkie ściany pokrywały półki z książkami.

Powoli przechodził od jednego do drugiego, ścisnął ręce, kłaniał się i uprzejmie odpowiadał, kiedy ktoś zwrócił się do niego z pytaniem.

- *Ndiphilile, enkosi mhlekazi* (Doskonale, dziękuję panu). Lebohang pęczniał z dumy. Bez względu na to, jak jego podopieczny zmienił się od tego czasu, kiedy prawie piętnaście lat temu przyjechali do Anglii, nie zapominał ani swojego ojczystego języka, *khpsa*, ani dobrych manier. Ochroniarze szybko poruszali się między mężczyznami, podawali drinki, podsuwali małe miseczki z orzeszkami. Trochę czystej, ciepłej wody dla Dyaniego; narzekał, że zimna woda w Anglii ma katastrofalny wpływ na jego gardło.

To było najważniejsze od kilku lat zebranie przedstawicieli ścisłego kierownictwa Ruchu, jakiego Lebohang był świadkiem. W kraju nadal obowiązywał stan wyjątkowy, toteż większość najważniejszych przywódców przebywała na wygnaniu w różnych częściach świata. Tak było bezpieczniej. Kiedy już wszyscy zostali obsłużeni, ochroniarze wyszli z pokoju, żeby poczekać na koniec spotkania w kuchni, pod czujnym okiem zdenerwowanej żony jednego z prominentnych polityków brytyjskiej Partii Pracy, który na miejsce zebrania zaproponował własny dom. Riitho nie usiadł, dopóki jeden ze starszych mężczyzn nie zaproponował mu miejsca.

Cieszę się, a jednocześnie boli mnie twoja obecność tutaj - zagaił jeden z mężczyzn, odchrząknąwszy. Był mocno zbudowany, dobrze po pięćdziesiątce. Riitho bardzo się starał zrozumieć jego słowa. Mężczyzna mówił w języku ojca Modise'a. Matka Riitha nie pochodziła z Republiki Południowej Afryki, była Kenijką. Po poznaniu na początku lat sześćdziesiątych w Londynie pana Livingstone'a już nie wróciła do Kenii. Sama postanowiła nauczyć się języka plemienia Khosa i uczyć go dzieci, a nie języka swojego ludu - Kikuju. Tylko w kwestii imienia pierwotnego syna okazała się nieugięta. Chciała, żeby przypominało o jej pochodzeniu i narodowych tradycjach. Livingstone, ubawiony uporem żony, nie oponował. Żadne z nich nie

spodziewało się, że chłopiec spędzi życie na wygnaniu, z dala od kultury kraju któregośkolwiek z rodziców. Z wyjątkiem przypadkowych wymian zdań z Lebohaniem Riitho od lat nie mówił językiem khosa.

- Riitho. - Młody mężczyzna zmarszczył brwi i ze wszystkich sił koncentrował się na tym, co mówił siedzący przed nim człowiek. - Jesteś potrzebny w kraju. Twój naród cię potrzebuje, potrzebuje twojej wiedzy i umiejętności. Ale nie teraz. Jeszcze nie teraz. - Riitho przełknął ślinę. Co miał powiedzieć? - Doszliśmy do wniosku, że Londyn przestał być bezpiecznym miejscem. Pojedziesz do Paryża. Musisz skończyć studia, potem zobaczymy. Przed nami bardzo dużo pracy.

Riitho zastanawiał się nad właściwym znaczeniem słowa „praca”. W języku khosa nie było jednoznaczne. Czy chodziło im o pracę, jaką - na przykład - wykonuje architekt, czy też o działania polityczne? Czy Ruch się upomniał o Modise'a, czy też przygotowywali go do dokonania wyboru? Popatrzył po zgromadzonych w gabinecie mężczyznach. Od prawie dwudziestu lat, od czasu, kiedy zabrakło ojca, byli najbliższymi mu ludźmi, właściwie rodziną.

W 1968 roku, jakieś cztery lata po aresztowaniu Nelsona Mandeli, przywódcy Afrykańskiego Kongresu Narodowego, południowoafrykańskie tajne służby odkryły kryjówkę Livingstone'a Modise'a. Ojciec Riitha razem ze współpracownikami ukrywali się w Mbare, dzielnicy Salisbury, stolicy rządzonej przez Iana Smitha Rodezji. Wiadomość o aresztowaniu męża natychmiast dotarła do Njeri Modise, nadal mieszkającej w Afryce Południowej i samotnie wychowującej ich czwórkę dzieci. Njeri zachowała przytomność umysłu i dwoje najstarszych, Riitha oraz jego siostrę Mpho, powierzyła opiece Mosesa Dyaniego, człowieka, przed którym teraz siedział. Kiedy funkcjonariusze tajnych służb zapukali do drzwi domu w Soweto, żeby skazać ją - jak się potem okazało - na dwunastoletni areszt domowy, dzieci już z nią nie było.

Przez zieloną granicę potajemnie przewieziono ich do sąsiedniego Malawi, a stamtąd pod osłoną nocy samochodem przerzucono do Zambii. Następnie sześciolatnia Mpho pojechała do Oslo, a dwuletni Riitho do Genewy. Zamieszkał z młodszą członkinią przywództwa Ruchu na wygnaniu i jej mężem, szwajcarskim prawnikiem. W wieku dwunastu lat Mpho została wysłana do Stanów Zjednoczonych. Ulokowano ją u krewnych szwagra Njeri. W Oslo nie mieszkał żaden z przywódców Ruchu, którzy z przyczyn politycznych musieli opuścić kraj. Mpho wychowywała się w rodzinie norweskiej i nie zawsze było to łatwe. Ruch uznał, że dwunastoletnia dziewczynka potrzebuje bliskich sobie ludzi i ściślejszych więzi rodzinnych. Kiedy Riitho skończył dwanaście lat, pojechał do ekskluzywnego Malvern College. Kierownictwo Ruchu miało wpływy i mogło zadbać o przyszłość syna swojego przywódcy. r

Riitho wbił wzrok w dłonie. Od dawna tego oczekiwał. W pewnym sensie życie młodzieńca i wybory, których dokonywał, nie zależały od niego. Doskonale rozumiał znaczenie dzisiejszego spotkania. Było ono bezpośrednim wyrazem życzeń

Livingstone'a Modise'a, widowym znakiem, jak wysoko ojciec go ceni. Ci mężczyźni, zastępcy ojca, wcale nie musieli zjawiać się tutaj osobiście. Mogli przesłać mu wiadomość przez któregoś ze swoich ludzi. Dużo ryzykowali, pokonując taki szmat drogi do Londynu: Dyani ze Sztokholmu, Nokwe z Moskwy, Chikama z Algieru. Rozumiał jednak, dlaczego zdecydowali się na podróż. W ten sposób okazywali szacunek najstarszemu synowi Livingstone'a i jego spadkobiercy. Podniósł wzrok.

- Kakade - powiedział spokojnie. - Mhlekaži ndizakwenza noba yino - ni oyicebisayo.

- Zastosuje się do ich wskazówek. Zrobi to, co uznają za słuszne. Mężczyźni popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się. Był nieodrodnym synem ojca. Wyraźnie to widzieli.

Spotkanie dobiegło końca, uścisnęli się na pożegnanie. Uściskali również Riitha - najpierw tradycyjnie: potrząsając prawicą, a jednocześnie lewą ręką trzymając łokieć prawej. Ten gest oznaczał otwartość i uczciwość, sygnalizował, że nie mają nic do ukrycia. Potem nastąpił polityczny uścisk: trzykrotne potrząśnięcie ręką i wypowiedzenie słów: *Amandhla! Ngawethu!* (Wolność! Sprawiedliwość!). A na koniec serdeczny uścisk: każdy z mężczyzn przycisnął syna Modise'a do potężnej piersi. Wkrótce się to skończy. Twój ojciec wyjdzie na wolność. Pojedynczo wychodzili z domu przy gęsto obsadzonej drzewami ulicy w dzielnicy Hampstead. Za każdym z nich podążał ochroniarz. Samochody czekały w gotowości. Po kilku minutach uczestnicy spotkania rozplłynęli się w londyńskiej mgle. Riithowi niezwykle błyszcząły oczy, kiedy wychodził z Lebohangiem. Było wietrzne popołudnie. Czarny mercedes czekał. Pogrążony w myślach, wsiadł do samochodu.

Olivier jeszcze nie spał, kiedy Rianne wróciła do wynajętego na tydzień mieszkania. Należało do jednego z przyjaciół chłopaka, ale nie pamiętała dokładnie, którego. Było tu przyjemniej niż w hotelu. Lisette w tym czasie również przebywała w Londynie, a Rianne nie lubiła mieszkać przy Wilton Crescent, kiedy ciotka kręciła się po apartamencie. Teraz niezdarnie gmerała w zamku kluczem, kiedy drzwi się otworzyły. Stał w szlafroku, włosy miał jeszcze mokre po kąpieli.

- *Salut, toi* - powiedział i wciągnął ją do środka.

- *Hola, tu* - odpowiedziała. To było ich prywatne powitanie. Matka Oliviera pochodziła z Francji, ale on słabo znał francuski. Rianne natomiast znała ze trzy słowa po hiszpańsku. Spojrzała na chłopaka, zawsze z przyjemnością na niego patrzyła. Był wzorem doskonałości: sto osiemdziesiąt osiem centymetrów opalonego, muskularnego ideału. Serce topniało, kiedy spojrzał na ciebie tymi swoimi piwnymi, migdałowymi oczami i odrzucał z czoła długie do ramion, kasztanowe włosy. Po prostu nie można było mu się oprzeć.

Musiałeś być okropnie niesfornym dzieckiem - zauważyła Rianne zaledwie kilka

godzin po poznaniu Oliviera gdzieś za kulisami jakiegoś charytatywnego pokazu mody. Siedział w fotelu w ciemnym kącie garderoby. Miał na sobie bokserki i podkoszulek Calvina Kleina. Rozebrała się do bielizny, zanim go zauważyła. - Pewnie doprowadzałeś matkę do szału. - Uśmiechnął się zmysłowo. Tysiące razy już słyszał podobne komentarze.

- Gdzie byłaś? - zapytał, żartobliwie machając palcem przed jej nosem.

- U koleżanki. - Chwyciła go za palec i lekko ugryzła. Pocałował ją i pociągnął za sobą do salonu. Właśnie zaczął ściągać dziewczynie bluzkę przez głowę, kiedy zadzwonił telefon. Zaklął pod nosem i podszedł do aparatu. Była północ. Zapewne dzwoniła jakaś koleżanka czy kolega Rianne. Miała wyjątkowo wielu przyjaciół. Znajomych - poprawiała go nieustannie. - Mam tylko trzy prawdziwe przyjaciółki. I ciebie.

Rianne wzniosła oczy do nieba i opuściła bluzkę.

- *Holà* - Olivier podniósł słuchawkę - *acqui Vasquéz*. - Chwilę słuchał, wolno kiwając głową. Spojrzał na Rianne. - *Para ti*. - Podał jej słuchawkę, wyglądał na zaniepokojonego.

- Kto dzwoni? - zapytała bezgłośnie, podchodząc do telefonu. - Halo? - Nagle ogarnął ją chłód, przyłożyła dłoń do policzka. - Kiedy? szepnęła. Na twarzy rysowało się przerażenie. - Czy Lisette już wie? - zapytała. Skrzywiła się, po policzkach zaczęły płynąć łzy. - Przyjadę jutro, Marikije, najszybciej, jak będę mogła. - Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Oliviera. - Mój stryjek został zabity. Zastrzelono go dzisiaj po południu. - Olivier objął ją ramionami i przytulił. - Muszę jutro jechać do ciotki do Johannesburga. Ta wiadomość ją dobije. To już drugi.

- *Qué?* Co takiego?

- Drugi brat. Pierwszym był mój ojciec.

- Twój ojciec został zastrzelony? - Olivier przytulił ją jeszcze mocniej. — *Por qué no me dijiste?* Dlaczego mi nie powiedziałaś, *mi amor?* Mówiłaś, że umarł.

- Nikt nie wie, jak zginął. Jego ciała nigdy nie znaleziono. Może został zastrzelony, tego po prostu nie wiemy.

- *Ay, mi...* Rianne. *Que* historia. Chcesz, żebym z tobą pojechał?

- Nie - potrząsnęła głową. - Pojadę sama. Nic mi nie będzie. - Rozejrzała się za płaszczem.

- Wykluczone. Jadę z tobą. Nawet nie dyskutuj. *Me voy...* Tylko włożę coś na siebie. Rianne z rezygnacją skinęła głową. Bała się spotkania z Lisette. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ciotka płakała.

Chodźmy, *mi corazón*. Wezwę taksówkę - Olivier już był z powrotem w pokoju. Włożyła płaszcz i podążyła za nim.

Nie udało się utrzymać prasy z daleka. Pogrzeb Hendryka de Zoete'a odbył się w następny weekend. Pochowano go na świeckim cmentarzu w Kyalami, na obrzeżach miasta. Uroczystość miała prywatny charakter. Tytuły prasowych artykułów mówiły same za siebie: Cios prosto w serce - krzyczał „Allgemeine Zeiten”, Utrata ukochanego syna - obwieszczał „Cape Times”, Odwet: de Zoete zniszczeni - nieco ostrożniej komunikował „Daily Mail”.

- Zachowują się odrażająco - skarżyła się Lisette. Nawet prasa zagraniczna. Przedostanie się na cmentarz przypominało walkę na boisku rugby. BBC wydawało się bardziej zainteresowane Rianne niż ceremonią pogrzebową. Doszło też do małego zamieszania: Jak go pochować? Jak Żyda?

Zrozpaczoną żoną Hendryka przerażała taka perspektywa. Nie! Hendryk nie był Żydem. Dobrze, może ojciec, stary Anton de Zoete, ale nie jej mąż. On był Afrykanerem, bogobojnym chrześcijaninem, tak jak ona członkiem Nederlandse Gereformeerde Kerk (Holenderskiego Kościoła Reformowanego). Powinien leżeć ze współwyznawcami.

Lisette to nie przekonało. Obaj bracia nie żyli, z dzieci Antona została na świecie tylko ona. Wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiała. I co z tego, że ojciec był Żydem? Matka Żydówką nie była. Ani Lisette, ani Hendryk, ani nawet Marcus nigdy nie rozmawiali o swoich przodkach. Znali podstawowe fakty: ojciec przyjechał do Afryki Południowej z Rosji, chyba z Ukrainy. Początkowo było mu bardzo ciężko. Był Aszkenazyjczykiem, biednym, *shtetl* Żydem, nie niemieckim Żydem z wyższej klasy średniej, których wielu wyemigrowało do Afryki Południowej. Nie zrażał się jednak. Zmienił nazwisko, ożenił się z dziewczyną biedną, ale pochodzącą z dobrej afrykanerskiej rodziny i stopniowo coraz głębiej skrywał te cechy osobowości, które nie pasowały do jego nowego wizerunku: człowieka dobrze prosperującego i coraz bardziej wpływowego. Po pewnym czasie nikt nie pamiętał, skąd przybył. Rodzina de Zoete była identyfikowana wyłącznie z Afryką Południową. Anton pochowany został na działce należącej do rodziny w Highfields. Z Hendrykiem rzecz się miała inaczej: popierał sprawy żydowskie, w Izraelu sadił drzewa, interesował się swoimi korzeniami bardziej niż Lisette czy Marcus.

- Nie wiem, co robić - Lisette przygryzła wargą i spojrzała na Simona Kalena. - Chodzi o to, że właściwie nie miało to dla nas większego znaczenia. Ale teraz naprawdę nie wiem. Czuję, że powinnam zrobić coś w dowód uznania...

- Lisette - zaczął z wahaniem Simon. Przy rozmowie wyjątkowo obecna była Stella. Siedzieli na patio w Bryanston, obserwowali siedzące na trawie i rozmawiające dzieci. Musiał ciągle się upominać, że dzieci już dziećmi nie były. Trudno mu było w to uwierzyć. Rianne! - Wystarczy na nią spojrzeć! Jej twarz ukazywała się na okładkach czasopism na całym świecie. Na każdym lotnisku widział jej podobiznę na jakimś plakacie czy posterze. Tak samo jej chłopak. Wyjątkowo przystojny młody człowiek, który zjawił się z nią na lotnisku.

Przedstawiciele prasy oszaleli ze szczęścia. Nie wiedzieli, na kogo patrzeć, na które

z nich najpierw kierować obiektywy aparatów. A Hennie. Jest wysoki, przystojny... i taki zdecydowany. Wojsko zrobiło z niego twardziela. I wreszcie biedna Marika. Bez przerwy płakała, jakby Hendryk był jej ojcem. Simon pamiętał dziewczynę z pogrzebu jej własnego ojca: mała, cicha, ze stoickim spokojem spoglądająca na matkę i młodszego brata. Może rzeczywiście była to spóźniona reakcja.

Simon poklepał Lisette po dłoni. Pragnął wziąć ją w ramiona i przytulić. Ale była tu Stella.

- Zrób to, co ci serce podpowiada, Lisette - ciągnął. - Wszyscy powinniśmy tak postępować. Zbyt wiele czasu tracimy na sprawy, które nie mają znaczenia. W końcu nas wszystkich śmierć osiągnie. Dojdziemy do kresu. - Zamrugał powiekami. Wiedział, że mówił komunały.

- Wiem. Czuję, że tata... tak by chciał. Wiesz, powrotu Hendryka. Powinien zostać pochowany w Evenside.

Simon nic nie odpowiedział. Decyzja w tej sprawie należała do rodziny. Nie powinien zabierać głosu.

Hennie spod oka przyglądał się Olivierowi. Paskudny kutas. A raczej wysoki, przystojny kutas. Co, u diabła, tutaj robi? To nie jego dom, nie należy do rodziny. Kuzyni siedzieli na trawie, mówili niewiele. Był bezchmurny, bezwietrzny letni dzień. Powinni być gdzieś indziej - nie w domu, opłakując zabitego wujka. Zacisnął dłonie w pięści. Policja okazała się zupełnie bezużyteczna. Wszyscy wiedzieli, kto stoi za śmiercią Hendryka. NPW. Narodowa Partia Wolności. Wolność. Śmiechu warte. Gdyby ci pieprzeni kaffirowie zostali wyzwoleni, nie wiedzieliby, co z wolnością zrobić. To było zabójstwo z zemsty, proste jak drut. Odwet za zniszczenie jednej z ich komórek w Lusace. Wojsko radziło sobie coraz lepiej w krajach ościennych, tak zwanych państwach pierwszej linii. Żołnierze południowoafrykańscy weszli do Angoli, atakowali Lesoto, Mozambik, Zimbabwe i Zambię. W odpowiedzi zintensyfikowali działalność Afrykański Kongres Narodowy i Narodowa Partia Wolności - a także ich zbrojne ramię MK, banda podstępnych zbirów, partyzanci... Parsknął śmiechem. Partyzanci, partyzanci.

Poczuł na sobie wzrok Rianne. Zarumienił się i gwałtownie wstał.

- Idę do środka. Jest mi gorąco. - Odszedł w kierunku domu. Rianne spojrzała na Marikę i wzruszyła ramionami. Było z nim coraz gorzej. Prawie nie odzywał się do Oliviera... nawet się z nim nie przywitał. Odwróciła się i popatrzyła na swojego chłopaka. Leżał na słońcu z zamkniętymi oczami. Była mu wdzięczna, że z nią przyjechał. Łzy rozczulenia napłynęły jej do oczu, pochyliła głowę i pocałowała chłopaka.

## 38

Charmaine walczyła z zamkiem błyskawicznym białych dżinsów. Prawie się



uszczypnęła i w efekcie złamała paznokieć. Popatrzyła na siebie w lustrze. To już druga para spodni w ostatnich dwóch miesiącach, którą będzie musiała odłożyć na półkę. Tyła. Wciągnęła brzuch, wstrzymała oddech i z wielkim trudem zapięła suwak. Wzięła torebkę, sprawdziła, czy na spodzie jest znajoma plastikowa torebeczka, i chwyciła kluczyki od samochodu. Była już ósma, a na Huntington Beach miała być przed dziewiątą.

Zamknęła na klucz drzwi pokoju motelowego i zbiegła po schodkach. Jej mały, żółty rabbit, umyty i wyczyszczony, stał jak zwykle przed motelem Blue Anchor. Tak jest bezpieczniej - radził Drew. Musisz jeździć czymś tanim, ale czystym. Nie bierz samochodu, za którym gliny się oglądają. Wyjechała na drogę, wsunęła do odtwarzacza kasetę z nagraniami Bruce'a Springsteena i skręciła na szosę 405 w kierunku południowym. Klub Flamingo wydawał się odległy o milion kilometrów. Teraz wykonywała zlecenia Drew, chłopaka, którego spotkała w pobliskim supermarkecie. Miał on niewielką firmę kurierską na Wolshire Boulevard. Lubiła go.

Był silny, ambitny i pracowity, zupełnie niepodobny do próżniaków, którzy kręcili się wokół Baza, Toucha i całej ich żalostnej bandy. Czasami zastanawiała się, co się dzieje z Bazem. Nie tęskniła za nim. Współpraca z Drew okazała się pasjonująca i dochodowa. Przy Bazie i tym, co robił albo czego nie robił, czuła się jak nisko wisząca chmura: nic nie robiła, nic nie mówiła, nic nie czuła. Początkowo dziwiła się, jakim cudem z dochodów nędznej agencji Drew mógł sobie pozwolić na czerwone BMW, czarne porsche i białego jeepa, ale w końcu w Los Angeles nikt nie robił tylko uczciwych interesów. Za parawanem normalnego życia zawsze kryło się jeszcze jakieś drugie. Była po prostu ciekawa, jakie drugie życie prowadzi Drew. Niedługo się dowiedziała, a właściwie sam chłopak jej to powiedział. Oczywiście narkotyki. A konkretnie najbardziej popularna w Los Angeles używka, bez której nie mogła się udać żadna impreza. Kokaina. Wszyscy ją brali. Charmaine czasami się zastanawiała, czy w Los Angeles jest choćby jedna osoba, która nie handluje narkotykami albo ich nie bierze - a najczęściej robi i jedno, i drugie.

Zaczęła od małych przesyłek. Dostarczała paczuszki klientom Drew w hrabstwie Orange, potem, bliżej domu, rozprowadzała towar wśród studentów college'ów, którzy brali nawet więcej niż Baz. Można było na tym dobrze zarobić, szczególnie jeżeli samemu nie traciło się zysków na narkotyki. Charmaine była czysta. Przestała brać kokainę, czasami tylko paliła skręta.

Było ciężko. Początkowo bardzo się bała, jak w tej piosence Glorii Gaynor, którą w klubie Flamingo wszyscy lubili. Jednak kiedy już w pierwszym tygodniu zarobiła tyle, że opłaciła za dwa tygodnie z góry pokój w Blue Anchor i jeszcze jej sporo zostało, zrozumiała, że lepiej zrezygnować z brania kokainy. Wkrótce nawiązała nowe przyjaźnie, w klubie zdobyła stałych klientów... Nie wiadomo kiedy i bez większego trudu wpadła w rytm nowego życia.

Trzymała się z Drew już prawie dwa miesiące. Przedstawił ją wielu nowym,

zupełnie innym ludziom. Wiedziała, że powinna wyjechać. Matka płakała za każdym razem, kiedy dzwoniła do domu. Wyjedzie, już niedługo wyjedzie. Oczywiście, tęskniła za Londynem, brakowało jej Gab, Nat i Rianne, ale to wszystko wydawało się tak odległe, jakby należało do innego życia, innego świata. A im szybciej mijały miesiące, tym dawne koleżanki stawały się jeszcze bardziej odległe. Cały czas jednak powtarzała sobie, że kiedy tylko wróci do Londynu, znowu zbliżą się do siebie. Miała nadzieję, że będzie wtedy o dwanaście kilogramów szczuplejsza i - oczywiście - uda jej się czymś zadziwić przyjaciółki. Nie chciała po trzech latach na wygnaniu spotkać się z nimi i przyznać, że jedynym jej osiągnięciem są wałki tłuszczu, wylewające się spod paska spodni. Teraz chciała tyle zarobić, żeby trochę oszczędzić.

Pierwszym promykiem nadziei było poznanie Drew. Uczyła się od niego, widziała, jak pracuje. Dyskretnie obserwowała chłopaka. Była idealnym kurierem: ładna dziewczyna w czystym samochodzie, nigdy niewałęsająca się po północy: doskonała przykrywka. W ciągu miesiąca podwoiła zarobki z klubu Flamingo i - ku niezadowoleniu Sharkeya - ostatni raz zatańczyła na parkiecie, po czym odeszła, nie odbierając należnej pensji. W tym momencie, jakby na zamówienie, Bruce Springsteen zaczął śpiewać Nadeszły lepsze dni, skarbie.

Kilka minut spóźniona skręciła na podjazd domu, do którego miała dostarczyć przesyłkę. W wejściu pocałunkiem i z kieliszkiem w ręku powitał ją Raoul, stary klient Drew. Raoul był księgowym, pochodził z Haiti. Pół godziny gawędzili o niczym, mężczyzna w tym czasie wprawnie sprawdzał paczkę kokainy.

Zaproponował jej porcyjkę, ale odmówiła. W robocie masz być czysta - ostrzegął Drew. Nigdy nie prowadź samochodu po alkoholu czy narkotykach. Był rok 1987, policja w Los Angeles dostawała białej gorączki na tym punkcie. Gdyby została złapana - wyjaśniał Drew - wcale nie chodziłoby im o nią. To jego chcieliby dostać. Po dziesięciu latach walki z narkotykami Departament Policji w LA doszedł do wniosku, że pogoń za drobnymi dealerami jest stratą czasu i pieniędzy podatników. Płotkom proponowali układ: wolność w zamian za informacje o grubych rybach. Bardzo niewielu odrzucało taką propozycję.

- *D'accord*. - Raoul się uśmiechnął. Schował kokainę w zamrażalniku i wyjął walizkę. Odliczył tysiąc dolarów, po czym pchnął plik banknotów po blacie niskiego stolika z przydymionego szkła. - *Merci*, skarbie - powiedział.

- Dziękuję. - Charmaine uśmiechnęła się czarująco. Przeliczyła pieniądze, jeden z pięćdziesięciodolarowych banknotów - jak radził Drew - obejrzała pod światło, szukając czerwonej niteczki, która potwierdzałaby jego autentyczność. Tysiąc dolarów, dwieście pięćdziesiąt dla niej za dostawę, reszta dla Drew. Wypiła do końca sok pomarańczowy i podniosła kluczyki od samochodu. - Do zobaczenia za tydzień. - Cmoknęła go w oba policzki.

Do zobaczenia. - Raoul skinął głową. Był zadowolony, że cotygodniową dostawę

przywoziła mu taka ładna dziewczyna jak Charmaine. Niektórzy dealerzy, z jakimi miał kontakt w ubiegłych miesiącach, wyglądali przerażająco. Bał się ich bardziej niż wpadki. Pomachał jej na do widzenia, zamknął drzwi i pomyślał o swoich zyskach: tysiąc dolarów za 28 gramów kokainy na ulicy wartej dwa tysiące osiemset. Niezły zarobek jak na pół godziny pracy.

Jadąc na północ, Charmaine myślała dokładnie o tym samym. Zastanawiała się nad przyszłością. Dostarczanie małych przesyłek tu i tam było niezłym interesem, ale w ten sposób upłyną wieki, zanim zarobi dostatecznie dużo, żeby spłacić długi i odłożyć na bilet powrotny. Gdyby się postarała, mogłaby zarabiać dwieście, trzysta dolarów tygodniowo, ale potrzebowała więcej. Chciała zdobyć taką pozycję jak Drew. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale wystarczyło, że strzelił palcami, a ludzie stawali na baczność. Powinna pomyśleć o zmontowaniu własnej klienteli. W ten sposób mogłaby sama bezpośrednio sprzedawać towar, a nie go dostarczać. Wiedziała, że miałyby szansę na korzystną umowę z Drew. Będzie z nim negocjowała.

- A więc... chcesz się uniezależnić? - Drew głęboko zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym nad głową Charmaine. Dziewczyna starała się zachować spokój. Uśmiechnął się niespodziewanie. - No dobra. Warunki są następujące. Po pierwsze, kupujesz tylko ode mnie. Nie wiem, komu sprzedajesz, i nie chcę wiedzieć. Kupujesz ode mnie. Od nikogo innego. Możesz uważać, że gdzieś indziej dostałabyś towar taniej, mnie to nie obchodzi. Kupujesz ode mnie. Po drugie, jeżeli wpadniesz, radzisz sobie sama. Wszystko mi jedno, co powiesz, komu powiesz, ale mojego nazwiska nie wymienisz. Po trzecie, powiem ci, kiedy dostaniesz obniżkę ceny, ty o nią nie prosisz. Oboje gramy fair.. Pasuje?

- Pasuje. - Charmaine była podniecona. Nie wiedziała, czy powinna ucisnąć mu dłoń, czy zachować się jakoś inaczej. Właśnie ubiła pierwszy interes. Wspaniałe uczucie!

- Chcesz się przejechać? - zapytał Drew, wstając. Butcher, ogromny, czarny rottweiler, ostrzegawczo warknął. Charmaine niepewnie spojrzała na chłopaka. Nie licząc spraw zawodowych, spędziła w jego towarzystwie może pięć minut.

- Jasne - odrzekła swobodnie.

- Właśnie mi go dostarczyli - powiedział i sięgnął po zestaw kluczyków.

Dostarczyli? - zdziwiła się Charmaine. Porsche. Fantastyczna maszyna. Przejedźmy się do Malibu. Charmaine nie dała się prosić. Przejazdźka porsche była znacznie bardziej ekscytująca niż jazda jej volkswagenem. Chwyciła torebkę, ostrożnie wyminęła zaśliniony pysk Butchera i podążyła za Drew do podziemnego garażu. Otworzył jej nawet drzwi do samochodu. Wsiadając, pamiętała, żeby kolana trzymać razem. Szkoła Świętej Anny na coś się przydawała. Kiedy wyjeżdżali z garażu na Sunset Boulevard, pomyślała, że czuje się zupełnie inaczej niż na tylnej kanapie taksówki Joego w drodze do klubu Flamingo.

Drew z wielką wprawą prowadził samochód. Pół godziny później byli w kanionach

wysoko nad Malibu. Kiedy z dużą szybkością pokonywali jeden ostry zakręt za drugim, po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się odprężona i szczęśliwa. Słońce mocno grzało, chociaż był dopiero luty. Z przyjemnością pławiła się w ciepłych promieniach. Zatrzymali się przy Fatburgerze, na południe od Redondo Beach. Ku swemu zaskoczeniu powstrzymała się przed zamówieniem ohydneho cheeseburgera i wzięła tylko dietetyczną colę. Drew pochłonął dwa burgery, dużą porcję serowych frytek i wypił koktajl mleczny o smaku toffi. Charmaine również by to wszystko bez trudu zmieściła w żołądku.

- Wynajmij mieszkanie, Charmaine - powiedział, kiedy podrzucił ją do motelu Blue Anchor. Podziękowała mu za przejażdżkę. - W tej norze nie jest bezpiecznie. Teraz stać cię na wynajęcie czegoś przyzwoitego. Gdybyś chciała, żebym ci coś znalazł, daj znać.

- Tak, chyba masz rację. - Dziewczyna już od pewnego czasu zastanawiała się nad przeprowadzką. - Rozejrzę się za czymś.

- Dobra. - Drew z rykiem silnika wyjechał z parkingu.

Popatrzyła nim, potem weszła na górę i otworzyła drzwi. Z niesmakiem rozejrzała się po pokoju. Drew miał rację, musi się stąd wyprowadzić. Wiedzie jej się coraz lepiej, dlatego najpilniejszą rzeczą jest znalezienie przyzwoitego mieszkania. Poszperała w torbie i wyjęła długopis. Przysunęła krzesło do okna, zapaliła papierosa, usiadła i zaczęła wypisywać nazwiska potencjalnych klientów. Po półgodzinie miała listę piętnastu nazwisk. Była z siebie zadowolona. Nawet jeżeli tylko połowa ich zostanie jej stałymi klientami, zrobi niezły interes. Nagle poczuła głód. Przejdzie się do Denny'ego na róg Pierwszej i Wiosennej. Lubiła to miejsce. Można tam było dostać śniadanie o każdej porze dnia i nocy. Zamówi jajka po wiedeńsku. Bardzo je lubiła.

## 39

Nathalie rozglądała się po małym sklepiku w Camden Passage. Zmrużyła oczy i starała się skoncentrować. Od wielu tygodni Marcus poszukiwał kolejnego pomieszczenia na sklep. To byłby już ich trzeci. Do tej pory wszystko szło jak najlepiej. Miała wątpliwości co do lokalizacji: Islington leżało trochę na uboczu. Dwa pierwsze sklepy: G/D 1 i G/D 2 mieściły się w okolicy Notting Hill oraz Bayswater i miała do nich wygodny dojazd, ale badania rynku wykazały, że Islington staje się dzielnicą elegancką, szybko się rozwijającą, zamieszkaną przez młode, pracujące zawodowo kobiety i młode małżeństwa. Jak to ujął Marcus: ten typ kobiet, które wydadzą na staniczek dziesięć funtów, ale nie dwadzieścia.

Z informacji agenta nieruchomości wynikało, że dawniej był tu sklep z antykami. Wygląd pomieszczenia należało całkowicie zmienić. Mogli pójść w odwrotnym kierunku: zaprojektować bardzo nowoczesne wnętrza, z dużą ilością szkła i stali,

zrobić coś, co by ich sklep wyróżniało od innych w okolicy.

Tę samą taktykę zastosowali w pierwszych dwóch sklepach. G/D 1 przy Portobello Road stało się oazą luksusu pośród skromnych sklepików z pojedynczymi witrynami i jedną parą pantofli na wystawie. Był to sklep pełen przepychu, bogaty i zmysłowy. Wchodząc do środka, klientka miała wrażenie, że wstępuje do wyłożonego aksamitem i poduszkami buduaru. Na podłodze leżały grube dywany, dookoła wisały kotary z "ciężkiego jedwabiu, a meble z kutego żelaza wykonano w stylu Ludwika XIV. Starszej klienteli sklep bardzo się podobał. G/D 2 urządzono podobnie, ale mniej konwencjonalnie, bardziej w stylu Laury Ashley niż Marii Antoniny. Znalazło się tu dużo kwiatowych wzorów, ściany były kremowe, a na podłodze leżały jasne dywany, które z najwyższym trudem utrzymywano w czystości. Oba sklepy odniosły spektakularny sukces.

Juliette wpadła na pomysł, żeby nazwę „Góra, Dół” zmienić na G/D 1 i G/D 2.

- To stworzy nam możliwości rozwoju - przekonywała. - Będziemy również mogli w każdym wystawiać inny asortyment.

Pomysł się sprawdził. Dobierali wzory odpowiednie do lokalizacji sklepu i klienteli. Nathalie i Juliette czuły to instynktownie. Z SoftCore, młodą, bardzo prężną i mądrą agencją reklamową, zawarli umowę na opracowanie projektów opakowań i znaków firmowych dla obu sklepów. Ku zdumieniu Cordelii agencja chciała również zająć się wystrojem wnętrz.

Skinęła głową Marcusowi. Philippe był w Kuala Lumpur, szukał nowych producentów. Lim Soon nie był w stanie sprostać zamówieniom. Nathalie zaproponowała, żeby uznać ich firmę za głównych producentów i dać im prawo dobierania sobie podwykonawców na prace, których sami nie byli w stanie wykonać. Philippe jednak sceptycznie odniósł się do propozycji siostry.

- Nikt nie będzie tak dobrze dbał o nasze interesy, jak my sami - twierdził. Nathalie nie rozumiała obiekcji brata. W interesach była pewna siebie i stanowcza, w życiu prywatnym odwrotnie: niepewna i nerwowa. Tak więc Philippe wyjechał, zostawiając Jenny w szóstym miesiącu ciąży.

- Módl się, żeby to nie był wcześniak - żartowała żona. - Zabiję, jeżeli nie zdążysz na poród.

- Ja go zabiję. - Cordelia podniosła wzrok znad stołu w kuchni. Robiła na drutach kołderkę dla noworodka. Robiła na drutach! Nathalie nie wierzyła własnym oczom.

- Ma odpowiednią powierzchnię, skarbie - ostrożnie podpowiedział Marcus. Drażniło ją, że nigdy nie wyrażał własnej opinii, dopóki ona nie wypowiedziała swojego zdania.

- Podoba mi się - powiedziała zdecydowanym tonem. - Podoba mi się okolica, podobają mi się pobliskie sklepy... Tak, naprawdę mi się podoba. Tym razem dopilnujemy, żeby wnętrze zostało wykończony jak należy. Nathalie z lekkim zniecierpliwieniem skinęła głową. Marcus zawsze mówił banały. Zerknęła na zegarek. Mieli obejrzeć jeszcze jeden lokal, w Camden Town, ale właściwie podjęła

już decyzję. Teraz rozważała pomysł, jaki przyszedł jej do głowy podczas kąpieli jakieś dwa tygodnie temu: katalog. Jeżeli uda się rozkręcić trzeci sklep, będą musieli zająć się przygotowaniem katalogu. Nie bez racji uważała, że w ten sposób minimalnym kosztem będą mogli rozszerzyć sieć sprzedaży. Otworzyła torebkę z krokodylowej skóry i wyjęła małą puderniczkę. Sprawdziła szminkę na wargach i uspokajająco uśmiechnęła się do agenta nieruchomości.

- Podoba mi się - powiedziała z ożywieniem - ale mam do obejrzenia jeszcze inne. Czy mogę dać wam odpowiedź dzisiaj po południu?

- Naturalnie - odpowiedział młody człowiek i otworzył przed nią drzwi. Lało jak z cebra, Marcus podjechał samochodem pod samo wejście.

- Jeszcze jeden przed nami - powiedział, włączając się do ruchu na Upper Street.

- Mnie jednak ten lokal bardzo się podoba.

- Mnie też - przyznała Nathalie. - Ale wstrzymajmy się z decyzją, aż obejrzymy wszystkie. O trzeciej po południu decyzja została podjęta. Juliette wpadła na chwilę, żeby rzucić okiem na lokal, i postanowili go wynająć. Philippe i Marcus mniej angażowali się w codzienną pracę związaną z prowadzeniem sklepów. W tych sprawach dziewczęta - jak czasami żartobliwie nazywał je Marcus - same podejmowały decyzje. Kiedy sklep G/D 2 zaczął dobrze prosperować, obaj zrezygnowali z pracy w innych firmach i zajęli się wyłącznie interesami ich własnej spółki. Czasy dla rozwoju przedsiębiorczości były dobre. Wielka Brytania powoli wychodziła z kryzysu gospodarczego początku lat osiemdziesiątych, społeczeństwo optymistycznie patrzyło w przyszłość. Pieniądze robiono w City, na rynku nieruchomości i w handlu międzynarodowym. W rezultacie zachodziły też zmiany socjologiczne. Zaobserwować można było dwie rzeczy. Po pierwsze, jak obie dziewczyny doskonale wiedziały, mężczyźni przy forsie lubili wydawać pieniądze na kobiety, które były z tego powodu szczęśliwe. Jeśli zaś wydawano je na rzeczy, które mężczyznom sprawiały przyjemność, obie strony były zadowolone. Jedną z takich rzeczy stała się wystrzałowa bielizna. Wspaniały pomysł na wydawanie i jednocześnie obdarowywanie. Po drugie, nastąpił wyraźny wzrost liczby dobrze zarabiających kobiet, które mogły więcej na siebie wydawać. Ładna, seksowna, kokieteryjna bielizna była bardzo odpowiednim towarem dla wyzwolonych, niezależnych kobiet w dobrej sytuacji finansowej. Tyle o uwarunkowaniach socjologiczno-ekonomicznych. Obiektywnie należało stwierdzić, że sklepy G/D 1 i G/D 2 były strzałem w dziesiątkę i prosperowały znakomicie.

Nathalie siedziała w małym włoskim barku kawowym naprzeciwko stacji metra. Sączyła espresso i przeglądała listę wskazówek dla Marcusa. Juliette pobiegła z powrotem do sklepu. Nie zatrudnili jeszcze kierownika, na pełnym etacie, a nie chciała zostawiać tam samych asystentek. Ciągle jeszcze traktowała sklep jak małe dziecko. Pewnie dlatego właściwie nie miała życia towarzyskiego.

Była podekscytowana. Z dwoma sklepami czuła się dostatecznie pewnie, żeby

pomyśleć o planach na przyszłość. Pierwszy rok był zwariowany. Cała czwórka robiła wszystko po raz pierwszy. Popełnili tyle samo błędów, ile podjęli dobrych decyzji. Myśl o nowym sklepie działała na nią ożywczo. Oczami wyobraźni już go widziała: lśniący, o ostrych konturach, w chłodnych barwach, mnóstwo nierdzewnej stali i szkła. Juliette proponowała, żeby jedną z kolekcji powierzyć holenderskiej projektantce, jej znajomej z akademii sztuk pięknych St Martin. Camille Jespersen zaprojektowałaby droższą i nieco bardziej zmysłową linię, która byłaby sprzedawana wyłącznie w G/D 3. Zobaczyliby, jak się przyjmie i będzie rozchodziła. Camille zaimponowała Nathalie bardzo udaną, zabawną przeróbką wygodnej, codziennej bielizny do pracy i na randkę. Projektantka przywiązywała też ogromne znaczenie do kroju i szczegółów, co również Nathalie bardzo się podobało. Poza tym dziewczyna wyglądała na osobę, z którą fajnie będzie się pracowało. Obserwując jej zwariowane życie towarzyskie, młodsza o trzy lata Nathalie czuła się jak stara baba. Postanowiła, że zatelefonuje do Camille zaraz po powrocie do sklepu. Pokaże projektantce nowy lokal, opowie, jaki klimat będzie miało wewnątrz sklepu, a to pomoże artystce opracować wzory nowej kolekcji.

- Nat - Marcus przerwał rozważania Nathalie.

- Uhm? - podniosła wzrok znad notatek.

- Czy... czy zastanawiałaś się nad tym? - zapytał nieco zdenerwowany.

- Nad czym?

- Nad nami. Nad naszym małżeństwem.

- Och Marcus. Czy musimy teraz o tym rozmawiać? - zirytowała się Nathalie. Nie chciała mówić o ślubie. Miała na głowie inne sprawy, znacznie ważniejsze. Interesy szły dobrze. Uwielbiała ruch, napięcie, podniecenie, ciężką pracę, siedzenie po nocach i spotkania, które trwały od świtu do zmierzchu. Kochała sklepy, przeglądanie i układanie towaru, zatrudnianie personelu, nadzorowanie nowych linii kolekcji. Nawet nie chciała myśleć o innych sprawach - na przykład o sobie i Marcusie. Sama nie bardzo wiedziała, co do niego czuje. Mogła tylko powiedzieć, że jest dobry i miły. Jeśli chodzi o nią, tyle wystarczy. Jej zdaniem dobrze się im układało. Mieli firmę i piękne mieszkanie. Czego jeszcze chciał? Zawsze próbował bardziej przywiązać ją do siebie. Chciał wiedzieć, że jest i zawsze z nim będzie. To było niezwykle męczące. Ostatni raz rozmawiali o ślubie miesiąc temu.

- Tak. Dlaczego nie? Dlaczego nie teraz?

- Marcus, to nie jest miejsce na takie rozmowy. Czy nie można tego przełożyć na później? - Rozejrzała się po zatłoczonym barku kawowym.

- Wiem, że miejsce może nie jest odpowiednie, ale jakoś nigdy nie mamy czasu porozmawiać o tym gdzieś indziej. Chcę wiedzieć, chcę mieć pewność.

- Pewność? Czego?

- Że nadal chcesz za mnie wyjść. Oczywiście, że chcę - Nathalie ostrożnie odstawiła filiżankę - ale w tej chwili mamy okropnie dużo pracy. Musimy przygotować otwarcie Camden Passage. Poczekajmy, aż skończymy. Wrócimy do tego za kilka

miesiący. Ale...

- Marcus, proszę - przerwała Nathalie. - Później o tym porozmawiamy. Otworzyła teczkę.

\*

Charmaine rozejrzała się po apartamencie. Lokalizacja jej odpowiadała, w kotlinie Van Nuys, w pobliżu drogi szybkiego ruchu i centrum handlowego Sherman Oaks. Mieszkanie było jasne, przestronne, wysokie, z dużą sypialnią i niewielkim gabinetem, z którego wchodziło się do salonu. Jeszcze raz zajrzała do łazienki. W porządku: przyjemna i czysta.

- OK. Podoba mi się, biorę - powiedziała zdecydowanie do zarządcy. - Kiedy się mogę wprowadzić?

- Jak tylko przygotuję umowę, a pani da mi czek na tysiąc dolarów odpowiedział, zamykając przesuwane drzwi na nieduży balkon.

- Dobrze. Mam tutaj konto. - Charmaine była pewna siebie. Drew załatwił jej nieodzowne kalifornijskie prawo jazdy, numer ubezpieczenia społecznego i dwie solidne referencje. Kolejny przykład tego, co ten mający wszędzie znajomości człowiek potrafił dokonać. Zeszła za zarządcą na dół do samochodu.

- Czym się pani zajmuje? - zapytał, otwierając przed nią drzwi.

Jestem handlowcem - uśmiechnęła się dziewczyna. - Miałam dobry rok przyznała zgodnie z prawdą.

- Będzie tu pani dobrze - zapewniał. - Mieszkają tu naprawdę mili ludzie. Po drugiej stronie ma pani małżeństwo lekarzy stomatologów, a lokal . na parterze zajmuje Angielka. Jest tancerką czy aktorką, zresztą bardzo miłą. Na pewno się polubicie.

- Z pewnością, panie Kozak - gorliwie zgodziła się Charmaine. - To co?

Skontaktuje się pan ze mną jeszcze dzisiaj?

- Tak jest. Miłego dnia!

Charmaine wracała do centrum miasta. Wpadnie do Drew, przy okazji odbierze dwie paczuski i sprawdzi, czy nie trzeba gdzieś dostarczyć towaru. Naprawdę musi kupić sobie beeper, teraz wszyscy mieli beepery - Drew nawet dwa.

- Cześć, Char. Jak leci? - pozdrowił ją Keith, jeden z przybocznych Drew, kiedy zatrzymywała się pod apartamentem w West Hollywood. To było już piąte mieszkanie dealera w ciągu roku. - Trzeba się często przenosić - powtarzał.

- Cześć, Keith. - Charmaine wygramoliła się z samochodu. Musi coś zrobić z tymi kilogramami; ciągle ich przybywa. Może powinna zacząć chodzić do siłowni czy coś w tym rodzaju. - Drew jest w domu?

- Tak, włącz na górę. Ja spadam. - Po przyjacielsku pomachał jej ręką i wsiadł do błyszczącego, granatowego, sportowego samochodu. Dwie sekundy później usłyszała pisk opon, kiedy wjeżdżał na Sunset. Idiota - pomyślała. Trudno o lepszy



sposób zwrócenia na siebie uwagi.

- Drew?! - zawołała pod drzwiami. Z drugiej strony słyszała szczekanie psa.

- Wchodź. Butcher jest spokojny. Nic ci nie zrobi.

Charmaine otworzyła drzwi, pospiesznie minęła warczącą bestię i padła na jedną z ogromnych skórzanych kanap.

- Jak leci? - zapytała. Była zaskoczona, że Drew jest jeszcze w czymś, co przypominało pizamę. Był już wieczór. Dochodziło pół do siódmej.

- Do dupy. - Drew pilotem zmieniał kanały na szerokoekranowym telewizorze. - Coś mi wlażło w krzyż. Boli jak jasna cholera. Nie mogę spać, nie mogę spokojnie usiedzieć, nie mogę wsiąść do samochodu.

- Jak to sobie zrobiłeś? - Dziewczyna zerknęła na szerokie ramiona dealera i płaski, opalony tors. Górę pizamy miał rozpiętą, wyłaniał się spod niej gładki brzuch i kępka delikatnych ciemnych włosów pod pępkiem. Zarumieniła się i odwróciła wzrok. Od dawna nie widziała tak pociągającego ciuła.

- Nie mam pojęcia. Wczoraj byłem w siłowni, podnosiłem ciężary, nie czułem żadnego bólu. Musiałem naciągnąć sobie mięsień czy coś w tym rodzaju. Kurwa, jak boli! - Drew posługiwał się typowym dla Los Angeles lingua franca: siłowniana gadka, plażowa gadka, hajowa gadka.

- Jak chcesz, mogę zobaczyć - zaproponowała szybko. - Mogłabym... to znaczy potrafię zrobić masaż. - Na myśl, że dotknie jego pleców, zrobiło się jej gorąco. Naprawdę? - Drew oderwał wzrok od telewizora. - Dobra. Ale uważaj. Ostrożnie. Boli jak wszyscy diabli.

- Będę uważać - zapewniła dziewczyna. - Pokaż, w którym miejscu cię boli. Chłopak niezdarnie usiadł prosto, zdjął górę pizamy i odwrócił się do niej plecami. Były dokładnie tak muskularne, jak sobie wyobrażała.

- Tutaj, nisko, na wysokości talii, trochę bardziej z prawej strony - wyjaśniał, podczas gdy ona delikatnie przesuwiała palce po gładkiej skórze. - O tu, dokładnie w tym miejscu.

Czuła lekkie zaognienie tuż nad gumką dołu od pizamy.

- Wiesz co, lepiej połóż się na kanapie - zaproponowała i uklękła obok. - Zacznę masować i powiesz mi, czy cię boli.

Dobra. Ale ostrożnie. - Wykrzywił twarz z bólu, kiedy kładł się na chłodnej czarnej skórze.

- Odpręż się - poleciała. Poczwała zawroty głowy. Wyłączyła telewizor i zaczęła delikatnie masować ciało wokół miejsca obrzmienia. Kłykciami uciskała kręgi w okolicy talii. Wydał z siebie jęk rozkoszy i mocniej przywarł do kanapy. Masowała z wprawą szybkimi ruchami, stopniowo coraz bardziej się zbliżając do ośrodka bólu i rozgrzewając palcami skórę.

Masz coś, czym można by to posmarować? Jakąś rozgrzewającą maść? zapytała.

- Może jest coś w szafce w łazience.

Charmaine niechętnie wstała. Po minucie wróciła z małą tubką w dłoni.

Posmarowała bolesną okolicę ciała chłodnym, białym kremem i ponownie zaczęła masować. Kilka sekund później Drew zaczął spokojnie i głęboko oddychać. Nie miała wątpliwości: zasnął. Masowała go dalej, uwalniała ciało od bólu, rozkoszując się delikatnością oraz sprężystością skóry i marząc na jawie. Podniosła się z klęczek dopiero po półgodzinie, kiedy nogi całkowicie jej zdrętwiały. Drew spał jak suseł i nawet okropny Butcher ospale kręcił się pod drzwiami. Usiadła obok chłopaka na kanapie i włączyła telewizor. Na dworze zapadał zmrok. Pokój wypełnił się purpurowo - złotymi kolorami zachodzącego nad Los Angeles słońca. Ktoś jej wyjaśnił, że to ze względu na zanieczyszczenie powietrza. Popatrzyła na leżącego obok niej młodego mężczyznę i poczuła nieodpartą chęć przeczesań palcami zmierzwionych, kasztanowych włosów. Siłą woli odwróciła wzrok i próbowała skupić uwagę na ulubionym sitcomie odtwarzanym na ekranie bez dźwięku.

- Charmaine. - Drew wyrwał ją z zamyślenia. Program dobiegał końca. - Dziecinko.

- Ziewnęła szeroko i przeciągnął się rozkosznie. Dziewczyna poczuła dreszcz podniecenia. - Jesteś wspaniała. Absolutnie cudowna. Gdzie się tego nauczyłaś? - Usiadł prosto i uśmiechnął się do niej.

- Och, po prostu się nauczyłam, trochę tu, trochę tam. Różne rzeczy potrafię. Starала się nie okazać ogromnego zadowolenia.

- Mógłbym cię nawet uściskać. Czuję się wspaniale. - Wstał i poszedł do łazienki. Wykrzywiła wargi. No to dlaczego tego nie zrobisz? - zastanawiała się w duchu. Kopniakiem zamknął drzwi łazienki. Podniosła się z kanapy, uważnie obserwując Butchera, i zapaliła jedną z lamp na stole.

- Nie zapalaj - usłyszała głos wracającego do salonu Drew. - Wyjdźmy na balkon, widać stąd zachód słońca. - Otworzył przesuwane drzwi i gestem zachęcił ją do wyjścia. Prześlizgnęła się obok niego w przejściu, serce waliło jej jak młotem. O tej porze roku, wczesną wiosną, na zewnątrz nie było gorąco, ale dostatecznie ciepło, żeby o północy wyjść na dwór nago. Zarumieniła się na tę myśl.

- O cholera! Chyba zrozumiałem - szepnął jej Drew do ucha, kiedy jaskrawopomarańczowa kula tonęła za horyzontem. - Za ciężko ostatnio pracujesz... Musisz trochę odpocząć.

- Zbyt dobrze idą ci interesy? - pogodnie zapytała Charmaine.

- Cholernie dobrze. - Objął ją ramieniem i odwrócił twarzą do siebie. Niebieskie oczy utopiła w jego oczach, nogi się pod nią ugięły. Ma bardzo miękkie wargi - pomyślała zaskoczona, kiedy ją całował. Opuścił ręce, dłonie zatrzymał na jej biodrach i przyciągnął do siebie. Objęła go za szyję.

- Wejdźmy do środka - przerwał milczenie. Charmaine pozwoliła się przeprowadzić przez drzwi, powieść obok skórzanych kanap i zaciągnąć do sypialni. Była skąpo umeblowana. Stało tam tylko niskie łóżko. W jednym kącie zauważyła także skórzane obrotowe krzesło. Ciągnął ją w stronę łóżka. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby zapalić małą lampkę z papierowym abażurem, która stała na podłodze.

Sypialnia rozświetliła się delikatną poświatą. Kurczę! Miała nadzieję, że nie spostrzeże rozstępów, które jakimś cudem pojawiły się wysoko na udach. Usiadł i skrzyżował nogi. Charmaine niezręcznie stała przed nim. Podniósł do góry długą, białą spódnicę dziewczyny i popatrzył na nią.

- Na co się gapisz? - zapytała, zakłopotana. Pragnęła, żeby pociągnął ją w dół i posadził obok siebie.

- Na ciebie - odpowiedział. Dłonie przesunął coraz wyżej. Palcami sięgnął koronkowych majteczek i delikatnie odsunął materiał. Charmaine westchnęła, kiedy jej dotknął, i opadła na łóżko obok niego.

Grubo po północy oboje bardzo zmęczeni zapadli w sen. Był dobrym kochankiem, więcej niż dobrym.

## 40

- Jesteś pewna, że dasz sobie z tym radę? - zapytał Drew dwa miesiące później, badawczo przyglądając się Charmaine. - To poważny, naprawdę duży interes.

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się dziewczyna. Starła się ukryć wewnętrzny niepokój. Po raz nie wiem który powtórzyła instrukcje. Odebrać towar z Hermosa Beach. Przywieźć paczkę do mieszkania Drew i podzielić na dwie. Połowę zostawić w apartamencie. Drugą odwieźć do Franka i Mike'a w West Hollywood i poczekać, aż przyjdzie ich kontakt. Odebrać od niego kasę. Pojechać do domu. Odłożyć swój udział, resztę przekazać Keithowi i czekać na telefon Drew. Proste. - Dam sobie radę. Naprawdę.

- Dobra, dziecinko. Skoro jesteś pewna. - Chłopak ścisnął ją za ramię i podniósł się. - Zadzwoń wieczorem.

Charmaine sięgnęła po torebkę. Do Hermosa Beach było daleko, a ruch na drodze duży. Próbowała uspokoić żołądek. Miała złe przeczucia co do czekającego ją wieczora.

Z West Hollywood do Hermosa Beach jechała ponad godzinę, ale na szczęście wszystko szło jak w zegarku. Jeżeli nawet Jimmy, mężczyzna, który otworzył jej drzwi, był zdziwiony, że widzi przed sobą ładną, młodą dziewczynę, nie dał tego po sobie poznać. Przeszli do kuchni, gdzie odważył pięć kilogramów kokainy, a dziewczyna wręczyła mu prawie dziesięć tysięcy dolarów. Odsunęła zamek błyskawiczny, otwierający podwójne dno torebki, i pod podszewkę wsunęła płaską paczkę. Podała Jimmy'emu rękę na pożegnanie, zbiegła po schodach i pognęła do samochodu.

Charmaine! - Podskoczyła. Na dworze było ciemno, nie zorientowała się, skąd dochodził głos. Stała, w rękę trzymała kluczyki od auta. - Gdzie ty, do cholery, byłaś? - Zza samochodu wyłonił się Baz. Wpatrywała się w chłopaka, wstrząśnięta, że ją odnalazł. Od ponad dwóch lat nic o nim nie słyszała. Powinna wiedzieć, że

wiecznie tak nie będzie.

- Baz - wykrztusiła. Torebkę trzymała blisko przy piersi. - Co, u diabła, tutaj robisz? Gdzie ty się podziewałeś?

Przez chwilę wpatrywał się w nią z wściekłością.

- Cholerna suka! - Wypluwał słowa jak pociski z karabinu. Dziewczyna niespokojnie rozejrzała się wokół siebie. Na ulicy panowała cisza. - Cholerna, pieprzona suka - powtórzył, podchodząc bliżej. Próbowła włożyć kluczyki do zamka, miała nadzieję, że zdąży otworzyć i odgrodzi się od niego drzwiami, ale jedną ręką ją unieruchomił, drugą chwycił za włosy. Potknęła się, kiedy szarpnął ją do siebie. - Obserwowałem cię! - ryknął, odwracając jej głowę. - Od tygodni cię obserwuję. Wiem, dokąd chodzisz, wiem, gdzie mieszkasz. Zniszczyłaś mnie, ty suko. Co, do cholery, próbowałaś zrobić?

- Nic nie próbowałam, Baz! - wrzasnęła wściekła. - Jesteś pieprzonym nieudacznikiem. Co ty, do cholery, sobie myślałeś? Przywiozłeś mnie tutaj, wszystko spieprzyłeś. Co, do cholery, miałam robić?

- Poczekaj na mnie, ty cipo! - ryknął Baz. - Siedzieć cicho i czekać. Przyjechałem, załatwiam sprawy...

- Załatwiasz sprawy? - przerwała mu Charmaine ze złością. - Nic nie załatwiasz, niczym się nie zajmujesz. To ja musiałam wszystkiego pilnować. Nigdy nic nie zrobiłaś. To ja...

- To ty puściłaś mnie w trąbę, pieprzyłaś się na prawo i lewo! - wrzeszczał Baz. - Obserwowałem cię, ciebie i tego gacha, z którym się pieprzysz! Wiem, co robicie. Już, dawaj mi to! - Próbował wyrwać jej torebkę. Charmaine wywinęła się, zasłaniając ciałem cenny towar. Cała drżała ze strachu i ze złości.

- Odwal się, Baz! - krzyknęła w panice. - Odpieprz się ode mnie! Spadaj!

- Co tu się, do cholery, dzieje? - Szarpaninę przerwał głos Jimmy'ego. Zbiegał po schodach.

- Nie wpieprzaj się! - Baz ciągle trzymał ją za włosy i niemal wyrwał jej z objęć torebkę. - Pilnuj swego nosa! - ryknął i szarpnął za upragnioną zdobycz. Nagle znieruchomiał, oczy wyszły mu z orbit. Przy skroni miał zimną lufę pistoletu. Zostaw ją i puszczaj torebkę. Nie chcę zrobić nic głupiego, chłopie, więc się uspokój. - Jimmy mówił cicho, ale śmiertelnie poważnie. - Nic ci nie jest? - zerknął na Charmaine. Skinęła głową, była zbyt przerażona, żeby się odezwać. - Wsiadaj do samochodu i wynoś się stąd, zanim ktoś wezwie gliny.

Uruchomiła silnik i nie oglądając się za siebie, ruszyła od krawężnika. Drżąc na całym ciele i łamiąc po drodze wszystkie przepisy, w niecałe trzydzieści minut wróciła do Hollywood. Bała się myśleć o tym, co się stało - albo co się mogło przydarzyć - Bazowi. Pragnęła tylko zwinąć się w kłębek, wtulić w opiekuńcze ramiona Drew i płakać.

\*

- Wiesz, co się stało? - Rianne darła się przez telefon. Gabby odsunęła słuchawkę od ucha. Nigdy jeszcze przyjaciółka nie była aż tak zdenerwowana. Nigdy.

- Ale o co chodzi? - zapytała.

- Co za skurwysyny! - wrzasnęła Rianne i ze złością rąbnęła kieliszkiem wina w szklany blat stolika w apartamencie przy Mulberry Place. W kuchni Elise podskoczyła nerwowo. - Obrzydliwe, kłamliwe męty!

- Ale kto? - Gabby nic nie rozumiała. O kim ta dziewczyna mówi?

- Ci pieprzeni zagraniczni dziennikarze! Załatwili nas. Zawsze tak robią. To tych bandytów powinni załatwić, nie nas! Cholerne dupki! Co komu do tego, skąd pochodzę?

- Czekaj, Rianne, uspokój się - przerwała Gabby kojącym tonem. - Zaczynaj od początku. Co się stało?

- Zerwali ze mną kontrakt. Możesz w to uwierzyć? W „New Yorker” ukazał się ten artykuł...

- Kto zerwał kontrakt? - przerwała Gabby.

- Lovell. Łobuzy! Ten artykuł...

- Dlaczego zerwali? Jaki artykuł? Co się stało?

- To nie moja wina! - krzyczała Rianne. - Ten facet, ten idiota... na pokazie Ralpha Lestera naskoczył na mnie nie wiadomo skąd. Niósł taki cholernie wielki transparent. Uderzyłam go w twarz. Machał mi nim przed nosem!

Gabby jęknęła. Wyobrażała sobie tę scenę. Przyjaciółka była łatwym łupem dla protestujących. Wcześniej prasa opublikowała artykuł, w którym Rianne powiedziała coś naprawdę głupiego: że nie obchodzi ją, jak żyją Afrykanie w RPA, twierdziła, iż to nie jej sprawa. Gabby przeczytała artykuł i skrzywiła się, poruszona. A teraz jeszcze to.

- Uspokój się, opowiedz, co się stało. Kogo uderzyłaś? Nie mam pojęcia! Jakiś pieprzony świr podsuwał mi pod nos ten transparent, machał nim przed oczami. Myślałam, że mnie nim uderzy! No to ja uderzyłam jego.

- Co było potem?

- Potem... potem przyjechała policja, jakiś kretyński dziennikarz zaczął robić zdjęcia i ja...

- Jego też uderzyłaś?

- No, nie, niezupełnie... Policjant go zasłonił, a potem Ross mnie odciągnęła. Ręka jeszcze mnie boli.

- Och Rianne - westchnęła Gabby. - Nie powinnaś...

- Dziewczyno, ty nie masz pojęcia, jak to jest - złościła się przyjaciółka. - Codziennie dzieje się coś takiego. Nie mogę nawet wychodzić z domu. Ross powiedziała, żebym na jakiś czas zniknęła z pola widzenia, poczekała, aż sprawa

przycichnie. A teraz jeszcze i to! Rano zadzwoniła Gina. Zerwali kontrakt! Powiedzieli, że nie będą ryzykować. Nie mogę w to uwierzyć. Boją się, że fakt, iż pochodzę z Republiki Południowej Afryki, źle wpłynie na sprzedaż ich pieprzonych wyrobów. Pierdolone dupki!

- Spokojnie, nie denerwuj się. - Gabby próbowała spojrzeć na sprawę realnie. - Słuchaj, to nie koniec świata. Będą inne kontrakty. Sprawa ucichnie. Sama wiesz, że tak właśnie będzie. Przecież i tak masz dużo pracy.

- W dupie mam pracę! - wrzasnęła Rianne. - Nie muszę pracować. Nie zależy mi na pracy. Mogę już nigdy w życiu nie postawić nogi na żadnym zasranym wybiegu!

- Rianne, nie mówisz poważnie - ostrożnie zaoponowała przyjaciółka. Sprawa była śliska. Gabby z pewnością znacznie więcej niż Rianne wiedziała o gospodarczym bojkocie Republiki Południowej Afryki i jej towarów. Sama również była rzeczniczką bojkotu. - Wiesz, że tak nie jest. Spróbuj spojrzeć na to z ich punktu widzenia...

- Nie zaczynaj, Gabby! - krzyknęła Rianne. Przyjaciółka drgnęła. - Nie chcę tego słuchać, ani słowa więcej! Niedobrze mi się robi od słuchania o Republice Południowej Afryki. Rzygać mi się chce! Ross i Gina zachowują się tak, jakby to był koniec mojej kariery. To idiotyczne, idiotyczne, idiotyczne! Ani słowa więcej. Nie będę słuchać. Nikogo nie będę słuchać!

- Dobrze - spokojnie powiedziała Gabby. - Już nic nie mówię. - W słuchawce na kilka minut zapanowała cisza. Gabby słyszała, że przyjaciółka próbuje się uspokoić. Nagle uświadomiła sobie, że właściwie nigdy nie widziała Rianne płaczącej. No, może poza pierwszymi tygodniami w internacie szkoły Świętej Anny. Zazwyczaj potrafiła nad sobą zapanować.

- Muszę kończyć - usłyszała głos przyjaciółki. Ktoś, prawdopodobnie Olivier, wszedł do pokoju. Gabby w tle usłyszała jego rozżalony głos.

- Zadzwoń później - poprosiła. Sama nie czuła się zbyt dobrze, nie była więc pewna, czy w tej chwili potrafiłaby uspokoić Rianne.

- Właściwie wcale ich nie winię - powiedziała Gabby do Nathalie miesiąc później. Rianne po drodze na zdjęcia pokazu mody gdzieś w krajach skandynawskich zatrzymała się w Londynie i zjadła z nią lunch. Była tak zaabsorbowana tym, jak to melodramatycznie określiła, jawnym aktem dyskryminacji ze strony Lovella, że nie zauważyła strapienia Gabby ani tego, iż to nie ona jest powodem przygnębienia koleżanki. Nathalie natomiast wyczuła, że z przyjaciółką dzieje się coś złego, i odwiedziła ją w nowym mieszkaniu na Earls Court.

Nathalie mieszała herbatę. Był ponury, deszczowy jesienny dzień. Nastrój Gabby pasował do pogody.

- Wiesz, Rianne nigdy nie musiała pracować, i w tym cały problem. - Nathalie upiła łyk herbaty. - Zawsze wszystko miała, o nic nie musiała walczyć.

- No, niezupełnie tak było. Jej też nie omijały problemy. Na przykład sprawy rodzinne - sprzeciwiła się Gabby. Jak zawsze chciała być sprawiedliwa.

- Mimo wszystko z takimi pieniędzmi można robić wszystko, co się chce i kiedy się chce. My jesteśmy w innej sytuacji.

- Chyba tak.

- Gabby, a u ciebie wszystko w porządku? - Nathalie odwróciła się i popatrzyła na przyjaciółkę.

- Oczywiście. - Dziewczyna nerwowo kręciła kosmyk włosów. - Nic się nie dzieje.

- Na pewno? Jak tam na kursie? Nadal ci się podoba?

- O tak, jest OK. Dużo czytania, w większości okropne nudy. Prawo zwyczajowe, precedensy, takie tam różne.

- Ale przecież tego właśnie chciałaś. - Nathalie uwielbiała swoją pracę. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby zajmować się czymś innym. Poza tym miała to szczęście, że jej współpracownicy również kochali swoją pracę.

- Sama nie wiem, Nat. Wówczas pomysł studiowania prawa wydawał się dobry. Co miałam robić z bezużytecznym dyplomem z angielskiego?

- Z najlepszym dyplomem z angielskiego Uniwersytetu w Oxfordzie - poprawiła koleżanka. Gabby się zarumieniła. Nathalie zmarszczyła brwi. - Gabs, powiedz, co się dzieje - poprosiła. Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę. Zaległa cisza. - Gabs?

- Wszystko w porządku, Nat. Naprawdę. Jestem trochę zmęczona, to wszystko. - Nathalie popatrzyła na nią z powątpiewaniem. Martwiła się coraz bardziej, ale co mogła zrobić, jeżeli Gabby nie chciała o tym rozmawiać. Wyciągnęła rękę i ucisnęła chude ramię przyjaciółki. Ta wstała i zajęła się nalewaniem wody do czajnika. Nathalie zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta. W drodze do domu chciała jeszcze wstąpić do G/D 3.

- Muszę lecieć, Gabs - powiedziała i zaczęła zbierać torby. - Kiedy wpadniesz do sklepu? Już prawie finiszujemy z pracami wykończeniowymi, a ty jeszcze go nie widziałaś.

- Na pewno niedługo tam zajrzę - przyrzekła przyjaciółka.

- Obiecałaś, że przyjdiesz na otwarcie. Rianne ma poprowadzić kampanię reklamową i przyprowadzić kilka modelek na przyjęcie. Będzie ubaw na sto dwa. - Gabby mechanicznie pokiwała głową. Fantastycznie zapowiadające się przyjęcie bieliźniane wcale nie było jej w głowie.

Westchnęła i odwróciła się twarzą do Nathalie. Przyjaciółka wyglądała na bardzo szczęśliwą: interes się rozwijał, wszystko układało się, jak chciała... było wspaniale.

Gwałtownie potrząsnęła głową. W tej chwili nie może się nad sobą rozczulać.

Musiała powstrzymać cisnące się do oczu łzy, szybko przytuliła koleżankę.

Dziewczyna wyszła, zostawiając po sobie szminkę na kubeczku i zapach drogich perfum.

Mieszkanie wydawało się zimne i puste. Gabby zastanawiała się, co robi Dominie.

Była czwarta. Czy to dobra pora na telefon? Wahala się. Jeśli - a było to wielkie "jeśli" - będzie w dobrym humorze, to wszystko w porządku. Może zaproponuje,

żeby razem gdzieś poszli: do kina albo do znajomych. Jeżeli jednak trafi na jego zły nastrój, później przez cały wieczór będzie się zastanawiała, czym go zdenerwowała, dlaczego był zły, gdzie... Ten związek ją niszczył. Niszczył. Nie wiedziała, co robić, jak naprawić stosunki z Dominikiem. Zrozpaczona, usiadła przy kuchennym stole. Nie miała pojęcia, do kogo się zwrócić. Wystarczająco trudno było się jej przyznać przed sobą samą, że między nimi dzieje się coś bardzo złego. Jak miała powiedzieć o tym Nathalie czy Rianne? Obie zdawały się mieć wspaniałych partnerów i bardzo udane związki. Reakcje Dominica trudno było przewidzieć, zachowywał się bardzo dziwnie. Nie potrafiła powiedzieć, czy to z nią, czy z nim było coś nie tak.

Porównywała każdą chwilę, jaką spędzili razem, z zachowaniem innych osób w jakiś sposób z sobą związanych. Szukała kogoś, do kogo mogłaby go porównać. Jak się do niej zwracał? Co mówił? W jaki sposób to robił? Czy Marcus dzwonił do Nathalie tylko po to, żeby usłyszeć jej głos? Czy Olivier bez powodu uśmiechał się do Rianne? Dominie kiedyś był inny. Wróciła pamięcią do początków ich znajomości, cztery lata temu, gdy studiowali na pierwszym roku. Dwa pierwsze lata były niemal cudowne. Odnosiła wrażenie, że chłopak szczerze ją lubi, uważa za dowcipną i ładną, mądrą i bystrą. Widział w niej osobę, jaką zawsze pragnęła być, ale nigdy się za taką nie uważała. Przy nim była odważna, pewna siebie... bezpieczna. Sprawił, że wzrosło jej poczucie własnej wartości i pewności siebie; był kimś, na kogo zawsze mogła liczyć. Chyba nie przeszkadzało mu, że na zajęciach i egzaminach wypadła lepiej od niego. Targał jej rude, kręcone włosy, kiedy ogłaszano wyniki i zdobywała nieodmiennie pierwsze miejsce. Gabby nie przeszkadzało, że są raczej dobrymi kumplami niż kochankami. Dobrze się czuła w tej roli. Takie same stosunki łączyły ją z Naelem i chociaż teraz nie utrzymywali ze sobą kontaktu, nadal uważała go za swojego najlepszego przyjaciela i tak o nim mówiła, co złościło Dominica. Jeśli chodzi o seks... nie miała porównania. Początkowo lubiła się z nim kochać. Była szczęśliwa, że w końcu żyje jak prawie wszyscy. Cieszyła się, że może zamknąć drzwi do swojego pokoju w akademiku Magdalen College, kiedy Dominie zostawał na noc, i że po drugiej stronie korytarza Mary robi to samo. Czuła się ładna, pożądana i kochana jak każda inna dziewczyna. Nie miała pojęcia, czy jest dobrą kochanką - Dominie nigdy dużo nie mówił. Był raczej szybki, czasami dość szorstki, ale wolałaby umrzeć niż mu o tym powiedzieć. Zresztą nie kochali się zbyt często - w przeciwieństwie do Suzy. Ta chyba postanowiła przespać się z każdym młodym mężczyzną - i niektórymi nie tak znowu młodymi - w Oxfordzie. Całe tygodnie noc w noc potrafiła się z kimś kochać. Gabby nie umiała sobie nawet tego wyobrazić; umarłaby z wyczerpania. Po pierwszym roku wyprowadzili się z akademika. Trzeba było wynająć jakieś lokum, ale Dominie nie chciał mieszkać z Gabby. Poczuli się rozczarowani, ale rozumiała i zaakceptowała jego wyjaśnienia. Nie będzie mógł się skupić na studiach. Po pierwszym roku oblał egzaminy, musiał jeszcze raz do nich przystąpić jesienią. Powinien się trochę podciągnąć, dlatego lepiej, żeby nie spędzali z sobą tak dużo czasu. I było dobrze, naprawdę dobrze. Widywali się w weekendy,



czasami Dominie zostawał na noc. Gabby wynajmowała dom w Summertown wraz z czterema innymi dziewczętami. Utrzymywała go w porządku i czystości, zaopatrywała lodówkę i co dwa tygodnie robiła pranie, również rzeczy Dominica. Postępowała metodycznie, trzymała się codziennej rutyny. Zajęcia miała trzy razy w tygodniu, pozostawało dość czasu na lektury i uczenie się do seminariów. Zawsze była o krok do przodu, zawsze dobrze przygotowana.

Kiedyś miało miejsce pewne zdarzenie. Początkowo wydawało się, że to incydent bez znaczenia, nic, czym należało się martwić. Na jednym z seminariów pan Simmons zadał grupie studentów pytanie, a Dominie na nie odpowiedział. Gabby dorzuciła kilka zdań od siebie. Dodała, uzupełniła, nie kwestionowała wypowiedzi chłopaka, ale on odebrał to inaczej. Kilka godzin chodził naburmuszony, twierdził, że zrobiła z niego idiotę. Nie wiedziała, co począć. Wyjaśniała, że nie miała takiego zamiaru, przeproszała, obiecywała, że więcej tego nie zrobi. W końcu się uspokoił. Kilka miesięcy później zareagował tak samo na równie niewinną uwagę, jaką zrobiła w pubie. Poszli tam z Suzy, jej nowym chłopakiem, trzema kolegami, z którymi Dominie dzielił mieszkanie, i ich dziewczynami. Nie pamiętała, o czym rozmawiali, ale nie zgodziła się z czymś, co Dominie powiedział. Nie podjął dyskusji, jednak natychmiast stał się oziębły i zaczął ją całkowicie ignorować. Trzymał się od niej z daleka i niegrzecznie odwracał do kogoś innego, kiedy mówiła. Czowała się zraniona i nieszczęśliwa, szczególnie że stało się to przy Suzy. Kiedy tuż przed zaniknięciem wyszli z pubu, chwycił ją mocno za ramię, boleśnie ścisnął i powiedział, że wraca do domu sam. Musi coś przemyśleć.

Zadzwoił dopiero po tygodniu, w piątek wieczorem, i oświadczył, że do niej jedzie. Po głosie wywnioskowała, że był pod gazem, mimo to ciężar spadł jej z serca. Była tak zachwycona, iż chciał się z nią znowu spotkać, że nic nie powiedziała, gdy niemal natychmiast po ich wylądowaniu na łóżku poprosił, żeby zrobiła... coś raczej nieprzyjemnego. Zawahała się i wtedy spostrzegła, że wzrok mu twardnieje.

Przełknęła ślinę i odwróciła się. Właściwie nie było to aż takie okropne. Trochę bolało, ale Dominie wyglądał na uszczęśliwionego. Potem ją przytulił, gładził po włosach, szeptał, jaka jest wspaniała. Zamknęła oczy i pławiła się w ciepłe jego objęć. Była niemądra, oczywiście, że ją kochał. Znajdował się tylko pod silną presją. Wiedziała, że w szkole był dobrym uczniem i lubianym kolegą. Przypuszczała, że musi być mu trudno w Oxfordzie, gdzie wszyscy są mądrzy i lubiani. Ciągle znajdowała jakieś wytłumaczenie, wciąż go usprawiedliwiała. Suzy martwiła się o nią, ale dziewczyna nie chciała - albo nie potrafiła - przyznać, że między nią i Dominikiem źle się dzieje. To humorzasty dupek, Gabs - stwierdziła Suzy pewnego wieczora, kiedy siedziały w pokoju Gabby. Do końcowych egzaminów pozostał miesiąc, wszyscy bardzo się denerwowali. Dominie nie pokazywał się od dwóch tygodni i dziewczyna bardziej się martwiła o niego niż o egzaminy.

- Uhm. - Westchnęła i tęsknie spojrzała na drzwi. Proszę, zadzwoń. Proszę. Proszę.

Wydawało się jej, że od miesięcy nikt z dołu nie krzyknął: „Gabby! Telefon!” Miały z Suzy szczęście, na ostatnim roku dostały miejsce w akademiku. Dominie mieszkał z kolegą na łodzi na obrzeżach Oxfordu. Nie było tam telefonu, co jeszcze pogłębiało niepokój dziewczyny. - Nie zawsze jest taki. To przez egzaminy.

- Boże, mówisz jak maltretowana żona - oświadczyła koleżanka. - „Nie zawsze jest taki, kocha mnie, on nie chciał”. Daj spokój, co się z tobą dzieje? Nie pozwól mu tak się traktować.

- Oj, wcale nie jest źle - Gabby próbowała bagatelizować. Nie chciała po sobie pokazać, jak bardzo trafne wydały się jej słowa Suzy. - Ja też daję mu popalić. Każdy szaleje z powodu egzaminów, to wszystko. - Starła się zachowywać normalnie, jak zwykle pogodnie.

- No cóż, to twój chłopak - powiedziała koleżanka. - Gdyby trafił na mnie, udusiłabym - zachichotała. Gabby uśmiechnęła się blado. Proszę, zadzwoń. Proszę. W końcu, oczywiście, zadzwonił. Była tak uszczęśliwiona, słysząc jego głos, że zapomniała o wszystkich żalach. Do egzaminów pozostał tydzień, telefon Dominica sprawił, że spadł jej wielki ciężar z serca. Nie byłaby w stanie powtórzyć materiału, gdyby się nie odezwał; nie wiedziała, co się z nim działo, gdzie i z kim był.

Prawdopodobnie i tak by to nie miało większego znaczenia. Gabby otrzymała najlepsze oceny. Dominie po prostu zdał. Zaraz po ogłoszeniu wyników zawiadomił ją o swojej decyzji. Dokąd? - Z przerażeniem poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Do Ameryki. Tylko na wakacje. Przyjaciele rodziców Simona mają dom w Hamptons. Szukają kogoś, kto mógłby go przypilnować. Wracam we wrześniu. - Dziewczyna wpatrywała się w swojego drinka. Przygotowywali się do opuszczenia Oxfordu na dobre. Dominie nie wiedział, co będzie robił. Z takimi ocenami nie dostawało się ciekawych propozycji.

- Aha.

- Daj spokój, Gabs, nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Uśmiechnij się... Ty osiągnęłaś, co chciałaś - rzucił ostrym tonem.

- Coś ty? Nie zależy mi na ocenach, tylko na tobie. Chcę... chcę być z tobą. - Stało się. Powiedziała to głośno. Nie lubił, kiedy stawiała się „zaborcza”, jak to określał.

- Jesteś ze mną. Ja tylko na jakiś czas wyjeżdżam. Potrzebuję więcej przestrzeni, Gabby. Muszę zastanowić się nad swoim życiem, jakoś je sobie ułożyć.

- Ależ, Dom. - Gabby patrzyła na niego z przerażeniem. O co mu chodziło? -

Przecież nic się nie stało, wszystko jest w porządku. To prawda, nie masz najlepszych ocen, ale przecież zdobyłeś dyplom. Zresztą sam nieraz na ten temat żartowałeś. Pierwszy albo ostatni, każda inna lokata jest stratą czasu.

- Łatwo ci mówić.

- Nie o to mi chodzi. Proszę, nie wyjeżdżaj. Bardzo proszę.

- Przestań, Gabby. Jadę i koniec. Wracam we wrześniu. - Dziewczyna z trudem powstrzymywała łzy. Drinki dokończyli w milczeniu.

Rzeczywiście, wyjechał. I naprawdę wrócił. Gabby bardzo cierpiała, nieobecność

Dominica była dla niej nie do zniesienia. Po raz pierwszy w życiu nie mogła jeść, myśleć, spać. Jeszcze bardziej schudła. Po studiach znalazła zatrudnienie w firmie developerskiej Jonathana i Stephena Cope'ów, w której pracowała w ubiegłoroczne wakacje. Właściciele byli zachwyceni, że chce do nich wrócić. Sekretarka z najlepszym dyplomem z Oxfordu.

Latem mieszkała przy Wilton Crescent i zastanawiała się, co robić dalej. Dyplom z angielskiego, nawet najlepszy z najlepszego uniwersytetu, nie wytyczał drogi do kariery zawodowej. Nie mogła jednak podjąć żadnej decyzji przed powrotem Dominica. A nuż będzie miał inne plany? Może zechce wyjechać do innego kraju? Albo z nią zamieszkać? Albo się z nią ożenić? Nie potrafiła o tym myśleć. Każdego dnia w pracy liczyła minuty i zastanawiała się, jak wytrzyma cały lipiec, potem sierpień i jeszcze wrzesień. Wrócił w trzecim tygodniu września. Gabby myślała, że umrze ze szczęścia. Nadal chciał z nią być.

Tyle tylko, że jeszcze nie teraz. Postanowił zamieszkać ze znajomymi, których poznał w Nowym Jorku. Mieli duży dom przy Englewood Road, w pobliżu Clapham Common. Gabby poszła tam z nim. Dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Dom był duży, wygodny, z ogrodem i olbrzymią, słoneczną kuchnią, w której co wieczór wszyscy się zbierali. Ludzie okazali się mili, dziewczyny, Jemima i Mandy, miały swoich chłopaków, więc czemu ją to niepokoiło? Musi uporządkować swoje życie. Kilka tygodni zastanawiała się, co dalej robić. Czy powinna kontynuować studia i zdobyć stopień magistra z anglistyki? Uwielbiała angielski, ale uznała, że to za mało. Może prawo? Jak ojciec? Nie zachwycał ją pomysł spędzenia reszty życia nad prawem handlowym, co właśnie robił Geoffrey Francis, ale - jak pewnego wieczora ktoś powiedział w pubie - prawo nie kończy się na fuzjach czy zbywaniu i nabywaniu praw majątkowych. Podjęła decyzję. Prawa człowieka. W następnym tygodniu zapisała się na studia przy Store Street w Londynie. Pierwszy rok był łatwy, nawet trochę nudny. Zajmowali się przede wszystkim prawem zwyczajowym i precedensami sądowymi. Mieszkała z Becky, poważną nieśmiałą dziewczyną z kursu. Po raz pierwszy od czasów Oxfordu Gabby nie miała czasu, żeby myśleć o sobie. Tak było lepiej. Chimeryczny Dominie coraz częściej bywał w fatalnym humorze i nie pracował. Wciąż gdzieś się „angażował” i jakoś udawało mu się płacić czynsz, poza tym próbował pisać powieść. O ile wcześniej potrzebował czasu i przestrzeni, żeby się odnaleźć, o tyle , teraz do pisania niezbędna okazała się samotność. Kiedy Gabby rozpoczynała drugi rok, tylko odrobinę bardziej ciekawy od pierwszego, ich związek opierał się wyłącznie na humorach chłopaka i zaspokajaniu jego coraz dziwniej szch wymagań.

Jakoś to znosiła. Nikomu nic nie powiedziała, nawet Nathalie. Wprawdzie współlokatorki Gabby, najpierw Becky, potem Annie, uważały, że jej chłopak jest trochę dziwny i oczy mu zbyt błyszczą z drugiej strony jednak wiedziały, że koleżanka jest dziewczyną mądrą i potrafi sobie ze wszystkim poradzić. Była

zdumiewająca. Potrafiła słuchać, udzielała rozsądnych, mądrych rad. Jeżeli ktoś miał problem, po prostu szedł z nim do Gabby. Zawsze wiedziała, co należy zrobić. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że byłaby z Dominikiem, gdyby w ich związku działa się coś naprawdę złego.

## 41

Rianne przeszła obok półek z czasopismami w sali odlotów lotniska Charles'a de Gaulle'a, nawet nie zekrajając na nie. Olivier pobiegł szybciej, szukał wody mineralnej Evian. Bóg jeden wie, dlaczego musiała to być woda Evian. Zatrzymała się. Kątem oka coś zobaczyła. Odwróciła się do stelaża z czasopismami. Jest. „L'Observateur”. Rzadko przeglądała ten magazyn. Na okładce było zdjęcie Riitha Modise'a. Zawahała się, potem zawróciła i porwała egzemplarz z półki. Z kieszeni wyciągnęła pieniądze, rzuciła na ladę i pospiesznie odeszła.

W poczekalni dla pasażerów klasy biznesowej otworzyła czasopismo i szukała artykułu z okładki. Sama nie wiedziała, dlaczego tak mocno bije jej serce. Olivier nadal polował na butelkę wody. *Modise... l'architecture et l'avenir de l'Afrique du Sud. Przygryzła wargę, w spisie treści szukała interesującego ją artykułu. Interview exclusive avec Riitho Modise, architecte et fils de Livingstone Modise, maître du PFP (de l'Afrique du Sud), page 48.* Szybko przerzucała strony.

- *Qué cosa es?* - zapytał Olivier. Stał nad nią, triumfalnie trzymając niejedną, ale dwie butelki wody.

- Nic. - Szybko zamknęła magazyn. - Kupiłam coś do czytania w samolocie. Zarumieniła się.

W tym momencie zapowiedziano ich lot: Air France do Nowego Jorku, lotnisko JFK.

Zerwała się z miejsca.

- Chodź, spóźnimy się na samolot.

Zebrała torby i ruszyła szybkim krokiem. Zaskoczony Olivier popatrzył za nią.

Rianne zawsze ostatnia wchodziła na pokład. Nigdy nie martwiła się ewentualnym spóźnieniem.

Zaraz po starcie Olivier zasnął. Uwielbiała obserwować reakcję ludzi na widok chłopaka. Kobiety bez względu na wiek zawsze szerzej otwierały oczy. Stewardesy gapiły się na niego, kiedy usadawiał się wygodnie na szerokich fotelach, opierał głowę na jej ramieniu i zamykał oczy.

- Niesamowite! - wyrwało się jednej, całkowicie oniemiałej na widok młodego mężczyzny. Błyszczące, ciemnokasztanowe włosy z jaśniejszymi od słońca końcami, gęste, kruczoczarne rzęsy, które kontrastowały z delikatnie opaloną skórą, doskonale wykrojone usta, nieco rozchylone wargi.

Rianne otworzyła pismo na czterdziestej ósmej stronie, gdzie znalazła długi wywiad,

przeprowadzony miesiąc temu w Paryżu. Niewiele było tam o pracy Ree. Wspomniano tylko, że zatrudnił go uhonorowany wieloma nagrodami architekt w Paryżu. W rzeczywistości nie był to artykuł anonim, ani o jego pracy, tylko zjadliwy atak na sytuację w Republice Południowej Afryki. Artykuł bardzo obciążał i potępiał politykę rządu. Dudniło jej w uszach, kiedy czytała, jak Ree opisuje warunki życia trzydziestu pięciu milionów czarnoskórych (nie miała pojęcia, że jest ich aż tak wielu) - swoich rodaków w jego ojczyźnie - oraz militarne i polityczne akcje podejmowane przez kręgi rządzące. Odłożyła czasopismo i utkwiała wzrok w oknie. Był bezchmurny, słoneczny dzień, samolot leciał do Nowego Jorku. Patrzyła na świat w dole: najpierw zewnętrzne zarysy, jak przypuszczała, Szkocji, malusieńkie wysepki i poszarpany, kamienisty brzeg morza, potem ciemny, niebieski bezmiar Atlantyku. Widziała niewielkie plamki podskakujące na wznoszących się i opadających niebieskich falach. Pod samolotem przemknęła mała chmurka i rzuciła na powierzchnię oceanu granatowy, prawie czarny cień. Coś się z nią działo, kiedy czytała słowa Riitha. Sama nie potrafiła określić tych uczuć. Może to złość? Robiło się jej gorąco, serce biło coraz szybciej. Nie, to nie była złość. Coś innego, zupełnie odmienne uczucie, ale równie silne. Puls miała przyspieszony. Czytała dalej. Potrafił się wypowiedzieć, mówił jasno, zwięźle, konkretnie. Krytykował przemysł wydobywczy, kopalnie należące do wielkich rodów: de Zoete, de Beers, i spółki, na przykład angielsko - amerykańskie. Mówił o rosnącej sile obecnie upolitycznionych czarnych związków zawodowych, ich zdecydowaniu i o tym, że jest to walka, którą potentaci - tak nazywał rody wielkich właścicieli kopalni - muszą przegrać. Rodzinę de Zoete ostro potępiał przede wszystkim za Vlakfontein Six. Rianne zmarszczyła czoło. Vlakfontein Six? Co to takiego? Dowiedziała się z następnego akapitu: brutalne zabójstwo sześciu czarnych związkowców. Ich okaleczone ciała porzucono przed domami noclegowymi przy największej kopalni rodziny de Zoete o nazwie Vlakfontein, która była częścią kompleksu East Rand Proprietary Mines. Dziewczyna gapiła się na stronę czasopisma. Dotychczas nawet nie słyszała o Vlakfontein ani o Proprietary - cokolwiek - tam - jeszcze - było - w - środku - Mines. Lisette nigdy nie rozmawiała z nią czy swoimi dziećmi o rodzinnych interesach. Mariki i Henniego te sprawy nie interesowały. Żadne z nich nie wiedziało ani nie chciało wiedzieć, skąd mają pieniądze.

Oderwała wzrok od magazynu i znowu zapatrzyła się w okno. Kapitan zakomunikował pasażerom, że właśnie przelatują nad Grenlandią. Spojrzała w dół. Przed oczami miała przedziwny obraz: dziwacznie wyglądające nieregularne wzory lodowej kry i lodowców. Z tej wysokości wyglądało to surrealistycznie: smutny teren w tysiącu odcieni bieli, ziemia schodząca ku własnemu poszarpanemu horyzontowi. Artykuł obudził w niej wspomnienia: domu, straty najbliższych, dzieciństwa. Przypomniała sobie również inny widok, miejsca bardzo odległego: wysokiego weldu poza miastem w spokojny wiosenny poranek. Może to były

wakacje? Spaceruje po weldzie z rodzicami: Céline z jednej strony, Marius z drugiej, ona kołysze się od jednego do drugiego. Malutka dziewczynka kopie i huśta się, wymachuje nogami. Teren schodzi w dół do rzeki, na północy niewyraźnie rysuje się niebieskie pasmo gór, nad głową przelatuje samolot w drodze do Europy albo Ameryki. Gdzie to było? Ponownie sięgnęła po artykuł.

- *C'était quand la dernière fois que vous avez vu l'Afrique?* (Kiedy ostatnio był pan w Afryce?). Dziewiętnaście lat temu. Wyjechałem z Republiki Południowej Afryki jako dziecko w 1968 roku i już nigdy tam nie wróciłem.

- *Et est - ce que vous pensez à retourner?* (Czy chciałby pan wrócić do ojczyzny?). Marzę o tym w każdej minucie każdego dnia.

Rianne przełknęła ślinę. Nie mogła czytać dalej. Drżała na całym ciele. Oparła głowę o zagłówek i opuściła powieki. Przed oczami miała jego twarz. Próbowwała otrząsnąć się z dziwnego nastroju. Dlaczego czuła się przygnębiona? Wsunęła rękę w dłoń Obviera. Zamruczał coś przez sen, potarł nosem jej szyję, w ten sposób przypominając, że przy nim może czuć się pewnie i bezpiecznie. Była mu za to wdzięczna. Dlaczego kupiła to cholerne czasopismo? Przywołało tyle niemiłych wspomnień. Przypomniało o sprawach, o których próbowała zapomnieć.

Zapomnieć jednak nie mogła. Wyszła z samolotu z przeświadczeniem, że stanie się coś złego. Artykuł wzbudził w niej uczucia, których nie rozumiała i nie potrafiła określić. Powinna być wściekła, tak wściekła jak na firmę Lovell, tymczasem wcale nie była. Czuła coś innego. To zdanie, w którym mówił, że marzy o powrocie do ojczyzny w każdej minucie każdego dnia, coś w niej poruszyło i otworzyło. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego. Co jej do tego, czy arogancki dupek, którego pamiętała ze szkolnych czasów, mógł wrócić do Republiki Południowej Afryki, czy nie?

Z lotniska Rianne i Olivier pojechali prosto do apartamentu przy Mulberry Place. W drodze milczała, zajęta własnymi myślami. Przez następnych kilka dni trzymała się z dala od ludzi, odwołała dwa spotkania. Gina próbowała przekonywać, że jej gwiazda blednie i nie czas na fochy, ale dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. Czuła się zmęczona". Chciała pojechać na kilka tygodni do Londynu. Sama. Obiecała wrócić na początku marca, przed rozpoczęciem letnich pokazów. Odrzuciła propozycję Oliviera spędzenia tylko we dwójkę weekendu gdzieś w słońcu. Nie, nie, wszystko było w porządku - zapewniała. Chciała po prostu kilka tygodni spędzić sama, może spotkać się z koleżankami ze szkoły. Olivier ze zrozumieniem skinął głową. Miała ciężki rok: najpierw to morderstwo, potem sprawa z kontraktem Lovella. Następnego ranka, kiedy wylądowała na Heathrow, nie odwiedziła przyjaciółek. Nawet do nich nie zadzwoniła. Przeszła przez kontrolę paszportową, opuściła terminal numer 3 i z powrotem dostała się na lotnisko przez terminal numer 1. Spokojnie podeszła do stanowiska Brytyjskich Linii Lotniczych i kupiła bilet na najbliższy lot do Paryża. Postąpiła tak samo jak lata temu, kiedy po pełnym rozczarowania popołudniu w Worcester wsiadła do pociągu do Londynu. Zawsze

działała impulsywnie.

Z bijącym sercem stała przed z niczym się niekojarzącym budynkiem w paryskiej dzielnicy Bastylia i po raz setny tego dnia zastanawiała się, po co tutaj przyszła. Włosy ukryła pod jedwabną apaszką od Hermesa, oczy zasłoniła wielkimi okularami słonecznymi. Taksówkarz, który ją tu przywiózł, przyglądał się jej ciekawie, ale przecież w Paryżu pełno było pięknych kobiet, ukrywających się pod chustkami i ciemnymi okularami. Uśmiechnął się szeroko, zaskoczony sowitym napiwkami, i odjechał z rykiem silnika. Rianne została sama przed drzwiami z jedną skromną plaketką: „J. Neumann et Assocs. Architectes”. Dwa razy podnosiła rękę do dzwonka i dwa razy ją opuszczała. Za trzecim razem nacisnęła, dzwonek zabrzączał zatrważająco głośno. Podskoczyła.

- Qui? - warknął kobiecy głos.

- Ja... Ja chciałabym się zobaczyć z Riithem Modise'em - zaczęła po angielsku.

- Kto prosi o spotkanie? - zapytał głos, bez problemu przechodząc na angielski.

- Uhm... dawna znajoma - odpowiedziała Rianne.

- Proszę poczekać.

Dziewczyna czekała i gryzła wargę.

Przykro mi - znowu odezwał się głos. - Pan Modise nie przyjmuje osób, które nie chcą się przedstawić.

- W Rianne jakby piorun strzelił. Czy po to leciała taki kawał świata z Nowego Jorku, żeby dać się odprawić od drzwi. Jeszcze raz nacisnęła dzwonek. *Qui?*

- *Bonjour* - zaczęła tym razem po francusku. - *C'est Gabrielle Francis pour Riitho Modise.*

- *Moment, s'il vous plaît.* - Po kilku sekundach rozległ się brzęczyk i drzwi się otworzyły. Rianne z bijącym sercem weszła do środka. Zdjęła z głowy apaszkę, potrząsnęła włosami, schowała chustkę i okulary do torebki. Kierując się strzałkami, dotarła na drugie piętro, gdzie powitała ją nieskazitelnie ubrana kobieta w czerni. Zmierzyła Rianne od stóp do głów, z wprawą oceniając jej figurę.

- *M'selle Francis?* - zapytała lodowatym tonem.

- *Qui* - odpowiedziała Rianne bez uśmiechu. Serce biło jej bardzo mocno, była pewna, że nawet ta kobieta je słyszała. Wprowadzono ją do skromnej poczekalni i zaproponowano filiżankę kawy. Podziękowała. Usiadła na jednym z pokrytych czarną skórą chromowanych krzeseł. Czuła się słabo. Nie miała pojęcia, co robi. Usłyszała zbliżające się kroki. Wstała, drzwi się otworzyły i nagle stał przed nią. W milczeniu patrzyli na siebie. Z twarzy Riitha nic nie można było wyczytać. Jeżeli spodziewał się zobaczyć Gabby - oczywiście, gdyby ją w ogóle pamiętał - nie dał po sobie nic poznać. Rianne poczuła, że pokrywa się rumieńcem. Był taki, jakim go zapamiętała, a jednak inny. Wyglądał tak samo: postawna, silna sylwetka zdawała się wypełniać niewielki pokój. Miał te same szerokie ramiona, tak samo sprężyste, wysportowane ciało. Bardziej czuła, niż widziała wybrzuszenie u góry czarnych spodni i wzniesienie bicepsów pod koszulką polo. Zmieniła się jednak jego twarz: była

starsza, bardziej zacięta. Widziała, jak chodzą mu szczęki. Nagle poczuła chłód, zadrżała.

- De Zoete. - Patrzył na nią bez uśmiechu.

- Cześć... Ja... Ja przejeżdżałam... - zaczęła nerwowo, kiedy zamykał za sobą drzwi - przez Paryż. Zobaczyłam... przeczytałam w artykule, że tutaj pracujesz i...

- De Zoete - wszedł jej w słowo. - Co za niespodzianka! - Potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć. Wykonał zapraszający gest ręką. - Zechcesz usiąść?

- Z wdzięcznością skinęła głową. Nogi się pod nią ugiwały. Przepraszam - zaczęła, kiedy już siedzieli naprzeciwko siebie. - Czuję się jak ostatnia idiotka. Nie powinnam tu przychodzić. Czytałam artykuł o tobie w jakimś magazynie, a ponieważ przyjechałam na tydzień do Paryża...

- Jak tu trafiłaś? - przerwał Riitho. Z trudem przełknęła ślinę.

- Po informacjach z artykułu... Sprawdziłam w książce telefonicznej, gdzie się mieści pracownia Neumanna. Słuchaj, nie chciałam...

- Rianne de Zoete. No, no. - Po raz pierwszy leciutko się uśmiechnął. Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. - Powiedz zatem, co robisz w Paryżu - zapytał. Z oczu młodego mężczyzny nic nie mogła wyczytać.

- Jestem... modelką - odpowiedziała wolno. Nigdy wcześniej nie wstydziała się tego, jak zarabia, tymczasem teraz czuła się z bardzo wielu powodów zakłopotana.

- Rzeczywiście. - Nie odrywał od niej wzroku.

Pragnęła, żeby ziemia się rozstała i ją pochłonęła. Czuła się jak ostatnia idiotka. Zapadła cisza.

- Przepraszam - powiedziała nagle, wstając. - Nie powinnam przychodzić. Nie wiem, czemu to zrobiłam. Jeszcze raz przepraszam, że cię niepokoiłam. - Podniosła torebkę i wygładziła spódnicę. Riitho również się podniósł. Nie odezwał się. Policzki młodej kobiety płonęły.

- Zaczekaj - powiedział cicho, jednocześnie sięgając ręką klamki, zanim sama zdążyła to zrobić. - Poczekaj tu chwilę.

Otworzył drzwi i zniknął za nimi. Starła się opanować. Była idiotką. Po co, do diabła, tu przyszła? Drzwi znowu się otworzyły. Wszedł Riitho z jakąś kartką w rękę. Wzięła od niego kawałek papieru. Była to mała wizytówka, na której napisano nazwisko i adres.

- Spotkajmy się tam wieczorem około pół do ósmej. Włóż coś na głowę, jeśli możesz - powiedział. Zamrugła powiekami i podniosła na niego oczy. Delikatnie dotknął jej ramienia. - Cieszę się, że przyszłaś, naprawdę się cieszę.

Odszedł tym samym pewnym, nonszalanckim krokiem. Popatrzyła na karteczkę. „Chez Marie. 18 rue Neuve de la Chardonnière. 18ème". Nie miała pojęcia, co to za miejsce i gdzie go szukać.

Tego samego wieczora o siódmej zatrzymała przed domem taksówkę. Taksówkarz nie ukrywał zdziwienia.



- Barbes? - upewniał się, zaskoczony. Ładne białe dziewczyny zwykle nie chodziły do Barbes w środowe wieczory. Ani w żadne inne wieczory, jeśli o to chodzi. - *Vous êtes certaine?*

- Tak, jestem pewna - odparła dziewczyna stanowczo. Ucieczkę w angielski uznała za wygodne wyjście, tym bardziej że Francuzi nie potrafili rozpoznać jej południowoafrykańskiego akcentu. *Australienne?* - pytali zazwyczaj.

Wsiadła do taksówki. Mieli sporo czasu. Rue de la Chardonnière była małą jednokierunkową uliczką odchodzącą od głównej alei. Taksówkarz szukał jej pół godziny.

Szalała ze zdenerwowania, zanim zatrzymali się przed niewielką, wyglądającą jak dziura w ścianie restauracją. A jeżeli czekał i już poszedł? A może się rozmyślił? Zapłaciła taksówkarzowi i weszła do maleńkiego lokalu. Sala przypominała pokój dzienny w prywatnym mieszkaniu. Stało tam kilka stolików, przypadkowo skompletowane krzesła, kredens, duża kanapa i ogromny telewizor, wokół którego zebrało się sześć obecnych w środku osób. Przerwali rozmowę i popatrzyli na nią, kiedy wchodziła. Włosy ukryła pod baseballową czapkę. Przed południem, wychodząc z pracowni Neumanna, przyrzekała sobie, że tego nie zrobi, jednak cały dzień zastanawiała się, w co się ubrać. W końcu zdecydowała się na prosty strój: dzinsy, botki na wysokich obcasach, dopasowana czarna bluzka i trochę za duży kożuszek. Włosy związała i podpięła z tyłu głowy, czapkę nacisnęła głęboko na oczy. Wyglądała zwyczajnie, trudno ją było rozpoznać. Może nie chciał, żeby go z nią widziano. W kącie z odtwarzacza stereo cicho płynęła muzyka. Zerknęła na zegarek. Spóźniła się tylko piętnaście minut...

- *M'selle?* - Ciemnoskóra kobieta z długimi włosami splecionymi w warkocze spojrzała na nią pytająco. - *Vous cherchez...?* Mam się tutaj z kimś spotkać - odpowiedziała dziewczyna. - *J'attends quelqu'un* - powtórzyła.

Kobieta przyglądała się jej podejrzliwie, Rianne zdecydowanie pokiwała głową. Właścicielka lokalu wymieniła spojrzenia z siedzącym z tyłu na kanapie mężczyzną i wzruszyła ramionami. Ręką wskazała wolny stolik. Rianne opadła na krzesło i zamówiła kieliszek wina. Musiała się uspokoić. Oglądała obrazy na ścianie, kiedy zadzwonił telefon.

- *Excusez - moi.* - Właścicielka podeszła z telefonem w rękę. - *Pour vous.*

- *Moi?* - zdziwiła się Rianne. Z każdą chwilą sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Wzięła słuchawkę. - Halo?

- De Zoete. - Inaczej chyba nigdy się do niej nie zwracał. Zadrzała na dźwięk jego głosu. - Poproś Marissę, tę panią obok, żeby zaprowadziła cię na tyły domu. Tam na mnie poczekaj.

Rozłączył się, zanim zdążyła o cokolwiek zapytać. Wstała i poszła za Marissą na malutkie podwórko.

- *Je vous laisse, m'selle* - cicho powiedziała Marissa i zamknęła za sobą tylne drzwi. Rianne słuchała oddalających się kroków i w ciemnościach czekała, aż ktoś - albo

coś - się poruszy. Było chłodno, mocniej otuliła się kożuszką. Słyszała codzienną krzątanie w domach otaczających podwórko: zamykanie drzwi, narzekania jakiejś kobiety, trzask włączanego telewizora. Gdzieś w ciemnościach zaczęło kwilić dziecko. Usłyszała zatrzymujący się samochód, potem trzask bocznych drzwi i na podwórko wszedł mężczyzna.

- Cześć. - To był Riitho. - Jesteś sama? - zapytał.

- Tak - szepnęła. Dlaczego szeptała?

- Chodź, samochód czeka. Jesteś gotowa?

- No, tak... jasne. Ale wypiałam kieliszek wina... nie powinnam wrócić i zapłacić?

- Nie - uśmiechnął się lekko. - Chodźmy. Załatwię to z Marissą przy innej okazji.

Idziemy. - Wyprowadził ją na ulicę i otworzył drzwi zaparkowanego samochodu.

Usiadł obok, sprawdził wsteczne lusterko i uruchomił silnik. Dokąd mnie zabierasz?

- zapytała, kiedy włączał się do ruchu w kierunku Porte de Clignancourt.

- Jak dobrze znasz Paryż? - Znowu zerknął we wsteczne lusterko.

- Dość dobrze. W dzieciństwie często tu przyjeżdżałam.

- Tak? Dlaczego?

- Mieszkają tutaj dziadkowie. Rodzice mojej mamy. Spędzałam u nich wakacje.

- A tak. Twoja mama jest Francuzką. Teraz sobie przypomniałem.

- Była - poprawiła Rianne. Dlaczego sobie przypomniał? Uważnie przyglądała się profdowi jego twarzy.

- Była?

- Tak. Nie żyje. Od dawna.

- Przykro mi. Zapomniałem. Więcej słyszy się o twoim ojcu. - Zatrzymał się na światłach.

- I twoim.

Kątem oka zauważyła, że na nią patrzy. Nie spuścili z siebie wzroku aż do zmiany świateł. Rianne oddychała z trudem, była bardzo spięta.

- Touché. - Uśmiechnął się przelotnie. - Jedziemy w kierunku St Denis. Sarcelles. Znasz te okolice?

- Nie, nigdy wcześniej nie byłam tak daleko na północy miasta.

- Wcale mnie to nie dziwi. Wyglądasz bardziej na lewobrzeżną paryżankę, mam rację? Sarcelles trochę różni się od Dzielnicy Łacińskiej. To osiedle mieszkaniowe. Jedno z najgorszych.

- To dlaczego tam jedziemy? - zdziwiła się dziewczyna. Denerwowała się coraz bardziej.

- Mam tam przyjaciół. To bezpieczne miejsce.

- Bezpieczne?

- De Zoete. Nie bądź naiwna. Nie mogę się pokazywać z tobą na ulicach Paryża. Tak jak i ciebie nikt nie powinien widzieć ze mną. Pół godziny straciłem dzisiaj na zmylenie ochroniarzy.

Och! - krzyknęła, zakłopotana. - Ilu ich masz? Dwóch. Oficjalnie. Nie liczę tych, o których nie wiem. Nieoficjalnych pracowników BOSS.

Rianne uniosła brwi ze zdziwienia. Mówił o południowoafrykańskich służbach wywiadowczych. Nic dziwnego, że nie chciał być widziany w jej towarzystwie. Zjechał z *périphérique* i skręcił w główną ulicę. Latarnie rzucały żółte, tajemnicze światło. Takiego Paryża Rianne nie знаła: rzędy paskudnych, zniszczonych wielopiętrowych bloków mieszkalnych, na ścianach graffiti, na ulicach śmieci i porozbijane samochody.

Dokąd, u licha, jechali? Z niepokoju czuła coraz silniejszy ucisk w żołądku. Rzuciła okiem na jego dłonie na kierownicy. Silne, szerokie palce. Wyraźnie widziała linię, gdzie czarna skóra wierzchu ręki przechodzi w jaśniejszą, żółtaworóżową wewnętrzną jej strony. Po raz pierwszy widziała takie dłonie. Poza krótką chwilą w herbaciarni Serendipity wiele lat temu, kiedy ją podtrzymał po potknięciu, nigdy nie była tak blisko Murzyna. Zauważyła, że ma na wskazującym palcu grubą srebrną obrączkę i delikatną srebrną bransoletkę tuż pod mankietem koszuli. Ubrany był inaczej niż rano. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę, czarną marynarkę i czarne dżinsy. Ma styl - pomyślała. To pamiętała jeszcze z Malvern.

- Nie gap się na mnie. To niegrzeczne. - Rzucił na nią okiem. Słaby uśmiezek błąkał mu się po ustach.

Zarumieniła się i odwróciła głowę. Zwolnił przed rzędem sklepów - wszystkie były zamknięte - i szukał miejsca do zaparkowania. Zdezorientowana, wpatrywała się w ciemność. Czyżby to był czyjś dom?

Otworzył dziewczynie drzwi. Kiedy włożyła rękę w dłoń Ree, zalała ją fala gorąca, straciła oddech. Czuła zapach jego wody po goleniu, ciepło ciała chłopaka, kiedy pomagał jej wysiąść, a potem przechylił się za nią, żeby zamknąć samochód. Już sama jego obecność powodowała, że Rianne kręciło się w głowie. Riitho zdawał się niczego nie dostrzegać. Zrobił kilka kroków i nacisnął dzwonek przy wejściu do jednego ze sklepów. Ku jej zaskoczeniu po francusku mówił jak rodowity paryżanin. Rianne podążyła za nim słabo oświetlonym korytarzem do jakiegoś pomieszczenia na tyłach domu. Nagle poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę: uświadomiła sobie, że chciałaby dowiedzieć się o nim wielu rzeczy. Nie mogła pojąć, że jeszcze dwanaście godzin temu mężczyzna, który szedł przed nią nie był nikim realnym, tylko twarzą, którą w ciągu ubiegłych lat widziała kilka razy, i upokarzającym wspomnieniem afrontu, jakiego doświadczyła w szkolnych latach. Szła za chłopakiem, a w głowie czuła nieustanny szum. Nie miała pojęcia, co robiła ani czego chciała, nie wiedziała nawet, dlaczego się z nim spotkała. Była natomiast pewna, że po dzisiejszym dniu - bez względu na to, czy jeszcze się z nim zobaczy czy nie - jej świat się zmieni. Przez moment pomyślała o Olivierze. Ona się zmieni. Dochodziła północ. Riitho dał znak człowiekowi w kącie pokoju, że wychodzą. Wypili butelką wina, a Rianne zamówiła jeszcze whisky. Właściwie wino również ona wypiła, Riitho przypomniał, że przecież prowadzi. Coś jedli, nie pamiętała co, i

rozmawiali. Rozmawiali. Czują na sobie jego świdrujący wzrok, kiedy odpowiadała najpierw na jedno, potem na następne pytania. Sam mówił niewiele, po prostu jej słuchał, sondował, rzucał uwagę, zadawał pytania. Czas płynął, butelka powoli się kończyła, a Rianne coraz głębiej brnęła w nieznaną sferę intymności i wspomnień. Bała się - jego i siebie. Nic na to nie mogła poradzić. Nagle najbardziej naturalne w świecie stało się mówienie mu rzeczy, których nikomu by nie powiedziała. W pewnej chwili zamilkła zakłopotana. Czy nie wyznała za dużo? Spojrzała na niego niepewnie. Wstał, zapłacił młodemu kelnerowi - jak powiedział, z Zairu - i włożył marynarkę. Zarzuciła na siebie kożuszek.

- *Merci, Dumi.* - Riitho trzykrotnie potrząsnął ręką kelnera. Dziewczyna przyglądała się im w milczeniu. - *A bientôt.*

Ciemnym korytarzem wyszli w zimną noc.

- Gdzie się zatrzymałaś? - zapytał, uruchamiając silnik.

- Mamy mieszkanie na Avenue Foch. Należało do mojej matki.

- Jesteś tam sama? Tak. Dziadkowie mieszkają kilka domów dalej. Tak jest wygodniej. Bywają nadopiekuńczy.

- Zapewne mają powody - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Nie, wcale nie. To nieprawda, co piszą o modelkach, tych szalonych imprezach, setkach chłopaków. Musimy sypiać osiem godzin, żadnego alkoholu czy narkotyków. Na to nie można sobie pozwolić.

- Żadnych mężczyzn? - Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Nie, właściwie nie - powiedziała cicho. To była prawda, myślała o tym, odkąd rano go zobaczyła. Zarumieniła się. - A ty?

- Mężczyźni? Nie. Wolę kobiety - uśmiechnął się szeroko. Wstrzymała oddech.

Wsunął płytę kompaktową do odtwarzacza, oboje zamilkli. Jechał szybko, o tej porze ruch na ulicach był niewielki. Wnętrze samochodu wypełniły dźwięki demonicznej muzyki, wiedziała, że południowoafrykańskiej. Rytmiczna intonacja wznosiła się i opadała, była znajoma jak jakiś głos w niej, w środku; melodia mówiła, oddychała, śmiała się. Wyraźnie przypominała odgłosy codziennego życia południowoafrykańskiego, znane zarówno białym, jak i czarnym.

- Jak długo będziesz w mieście? - zapytał, kiedy skręcił w Avenue Foch.

- Jakiś tydzień.

Za dziesięć dni musiała być w Nowym Jorku, miała zdjęcia u Cal vina Kleina.

Wiedziała, że Ross osobiście ją zabije, jeśli nie stawi się na sesję.

- Co robisz w piątek? - Zaciągnął ręczny hamulec.

- Nie mam żadnych planów.

Szybko rozejrzał się po cichej ulicy. Kilka pojedynczych samochodów przejechało obok.

- Wsiadłbym, ale... - powiedział, obserwując w bocznym lusterku skręcający samochód. - Na pewno potrafisz sama otworzyć drzwi, de Zoete - rzucił. '

- Dlaczego tak mnie nazywasz? - zapytała.  
- De Zoete? Przecież takie nosisz nazwisko, prawda?  
- No tak, ale ludzie nazywają mnie Rianne.  
- Ja wolę de Zoete. Przypomina mi, kim jesteś. - Zapadła chwila ciszy. Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. - Słuchaj... masz ochotę gdzieś się wybrać w piątek? - zapytał po chwili. Skinęła głową. - Spotkajmy się przy stacji metra Alesia o czwartej. Sprawdź na mapie, gdzie to jest. Czekaj na mnie przy wyjściu na rue Duvernet.  
- Dlaczego tam? - zapytała, otwierając drzwi.  
- Dlaczego nie? - Czekaj, aż wysiądzie z samochodu. - Nie spóźnij się. I włóż czapkę na głowę. Dobrze ci w niej.  
Odjechał. Minutę, może dwie stała przed wejściem do apartamentu i patrzyła za znikającymi światłami samochodu. Podniosła rękę i dotknęła dłonią twarzy. Policzki miała gorące. Dziwnie się czuła, nie mogła złapać tchu. Nie była pewna, co o tym wszystkim myśleć. Okazał się najbardziej enigmatycznym, zniewalającym i przerażającym człowiekiem, jakiego знаła. Był czarny. A to znaczyło wszystko... i nic.

## 42

- Na co masz ochotę? - cierpliwie pytał Marcus Nathalie. Stała przy oknie i bębniła paznokciami po zębach. W drugim ręku trzymała kopertę. Była nieobecna duchem. Ostatnio ciągle jej się to zdarzało. Coś włoskiego? Kuchnia azjatycka? A może masz ochotę wyjść na kolację? spróbował jeszcze raz.

- Och, nie wiem.

Nathalie zupełnie go nie słuchała. Pragnęła, żeby sobie poszedł. Chciała być sama. Cały dzień spierała się z Camille, która za wszelką cenę próbowała pchnąć G/D 3 w innym, bardziej ryzykownym kierunku i proponować klienteli więcej zmysłowej bielizny, a mniej ładnej, codziennej, którą wolała Nathalie. Kłóciły się od samego rana. Nathalie miała kilka umówionych spotkań i wyszła zaraz po lunchu. Nie przejrzała porannej poczty, chociaż Angie, ich sekretarka, jak zwykle otworzyła koperty i położyła pisma na jej biurku. Zabrała się do tego dopiero po powrocie i zamknięciu sklepu. Nalała sobie drinka, usiadła przy biurku i przysunęła do siebie stos papierów. Na wierzchu leżała gruba kremowa koperta. Wzięła ją do ręki i podziwiała ładny charakter pisma. „Nathalie i Philippe Maréchal”. Zastanawiała się, kto był nadawcą tego listu. Otworzyła. Chwilę zajęło jej zrozumienie tekstu. „Pan i pani Neil Ellingham mają przyjemność zaprosić... na ślub swojej córki Sieny Julii z Saszą Karponenem Nilamem”.

Patrzyła na zaproszenie, pismo zaczęło jej się zamazywać przed oczami.

Najwyraźniej ojciec Saszy przewyciężył awersję do dziewcząt z Europy -

pomyślała z goryczą. Dlaczego Sasza ich zaprosił? Tak bardzo się starała o nim zapomnieć, wymazać z pamięci jego twarz, nie myśleć o tym, co zaszło i między nimi, i między nim a jej matką. Prawie jej się udało. Pomagało rozkręcanie interesu. Pracowała ciężiej, dłużej i szybciej niż ktokolwiek inny. Dlatego właśnie G/D tak dobrze prosperowały. Nathalie zawsze była gotowa pojechać kilometr dalej, zamykać sklep później, podjąć większe ryzyko, eksperymentować, przygotować plany na przyszłość. Miała dwadzieścia trzy lata, trzy sklepy, mieszkanie w jednej z najmodniejszych dzielnic Londynu i kochającego ją chłopaka. Dlaczego więc czuła się, jakby świat miał się za chwilę zawalić?

- Nat? - znowu się odezwał. - Więc jak? Co chcesz zjeść?

- Marcus, nie zawracaj głowy. Zamów coś dla siebie. Nie jestem głodna.

- Ale - zaczął zaniepokojony - powinnaś coś zjeść. Nic nie jadłaś...

- Nie jestem głodna! - przerwała mu. - Idź już! Przynieś coś dla siebie. - Nie chciała się odwrócić; łzy spływały jej po policzkach.

Marcus chwycił płaszcz i poszedł do windy. Nathalie zawsze była drażliwa. W kieszeni szukał kluczyków od samochodu. Za tegoroczne zyski właśnie kupili nowe auto na firmę, srebrne BMW; poprawi sobie humor przejażdżką. Wcisnął guzik pilota, zabrzmiał pip wyłączanego alarmu. Kiedy wyjeżdżał z podziemnego garażu, zobaczył kogoś w pasiastym, podobnym do skóry zebry, płaszczu. To była Camille, biegła od swojego samochodu, starego Volkswagena.

- Cześć, Camille. - Zatrzymał się przy niej. - Coś się stało? Samochód się zepsuł? - Wyglądała niesamowicie z długimi, czarnymi włosami opadającymi falami na wspaniałym płaszczu.

- O, cześć, Marcus - zwolniła kroku. - No tak. Ta głupia maszyna nie chce zapalić. A ja muszę jechać do Soho, umówiłam się znajomymi i już jestem pół godziny spóźniona.

- To wskakuj, podwiozę cię. Zajmie to nam dwadzieścia minut. Marcus miał ochotę posłuchać głosu kogoś, kto nie był ciągle zmęczony, zdenerwowany albo w złym humorze. Dwudziestominutowa przejażdżka po Londynie z pełną życia Camille zapowiadała się obiecująco. Zadowolona dziewczyna otworzyła drzwi i opadła na miękkie, obite skórą fotel.

Godzinę później siedział w barze w Soho z czterema Holenderkami. Wpatrywał się w drugą szklaneczkę ginu z tonikiem i czuł, że powoli się odpręży. Z przyjemnością spędzał czas z dziewczyną tak ładną i pełną życia jak Camille, w towarzystwie jej koleżanek również czuł się znakomicie. Przechwycił spojrzenie Camille i uśmiechnął się do niej. Może to będzie fajny wieczór. Nathalie zwykle pracowała do późna - albo w biurze, albo w którymś ze sklepów, a jeszcze częściej w pracowni na poddaszu, w domu. Przyzwyczyił się, że wieczorami samotnie ogląda telewizję lub idzie z Philippe'm do pobliskiego pubu, chociaż ostatnio, ze względu na ciążę Jenny, przyjaciel rzadziej wychodził wieczorami. Zamówił trzeciego drinka, zapominając o

tym, że jego - ich - nowy samochód stoi pod barem i wypił zbyt dużo, żeby usiąść za kierownicą. Alkohol, śmiech i papierosowy dym uderzyły mu do głowy, przysunął się do Camille. Wyraźnie poczuł zapach jej perfum, kiedy pochyliła się przed nim, przypalając papierosa ogniem podanym przez jedną z koleżanek. Nie mógł nie spojrzeć na rowek między piersiami. Dziewczyna miała na sobie obcisłą, czarną sukienkę z dżerseju, a pod spodem czerwony staniczek. Widać było koronkowe ramiączka, kiedy sukienka zsuwała się z opalonego ramienia. Zupełnie zapomniał o Nathalie i jej dziwnym nastroju. Czuł się szczęśliwy: Camille była tuż obok, od czasu do czasu, kiedy mówiła czy się śmiała, kładła mu rękę na ramieniu.

Dopiero kiedy zbierali się do wyjścia, prawie trzy godziny później, uświadomił sobie dwie rzeczy: po pierwsze, że jest kompletnie pijany, a po drugie, że ma wielką ochotę na seks. Na szczęście Camille piła znacznie mniej. Spojrzała na niego i zażądała kluczyków od samochodu. Uśmiechnął się głupawo do jej rozbawionych koleżanek i pozwolił się dziewczynie poprowadzić do samochodu.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała, kiedy otwierała mu drzwi auta. - Odwiozę cię, a potem taksówką pojedę do siebie.

- W Fulham - wymamrotał Marcus. Wcale nie miał ochoty wracać do domu i Nathalie, szczególnie w tym stanie. Odwrócił się do Camille, która już siedziała w fotelu kierowcy. - Właściwie nie mam ochoty wracać do domu. Może wpadniemy gdzieś na jeszcze jednego drinka? - zaproponował.

- Raczej nie. Ale możesz pojechać do mnie... na jeszcze jednego drinka powiedziała scenicznym szeptem. - Mam doskonałe holenderskie piwo...

- Znakomity pomysł - ucieszył się Marcus. Co prawda wcale nie gustował w holenderskim piwie, miał jednak wielką ochotę zostać z Camille.

Pochyliła się przed nim, żeby zapiąć mu pas bezpieczeństwa. Utkwił wzrok w jej jędrnych piersiach. Kiedy odchyłała się z powrotem na swoje siedzenie, bez namysłu chwycił ją za ramię.

Zawahała się chwilę. Potem, śmiejąc się gardłowo, wsunęła rękę między jego uda i lekko ścisnęła.

- Ho, ho - roześmiała się. - Coś mi się wydaje, że nie tylko na piwo masz ochotę... - Uruchomiła silnik.

Marcus osłupiał z wrażenia. W tym momencie najbardziej pragnął czuć jej rękę między udami, gdziekolwiek. Przymknął oczy, Camille włączyła się do ruchu. Nathalie zapaliła papierosa, ręce jej drżały. Było już dobrze po północy, a Marcus jeszcze nie wrócił do domu. Nie miała pojęcia, dokąd poszedł, ale widziała go z Camille. Rozpoznała jej długie, czarne włosy. Odjeżdżali razem spod biura niemal sześć godzin temu. W domu chłopaka nie było, co pół godziny próbowała się do niego dodzwonić. Paliła papierosa i nerwowo chodziła od ściany do ściany.

Wszędzie w pokoju widać było dowody i symbole powodzenia ich firmy: partia ostatniej linii bielizny, jeszcze w przezroczystym, celofanowym opakowaniu;

manekiny z poprzypinanymi do smukłych sylwetek próbkami pięknych tkanin i koronek; sterty rysunków i projektów na kreślarskich stołach. Bardzo ciężko pracowała i firma odniosła wielki sukces. Każdy, kto miał jakąś pozycję w Londynie, regularnie odwiedzał jeden z ich sklepów. Nathalie była zachwycona, że udało im się stworzyć coś z niczego. Lubiła gwar, pośpiech, krzątanie i związane z tym podniecenie. Cieszyła się z całości i z każdego szczegółu.

Zupełnie inaczej wyglądało jej życie uczuciowe. Miała Marcusa. Był częścią firmy, stałym elementem wnętrza, częścią jej życia. Na początku polegała na nim, ufała jego wyczuciu w prowadzeniu interesów, umiejętności dogadania się z trudnymi dostawcami i handlowcami. Potrzebowała go. Tworzyli w czwórkę doskonały zespół: ona, Marcus, Juliette i Philippe. W pewnej chwili jednak zrozumiała, że sama jest w stanie sobie ze wszystkim poradzić. Prawdę mówiąc, radziła sobie nawet lepiej, kiedy Marcusa nie było w pobliżu. Philippe prawie przestał się udzielać. Bardziej zajmował się rodziną, interesował się również innymi dziedzinami, na przykład rynkiem nieruchomości, co Nathalie nawet odpowiadało. Juliette dawała do zrozumienia, że chciała projektować nie tylko staniczki i majteczki, a Nathalie również nie miałaby nic przeciwko temu. W pewnym sensie oczekiwała, że Marcus też znajdzie sobie inną sferę zainteresowań i tak jak Philippe oraz Juliette zajmie się czymś nowym.

Niestety, tak się nie stało. Wałęsał się po biurze, zawracał głowę jakimś nieważnymi, drobnymi sprawami i ciągle mówił o ślubie, którego jeszcze nie wzięli. Rozmawiali, wyłącznie o sprawach firmy. W domu nauczyła się unikać jego smutnego wzroku, zamykała się w swoim sanktuarium na poddaszu, a on siedział na dole i nie wiadomo, co robił. Przyzwyczaiła się obywać bez wyrazów wielkiego uczucia, wołała być podziwiana przez współpracowników i innych ludzi, z którymi codziennie się spotykała.

Wyjątkiem była Camille. Początkowo podobała jej się żywiołowość i zmysłowość nowej projektantki. Ukończyła akademię Central St Martin's jako prymuska. Nathalie i Juliette były zachwycone jej szybkimi, dowcipnymi projektami oraz odważnymi pomysłami. Na początku współpraca układała się bardzo dobrze. Camille zwracała uwagę na szczegóły, lubiła rzeczy wyjątkowe, co Nathalie się podobało, chociaż jak na jej gust projekty artystki były odrobinę zbyt... zmysłowe. Camille zaproponowała, żeby w G/D 3 sprzedawać kilka różnych linii: „dla niegrzecznych i grzecznych dziewczynek”. Nathalie się nie zgodziła. Odrzuciła pomysł w pewnej mierze dlatego, że był autorstwa Camille, a nie jej samej, ale również z tego powodu, iż czuła się zakłopotana otwartą zmysłowością odważnej bielizny.

Teraz jednak miała jeszcze jeden powód, żeby złościć się na projektantkę. Zerknęła na zegarek. Dochodziło pół do drugiej. Gdzie on się, do diabła, podziewał? W tej chwili leżał na łóżku Camille, obojętny na wszystko, czuł tylko usta dziewczyny na prąciu i jej włosy rozsypane na udach. Trzymała go za nadgarstki,



głową poruszała w górę i w dół, w górę i w dół. Jęczał z rozkoszy, każdym nerwem odbierał niesamowite wrażenia. Ssała go początkowo delikatnie, potem coraz silniej i silniej, aż szczytował w jej ustach. Uwolnił ręce i zatopił dłonie w jej włosach. Chwilę leżeli bez ruchu, prącie nadal pieściła wargami.

- Camille - zamruczał, gładząc jej włosy i ramiona - to było...

- Sza. Nic nie mów. - Podniosła wzrok i spojrzała na niego figlarnie. - Gotów na dalszy ciąg? - Marcus zamknął oczy. Od kilku lat nie doświadczył niczego równie wspaniałego. Tak powinno być z Nathalie. Tego mu brakowało.

Prawie świtało, kiedy otrzeźwiał na tyle, żeby wrócić autem do domu. Zaparkował w tym samym miejscu co zwykle i spojrzał w okna mieszkania. Na szczęście światła były pogaszone. Otworzył drzwi wejściowe i zaczął szukać kluczy do apartamentu. Pochylił się, żeby dojrzeć zamek i przekręcić go jak najciszej.

- Drzwi otworzyły się z impetem, w progu stała Nathalie. Ty łotrze! - syknęła, kiedy się prostował. - Ty skończony łotrze! - Wyglądała, jakby całą noc płakała. - Jak mogłeś? - Zagradała mu wejście do mieszkania.

- Nat - zaczął i spróbował odsunąć ją na bok, żeby wejść do środka. - Słuchaj, przepraszam, wiem, że jest późno i...

- I co? - Nie chciała się przesunąć.

- Czy mogę chociaż wejść do środka? Nie chcę rozmawiać na korytarzu. Obudzimy sąsiadów.

- Pieprzę sąsiadów! Czy nie to właśnie robiłeś całą noc? - Zdecydowanym ruchem objęła się ramionami. Paznokcie wbiła w ciało. Widział zbiegające kłykciki.

- Nat! Porozmawiajmy w środku.

- Nie! Przyznaj się, gdzie byłeś. - Mówiła coraz głośniejszym głosem. - Masz mi powiedzieć, co robiłeś. Chcę, żebyś...

- Nat! Przestań! - Marcus zdecydowanym ruchem odsunął ją z wejścia i zamknął za sobą drzwi. - Byłem z Philippe'em, wypiliśmy kilka drinków i... Och! - Nathalie okładała go pięściami i histerycznie płakała. Chwycił ją za rękę.

- Kłamiesz! - wrzasnęła. - Widziałam cię... Widziałam cię! Byłeś z nią - dławiła się od płaczu. Trzymał ją za obie ręce i nie dbał, czy sprawia jej ból. Walczyła z nim, twarz miała wykrzywioną złością. Nigdy nie widział, żeby była aż tak bardzo wściekła. Próbowano wyrwać rękę z uścisku, ale trzymał ją mocno. Płakała, zachłystywała się łzami i złością. Jak śmie jeszcze ją okłamywać? Widziała go, widziała ich razem, nawet czuła charakterystyczny zapach. Śmierdział papierosami i jej pieprzonymi perfumami. Znowu próbowała się wyrwać. Nie mogła.

- OK. OK. Przepraszam, skłamałem - powiedział, próbując uspokoić dziewczynę i trzymając jej rękę z dala od siebie. - Wyszedłem z Camille. Przepraszam, Nat. Poszliśmy na drinka. Byłem... Upiłem się. Przepraszam. Chciałem wyjść gdzieś z tobą ale byłaś taka... zła. Nie wiem, co się z tobą ostatnio dzieje. Jesteś...

- To ty działasz mi na nerwy. Ty! - Wyrwała rękę i ciężko oddychając, stała przed

nim. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem zaczęła wyrzucać z siebie słowa: - Mam cię dość, Marcus. Mam dość patrzenia, jak się szwendasz i nic nie robisz. Mam dość oglądania cię co dzień. Nie potrzebuję cię w firmie ani w swoim życiu. W ogóle cię nie potrzebuję. - Przeszła na środek pokoju. - Skończyłam z tobą Marcus. Rozumiesz? Wszystko mi jedno, czy sypiasz z Camille. Nasz związek już dawno się skończył. Wynoś się! Sprawy zawodowe załatwimy później. - Patrzyła mu prosto w oczy. Marcus zaniemówił. - Wynoś się!

Drzwi się za nim zamknęły. Nathalie nie mogła uwierzyć, że nagle wyrzuciła za drzwi cztery lata swojego życia. Niepewnie rozejrzała się wokół siebie. To było jej życie. To był jej dom... ich dom. W apartamencie co krok natykała się na rzeczy Marcusa: ubrania, książki, buty, różne należące do niego przedmioty. Była wyczerpana. Całą noc nie spała, przesiadywała w fotelu przy frontowym oknie. Podeszła do kominka, sięgnęła po paczkę papierosów, usiadła na kanapie i zapaliła. Głęboko zaciągnęła się dymem. Uświadomiła sobie, że całą noc wcale nie myślała o Marcusie, tylko o Saszy Nilamie i o tym, co mógł robić z Sieną, swoją przyszłą żoną. Przeżyła szok, kiedy zrozumiała, że była wściekła na Saszę, nie na Marcusa. Kiedy okładała pięściami Marcusa, w rzeczywistości biła Saszę. Teraz, gdy chłopaka już nie było, czuła wyłącznie ulgę.

Podkuliła nogi i położyła się. Mimo wyczerpania umysł miała trzeźwy. Po pobycie w Kuala Lumpur ukryła głęboko w sobie uczucia do Marcusa, Saszy i samej siebie. Bała się myśleć o Saszy, a szczególnie o nim i swojej matce, więc nie myślała. Rzuciła się w wir pracy, koncentrowała na Philippie, nawet na niestabilnym związku z Marcusem. Mimo to w duszy ciągle rywalizowała z Cordelią o względy Nilama. Paliła, wspominała i łzy płynęły jej z oczu. Tylko Sasza mógł znieść z niej poczucie winy i wstyd, jaki czuła zawsze, kiedy kochała się z mężczyzną: Joulesem, Marcusem, kimkolwiek. Tymczasem to wydawało się już niemożliwe.. Żenił się z kimś innym. Nawet ta wiadomość nie wymazała go z jej życia. Czuła się jeszcze gorzej.

## 43

Rianne ostrożnie otworzyła drzwi do gabinetu. Od lat nie była w tym wyłożonym dębową boazerią pokoju, pełnym książek i rodzinnych wspomnień, z ogromnym, pokrytym skórą biurkiem Mariusa. Zatrzymała się w drzwiach, włosy stanęły jej na głowie, kiedy rozglądała się po wnętrzu, niemal oczekując, że zobaczy ojca za biurkiem. W jej wspomnieniach siedział z pochyloną głową i pracował. Nigdy dokładnie nie wiedziała, czym się zajmował. Wyjeżdżał, chodził na spotkania, odwiedzał kopalnie. W ostatnich latach życia dużo podróżował, tak jak teraz Lisette. Przypuszczała, że właśnie tak to jest, kiedy kieruje się dużym przedsiębiorstwem. Kiedy zaledwie kilkakrotnie wszyscy byli razem w apartamencie przy Avenue Foch,

większość czasu spędzał właśnie w gabinecie.

Po miękkim dywanie podeszła do biurka. Pokojówka Aicha utrzymywała wszystko w nieskazitelnym porządku, Rianne przypuszczała również, że często wpadali tu dziadkowie. Mieli własny apartament w Paryżu, stosunkowo niedaleko od tego mieszkania. Babka jednak lubiła tu przychodzić i powoli przechadzać się między przedmiotami należącymi do córki. Popatrzyła na biurko, codziennie polerowane przez Aichę i jej poprzedniczki. Złoty delikatny wzorek był już wytarty przy brzegach. Usiadła za biurkiem i w delikatnej skórzanej powierzchni czuła ducha dłoni ojca, kiedy pisał listy, przeglądał sprawozdania czy głośno czytał coś Céline, podczas gdy ich maleńka córeczka spała. Na biurku stały zdjęcia: ojca, matki i jej samej. Podniosła jedną z ciężkich srebrnych ramek, takich samych, jakie lubiła Lisette, chociaż ciotka na Avenue Foch nigdy nie była. Zgodnie z niepisanym porozumieniem apartament należał do francuskiej linii rodziny i Lisette bardzo tego przestrzegала. Claude i Marie - Hélène, jak zawsze uprzejmie, postawili sprawę jasno: to był dom Céline. Rezydencja rodziny de Ribain. Oczywiście było, że Rianne mogła z niego swobodnie korzystać. Mieli nawet nadzieję, że kiedyś zamieszka tu na stałe. Lisette była im wdzięczna.

Rianne wpatrywała się w fotografię rodziców, którą trzymała w ręku. Nie wiedziała, gdzie i kiedy zdjęcie zostało zrobione. Od wielu lat nie przyglądała się twarzom matki i ojca. Miała ich fotografię zrobioną podczas wakacji na południu Francji rok przed ich śmiercią. Céline szczupłymi, opalonymi ramionami obejmowała Mariusa, on trzymał jej dłonie. Ostre, zdecydowane rysy twarzy łagodził wyraz miłości. Dziewczyna nie wiedziała, kto zrobił zdjęcie. Znalazła je w szufladzie w biurku ojca w Vergelegen. Było prawie dokładną kopią tego, przy którym obecnie siedziała. Nie pamiętała, co się stało z tą fotografią. Prawdopodobnie rozpląnęła się w jej łzach, którymi zalewała ją długie miesiące po zniknięciu ojca.

W gabinecie panowała cisza. Promienie porannego słońca padały na dywan. Wstała od biurka i zaczęła przechadzać się między półkami. Książki. Setki książek. Nie wiedziała, czego właściwie szuka. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się, co ojciec czytał, co myślał. Palcem przejechała po grzbietach. Książki ułożono w porządku alfabetycznym. Czyżby zrobiła to Aicha? W pustym mieszkaniu trudno było znaleźć sobie zajęcie. N. Berger: Rozdziały z historii Afryki Południowej, żydowskiej i powszechnej, S. Biko: Piszę, co chcę, C. Bundy: Powstanie i upadek południowoafrykańskiego chłopstwa. Przesunęła palce dalej. J. Guy: Upadek królestwa Zulusów: Wojna domowa w krainie Zulusów, 1879 - 1884. Nawet nie słyszała o tej wojnie. J. Hanlon: Drugi front apartheidu: Wojna Afryki Południowej z krajami ościennymi. Zatrzymała się. M. Horriel: Przepisy prawne regulujące stosunki rasowe w Afryce Południowej. Przeszła dalej. N. Mandela: Długa droga do wolności.

L. Modise: Mój naród, moje życie. Wpatrywała się w książkę i czuła, jak krew uderza jej do głowy. Delikatnie wysunęła ją z półki. Była cienka, opublikowana

przez londyńskie wydawnictwo Heinemanna w serii Biblioteka Pisarzy Afrykańskich. Odwróciła książkę i przeczytała notkę na czwartej stronie okładki: „Livingstone Sandile Modise razem z Nelsonem Rohlilalem Mandelą od ponad dwudziestu lat przebywa w więzieniu. Z roku na rok na całym świecie kampanie na rzecz ich uwolnienia przybierają na sile. Ten zbiór esejów, przemówień i artykułów napisanych w podziemiu, po raz pierwszy zebranych od czasu uwięzienia autora, doskonale ilustruje przekonania jednego z najbardziej utalentowanych i najprężniejszych afrykańskich bojowników o wolność, sprawiedliwość i prawa człowieka”. Książka się otworzyła, ktoś zaznaczył miejsce, zaginając prawy górny róg kartki... Marius? Czytała: „Afryka Południowa należy do wszystkich jej mieszkańców, czarnych i białych. - Karta Wolności Afrykańskiego Kongresu Narodowego”. Znalazła kolejny zagięty róg. Ktoś na tej stronie podkreślił zdanie: „Dlaczego czarny obywatel nigdy nie odpowiada przed czarnym prokuratorem, nie staje przed czarnym sędzią i nie jest sądzony według praw, które współstanowił?” Zamknęła książkę. Nie mogła czytać dalej. To był jego ojciec, to były jego słowa. Popatrzyła na ściany zastawione książkami. Czy takie książki czytał jej ojciec? Nigdy nie słyszała nazwisk większości autorów, nie znała również tematów, jakie w swoich książkach poruszali. Nie była dość mądra, a raczej dostatecznie wykształcona, żeby zrozumieć, o czym piszą. Ojciec dużo czytał, bogata biblioteka była tego dowodem. Nie spodziewała się jednak wśród Keigesów, van der Merwesów i Robertsonów znaleźć na półkach Mandelę i Modise'a, Nkrumaha i Khumala. Dlaczego niektórych autorów kojarzyła z ojcem, a inni, którzy również liczyli się w jego życiu, byli dla niej zaskoczeniem? Odwróciła się i podeszła do kanapy stojącej naprzeciwko biurka. Położyła się na brzuchu na miękkiej, zniszczonej skórze i oddychała głęboko. Z oczu popłynęły jej łzy. Gdzieś słyszała, zupełnie nie wiedziała gdzie, że zapach przywołuje wspomnienia szybciej niż inne zmysły. Trafne spostrzeżenie. Poczwała zapach i obecność ojca, przybył tu dla niej i tylko dla niej. Długie godziny leżała bez ruchu.

\*

Riitho spojrział na zegarek i zmarszczył czoło. Spóźniła się już piętnaście minut. Nie lubił ludzi niepunktualnych, mimo to był podniecony - i zaniepokojony. Rianne wytrąciła go z równowagi. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego, ale spodziewał się, że do niego przyjdzie. Kiedy Marcelle najpierw przez interkom powiedziała, że przyszła „dawna znajoma”, a potem, że Gabrielle Francis chce się z nim widzieć, wiedział, że to Rianne. Jednak co innego wiedzieć, a zupełnie co innego wejść do poczekalni i naprawdę ją zobaczyć. Nie chodziło o to, że była piękna, zmysłowa czy znana, ani nawet o wszystkie te cechy razem wzięte. Od chwili, kiedy w mieszkaniu tamtej dziewczyny w Londynie

zobaczył fotografię Rianne w czasopiśmie, wszędzie widział jej twarz. Dwa miesiące podobizna sławnej modelki wisiała na billboardzie na końcu ulicy, przy której mieszkał w dzielnicy Marais w Paryżu. Interesował się nią znacznie wcześniej, zanim go odwiedziła. Nie ze względu na to, że była biała czy pochodziła z Republiki Południowej Afryki. Kochał się... spał z... nawet nie pamiętał, z jak wieloma pięknymi, seksownymi dziewczynami, w tym z kilkoma z Afiki Południowej. Nie o to chodziło. Kiedy ujrzał ją w poczekalni, nie zachowywała się wyniośle i arogancko jak wcześniej. Pychę i butę wyparło coś, czego nigdy przedtem w niej nie dostrzegł. Wyglądała na podatną na ciosy i zagubioną, jakby nie wiedziała, co robi albo kim jest. Poczuł, że jej pożąda, a jednocześnie ogarnia go złość. Dziwne połączenie sprzecznych uczuć. Nie potrafił wykrztusić słowa. Nie spodziewał się takiej reakcji. Doskonale pamiętał, jaki był wściekły, kiedy się spotkali po raz pierwszy w tej okropnej herbaciarni. Potknęła się i niemal przewróciła na drzwi. Nie zapomniał jej spojrzenia - przecież był tubylcem - kiedy wyciągnął rękę i ją podtrzymał. Odsunął się od dziewczyny, czuł zalewające go fale wściekłości. Kiedy spotkali się po raz drugi, udał, że jej nie widzi. To było łatwe. Potem zmusił Naela, żeby z nią zerwał, zanim na dobre zbliżyli się do siebie. Zaczerwienił się na wspomnienie przyjaciela. Nadal utrzymywali bliskie kontakty. Co powie koledze? Oświadczy, że przypadkowo spotkał Rianne w Paryżu i zaprosił na kolację?

Podniósł wzrok. Dochodziło pół do piątej. Dziewczyny nie było widać. Wydał policzki. Zrezygnowała ze spotkania. Mocniej ścisnął kierownicę. Może tak było lepiej. Chyba oszalał, spodziewając się... No, cóż, nie wiedział, czego się spodziewał. Chciał się z nią zobaczyć, to wszystko.

Uruchomił silnik i odruchowo spojrzął we wsteczne lusterko. Wywiadowcy BOSS od pewnego czasu go nie śledzili. Ostatnio stali się bardziej leniwi. Złagodnieli. Zadowalali się sprawdzaniem w każdy piątek jego obecności w pracowni Neumanna i od czasu do czasu przejeżdżali obok mieszkania. Spojrzał w lusterko jeszcze raz, skontrolował wskaźniki i wtedy ją zobaczył. Wybiegała ze stacji metra z rozwianymi włosami, czapkę baseballową trzymała w ręku. Widział, jak z niepokojem sprawdza nazwę ulicy: oui, Rue Duvernet. Ogromne napięcie powoli opadało. Poczuł ulgę.

Ruszył spod krawężnika. Nie widziała go. Włączył się do ruchu i zrobił kółko, na wypadek gdyby ktoś go obserwował. Wjechał z powrotem w Rue Duvernet i zaparkował kilka metrów dalej. Widział, jak Rianne idzie na przystanek autobusowy, związuje włosy i upycha je pod czapkę. Spojrzała na zegarek. Poczekaj dziesięć minut i podjedzie. Na razie z przyjemnością jej się przyglądał.

Rianne klęła i przepychała się przez tłum na ruchomych schodach. Dlaczego wokół jest tak dużo ludzi? Przecież to jeszcze nie godziny szczytu. Nie do wiary. Cały tydzień tylko o tym myślała, nie mogła jeść i spać, tymczasem teraz, proszę bardzo, spóźniła się. Pół godziny spóźnienia! Nie było w tym jej winy. Utknęła w metrze na

dwa kwadranse. Sprzątali coś czy kogoś z torów. W wagonie nie mogła wytrzymać z gorąca. Nienawidziła jeździć miejskimi środkami komunikacji, ale w ten sposób najpewniej mogła dotrzeć do stacji Alesia. Kiedy wreszcie pociąg ruszył, było piętnaście po czwartej, a nie przebyli jeszcze nawet połowy drogi.

Łokciem odsunęła kogoś przed siebie, szybko minęła barierki i po dwa stopnie popędziła schodami do góry. Czuła, że włosy się rozsypują, ale nie mogła się zatrzymać, żeby je ponownie związać. Proszę, zaczekaj - szeptała w duchu.

Wybiegła na ulicę i nerwowo rozejrzała się wokół. Tak, była na rue Duvernet i nie, żaden samochód nie czekał. Trochę dalej ktoś ruszał spod krawężnika, ale nie widziała... nie, nie... to nie był on. Rozejrzała się dookoła. Nic. Nie mogła złapać tchu. Związała włosy z tyłu i wsunęła pod czapkę. Jeszcze raz spojrzała na zegarek: czwarta trzydzieści. Może on też się spóźni? Nie bardzo wiedziała, co robić. Powoli poszła na przystanek autobusowy. Postanowiła poczekać do piątej. Jeżeli już był i odszedł, w poniedziałek pójdzie do pracowni i wszystko wyjaśni. Zatrąbił krótko dwa razy. Widział, że podskoczyła i odwróciła się w jego stronę, potem z wyrazem ulgi na twarzy podeszła do samochodu. Pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera. Na zewnątrz było zimno.

- O Boże, bardzo przepraszam - zaczęła od razu, z wdziękiem wsuwając się na siedzenie. - Była jakaś awaria metra, pociąg stał całe wieki. Myślałam, że zrezygnowałeś i...

- De Zoete. Zwolnij. - Riitho był spokojny.

- No tak. Przepraszam. Ja... ja tylko... ja nienawidzę się spóźniać.

- Przecież jesteś.

- Tak, jestem. - Odetchnęła głęboko. Czekał, aż się uspokoi. Ściągnęła z głowy czapkę i ręką przeczesła włosy. Kilka minut jechali w milczeniu. Obserwował ją kątem oka. - Dokąd mnie zabierasz? - zapytała nieco spokojniejszym głosem. Skręcił w A6 prowadzącą z Paryża na południe.

- Vauxle - Vicomte. Byłaś tam kiedyś? - rzucił krótko. Zaczynała poznawać jego zwyczaj, konkretny sposób mówienia.

- Nie. Co to takiego? Gdzie to jest?

- Poczekaj, sama zobaczysz.

Odwrócił się i spojrział na nią, kiedy zatrzymali się przy roгатce. Miała na sobie czarny skórzany płaszcz do kolan, wełnianą sukienkę i wysokie czarne botki na płaskim obcasie.

Wychodziłaś ostatnio z jakimiś architektami? - zapytał. Odwróciła się, speszona pytaniem. Uśmiechał się lekko. Zmysłowe, doskonale wykrojone wargi rozchyłały się nieco, odsłaniając rząd białych zębów na tle nieskazitelnie czarnej skóry.

- Co takiego?

- Jesteś ubrana na czarno. Tak ubierają się architekci. Łącznie ze mną.

- Naprawdę?

- Ładne botki.
- Naprawdę?
- Tylko to potrafisz powiedzieć? Naprawdę?
- Nie - zarumieniła się. Czują, że język jej się płacze.
- To powiedz coś innego.
- Na przykład co?
- Na przykład: co robiłaś? - Zerknął na nią z ukosa. Rianne drgnęła. Jak ma mu wyjaśnić, jak powiedzieć? Jak ma przyznać, że cały tydzień odkrywała przeszłość Mariusa de Zoete'a? Że czytała, co Livingstone Modise napisał dwadzieścia lat temu, kiedy rząd, który jej ojciec popierał jego ojca wsadził do więzienia. Nie był to temat na lekką towarzyską rozmowę. Nerwowo przełknęła ślinę.
- Och... to i owo. Chodziłam po sklepach, byłam w kinie. No, wiesz. To, co zwykle.
- Kłamczucha - roześmiał się.
- No dobrze - skrzywiła twarz w uśmiechu. - Nic nie robiłam. Cały czas leniuchowałam. A co ty robiłaś?
- Zarabiam na życie, de Zoete.
- Ja też - oburzyła się. - Praca modelki jest bardzo męcząca.
- Naprawdę?
- Naprawdę.
- Skoro tak twierdzisz.
- Naprawdę jest bardzo męcząca - powiedziała gniewnie.
- Wiem, de Zoete. Drocę się z tobą.
- Aha. Słuchasz czasem tego? - Niespodziewanie zmienił temat. Ze środkowej skrytki wyjął płytę kompaktową i jej podał. Popatrzyła na krążek. Dollarbrand i Abdullah Ibrahim. Przecząco potrząsnęła głową. Nigdy o nich nie słyszała. Kąciki jego warg uniosły się lekko do góry, kiedy wsuwał płytę do odtwarzacza. To był utwór fortepianowy, melodia prosta, wolna, niepokojąca. Odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez okno. Mijali ginące w mroku przedmieścia, wyjeżdżali na otwartą przestrzeń. Dokąd ją zabierał? Oparła się wygodnie i słuchała muzyki.
- Voilà. - Riitho przerwał ciszę i skręcił. Wjechali na długą, wysadzaną drzewami drogę dojazdową.
- Gdzie jesteśmy? - Rianne rozglądała się ciekawie.
- Vaux - le - Vicomte. - Wyłączył silnik i odwrócił się do niej. - Zbudowany przez Nicholasa Fouqueta i jego architekta Louisa le Vau. Kiedy Ludwik XIV przybył na otwarcie, tak się zezłościł, widząc piękno budowli, że wtrącił Fouqueta do więzienia. Plotka głosi, że architekt kazał ściąć. Nie udało mi się dociec, czy tak było naprawdę.
- Czy powinnam znać szczegóły? - Rianne wpatrywała się w młodego mężczyznę. Właśnie wygłosił najdłuższą mowę, jaką z jego ust słyszała.
- *Mais oui*. Krótki sprawdzian będzie potem. - Zamknął samochód. - Idziesz? - Weszła za nim przez bramę. - Codziennie o szóstej wieczorem odbywa się tu

ceremonia zapalania świec. Jest na co popatrzeć. Kupił wejściówki i weszli na teren posiadłości. Prawie nikogo nie było. Spacerowali powoli, pod stopami chrzęścił żwir. Riitho prowadził do niewielkiego château, domu otoczonego fosą. Schodkami weszli na górę do głównego wejścia i czekali, aż obsługa przyniesie świece i przygotuje wszystko do wieczornej uroczystości. Za niosącymi kandelabry przeszli do pokoiw recepcyjnych. W środku było kilkoro gości. Wszyscy w nabożnym skupieniu obserwowali, jak światła są przygaszane, a pokoje napełniają się migotliwym, żółtym światłem grubych świec. Pochpdp powoli ruszył schodami na górę.

Rianne zerknęła na Riitha. Patrzył prosto przed siebie, blask płomyków odbijał się w okularach. W mroku przyglądała się jego profilowi: krótkie, gęste, czarne włosy, trochę dłuższe na czubku głowy, niskie, płaskie czoło i mały, prosty nos z odstającymi nozdrzami, co nadawało twarzy dumny, nawet zarozumiały wyraz. Usta... zmysłowe, pełne wargi, z zewnątrz obrysowane nieco ciemniejszą linią, która wyraźniej eksponowała usta. Szczęka kwadratowa i zdecydowana. Skóra czarna jak smoła, jedwabiście gładka... Dostrzegła pojawiający się zarost pod rzeźbionym zarysem brody. Był przystojny - nie, nawet na swój sposób piękny. Podobał się jej, pociągał bardziej niż ktokolwiek dotychczas. Kiedy odwrócił się, żeby spojrzeć na Rianne, i utkwiał w młodej kobiecie czarne oczy, wzdrygnęła się, zaskoczona, jak silne uczucia budzi w niej jego widok.

- Wart głowy? - szepnął Riitho. Przed nimi niosący świece powoli wchodzili po schodach na górę. Rianne nie rozumiała, o co chodzi. Głowa? Czyja głowa?

- Le Vau. Architekt. Obiecałem, że odpytam cię później.

- Ja... - W głowie jej szumiało, nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w Ree.

- Co się dzieje, de Zoete? - Zmarszczył czoło. - Dobrze się czujesz? - Pochylił głowę w jej stronę.

- Tak, ja... jest mi trochę... gorąco.

Światło świec i jego bliskość spowodowały, że poczuła się słabo.

- Gorąco? Tutaj jest cholernie zimno. - Spojrzał na nią uważnie. Złote włosy opadały jej na twarz. - Chodź, wyjdziemy na zewnątrz. Świeże powietrze dobrze ci zrobi. Ujął ją za łokieć i poprowadził przez salon o ścianach pokrytych wyszukаныmi tapetami w kwiatowe wzory oraz wyposażony w tapicerowane, ozdobne mebelki. W środku nie było nikogo. Otworzył drzwi i wyprowadził dziewczynę na mały balkonik.

Powietrze było ostre, chłodne. Wzięła głęboki oddech. Zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Nad ich głowami rozległo się pohukiwanie sowy, lecącej do gniazda. Balkonik był tak mały, że oboje ledwo się na nim zmieścili. Riitho stał niepokojąco blisko. Bardzo pragnęła podnieść ręce i pogłaskać go po karku, a potem zsunąć dłonie wzdłuż twarzy. Sama bliskość młodego mężczyzny przyprawiała ją o zawrót głowy. Jednocześnie jednak miała ochotę zerwać się i uciec. W pewnej chwili, jakby



czytając w myślach Rianne, odwrócił się do niej. Przez moment oboje milczeli. Serce waliło jej jak młotem.

- De Zoete - powiedział miękko. - Ja... - Dziewczynie wydawało się, że się waha. - Ja... Dobrze się czujesz? - Skinęła głową w obawie, że głos ją zdradzi, jeśli się odezwie. Podniosła głowę i spojrzała na niego. Bała się poruszyć, a nawet oddychać, żeby czegoś nie spłoszyć. Sama nie wiedziała, czego. - Na pewno? - zapytał. Wyciągnął rękę i ujął w dłoń kosmyk jej włosów. Obracał go między palcami. Tylko centymetry dzieliły ich twarze. Potem objął Rianne ramionami tak delikatnie, że nie była pewna, czy sobie tego tylko nie wyobraża. Pochylił głowę i niespodziewanie ją pocałował.

Na biodrach czuła ucisk jego bioder. Stała bez ruchu, niemal nie oddychała, chciała zatrzymać czas, pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie. Wyciągnęła ręce i objęła go za szyję. Marzenie sprzed chwili: dotknąć palcami jego karku, nagle się spełniło. Językiem próbował rozchylić wargi Rianne. Czuła, jak mocno bije mu serce, kiedy przytulił ją mocniej do siebie. Dłonią gładził dziewczynę po plecach, przesunął ręce w dół, wsunął pod żakiet i zatrzymał na wysokości talii. Chwyciła go za klapy marynarki, przyciągnęła bliżej do siebie, język wsunęła do ust. On pierwszy się od niej oderwał. Oddychał ciężko, nierówno. O Chryste! Co najlepszego zrobił?

- Zostaw to mnie, de Zoete - powiedział Riitho, obserwując ruch pojazdów na Polach Elizejskich. Oboje wiedzieli, jak ogromne znaczenie ma to, co niedawno się stało.

- Wyjeżdżam w środę - powiedziała cicho. Patrzyła na dłonie i obracała gruby pierścionek na palcu wskazującym. Serce miała w gardle.

- Coś wymyślę. - Uruchomił silnik. - Podaj mi swój numer telefonu w Nowym Jorku. Riitho, powinnam ci coś powiedzieć... W Nowym Jorku jest ktoś... - zaczęła z wahaniem. Od czterech dni nawet nie pomyślała o Olivierze. Wiem - uciął krótko. Opuścił koniuszki warg. - *Peu importe* (Nieważne). Spojrzała na niego. To prawda. Nic nie jest ważne. Z torebki wyciągnęła karteczkę papieru i napisała numer telefonu.

- Do środy zostaje prawie tydzień - powiedziała, nie patrząc na niego. Jak ma dzień po dniu siedzieć w pustym apartamencie, wiedząc, że on jest na drugim końcu miasta?

- Wiem. - Skinął głową. - Ale to duże ryzyko. Muszę przemyśleć parę rzeczy. Chwycił ją mocno za ramię. Nie była to pieszczota, tylko uścisk. Głęboko odetchnął.

- Wracaj do Nowego Jorku, skoncentruj - się na pracy, resztę zostaw mnie. Muszę się zastanowić, de Zoete. Powinienem być bardzo, ale to bardzo ostrożny. - Dotknął jej policzka. - Ty zresztą też. Rozumiesz?

Widział, że go zrozumiała.

- Zadzwoń.

Wysunęła się z fotela pasażera. Gdyby została chwilę dłużej, na pewno by się rozplakała. Zamknęła drzwi i odeszła. Słyszała delikatny pisk opon, kiedy włączał się do ruchu. Nie mógł podwieźć jej na Avenue Foch - w drodze powrotnej

powiedział, że to zbyt ryzykowne. Zatrzymała taksówkę.

## 44

Charmaine poprzysięgła sobie, że kiedy tę sprawę załatwi, wycofa się z interesu. Właśnie tak. Wycofa się. Nie będzie więcej handlowała narkotykami. Zabierze pieniądze, które zarobiła, i wyjedzie do Londynu bez oglądania się na Drew. W mieszkaniu Mike'a czekała na odbiorcę. Miał przyjść, zabrać towar i wręczyć jej pieniądze. Usiłowała zachować spokój. Po ostatniej wpadce, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się Baz, Drew traktował ją chłodno. Początkowo był zły - przede wszystkim dlatego, że nie dotarła do Franka i Mike'a, więc przez niemal dwa tygodnie musiał trzymać u siebie pięć kilogramów kokainy, a nienawidził mieć towar w domu. Dopiero później udało mu się uspokoić Mike'a i ustalić następny termin. Charmaine wiedziała, że tym razem niczego nie może zepsuć, więc siedziała na pseudoskórzanej kanapie, popijała ciepłą colę i czekała. Trzydzieści minut później ktoś zastukał do drzwi. Frank zerwał się na równe nogi i poszedł otworzyć. Wyglądał na równie bardzo zdenerwowanego. Charmaine słyszała głosy, rozmawiali w języku, którego nie znała i nawet nie potrafiła rozpoznać. Frank i Mike to były przybrane „amerykańskie” imiona chłopaków, poza tym nic więcej o nich nie wiedziała. Drzwi do salonu się otworzyły i Frank skinął na nią. Podniosła torbę z kokainą i podeszła do wejścia, gdzie stało trzech mężczyzn. Podała małą paczuszkę, próbkę partii, którą przyniosła. Jeden z mężczyzn wprawnym ruchem rozciął plastikową torebkę składanym nożem i wyjął odrobinę białego proszku. Wciągnął go prawą dziurką nosa, odchylił głowę w tył i uśmiechnął się. Frankowi i Mike'owi wyraźnie ulżyło.

W kilka minut sfinalizowali transakcję. Torba została zważona, a Charmaine miała w ręku trzy i pół tysiąca dolarów. Przeżyła chwilę grozy, kiedy nieznajomy pochylił się, żeby schować nóż. Myślała, że wyciągnie pistolet, ale nic takiego się nie stało. Chwała Bogu! Schowała pieniądze, zostawiła Frankowi numer beepera Drew i zbiegła po schodach. Sukienka pod pachami była mokra. Dobiegła do samochodu, rozejrzała się nerwowo dookoła, wskoczyła do środka i ruszyła. Niestety, nie zauważyła ciemnoniebieskiego sedana po drugiej stronie ulicy. Nie zwróciła również uwagi na to, że samochód ruszył za nią i śledził aż do West Hollywood.

- Wszystko w porządku, dziecinko? - zapytał Drew, kiedy weszła przez drzwi patio. Charmaine skinęła głową. Była szczęśliwa, że wszystko dobrze poszło. Chłopak lekko się uśmiechnął.

- Zostawiłam Frankowi numer twojego beepera. Ma się niedługo odezwać. Chyba był zadowolony.

Zaczęła rozdzielać pieniądze: dwa i pół tysiąca dla Drew, tysiąc dla niej. Zdążyła

włożyć do portfela ostatnią pięćdziesięciodolarówkę, kiedy Butcher zaczął szczekać.

- Ktoś za tobą jechał? - zapytał Drew i sięgnął do paska spodni.

- Nie. - Charmaine spojrzała na niego niepewnie. - Chyba nie - powiedziała. Butcher ciągle szczekał.

- Chyba nie?! Do jasnej cholery, co to ma znaczyć: chyba nie?!  
Od tej chwili wszystko się potoczyło jak w koszmarnym śnie.

Ku przerażeniu Charmaine Drew wyciągnął zza paska pistolet. Oniemiała ze strachu, gapiała się na niego. Gestem kazał jej odsunąć się od drzwi patio. Słyszała, że ktoś biegnie, do jej uszu dobiegało wściekłe ujadanie Butchera, potem rozległ się trzask, głośny strzał i nastąpiła cisza.

Drew, znowu gestem, kazał jej się położyć na podłodze, jednym skokiem dopadł ciężkich drzwi i je zatrasnął. Potem biegał po apartamencie i zamykał pozostałe drzwi.

Rozpętało się piekło. Na schodach prowadzących na patio dudniły kroki, z ulicy dochodził pisk hamujących samochodów. Jeszcze większa bieganina, krzyki, głośniejszy pisk opon. Wycie syren. Rozległ się trzask, jakby piorun strzelił, i Charmaine krzyknęła. Ktoś strzelił w drzwi patio i je rozwalił. Jeszcze jeden trzask, głośniejsze krzyki i do pokoju wpadło trzech mężczyzn. Od strony sypialni rozległy się strzały, słychać było brzęk tłuczonego szkła. Usłyszała głuchy odgłos, jakby ktoś upadł albo wyskoczył przez okno.

- Policja Los Angeles! - Jakiś mężczyzna starał się przekrzyczeć hałas. - Wstrzymać ogień! Nie strzelać! Policja Los Angeles!

Charmaine zatkała uszy, ktoś wystrzelił serię pocisków w drzwi holu. Rozsypały się na drzazgi.

- Ciągle wrzeszczała, kiedy jakiś mężczyzna podniósł ją z podłogi. Miała zakrwawione ramię, przez chwilę myślała, że została postrzelona. Jeszcze kilku mężczyzn wpadło do środka przez wywalone drzwi patio. Rozbiegli się po mieszkaniu. Ten, który trzymał Charmaine, potrząsnął nią i wypchnął na zewnątrz. Zgubiła jeden sandał. Popychana, szła po potłuczonym szkłem. Cały czas krzyczała. Na zewnątrz zobaczyła dziesięciu czy piętnastu policjantów i policjantkę w czymś, co wyglądało jak kamizelka kuloodporna. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak przerażona. Mężczyzna nadal mocno trzymał ją za ramię i prowadził w dół frontowymi schodami. Stopa krwawiła, czuła również przejmujący ból w kostce.

Zabierz ją do samochodu, tego z przodu! - krzyknął do policjantki. Kobieta chwyciła Charmaine za nadgarstek i zaczęła odczytywać jej prawa. Dziewczyna często oglądała takie sceny w telewizji.

- Nazwisko? - ostrym tonem zapytała policjantka, zakładając jej kajdanki. - Data urodzenia? - Druga policjantka zapisywała dane.

- Mój pantofel. - Charmaine płakała. - Zgubiłam but, zraniłam się w nogę.

- Zamknij się! - szorstko poleciła policjantka i zatrasnęła kajdanki. - Wsiadaj do samochodu! Wsiadaj!

Brutalnie przygięła głowę Charmaine i wepchnęła ją na tylną kanapę. Sama usiadła obok. Otworzyły się drzwi naprzeciwko i inna policjantka usiadła z drugiej strony przerażonej dziewczyny.

Kierowca warknął kilka zdań przez policyjne radio, potem samochód ruszył i pomknął Sunset Boulevard.

- Co się dzieje? - płaczącym tonem pytała Charmaine policjantkę. - Dokąd mnie zabieracie?

- Do Sybil Brand - odpowiedziała kobieta.

- Co to jest? - spytała Charmaine. Bała się odpowiedzi.

- Niedługo się dowiesz.

Żadna z policjantek więcej się nie odezwała. Dziewczyna siedziała między nimi, po policzkach spływały jej łzy. Co się działo? Gdzie był Drew? Ze strachu nawet nie chciała myśleć, co mogło mu się stać.

Godzinę później kostka, nadgarstki i głowa rwały z bólu. Czekwała w izbie aresztanckiej więzienia dla kobiet hrabstwa Los Angeles imienia Sybil Brand. Ze łzami w oczach rozglądała się dookoła. Poza nią w zakratowanym pomieszczeniu było dwanaście kobiet, dwie miały skute nie tylko ręce, ale i nogi. Większość wyglądała, jakby były na haju albo pijane, a może i jedno, i drugie. Po drugiej stronie krat widziała policjantów, w tym również dwie policjantki, które ją przywiozły, strażników i pracowników socjalnych. Przy jednej ze ścian stała drewniana ławka, ale nie było tam wolnego miejsca. Leżały na niej dwie kobiety, Charmaine nie miała odwagi poprosić, żeby się przesunęły. Stała, oparta bokiem o ścianę, modliła się, żeby przesywający ciało ból zelżał, bała się, co się z nią stanie. Była zrozpaczona, z trudem tłumiała szloch.

- Hunter! - Strażniczka z notesem w ręku zaglądała przez kraty. - Hunter?!  
powtórzyła.

- Tak... tak. - Charmaine niepewnie podniosła wzrok. Powoli, centymetr po centymetrze, zaczęła przesuwać się do przodu.

- Czas się zarejestrować. - Strażniczka wyciągnęła ogromny pęk kluczy i przekreśliła zamek w przesuwanych drzwiach. - Nie, nie ty. - Odepchnęła inną kobietę. - Ruszaj się, nie będę czekała całą noc! No, rusz się! Prędszej! - Charmaine prześlizgnęła się przez drzwi i czekała, aż strażniczka z powrotem je zatrzaśnie. Pół godziny później stała pod letnim prysznicem. Musiała oddać ubranie, biżuterię i wszystkie inne rzeczy. Wzięto jej odciski palców, zrobiono zdjęcia i zarejestrowano zgodnie z przepisami obowiązującymi w Departamencie Policji hrabstwa Los Angeles. Więzienny lekarz zabandażował dziewczynie kostkę, a następnego ranka miała się zgłosić do więziennej kliniki. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo upokorzona, samotna i przerażona. Drżąc, zakreśliła kurki i sięgnęła po jasnozielony, podobny do piżamy strój więzienny. Szybko się ubrała. Pragnęła gdzieś zniknąć w tym ogromnym gmachu pełnym kobiet, strażniczek i czujnych oczu. Czy nie ma

prawa do jednego telefonu? W telewizji aresztowany mógł to zrobić. Nawet jeśli mogłaby zadzwonić, to do kogo? Nie miała pojęcia, gdzie jest Drew, może w więzieniu obok. Do matki? Z więziennej celi nie mogła zadzwonić do Londynu i powiedzieć: „Mamo, jestem w więzieniu”. Do Rianne? Nie wiedziała, gdzie modelka teraz przebywała. Do Gabby? Nie. Od ponad dwóch lat nie rozmawiała z żadną z koleżanek. Nathalie... Chwileczkę... Wiedziała, gdzie ją znajdzie. Musi tylko zdobyć numer telefonu tego sklepu, o którym opowiadała jej matka. Cholera, jak on się nazywał? Góra, Dół - G/D 1. Zadzwoni do Nathalie. Ona będzie wiedziała, co robić. Gdzie jest ta cholerna strażniczka? Przecież musi zatelefonować.

Dopiero po dwóch dniach mogła skontaktować się z koleżanką. Zanim przywrócono jej prawa, postawiono dziewczynę w stan oskarżenia i wyznaczono obrońcę z urzędu. Nazywał się Clifton i był bardzo posępny. Wściekł się, że jego klientka, śliczna Angielka, tak długo nie mogła do nikogo zatelefonować. Potem wyjaśnił, że przerażeni aresztowaniem ludzie często zapominają o przysługujących im prawach, a policja wcale nie kwapi się do przypominania im tego. Szczególnie jeżeli chodzi o rozmowę telefoniczną z Londynem.

Charmaine rozplakała się, kiedy usłyszała głos przyjaciółki. W ciągu godziny Nathalie skontaktowała się z Rianne w Nowym Jorku i przeprowadziła wiele rozmów telefonicznych, których uwieńczeniem było pojawienie się w więzieniu Sybil Brand Daniela Friedmana. Był szkolnym kolegą chłopaka przyjaciółki dziewczyny, z którą pracowała Rianne. Przerazona Charmaine nie za bardzo zrozumiała te powiązania, ale ucieszyła się na jego widok. Siedział naprzeciwko w sztywnym garniturze i wyjmował jakieś papiery z teczki, która wyglądała na bardzo drogą. Przesłucha Pół godziny później stała pod letnim prysznicem. Musiała oddać ubranie, biżuterię i wszystkie inne rzeczy. Wzięto jej odciski palców, zrobiono zdjęcia i zarejestrowano zgodnie z przepisami obowiązującymi w Departamencie Policji hrabstwa Los Angeles. Więzienny lekarz zabandażował dziewczynie kostkę, a następnego ranka miała się zgłosić do więziennej kliniki. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo upokorzona, samotna i przerażona. Drżąc, zakreśliła kurki i sięgnęła po jasnozielony, podobny do piżamy strój więzienny. Szybko się ubrała. Pragnęła gdzieś zniknąć w tym ogromnym gmachu pełnym kobiet, strażniczek i czujnych oczu. Czy nie ma prawa do jednego telefonu? W telewizji aresztowany mógł to zrobić. Nawet jeśli mogłaby zadzwonić, to do kogo? Nie miała pojęcia, gdzie jest Drew, może w więzieniu obok. Do matki? Z więziennej celi nie mogła zadzwonić do Londynu i powiedzieć: „Mamo, jestem w więzieniu”. Do Rianne? Nie wiedziała, gdzie modelka teraz przebywała. Do Gabby? Nie. Od ponad dwóch lat nie rozmawiała z żadną z koleżanek. Nathalie... Chwileczkę... Wiedziała, gdzie ją znajdzie. Musi tylko zdobyć numer telefonu tego sklepu, o którym opowiadała jej matka. Cholera, jak on się nazywał? Góra, Dół - G/D 1. Zadzwoni do Nathalie. Ona będzie wiedziała, co robić. Gdzie jest ta cholerna strażniczka? Przecież musi zatelefonować.

Dopiero po dwóch dniach mogła skontaktować się z koleżanką. Zanim przywrócono jej prawa, postawiono dziewczynę w stan oskarżenia i wyznaczono obrońcę z urzędu. Nazywał się Clifton i był bardzo posępny. Wściekł się, że jego klientka, śliczna Angielka, tak długo nie mogła do nikogo zatelefonować. Potem wyjaśnił, że przerażeni aresztowaniem ludzie często zapominają o przysługujących im prawach, a policja wcale nie kwapi się do przypominania im tego. Szczególnie jeżeli chodzi o rozmowę telefoniczną z Londynem.

Charmaine rozplakała się, kiedy usłyszała głos przyjaciółki. W ciągu godziny Nathalie skontaktowała się z Rianne w Nowym Jorku i przeprowadziła wiele rozmów telefonicznych, których uwieńczeniem było pojawienie się w więzieniu Sybil Brand Daniela Friedmana. Był szkolnym kolegą chłopaka przyjaciółki dziewczyny, z którą pracowała Rianne. Przerażona Charmaine nie za bardzo zrozumiała te powiązania, ale ucieszyła się na jego widok. Siedział naprzeciwko w sztywnym garniturze i wyjmował jakieś papiery z teczki, która wyglądała na bardzo drogą. Przesłuchanie miało się odbyć nazajutrz, a cztery dni po aresztowaniu wyznaczono kaucję w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Rianne telegraficznie przesłała pieniądze do kancelarii Friedmana, Capriatiego i Schwanna. Dokładnie o piętnastej piętnaście następnego dnia Charmaine wyszła na wolność. Spędziła w więzieniu cztery dni. Wyjście za kaucją nie oznaczało jednak, że może opuścić Stany Zjednoczone. Rozprawę wyznaczono na 15 marca. Daniel zapewniał, że to krótki termin. Czasami trzeba było czekać miesiącami.

- Char, w czwartek rano wsiadam do samolotu - obiecała Nathalie przez telefon.  
- Nie płacz, wszystko będzie dobrze. Bez względu na to, co się stało, poradzimy sobie. Uspokój się. Nie, nie dzwoń do mamy, jeszcze nie teraz. Niedługo u ciebie będę.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Gabby. We trzy zdecydowały, że najlepiej będzie, jeżeli jedna z nich poleci do Los Angeles i pomoże Charmaine. Rianne wybierała się właśnie na Bahamy, a Nathalie była w lepszej sytuacji finansowej niż Gabby.

- Jezu Chryste! Jak do tego doszło? - powiedziała do Gabby. - Narkotyki? Charmaine? Jakim cudem ona się w to wplątała?

Nathalie była przekonana, że cała ta sprawa jest jedną wielką pomyłką. Przecież ona nie mogła... A może? Niepewnie spojrzała na przyjaciółkę.

- Nie wiem. - Gabby powoli pokręciła głową. Była wstrząśnięta. - Wyjechała dawno temu. Wszystko się mogło zdarzyć. Los Angeles jest niebezpieczne. Boże drogi, dlaczego do nas nie zadzwoniła i nie powiedziała, co się dzieje? Czuję się okropnie.  
- Gabby, nie zaczynaj! - ostrzegawczo przerwała Nathalie. - To nie twoja wina. Nikt nie jest temu winien. Możemy tylko być przy Charmaine i pomóc jej się z tego wyplątać. Ona potrzebuje naszego wsparcia. Nie ma sensu teraz doszukiwać się winy i zastanawiać się, czy mogłyśmy temu zapobiec.

- Wiem. Wiem. Mimo to... Chcesz, żebym pojechała z tobą? - Gabby pytająco popatrzyła na przyjaciółkę.

Nie, w żadnym razie! Nie stać cię na to... Zorientuję się, czy mogę ją zabrać do Londynu. Nie mam pojęcia, co tam zastanę. Kolega Rianne twierdzi, że Charmaine się z tego wywinie, jeżeli zgodzi się zeznawać przeciwko... jak on się nazywał? Drew? Mam nadzieję, że na to pójdzie, chociaż... sama wiesz, jaka jest, jeśli chodzi o mężczyzn. Nathalie wylądowała na lotnisku w Los Angeles po południu tego samego dnia, którego wyleciała z Londynu. Chociaż miała miejsce w pierwszej klasie, podczas dwunastogodzinnego lotu nawet nie zmrużyła oka. Nie wiedziała, jak poważna jest sytuacja Charmaine, nie bardzo rozumiała wyjaśnienia Daniela Friedmana, ale kaucja w wysokości pięciu tysięcy dolarów nie wróżyła nic dobrego. Była bardzo zmęczona. Ostatnio w ogóle niewiele spała. Dzwoniła do Rianne, żeby dopilnować przesłania pieniędzy na kaucję, musiała pozatapiać sprawy w biurze i w sklepach, przygotować wszystko i wszystkich na czas swojej nieobecności. Że też musiało się to zdarzyć właśnie teraz - pomyślała ponuro, kiedy taksówka ruszała spod lotniska. Charmaine nie mogła w mniej odpowiednim czasie wpaść w tarapaty.

Marcusa nie widziała ani z nim nie rozmawiała od czasu, kiedy ponad dwa tygodnie temu wyszedł z domu. Jego rzeczy czekały spakowane, żeby je zabrał. Nikt z biura z nim nie rozmawiał, a ta suka Camille też się nie pojawiła. Na pewno w G/D wszyscy o tym plotkowali, ale było jej to obojętne. W tej chwili miała inne sprawy na głowie. Kazała kierowcy jechać do hotelu Biltmore w Beverly Hills, gdzie czekała Charmaine. Daniel umieścił ją tam po wyjściu z aresztu. Jak mówił, miał nadzieję, że noc w uroczym, starym domu poprawi jej nastrój.

Dojazd do hotelu zajął prawie dwie godziny. Nathalie nigdy wcześniej nie była w Los Angeles. Zaskoczyło ją, że mimo środka zimy jest tak ciepło. Na drodze panował spory ruch, prawie zasnęła, zanim zatrzymali się przed hotelem. Wsiadła z taksówki, zapłaciła kierowcy i poleciła chłopcu hotelowemu zabrać bagaże. Tak, panna Hunter zatrzymała się u nich - poinformowała ją recepcjonistka, pokazując w uśmiechu nieprawdopodobnie wspaniałe zęby.

- Jest dla pani wiadomość. - Wręczyła Nathalie karteczkę. - Proszę iść na górę. Czeka na panią. Życzę miłego dnia.

- Och Charmaine! - Nathalie również płakała. - Dlaczego do nas nie zadzwoniłaś? Coś byśmy zrobiły... Cokolwiek. Nie mogę uwierzyć, że tyle przeszłaś i nawet słowa nie powiedziałaś.

Nie mogłam - szlochała dziewczyna. - Czułam się jak idiotka, Nat. Widzisz, wszyscy ostrzegali mnie przed Bazem. Zapowiadała się wielka przygoda. Mieliśmy przyjechać tutaj, grać w zespole, poznać ciekawych ludzi, a było okropnie. Musiałam pożyczać pieniądze od mamy i od znajomych Baza, a nie miałam jak zwrócić. To były narkotyki, sprzedawał je. Nie wiedział, w co się pakuje. O Boże, czuję się jak ostatnia idiotka. - Zakryła twarz rękoma.

Nathalie wyciągnęła rękę i pogłaskała koleżankę po włosach. To było takie smutne, niezmiernie przygnębiające: gdy wszystkie pozostałe układały sobie jakoś życie, Charmaine coraz głębiej wpadała w przepaść i żadna z nich nie miała o tym pojęcia. Wzdrygnęła się. Przyjaciółka musi wrócić do domu. Najpierw jednak trzeba ją zabrać z Los Angeles.

- Char - zaczęła Nathalie. - Posłuchaj. Musimy cię stąd zabrać. Rozprawa jest w marcu, a ja nie mogę tak długo tutaj zostać. Jutro porozmawiamy z Danielem, może coś nam doradzi. Jeżeli będzie trzeba, znajdziemy innego prawnika i jakieś mieszkanie, żebyś miała gdzie się zatrzymać do zakończenia sprawy. I jeszcze jedno: jeżeli będziesz musiała zeznawać przeciwko Drew, zrobisz to. Wracasz do domu. Koniec tego.

- Ale co będzie, jeżeli...

- Jeżeli co? - Nathalie nie przyjmowała do wiadomości, że przyjaciółka może iść do więzienia.

- Co będzie, jeżeli zostaną skazana? - Charmaine znowu się rozplakała.

- Nie zostaniesz - stanowczo oświadczyła Nathalie. - Polują na grubsze ryby, nie na takie płotki jak ty.

- A jeśli Drew nie żyje? - łkała dziewczyna. - Właściwie nie wiem, co się stało.

- Żyje. - Nathalie wyciągnęła karteczkę z wiadomością od Daniela: „Drew uciekł. Charmaine grozi oskarżenie. Zadzwoń”. - Uciekł i zostawił cię samą z tym gównem.

- Charmaine gapiała się na karteczkę. - Dlatego jeżeli będziesz musiała zeznawać przeciwko niemu, to tak zrobisz. A teraz wytrzyj oczy i zastanówmy się, jak cię stąd zabrać. Sytuacja niespodziewanie zmieniła się na lepsze. Daniel Friedman wart był każdego centa z czterech tysięcy trzystu dwudziestu pięciu dolarów honorarium plus zwrot poniesionych kosztów, które zapłaciły mu Nathalie i Rianne. W niespełna tydzień doprowadził do ugody: na zamkniętym posiedzeniu Charmaine złożyła zeznania przeciwko Drew, Mike'owi, Frankowi i Keithowi oraz wszystkim, z kim w ciągu ubiegłego półroczka się spotykała, w zamian za to sprawa przeciwko niej została umorzona i dostała bilet na samolot do Londynu. Zamiast ze strachem czekać na rozprawę siedziała obok Nathalie w samolocie Brytyjskich Linii Lotniczych, odlatującym do Londynu.

Nat, co ja bym bez ciebie zrobiła? - westchnęła, kiedy samolot kołował na pas startowy. - Wszystko ci zawdzięczam.

- Daj spokój. Nie bądź głupia. Jesteś moją przyjaciółką, a po to ma się przyjaciół. Dla każdej z nas ty zrobiłabyś to samo.

Charmaine pokiwała głową. To prawda. Ale cóż ona mogła zaoferować koleżankom? Nathalie miała świetnie prosperujący interes, Gabby niedługo zostanie prawnikiem, a Rianne... no cóż, Rianne miała wszystko. Co mogła zrobić dla którejkolwiek z nich?



Olivier i Rianne siedzieli naprzeciwko siebie u Jaya, w ulubionej restauracji chłopaka w East Village w Nowym Jorku. Lubił to miejsce, głównie dlatego, że z reguły pod ręką byli paparazzi.

- *Como?* - Wyglądał na zaskoczonego. - *Qué dices?*

Ja... Ja... Olivier, nie układa się nam. Przykro mi. Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć - zniecierpliwiła się dziewczyna. Nie chodziło o to, iż trudno jej było wykrztusić, że chce się z nim rozstać. Wręcz przeciwnie, chciała to zrobić od chwili, kiedy Riitho zaproponował jej spotkanie w Barbes. Pragnęła zakończyć ten związek jak najszybciej. Gdyby sama się nad sobą zastanowiła, doszłaby do wniosku, że to jedna z jej największych wad: kiedy z kimś kończyła, to kończyła. Żaluzja opadała i nieszczęsny przyjaciel, kochanek czy kuzyn pozostawał na zewnątrz. - Nie chodzi o ciebie. Raczej o mnie.

Miała nadzieję, że Olivier nie zrobi sceny. Riitho nie dzwonił, a wróciła już ponad tydzień temu. W niedzielę wyjeżdżała na Bahamy na trzydniową sesję zdjęciową. Bardzo chciała z nim porozmawiać jeszcze przed wyjazdem.

- *Péro.* - Olivier wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc. - *No comprende, mi amor* (Nie rozumiem.) Lubię cię. Ty też mnie lubisz. Dobrze nam razem. *Qué hay pasandos? Hay algún otra?* (Poznałaś kogoś?).

- Nie... nie. Nie o to chodzi. - Zarumieniła się. - Ja... chciałabym trochę odpocząć - powiedziała. Nie kłamała. - Może pojedę na jakiś czas do domu, nie wiem jeszcze. W ciągu ostatniego miesiąca, od kiedy Riitho Modise znów pojawił się w jej życiu, słowo „dom” nabrało innego, trochę niepokojącego znaczenia. Na samą myśl o czarnym rodaku przeszył ją dreszcz. Tęskniła, umierała z pragnienia, tak bardzo chciała usłyszeć jego głos. Dopijała wino do końca.

- Przenocujesz dzisiaj u siebie - powiedziała. To nie było pytanie.

- *Esta bien.* - Olivier był rozdrażniony. - Nie ma sprawy. Rób, co chcesz. Zawsze tak jest. - Ze złością rąbnął o stół kieliszkiem do wina, zerwał się i odszedł.

To jeszcze nie koniec - pomyślała Rianne, ale przynajmniej początek końca. Czuła ulgę.

W Paryżu Lebohang jak jastrząb nie spuszczał Riitha z oka. Kiedy przeprowadzili się do miasta, Ruch kupił dla nich dwa piętra w starym biurowcu. Młody mężczyzna z przyjemnością przekształcił drugie piętro w apartament dla siebie, piętro niżej zostały urządzone dwa mniejsze mieszkania dla dwóch ochroniarzy. Wszyscy korzystali z tego samego wejścia, musieli się zatem widywać. Poza tym układ był korzystny. Lebohang zachowywał się bardziej jak starszy, nadopiekuńczy brat niż ochroniarz i prawie całe życie spędził przy Ree. Znali swoje humory, zwyczaje, wiedzieli, co który lubi, a czego nie znosi. Lebohang poważnie podchodził do swojej pracy: miał chronić syna Modise'a i chronił. Rozumiał jednak, że Riitho potrzebuje

prywatności i od czasu do czasu bodaj namiastki normalnego życia. Robił, co mógł, żeby młodzieniec czuł się swobodnie, kiedy tego potrzebował. Młody mężczyzna był mu za to bardzo wdzięczny. ,

Khotso, nowy ochroniarz, zachowywał się bardziej nieufnie. Młodszy, prawie w tym samym wieku co Riitho, miał gorącą głowę i był niecierpliwy. Rad nierad Lebohang często musiał łagodzić spięcia między dwoma młodymi ludźmi. Jak zauważył, powodem była zazdrość. Khotso często zazdrościł Riithowi. W mniemaniu ochroniarza miał on wszystko: wykształcenie, wysoki status społeczny, majątek. Trudno było określić sytuację finansową Riitha w tradycyjnych kategoriach. Niczego mu nie brakowało. Poza wynagrodzeniem, jakie otrzymywał za pracę w zespole architektów, mógł swobodnie korzystać z funduszy Ruchu. Zasłużył sobie na ten przywilej, ale nigdy go nie nadużywał. Nigdy! Koszty utrzymania pokrywał Ruch, młody mężczyzna otrzymywał też od czasu do czasu fundusze na pokrycie nieprzewidzianych wydatków: kupno samochodu czy dwóch, zagraniczną podróż, hotele, koszty ochrony... Przede wszystkim jednak Ruch zapewnił mu najlepsze szkoły i największe możliwości rozwoju. Riitho, nigdy się nad tym nie zastanawiając, dostał wszystko, o co młody radykał Khotso musiał walczyć. Nie chodził do prywatnej szkoły w Anglii, nie skończył nawet państwowej szkoły dla ludności Bantu w ojczystym kraju. W 1976 roku miał czternaście lat i uciekał ulicami Soweto, kiedy zastrzelono jego szkolnego kolegę, Hectora Petersena. Zdjęcie chłopaka w ciągu kilku sekund obiegało cały świat. W tym czasie Riitho Modise siedział przy biurku w Malvern i uczył się deklinacji łacińskich rzeczowników. Nic dziwnego, że między młodymi mężczyznami często dochodziło do spięć.

- Dokąd się wybierasz? - indagował Khotso, widząc, że Riitho wkłada płaszcz.

- Wychodzę - krótko odparł młody mężczyzna. Czuł, że musi wyjechać na pół dnia za miasto i spokojnie pomyśleć. Nie zadzwonił do Rianne de Zoete, chociaż bardzo chciał. Bardzo. Tego nauczył się od ojca: jeśli masz wątpliwości, nie spiesz się, poczekaj; nic nie rób, nie podejmuj żadnych działań. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Dlaczego wszystko utrudniasz? - zapytał Khotso z wyrzutem. - Powinieneś nam powiedzieć, dokąd idziesz. Przecież wiesz, że nie możemy pozwalać ci tak sobie chodzić, bez ochrony, bez niczego. Na tym polega nasza praca.

- Wiem, że taką macie pracę. Chcę po prostu pobyc sam. Lebohang? - Riitho zwrócił się do starszego mężczyzny. Oczami dawał do zrozumienia, że prosi o pomoc.

Lebohang cicho zwrócił się do Khotso. Zostaw go. Nic mu nie będzie. - Było sobotnie popołudnie, agentów służb wywiadowczych nie widział od rana. Zapewne oglądali mecz piłki nożnej. Riitho okręcił szalik wokół szyi i wyszedł. Po kilku sekundach usłyszeli pisk opon odjeżdżającego samochodu. Lebohang zmarszczył czoło. Coś się działo. Od kilku dni jego podopieczny chodził podenerwowany i zamknięty w sobie.

Riitho zastanawiał się nie tylko nad tym, jak postąpić, ale również, gdzie i dlaczego.

Zachował się tak jak zawsze: dał sobie czas. Przez cały tydzień nie wykonał żadnego ruchu, rozmyślał nad tym, co się stało, i rozważał następne posunięcia. Nie przestawał myśleć o Rianne. Wiedział, że w Nowym Jorku kogoś ma; był modelem Calvina Kleina, nazywał się Olivier Vasquéz. Wielokrotnie widział ich razem na zdjęciach w czasopismach. Przystojny chłopak, ale to nie było nic poważnego. Rianne bez wahania mogła od niego odejść. I pewnie tak zrobi. Wyczuł to w chwili, kiedy jej dotknął.

Nie o to jednak chodziło. Nie zastanawiał się nad tym, czy spotykać się z Rianne, ale jak to zrobić. Będzie musiał wtajemniczyć Lebohanga. Nie poradzi sobie bez pomocy ochroniarza. Nie potrafił myśleć o konsekwencjach, o prawdziwym znaczeniu tej decyzji. Wiedział jedynie, że bardzo pragnie znowu się z nią zobaczyć. I to jak najprędzej. Skierował samochód w stronę Bois de Vincennes. W bagażniku miał buty do joggingu. Pobiega i jeszcze raz wszystko przemyśli.

## 46

Gabby nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak bardzo podekscytowana, i nie miało to nic wspólnego z Dominikiem. Z elegancko przyciśniętymi do siebie kolanami siedziała w niewielkiej poczekalni Brytyjskiego Komitetu Praw Człowieka. Poproszono ją o opuszczenie na chwilę gabinetu naczelnego dyrektora, aby członkowie komisji mogli się naradzić. Na ścianach porozwieszane były plakaty obrazujące kampanie w obronie praw człowieka na całym świecie: w Birmie, Timorze Wschodnim, na Haiti, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w Argentynie. Komitet Praw Człowieka był jedną z najprężniejszych międzynarodowych organizacji występujących w obronie więźniów politycznych. Gabby ubiegała się o stanowisko młodszego prawnika/analityka. Właśnie skończyła trzygodzinną, diabelnie trudną rozmowę kwalifikacyjną.

W jednej z niedzielnych gazet natknęła się na artykuł o Komitecie i współpracującym z nim zespole prawników specjalizujących się w problematyce praw człowieka. Wspólnie z Amnesty International przedstawili Organizacji Narodów Zjednoczonych projekt powołania międzynarodowego sądu kryminalnego, który rozpatrywałby sprawy związane z naruszaniem praw człowieka. Czekala ich długa i trudna batalia; trzeba było przekonać rządy różnych krajów świata do podpisania konwencji. Jednak głęboko wierzyli, że warto taki trud podjąć. Zanim jeszcze Gabby skończyła czytać artykuł, wiedziała, czym chce się zająć. Do diabła z odszkodowaniami, prawem zwyczajowym, precedensami i procedurami sądowymi! Do diabła z prawem bankowym, podatkowym i przepisami fiskalnymi! Sześć miesięcy po złożeniu ostatniego egzaminu zaczęła ubiegać się o pracę w Komitecie. Teraz czekała na decyzję.

- Panno Francis? - Briony Steward, jedna z dyrektorek, wysunęła głowę przez drzwi.

Gabby zerwała się na równe nogi. - Zapraszamy.

- Kiedy może pani zacząć? - zapytał Peter Bensimon, jeden z dyrektorów-założycieli firmy. Gabby wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Dostała pracę? Uśmiechnął się i skinął głową.

- Boże, nie wiem. No... kiedy państwo chcecie... jutro?

- Może w poniedziałek? - roześmiał się. - Musimy mieć kilka dni na przygotowanie dla pani miejsca pracy: biurko, komputer, wszystko, co będzie potrzebne.

Przedstawimy panią kilku innym prawnikom, którzy pracują nad tym samym tematem - wtrąciła Briony Steward. Zerknęła na zegarek. - Dochodzi piąta. Może teraz chciałaby pani poznać kilka osób? Potem mogłaby się pani wybrać z nami do pubu.

- Fantastycznie - ucieszyła się Gabby. Już polubiła Briony. Uściskiem dłoni pożegnała się z trzema mężczyznami i zeszła z kobietą na dół.

Brytyjski Komitet Praw Człowieka nie był typowym biurem. Przede wszystkim mieścił się w starym, dwupiętrowym magazynie w pobliżu Grays Inn Road w nieszczęśliwej okolicy: King's Cross był obskurny, w okolicznych uliczkach kręciły się prostytutki, handlarze narkotyków i inne typki z marginesu społecznego. Biura Komitetu mieściły się przy Argyle Street, bocznej uliczce odchodzącej od Argyle Square, gdzie roiło się od hotelików, w których prostytutki uprawiały swój fach. Gabby pomyślała, że to dość dziwna lokalizacja jak na centrum działania grupki oddanych, bardzo zaangażowanych ludzi, walczących o zapomnianych przez świat - a czasami w ogóle nieznanych - więźniów. Mimo to była uszczęśliwiona.

Poznała trzy osoby, z którymi miała ściśle współpracować: Marwana Ahmata, bardzo poważnego Jordańczyka w średnim wieku; Jennie Philipps, pełną życia młodą kobietę po trzydziestce; i Raya Vardona - Greena, wiecznie pogrążonego w książkach, niewiele od niej starszego młodzieńca. Byli podobni do kolegów i koleżanek z Magdalen College: poważni i inteligentni, dążyli do wytkniętego celu, a nie zarobienia jak największych pieniędzy, czym wszyscy koledzy ze studiów prawniczych zdawali się obsesyjnie zainteresowani.

Usiadła przy - „obiecuję, od poniedziałku” - swoim biurku i starała się nie patrzeć na stosy leżących na nim książek. Ogarnęła ją radość, kiedy rozejrzała się po pokoju. W dużym, podzielonym na boksy pomieszczeniu pracowało około dwudziestu osób.

Każdy miał biurko, szafkę na akta, komputer, półkę, która ugiwała się pod książkami, dokumentami, kartotekami, papierami, gazetami... upchniętymi na niej bez ładu i składu. W odległym końcu pokoju stał stół, a na nim kilka faksów.

Niektóre pracowały bez przerwy i wyrzucały na podłogę długie wstęgi papieru.

Słyszała rozmowy prowadzone po angielsku, francusku, hiszpańsku i arabsku.

Ramio - ' nami objęła kolana. Był czwartek, za cztery dni zacznie pracę.

- Na początku będziesz pracowała z Marwanem i Jennie nad sprawami dotyczącymi Bliskiego Wschodu - wyjaśniła Briony, kiedy wychodziły z budynku. Do pubu McGlynn, stałego miejsca spotkań pracowników firmy, nie było daleko. - Praca

polega głównie na prowadzeniu badań, zbieraniu informacji, potwierdzaniu faktów. Obawiam się, że będzie to raczej nudne.

Gabby uświadomiła sobie, że od bardzo dawna nie prowadziła inteligentnej rozmowy na żaden temat. Po dwóch latach wahań i narzekań Dominic w końcu podjął pracę w firmie Lloyds of London. Pracowali tam również ojciec Dominica, jego brat i kuzyni. Zanudzał Gabby na śmierć opowieściami o sytuacji w biurze: kto miał dostać większe biurko, kto miał lepszy widok, jak wyglądała sekretarka... co Alistair Campbell - Jones sądził o Alistairze Campbellu-Binghamie. Lepiej nie mówić, chociaż starała się nie okazywać braku zainteresowania. Mimo że dostał pracę u Lloydów, nie zmienił się na lepsze, wręcz przeciwnie: stawał się coraz gorszy. Wszystko go denerwowało. A koledzy, z którymi dzielił mieszkanie... pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze: potrafili rozmawiać tylko o pieniądzach. Dwoje pracowało w „city”, ich życie kręciło się wokół śniadań z szampanem, lunchów z szampanem i brunchów z szampanem. Gabby niewiele potrafiła dorzucić do takich rozmów. Z przyjemnością odwróciła się do Briony i Marwana. Rozmawiali o Palestynie i coraz brutalniej szych aktach przemocy w Strefie Gazy. Była zachwycona. Nie tylko bez trudu śledziła przebieg dyskusji, ale potrafiła wziąć w niej udział.

- Niedawno czytałam o zamknięciu w Waszyngtonie Biura Informacji Palestyńskiej - powiedziała, wykorzystując chwilę ciszy.

- Tak - odwrócił się do niej Marwan. - To zła wiadomość. Strefa Gazy płonie. Cały Bliski Wschód stoi w ogniu - stwierdził.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała. Czowała, że od niego może się wiele nauczyć. Od razu go polubiła.

W piątek. - Był trochę od niej niższy, zwalisty, dobrze zbudowany, lekko po czterdziestce. Miał lśniące, czarne włosy, ciemne oczy i wąsy. Był jedynym mężczyzną w garniturze. Wyglądał poważniej, stateczniej niż pozostali.

- Czy właśnie stamtąd pochodzisz? - zapytała delikatnie.

- Ze Strefy Gazy? - roześmiał się gorzko. - Nie, mnie się poszczęściło. - Gabby popatrzyła na niego pytająco. - Urodziłem się w Ammanie. Jesteśmy Palestyńczykami, ale mamy jordańskie obywatelstwo.

- Gdzie studiowałeś? Tutaj? W Anglii?

Marwan wydał cichy dźwięk: „tut”, uderzając czubkiem języka o zęby, i zdecydowanie skinął głową. Ten gest kogoś jej przypominał. Nie potwierdził, jakby mogło na to wskazywać skinięcie głową, tylko zaprzeczył.

- Nie. Nie od razu. Najpierw studiowałem na Amerykańskim Uniwersytecie w Bejrucie. Piękne miasto. Przynajmniej takie było. Później udałem się do Stanów Zjednoczonych, następnie do Francji i dopiero potem przyjechałem tutaj.

Uśmiechnął się gorzko. Gabby nie spuszczała z niego wzroku.

Ten gest, dźwięk: „tut”, szybki ruch głowy... człowiek z Zachodu tak by nie kiwnął

głową, gdyby zgadzał się z czymś, co zostało powiedziane. Ten gest... ktoś, kogo znała, też tak robił. Nagle doznała olśnienia. To był Nael. Zawsze się z tego podśmiewali. Powiedział, że tak samo robiła jego mama. Ludzie z południa... jego matka pochodziła z Hiszpanii czy gdzieś stamtąd. Zabawne, że Marwan też tak robi. Postanowiła zadzwonić do Naela. Tęskniła za nim. Już od wielu miesięcy z sobą nie rozmawiali. Kiedy dzwonił ostatnim razem, obiecała, że się z nim skontaktuje, i - oczywiście - nie zatelefonowała. Dominie nie lubił Naela i - niestety - niechęć była wzajemna. Odwróciła się do Marwana. Całe towarzystwo niechętnie opuściło pub prawie trzy godziny później. Przez Bloomsbury do mieszkania Gabby nie było daleko. Na pożegnanie podała wszystkim rękę i podziękowała za miły wieczór - szczególnie serdecznie Marwanowi.

- Do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała i nieco zakłopotana poszła w kierunku drzwi. Nie chciała wyglądać na zbyt uszczęśliwioną, ale - jak Bóg na niebie cudownie spędziła czas w ich towarzystwie.

Wieczór był chłodny. Na ulicach prawie nie widziała ludzi. Poszła w dół Wakefield Street i skręciła w Judd Street. Po drodze mijała tylko uliczników i prostytutki. Na King's Cross znalazła się w centrum społeczności z Bangladeszu. Mężczyźni z brodami, w długich tunikach, przyglądali się jej ciekawie, kiedy maszerowała w stronę domu. Zobaczyła, jak jakiś mężczyzna odskakuje od agresywnie wyglądającej dziewczyny, i pomyślała, że wszyscy pewnie się zastanawiają, czy ona też pracuje na ulicy. Minęła Brunswick Centre, ogromny i ponuro wyglądający w mroku budynek, po czym przeszła na drugą stronę ulicy. Była już prawie w domu. Zastanawiała się, czy Lisa wróciła. Miały różne zainteresowania, Gabby jednak pragnęła się z kimś podzielić wrażeniami z całego dnia. Było zbyt późno, żeby dzwonić do Naela, a Dominicowi nawet nie miała ochoty się zwierzać.

\*

Rianne nie wyglądała najlepiej i była tego świadoma. Stała za kulisami na pokazie w Nowym Jorku i nerwowo bawiła się ramiączkami sukienki. Czekwała na swoją kolej przespacerowania się po wybiegu. Betsey, wizażystka, robiła, co mogła, żeby ukryć sińce pod oczami, ale mimo kilku warstw podkładu i kilogramów pudru nadal było je widać.

- Dobrze się czujesz? - zainteresowała się Betsey, kiedy Rianne wróciła ze sceny i usiadła. Zaczęła szczotkować jej włosy i upinać w spiczasty kok, w jakim w następnym wyjściu występowały wszystkie modelki. - Nie wyglądasz za dobrze.

- Wiem - przyznała przygnębiona dziewczyna. - Źle spałam.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się Betsey. Trzy lata razem pracowały, a jeszcze nigdy nie widziała modelki tak przybitej.

- Nie, nie. Myślę, że jestem po prostu zmęczona.

Rianne uważała, żeby nie powiedzieć za dużo. Wyjechała z Paryża ponad miesiąc temu i poza krótką rozmową sprzed dwóch tygodni Riitho nie dał znaku życia. Nie zadzwonił, nie napisał, nie przesłał wiadomości na beeper. Nic, zupełnie nic. Umierała z niepokoju, a dotychczas nie знаła tego uczucia. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio tak niecierpliwie czekała na czyjś telefon. To ludzie do niej przychodzili, nie odwrotnie. Całe życie oganiała się i odgradzała od innych. Teraz modliła się, żeby się z nią skontaktował. Nie miała jednak wyjścia, mogła tylko czekać. Poleciał jej zrobić dwie rzeczy: kupić beeper i założyć dodatkową linię telefoniczną w apartamencie przy Mulberry Place na inne nazwisko. Oba numery miała mu przesłać faksem do biura na czystej kartce z jego nazwiskiem u góry. Radził, żeby faksy wysłała z poczty albo punktu ksero, nie z domu. Polecenia wykonała niemal natychmiast. I nic. Bardzo pragnęła porozmawiać z Gabby, Nathalie czy Charmaine. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie może. Obiecała Riithowi, że tego nie robi. Wiedziała, że tej obietnicy nigdy nie wolno jej złamać. Więc czekała, a to ją dobijało.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Ross przycisnęła ją do muru, kiedy wychodziła z pokazu. - Wyglądasz okropnie - powiedziała prosto z mostu. - Musisz odpocząć - poleciła stanowczym tonem. Uważniej przyjrzała się Rianne. - Dobrze się czujesz? - Dziewczyna odwróciła wzrok. Co ma powiedzieć? Jak wyjaśnić?

- Tak, dobrze. Po prostu jestem zmęczona.

- No, to idź do domu i prześpij się. Wyglądasz koszmarnie.

- Ja... - Rianne zawahała się na moment.

- O co chodzi? - Agentka spojrzała na nią pytająco. Na chwilę zapanowała cisza.

- Nie, nic - zdecydowanie odparła dziewczyna.

- Zadzwoń do mnie rano - rzuciła wesoło Ross i odeszła.

Rianne obserwowała, jak przeciska się przez tłum. Gówno - powiedziała w duchu. To wszystko jest gówno warte. Spojrzała na scenę przed sobą: setki ładnych ludzi, płaszczących się przed sobą nawzajem, ukrywających pod promiennymi, szerokimi uśmiechami prawdziwe uczucia. A myśleli wyłącznie o tym, jak osiągnąć jeszcze większy sukces, kto może im w tym pomóc i jak długo jeszcze utrzymają się na fali. W tym świecie średnia życia na topie była bardzo niska. Ross potrzebowała Rianne tylko do czasu, gdy jej gwiazda świeciła pełnym blaskiem, kiedy zapraszano ją na pokazy. Obie o tym wiedziały. Po zerwaniu kontraktu przez Lovella w ich rozmowach pojawiła się nowa nuta: niepewność. Agentka nie była już tak pewna Rianne jak na początku, a to oznaczało, że nie tak bardzo jak wcześniej zależało jej na dobrym samopoczuciu 332 dziewczyny. Ross Carter działała w branży dostatecznie długo; wiedziała, że dla agencji najlepszym wyjściem nie jest ratowanie gasnącej gwiazdy, ale wypromowanie nowej. I znajdzie nową twarz. Była bezwzględna.

Rianne zawsze znajdowała się w centrum zainteresowania innych. Przyzwyczyła się do tego i uważała, że tak po prostu miało być. Przeżyła gorzkie rozczarowanie, kiedy

uświadomiła sobie, że wcale nie dla wszystkich jest najważniejsza. Ross na niej nie zależało - w każdym razie na pewno nie w ten sposób, jakiego pragnęłaby Rianne. Wprawdzie niepokoiła się, kiedy dziewczyna nie wyglądała najlepiej, ale powody jej nie interesowały. Agentka martwiła się wyłącznie o następny kontrakt, i jeszcze następny. Tylko tyle. Rianne była towarem, ludzie zarabiali na niej pieniądze i tylko to się liczyło. Ta okrutna prawda bolała. Pierwszy raz w ży - , ciu było jej naprawdę źle i chciała z kimś o tym porozmawiać. Nie mogła. Wzięła torebkę i wyszła. W domu dzwonił telefon, kiedy Rianne wkładała klucz w zamek. Serce zaczęło jej dziko walić, gdy uświadomiła sobie, że dźwięk dochodzi z jej pokoju. To była nowa, prywatna linia. Rzuciła na ziemię torby i jak strzała pomknęła schodami na górę, modląc się, żeby się nie rozłączył, zanim dotrze do sypialni. - Wpadła do pokoju i rzuciła się na łóżko, ramieniem uderzając się o oparcie wezgłowia.

- Halo? - Nie mogła złapać tchu. Usłyszała krótki cichy sygnał: rozmowa międzynarodowa.

- De Zoete.

Ree. - To był on. Zamknęła oczy i ześlizgnęła się na podłogę. - Riitho. - Oczy napełniły się łzami. - Riitho. Gdzie jesteś? U ciebie wszystko w porządku?

- Tak, w porządku. A u ciebie?

- Ja... Tak, dobrze. Martwiłam się. Gdzie jesteś?

- W Paryżu. Jutro wieczorem przylatuję do Nowego Jorku. Zapisz numer. Z impetem otworzyła szufladę w nocnej szafce. Ręce jej drżały. Nie wierzyła własnym uszom. Przylatuje do Nowego Jorku.

- Jestem gotowa. - Zanotowała i powtórzyła podyktowany numer. Zadzwoń jutro rano, telefon odbierze Letsile. Poda ci adres. Rozumiesz? Spotkamy się tam koło dziewiątej wieczorem. Będę czekał na zewnątrz. Przyjedź o dziewiątej. Jest zimno, więc nie każ mi długo czekać. Dobrze. Będę o dziewiątej. Na jak długo przyjeżdżasz? Kiedy...

- Do jutra - przerwał. - Jutro porozmawiamy. - Nagle zamilkł...

- Ja... - W słuchawce słyszała jego oddech. - Tęsknię za tobą - szepnęła prawie niedosłyszalnie.

- Wiem. Ja też. Do zobaczenia jutro.

Połączenie zostało przerwane. Wpatrywała się w telefon. Po przeszło miesiącu jutro się z nim zobaczy. Nie mogła złapać tchu.

Zobaczyła go, zanim taksówka zatrzymała się przed apartamentowcem. Stał przed wejściem, twarz ukrył w podniesionym kołnierzu płaszcza. Rzuciła taksówkarzowi pięćdziesięciodolarowy banknot, z impetem otworzyła drzwi i wyskoczyła w biegu. Od wielu godzin umierała z niepokoju... Jak to będzie? Co sobie powiedzą? Jak powinna zacząć? Kiedy jechała taksówką przez miasto, była jednym kłębkim nerwów. Przez ostatnie pięć miesięcy codziennie myślała o następnym spotkaniu, tymczasem teraz właśnie miała się z nim spotkać... i bardzo się bała.



Gdy tylko go zobaczyła, wszystko stało się proste. Od razu doskonale wiedziała, jak się zachować. Prosto z taksówki podbiegła pędem do Ree i wpadła w ramiona młodego mężczyzny, niemal go przewracając. Zachwiał się, zaskoczony impetem uderzenia. Złapał ją, mocno, nieomal boleśnie, chwycił za ramiona. Wpatrywali się w siebie w słabym świetle lampy przed wejściem.

Rianne. - Objął ją ręką za szyję, przyciągnął do siebie i ukrył twarz w jej włosach. Żadne z nich się nie odezwało. Zamknęła oczy i wdychała jego zapach, który już doskonale rozpoznawała. - Chodźmy. - Wyjął klucz i otworzył frontowe drzwi.

Rozejrzała się po wnętrzu. Byli w dużym, okazałym holu. Z jednej strony stały krzesła i kanapy w stylu art deco, z drugiej znajdował się rząd wind. Trzymał ją za rękę i pociągnął za sobą do jednej z nich. Trzecie piętro. W milczeniu jechali na górę. Jego palce paliły jej skórę przez rękaw białej bluzki, którą włożyła, potem zdjęła i następnie znowu włożyła przed wyjściem z Mulberry Place. Otworzył jakieś drzwi i weszli do mieszkania. Ktoś niedawno coś tu gotował. Było ciemno. Pochylił się i zapalił lampkę na stoliku. Rozbłysło światło. Powoli się prostował, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Powiedz mi, na jak długo przyjechałeś - przerwała ciszę. Musiała wiedzieć. Na tydzień. - Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Na tydzień? - powtórzyła radośnie.

- Na tydzień. Cały tydzień - potwierdził, podchodząc bliżej. Objął ją ramionami. Podniosła oczy i spojrzała mu w twarz, potem uniosła ręce i delikatnie pociągnęła za jego okulary. Chciała dobrze widzieć Ree. Zdjął szkła i odłożył na półkę przy drzwiach. Wpatrywała się w jego oczy: czarne jak heban, z krótkimi, niewiarygodnie podkręconymi rzęsami, lekko pochylone w kierunku wysokich kości policzkowych. Brwi miał gęste, szerokie. Pogładziła jedną palcem. Przytrzymał dziewczynę jedną ręką, drugą chwycił jej dłoń. Powoli odwrócił środkiem do góry i przysunął do ust. Czubkiem języka badał wzgórek między kciukiem a palcem wskazującym. Dla Rianne było to najbardziej zmysłowe przeżycie, jakiego kiedykolwiek doznała. Zaczęła szybciej oddychać, kiedy przejechał dłonią w dół po jej plecach, wsunął rękę pod pasek spodni i palcami muskał delikatną skórę między pośladkami. Nawet jeszcze nie zdjęła wierzchniego okrycia. Podniósł głowę, zrzucił płaszcz z ramion i pozwolił mu opaść na podłogę. Poszła za jego przykładem. Popatrzyli na siebie, potem wziął ją znowu za rękę i poprowadził w głąb mieszkania.

- Najpierw to - powiedział cichutko, otwierając drzwi do sypialni. Porozmawiamy później. *D'accord?*

- Skinęła głową. Kopniakiem zatrzaskał drzwi i odwrócił się do niej. W jego twarzy ujrzała wszystko: było w niej pożądanie i cierpienie, żądza i udręka, splecione razem dobre i bolesne uczucia. Wszystko. Przejechał palcem po przodzie bluzki, podniósł ją do góry i ściągnął przez głowę. Jednym szybkim ruchem zdjął z siebie koszulę. Rozpiął spodnie i zsunął na ziemię. Usiadł na brzegu łóżka i przyciągnął ją do siebie. Ciągle stała, wtulił głowę w gładką skórę brzucha, sprawnie rozpiął jej

spodnie i zsunął z bioder. Niespodziewanie zadrżała. Czubkiem gorącego, wilgotnego języka muskał skórę wokół pępka. Podniósł głowę. Ostrożnie zsunął w dół białe jedwabne majteczki. Bacznie ją obserwując, wplotł palce w palce jej dłoni i położył się na plecach. Opadła na niego. Jedno mgnienie oka, cudowne uczucie, potem niczego nie będzie pamiętała. Zamknął oczy. Wpatrywała się w jego twarz jak zauroczona. Był w innym świecie - ten młody mężczyzna, który tak daleko od domu utopił w niej swą żądzę, poszybował do nieba.

- Nigdy nie tęskniłeś za domem? - zapytała. Leżeli obok siebie, prawie się nie dotykając.

- Za czym? - Oczy miał zamknięte, jedną rękę wyciągnął ponad głowę. Przewróciła się na brzuch, żeby na niego spojrzeć.

- Za Afryką Południową. Za ojczyzną. Za domem. - Ostrożnie wymawiała słowa, delikatnie obracając je w ustach.

- Właściwie nigdy go nie miałem - odpowiedział dopiero po chwili. Oczy nadal miał zamknięte. - Wyjechałem, kiedy byłem bardzo mały.

- Dlaczego? - Czują, że ma coraz bardziej przyspieszony puls. Riitho natomiast zasypiał. To nie była odpowiednia chwila na takie pytania, ale dziewczyna chciała wiedzieć.

- A dlaczego ty wyjechałaś? - odpowiedział pytaniem na pytanie. Otworzył oczy i rzucił jej kpiarskie spojrzenie.

- Ja? Ja nie wyjechałam, właściwie nie wyjechałam. To znaczy nie musiałam wyjeżdżać. To był mój wybór.

- W moim przypadku też, tylko wybór nie był mój.

- Co to znaczy? - Wcisnęła twarz w załamanie jego ramienia.

- To znaczy - bezwiednie gładził ją po włosach - że dzieje się wiele rzeczy, i to obok mnie. To nie ja prowokuję wydarzenia. Decyzje podejmowane są gdzie indziej.

- Kto podejmuje decyzje? - Delikatnie pocierała nosem małe kępki włosów pod jego pachą.

- Są podejmowane. Porozmawiajmy o tym jutro, de Zoete. Targasz mi włosy. Zachichotała. Uwielbiała sposób, w jaki się wyrażał. Był oszczędny w słowach, poważne kwestie zabarwiał oschłym, ostrym humorem. Ciało miał gorące, ciepło emanujące z gładkiej, czarnej skóry otulało ją jak puchowa kołdra. W mdłym świetle spojrzała w dół na własne nogi. Kontrast był ogromny, niepokojący. Zamknęła oczy. Przytulił jej głowę do piersi. Zasnęli.

\*

W kawiarni Dome na Upper Street Gabby patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Zamrugała powiekami. Nie mogła się przyzwyczaić do nowej fryzury. Dotknęła dłonią karku i bardzo krótkich włosów. Były tak samo potargane, rude i kręcone, ale

wiele innych rzeczy uległo zmianie. Okulary w paskudnych grubych oprawkach zastąpiła szklami bez oprawki, z delikatnymi srebrnymi uchwytyami zakładanymi za uszy. Zmiana wyglądu ciągle jeszcze ją zadziwiała. Dzisiaj miała na sobie kremowy sweter w pasy i szarą spódnicę do kolan. Wyglądała jak modna, elegancka, inteligentna młoda kobieta. Trudno uwierzyć, że była to ta sama stara Gabby. Uśmiechnęła się, kiedy Nael wszedł do kawiarni. Zobaczyła, że rozgląda się po wnętrzu, prześlizgnął się po niej wzrokiem. Zmarszczyła czoło, pomachała do niego. Czyżby jej nie poznał? Przecież już tak dawno się nie widzieli.

- Nael, tutaj! - Odwrócił się w jej kierunku, spojrzał jeszcze raz i podszedł.

- Gabs! Cholera! Nie poznałem cię. Wyglądasz... inaczej. - Przyglądał się jej zmieszany.

- Ach, o to chodzi! Mam nową fryzurę. Już dawno temu zmieniałam uczesanie. Gabby niepewnie podniosła rękę do włosów. Nie powiedziała prawdy. Po szczególnie wyczerpującym przedpołudniu, które cały zespół spędził na przeglądaniu sprawozdań, razem z Jennie zdecydowały przespacerować się do Islington i spędzić popołudnie w salonie kosmetycznym. - Sama się jeszcze do niej nie przyzwyczaiłam. - Roześmiała się nerwowo. Zmarszczył brwi. Tak, miała inną fryzurę, ale... było coś jeszcze. Nagle szeroko otworzył oczy.

- Gabs... Stałaś się dwa razy szczuplejsza. Co się z tobą dzieje? Jesteś wręcz chuda! Zarumieniła się. Ciągle nie mogła ukryć zdziwienia, że ludzie uważają ją za osobę szczupłą. W swoim mniemaniu była taka sama jak zawsze: duża i pewna siebie na zewnątrz, a wewnątrz chorobliwie nieśmiała.

- Oj, daj spokój. Schudłam parę kilogramów zeszłego lata i tyle. Bardzo ciężko pracowałam, nie było czasu na jedzenie, to wszystko. Co u ciebie? - próbowała zmienić temat.

- W porządku. - Nael zdjął marynarkę. Ciągle z niedowierzaniem potrząsał głową. - Nie poznałem cię, przysięgam - powtórzył, przyglądając się jej z podziwem. Dziewczyna wciąż się rumieniła. Pragnęła, żeby przestał taksować ją wzrokiem.

- Dość! - fuknęła pozornie poważnie. - Co u ciebie słychać? Co nowego w twoim życiu? Bardzo dawno się nie widzieliśmy. Wiem, to moja wina. Przepraszam, że nie oddzwoniłam.

Nadal jesteś z tym, no wiesz, z kim? - zapytał, wykrzywiając twarz.

- W pewnym sensie. - Gabby uśmiechnęła się z przymusem. - Później ci opowiem. Teraz chcę wiedzieć, co ty robisz. - Patrzyła na niego ponad rantem filiżanki.

Szybko przeliczyła czas: do tej pory musiał obronić pracę magisterską w Londyńskiej Szkole Nauk Ekonomicznych. - Czym się zajmujesz? Gdzie pracujesz?

- Teraz nie pracuję - powiedział Nael. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Och... Myślałam, że już skończyłeś studia.

- Nie, studiów również nie skończyłem.

- Co ty mówisz?

- Nie skończyłem. Zmieniłem plany.

- Co to znaczy? - Gabby uniosła brwi. - Kierunek ci nie odpowiadał?

- Właśnie.

- Dlaczego? Myślałam, że interesuje cię ta problematyka. Była zaskoczona. Kiedy się widzieli ostatnio, prawie rok temu, nie przestawał mówić o studiach. Stopień magisterski z nauk politycznych!

- No, tak. Okazało się jednak, że to nie dla mnie. - Oczy mu błyszcząły.

Unikał odpowiedzi. Zachowanie zupełnie do niego niepodobne. Zanim jednak Gabby zdążyła zadać kolejne pytanie, znowu zmienił temat.

- A ty? Opowiedz, czym się zajmujesz. Nie mów tylko o Dominicu, chyba że go rzucasz.

- OK, OK - uśmiechnęła się z zażenowaniem. W tej chwili nie chciała myśleć o Dominicu. - Porozmawiajmy zatem o pracy. Znalazłam najlepszą posadę na świecie. Mówię ci, to niebywałe. Pracuję dla Brytyjskiego Komitetu Praw Człowieka - powiedziała rozpromieniona. - Jestem tam już sześć miesięcy, prowadzę badania. Trafiłam do zespołu zajmującego się problematyką Bliskiego Wschodu. Pomagam innemu prawnikowi, Palestyńczykowi, Marwanowi Ahmatowi. Jest niesamowity, on... Nael, co się stało? - przerwała nagle. Chłopak zrobił się biały jak papier.

- Mówiłaś, że jak się nazywa?

- Marwan Ahmat. Jest kierownikiem zespołu. Dlaczego pytasz? Znasz go? zaciekała się Gabby.

- Nie. - Upił duży łyk kawy i oparzył się w język. - Nie znam.

Przyglądała mu się podejrzliwie. Zachowywał się bardzo dziwnie.

- Mówiłaś, że czym się zajmujesz? Jakie prowadzisz sprawy? Komu przesyłacie ekspertyzy i sprawozdania? - zarzucił ją pytaniami.

Zmarszczyła brwi. Co, u licha, się z nim działo? Opowiedziała mu o swojej pracy, czym się zajmowała, z kim rozmawiała, czym zajmował się Marwan, z kim się spotykał, wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Nael słuchał uważnie, od czasu do czasu odrywał się tylko na chwilę, żeby przypalić papierosa; musiał zacząć palić niedawno. Była zdezorientowana. Dlaczego tak bardzo się interesował jej pracą? Szukał posady?

- Na Boga, nie - zaprzeczył. - Nie potrafiłbym dla nikogo pracować. Skończyłem z tym wszystkim.

- Co znaczy: „z tym wszystkim”? - nie zrozumiała.

- Oj, nie wiem... Po prostu nie chcę dla nikogo pracować. Już nie.

- Dlaczego? - Gabby przyglądała mu się uważnie. - Poza tym mnie nikt nie wydaje poleceń - ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. - Tam jest inaczej. Wszyscy jesteśmy zaangażowani, pracujemy razem. To zupełnie coś innego niż praca dla jakiejś dużej firmy prawniczej.

- Wiem, ale nie o to chodzi. Nie potrafię ci wyjaśnić. Chyba po prostu już nie wierzę w sens tego wszystkiego.

- Czego wszystkiego? Nael, nic nie rozumiem - zirytowała się.  
- Nie rozumiesz? Przykro mi, Gabs... Chodzi o to, że... te sprawy straciły dla mnie sens.

- Jakie sprawy?

- No, wiesz... tak zwana władza, instytucje publiczne i polityczne, wszyscy wtajemniczeni.

Zapadła cisza. Starła się zrozumieć, o co mu chodzi.

- Czy dlatego przerwałeś studia? - zapytała po chwili.

- Trafiłaś. - Uśmiechnął się blado. - Zawsze byłeś w tym dobra, Gabs. Bardzo spostrzegawcza.

Znowu się zarumieniła.

- Ale przecież nie możesz siedzieć bezczynnie, Nael. Dlaczego nie chcesz podjąć pracy? Może nie w takim miejscu jak Komitet Praw Człowieka, ale... no wiesz, żeby coś robić, czymś się zająć. Wykonał gest: ciche „tut” i gwałtowny ruch głową w górę. Nie „tak”, ale „nie”. To był jego gest. To był gest Marwana. Wpatrywała się w niego i nagle doznała olśnienia.

Nael... - zaczęła powoli, przyglądając mu się uważnie. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Starła się ostrożnie dobierać słowa, nie chciała go zranić. - Powiedz mi coś.

Twoja mama...? - mówiła powoli. - Nie jest Włoszką ani Hiszpanką... czy kimkolwiek, o kim mówiłeś? Wstrzymała oddech. Zapadła cisza. Po chwili skinął głową: raz, dwa. Wypuściła powietrze z płuc.

- Znowu trafiłaś. - Zapalił kolejnego papierosa.

- Ale dlaczego to ukrywałeś? Co z tego, że jest Palestynką? - dziwiła się Gabby.

- To bardziej skomplikowane, Gabs - powiedział cicho, podniósł wzrok i wydmuchał chmurkę dymu.

- Co to znaczy? Gdzie jest twoja mama? Sądziłam, że tutaj, w Anglii.

Jest w Ramalli, w państwowym więzieniu. - Gabby, zakryła usta ręką. Wychodzi i znowu ją wsadzają. Teraz siedzi już od czterech lat.

- Och Nael. - Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- Pewnie o niej słyszałaś. - Przypalił następnego papierosa. - Ahdaf Kilani.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem: Ahdaf Kilani? Wszyscy o niej słyszeli. Nieugięta działaczka polityczna, wcześniej pracownik naukowo-dydaktyczny, była dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych na uniwersytecie w Birzeicie. Na początku lat osiemdziesiątych została wyrzucona z uczelni za odmowę potępienia Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Była nieustraszonym krytykiem zarówno polityki Izraela, jak i Jordańczyków. Jordania chciała, żeby opuściła kraj. Izrael życzył jej śmierci i chętnie skazałby na banicję, a najlepiej na jedno i drugie. Była aresztowana, wyszła na wolność, potem znowu została aresztowana, nałożono na nią areszt domowy, skazano na wygnanie, odebrano prawo głosu, cenzurowano, zaproponowano wyjazd za granicę, ale nie chciała opuścić kraju. Była jednym z najbardziej znanych Komitetowi Praw Człowieka i Amnesty International więźniów

politycznych. Marwan prawie wyłącznie zajmował się kampanią Ahdaf Kilani. Gabby nie mogła uwierzyć. Ahdaf Kilani była matką Naela?

- Cholera jasna!

W ogóle nie wiedziała, co powiedzieć. Sięgnęła po papierosy Naela. Rzuciła palenie, teraz jednak poczuła, że musi zapalić.

- Właśnie. Wiem o organizacjach występujących w obronie praw człowieka więcej, niż sądziłaś. Znam Marwana. O tak, doskonale go znamy. Mimo to jest ciężko. Szczególnie ojcu. Niewiele brakowało, by się rozeszli, kiedy po raz pierwszy została aresztowana. Pojechała tam tylko na dwa miesiące. Ja z ojcem byłem tutaj, w domu w Cambridge. Oboje nie chcą, żebym pojechał na Bliski Wschód. Mama mówi, iż jedynie świadomość, że mnie nic nie grozi, trzyma ją przy życiu. Nie pozwala mi do siebie przyjechać. Po prostu nie pozwala. Ja jednak nie mogę tutaj siedzieć, Gabs. Odchodzę od zmysłów.

Na twarzy chłopaka malował się wielki ból. Gabby położyła mu rękę na ramieniu. W tej chwili zrobiłaby dla niego wszystko.

- Jakie masz plany? - Niemal bała się zadać to pytanie.

- Nie wiem. Ubiegam się o pracę w serwisie zagranicznym BBC. Za sześć tygodni zaczyna się kurs przygotowawczy dla reporterów.

- A co ojciec o tym myśli?

- Wszystko mi jedno. Nic mu do tego. To moje życie.

Gabby odchyliła się w tył i opadła na oparcie krzesła. Złożyła dłonie i opuszkami palców jednej ręki silnie uciskała opuszki palców drugiej. To było zbyt wiele, nie potrafiła objąć tego umysłem. Spojrzała przez okno na tłum na ulicy. W wieczornym mroku ludzie chronili się przed zimnem za podniesionymi kołnierzami, ręce wciskali w kieszenie. Westchnęła.

- Wydaje się, że od czasów Malvern dzieli nas milion lat świetlnych powiedziała powoli. - Wtedy wszystko było znacznie prostsze. Nie, nieprawda - zaprzeczył z bladym uśmiechem. - Tylko nam się tak wydawało. Wszystko było równie skomplikowane. Pamiętasz tę sprawę z Rianne? - Roześmiał się krótko. - Też właśnie o to chodziło.

- O co? - Nie rozumiała.

- O politykę. Właśnie dlatego nie mogłem się z nią spotykać. Bez względu na to, jak bardzo tego pragnąłem. Przez Ree. Tego wieczora po szkolnym balu byliśmy razem w łazience. Riitho miał paskudny nastrój. Myślałem, że Rianne również jemu się podoba i dlatego się wścieka. - Zaciągnął się papierosem. - Nie mogłem się bardziej mylić. On jej nienawidził. Nie rozumiałem go, przecież spotykał się z innymi białymi dziewczętami. Rzecz jednak nie w tym. Powiedział mi, dokładnie pamiętam jego słowa: „Zastanów się, to tak, jakbyś ty pieprzył córkę Begina”. Nigdy tego nie zapomnę. Doskonale wiedziałem, jak się czuł. Taka nienawiść potrafi człowieka zniszczyć.

- Chyba masz rację. - Podniosła solniczkę i wolno kręciła wieczkiem. - Nie wiedziałam.

- Oczywiście, że nie. - Zamilkł na chwilę. - Jesteś z nią w kontakcie?

- Tak, naturalnie. Nadal się przyjaźnimy. Jest w Nowym Jorku. Pewnie widziałeś jej zdjęcia. Publikują je wszędzie.

- Nael potakująco skinął głową. Zabawne - powiedział. - Ree właśnie pojechał do Nowego Jorku. Miejmy nadzieję, że nie wpadną na siebie. - Zgasił papierosa.

- Wątpię, żeby mogli się spotkać. Obracają się w zupełnie innych kręgach. A co Ree porabia?

- Jest architektem. Współpracuje z jakąś dużą pracownią w Paryżu. Dobrze mu się wiedzie. Często ze sobą rozmawiamy. Jest niesamowity. Najbardziej zdyscyplinowany człowiek, jakiego znam. Czasami mnie to przeraża.

- Na mnie sprawiał wrażenie okropnego aroganta - wyznała Gabby. - W jego obecności zawsze czułam się jak ostatnia idiotka.'

- Nie tylko ty. Potrafił zachowywać się arogancko. Ale jest mądry i bystry. Naprawdę wyjątkowy.

- Pewnie rzeczywiście taki jest. Właściwie nigdy dobrze go nie znałam. I zapewne nie poznam. Myślisz, że on też wróci? To znaczy do Republiki Południowej Afryki?

- Tak, wróci. Jest nieodrodnym synem swego ojca.

- Tak jak ty swojej matki? - łagodnym tonem bardziej twierdziła, niż spytała. Wiedziała, co miał na myśli.

- Tak. Rozumiemy się.

- Och Nael - znowu westchnęła. Nie mogła uwierzyć, że siedzi twarzą w twarz z synem Ahdaf Kilani. Jej jedynym synem.

- Właściwie to: Na'el.

- Słucham?

- Tak wymawia się moje imię. Nie Neil, jak wy to wymawiacie. Tak mówią do mnie wszyscy, tak się przedstawiam, odkąd jestem tutaj. Na'el to moje arabskie imię. Pewnie nie pamiętasz, ale kiedyś mnie o to pytałaś. Oczywiście, że pamiętała. Doskonale pamiętała wszystko, o czym kiedykolwiek rozmawiali.

- Powiedziałaś, że to stare imię rodzinne.

- Tak. Wymyślałem różne historyjki, tak jak robią to tutejsze dzieciaki. W dzieciństwie opowiadałem, że mieliśmy w rodzinie przodka z Bliskiego Wschodu, który nazywał się Na'el Krzyżowiec. Nie śmieję się.

- Nie śmieję się. Mnie powiedziałaś, że to walijskie imię.

- Tak? Nie jest walijskie.

Gabby przyglądała mu się ponad stołem. Miał na sobie granatowy sweter z dekoltem w serek, a pod nim biały podkoszulek. Wystrzępiony golfik wyraźnie odcinał się od opalonej szyi. Był szeroki w barach, na przedramionach widać było delikatne brązowe owłosienie. W talii przepasał się barwnym, haftowanym paskiem;

intensywne kolory wyblakły od słońca, a może w praniu. Wyglądał jak Nael, którego doskonale znała. Miał może trochę dłuższe włosy. Sięgały ramion i wiły się na szyi, przydawały mu uroku. Był jak zawsze chłopięco przystojny. Miał te same oczy... i ten sam leniwy, pewny siebie uśmiech. Z bólem uświadomiła sobie, że czuje się przygnębiona.

- Ojej - szybko zamruwała powiekami w obawie, że się rozpłacze.

- Co się stało?

- Ja... to... ja... - Ku jej przerażeniu oczy same napełniły się łzami.

- Gabs? Co się stało?

- Myślałam, że cię znam, Nael.

- Znasz. Znasz mnie lepiej niż inni. - Wyglądał na zdezorientowanego.

- Nie, nie znam. Już nie. Nawet nie wiem, jak masz na imię. Nie wiem, kim jesteś. Byłeś moim przyjacielem, Naelu... moim najlepszym przyjacielem.

- O czym ty mówisz? Wciąż jestem twoim najlepszym przyjacielem. Nic się nie zmieniło.

- Wszystko się zmieniło - podniosła głos. - Najpierw mówisz mi, że nie jesteś pół - Hiszpanem...

- Nigdy tak nie twierdziłem. Ty tak to sobie tłumaczyłaś, ja tak nie mówiłem.

- Wszystko jedno - rozzłościła się. - Żadna różnica. Mogłeś mi powiedzieć. Nigdy nie zaprzeczyłeś. A teraz oznajmiasz, że jesteś pół - Palestyńczykiem, a w dodatku synem Ahdaf Kilani. Przeżyłam wstrząs. Staram się jakoś to zrozumieć, a ty tymczasem mi mówisz, że wcale nie jesteś Naelem, tylko N a - coś tam. Myślałam, że cię znam.

Łzy strumieniem płynęły jej po policzkach. Ze złością wytarła je wierzchem dłoni.

- Przecież nic się nie stało. Gabs, uspokój się. - Odsunął krzesło i przesiadł się bliżej dziewczyny. Położył dłoń na jej dłoni. - Przepraszam, Gabs. Nie chciałem cię zdenerwować. Oprócz Ree jesteś jedyną osobą na tym cholernym świecie, która tyle o mnie wie. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

- Nie szkodzi. - Gabby pociągnęła nosem. - To ja przepraszam, nie chciałam...

- Nie przepraszaj. To moja wina. Powinienem... Nie, to ja jestem głupia... Gabs, przestajesz wreszcie za mnie przepraszać? To mnie jest przykro i to ja przepraszam. Nie chciałem cię wytrącić z równowagi. Nie chciałem cię zdenerwować. Nie zrobiłbym tego za żadne skarby świata. - Pochylił się do przodu, ujął ją pod brodę i podniósł do góry głowę. Przez sekundę, jedną krótką, absurdalną chwilkę, myślała, że ją pocałuje. Nie pocałował. Oczywiście, że nie pocałował. Delikatnie dotknął jej policzka i wyciągnął serwetkę z serwetnika na stoliku. - Proszę.

- Dziękuję. - Roztrząsnęła serwetkę i osuszyła oczy. Miała nadzieję, że nie rozmazała tuszu. Kobięca próżność. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.



Charmaine nudziła się jak mops. Sześć miesięcy temu wróciła do Londynu i nie miała co robić. Nathalie ciągle pracowała, pracowała i pracowała. Gabby bez przerwy pracowała, pracowała i pracowała. Rianne rzadko bywała w mieście. Matka miała nowego przyjaciela; była uszczęśliwiona powrotem córki, ale gdy euforia minęła, każdą chwilę wolała spędzać z nową miłością. Znajomi, których zostawiła w Londynie, gdzie się przeprowadzali. Thierry wrócił do Lyonu, Nael ciągle gdzieś wyjeżdżał, a poza tym właściwie był przyjacielem Gabby, a nie jej... Nudziła się. Nie pojmowała tego. Trzy lata tęskniła za powrotem, desperacko pragnęła wrócić do Londynu, a kiedy już tu była, nie miała czym się zająć. Niewiarygodne. Z drugiej strony ostatnio Charmaine nie mogła zrozumieć wielu rzeczy, a przede wszystkim własnego życia. Skończyła dwadzieścia dwa lata, nie mogła się pochwalić żadnymi kwalifikacjami (jeśli nie liczyć wprawy w dostarczaniu najwyższej klasy narkotyków), była bez pieniędzy, nie miała chłopaka, tylko kilkoro znajomych, i ciągle walczyła z nadwagą. Dzięki wielkoduszności Rianne mieszkała w apartamencie przy Wilton Crescent, ale pędziła samotne życie. Nadal była winna Rianne i Nathalie furę pieniędzy i nie miała pojęcia, z czego i kiedy je zwróci. Od powrotu właściwie nic nie robiła, tylko raz na tydzień chodziła do siłowni. Poza tym wszyscy byli przygnębieni: każdy mówił o zagrażającej krajowi recesji. Recesja, recesja i jeszcze raz recesja. Włączasz telewizor: masz recesję. Radio: mówią wyłącznie o recesji. Prasa? To samo. Co to, do cholery, jest ta cała recesja? Nagle zadzwonił telefon.

- Charmaine?

Telefonowała Emily, koleżanka z siłowni. Poznały się kilka tygodni temu, kiedy katowały się na przyrządzie zwanym StairMasterem. Przynajmniej Charmaine się katowała, Emily zaledwie lekko się spociła. Pochodziła z Dublina, była początkującą aktorką czy, jak sama o sobie mówiła: MAK-iem.

- Co to znaczy? - zapytała ją Charmaine.

- Modelka - Aktorka - Ktokolwiek - roześmiała się Emily.

- Cześć, Emily, co porabiasz? - Charmaine ucieszyła się teraz, słysząc, głos koleżanki.

- Właściwie nic. Byłam rano na castingu, ale nie myśl, że dostałam rolę. Nie szukasz towarzystwa? - Emily już kilka razy odwiedzała apartament przy Wilton Crescent i bardzo jej się tu podobało. To, że mieszkanie należało do Rianne de Zoete, było dodatkową, nieoczekiwaną atrakcją. Znajomość z tą dziewczyną nawet przelotna, mogła przeobrazić MAK - a w modelkę. Albo aktorkę. Albo kogokolwiek.

- Pewnie. Cholernie się nudzę. Wpadnij, przygotujemy kolację.

- Mam coś, co rozwieje nudę. Będę za godzinę! - Emily się rozłączyła. Mieszkała przy Ladbroke Grove na najwyższym piętrze ładnego wiktoriańskiego domu z

tarasami. Nie była to okolica tak prestiżowa i elegancka jak Knightsbridge, ale bardzo modna. Charmaine zastanawiała się, jak Emily stać na takie mieszkanie, skoro na dobrą sprawę wcale nie pracuje. Może miała bogatych rodziców. Nigdy o nich nie wspominała. W Anglii pewne rzeczy się nie zmieniają - pomyślała, wchodząc pod prysznic. Nadal nie wypadało mówić o pieniądzach, skąd się je bierze, na co się wydaje. W Los Angeles było zupełnie inaczej.

- Dwie godziny później Emily wyjęła małą plastikową saszetkę z wielkiej torby, którą z sobą przyniosła. Charmaine ścisnęło w dołku. Nie mogła. Nie powinna. Jest czysta. W żadnym wypadku nie wróci do tego. Spojrzała w drugą stronę, a koleżanka pochyliła się nad szklanym blatem małego stoliczka do kawy i rantem karty kredytowej uformowała ze znajomego białego proszku cztery linie. Pięćofuntowy banknot zwinęła w rurkę i podała ją Charmaine. No, na co czekasz?

- Ja nie. - Charmaine przecząco pokręciła głową. - Kiedyś brałam... Emily, nie mogę. Nie mogę. - Jak urzeczona, ale i przerażona, wpatrywała się w białe kreski.

- Daj spokój, tylko dwie kreski. To dobry towar. Naprawdę. - Emily pochyliła głowę. Charmaine widziała, jak jedna kreska znika. Przełknęła ślinę. Dudniło jej w głowie, dłonie miała wilgotne. - No, śmiało. - Dziewczyna podsunęła zrolowany banknot. Charmaine zawahała się sekundę, potem pochyliła głowę i druga kreska zniknęła. Odchyliła się w tył i przysiadła na piętach. Pierwszy raz od ponad roku. Po kilku minutach narkotyk dotarł do mózgu, poczuła znajome uderzenie krwi do głowy.

- O rany, jesteś profesjonalistką! - Uradowana Emily uśmiechnęła się do niej.

- Skąd... - zaczęła Charmaine, obserwując, jak koleżanka kończy swoją porcję. Więc to dzięki temu utrzymuje smukłą sylwetkę.

- Od przyjaciół... - odpowiedziała dziewczyna. Wiedziała, o co Charmaine chciała ją zapytać. Miała mgliste pojęcie o jej przeszłości, ale w koleżance było coś, co kazało przypuszczać, że „będzie miała ochotę”, jak to określiła. Nie myliła się. Charmaine brakowało narkotyków, tęskniła za szumem w głowie i pewnością siebie, jakie zapewniała kokaina. Nie brakowało jej emocji związanych z rozprowadzaniem narkotyków ani awantur, ale naprawdę bardzo, ale to bardzo, pragnęła znowu być na haju.

- Masz jeszcze? - zapytała, chichocząc. Zaczynała czuć się naprawdę dobrze.

- Możemy załatwić. Jakie masz plany na wieczór?

- Żadne. Co proponujesz?

- Dobra. To wyciągaj najlepszą kieckę, dziewczyno. Pójdziemy się zabawić!

Dwie godziny później Charmaine była gotowa.

- Wspaniale wyglądasz! - zachwyciła się Emily. Wyszła z łazienki, owinięta ręcznikiem związanym pod pachami. Charmaine uśmiechnęła się do własnego odbicia w dużym lustrze. Od powrotu ze Stanów włosy jej urosły. Rozdzielone przedziałkiem na środku głowy, opadały prosto wokół owalu twarzy. Miała na sobie obcisłą, czerwoną sukienkę pod samą szyję, czarne pantofelki na wysokich obcasach z odkrytymi czubkami i duże srebrne kolczyki w kształcie kół. Ćwiczenia na siłowni

dawały pewne efekty, chociaż nie tak duże, jakich oczekiwała. Mogła przestać się głodzić, wyglądała dostatecznie dobrze. Zakręciła się na pięcie przed koleżanką i chichocząc, padła na łóżko.

Emily wyciągnęła kilka szalowych ciuchów z wielkiej torby, którą ze sobą przyniosła, i zastanawiała się, co włożyć. Wybrała czarną sukienkę z odkrytymi ramionami, na smukłej szyi zapięła czarny kołnierz z aksamitu. Ciemne włosy związała z tyłu i upięła wysoko.

- Dokąd pójdziemy? - zainteresowała się Charmaine, z zazdrością przyglądając się koleżance. To dopiero jest szczupła sylwetka!

- Zobaczysz. Spotkamy się z moimi znajomymi. Polubią cię.

Emily nie powiedziała nic konkretnego, ale sposób, w jaki to oznajmiła, zaniepokoił Charmaine. Dlaczego mieliby ją polubić? Miała nadzieję, że dziewczyna nie ma na myśli jakichś nudnych modnisiów.

Zbiegły na dół. Przed wyjściem po raz ostatni przejrzały się w lustrze w holu. Wieczór był śliczny, dość ciepły, żeby nie zabierać wierzchnich okryć. Charmaine czuła podniecenie. W końcu gdzieś wychodzi! Bardzo się cieszyła, że poznała Emily. Prawie natychmiast z piskiem opon zatrzymała się taksówka. Kierowca dostrzegł je z drugiej strony ulicy. Emily podała mu adres w dzielnicy Mayfair i wsiadły do samochodu. Charmaine nie zwróciła uwagi, że kierowca, zawracając, obrzucił je taksującym spojrzeniem.

Zatrzymali się przed domem równie wspaniałym jak ten przy Wilton Crescent, tylko jeszcze większym. W środku było natomiast zupełnie inaczej: ciężkie dywany, ogromne kandelabry, przeładowane ozdobami meble i dzieła sztuki w bardzo złym guście. Wnętrze przypominało jakiś dziwaczny plan filmowy. Lokaj znał Emily, powitał dziewczęta w milczeniu. Charmaine zaczęła się bać, wszystko wyglądało co najmniej niezwykle. Nie tego się spodziewała. Zostały wprowadzone do saloniku na piętrze. Pokój był urządony bardzo bogato i zupełnie bez smaku. Dziewczyna odniosła wrażenie, że Emily spogląda na nią... troszkę niepewnie. Obie usiadły na jednej z kanap obitej tkaniną imitującą skórę lamparta.

Nagle drzwi z boku otworzyły się i do saloniku wszedł jakiś mężczyzna.

- Emily - uśmiechnął się szeroko - jak miło cię widzieć!

Przeszedł przez pokój do kanapy, na której siedziały dziewczęta. Charmaine nie odrywała od niego oczu. Miał z pięćdziesiąt lat! Był niski, tęgawy i prawie łysy! To ma być przyjaciel koleżanki? Na pewno nie.

- James - Emily podniosła się z wdziękiem i ucałowała go w oba policzki. -

Przedstawiam ci Charmaine.

Dziewczyna z trudem podniosła się z miejsca. Sukienka jeszcze była troszeczkę zbyt ciasna.

- Enchante - James skłonił się zabawnie. - Mademoiselle - wymruczał w kiepskiej francuszczyźnie i podniósł jej rękę do ust. Charmaine z trudem stłumiła chichot.

Sytuacja była komiczna. James opuścił jej rękę. - Drogie panie, proszę tędy.

- Poprowadził je do drzwi.

- Kto to, do diabła? - szepnęła Charmaine do Emily, kiedy podążały za mężczyzną. - Gdzie...

- Sza. Za chwilę zobaczysz. Pamiętaj tylko, że to tysiąc za wieczór i nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty.

Charmaine wytrzeszczyła oczy. Emily położyła palec na ustach, a James otworzył drzwi do znacznie większego pokoju. Na wygodnych na pierwszy rzut oka kanapach naprzeciwko siebie siedziało dwóch mężczyzn w średnim wieku. Byli w garniturach, w dłoniach trzymali kieliszki. Wstali, kiedy James i dziewczęta weszli do pokoju.

Charmaine nagle wszystko zrozumiała. Była gotowa odwrócić się na pięcie i uciec.

- Panowie - zaczął James komicznie wzniosłym tonem - pozwólcie sobie przedstawić Charmaine i Emily. zaproponował dziewczętom drinka. Charmaine kręciło się w głowie. Tysiąc za wieczór? Pieniądze by się przydały... i Emily mówiła, że nie musi robić niczego, na co nie ma ochoty. Przyjrzała się panom uważnie. Byli... w porządku. Lekko otyli, lekko siwawi, ale zasadniczo w porządku.

James podał jej martini na szklanej tacy z kreszczką kokainy i zgrabną słomkę.

Emily już pochyliła głowę nad swoją tacą. Charmaine poszła za jej przykładem.

Dziesięć minut później, kiedy kokaina uderzyła jej do głowy, poczuła się lepiej.

Właściwie nie byli tacy źli... raczej zabawni. Zdecydowanie wyższa klasa. Jasper był wydawcą, a Steven „w rządzie”, cokolwiek to znaczyło. Każdy z nich mógłby być jej ojcem. Zastanawiała się, jak to się robi, kto z kim „idzie”.

Była przy trzeciej kresce kokainy i drugim martini, kiedy Emily się podniosła. Za nią wstał Steven i poszli do drzwi. James wyprowadził ich z pokoju i wyczekująco spojrzął na Charmaine. Z przyjemnością obserwowała wyraz twarzy Jaspera.

Malował się na niej niepokój, ale i nadzieja. Umierał z pragnienia udania się w ślady Emily.

Usadowiła się wygodniej na kanapie. Niech poczeka. Powoli zdjęła nogę z nogi.

Dostrzegła, że Jasper niemal się skręca, kiedy przed oczami mignął mu rąbek jej czarnych, koronkowych majteczek. Leciutko rozchyliła nogi i z radością spostrzegła, że mężczyzna gwałtownie się rumieni. Świetna zabawa - pomyślała.

- Czy chciałabyś obejrzeć dom? - zapytał Jasper.

- Czemu nie? - pogodnie odparła Charmaine. Wstała, wygładziła sukienkę na biodrach, zatrzymując dłonie o sekundę dłużej na udach.

James wyglądał na zadowolonego, kiedy otwierał przed nimi drzwi.

- Aha, pan Clifford i Emily są w Niebieskim Pokoju - szepnął Jasperowi w drodze do holu.

- Może obejrzymy Główną Sypialnię? - zaproponował Jasper. Poszła za nim korytarzem, zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami.

Otworzył oba skrzydła i Charmaine weszła do ogromnego pokoju z wielkim łóżem z baldachimem i sześcioma fotelami. W pokoju paliła się tylko lampka przy łóżku,

które było przygotowane do snu. Na stoliku obok stała taca z dzbankiem z wodą i - ku radości Charmaine - z jedną porcją kokainy i słomką. zaproponowała narkotyk Jasperowi, ale odmówił. Z rozbawieniem patrzył, jak jednym pociągnięciem wciąga całą porcję. Ostrożnie usiadła na brzegu łóżka, delikatnie wytarła nos i patrzyła na niego wyczekująco. Zdjął marynarkę.

- Zdejmij sukienkę - powiedział cicho. Sam usadowił się na jednym z foteli obok łóżka. Charmaine odczekała, aż kokaina uderzy jej do głowy, potem podniosła ręce i zdjęła sukienkę.

- Odwróć się.

Miała na sobie tylko czarny koronkowy staniczek, takie same majteczki i pantofle na wysokich obcasach. Wykonała polecenie. Niewiele się to różni od występów w barze Flamingo - pomyślała, słysząc, jak głośno wciąga powietrze. Tutaj, co prawda, chodziło o znacznie większe pieniądze, warunki były o wiele lepsze, ale mężczyźni w zasadzie tacy sami: silni i aroganccy, wprawdzie w garniturach, ale żałośnie dziecinni, kiedy wypróbowywała na nich swoje zmysłowe sztuczki.

- Pochyl się.

Nie próbował dotknąć dziewczyny, tylko obserwował z fotela. Nawet jej się podobało, że wydaje polecenia. Usłyszała, że odpina pasek i zdejmuje spodnie.

- Rozsuń nogi. Nie, nie odwracaj się, stój tyłem do mnie. Pochyl się i połóż na łóżku. Właśnie tak.

Nadal nie próbował wstać. Może należy do tych mężczyzn, którzy lubią patrzeć. Z rozsuniętymi nogami pochyliła się i poczuła na policzku chłód jedwabnego prześcieradła. Podniósł się gwałtownie i stanął nad nią. Objęła się ramionami. Czuła jego nogi na pośladkach, kiedy przycisnął jej głowę do łóżka. Kolczyk wysunął się jej z ucha. Potem jęknął; poczuła tryskającą na krzyż gorącą, lepką wilgoć. Potrzył ją jeszcze chwilę, potem odszedł. Sperma spłynęła na prześcieradło. To wszystko? Czy ma wstać? Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Wkładał spodnie, rozglądał się za paskiem.

- James cię odprowadzi. Dziękuję, Charmaine.

Włożył marynarkę. Zanim dziewczyna zdążyła się wyprostować, usłyszała, jak idzie, prawie biegnie, do podwójnych drzwi, i już go nie było. Podniosła się, prześcieradłem wytarła plecy, włożyła sukienkę, odnalazła kolczyk i zastanawiała się, co robić, kiedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi. To był James. Podał jej kopertę i szklankę zimnej wody. Powiedział, że kiedy będzie gotowa, znajdzie Emily na dole. Jeżeli ma ochotę, obok jest doskonale wyposażona łazienka...

- Nie, dziękuję. Za chwilę będę na dole. Dziękuję, James.

Charmaine wzięła kopertę i odczekała, aż zamknie za sobą drzwi. Rozdarła ją. Tysiąc funtów w nowiusieńkich pięćdziesięciofuntowych banknotach. Z niedowierzaniem wpatrywała się w pieniądze. Przecież nawet się z nim nie przespała! Prawie zbiegła na dół do Emily. Zbyt dobre, żeby było prawdziwe.

# CZĘŚĆ PIĄTA

48

*Marzec 1989, Kapsztad, Republika Południowej Afryki*

Lisette i Hennie stali w gabinecie biurowca firmy w centrum Kapsztadu. Na południowej półkuli nastąpiła późna jesień, dzień był pogodny, słoneczny. Hennie skończył mówić, dźwięk jego głosu przestawał wibrować w powietrzu. Kobieta popatrzyła na zaniepokojoną twarz syna i odwróciła się do okna. Z trzydziestego trzeciego piętra patrzyła na port i na morze. Z tego miejsca położonego wysoko nad miastem, odnosiło się wrażenie, że akty przemocy i niepewność jutra targające krajem od kilku lat ich nie mogą dotknąć. Niebo było czyste, błękitne, mewy pikowały nad wodą i lądem, małe chmurki przepływały pod metalowymi framugami okien ze szlifowanego szkła, zajmujących całą ścianę. Było pięknie i pozornie spokojnie.

W oddali widziała Wyspę Robbena, więzienie o zaostrowym rygorze na pełnym morzu, gdzie przetrzymywano Mandelę, Modise'a i innych. Czasy były niespokojne. Prezydent P. W. Botha właśnie wyszedł ze szpitala po zawale serca, kraj pogrążył się w chaosie. Coraz częściej słyszało się o krwawych zamieszkach, a ogólnokrajowa „kampania sprzeciwu i nieposłuszeństwa obywatelskiego” - zdaniem Lisette zwykły pretekst, żeby czarni mogli żyć na swój sposób: prymitywnie i leniwie - rozkręcała się na coraz większą skalę.

Pojawiły się plotki, że rząd prowadzi rozmowy ze zdelegalizowanymi partiami politycznymi: Afrykańskim Kongresem Narodowym Mandeli i Afrykańską Partią Wolności Modise'a. Lisette miała gorącą nadzieję, że de Klerk, nowy przywódca Partii Narodowej, już wkrótce położy temu kres i prawomocnie ukarze terrorystów, skazując ich na szubienicę albo wygnanie. Kraj płacił bardzo wysoką cenę za całe zamieszanie. A teraz jeszcze i to. Odwróciła się do Henniego. Co też on mówił? Jakie pieniądze zniknęły?

- Jak to zniknęły? - Założyła ręce na piersi. - Kiedy? O czym ty mówisz?

- Właśnie w tym rzecz. Ogromna większość zniknęła w tym samym czasie co wujek Marius - wolno powiedział Hennie. - Ale to nie była jednorazowa operacja, potem pieniądze również zniknęły.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała podchwytliwie.

- No cóż, nie wiem. Jedno z dwojga. Albo wujek o tym wiedział... albo nie wiedział.

- Syn powoli potrząsał głową. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego cała sprawa wyszła na jaw dopiero teraz.

W ciągu ubiegłych czternastu lat z jednego z rachunków firmy „zniknęło” prawie trzy miliardy randów. Wypłat dokonywano przez rachunek w szwajcarskim banku,

do którego upoważnienie miał wyłącznie Marius. Lisette nagle poczuła się słabo. Podeszła do biurka, usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

Hennie niepewnie spoglądał na matkę. Jeszcze nigdy nie widział jej aż tak zdenerwowanej.

- Zawołaj Simona - powiedziała w końcu. - Nie, nie dzwoń, idź i przyprowadź go. Czują zamęt w głowie.

Hennie wybiegł z gabinetu i po kilku minutach wrócił z zaniepokojonym Simonem.

- Zostaw nas samych, *skatjie* - poprosiła Lisette. - Chcę na osobności porozmawiać z Simonem.

Hennie wyszedł. Kobieta widziała, że chciałby wiedzieć, co się dzieje. Przecież to on, a nie Simon, przekazał matce zdumiewającą i bardzo niepokojącą wiadomość.

- Co to znaczy? - zapytała Simona, kiedy tylko za Henniem zamknęły się drzwi.

- Co się dzieje?

- Nie wiemy, Lisette. Musimy się dowiedzieć, kto wyciąga pieniądze. Nie będzie to łatwe. Jeśli sprawa wyjdzie poza firmę... Rynek papierów wartościowych jest teraz tak bardzo niestabilny... Czekają nas trudne chwile.

Akcje kopalni złota leciały w dół, spadek spowodowany był wzrostem kosztów wydobycia kruszcu w kraju ogarniętym wojną domową. Koszty pracy rosły w zastraszającym tempie. A teraz w dodatku w kręgach rządowych mówiło się o „nieuniknionym” wypuszczeniu na wolność Mandeli i Modise'a oraz - Boże ucho! - o legalizacji wyjętych spod prawa partii politycznych. Kto wie, czym się to skończy. Pewne jest jedno: cena złota jeszcze bardziej spadnie.

Lisette milczała. Przypomniała sobie tamten wieczór, prawie piętnaście lat temu, kiedy Marius stał w jadalni w Vergelegen. „Jak długo? Jak długo jeszcze będzie to nam uchodzić na sucho?” - pytał. Wówczas nie miała pojęcia, o czym mówił. Wbiła paznokcie w dłoń. Bała się, bardzo się bała.

- Musisz pojechać do Zurychu, Simonie, a potem do Londynu - zdecydowała. - Ja powinnam zostać na miejscu. Dowiesz się, co się dzieje, kto wypłaca pieniądze. Nikomu innemu nie mogę zaufać. Zrobisz to dla nas?

- Oczywiście - Simon skinął głową. - Polecę jutro rano. Pomyślę, co powiedzieć w banku. Lisette, dowiemy się, o co tu chodzi. Nie martw się. Dojdziemy prawdy. - Położył jej rękę na ramieniu. - Zadzwońię z Zurychu. - Wyszedł z gabinetu z zaszepconą miną. Lisette zapaliła papierosa. Głęboko wdychała dym i próbowała się uspokoić przed wezwaniem Henniego. Poczuła się lepiej, wiedząc, że Simon zajmie się sprawą. Dobrze, że go miała, że miała kogoś, na kim mogła polegać. Zazwyczaj sama się wszystkim zajmowała, teraz cieszyła się, że mogła część obowiązków przekazać komuś innemu. Innemu mężczyźnie. Wygladziła jasnozieloną sukienkę na ciągle jeszcze smukłych biodrach. Przekaze Henniemu ustalenia, weźmie sobie wolne popołudnie i wróci do domu. Wybierze się na konną przejażdżkę za miasto. Musi się stąd wyrwać i spokojnie pomyśleć.

Hennie wysłuchał relacji matki z marsmem na czole. Niepokoił się przede wszystkim

z powodów egoistycznych: skoro obaj wujkowie: Marius i Hendryk, nie żyli, to on powinien odziedziczyć korporację de Zoete'ów. Kuzynki Rianne nie było w kraju od trzech lat. Udawała, że nie pochodzi z Afryki Południowej. Wiedział o tym i chociaż nie akceptował powodów, dla których opuściła ojczyznę, jej nieobecność była mu na rękę. Rianne usunęła się z drogi, synowie Hendryka, Piet i Coen, siedzieli na farmie gdzieś w Oranii, a Marika zajmowała się sierotami albo jakąś inną działalnością charytatywną. W takiej sytuacji matka mogła polegać wyłącznie na nim. Simon Kalen, sprawny i oddany współpracownik, był człowiekiem obcym. Hennie należał do najbliższej rodziny i jako jedyny syn pewnego dnia powinien przejąć kontrolę nad ogromnym imperium gospodarczym, które odziedziczyła Lisette. Tylko na to czekał. Dlatego niepokoił się, co odkryje Simon. Może Marius nie żyje, ale przed śmiercią ktoś wyciągnął od niego informację o rachunku bankowym w Szwajcarii... a może Marius żyje. Żadna z ewentualności mu się nie podobała. Jak zawsze, kiedy się czymś trapił, zaczął ssać wewnętrzną stronę wargi.

## 49

Nathalie przejrzała się w lustrze. Wyglądała ładnie. Włożyła lekki, brązowy żakiet ze skóry, ale doszła do wniosku, że lepiej prezentuje się jednak bez niego. Miała na sobie zamszowe spodnie w kolorze mchu, czarne buty z niewyprawionej skóry, szeroki czarny skórzany pasek i taką samą torbę. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zeszczuplała, chociaż nie bardzo miała z czego chudnąć. Wyglądała poważniej, sprawiała wrażenie osoby bardziej doświadczonej. Zadowolona, uśmiechnęła się do siebie. Poprawiła szminkę na ustach, wygładziła włosy i wzięła klucze. Paul czekał na nią w galerii, nie chciała się spóźnić.

Poznała go zaledwie dwa miesiące temu. Był kilka lat od niej starszym artystą. Poza „zastanawianiem się” właściwie nic nie robił. Był przystojny, dowcipny, bardzo lubiany... i goły jak święty turecki. Po mężczyznach takich jak Sasza i Marcus Nathalie była wstrząśnięta odkryciem, że istnieją również faceci, którzy nie są w stanie ponosić kosztów związku z kobietą. Mało tego, wcale im to nie przeszkadzało, beztrudno cedowali wszelkie obowiązki na partnerkę. Zawsze kiedy wychodziła gdzieś z Paulem, bez żenady przesuwał rachunek w jej kierunku. Nathalie przekonywała się, że jeżeli ktoś chciał uprawiać „sztukę”, nie mógł jednocześnie zarabiać. Poza tym ona na brak środków nie narzekała. Dlaczego więc miała nie zapłacić od czasu do czasu rachunku? Prawdę mówiąc, lubiła poczucie władzy, jaki jej dawał ten układ. Większość swojego zawodowego życia przekonywała ludzi, żeby zajrzeli w głąb drobnej, urodziwej sylwetki i ujrzeli w niej silną niezwykle ambitną kobietę, jaką się czuła. Płacenie rachunków za każdym razem, kiedy byli gdzieś we dwoje, umacniało w niej właśnie taki wizerunek samej siebie. Całe wieki szukała galerii. Mieściła się w Shoreditch, rozkwitającej dzielnicy



artystycznej, jak zapewniał ją Paul. Nathalie nigdy nie była w żadnej części miasta położonej na wschód od Liverpool Street i nawet nie słyszała o Hoxton Square. Kiedy znalazła plac, rozejrzała się z powątpiewaniem. Okolica nie wyglądała na modny, rozkwitający kwartał sztuki. Miała przed sobą brudne przemysłowe zabudowania i zaniedbany plac, ale skoro Paul twierdził, że to oaza sztuki, pewnie tak było. Zamknęła samochód, sprawdziła adres na kartce i zaczęła się rozglądać za galerią Ellingham Knight.

Znalazła ją bez trudu. Zobaczyła tłum młodych, przystojnych osób na schodach dużego białego budynku. Wszyscy byli ubrani na czarno. Minęła parę od stóp do głów ubraną w plisowanki Issey Miyake. Szukając wzrokiem Paula, pomyślała, że jak na bandę splukanych, niemających pracy ludzi byli zupełnie nieźle ubrani. Niemal natychmiast go zobaczyła. Stał obok ogromnego białego płótna z jedną - tylko jedną - czarną kreską narysowaną poniżej środka. W obu rękach trzymał kieliszki z winem i mówił coś do grupy ludzi, którzy spijali z jego ust każde słowo. Nawet mężczyźni.

- Paul. - Nathalie ucałowała go trzy razy, tak jak to robili wszyscy artyści. Z uznaniem w oczach obejrzał ją od góry do dołu i przedstawił grupie słuchaczy. Nie zapamiętała żadnego nazwiska. W zielonym spodniemie rzuciła się w oczy w tłumie żałobników.

- Wyglądasz bardzo apetycznie - szepnął jej do ucha. Zarumieniła się. Była twarda i nieustępliwa, ale w sprawach, a nawet tylko przy aluzjach związanych z seksem czuła się zakłopotana. Wzięła od kelnera kieliszek białego wina i starała się śledzić rozmowę Paula z grupką wybranych kolegów artystów. Nie była w stanie. Sądząc z wyrazu twarzy słuchaczy, wypowiadał on myśli ważne i głębokie. Wiedziała, że uwielbiał publiczność.

- Naturalnie - perorował - chodzi tu o poszukiwanie sensu istnienia... - Kilka osób ze zrozumieniem pokiwało głowami. Paul ciągnął dalej. - Tak, najboleśniejsza strata... strząśnięcie z siebie, jakby można było...

Słowa płynęły gdzieś ponad głową. Bardzo starała się okazać zainteresowanie, zrozumieć, w czym rzecz, ale przecież... naprawdę w rzeczywistości wszystko to było jedną wielką bzdurą. Uważała, że na niepotrzebnie aż tak wielkim i śmiesznie drogim płótnie nic nie ma. Jest po prostu puste. Jakim cudem zielona kreska na środku szarego planu o powierzchni pięciu metrów kwadratowych ma symbolizować poszukiwanie sensu istnienia? Upiła łyk wina.

Paul wziął dziewczynę za rękę i prowadził od grupki do grupki, aż - niemal podskakując z podekscytowania - przedstawił ją Josefowi, artyście, który miał w swoim dorobku już kilka „znakomitych” prac. Josef zmierzył Nathalie wzrokiem od stóp do głów: protekcyjnie i krytycznie - oceniła. Oczy chwilę dłużej zatrzymał na pantoflach. Zdawało się, że chce powiedzieć: są źle dobrane. Miała ochotę wysunąć stopę i go kopnąć.

- Jest nimi zachwycona - mówił Paul, prowadząc Nathalie i Josefa przez salę.

Zatrzymali się przed jedną z jego „prac”.

Dziewczyna z powątpiewaniem popatrzyła na płótno. Było puste, zupełnie czyste.

- Właśnie mówiła, że będzie się wspaniale prezentować w jednym z jej sklepów powiedział Paul, odwracając się do Josefa.

Nathalie przeszła go ostrym spojrzeniem. Niczego takiego nie mówiła. O co tu chodziło? Zerknęła na fiszkę z ceną: trzy tysiące pięćset funtów. Za coś takiego? Za kogo ją miał? Uśmiechnęła się do siebie.

- Właściwie nie, ten bardziej mi się podoba. - Wskazała na ogromne białe płótno z pojedynczym czarnym paskiem. Pięć tysięcy. Obaj mężczyźni nie odrywali od niej wzroku. Przeszła do kolejnego obrazu. Siedem tysięcy. - A może ten? - Josef i Paul nie posiadali się z radości. Zatrzymała się przed wielgachnym czerwonym płótnem. Dziesięć tysięcy. - Chociaż...

- Na twarzy Paula malowały się duma, chciwość i pożądanie... bawiła się świetnie. Wróciła do pierwszego obrazu. - Naprawdę nie wiem. Wszystkie są niezwykle. Zastanowię się. Muszę pomyśleć, gdzie je powiesić.

- Je? Z rozbawieniem obserwowała, jak Josef zmienia o niej zdanie.

- Masz nie tylko ładną buzię - szepnął Paul Nathalie do ucha, kiedy szli przez salę.

- Czy jest tutaj toaleta? - zapytała, jednym haustem wychylając wino.

- Na końcu korytarza, po lewej stronie.

Prawie doszła do drzwi toalety, ciągle trzymając pusty kieliszek w rękę, kiedy nagle stanęła jak wryta. Przed dziwną rzeźbą, odwrócony do niej plecami, stał mężczyzna. Zamrużyła powiekami. O Boże. Och, nie. Proszę, nie, to nie mógł być... właśnie kiedy wszystko zaczęło się dobrze układać. Wpatrywała się w plecy mężczyzny. To był on. Nie myliła się. Ten sam wzrost, te same ciemne, kręcone włosy, te same szerokie ramiona. Krew odpłynęła jej z twarzy. Nogi wrosły w ziemię. Mężczyzna powoli się odwrócił.

- Sasza. - Upuszczony kieliszek roztrzaskał się na podłodze.

- Nathalie. - Nie uśmiechnął się.

Podbiegł kelner i zaczął zbierać rozbite szkło. Usłyszała gdzieś w oddali spuszczaną wodę, szum strumienia i po chwili otworzyły się drzwi. Z toalety wyszła szczupła, młoda kobieta. Wycierała ręce papierowym ręcznikiem. Podeszła do Saszy i objęła go ramieniem w pasie. Młody mężczyzna ciągle stał bez ruchu.

- Ja... O Boże, tak mi przykro - przeprosiła Nathalie i zaczęła pomagać kelnerowi. Najbardziej pragnęła uciec z galerii.

- Siena - odezwał się Sasza w końcu. Ramieniem objął młodą kobietę. - Pozwól, że ci przedstawię. Nathalie Maréchal... Siena Ellingham.

- Nilam, kochanie - poprawiła go młoda kobieta. Nathalie uśmiechnęła się blado.

Siena Ellingham-Nilam odwzajemniła uśmiech. - Dzień dobry - powiedziała i podała jej omdlewającą dłoń. Typowo angielskie zachowanie.

- Cześć - drewnianym głosem powitała ją Nathalie. I cisza. Wszyscy troje patrzyli po' sobie.

- Co cię tu sprowadza? - przerwał milczenie Sasza.

- Mnie? Właściwie nie interesuję się sztuką. Tylko mój chłopak... jest artystą - drżącym głosem wyjaśniła Nathalie. Rozejrzała się za Paulem, ale nigdzie go nie było. Z powrotem odwróciła się do Saszy i Sieny. Gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. - A wy? - zapytała. - Znacie środowisko artystyczne?

- Siena jest współwłaścicielką - odpowiedział Sasza za żonę - Ellingham Knight.

Twarz Nathalie nie zmieniła wyrazu, mina pozostała obojętna. - Taką nazwę nosi ta galeria. - Skinęła głową. Oczywiście. Znowu zapadła cisza.

Nathalie ponownie rozejrzała się dookoła. Gdzie, do diabła, był Paul? Musi stąd natychmiast wyjść.

- Bardzo było mi miło cię poznać - powiedziała. - i ciebie... to znaczy cię spotkać - jękając, zwróciła się do Saszy. - Ja... mój chłopak... musimy już iść... - Podała rękę Sienie i wyciągnęła dłoń do Saszy. Kiedy ją ujął, całe ciało przeszył prąd. Wyrwała rękę i omal nie przewróciła rzeźby, tak się spieszyła z odejściem.

Znalazła Paula. Ciągle rozprawiał o sztuce. Przez ramię krzyknęła, że musi wyjść.

Zapomniała o czymś, później zadzwoni. Zbiegła po schodach, chciała przebiec przez ulicę i wpadła motocykliście prosto pod koła.

- Nat... Nathalie... Nat... Słyszysz mnie? - Nathalie słyszała, jakby ktoś wołał ją z bardzo daleka. Starła się skupić wzrok na twarzy, która majaczyła jej przed oczami. Paul przyglądał się jej z niepokojem. Leżała na ziemi, otoczona grupą ludzi.

Próbowała usiąść, czuła pulsujący ból w skroniach i tępy prawej ręki.

- Nie wstawaj, kochanie - powstrzymał ją Paul. - Poleż chwilę. Czy gdzieś cię boli? Nathalie skinęła głową. Co się, u diabła, stało? Jak przez mgłę przypomniała sobie motocyklistę, błysk żółtego światła i rozbijający się motor. Musiał w nią uderzyć.

- Trzeba wezwać karetkę - oświadczył Paul, zwracając się do zgromadzonych gapiów. - Sam odwiózłbym ją do szpitala, ale za dużo wypięm. Czy ktoś mógłby zadzwonić po karetkę?

- Czy bardzo z nią źle? - chwilę później zapytał jeden z pracowników galerii. Powiedzieli, że mogą tu być najwcześniej za pół godziny! Paul zaklął.

- Ja ją odwiozę - dotarł do niej głos Saszy.

- Naprawdę? - Słyszała wdzięczność w retorycznym pytaniu Paula.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować: w żadnym wypadku nie pojedzie do szpitala z Saszą. Spróbowała się podnieść, ale znowu zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Kiedy się ocknęła, ktoś niósł ją w kierunku czarnego samochodu. Głowę wspierała o tors Saszy. Posadził ją na miejscu dla pasażera i przypiął pasami. Zaaferowany Paul kręcił się obok.

- Niedługo wrócę - zwrócił się Sasza do Sieny i Paula. Wsiadł i uruchomił silnik.

- Zawiozę ją do Kliniki Uniwersyteckiej i stamtąd do was zadzwonię.

- Dzięki, chłopie. - Paul uderzył dłonią w dach samochodu. - Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny. Nie ma za co. - Sasza ruszył od krawężnika. Nathalie zacisnęła powieki. Kilka minut jechali w milczeniu. Bardzo mi przykro - zaczęła. - Sprawiałam

tyle kłopotów.

- Nie masz za co przepraszać - spokojnie odparł Sasza. - Nadal cię boli? Nathalie czuła rozdzierający ból w głowie i w nadgarstku.

- Leż spokojnie, za chwilę będziemy na miejscu. Zamknęła oczy.

Godzinę później wyszła z ostrego dyżuru Kliniki Uniwersyteckiej z zabandażowanym nadgarstkiem i - dzięki silnym analgetykom - nieco mniejszym bólem głowy.

- Miałaś szczęście - pogodnie oświadczył młodszy lekarz. - Żadnych złamań, nie trzeba było zakładać szwów, tylko skręcony nadgarstek i ból głowy. Chciałbym, żeby wszyscy moi pacjenci mieli tylko takie kłopoty. To ci się przyda. - Wręczył Saszy małą buteleczkę z tabletkami. - Pomogą przespać najgorsze. Do widzenia.

- Powinnaś pojechać do domu - powiedział Sasza, chowając proszki do kieszeni i odwracając się do młodej kobiety. - Odwiozę cię, a potem wrócę do galerii. Jak się nazywa twój chłopak?

- Paul - słabym głosem odpowiedziała Nathalie. Bardzo chciała się położyć.

- Pewnie już wytrzeźwiał. Będzie mógł przyprowadzić twój samochód.

Sasza pomógł jej przy wyjściu. Ujął za łokieć i znowu poczuła przeszywający ciało prąd. Poczekała, aż podjedzie samochodem, potem pomógł jej wsiąść. Podała adres i zanim dojechali, prawie zasnęła.

- Poradzę sobie, Sasza - powiedziała, z trudem wysiadając z auta. - Nie musisz mnie odprowadzać, naprawdę. - Pragnęła zwinąć się w kłębek na łóżku i wymazać z pamięci ten dzień.

- Daj klucze - zarządził. Zdawał się nie słyszeć jej protestów. Posłusznie mu je podała i kuśtykając, pokonała frontowe schody. Miała nadzieję, że Gloria, sprzątaczką, przyszła w ciągu dnia. Tak, była. Kiedy znalazła się w swoim zacisznym, przytulnym mieszkaniu, oczy zaszyły jej łzami. Podskakując i kulejąc, weszła do przestronnego wnętrza z bielonymi deskami na podłodze, srebrnoszarymi ścianami i szarobrązowymi dywanami. Czuła za sobą obecność Saszy, kiedy wdrapywała się na półpiętro, a potem po jeszcze kilku stopniach do sypialni.

- Przebierz się - polecił. Zaciągnął ciężkie kotary z adamaszku. - Przyniosę wodę, żebyś mogła wziąć tabletki. - Wyjął z kieszeni buteleczkę. Skinęła głową, była zbyt zmęczona, aby zdobyć się na odpowiedź.

Lewą ręką nieporadnie otworzyła szufladę i wyjęła jedwabną piżamę. Słyszała oddalające się kroki Saszy. Tak szybko, jak tylko mogła z zabandażowaną ręką, zdjęła z siebie ubranie. Mocowała się z guzikami góry od piżamy, kiedy wrócił do sypialni.

- Już.

Postawił szklanę, szybko skończył zapinać guziki piżamy i podprowadził ją do wielkiego, zabytkowego łóża. Posłusznie wysunęła język, Sasza podał jej dwie tabletki. Poczowała się dziwnie, kiedy dotknął go .palcami. Siłą stłumiła w sobie chęć

popieszczenia językiem ich opuszków. Podsunął jej do ust szklanek wody, żeby mogła połknąć proszki, potem pomógł się położyć, przykrył i poprawił poduszkę. Przez chwilę leżała cichutko i spod przymkniętych powiek obserwowała go w mroku pokoju.

- Sasza - wymamrotała półprzytomnie. Chciała mu podziękować za opiekę. Zajął się nią, chociaż robił to z rezerwą.

- Sza. Śpij - powiedział stanowczym tonem. Tabletki zaczynały działać, po kilku minutach zapadła w sen.

Nathalie wygięła ciało w łuk, zmysłowe podniecenie obezwładniało ją coraz bardziej. Cudowna rozkosz przebijała się przez sen i mgliste marzenia erotyczne. Sutki płonęły, ktoś je pieścił. Jęknęła z rozkoszy i odwróciła się. Przywarła brzuchem do prześcieradła i wykręciła palce stóp. Cudowne uczucie. Czuła, jak coś miękkiego, gorącego i wilgotnego muska ją, między łopatkami, delikatnie szczypie skórę. Uniosła ręce nad głowę i ścisnęła poduszkę, wilgotne głaskanie przesunęło się coraz bardziej w dół. Delikatnie, powoli została przewrócona na plecy...

Pieszczota trwała dalej, leciutkie muśnięcia drażniły brzuch, potem przesunęły się poniżej talii i jeszcze niżej, i niżej. Znowu wygięła się w łuk, czuła, że ktoś zdejmuje z niej spodnie od pizamy, i uniosła biodra w radosnym oczekiwaniu. Całe ciało płonęło, ciepła wilgoć pieściła między nogami i dotarła tam... Dotknęła dokładnie tam. Jęknęła, szerzej rozsunęła nogi, dłońmi ścisnęła prześcieradło. Pieszczota trwała - czuła, coraz bardziej podniecająca. Ręka wysunęła się w górę, delikatnie pocierała brodawki - najpierw jedną potem drugą. Zaczęła poruszać biodrami, kiedy sondująca wilgoć, gorąca i twarda, zagłębiała się w nią coraz bardziej. Prawie natychmiast osiągnęła orgazm. Zacisnęła uda na natręcie i drżała, gdy fale rozkoszy zalewały całe ciało.

- Sasza - jęknęła cicho. - Sasza. Nie przestawał jej pieścić, muskał biodra, pośladki i tylną stronę ud. Teraz gładził delikatniej, drażnił wrażliwą skórę. W półśnie uśmiechnęła się z rozmarzeniem, przewróciła na wznak i rozluźniła zaciśnięte pięści. Znowu zapadła w sen. Z jego oddechem na twarzy słodko zasnęła. Oddychała coraz spokojniej, napięcie w brodawkach łagodniało, wilgoć między nogami przestawała parzyć. Spała.

Sasza spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Nic. Ciemne oczy wpatrywały się w niego pustym wzrokiem. Na wargach miał jeszcze smak Nathalie. Pochylił się nad umywalką i odkręcił kran. Lodowatą wodą spryskał twarz i usta. Ciało miał nabrzmiące z pożądania. Głęboko odetchnął, przejechał chłodnym ręcznikiem po karku i wyprostował się, ciągle przyglądając się niememu odbiciu. Zakręcił kran i otworzył drzwi. Nathalie twardo spała. Już nie była zwinięta w ulubioną pozycję embrionu; leżała na łóżku rozciągnięta jak długa. W nogach łóżka leżała zwinięta pizama, którą ściągnął z niej zębami. Wziął marynarkę i wyszedł.

Nathalie otworzyła oczy. Leżała bez ruchu, zastanawiając się, gdzie jest i dlaczego leży w łóżku. W sypialni panował mrok. Nagle przypomniała sobie wydarzenia dnia:

galeria, wypadek, szpital... Sasza. Pamiętała coś... Wróciły wspomnienia. Rozejrzała się po pokoju. Nie było nikogo. Czyżby to wszystko tylko jej się śniło? Pamiętała, że go czuła... Usiadła. Była do połowy ubrana. Zmięty dół piżamy leżał w nogach łóżka. W głowie czuła zamęt. Zabandażowana ręka już nie rwała, ale głowa nadal ją bolała. - Spuściła nogi z łóżka i ostrożnie wstała. Gdzie jest Paul? Poszła do łazienki, jedną ręką opłukała twarz i otworzyła apteczkę nad umywalką. Szukała aspiryny. Znalazła opakowanie, niezdarnie je rozdarła i zębami wyjęła dwie tabletki. Pochyliła się, zwinęła w miseczkę zdrową dłoń i przełknęła duży łyk wody. Spojrzała na mały srebrny zegarek, który trzymała na półeczce w łazience. Było piętnaście po dziesiątej. Ze szpitala musiała wyjść około trzeciej trzydzieści... Czyżby przespała sześć godzin? Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze: blada twarz, rozmazany tusz pod oczami, zmierzwiłone włosy. Wyglądała na zmęczoną. Marzyła o filiżance herbaty.

Siedziała skulona na kanapie w salonie na dole, popijała gorącą herbatę rumiankową i zastanawiała się, gdzie, u diabła, podziewał się Paul z jej samochodem. Dopiero wtedy zauważyła białą wizytówkę. Leżała na brzegu orzechowego stolica do kawy. Leniwie po nią sięgnęła. Przeczytała: „Sasza Nilam. Dyplomowany księgowy”. Dalej były dwa numery telefonów i adres biura. Opuściła głowę na oparcie kanapy. Więc jednak tutaj był. I z jakiegoś powodu zostawił wizytówkę. Rano do niego zatelefonuje.

Rozmyślenia przerwało głośnie pukanie do drzwi. Przyjechał Paul. Wytrzeźwiał na tyle, żeby móc odprowadzić jej samochód. Wpuściła go do środka i pozwoliła mu sobie nadskakiwać, ale myślami błądziła gdzie indziej. Zastanawiała się nad jutrzejszym dniem.

- Halo, czy mogę rozmawiać z Saszą Nilamem? - Nathalie miała sucho w gardle. Było pół do jedenastej rano. Miała nadzieję, że nie dzwoni zbyt wcześnie.

- Przy telefonie. '

- Cześć, Sasza, mówi Nathalie. Chciałam ci podziękować za odwiezienie mnie do szpitala i w ogóle. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. - Głos miał ciepły, pełen słodyczy. - Lepiej się czujesz?

- O tak, znacznie lepiej. Rękę mam jeszcze zabandażowaną, ale to nic wielkiego, naprawdę. Bardzo ci dziękuję za pomoc - mówiła odrobinę zakłopotana. - Może mogłabym zaprosić cię na lunch i w ten sposób jakoś się zrewanżować.

- Jasne. Kiedy?

- Och! - Prosta odpowiedź ją zaskoczyła. - Czekał, może w przyszłym tygodniu? W poniedziałek?

- Dobrze.

- To ja... skontaktuję się z tobą w poniedziałek rano. Możemy wyskoczyć gdzieś niedaleko twojego biura.

- Jasne - powiedział niezobowiązująco.

- OK. Świetnie. To do zobaczenia w poniedziałek.

Nathalie nie kryła podekscytowania. Nigdy nie potrafiła wyczuć Saszy. Czasami był odległy, obcy, innym razem wręcz odwrotnie. Może się zmienił. Oboje byli bardziej dojrzały. Sasza się ożenił. Wykrzywiła twarz. Tak, jeżeli nie wspomni o Sienie, ona również tego nie zrobi. Zaczęła się zastanawiać, w co się ubierze.

W następny poniedziałek o pierwszej czekała przed siedzibą firmy Coopers Lyall Dearborn. Zobaczyła go, kiedy wychodził obrotowymi drzwiami, i serce zaczęło jej szybciej bić. Ubrany był w granatowy garnitur, białą koszulę i elegancki, wyglądający na drogi, krawat. Włosy miał zaczesane do tyłu, na nosie okulary w złotych oprawkach. Garnitur był typowym uniformem dżentelmena z City, jednak nie mógł ukryć silnej, atletycznej budowy ciała Saszy. Widziała, jak pod nogawkami spodni pracują mięśnie ud, kiedy zbiegał po schodach w kierunku jej samochodu.

- Widzę, że odzyskałaś wóz w nienaruszonym stanie - zażartował. Dzień był wietrzny, Nathalie postawiła dach. Na szczęście samochód miał automatyczną skrzynię biegów i mogła go swobodnie prowadzić nawet z zabandażowaną ręką.

- Tak... Jest... Ja... Na szczęście. - Już była podenerwowana, już traciła głowę. Siedząc obok Saszy, nie chciała myśleć o Paulu.

- A więc dokąd mnie zabierasz? - Odwrócił się i popatrzył na młodą kobietę. Miała na głowie apaszkę, a na nosie ulubione okulary słoneczne. Chociaż nic nie powiedział, po sposobie, w jaki przymrużył oczy, wiedziała, że mu się podoba.

- Jest taki ładny dzień, pomyślałam więc, że moglibyśmy pojechać za miasto. To niedaleko.

- Brzmi nieźle.

Włączyła się do ruchu i wyjeżdżając z City, skierowała się na wschód. Po czterdziestu minutach stali na niewielkim parkingu w malusieńkiej wiosce hrabstwa Essex w pobliżu Braintree. Kilka miesięcy temu Nathalie była tutaj z Paulem. Bardzo jej się spodobała leżąca nieco na uboczu, rodzinna restauracyjka z wzorcowym angielskim ogrodem i domowym jedzeniem.

- Bardzo tu ładnie - pochwalił Sasza, kiedy wysiadali z samochodu. Była wiosna, pąki właśnie się otwierały. Zjedli lunch na patio przy akompaniamencie dochodzących z oddali porykiwań i poszczekiwań zwierząt domowych. W lokalu była jeszcze tylko czwórka gości. Dla przypadkowego widza stanowili zwyczajną, chociaż bardzo piękną parę. On troszkę się z nią przekomarzał, ona flirtowała.

Nathalie wypila dwa kieliszki wina - w jej przypadku rzecz niezwykła. Popołudnie jednak było absolutnie wyjątkowe: zza chmur wyszło słońce, „porwała” Saszę na lunch. Już z tych powodów czuła się oszołomiona.

- Ile masz czasu? - zapytała. Nie patrzyła na zegarek, ale musieli wyjechać już ze dwie godziny temu. Wziął sobie wolne popołudnie - oświadczył krótko. -

Czułem, że to nie będzie krótkie spotkanie - odstawił kieliszek. - Ty zapewne też. Nic nie powiedziała. Wino i zalotna rozmowa z Saszą spowodowały, że policzki miała zarumienione. Przed oczami majaczyła jej wizja tego, co jak przypuszczała,

zaszło między nimi w ubiegłym tygodniu. Szumiało jej w głowie.

- Sasza, ja...

- Wiesz co? Za dużo mówisz - przerwał. - Chyba już ci to mówiłem. Policzki Nathalie płonęły. Rzeczywiście, mówił. I jeśli dobrze pamiętała, to stwierdzenie stanowiło wstęp do czegoś zupełnie innego, co nie wymagało słów. Czyżby to było zaproszenie? Chodź ze mną.

Podniósł się i poszedł w kierunku toalet. W pobliżu nie było nikogo. Otworzył drzwi oznaczone kółkiem i skinął na nią. Chichocząc, weszła do środka. Przekręcił zamek w drzwiach i pocałował ją namiętnie, niemal brutalnie, zachłannie. Oddała pocałunek równie pożądlwie, zdrową rękę wsunęła mu we włosy, rozchyliła nogi przed jego napierającym kolanem. Objął ją w talii, bez trudu podniósł i posadził na brzegu umywalki twarzą do siebie. Nogami objęła go w pasie. Podsunął do góry spódniczkę i odsunął na bok krok majteczek. Język wsuwał między wargi, palce między uda. Czuła, że zdejmuje marynarkę, rozpina pasek, potem spodnie i już był w niej, uderzał mocno, gwałtownie, aż odchyliła głowę w tył, a on zachłannymi pocałunkami obsypywał szyję kochanki. Prawie natychmiast osiągnęła orgazm, przyciągnęła go do siebie, w głowie jej szumiało, ręka bolała.

- Nathalie... Nathalie... - jęknął i wbił się w nią z całej siły. Czuła jego narastające podniecenie, aż w końcu z chrapliwym okrzykiem wybuchnął. Nathalie uderzyła głową w lustro tak mocno, że tylko cudem nie pękło. Przytuleni do siebie, drżeli i pieścili się w milczeniu. Po chwili odsunął się od niej, zsunęła się na ziemię.

Zapanowała niezręczna cisza.

- Zaczekaj kilka minut - zarządził, utykając koszulę w spodniach. - Przejdę do męskiej toalety - powiedział i ostrożnie wyszedł.

Nathalie przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Na policzku miała czerwoną plamę. Ślad po kciuku Saszy, który wciskał jej do ust przy pieprzeniu. Nie kochał się z nią. Pieprzył. Tak, to właściwe określenie. Oparła głowę o lustro. Co robiła? Na co się zgadzała?

## 50

Z obojętnego wyrazu twarzy rozmówczyń Rianne wnioskowała, że Ross i Gina nie są aż tak „zadowolone” z jej powrotu, jak być powinny, albo przynajmniej porozumiały się telefonicznie przed spotkaniem. Siedziała na niewygodnym stołku przy barze w modnej restauracji TriBeCa Grill i próbowała odgadnąć, co kryje się pod zdawkową, uprzejmą rozmową. Obcięła włosy; Ross się to nie podobało. Schudła; Ginie się to nie podobało. Rzuciła palenie; Riithowi się to nie podobało. Bardzo się tym wszystkim denerwowała. Czuła, jakby od kilku miesięcy starała się zmienić, żeby sprostać oczekiwaniom innych, i była już tym zmęczona.

- Słucham - odwróciła się do Ross. Nie słyszała, co agentka powiedziała.



- Włosy. Kto cię tak urządził?
- Co za różnica? Nie podobają ci się?
- Nie. Nie jest ci dobrze w tym kolorze - stwierdziła bez osłonek. Rianne westchnęła. Jak miała im wyjaśnić, iż zmieniła kolor włosów, żeby łatwiej i bezpieczniej móc się spotykać z Riithem? Albo że z tak wielkim niepokojem czekała na jego telefon, iż straciła poczucie czasu i apetyt.
- Chciałam wyglądać inaczej. To wszystko. Nie zmieniałam fryzury, odkąd skończyłam trzynaście lat.
- Wróć do starego uczesania.

Dziewczyna ponownie westchnęła. Prawie zapomniała, jak bardzo nienawidziła tego aspektu swojej pracy. Całe to tkwienie na miejscu i czekanie, żeby cię ocenili, szturchali, kłuli, szczypali, modelowali. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, nie podobał jej się sposób, w jaki zarabiała na życie. Wieczne czekanie i maszerowanie w tę i z powrotem po wybiegu za ohydnie ogromne pieniądze. Próbowwała powiedzieć Riithowi, co czuje. Zapewniała go gorąco, iż nie chodziło o to, że odezwało się w niej sumienie. Było jej wstyd, że w porównaniu z nim jej kosztowne wykształcenie na nic się nie zdało. Dokonywała złych wyborów, nie miała wielkich możliwości.

- Rianne, nie jesteś głupia. Naprawdę. Dokonujesz niewłaściwych wyborów, bo za taką się uważasz. Ale nie masz racji.

Nie rozumiała go. Frustracja, którą wyczuwała w Riicie, nie była skierowana przeciwko niej, ale z nią się wiązała. Zdawał się mówić: Musisz lepiej wybierać. Już dokonałaś przynajmniej jednego właściwego wyboru. Uśmiechnęła się. Spozrzegła, że Ross i Gina wymieniają spojrzenia. Podniosła kieliszek. A niech tam. Wszystko jedno, jej na tym nie zależy. Na pewno tego nie rozumieją, ale nigdy jej nie zależało.

Riitho ponownie spojrzął na dokumenty. Zdjął okulary i podrapał się w nos. Zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Siedział przy biurku od dziewiątej rano. Znowu podniósł papiery. Projekt niedawno przyszedł do biura, a Jean Neumann od razu położył go na biurku Riitha. Muzeum Narodowe Senegalu. Było to przedsięwzięcie znacznie większe od tych, z którymi miał dotychczas do czynienia, wiedział jednak, dlaczego Jean powierzył je właśnie jemu: miał szansę udowodnić, że umie zrobić coś, czego inni nie potrafią.

Był zmęczony, mimo to ścisnęło go w dołku z podekscytowania. Trafiła się okazja, na jaką czekał. Chciał się podzielić nowiną z Rianne. Nie pamiętał, gdzie teraz była: w Londynie czy w Nowym Jorku? Wiedział, że ma kłopoty w agencji Face!. Agentka przysyłała jej nieodpowiednie propozycje: dziewczyna przyjeżdżała na spotkanie i odsyłano ją z powrotem. Usprawiedliwiali się, mówiąc, iż szukali trochę innej twarzy, że miała zbyt mało tego albo zbyt dużo owego. Nie mogła tego zrozumieć. Traciła urodę? Riitho, jak mógł, starał się ją uspokoić. Nie, oczywiście, że nie. Wciąż jest piękna. Ale moda zawsze była dziedziną chimeryczną. Dzisiejszy

wizerunek odchodził w przeszłość w momencie, w którym się pojawił. Mądrzy ludzie wykorzystywali swoją szansę i w odpowiednim czasie znikali ze sceny. Zaczynali zajmować się czymś innym.

- Na przykład czym? - złościła się dziewczyna, ale w tonie jej głosu pobrzmiwała odrobina lęku.

- Nie wiem. Musisz znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, Rianne. To wiecznie nie będzie trwać.

Miał świadomość, że jemu łatwo było tak mówić. Zawsze wiedział, dokąd zmierza. U niego sytuacja wyglądała zupełnie inaczej: kierunek był zbyt skonkretyzowany, koncentracja uwagi zbyt jednoznaczna. Czasami się nad tym zastanawiała: pod skorupą wszystkich oczekiwań, jakie żywiono wobec niego, musiało być coś, co sam chciałby robić, czego by pragnął tylko dla siebie. Jeżeli nawet tak było, nigdy o tym nie mówił. Zdawał się uwielbiać to, co robił z pasją, która zatykała jej dech w piersiach. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale mu zazdrościła. Tak, zazdrościła mu wyborów, jakich dokonał.

Zamknął teczkę z dokumentami i wziął marynarkę. Postanowił spróbować do niej zadzwonić z budki na rogu. Podszedł do okna, rozchylił żaluzje i wyjrzał na ulicę. Nikogo nie było.

- *Bonne nuit!* - krzyknął do dwóch studentów ostatniego roku, którzy odbywali w pracowni praktykę *en charette*. Wykonywali niewolniczą pracę: zatrudniono ich ze względu na wysokie kwalifikacje, zaharowywali się na śmierć za psie pieniądze, ale zdobywali ogromne „doświadczenie”. Na szczęście możliwość współpracy z boskim Neumannem była dostatecznie kusząca, żeby zagwarantować pracowni stały dopływ praktykantów.

Schodząc po schodach, Riitho uśmiechał się do siebie. Jeszcze nie tak dawno sam był praktykantem. Sprawdził sytuację na ulicy. Nadal pusto. Wślizgnął się do budki telefonicznej i wykręcił numer. W pustym mieszkaniu, którego nigdy nie widział, telefon dzwonił i dzwonił. Westchnął i odwiesił słuchawkę. Chociaż nauczył się radzić sobie z sytuacją, w jakiej funkcjonował związek z Rianne, nie było mu łatwo. Poszedł do samochodu.

Kiedy ruszał, zobaczył znajome światła auta dwóch tajnych agentów. Więc jednak go obserwowali.

## 51

Od chwili przekroczenia progu pustego apartamentu Gabby wiedziała, że chce tu mieszkać.

- Biorę. - Uśmiechnęła się do agentki nieruchomości, z którą przyszła.

- Wspaniale! - Młoda kobieta zatrzasnęła teczkę. - Będzie tu pani bardzo dobrze. Dziewczyna skinęła głową. W ciągu tygodnia obejrzała więcej mieszkań, niż

widziała w całym swoim dotychczasowym życiu. To leżało sporo dalej, około godziny metrem do biura przy ulicy Czterdziestej Drugiej, ale bardzo jej się podobało. Położone było w pobliżu cudownie zadrzewionego klasztoru w rejonie Washington Heights. Już kiedy podjeżdżały, poczuła się jak w domu. Zatrzymały się przed dużym, wielomieszkaniowym budynkiem z przełomu wieków, z wewnętrznym dziedzińcem i cudownym, zniszczonym ogromnym holem wejściowym. Czynnosc był niesłychanie wysoki, wynosił prawie połowę jej pensji. Wszyscy z ONZ ją ostrzegali, że Nowy Jork to wprawdzie wspaniałe miejsce do pracy, ale i bardzo wysokie koszty utrzymania.

- Co teraz robimy? - zapytała. W Ameryce sprawy załatwiało się inaczej. Wszystko było bardziej sformalizowane.

- Wracamy do biura i przygotowujemy dokumenty. Dasz mi czek i podasz numer ubezpieczenia społecznego. Wszystko załatwimy. Potem wręczę ci klucze, złapiesz taksówkę i się wprowadzisz!

Gabby jeszcze raz przeszła się po wysokim apartamencie. Jedna jego część znajdowała się nieco wyżej niż druga, były dwie sypialnie, parkiet na podłodze i przepiękny widok z okien od tyłu na wąwóz, od którego okolica wzięła nazwę. Był czerwiec, ale już dokuczał upał. Z przyjemnością czuła na sobie powiew powietrza krążącego po pustych pokojach. Będzie musiała kupić jakieś sprzęty; poza kuchenką, lodówką i kilkoma półkami w mieszkaniu nic nie było. Może w okolicy jest jakiś sklep z używanymi meblami. Tak, tak, kiwała głową agentka nieruchomości.

Obiecała podać Gabby adresy.

Tydzień później zachwycona Gabby oparła się o poduszki kanapy. Apartament został urządzony, i to stosunkowo tanim kosztem. - Salon był w kolorze ciemnej zieleni - myśliwskiej zieleni, jak ją określił ekspedient w sklepie - z białymi listwami i sufitem. W sklepie z tanimi meblami na tej samej ulicy udało jej się kupić dużą niebieską kanapę, stół i cztery krzesła, stary, pokryty skórą fotel, łóżko, biurko oraz kilka lamp. Sprzedawcy prawie nie mówili po angielsku, Gabby słabo знаła hiszpański, ale jakoś się dogadali.

Washington Heights, niegdyś bogatą żydowską dzielnicę, powoli pochłaniał hiszpański Harlem. Lekarze, psychiatrzy, pracownicy naukowci, bez względu na to, jak bardzo liberalne mieli poglądy, jeden po drugim wyprowadzali się z tej dzielnicy, a na ich miejsce napływali Dominikańczycy i Portorykańczycy. Tam, gdzie kiedyś były pralnie chemiczne i koszerne piekarnie, obecnie mieściły się małe sklepiki, w których sprzedawano *arroz*, *timbales* i *café con leche*. Cudownie.

Miejsce to przypominało jej Londyn. Wstała, przeszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy; w Stanach nikt nie miał w domu elektrycznego czajnika. Wyjrzała przez okno. To był jej pierwszy sobotni poranek w nowym mieszkaniu. Nalała kawę i wróciła do salonu. Stopy oparła o stół i obrzuciła spojrzeniem czekającą na przejrzenie stertę sprawozdań. Nie mogła uwierzyć, że jest tutaj, że zajmuje się właśnie tym, że tak bardzo zmieniło się całe jej życie. To był niesamowity rok.

Zaczął się źle już na noworocznym przyjęciu. Gabby, Dominie i grono jego przyjaciół pojechali do Edynburga na sylwestra. Ktoś z tej grupy miał w Szkocji dalekiego krewnego, dlatego uznano, że Nowy Rok najlepiej przywitać w Edynburgu. Gabby nie chciała jechać; Jenny, Marwan i jeszcze kilku innych znajomych z Komitetu Praw Człowieka wybierało się na parę dni do Paryża i miała wielką ochotę się do nich przyłączyć. Nie chciała jednak ryzykować niezręcznych sytuacji, a zarówno Jennie, jak i Marwan zabierali z sobą swoich partnerów, tymczasem Dominie wytrzymałaby w ich towarzystwie najwyżej godzinę. Przynajmniej on nie musiał się martwić, czy dziewczyna będzie się dobrze czuła w gronie jego znajomych. Gabby w każdym towarzystwie dobrze się czuła. Kolegom z pracy odmówiła z żalem, usprawiedliwiając się wcześniejszymi zobowiązaniami; rodzice Dominica...

Podróż do Edynburga przebiegła zupełnie nieźle. Gabby, Dominie i Giles pożyczyli samochód matki tego ostatniego i wyruszyli wczesnym rankiem. Dziewczyna była milcząca, myślała o kolegach z pracy, którzy promem, a potem pociągiem podróżowali do Paryża. Sama tylko raz była w stolicy Francji na wycieczce szkolnej. Rianne również miała w tym czasie przylecieć do Paryża, chociaż nie chciała zdradzić sylwestrowych planów. Gabby zastanawiała się, czy przyjaciółka przypadkiem nie poznała kogoś nowego. Zaskoczyło ją rozstanie koleżanki z Olivierem, tym bardziej że zerwała z nim dość nagle i zupełnie niespodziewanie. Od tego czasu minął prawie rok. Co drugi tydzień ukazywały się w prasie fotografie Rianne wychodzącej z restauracji, idącej do teatru, robiącej, co tam robią znakomicie zarabiające modelki, ale nigdy przy niej nikogo nie było. Chciałaby spotkać się z Rianne i przedstawić ją kolegom. Wiedzieli, że jest jej przyjaciółką, w pracy żartowano na ten temat. Poważna, bardzo zaangażowana politycznie Gabby okazała się przyjaciółką Rianne de Zoete, osoby najmniej zainteresowanej polityką rządu swojego kraju.

- Gabby, nie słuchasz. - Dominie odwrócił się do tyłu. Siedziała na tylnej kanapie i w porannym świetle przez okno oglądała zimowy krajobraz. W Kumbrii padał śnieg. Zatopiona w myślach, patrzyła na drogę, która jak czarna wstęga rozwijała się przed autem. Góry wystawione na wiatry wyglądały niegościnnie, sprawiały wrażenie terenu wyludnionego. Sceneria odpowiadała jej nastrojowi. - Gabby? - powtórzył Dominie.

- Słucham? Przepraszam, nie słyszałam.

- Pytałem... - Wyglądał na zirytowanego. Bardzo nie lubił, kiedy nie zwracała na niego uwagi. - Pytałem, gdzie jest mapa.

- Mapa? Nie wiem. Ja jej nie miałam - odpowiedziała zmieszana.

- Przecież ci ją dałem.

- Nie. Ja znosiłam bagaże do samochodu, jak mi kazałeś. Mapy nie miałam. - upierała się przy swoim.

- Na miłość boską, Gabby, czy ty nie możesz pamiętać o jednej głupiej rzeczy? Przecież dałem ci mapę. Chryste! - Odwrócił się z powrotem do Gilesa, który prowadził samochód. - Nie do wiary. Gdyby nie ja, nie wiedziałyby, jak się nazywa. Siedzącej na tylnej kanapie Gabby rumieniec zalał twarz. Nienawidziła takich sytuacji, szczególnie niezręcznie czuła się w obecności Gilesa. Poza tym oskarżenie Dominica miało się z prawdą. To on pogubiłby się w życiu, gdyby nie ona. Próbowала się uspokoić, ale było jej przykro. Zaczęło się zupełnie dobrze. Giles okazał się nie najgorszym kolegą. Był w porządku. Bardziej małomówny i mniej krzykliwy niż pozostali, wolał obserwować i słuchać. Jego obecność czasami działała na Gabby kojąco. Ucieszyła się, kiedy się dowiedziała, że właśnie z nim pojedą do Edynburga. Wiedziała, że znacznie bardziej wolałaby być z Jennie i Marwanem, ale po godzinie jazdy zaczęła się odprężyć. Giles zadał kilka pytań dotyczących jej pracy, tego, czym się zajmowała. Znajomi Dominica nigdy się tym nie interesowali. Odpowiedziała na pytania, potem z niepokojem pomyślała, że być może zbyt dużo zajmuje go swoją osobą więc oparła się wygodnie i zasnęła. Teraz Dominie zburzył ten pozorny spokój. Przez jakąś cholerną mapę. Czy nie można było po prostu stanąć i kupić nową?

Zatrzymali się przy Gilmore Place, w ładnym dużym mieszkaniu jeszcze jakiegoś innego znajomego kolegi. Lokatorzy wyjechali na sylwestra do Marbelli. Mogli w sześcioro: Gabby, Dominie i czterech jego kolegów: Giles, Jude, Magnus oraz Tim, zając całe ich mieszkanie. Były trzy sypialnie. Jedną zajął Dominie z Gabby, w drugiej, dwuosobowej, spali Jude i Magnus, Tim poszedł do pojedynczej, a Giles nocował w salonie. Przywieźli niesamowite ilości piwa i pierwszy wieczór spędzili przed telewizorem, cały czas pijąc. Gabby nudziła się jak mops. Poszła spać. W sylwestra obudziła się z przemożnym pragnieniem znalezienia się gdzieś indziej. Dominica nie było. Nie przypominała sobie, żeby się kładł. Może chłopcy gdzieś wyszli. Wstała z łóżka i wsunęła stopy w ulubione wełniane kapcie, na których widok Dominie zawsze się krzywił. Poczowała, że jest jej zimno. Odśloniła zasłony. Był typowy zimowy, pochmurny dzień. Zadrżała, rozejrzała się za szlafrokiem, włożyła go na siebie i wyszła z sypialni. Drzwi do wszystkich pokoi były otwarte na oścież. Zajrzała do salonu. Na podłodze walały się puszki po piwie i resztki pojemników po chińskich daniach, które - jak pamiętała - zamówili, zanim jeszcze poszła do łóżka. Chłopcy oglądali wówczas jakiś głupi film na wideo, zapasy czy coś równie idiotycznego. Odruchowo pochyliła się i zaczęła zbierać puszki. Już prawie skończyła doprowadzać pokój do porządku, kiedy ktoś głośno zapukał do frontowych drzwi. Spojrzała na zegarek. Była dopiero dziewiąta.

- Słucham? - powiedziała, usiłując dostrzec coś przez wizjer. Wiedziała, że Dominie i pozostali chłopcy mieli klucze.

- Gabby, cześć... To ja, Giles. Przepraszam, zapomniałem klucza.

- Cześć - odpowiedziała Gabby i otworzyła drzwi. - A gdzie reszta? - zapytała.

Chłopak wyglądał koszmarnie.

- Zostali jeszcze u Jill. Jedzą śniadanie.

- U Jill? - Gabby ogarnął niepokój. Kim, u diabła, jest Jill?

- To koleżanka Magnusa z uczelni. Mieszka w Tayview.

- Aha.

- Nie martw się - dodał szybko. - To tylko koleżanka. Wrócą po lunchu. Dom kazał mi cię uprzedzić. - Giles wbił oczy w ziemię.

Wiedział, że kłamie.

Zaczął zdejmować szalik. Blond włosy sterczały na wszystkie strony, twarz pokrywał niechlujny zarost.

- Jasne. OK. Właśnie robiłam herbatę. Napijesz się? - zapytała pogodnie. Nie chciała, żeby się nad nią litował.

- Chętnie, bardzo chętnie. Wezmę prysznic. Gabby, nie masz przypadkiem aspiryny? Zawsze był wobec niej bardzo grzeczny. Ogromna odmiana po wrzaskach Dominica. Lubiła Gilesa.

- W torbie. Poczekaj, przyniosę.

- Ty zawsze wszystko masz, prawda? - powiedział, idąc za nią do sypialni. -

Cokolwiek by to było, zawsze potrafisz temu zaradzić. Nie znam lepiej zorganizowanej osoby. Dziękuję. - Wyciągnął rękę i dziewczyna wytrząsnęła mu na dłoń dwie tabletki. - Wyjątek stanowi sprawa mapy - dodał z przewrotnym uśmiechem.

- Właśnie - uśmiechnęła się smutno. - No, ale jakoś dojechaliśmy, prawda?

Odwróciła się, żeby z powrotem schować do weekendowej torby buteleczkę z tabletkami. I wtedy to się stało. Usłyszała, że się poruszył, i nagle poczuła, iż obejmuje ją ramionami. Zamarła w bezruchu. Trzymał Gabby mocno, nosem i policzkami pieścił kark i szyję. Powoli odwrócił dziewczynę twarzą do siebie. W sypialni nadal było dość ciemno, nie widziała wyrazu jego twarzy. Zsunął jej z ramion szlafrok i wsunął dłonie pod bluzę piżamy. Oddychał szybko, nierówno. Skamieniała z wrażenia. Jak we śnie widziała, że wkłada ręce pod sweter Gilesa, pod palcami czuje owłosiony tors. Pociągnął ją i przewrócił na łóżko, odrzucił kapek. Wsunęli się pod kołdrę. Nagle zorientowała się, że oboje są nadzy.

Zamknęła oczy. Dominie był jedynym mężczyzną, z którym spała. Przecież żaden inny by jej nie chciał. Trzymała się tego chłopaka, ponieważ uważała, że nikt inny jej się nie trafi. Wolała być z nim niż zostać sama.

Giles dotknął dłonią jej brzucha, potem zsunął rękę niżej, między nogi. Położył się na niej, głową zasłonił mdłe światło poranka. Biodrami wsparł się na biodrach dziewczyny i wciągnął jej język do swoich ust. Całym ciałem wygięła się ku niemu. Wszystko działo się tak szybko. Czowała, jak drżą mu mięśnie brzucha, kiedy opuściła rękę, żeby mu pomóc. I już był w Gabby, już się poruszał, dłońmi zasłonił jej twarz. Poczowała jakieś niesamowite podniecenie, szczytowali gwałtownie razem.

Wstrzymała oddech, siła orgazmu była tak wielka, że łzy napłynęły jej do oczu.

Zapanowała cisza. Słyszała tylko szybki oddech Gilesa.

- Gabby - odezwał się ochryplym głosem. - Przepraszam... Nie wiem, co... Nie powinienem...

- Daj spokój. Wszystko w porządku, Giles. Naprawdę. - Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. Był miły. Tylko tyle mogła o nim powiedzieć. Nie czuła niepokoju, nie była zdenerwowana. Odwróciła się do niego. - Dziękuję.

- Za co? - zapytał zaskoczony.

- Za to. Za wszystko. Kilka minut leżała bez ruchu. Kiedy zapadał w sen, wstała. Zamruczał coś pod nosem. - Śpij - szepnęła czule. - Już mnie tu nie będzie, kiedy się obudzisz, ale dziękuję ci, Giles.

- Bardzo proszę - wymamrotał.

Kilka godzin później, kiedy pociąg ruszał z dworca Waverley, Gabby osunęła się na oparcie siedzenia i zamknęła oczy. Spakowała swoje rzeczy, zostawiła Dominicowi kartkę i zatelefonowała do Rianne. Nie mogła zdążyć do Paryża na Sylwestra i powitanie Nowego Roku, ale zarezerwowała bilet na lot następnego ranka. Nie wiedziała, gdzie zatrzymali się Marwan, Jennie i pozostali, ale w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Najważniejsze, że skończyła z Dominikiem. Przelotny romans z Gilesem był tylko chwilowym szaleństwem, ale pozwolił jej spojrzeć na siebie inaczej. Przed jej oczami rozwijał się krajobraz, który poprzedniego dnia oglądała przez łzy. Teraz też chciało jej się płakać, tym razem jednak byłyby to łzy ulgi.

Spędziła tydzień w Paryżu z Rianne. Po powrocie na automatycznej sekretarce zastała dwanaście wiadomości od Dominica. Skasowała wszystkie. Zabawne - pomyślała, pisząc na kolejnej kopercie: „zwrot na adres nadawcy”. Zawsze uważała, że to ona desperacko trzyma się chłopaka. Następnego tygodnia wróciła do pracy już jako zupełnie inna kobieta.

- Nikt z nas nie potrafił tego zrozumieć - powiedziała Jenny, zachwycona obrotem rzeczy. W przerwie na lunch gryzła łydę selera naciowego.

- Ja też nie rozumiałam. To było jak... jakbym wpadła w trans. Nie wiem, co się stało. Po prostu zerwałam.

Jennie się nie odezwała. Było oczywiste, co się stało. Słodka Gabby. To właśnie uważała w niej za najdziwniejsze. Niewiele osób dorównywało dziewczynie bystrością. Kiedy siedziała przy biurku, zastanawiając się nad czymś z wciągniętym do środka kącikiem ust i gryząc koniec ołówka, to właśnie do niej wszyscy zwracali się po ostateczną opinię. Jej uwadze nigdy nic nie umknęło, nawet najmniejszy szczegół. Pamiętała nazwiska, daty, miejsca... Jeśli ktoś został aresztowany, wiedziała, gdzie i kiedy się to stało. Prowadziła najtrudniejsze sprawy, miała dostęp do najtajniejszych informacji... a potem wracała do domu, do Dominica.

- Jestem pewna, że teraz nie daje ci spokoju - rzuciła Jennie, sięgając po następną łydę selera.

- Taaak. Ale jest już za późno. Więcej nie chcę o nim słyszeć. Już nigdy.

- Tak trzymaj. Słuchaj, gdzie jest raport w sprawie Rasel-Ein?
- U mnie na biurku. Dobrze zrobiłam, prawda? - upewniała się.
- Bardzo dobrze - Jennie z przekonaniem kiwnęła głową.

Nie spotkała ponownie Gilesa, ale też nie chciała się z nim widzieć. Rzuciła się w wir pracy. Nie mogła się nadziwić, jak świetnie się czuje: bez Dominica, wolna od natrętnych myśli o nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Miała wrażenie, jakby ogromny ciężar spadł jej z ramion. Nie wierzyła w swoje szczęście. Codziennie w drodze do pracy zdumiewała się, jak bardzo czuje się szczęśliwa, jak bardzo kocha życie. Kiedy wszystko zaczęło się układać w ustalony, chociaż bardzo napięty program, niespodziewanie na biurku pojawiła się propozycja. Dostała ofertę pracy w Grupie Wspierania Przemian Organizacji Narodów Zjednoczonych. Potrzebowali prawnika z doświadczeniem w dziedzinie praw człowieka. Jej kandydaturę podsunął jeden z międzynarodowych obserwatorów, którego spotkała podczas ostatniego pobytu w Gazie. Dwa tygodnie nic w tej sprawie nie robiła i niewiele mówiła. Jennie i Marwan bardzo ją zachęcali do przyjęcia propozycji, nawet trochę dziewczynie zazdrościli. W końcu poszła porozmawiać z Peterem Bensimonem, chociaż obawiała się jego reakcji.

- Naturalnie, że powinnaś przyjąć ofertę - zapewnił ją wielkodusznie. - To wspaniała propozycja, cudowna okazja. Oczywiście, będzie nam ciebie brakowało jak diabli, ale powinnaś jechać. Wiesz przecież, że w każdej sprawie ściśle współpracujemy z ONZ, więc wkrótce nasze drogi zapewne znów się skrzyżują. Gabby targały sprzeczne uczucia. Czowała się, jakby opuszczała rodzinę.

Pod koniec maja wzięła tydzień urlopu i z Nathalie oraz Charmaine wyruszyła do Portoryko. Rianne nie mogła z nimi jechać, w tym czasie musiała być gdzieś indziej, Gabby nie pamiętała, gdzie. Obiecały sobie, że się spotkają w Nowym Jorku. Rianne zwierzyła się przyjaciółkom, że rozgląda się za mieszkaniem w Londynie. Ograniczyła występy, pracowała tylko wtedy, kiedy miała na to ochotę. Ross Carter była wściekła, ale nic nie mogła zrobić. Rianne jakimś cudem zawsze stawiała na swoim. Nie była już najlepszą twarzą agencji Face! - ale mimo to towarzyszyło jej stałe zainteresowanie prasy.

Zupełnie niepostrzeżenie z supermodelki stała się postacią sławną osobą publiczną. Na twarz Gabby padł promień porannego słońca. Otworzyła oczy. Musiała się zdrzemnąć. Spuściła nogi z kanapy i przysunęła do siebie stos dokumentów. Była zastępcą regionalnego komisarza oenzetowskiej Grupy Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy w Okresie Przejściowym (UNTAG), obejmującej Namibię, Botswanę, Angolę i Republikę Południowej Afryki. Miała bardzo odpowiedzialną pracę i znacznie większe obowiązki niż kiedykolwiek dotychczas. Personel organizacji liczył osiem tysięcy osób, w tym cztery i pół tysiąca pracowników wojskowych, dwa tysiące pracowników cywilnych i półtora tysiąca policjantów. Jak się zdażyła zorientować, czekała ją wytężona, interesująca i wyczerpująca praca.



Miała ściśle współpracować z komisarzem mianowanym przez Zgromadzenie Ogólne. Celem było doprowadzenie do zaprzestania w Namibii i sąsiadującej z nią Angoli wszelkich aktów terroru, spowodowanie wycofania z terytorium Namibii okupujących ten kraj wojsk Republiki Południowej Afryki, umożliwienie powrotu do ojczyzny uchodźcom politycznym, zniesienie rasistowskiego prawa apartheidu i przestrzeganie w tych krajach praw człowieka. Do niepodległości prowadziła długa i wyboista droga. Chociaż zdawało się, że zmiany idą we właściwym kierunku, nie zawsze tak było.

Przez kilka ostatnich tygodni Gabby przeglądała materiały i brała udział w spotkaniach. Z nich lepiej poznała historię regionu. Wiedziała, że pierwszymi osadnikami z Europy byli tu Niemcy, chociaż wkrótce o te ziemie upomnieli się Brytyjczycy. Po pierwszej wojnie światowej w całym regionie rządy przejęli biali mieszkańcy Afryki Południowej.

Nazwisko de Zoete pojawiało się dość często. Rodzina odegrała ważną rolę w przejmowaniu majątku narodowego. Na początku lat czterdziestych kupili ogromną kopalnię diamentów Oranjemund i poprzez kontrolę poziomu wydobycia wykorzystywali ją do ustalania cen kamieni na światowych rynkach. Gabby zastanawiała się, czy była jakaś dziedzina gospodarki, w której rodzina de Zoete nie miała swoich udziałów.

Przygotowywała się teraz do pierwszego wyjazdu do Windhuk. Do stolicy Namibii miała jechać za kilka tygodni. W związku z tym, że UNTAG chciała w przyszłym miesiącu rozpocząć swoje działania, Gabby otrzymała specjalne zadanie. Miała koordynować działalność różnych, pojawiających się jak grzyby po deszczu, organizacji pragnących pomóc Namibii w przemianach politycznych, zakończeniu wojny partyzanckiej i utworzeniu rządu tymczasowego. Zadanie było niezwykle ważne. Namibia stała się poligonem doświadczalnym zmian, które zajdą w Republice Południowej Afryki. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Była to tylko kwestia czasu.

Przeglądała raporty do północy, aż oczy same zaczęły jej się zamykać. Z przerażeniem spojrzała na popielniczkę na podłodze. Wypaliła prawie całą paczkę papierosów. Już po kilku dniach pobytu w Nowym Jorku złamała daną sobie obietnicę, że przestanie palić. Opróżniła popielniczkę. Zmęczona, ale zadowolona z odwalonej pracy wślizgnęła się do łóżka.

## 52

Obudził go już pierwszy dzwonek. Sygnał dochodził z czerwonego aparatu przy biurku. Tylko Justin miał numer tego telefonu. Podniósł słuchawkę. Po dwóch minutach odłożył ją z powrotem na aparat. Ręce mu drżały. Za godzinę miał się spotkać z Justinem na końcu moła w Santa Monica. Nie wierzył własnym uszom.

Wyskoczył z łóżka i pobiegł pod prysznic. Po dwóch latach ciszy w końcu dostał rozkaz.

W Los Angeles było chłodno. Otulił się cienką wiatrówką i przyglądał twarzom mijających go ludzi. Justin spóźniał się już godzinę. Sięgnął do kieszeni po paczkę Lucky Strike'ów, ale kiedy pochylił głowę, żeby przypalić papierosa, spostrzegł szczupłą postać zmierzającą w jego kierunku. Zawsze by go rozpoznał. Odwrócił twarz w kierunku morza. Pamiętał instrukcje dotyczące spotkań w miejscach publicznych. Zgodnie z zaleceniami Justin podszedł do barierki i poprosił o ogień.

- Kawiarnia po drugiej stronie ulicy. Nazywa się U Borza. Za pół godziny spotkamy się w męskiej toalecie. - Skinieniem głowy podziękował za ogień i odszedł.

Bruce mył ręce, kiedy Justin wszedł do toalety. Obrzucił pomieszczenie badawczym spojrzeniem i pchnął w kierunku Bruce'a kluczyki od samochodu.

- Przy parkometrze stoi biały sedan - powiedział. - Wskazówki znajdziesz w skrytce. Bądź na miejscu najszybciej, jak się da.

Bruce wziął kluczyki. Zadanie było bardziej skomplikowane niż jakiegokolwiek poprzednie; zanosilo się na coś poważnego. Wytarł ręce i wyszedł szukać samochodu. Po godzinie znalazł dom na wzgórzach nad Encino. Zgodnie z instrukcją samochód zaparkował kilka przecznic dalej i pieszo przemierzył odległość dzielącą go od domu. Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł. Młody czarny mężczyzna z kamienną twarzą przyglądał mu się przez moment, potem odsunął się na bok, pozwalając wejść do środka.

- Eastman. - Justin stał przy oknie. - Wejdz. Zamknij te drzwi za sobą. Bruce rozejrzał się ostrożnie. W pokoju było kilku młodych czarnych mężczyzn, którzy patrzyli na niego bez większego zainteresowania. Jeden z nich powiedział coś w języku, którego Bruce nie znał.

- Mamy dla ciebie robótkę - zaczął Justin. - Nic trudnego. Chcę, żebyś w najbliższy weekend poleciał do Paryża. Zadzwoń pod ten numer, to jest londyński telefon. Od nich dostaniesz instrukcje. Potem przez pewien czas nie będziemy się z tobą kontaktować, ale się odezwiemy. Rozumiesz?

Bruce wziął od Justina skrawek papieru i skinął głową. W pokoju dwaj mężczyźni rozmawiali cicho w ojczystym języku. Jeszcze raz skinął głową.

- Rozumiem. - Spojrzał na numer telefonu, starannie złożył karteczkę i wyciągnął rękę. - Odezwe się - powiedział pewnym siebie głosem. Justin zignorował wyciągniętą dłoń, szybko skinął głową i wstał.

- OK. Będziemy czekać na jakiś sygnał od ciebie. Musisz sam jakoś dostać się z powrotem do Santa Monica. Bruce szedł za Justinem do drzwi i zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodziło. Pozostali mężczyźni nawet nie podnieśli wzroku, kiedy opuszczał pokój.

Zaczął schodzić długą ulicą w dół wzgórza i rozważał różne sposoby powrotu do Santa Monica. W Los Angeles nigdy nie korzystał z transportu publicznego. Czy do Encino docierały jakieś autobusy? Ku swemu zaskoczeniu natknął się na przystanek

już na najbliższym skrzyżowaniu. Wsiadł do zatłoczonego pojazdu. Widząc twarze współpasażerów, uświadomił sobie, że zamożne domy w San Fernando Valley niczym nie różniły się od bogatych domostw w Sandton, w Johannesburgu. Te same pokojówki, służące i ci sami ogrodnicy, którzy jeździli autobusikami combi do pracy w Republice Południowej Afryki, w Los Angeles udawali się do pracy środkami transportu publicznego. Był jedynym białym w tłumie czarnych i hiszpańskojęzycznych robotników. Czasami - pomyślał z goryczą - trzeba daleko wyjechać, żeby dostrzec coś, co się miało pod nosem.

- Nic. - Simon Kalen z miną przegranego patrzył na Lisette. - Niczego nie mogę się od nich dowiedzieć. Zero informacji, brak dostępu do danych, żadnych wyciągów. Absolutnie nic. - Lisette przez mahoniowe biurko sięgnęła po następnego papierosa. - Wiemy tylko, że wypłat dokonywano regularnie. Co sześć miesięcy jak w zegarku od momentu, kiedy zaginął Marius.

- Co ty o tym sądzisz? - nerwowo strząsnęła popiół z papierosa.

- Lisette, jest tylko jedno wytłumaczenie. Marius musiał to wszystko zaaranżować jeszcze przed śmiercią. Nie mam pojęcia, w jakim celu. Ostatnia wypłata miała miejsce w styczniu tego roku. Ogółem prawie trzy miliardy randów. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego? Po co?

Kobieta wpatrywała się w swoje dłonie. Była bardzo zaniepokojona. Zawsze miała wątpliwości co do śmierci Mariusa. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, ale w ubiegłych latach zaobserwowała kilka dziwnych zdarzeń. Na przykład: kiedy sześć tygodni po zniknięciu Mariusa pojechała do domu w Vergelegen, zauważyła, że ze skrzydła, w którym mieszkała z Celine i Rianne, coś zniknęło: ciężka, stara szczotka do włosów w skorupie żółwia, która zawsze leżała na toalecie bratowej. Doskonale pamiętała, że widziała ją już po zniknięciu Mariusa, kiedy zastanawiała się, czy spakować rzeczy z dużej sypialni, czy też zostawić wszystko, jak było, w nadziei, że jakimś cudem brat znowu pojawi się w domu. Trzy lata później spostrzegła, że z utrzymywanego w idealnym porządku pustego gabinetu Mariusa zniknęło zdjęcie Celine i Rianne w srebrnej ramce, które zawsze stało na biurku. Drobiazgi, przedmioty osobiste... rzeczy, które tylko dla brata miały wartość. Winę, jak zwykle, kiedy chodziło o sprawy domowe, których nie potrafiła wyjaśnić, zrzuciła na służbę. Wątpliwości jednak zostały, ciągle ją dręczyły i uporczywie wracały. Wróciły również teraz. Trzy miliardy randów to ogromna suma. Znacznie więcej, niż Marius mógł wydać na siebie. Znała brata, nie był rozrzutny. Te pieniądze poszły na inny cel. Przypomniała sobie fragment rozmowy przy stole jakieś pół roku temu. Podczas kolacji siedziała obok Pieta Odendaala, przewodniczącego Izby Przemysłu Wydobywczego w Johannesburgu; rozmawiali o strajkach. Co takiego powiedział? Coś o pieniądzach... o środkach.

- Skąd mają na to środki? - Dokładnie właśnie tak się wyraził. Nie tylko na to, żeby popierać strajkujących górników, ale ich szkolić. Przerzucają ludzi za granicę - do

Moskwy, Libii, Algierii - na szkolenia polityczne, a ci potem wracają do kraju i szerzą propagandę. Lisette była przekonana, że właśnie się dowiedziała, skąd czerpali środki.

- Simon, muszę ci zaufać - odezwała się niespodziewanie. Dłonie zacisnęła w pięści.

- Wiesz, że możesz mi ufać.

- Tego, co ci teraz powiem - mówiła wolno - nie wolno ci nikomu powtórzyć. Nigdy.

- Wbiła wzrok w Simona. - To Marius. Przypuszczam, że to on sam dokonywał wypłat od czasu swojego zniknięcia. - Dmuchnęła dymem z papierosa.

- Co ty mówisz? Uważasz, że...

- Tak - westchnęła głęboko. - Tak uważam. Nie pytaj, dlaczego, ale tak właśnie myślę.

- Ale... gdzie on jest? Dlaczego zniknął? O co tu chodzi, Lisette? - Twarz Simona była kredowobiała.

- Ile jeszcze zostało na tym rachunku?

- Trudno powiedzieć. Jest powiązany z wieloma innymi naszymi przedsięwzięciami. Kiedy nasze akcje dobrze stoją, fundusze są automatycznie przelewane na ten rachunek. Tak to ustawił Marius. Trudno mi było zrozumieć, dlaczego tak robi, ale uparł się przy swoim. I wyłącznie on może korzystać z tego rachunku.

- Nie można jakoś wstrzymać dalszych wypłat?

- Nie. Chyba że zbankrutujemy... to znaczy ty zbankrutujesz, a na to się nie zanosì. Widzisz, i to właśnie jest najdziwniejsze. Trzy miliardy randów to ogromna suma, ale można było wybrać znacznie, znacznie więcej. Całe lata nikt tych wypłat nie zauważył. To chyba najlepszy dowód na to, jak dobrze nam idzie. - Simon uśmiechnął się z goryczą. - Nie rozumiem, to wszystko nie trzyma się kupy.

- Ja chyba rozumiem - mruknęła pod nosem Lisette. Oczy jej się zwęziły.

- Tak? To mi wyjaśnij.

- Och nie. Muszę jeszcze to sobie przemyśleć, Simonie. - Podniosła się zza biurka. - Zadzwoń do ciebie w weekend. - Wyprostowała się. Spotkanie dobiegło końca. Simon lekko dotknął jej ramienia, w ten sposób okazując wsparcie, i wyszedł z gabinetu.

Lisette podeszła do okien. Coś się działo, czuła to. Ze swoich kontaktów z przedstawicielami rządu wiedziała, że wszystko zaczyna się walić, stary porządek społeczny lada moment się załamać. Nastroje w kraju znowu się zmieniały, tym razem jednak było więcej wrogości i agresji. Kilku służących po wielu latach pracy odeszło bez uprzedzenia. Ludzie bali się wychodzić wieczorami z domów; całe dzielnice Johannesburga po zmroku były otwarte dla wszystkich. Białe dzielnice, białe przedmieścia, dotąd oazy spokoju. W okolicy dochodziło do zabójstw, włamań, nawet gwałtów. Cały kraj zdawał się wisieć nad przepaścią, drżał targany na przemian strachem i wściekłością.

Niepokojące wieści dochodziły nie tylko z kraju. Mniej więcej miesiąc temu usłyszała, że gdzieś, nie pamiętała gdzie, Rianne widziano w towarzystwie młodego

czarnoskórego mężczyzny. Znajoma, która przekazała jej plotkę, dowiedziała się tego od kogoś innego. Podobno wychodzili z hotelu i chociaż natychmiast każde poszło w inną stronę, nie ulegało wątpliwości, że byli razem. Znajoma ze zrozumieniem przyznała, że trudno jest panować nad dziećmi, kiedy wyjadą z kraju. Diabli biorą dobre urodzenie i staranne wychowanie. Lisette miała ochotę ją spoliczkować. Jak ona śmiała? Rianne zawsze była trudnym dzieckiem. Upartym i samowolnym. Czy mogła odziedziczyć to szaleństwo po ojcu? Natychmiast odrzuciła tę myśl. Przekonywała samą siebie, że chodziło zapewne o kolegę modela. Chociaż tutaj było to nie do pomyślenia, w europejskich i amerykańskich czasopismach widziała wielu ciemnoskórych modeli. Musiała przyznać, że niektórym nie brakowało urody. Przed oczami ujrzała twarz młodego Murzyna o hardym spojrzeniu, którą widziała na okładce jakiegoś czasopisma. Zmarszczyła czoło. Modise, to jego syn, inżynier czy architekt. Był na okładce „Time'a”, a może „Newsweeka”? Niezwykle przystojny. Potrząsnęła głową. Co też, u diabła, przychodzi jej do głowy? Spojrzała na zegarek. Stała tu zajęta własnymi myślami od dobrej godziny, a przecież wieczorem musiała lecieć do Johannesburga. Nie miała ochoty. Szaleństwo ogarnęło to miasto w znacznie większym stopniu niż Kapsztad. Johannesburg był brudny, nieprzewidywalny, wrogi i niebezpieczny. Podniosła słuchawkę telefonu.

\*

W życiu Charmaine działy się trzy rzeczy: chudła, zarabiała i zdobywała nowych przyjaciół - w pewnym sensie i w tej kolejności. Minęło dziewięć miesięcy od dnia, kiedy Emily przedstawiła ją Jamesowi. Dwa, czasami trzy razy w tygodniu razem z koleżanką spędzała wieczór - nigdy całą noc - w domu przy North Row w dzielnicy Mayfair. Zarabiała co najmniej dwa tysiące tygodniowo. Za wynajem nie musiała płacić, mieszkała przy Wilton Crescent. Chodziła do siłowni, wałęsała się po sklepach albo leżała przed telewizorem.

W ciągu tych dziewięciu miesięcy nigdy nie miała do czynienia z wrednym czy zboczonym mężczyzną, nigdy też nie musiała robić niczego, na co nie miałaby ochoty. Właściwie nawet to lubiała. Z przyjemnością przyglądała się tym żalonym bogatym biedakom, którzy niespodziewanie dla samych siebie, ale i niemiłosiernie przepłacając, mogli urzeczywistnić swoje erotyczne fantazje, marzenie o przespaniu się z takimi dziewczynami jak Charmaine czy Emily. Upajała się władzą, jaką miała nad nimi, kiedy się rozbierała, a oni aż się ślinili, obnażając swoją słabość. Początkowo uważała, że przypominają mężczyzn, z jakimi miała do czynienia w klubie Flamingo - zdesperowanych i żalonych. Potem zrozumiała, że są zupełnie inni. Mężczyźni z Flamingo nie mieli nic: ani pieniędzy, ani władzy, ani klasy. Ci natomiast mieli dosłownie wszystko: żony, rodziny, władzę, majątek. A chcieli mieć

ją.

Charmaine z zainteresowaniem oglądała wieszaczki ze staniczkami. Była w G/D 3, sklep zrobił na niej ogromne wrażenie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Nathalie bodaj włożyła na siebie coś z większości wystawionych części bielizny, a co dopiero w tym chodziła. Były to rzeczy zbyt odważne dla świętoszkowatej przyjaciółki, jej natomiast ogromnie się podobały. Wybrała delikatny staniczek z czarnej koronki z małymi czerwonymi różyczkami i takie same majteczki. Wzięła również prostą jedwabną narzutkę, która pasowała do kompletu. Jeszcze tylko klapki na wysokich obcasach oraz czerwona róża z aksamitu... i voilà - „strój” został skompletowany. W rogu sklepu dostrzegła kremowy stanik i taki sam pasek z podwiązkami, potem zobaczyła skromny staniczek uczennicy i majtki z nogawkami, co będzie bardzo pasowało do krótkiej szarej spódniczki i białej bluzki. Doskonale wiedziała, komu się taki strój spodoba.

Dziesięć minut później zakupy były w torbach w różowo - białe pasy, każda część oddzielnie owinięta delikatną bibułą, w którą włożono również kilka zapachowych płatków. Wpadła jeszcze do sklepu Debenhama po krem i balsam do ciała, wzbogaciła kolekcję perfum o kilka kolejnych buteleczek i taksówką wróciła do domu. Tego wieczora miała poznać kogoś nowego. James zapowiedział, że ktoś wyjątkowy właśnie przyleciał do Londynu.

Poprawiła usta nową szminką Chanel i odstąpiła krok w tył, żeby lepiej się sobie przyjrzeć. Wyglądała świetnie. Ciemny makijaż oczu, pełne śliwkowo-czerwone usta, twarz lekko przyprószona srebrnym pudrem. Tylko z nosem miała kłopot. Od kilku dni ciekło jej z nozdrzy, były lekko, ale widocznie zaczerwienione. Myślała, że złapała grypę, ale innych objawów przeziębienia nie miała. Bolało, kiedy pociągała nosem. Użyła odrobiny korektora, żeby zatuszować zaczerwienienie, i postanowiła ograniczyć przyjmowanie kokainy. Może właśnie narkotyk był wszystkim winien. Najpierw jednak przygotuje sobie malusienką kresczkę, żeby wprowadzić się w dobry nastrój na wieczór. Przecież pozna dzisiaj pana Wyjątkowego, jak przez cały tydzień nazywał go James. Musi więc sama również wyglądać i czuć się wyjątkowo. Charmaine - powiedział cicho, przyglądając się jej z podziwem. Spojrzała na mężczyznę. Była pewna, że już go widziała, nie wiedziała tylko, gdzie. Uśmiechnął się szeroko. - Bez wątplenia czarująca. To nie jest twoje prawdziwe imię. Próbowała zebrać myśli. Był wyjątkowy. Przede wszystkim przystojny, co w jej fachu nie zdarzało się często. Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany. Był przed pięćdziesiątką i emanowały z niego bogactwo, władza i pewność siebie. Ubrany był konserwatywnie, ale modnie. Zwróciła uwagę na metkę przy marynarce, kiedy podawał ją lokajowi. Adolfo Dominguez. Widziała ten sklep przy Regent Street. Kiedyś musiała również słyszeć głos pana Wyjątkowego. Ale kiedy i gdzie? Wiedziała, że lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań, szczególnie na początku znajomości. Emily nauczyła ją, że najlepiej, najbezpieczniej i najprościej było zdobyć „stałego” klienta, faceta, z którym będzie się spotykać regularnie, raz lub

dwa razy w tygodniu, który wiedział, co lubi, a co istotniejsze, był pewny, że i ty to wiesz. Kiedy znajdzie się takiego faceta, trzeba się bardzo starać. Musi cię bardzo chcieć, żeby zawsze o ciebie prosić. Wyciągnął do niej rękę, a Charmaine pomyślała, że miałyby sporo szczęścia, gdyby to pan Wyjątkowy miał zostać jej „stałym”. Spuściła oczy i podała mu rękę.

Może mnie pan nazywać, jak pan chce. Zawsze będzie, jak pan chce. Dostrzegła błysk zrozumienia w jego oczach. Od razu pojął, co chciała przez to powiedzieć. Odsunął się o krok, kiedy James otworzył przed nimi drzwi do salonu. Charmaine weszła pierwsza. Jedwabna suknia w kolorze fuksji była rozcięta od góry aż do pośladków; wiedziała, że odsłania pięknie opalone plecy. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła „pracować”, poczuła dreszcz podniecenia.

## 53

Nathalie źle sypiała i to od razu rzucało się w oczy. Najgorzej było przez kilka ubiegłych tygodni. Pół roku temu ponownie spotkała Saszę. Przeżyła sześć miesięcy piekła, sześć miesięcy romansu, jeśli ich związek można było tak nazwać, i to coraz bardziej dawało jej się we znaki. Na dobrą sprawę przestała normalnie funkcjonować, żyła tylko wtedy, kiedy był przy niej. Na szczęście miała sprawny zespół ekspedientek i projektantek, tak że - przynajmniej na razie - firma G/D funkcjonowała bez zarzutu. Chodziła na zebrania, sprawdzała towar, akceptowała kampanie reklamowe, przeglądała projekty, ale myślami była gdzie indziej. Dzień i noc czekała przy telefonie, nosiła przy sobie beeper, którego numer znał tylko Sasza, i zawsze miała dla niego czas, bez względu na to, kiedy lub po co zadzwonił.

Odnosiła wrażenie, że jej potrzebuje. Dzwonił albo przychodził do mieszkania o dziwnych porach: w środku dnia, późnym wieczorem, czasami wczesnym rankiem. Przypuszczała, że właśnie wtedy mógł się wyrwać. Nigdy nie wspominał o Sienie. Nathalie leżała nocą w łóżku i modliła się, żeby zadzwonił telefon albo otworzyły się drzwi. Paliła jednego papierosa za drugim i do wczesnych godzin porannych bezmyślnie gapiła się w telewizor.

Czasami zasypiała na kanapie z niedopitym kieliszkiem wina. Niespodziewanie otwierały się drzwi, budziła się, kiedy zdejmował już marynarkę lub koszulę. Wślizgiwał się do niej do łóżka albo podchodził, jeżeli leżała na kanapie, kochał się z nią w milczeniu, zachłannie, bez słów. Potem wychodził. Tylko seks, nic więcej. Minęła północ. Nathalie dopiła wino do końca. Przypuszczała, że już się nie pojawi. Od ostatniej wizyty Saszy minął tydzień, dotąd się do niej nie odezwał. Martwiła się, ponieważ nigdy wcześniej nie zniknął na aż tak długo.

W głowie miała mętlik, za to w mieszkaniu dzięki Glorii panował idealny porządek. Przychodziła dwa razy w tygodniu, zostawiała mieszkanie bez pyłka kurzu, wypolerowane, lśniące czystością. Nagle z oczu Nathalie zaczęły płynąć wielkie jak

groch ły. Zwinęła się w kłębek na białym wełnianym kocu i żałośnie łąkała. To powinien być najlepszy okres w jej życiu. Miała dobrze prosperującą firmę, jej projekty i butik zyskiwały pochwały krytyki oraz przynosiły coraz większe zyski, była zdrowa, atrakcyjna... i nieszczęśliwa. Bała się wyjść z domu czy z biura, żeby nie przegapić telefonu Saszy lub niespodziewanej wieczornej wizyty. Prawie nie jadła, nie spała. Nieustannie o nim myślała, próbowała analizować jego zachowanie, jego stosunek do siebie, jego zamiary. Prawie ze sobą nie rozmawiali, ale Nathalie wyobrażała sobie, jak to robią. Nie pamiętała już momentu, w którym o nim nie myślała albo nie zastanawiała się, co w danej chwili robi.

Doprowadzała się do szaleństwa, wyobrażając sobie", co Sasza robił o różnych porach dnia, gdzie był, z kim mógł rozmawiać... albo co robił w tym swoim „drugim” życiu, ze swoją „drugą” żoną. Wydzwaniwała nawet do niego do biura i kiedy tylko usłyszała głos kochanka, odkładała słuchawkę. Numeru domowego telefonu nie miała, inaczej nic by jej nie powstrzymało przed dzwonieniem i tam. Bywały dni, kiedy myślała, że oszaleje. To nie mogła być miłość - przekonywała samą siebie. To nie powinno tak wyglądać. Pragnęła i wyobrażała sobie, że odejdzie, że nie odbierze telefonu, że zmieni zamki w drzwiach. Marzyła o ponownym odzyskaniu kontroli nad własnym życiem, o wyjściu z domu bez paraliżującego strachu, że właśnie się z nim minęła. A jednak za każdym razem, kiedy zobaczyła jego silne, sprawne ręce, ciemne, błyszczące oczy, serce w niej topniało. Głos Saszy, z trudnym do określenia akcentem, sposób, w jaki napinał mięśnie przedramienia, kiedy otwierał butelkę wina albo sięgał przez nią, żeby wyłączyć budzik - wszystkie te szczególności fizycznej obecności kochanka niweczyły jej wszelkie postanowienia. Była w potrzasku.

Ciągle leżała skulona na kocu i łąkała, kiedy usłyszała, że ktoś otwiera frontowe drzwi. Szybko wstała i wytarła oczy. Przyszedł.

- Cześć - powiedział, wchodząc do pokoju. - Czy... spałaś?

- Nie. Tylko... czytałam - skłamała.

- Nathalie... - zaczął niepewnie. Serce zaczęło jej wściekle walić. Wydawał się bardzo zdenerwowany. Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach. Co chciał jej powiedzieć?

- To... to... - zaczął znowu. Zamknęła oczy, wiedziała, co się zbliża. - Nat, to trwa już od pewnego czasu... ale ja dłużej nie mogę. - Po policzkach strumieniem płynęły jej łzy. Nawet nie próbowała ich powstrzymać. - Nie możemy dłużej tego ciągnąć. Przepraszam, że ci to mówię, ale... coś się stało. Siena jest w ciąży. Muszę z tym skończyć.

W pokoju zapanowała cisza; stali naprzeciw siebie. Nathalie próbowała . coś powiedzieć, ale nie znalazła odpowiednich słów. Wolno odwróciła się od niego, rękoma mocno ścisnęła brzuch. Podeszła do jednej z kanap i osunęła się na nią. Sasza stał w drzwiach.

- No cóż - szepnęła powoli - to jest nas dwie.



Ostatnią miesięczkę miała ponad dwa miesiące temu. Najpierw sądziła, że przyczyną spóźnienia okresu jest stres, potem, że niepokój. Teraz знаła prawdziwy powód. Nie musiała szukać potwierdzenia. Sasza na moment szerzej otworzył oczy, potem wzrok mu zmętniał. Wiedziała, że odejdzie. Nie miała zamiaru mu mówić, a już na pewno nie w ten sposób, ale jej się wymknęło.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał martwym głosem.

- Nie wiem. - Nathalie wbiła wzrok w dywan. Cisza w pokoju aż dzwoniła w uszach. Po chwili równie szybko i cicho, jak się pojawił, położył klucze na stoliku obok drzwi i wyszedł. Nathalie siedziała bez ruchu, na jej twarzy malowały się ból, cierpienie i strach. Minęła godzina, potem następna. W końcu, tuż przed świtem, podjęła decyzję. Urodzi to dziecko. Już nigdy nie spotka się z Saszą, a on nigdy go nie zobaczy. To będzie wyłącznie jej dziecko. Miała coś, czego nikomu innemu, nawet jej matce, nie udało się zatrzymać: swoją własną maleńką cząstkę Saszy. Skoro nie może go mieć, tak jak by chciała, tak jak miała nadzieję, będzie go miała w ten sposób.

## 54

Był środek zimy. Marius Tertius de Zoete obudził się ze snu w małej drewnianej chacie zakopanej w głębokim śniegu w pobliżu niewielkiej wioski Ringebu w środkowej Norwegii. Otworzył oczy i jak każdego ranka od jedenastu lat skupił wzrok na oprawionym w srebrną ramkę zdjęciu ukochanej żony i córki. Chwilę przyglądał się podobnie zawsze dwudziestodziewięcioletniej Celine; stała w ogrodach Vergelegen z sześciolletnią Rianne w ramionach. Oczy zaszyły mu mgłą pokój zawirował.

Zamrugnął powiekami. Nie czas na sentymenty. Musi się skoncentrować. Zbliży się najważniejsza chwila, to zdarzy się w ciągu następnych kilku miesięcy. Przecież właśnie temu celowi wszystko poświęcił, zrezygnował z własnego życia. Wstał z łóżka, myślał o dzisiejszym spotkaniu. Wyrzwał przez okno i przeszedł do małej kuchni, żeby zaparzyć kawę. Na dworze było cicho, spokojnie, biało. Najbliższy dom znajdował się kilometr dalej, ukryty za pokrytymi śniegiem brzoźami i krótkimi niebieskimi cieniami, jakimi pstrzyło krajobraz zimowe słońce.

Z filiżanką w dłoni wyrzwał przez okno jadalni. Zaczynał prószyć śnieg. Było tu zupełnie inaczej niż w miejscu, w którym się wychował. Inaczej niż wśród brunatnożółtych wzgórz Transwalu, gdzie dorastał. I niebo też wyglądało inaczej. W Prowincji Przylądkowej Zachodniej, dokąd zabrał Celine i gdzie zamierzał spędzić resztę życia, niebo było wysokie, słoneczne, bezchmurne. I jego życie potoczyło się inaczej, nie tak, jak został do tego przygotowany. Był pierworodnym synem i spadkobiercą fortuny rodu de Zoete'ów. Zanim skończył osiemnaście lat, korporacja de Zoete'ów była jedną z najpotężniejszych firm na światowym rynku metali

szlachetnych i jednym z największych w świecie przedsiębiorstw pozostających w prywatnych rękach. W pogrzebie jego ojca uczestniczyli ministrowie rządu, przedstawiciele francuskiej arystokracji i właściciele konkurencyjnych przedsiębiorstw przemysłu wydobywczego. Po uroczystości popijali najlepsze południowoafrykańskie wina i przyciszonymi głosami wyrażali podziw dla ambitnego młodzieńca z maleńkiej sztetl na Ukrainie. Przebył daleką drogę, i to nie tylko w znaczeniu geograficznym. Zachwycali się również wykształceniem i wychowaniem jego pierworodnego syna Mariusa, co, oczywiście, było zasługą matki i ojca.

Zdarza się jednak, że pozory mylą. Na pewne symptomy nikt jednak nie zwracał uwagi. Gdzieś po drodze do jeszcze większych zysków, pomnażania majątku i zdobywania coraz większej władzy Marius się zmienił. Może miały na to wpływ lata pobytu w Wielkiej Brytanii. Niewykluczone, że przyczyniła się do tego żona z innego kraju, inaczej postrzegająca rzeczywistość i nieakceptująca południowoafrykańskiego „stylu życia”. Trudno powiedzieć, jak do tego doszło. Niemniej Marius się zmienił. Tuż przed przekazaniem mu przez ojca pełnej kontroli nad przedsiębiorstwami po raz pierwszy zaczął zadawać potencjalnie niebezpieczne pytania. Dotyczyły one prowadzonych przedsięwzięć, traktowania czarnoskórych pracowników, warunków życia w kraju, w którym takie postępowanie było nie tylko dopuszczalne, ale wskazane. Zastanawiał się, dlaczego Republika Południowej Afryki ma uprzywilejowaną pozycję . w porównaniu z innymi krajami, w których również wydobywa się złoto i diamenty. To warunki pracy - niewolniczej pracy - umożliwiały utrzymanie niskich kosztów produkcji i maksymalizację zysków. Céline wiedziała, co się z nim dzieje, to z nią rozmawiał o swoich wątpliwościach. Nie potrafiła mu jednak pomóc, nie знаła odpowiedzi i nie zachęcała do działania. Z daleka od sal konferencyjnych i służbowych kolacji, w tajemnicy zaczął szukać ludzi podobnie myślących. Wśród uprzywilejowanej warstwy Afrykanerów i Anglików tylko bardzo nieliczni podzielali jego niepokój. Znaleźli się jednak młodzi, wykształceni, politycznie dojrzały Afrykańczycy, gotowi powoli, rozważnie prowadzić garstkę takich jak on białych do sprecyzowania wątpliwości. Marius rozpoczął edukację polityczną dawno po skończeniu szkół. Tym razem, odwrotnie niż za czasów studiów w Wielkiej Brytanii, nie on decydował, czego się uczy. Głód wiedzy i pasja, z jaką ją chłonał, zaskoczyły i samego ucznia, i jego nauczycieli. Z młodymi Afrykańczykami spotykał się w wiejskich i miejskich świetlicach. Kierownictwo organizacji, która stała za jego nauczycielami, doskonale wiedziało, jak ważnym nabytkiem może być dla nich Marius de Zoete. Nie chodziło tylko o pozycję, jaką zajmował w kraju, i jego kontakty z przedstawicielami biznesu i polityki. Jak to ujął Moses Chikwe, prawa ręka Livingstone'a Modise'a, czasami ktoś już rodzi się rewolucjonistą, a nie się nim staje. Plany na przyszłość w istocie mieli rewolucyjne.

Potem, zupełnie niespodziewanie, znowu wszystko się zmieniło. Céline, jego piękna,

najukochańsza Céline, utonęła w rodzinnym basenie. Stało się to pewnego słonecznego popołudnia w środę, w dzień podobny do innych. Wypadku nie potrafiono wyjaśnić. Ani lekarze, ani coroner, ani policja nie ustalili przyczyny zgonu. Wrócił ze spotkania, oficjalnie w Johannesburgu, w rzeczywistości jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od miasta w obskurnym miasteczku Katlehong. Karetki pogotowia i wozy policyjne zobaczył od razu, kiedy skręcił w długą drogę prowadzącą do leżącego w oddali rodzinnego domu. Kazał kierowcy, Solomonowi, się zatrzymać, po czym, roztrzając policjantów i sanitariuszy, pobiegł do frontowych drzwi. Usłyszał płacz Poppie - łkała głośno i żałośnie. Zobaczył, że przyciska do swojego fartucha twarz Rianne, zasłaniając dziecku oczy. Chciała oszczędzić dziewczynce widoku ciała, leżącego w czarnym worku na podłodze w salonie. Marius widział takie worki wiele razy w ubogich miasteczkach czy w kopalniach, ale nigdy na bogatych przedmieściach. Nie spodziewał się też ujrzeć go we własnym domu. Teraz leżała w nim żona.

Majątek, władza i uprzywilejowana pozycja na nic się zdały. Celine nie żyła, nic nie mógł na to poradzić. Tego popołudnia - zwyczajnego, ciepłego kwietniowego popołudnia - wszystko się zmieniło. Wszystko się skończyło, nastąpił kres, *klaar*. Marius nie potrafił wrócić do dawnego życia, do spotkań, kontraktów, kolacji i nowych przedsięwzięć handlowych. Nic i nikt, nawet kochana córeczka, nie potrafił wyrwać go z rozpacz i złagodzić straszliwej wściekłości, która go dosłownie dusiła, kiedy już pochował żonę i stawiał czoło obwiniającym go za śmierć córki rodzicom. Wiedział, że Marie - Hélène i Claude de Ribainowie jego obarczają winą. Oni natomiast nie wiedzieli, że sam też siebie obwiniął. Powinien być z nią tam w basenie, a nie pięćdziesiąt kilometrów od domu bawić się w rewolucjonistę, kiedy ona nie mogła złapać oddechu w wodzie. Dłużej tego nie będzie robił, przestanie się bawić. Postanowił zniknąć.

Porzucił wszystkich i wszystko. Wiedział, że siostra zaopiekuje się Rianne. Lisette będzie kochała jego córkę i dbała o nią jak o swoje dzieci. Rianne znajdzie swój dom u Lisette i jej rodziny. On już nie miał rodziny. Zamierzał zdradzić swoich bliskich, zdradzić wszystko, na co pracowali i czego bronili. Lepiej, żeby córka odeszła, kiedy jeszcze sama nie mogła o sobie decydować. Lepiej, żeby uważała, iż ojciec nie żyje. Przecież tak jak wszyscy rewolucjoniści i terroryści w pewnym sensie nie żył.

## 55

Wypił łyk kawy, parząc się w język. Był w refleksyjnym nastroju. Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie żony i córki. Może - tylko może - jeśli negocjacje się powiodą jego działania nie pójdą na marne. Głęboko odetchnął i rozejrzał się za okularami. Cekał go ogrom pracy. Riitho wysiadł z samolotu na międzynarodowym lotnisku Kotoka w Akrze i wziął głęboki oddech. Wilgotne powietrze oblepiało całe ciało.

Czuł się, jakby wszedł do miękkiego, wilgotnego kokonu. Ghana. Afryka. Uśmiechnął się do siebie. Cieszył się z powrotu. Obok niego niezwykle rozpromieniony Lebohang gwizdnął z radości. On również cieszył się, że znowu stąpa po afrykańskiej ziemi. Wprawdzie nigdy nie narzekał, ale przecież wyjechał z kraju ponad dwadzieścia lat temu. Przez prawie cały czas pobytu na wygnaniu jak cień chodził za Riithem, ale nigdy nie uczestniczył w jego życiu. Riitho wiedział, że żona i dzieci ochroniarza mieszkają gdzieś w Soweto. Lebohang widział ich tylko dwa razy, kiedy potajemnie przerzucono go do kraju. Mimo to nigdy się nie skarżył. Był bez , reszty oddany sprawie i ojcu Riitha. O swoim podopiecznym wiedział wszystko albo prawie wszystko. Widział, jak młodzieniec staje się mężczyzną, dyskretnie obserwował jego przyjaciół i związki z kobietami. Nawet ten ostatni, najdłużej trwający i najbardziej niebezpieczny. Teraz już wiedział, kim była ta dziewczyna. Początkowo i on, i Khotso sądzili, że jest jeszcze jedną piękną białą dziewczyną, która zadurzyła się w Riicie. Białe dziewczęta niepokojąco często zakochiwały się w ich podopiecznym. Ta znajomość nie była więc niczym szczególnym. Żaden z mężczyzn nie czytywał kobiecych czasopism. Pewnego dnia Lebohang przypadkiem usłyszał, jak coś mówiła, i bez najmniejszych wątpliwości rozpoznał południowoafrykański akcent. Zaczął szukać. Nawet nie musiał bardzo się starać. Pewnego ranka zobaczył jej twarz na okładce „Paris Match”. Był przerażony. Rianne de Zoete? Kuzynka Lisette de Zoete - Koestler? Odkrycie to bardzo nim wstrząsnęło. Po raz pierwszy nie wiedział, co robić. Riitho, inaczej niż w przypadku innych związków, nie był dziewczyną zmęczony. Wręcz odwrotnie, w miarę upływu czasu zdawał się coraz mocniej zaangażowany. Lebohang postanowił czekać i uważnie obserwować rozwój sytuacji. Miał chronić Riitha, a nie na niego donosić. *Nkosi sikelele i Afrika*. Dobrze być w domu, prawda? - powiedział do młodzieńca, kiedy razem schodzili po kiwających się schodkach. Riitho skinął głową. Przeszli przez pas startowy i weszli do sali przylotów. W wieczornym powietrzu rozbrzmiewało ćwierkanie świerszczy, głosy ludzi witających z tarasu widokowego przylatujących krewnych i znajomych oraz ryk silnika samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych szykującego się do natychmiastowego odlotu z powrotem do Europy. Znowu głęboko wciągnął powietrze w płuca. Oddychał wolnością. Prawie. Rianne wysiadła z samolotu i zeszła po schodkach dwa dni później. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że wchodzi do sauny. Z trudem łapała oddech, kiedy gorące, gęste i wilgotne powietrze otuliło jej ciało. Już w połowie schodów była zlane potem. Próbowwała nie patrzeć na współpasażerów. Jeszcze nigdy nie znalazła się tak blisko tak wielu Afrykańczyków. Przed sobą miała na wprost odkryte plecy kobiety, która ostrożnie schodziła przed nią. Kobieta była czarna, a skórę miała równie gładką i ciemną jak Riitho. Linia kręgosłupa, spięta jak klamrą dwiema idealnie zaokrąglonymi łopatkami, ginęła w kończącym się tuż nad talią rozcięciu niezwykle barwnej sukni i ciasno zawiązanej spódnicy. Głowę miała owiniętą takim samym kawałkiem materiału. Spod turbanu w światłach czekającego autobusu

pobłyskiwały dwa ogromne złote koła w uszach.

Rianne czuła na sobie wzrok innych pasażerów. Samotna biała młoda kobieta wsiadała do autobusu razem z całymi rodzinami i biznesmenami. A więc teraz już wiedziała, jakie to uczucie. Nigdy wcześniej nie miała świadomości swojej odmienności rasowej. Nigdy. W Europie i w Ameryce biali byli po prostu niewidzialni, nie mieli koloru skóry. Nawet w Republice Południowej Afryki zawsze okazywano jej szacunek... czarni usuwali się z drogi, żeby mogła swobodnie przejść. Teraz było odwrotnie. Ludzie przepychali się i potracali, przechodzili jej przed nosem, deptali po stopach. Tutaj biały się wyróżniał, był napiętnowany. Czuła to w spojrzeniach, a nawet uśmieszkach współpasażerów. Oficer służby granicznej, młody żołnierz, z zainteresowaniem oglądał jej paszport.

- De Zoete. Jak się to wymawia? - zapytał bez uśmiechu. Miejsce urodzenia: Paryż, Francja.

- Właśnie tak - uśmiechnęła się do niego. - Dobrze pan wymówił.

W Afryce Zachodniej ludzie mówili po angielsku z innym akcentem niż czarnoskórzy w jej ojczyźnie. Bardziej miękko, bez twardych afrykanerskich końcówek. Podobał jej się ich sposób mówienia.

- Jaki jest cel pani wizyty?

Znowu się uśmiechnęła. Podobało jej się, jak powiedział „ciel”, a nie „cel”.

- Jestem na urlopie.

- Miłego pobytu. *Akwaaba*. Witamy w Ghanie. Podał jej paszport. Szła przez zatłoczoną salę przylotów, usiłując uniknąć zderzeń z rozpychającym się i wrzeszczącym tłumem, czekającym na bagaże przy starym pasie transmisyjnym. Wyszła z klimatyzowanego budynku lotniska. Był wieczór, ale ciało znowu otuliło gorące, wilgotne powietrze. Spojrzała na karteczkę, którą trzymała w ręku. Hotel Golden Tulip. Pokój sto dwadzieścia cztery. Taksówka, proszę pani, taksówka?! - Odniosła wrażenie, że natychmiast otoczyła ją setka mężczyzn. Pchali się jeden przez drugiego, pragnąc zwrócić na siebie jej uwagę.

W pobliżu stał żołnierz z długą pałąką. Zwężonymi oczami przyglądał się mężczyznom. Kiedy któryś zbyt blisko się zbliżył, krzyknął coś w miejscowym języku i energicznie machnął pałąką. Sposób brutalny, ale skuteczny. Wśród drwin i zazdrosnych śmiechów kolegów taksówkarzy poszła za młodym człowiekiem. Biała turystka. To oznaczało dobry zarobek i suty napiwek. Zaprowadził ją do najbardziej poobijanej taksówki, jaką widziała. Oryginalnie to był... chyba fiat? Teraz maskę zdobił znak firmowy Mercedesa, koła były z BMW. Na bagażniku było nawet stare logo Peugeota. Mimo gorąca uśmiechnęła się i wsiadła do samochodu. Siedzenia pokrywał plastik, bluzka natychmiast się do nich przykleiła.

Proszę, proszę, madame. Jedziemy, proszę, proszę. Zdezorientowana popatrzyła na kierowcę. Co on mówił? Spojrzała na deskę rozdzielczą. Był na niej napis: „Jeśli Bóg pozwoli”. Ze zgrzytem uruchomił silnik i taksówka wytoczyła się z parkingu.

Rzeczywiście, jeśli Bóg pozwoli. Mały samochodzik posuwał się z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Na szczęście do hotelu było tylko dziesięć minut jazdy. Kierowca był zachwycony pięciodolarowym napiwkami. Dostał więcej, niż zdołał zarobić przez tydzień.

Z bagażnika wyjęła podręczną torbę i prawie wbiegła do recepcji hotelu. Po minucie już miała klucz do pokoju sto dwadzieścia cztery. Szybkim krokiem minęła rześcisty oświetlony nocą basen. Bez problemu znalazła pokój. Zapukała raz, głośno, jak jej polecono. Drzwi natychmiast się otworzyły. Czekał na nią. Wciągnął ją do pokoju i kopniakiem zatrzasnął drzwi.

Wynajętym jeepem jechali w kierunku Cape Coast. Prowadził Riitho, Rianne przytuliła się do niego. Od tygodnia byli razem, jeszcze nigdy nie spędzili ze sobą aż tyle czasu, mimo to nie mogła się nim nacieszyć. Panował potworny upał. Od czasu do czasu odrywał wzrok od drogi oraz mijanego krajobrazu i z nieodgadzionym wyrazem twarzy spoglądał na nią. Dojeżdżali do Elminy. Zamek spowiła delikatna słona mgiełka, rozsiewana przez fale uderzające o skały u podnóża fortecy.

Przełknęła ślinę. Z przewodnika dowiedziała się, że zamek, punkt wysyłki niewolników do Ameryki, został zbudowany przez Portugalczyków, a potem kolejno przechodził w ręce Brytyjczyków, Duńczyków, Francuzów i w końcu, po uzyskaniu niepodległości, był utrzymywany przez rząd Ghany. Nie mogła uwierzyć, że koszar handlu niewolnikami mógł odbywać się w tak cudownej scenerii: czyste, błękitne morze, piaszczyste plaże, palmy kokosowe. Od morza od czasu do czasu wiał chłodny wietrzyk, niosąc wytchnienie od bezlitosnego upału.

Samochód zostawili na hotelowym parkingu, a sami pieszo poszli do zamku. Był środek tygodnia, turystów kręciło się niewielu. Wokół murów zamku rozpościerało się miasto. Pełno w nim było rybaków przy swoich łodziach, handlarek we wzorzystych strojach, przechodzących między łodziami z ogromnymi tacami towarów na głowach, dzieci i kóz. Przyglądała się im z przerażeniem.

Kobiety różniły się od Afrykanek, z którymi się wychowywała. Żadna nie przypominała Poppie. Były głośne, zuchwałe, pewne siebie, nie okazywały szacunku białej - damie - jak Murzynki w Afryce Południowej. Nikt nie ustępował jej z drogi, szepcząc: „Przepraszam, panienko, przepraszam”, kajając się za przejście tuż obok, zbyt blisko siebie... za swoją obecność. Tutaj była na takich samych prawach jak każdy inny. . Dostrzegła dwie kobiety, które się mijały, idąc w przeciwną stronę, i nagle się zatrzymały. Na głowie jednej z nich niebezpiecznie zachybotła taca z małymi suszonymi rybkami, na głowie drugiej piramida pomidorów i zielonych papryk. Stały na środku ulicy, wymieniały pozdrowienia i ploteczki, chwiejąc się pod ciężarem towarów, i spoglądały na Riitha i Rianne. Afroamerykanie, przynajmniej mężczyźni. Wrócił do Afryki, żeby poznać swoje korzenie. Biedacy.

Pogawędziły w swoim języku, pośmiały się i rozeszły.

Rianne czuła łaskotanie, kiedy kropelki potu toczyły się między piersiami na brzuch. Przeprawili się przez bród, oddzielający fortecę od miasta, i stanęli przed potężnymi

kamiennymi murami. Riitho ruszył przodem, przeszedł przez zwodzony most i olbrzymią bramę z kutego żelaza. Ostrożnie podążyła za nim. Wewnątrz wszystko świadczyło o wykonanych niedawno pracach restauracyjnych. Świeżo odmalowane tablice informacyjne wskazywały drogę do „kwater dla mężczyzn”, „kwater dla kobiet”, „mesy oficerskiej”, „kantyny dozorców niewolników” i tak dalej.

Na pokrytym trawą dziedzińcu było cicho, dookoła pionowo wznosiły się masywne, białe mury. Podbiegł do nich przewodnik, chciał ich serdecznie powitać i zaoferować swoją pomoc. Riitho podziękował za oprowadzanie, wołał pospacerować sam, z czarnym notatnikiem w ręku. Odszedł, Rianne podążyła za nim. Często się zatrzymywał, rysował coś w notesie lub robił notatki. Nie wyjaśniał, co robił, ale Rianne była zafascynowana jego sposobem postrzegania zamku, odnotowywaniem najmniejszych szczegółów. Pokazał, jak robi się przekrój przestrzeni i pomieszczeń, przez które przechodzili, odsłonił przed nią tajniki widzenia świata za ścianami, drzwiami, oknami pomieszczeń, w których dawniej mieszkali ludzie. W pewnej chwili zatrzymał się przed niezwykle wąską szparą w grubym murze. Nie były to drzwi, chyba też i nie okno. Otwór wychodził wprost na prowadzące w dół, niechlujnie wyciosane stopnie, którymi można było zejść na plażę. Riitho stał przed przesmykiem, dotykał murów, mierzył szerokość otworu dłonią. Rianne zastanawiała się, co to jest. Potrząsnął głową. Nie wiedział.

Zmęczeni upałem i wrażeniami po spacerze przez cmentarzysko niewolników, handlarzy niewolnikami i kolonistów, godzinę później poszli schodami w górę do księgarni. Ten sam przewodnik pełnił również funkcję sprzedawcy i kiedy Rianne wertowała książki, o których mimo dobrych szkół nigdy nie słyszała, Riitho wyciągnął notatnik i zapytał przewodnika o szczelinę w murze.

- Aha, o to panu chodzi... Widzi pan, to było dla niewolników - wyjaśnił mężczyzna. Bardzo chciał się popisać wiedzą na temat tego okresu w historii ojczyzny. Riitho szerzej otworzył oczy, wyglądał na zaintrygowanego. - Wie pan, ten otwór służył do mierzenia.

- Mierzenia czego?

Niewolników. Ci, którzy się prześlizgnęli, mogli wsiadać na statki. Ci, którym nie udało się przejść, musieli czekać. Chodziło o liczbę... no, rozumie pan? Statek zabierał określoną liczbę niewolników, więc musieli być raczej chudzi - cierpliwie tłumaczył przewodnik. Wielu turystów szokowało takie okrucieństwo.

Musieli przeciskać się przez szczelinę w murze? - Riitho zmarszczył czoło. Tak, tak... przez szczelinę w murze - przewodnik uśmiechnął się ze współczuciem. To były... okropne czasy. Okropne.

Riitho skinął głową i zacisnął usta. Rianne zauważyła i zrozumiała wyraz jego twarzy: pełne skupienie, zamknięcie się w sobie, nastrój, który oddalał go od niej. Bała się takiego stanu ducha Riitha, a jednocześnie z niezrozumiałych powodów bardzo mu współczuła. Wiedziała, że przez resztę dnia będzie milczący i zamyślony.

Była również pewna, że silne przeżycia wywołane zwiedzaniem zamku znajdą upust w sposobie uprawiania miłości. Jego ciało powie jej to, czego nie wyraził słowami.

## 56

Tydzień później Gabby jadła lunch z Rianne w Londynie. Pod stolikiem upchnęły stertę kupionych rzeczy. Umówiły się przed południem na zakupy. Gabby jechała na konferencję do Genewy i z Nowego Jorku zadzwoniła do przyjaciółki z prośbą o radę i pomoc w sprawie strojów. Spędziły bardzo miłe przedpołudnie, szukały odpowiednich ciuchów i opowiadały o ostatnich wydarzeniach w życiu wszystkich czterech koleżanek. Nathalie lada dzień miała rodzić. Zerwała z Paulem prawie natychmiast, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży.

Gabby nie potrafiła tego zrozumieć. Fakt, chłopak był mało ciekawy i z całą pewnością miał naturę darmozjada, ale samotne wychowywanie dziecka to nie żarty. W tamtym okresie Nathalie przez pewien czas wydawała się szczęśliwa.

Jednocześnie jednak zachowywała się bardzo tajemniczo: znikwała w weekendy, nie chciała mówić, gdzie była i co robiła. Koleżanki przypuszczały, że próbowali z Paulem uratować ich związek. Potem powiedziała im o ciąży i że definitywnie skończyła z Paulem. Wszystkie bardzo się tym niepokoiły, jednak Nathalie pozostała nieugięta. Nie chciała żadnych kontaktów z byłym chłopakiem, nie oczekiwała od niego żadnej pomocy. To było jej dziecko, sama sobie poradzi. Na spółkę z Charmaine we trzy kupiły wózek dla dziecka i umówiły się, że wszystkie cztery spotkają się u Rianne po południu. Całe wieki nie widziały się w komplecie, chociaż Charmaine nadal mieszkała za darmo przy Wilton Crescent i nic nie wskazywało na to, że zamierza się wyprowadzić.

Rianne była mocniej opalona. Gabby przypuszczała, że spędziła jakiś czas w ciepłych krajach. Wyglądała lepiej niż ostatnio: oczy jej błyszczały, twarz miała rozjaśnioną, nawet troszeczkę przytyła.

- Ale co ty właściwie robisz? Czym się zajmujesz? - Rianne patrzyła na Gabby ponad restauracyjnym stolikiem.

- Różne rzeczy. - Dziewczyna upiła łyk wina. - Piszę sprawozdania, prowadzę badania, podróżuję. Pracuję nad deklaracją ONZ w sprawie prawa kobiet do decydowania o urodzeniu dziecka. W większości jest to nudna, prawnicza gadanina. To chciałaś wiedzieć?

- To wygląda na bardzo... słuszne.

- Słuszne?

- Tak. Taka prawdziwa praca w słusznej sprawie. Zazdroszczę ci.

- Chyba żartujesz - zdumiała się Gabby. - Nie ma czego zazdrościć, to ty prowadzisz fascynujące życie, Rianne.

- Wcale nie. W ogóle takie nie jest.



- Więc dlaczego to robisz?
- Nie wiem, co innego mogłabym robić. Nigdy niczego innego nie robiłam.
- A co chciałabyś robić?
- Nie wiem.
- No to rozwiązałyśmy połowę problemu. Zanim coś w swoim życiu zmienisz, musisz wiedzieć, na co chcesz to zmienić. - Gabby nie okazała koleżance współczucia.
- A ty zawsze wiedziałaś, że właśnie to chcesz robić, tym się zajmować? Rianne bawiła się rantem kieliszka.
- Czym? Prawem? Prawami człowieka? - zdziwiła się Gabby i zamilkła na chwilę. Znała przyjaciółkę dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, iż rozmowa wcale nie dotyczy jej, Gabby, a Rianne wcale nie chodzi o to, czy koleżanka jest zadowolona ze swojej pracy. W podtekście chodziło o Rianne i o to, że to ona nie jest zadowolona ze swojej. Gabby nie bardzo rozumiała, dlaczego. Rianne zdawała się stworzona do życia, jakie prowadziła. Co chciała jej powiedzieć? Że chciałaby wieść inne życie?
- Dlaczego pytasz? - zwróciła się do przyjaciółki.
- Tak sobie. - Rianne popychała po talerzu czereśniowego pomidorka w occie balsamicznym. Odłamała kawałek bułeczki i zębami skubała pieczywo. - Wiesz, co się dzieje z innymi ludźmi ze szkoły Świętej Anny?
- Na przykład z kim? - Gabby była zaskoczona. Poza Nathalie i Charmaine, Rianne nigdy nie wyraziła najmniejszego zainteresowania nikim ze szkoły.
- Czy ja wiem. Becky? Albo z tą dziewczyną z Nigerii, jak ona miała na imię?
- Jumoke.
- Kiedy ostatnio rozmawiałam z Mattie - roześmiała się Gabby - a było to całe wieki temu, słyszałam, że Becky wyszła za farmera, a Jumoke poszła na medycynę. Teraz pewnie jest już lekarzem. Dlaczego pytasz?
- Bez powodu - mruknęła Rianne, bawiąc się winem. - Z ciekawości. A chłopcy? pytała dalej. - Utrzymujesz kontakty z Naelem, prawda?
- Tak. Jest w Bośni. - Spostrzegła zdziwiony wzrok Rianne. Przyjaciółka pewnie nawet nie wiedziała, gdzie to jest. Szybko wyjaśniła. Dziewczyna zmarszczyła czoło i lekko przymrużyła oczy.
- No proszę, sama widzisz - oświadczyła. - Każdy coś robi.
- Dziwię się, że nie pytasz o swojego śmiertelnego wroga - zażartowała Gabby.
- O kogo ci chodzi? - Twarz Rianne gwałtownie stężała.
- O Reę Modise'a. O kogóż by innego? - roześmiała się Gabby i nagle spostrzegła, że przyjaciółka mimo opalenizny robi się biała jak papier. - Ty chyba nadal nie...
- Gabby. Mogę ci zaufać? - w głosie dziewczyny brzmiała usilna prośba. - Mogę ci powierzyć wielki sekret? No pewnie, że możesz. Sama doskonale o tym wiesz. O co chodzi? Rianne milczała chwilę.
- Ja go kocham - powiedziała po prostu.

- Co?! - krzyknęła Gabby. Bezbrzeżnie zdumiona wpatrywała się w koleżankę. - O czym ty mówisz?

- Ree. Riitho. Jesteśmy... O Boże, jakie to trudne! Jesteśmy ze sobą.

- O czym ty mówisz? - Ostatni raz Gabby była tak zszokowana, kiedy Nael powiedział jej o matce. - Co chcesz mi powiedzieć?

- Spotykamy się.

- Od kiedy?

- Parę lat - Rianne mówiła powoli.

- Od paru lat? - Gabby nie odrywała wzroku od przyjaciółki. - Chyba żartujesz?

- Nie wierzyła własnym uszom. Riitho Modise? - I do tej pory n i c nie mówiłaś?

- Nie mogłam. Gabby, jesteś jedyną osobą na całym świecie poza jego ochroniarzem, która o tym wie. Nie mogę nikomu powiedzieć. Wściekłby się, gdyby wiedział, że ci wyznałam prawdę.

- Jezu, Rianne - Gabby zamrugnęła oczami. Wyglądało na to, że przyjaciółka za chwilę się rozpłacze. Wyciągnęła rękę przez stół i ścisnęła jej dłoń. - Gdzie...?

- W Paryżu - Rianne głęboko odetchnęła. Poczowała się lepiej, kiedy podzieliła się z kimś tajemnicą. Teraz ktoś z nią razem będzie dźwigał ciężar sekretu. Zaczęła opowiadać o początkach i rozwoju ich związku.

Gabby oparła brodę na dłoniach i słuchała z otwartymi ustami.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała, kiedy Rianne skończyła opowiadać. -

Niewiarygodne. Nie mogę uwierzyć, że w twoim życiu działały się takie rzeczy, a ty nawet słowa nie pisnęłaś. Jak mogłaś? Jak udało ci się zatrzymać to wyłącznie dla siebie? Ja krzyczałabym z wysokiej wieży, żeby cały świat mnie usłyszał!

- Nie było mi łatwo. Ale Riitho jest bardzo ostrożny. To właściwie jemu zależy na utrzymaniu tajemnicy. Martwi się, jak by jego rodzina i przyjaciele zareagowali, gdyby się dowiedzieli. Szczerze mówiąc, moim bliskim byłoby wszystko jedno.

- Nie bądź taka pewna. - Podczas pracy dla UNTAG Gabby wielokrotnie bywała zdumiona wrogością, z jaką reagowano na nazwisko de Zoete, nawet w Namibii, gdzie rodzina posiadała kopalnie plutonu i uranu. Czy Rianne wiedziała, że teraz Lisette i Hennie nigdzie się nie ruszają bez policji stanowej? Chłopaka prawie zawsze widywano w towarzystwie ochroniarzy i agentów tajnych służb. Groźby pod adresem rodziny były coraz częstsze i poważniejsze, a rzucały je przeróżne grupy polityczne, zarówno prawicowe, jak i lewicowe. - Kiedy ostatni raz byłaś w domu? - zapytała.

- W Republice Południowej Afryki? Trzy lata temu. Kiedy zmarł stryjek Hendryk. Jakoś tak nie wydaje mi się to... właściwe. Dopóki Riitho nie będzie mógł wrócić. Gabby nie mogła wyjść ze zdumienia. To nie była ta sama Rianne, która weszła do internatu szkoły Świętej Anny osiem lat temu, to nie była ta sama Rianne, która pół godziny temu weszła do restauracji.

- Sytuacja się zmieniła - ostrożnie zaczęła Gabby. Jakieś dwa miesiące temu była z

ramienia UNTAG w Johannesburgu. - Musicie uważać nie tylko na ludzi Riitha. Bądź ostrożna również w swoich kręgach.

- Co chcesz mi powiedzieć? Kiedy ostatnio rozmawiałaś z Lisette?

- Miesiąc temu. Dlaczego pytasz? Co się stało?

- Jeszcze nic. Ale rodzina, a szczególnie Hennie, otrzymywała przeróżne pogróżki, nawet grożono im śmiercią. To się ciągnie od czasu Vlakfontein. - Rianne zmarszczyła czoło. Vlakfontein. Znowu ta nazwa. - Jest taka organizacja polityczna, odłam większego ruchu, nazywa się Ludowa Republika Transwalu - LRT - uważają waszą rodzinę za doskonały przykład tego, co Afrykanerzy mogli zdobyć. Jesteście jedyną żydowską rodziną z Wielkiej Szóstki. - Rianne nie wiedziała, o co chodzi.

- Wielkich korporacji przemysłu wydobywczego - wyjaśniła koleżanka.

- Rianne pokręciła głową. Wyjaśniła, że mieli żydowskie korzenie, dziadek był Żydem. Stryjek Hendryk został pochowany na żydowskim cmentarzu Evanside. ' Być może, ale niewiele osób o tym wie - zgodziła się Gabby. Rianne nie odrywała od niej wzroku. - Rianne, jeśli rozniesie się, że spotykasz się z Riithem, możesz mieć poważne kłopoty. To są fanatycy, Rianne. Szaleńcy.

Po południu Rianne rozmyślała o tym, czego dowiedziała się od Gabby. Tydzień temu Riitho powiedział prawie to samo. Ahe on nie mówił o ekstremistycznych ugrupowaniach Afrykanerów, tylko o czarnych separatystach. Chcieli usunąć z Republiki Południowej Afryki wszystkich białych. Z każdej strony groziło im niebezpieczeństwo, nadciągało szybko i było bardzo poważne. Riitho wrócił do Paryża. Mieli się spotkać pod koniec miesiąca. Udało mu się wynająć małe mieszkanie w północnej części miasta, w pobliżu Buttes - Chaumont, w okolicy omijanej przez paparazzich i supermodelki. Zainstalowano tam bezpieczny telefon. Dotychczas tylko Lebohang znał adres, teraz o mieszkaniu wiedziała również Gabby. Z nią tajemnica była bezpieczna, nie powie żywej duszy. Co do tego Rianne nie miała wątpliwości.

Wsparała się na łokciu i popatrzyła na leżącego obok Riitha. Czy miała mu powiedzieć od razu? A może lepiej później? Otworzył oczy i spojrzał na dziewczynę. Wyciągnął rękę, ujął dłonią garść jej włosów, skręcił i obserwował, jak niczym płynne złoto przelewają się między palcami. Wiedziała, że Riitho nie zwraca w takim stopniu jak ona uwagi na różnice między nimi, ale bardzo lubił jej włosy. Grube pasmo przerzucił sobie przez twarz i wdychał ich zapach. Kokos zmieszany z dymem papierosowym. Jedli kolację w małej arabskiej restauracyjce po drugiej stronie parku. W środku było gęsto od dymu. Przynajmniej jej udało się rzucić palenie.

- Riitho... - zaczęła z wahaniem. Omiótł ją spojrzeniem. Zawsze zaczynała w ten sposób, kiedy chciała powiedzieć mu coś ważnego.

- Uhm? - Zsunął rękę niżej i oparł w zagłębieniu obojczyka. Kciukiem gładził skórę. Wyciągnął drugą rękę i objął dłonią pierś. Pieścił twardniejącą brodawkę i obserwował leniwie, jak dziewczyna zaczynała szybciej oddychać. - Uhm? - zapytał

raz jeszcze i uśmiechnął się, kiedy z rozmarzeniem przymknęła oczy. Już nic.

- Nic.

Pieścił ją dalej, odrobinę zwiększając ucisk. Wyprężyła się - jak kot, powiedział kiedyś - i całkowicie poddała podniecającym pieszczotom. Ujął jej dłoń i przycisnął do siebie. Znowu był wielki i twardy.

- Na pewno? - zapytał, wsuwając się między jej uda.

Nie odpowiedziała. Powoli w nią wszedł, po raz nie wiem który zastanawiając się, co takiego Rianne w sobie ma, że zawsze przy niej traci zmysły. Doprowadził oboje do szalonego, drżącego, zapierającego dech w piersiach orgazmu. Kiedy był przy niej, kiedy jej dotykał, pragnął tylko jednego: kochać się z nią. Kiedyś, gdy po raz drugi i trzeci doprowadził ją do orgazmu, powiedziała... że właśnie w to wierzy. Odwrócił głowę, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Uprawianie miłości - sprecyzowała. - Gdzieś to czytałam. „To jedyna rzecz, którą można uprawiać, ale nie da się zatrzymać”.

Wolno skinął głową. Miała rację, a nieważne, gdzie to przeczytała.

- Ree... - zaczęła ponownie godzinę później. Tym razem naprawdę spał. Potrząsnęła nim, głowę oparła na piersi. - Riitho. Obudź się. Muszę ci coś powiedzieć.

- Co? - ostrożnie otworzył jedno oko.

- Tylko nie bądź zły. Obiecujesz? - Bawiła się włosami.

- Obiecuję.

- Nie, naprawdę. Obiecaj poważnie.

- De Zoete, jak mogę ci obiecać, skoro nie mam pojęcia, o czym mówisz? otworzył szeroko oboje oczu.

- Ja... - Odchrząknęła. - Komuś powiedziałam. Co komuś powiedziałaś? - Głos dudnił mu w piersi. Uniosła się i spojrzała mu w oczy.

- Powiedziałam o nas.

Przez chwilę milczał. Potem odsunął się od niej i usiadł na łóżku. Patrzyła na jego plecy, twarde, rzeźbione mięśnie, których nauczyła się dłońmi na pamięć. Zacisnął pięści na brzegu łóżka. Bicepsy miał naprężone, jakby chciał coś powstrzymać.

- Komu? - zapytał lodowatym tonem.

- Gabby. Musiałam. Przepraszam, po prostu musiałam.

Z niepokojem wpatrywała się w jego plecy. W ciągu tych dwóch lat jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany. Przypomniała sobie scenę w herbaciarni Serendipity. Spuścił nogi z łóżka, poszedł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi. Leżała bez ruchu. Słyszała szum prysznic. Po pięciu minutach wyszedł, owinięty w talii ręcznikiem. Nie odezwał się do niej, tylko zaczął się ubierać.

- Riitho, ja... - Łzy płynęły jej z oczu.

- Ani słowa więcej.

Skończył zapinać koszulę, włożył marynarkę i wyszedł z pokoju. Chwilę później usłyszała odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Poszedł. Tak po prostu.

Wrócił po prawie czterech godzinach. Wszedł do mieszkania, rzucił klucze na stół i skierował się prosto do łóżka, na którym leżała zwinięta . w kłębek, tak jak ją zostawił. Nawet nie zdjął marynarki, położył się na dziewczynie kompletnie ubrany i wtulił twarz w jej szyję. Delikatnie pachniał dymem z papierosów i rumem. Zaczęła łkać.

- Przepraszam - powiedział stłumionym głosem, łaskocząc ją w szyję. -  
Przepraszam.

- Nie powinnam... - mówiła przez łzy. - Nie wiem, dlaczego...

- Sza. Wszystko w porządku. - Językiem zlizwał słoną strużkę łez z jej policzka. Rozumiem. Przepraszam. Nie powinienem tak zareagować.

Milczała, objęła go ramionami, głęboko nabierała powietrza w płuca pod jego ciężarem. Przewrócił się na bok, nie wypuszczając jej z ramion. Czuł, że będą kłopoty.

## 57

Kiedy dziecko wyślizgnęło się z niej, krzyząc wniebogłosy, Nathalie spróbowała usiąść. Nasadę dłoni przycisnęła do drżącego brzucha. Położna trzymała ją za rękę i wycierała zroszone potem czoło. Lekarze odcięli pępowinę i natychmiast zabrali noworodka, żeby go zważyć. Wyprostowała się, chciała zobaczyć. Kto to jest? Chłopiec czy dziewczynka? Podczas ciąży nie chciała poznać płci płodu, zależało jej wyłącznie na tym, żeby dziecko było silne i zdrowe.

- Chłopiec - poinformowała ją szkocka położna. - Zdrowy, pełen animuszu chłopak. Ponad trzy kilogramy! Całkiem niezłe, jak na taką drobną matkę! Nathalie opadła na poduszki i rozplakała się ze szczęścia. Czekala . chwilę, aż lekarze zważą wrzeszczącego noworodka, i wreszcie otulonego w mięciutką białą bawełnę wzięła w ramiona.

- Wreszcie cię poznałam - szepnęła mu do ucha. Małe piąstki machały w powietrzu, buzia otworzyła się do kolejnego przeraźliwego krzyku. A więc tak to wygląda. Tak człowiek się czuje, kiedy poznaje kogoś po dziewięciu miesiącach oczekiwania. Kręciło jej się w głowie. Kombinacja narkozy i tlenu, bólu i oczekiwania niemal ścięła ją z nóg. Przytuliła synka, z zachwytem wpatrywała się w jego śniadoróżową twarzączkę i kępkę smoliście czarnych włosów. Był jej, ale wolał przybrać wygląd Saszy.

W szpitalnym pokoju Nathalie czekały Cordelia i Jenny, żona Philippe, z Annelise, ich trzyletnią córeczką. Dziewczynka bez przerwy biegała do drzwi sprawdzić, czy ciocia nie wraca.

- Mamusiu, już jest! - krzyknęła na widok wiezionej korytarzem na wózku Nathalie. Jenny i Cordelia zerwały się na równe nogi.

- Annelise, chodź tutaj. Właśnie, przytrzymaj drzwi - poleciła Jenny, a Cordelia

odrzucała kołdrę na łóżku. Pokój tonął w kwiatkach, matka Nathalie pamiętała, jak się czuła, kiedy w samotności rodziła dwójkę swoich dzieci. Nawet kartki nie dostała, chociaż w odróżnieniu od córki przynajmniej miała męża. Paula widziała tylko raz i nie zrobił na niej najlepszego wrażenia, ale Nathalie tak rzadko się z kimś spotykała, że i za takiego jej partnera była wdzięczna losowi. Często się zastanawiała, co jest z córką. Była taka energiczna, bardzo przedsiębiorcza, ale nie czuła potrzeby wygospodarowania czasu dla mężczyzn, nie myślała o założeniu rodziny ani o niczym innym, o czym zazwyczaj marzą młode kobiety. Wreszcie sytuacja się zmieniła. Nathalie została matką.

Sanitariusze wwieźli położnicę do pokoju. Niemowlę leżało przy piersi matki. Było zawinięte w jeden z kupionych przez Cordelię bawełnianych kocyków. Ukochany wnuczek nie mógł leżeć w jakichś drapiących szpitalnych szmatkach.

- Skarbie - odezwała się Cordelia. Czuła napływające do oczu łzy. Uśmiechnęła się do córki. Sanitariusze pomagali Nathalie położyć się do łóżka. - Och, Schatz, moja kochana.

- Mamo, mogłabyś... - Nathalie nogami próbowała odrzucić kołdrę. Cordelia i Jenny rzuciły się do łóżka, poprawiały poduszki, pomagały młodej kobiecie wygodnie się ułożyć. Annelise nieśmiało trzymała się z boku.

- Czy to chłopczyk? - zapytała Jenny.

Nathalie skinęła głową. Zsunęła z główki dziecka kocyk, w pokoju zapanowała cisza. Cordelia spojrzała na gęste czarne włoski, lekko skośne oczy... oliwkowy odcień skóry i z trudem złapała oddech. Wpatrywała się w niemowlę szeroko otwartymi oczami. Podniosła wzrok na córkę.

- Daj spokój. Nathalie wbiła w matkę zimne spojrzenie. Nie ważyła się powiedzieć jednego słowa. Ani jednego cholernego słowa.

## 58

Był Londyński Tydzień Mody. Rianne bardzo się cieszyła nie tylko perspektywą całotygodniowych pokazów mody i przyjęć, ale również dlatego, że w tym samym czasie miał być w Londynie Riitho. Została zaangażowana przez awangardowych londyńskich projektantów i po raz pierwszy od dawna niecierpliwie czekała na występy. Poprzedniego dnia Steven Fairley, nowo odkryty Młody Geniusz londyńskich wybiegów, całe popołudnie poświęcił na próbę z modelkami. Rianne bardzo podobały się jego pomysły dotyczące przygotowania wybiegu, oprawy muzycznej, aranżacji kwiatów i oświetlenia. Była w wyjątkowo dobrym nastroju. Twarz rozpromieniało jej jakieś wewnętrzne światło. Naturalnie nikt nie znał powodu, a to czyniło jej radość absolutnie wyjątkową. Przechadzała się po salach, 402 wiedząc, że po pierwszym męczącym wieczorze zamelduje się pod fałszywym nazwiskiem w hotelu Hilton na Park Lane, a Riitho zrobi to samo. Potem się

zobaczą. Cudownie się czuła, tęsknie wyczekując spotkania przez cały dzień. Projektanci spoglądali na nią i odnotowywali w pamięci. Inne modelki uśmiechały się sztucznie. Rozświetlająca całą postać radość nie mogła być udawana, takiego rozpromienienia nie kupi się za żadne pieniądze.

Zeszła z wybiegu na zakończenie pokazu projektów Fairleya przy akompaniamencie hucznych braw. Stroje: długie, śliskie kawałki czarnego jedwabiu, niesamowite kapelusze zdobione piórami i cieniutkie, przylegające do ciała suknie wieczorowe, podbiły publiczność. Projektant nie posiadał się z radości. Chciał razem z Rianne wyjść i ukłonić się zaproszonym gościom. Była jego modelką, to on ją stworzył, stroje zostały zaprojektowane dla niej.

Rianne niecierpliwiła się, pragnęła jak najszybciej wyjść, ale przedstawiciele prasy musieli zarobić na swoje pensje. Fairley wszedł za kulisy i błagał, żeby nie zdejmowała ostatniego demonstrowanego na wybiegu stroju. Było to dziwaczne połączenie białego jedwabiu i tweedu w szkocką kratę upięte na turniurze, a do tego buty do jazdy konnej. Potrząsnęła głową, nie może, musi wyjść. Jest z kimś umówiona.

- Mowy nie. ma! - sprzeciwił się Fairley, chwycił ją za rękę i wyprowadził z przebieralni. Umówiła się z przyjacielem? Żarty sobie robi? To przecież Londyński Tydzień Mody, a on i ona są gwiazdami tegorocznych pokazów. To była ich wielka chwila, nie pozwoli jej tego przegapić. Kilka starannie wybranych zdjęć Rianne w zaprojektowanych przez niego strojach na rozkładówkach wychodzących jutro kolorowych pism bardzo pięknie przełoży się na dużą gotówkę. - Nawet nie chcę o tym słyszeć, skarbie! - wrzasnął, przekrzykując zgiełk.

Magazyny w Chelsea, w których odbywały się pokazy mody, przekształcono w lśniącą blaskiem salę balową. Tysiące świeżo rozwiniętych pączków czerwonych róż kąpało się w blasku świateł zawieszonych na suficie, płomienie rubinowych świec rzucały drżącą poświatę na ściany przemysłowego pomieszczenia. To był pomysł Fairleya: nigdy nie wynajmuj nocnego klubu czy restauracji, jeśli nie chcesz konkurować z ich własnym, obnoszonym wizerunkiem. Stwórz coś zupełnie innego! Zmień charakter jakiegoś pomieszczenia! Pomysł się sprawdził.

Ktoś wcisnął jej w rękę szklaneczkę z koktajlem i zanim zdołała zaprotestować, została wciągnięta w tłum. Czuła się dobrze. Spotkała dawno niewidzianych ludzi, znajome modelki, jedną lub dwie gwiazdy rocka, fotografów, którzy podnosili kieliszki, gratulując jej „powrotu” do świata mody.

Dopiero przed północą mogła się wyrwać z rozbawionej ciżby ludzi. Fairley już dawno przepadł gdzieś w tłumie. Rianne wślizgnęła się do garderoby i zdjęła z siebie jego niesamowity strój. Zerknęła na zegarek. Riitho tego wieczora był honorowym gościem na balu charytatywnym w hotelu Dorchester. Obiecał, że wróci do Hiltona przed dziesiątą. Miała już dwie godziny spóźnienia! Wskoczyła w czarne spodnie, włożyła skórzany płaszcz i wzięła torebkę.

Zaczekała na taksówkę i kazała się zawieźć do hotelu na Park Lane. Na ulicach

panował duży ruch. Taksówkarz twierdził, że zawsze tak bywa w sobotnie wieczory. Dużo czasu zajęła im jazda przez .Knightsbridge i dotarcie do Park Lane. Wiedziona impulsem, kazała taksówkarzowi się zatrzymać, wyskoczyła z samochodu i pieszo skierowała się do hotelu Dorchester. Mężczyźni w smokingach wychodzili na ulicę, stali w foyer. Przypuszczała, że byli to goście balu. Przypomniała sobie, iż Riitho mówił, że bal zorganizował laburzystowski Komitet Przeciwników Apartheidu. Mieli być na nim politycy i działacze Partii Pracy oraz zaangażowani politycznie przedstawiciele świata sztuki i architektury. Towarzystwo zupełnie jej nieznane. Rozpoznała jedną czy dwie twarze, natomiast na nią nikt nie zwrócił uwagi. Z zaczesanymi do tyłu włosami i bez teatralnego makijażu na twarzy wyglądała jak jedna z wielu pięknych kobiet, które ciągle wchodziły i wychodziły z hoteli przy Park Lane. Przepchnęła się przez tłum, goście ciągle bawili się w najlepsze. Natychmiast go spostrzegła. Nie była jednak przygotowana na to, co zobaczyła. Tańczył z kimś, z ładną młodą Murzynką śmiał się z czegoś, co powiedziała. Pochylił głowę, dziewczyna była znacznie od niego niższa. Rianne nie chciała widzieć, co będzie dalej. Ogarnęła ją wściekła zazdrość - rozdzierała serce, powodowała drżenie kolan. Odwróciła się na pięcie i wybiegła, nie zwracając uwagi na fotografa, który pstryknął jej zdjęcie.

Pobiegła Park Lane, oczy ją piekły. Odebrała klucz w recepcji, minęła windy i pieszo pokonała dwanaście kondygnacji schodów. Otworzyła drzwi pokoju, zatrzasnęła je za sobą i rzuciła się na łóżko, próbując wymazać sprzed oczu widok pochylającego się do dziewczyny Riitha. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bardzo zagrożona, nigdy jeszcze aż tak się nie bała. Kim była ta dziewczyna? Jak się poznali? Co on z nią robił? Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Z drugiej strony przecież nigdzie razem nie bywali. Skąd mogła wiedzieć, jak się zachowywał pod jej nieobecność? Z wściekłości nie mogła nawet płakać. Oddychała chrapliwie, jakby nie była w stanie nabrać dość powietrza w płuca. Kipiała ze złości.

Pół godziny później rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Nie zareagowała.

- Rianne? - usłyszała głos Riitha. - To ja. Otwórz.

Odejdź! - powiedziała głośno. Serce waliło jej jak młotem, czuła suchość w ustach.

- Rianne? O co chodzi?

- Idź precz! - Mogła sobie wyobrazić, jak Riitho marszczy czoło. - Odpieprz się!

Podeszła do drzwi i oparła się o nie ręką. Wyjrzała przez wizjer. Stał w smokingu. Był zły.

- Co ty za gierki prowadzisz? - Spoglądał na drzwi.

- Daj mi spokój. - Oparła się głową o drzwi. Nagle zadrżały, kiedy walnął w nie pięścią. Przerażona, odskoczyła w tył.

- De Zoete, klnę się na Boga, że jeżeli nie otworzysz tych pieprzonych drzwi, to je wyważę.

Spojrzała na drzwi i przekręciła klucz. Jak burza wpadł do pokoju.



- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła, kiedy zatrząskiwiał drzwi za sobą.

- O co chodzi? - pytał ze zmarszczonym czołem. - Coś cię wytrąciło z równowagi?

- Żarty sobie robisz?

- Co takiego? - Wyglądał na szczerze zdumionego.

- Co takiego?! Co takiego?! - krzyknęła ze złością.

- De Zoete, nie czytam w twoich myślach. O co chodzi? No, mów.

- Ja za to potrafię czytać w twoich myślach.

- Co to znaczy?

- Doskonale wiesz, co to znaczy! Nie udawaj, że nie rozumiesz, o czym mówię.

Widziałam cię. - Co widziałaś? O co tu chodzi?

- Widziałam cię z tą dziewczyną, tańczyłeś z nią. - Nie potrafiła powiedzieć głośno: Z tą czarną dziewczyną.

- Thandi? Thandi Dyani? Nie wiem, kim ona jest. Zresztą wszystko jedno. Poszłam cię szukać i widziałam, jak ją całujesz. Nie kłam!

- Rianne, oszalałaś. Nikogo nie całowałem. To była Thandi Dyani, córka Dyaniego. Znamy się od dziecka.

- Ale ją obejmowałeś - syknęła.

- Przecież tańczyliśmy walca, Rianne. Oczywiście, musiałem ją objąć. - Zaczął się śmiać i zbliżać do niej.

- Nie śmiej się, nie śmiej się ze mnie. Przestań!

- Przestań się wygłupiać, uspokój się. Nic mnie z nikim innym nie wiąże. Chodź. No, chodź... - Podszedł bliżej. - O rany! - Uderzyła go, wykorzystując chwilę nieuwagi. Pięścią walnęła w ramię. Bez trudu złapał ją za rękę. - Przestań. Co się z tobą dzieje? Oszalałaś?

- Dlaczego mi tego po prostu nie powiesz? - rozpłakała się.

- Czego ci nie powiem? '

- Że wolisz.... - Nie mogła tego z siebie wydusić. Stali twarzą w twarz. Riitho ciężko oddychał. Puścił jej rękę i odwrócił się, szarpiąc poły smokingu. Mocno przesadziłaś, de Zoete. - Przejechał dłonią po twarzy. Był niebezpiecznie spokojny.

- Gównu mnie to obchodzi. Chcę znać prawdę. - Nie spuszczała z niego wzroku.

- Prawdę? Chcesz znać prawdę? - Znowu chwycił ją za ramię i pociągnął do okna. Teraz był wściekły, znacznie bardziej od niej. - Słuchaj. Powiem to tylko raz. Wbij to sobie do głowy. Niczego nie wolę. To nigdy nie miało znaczenia. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Widzisz świat za oknem? - Odsunął kotary. - Teraz nie musimy temu światu stawiać czoła. Ignorujemy go, możemy sobie na to pozwolić. Masz pojęcie, co się stanie, kiedy nasz związek wyjdzie na jaw? Wszyscy będą mówili tylko o tym. O kolorze skóry. Przynajmniej ty tego nie rób. - Puścił ją nagle i odszedł od okna. Popatrzyła za nim.

Usiadł na brzegu łóżka, twarz ukrył w dłoniach. Z trudem przełknęła ślinę. Mijały minuty. Podniósł głowę.

- Chodź do mnie - skinął ręką. Niepewnie podeszła i stanęła przed nim. Patrzył na

dziewczynę i potrząsał głową. Makijaż miała rozmazany, włosy w nieładzie. Pomyślał, że jest bardzo piękna. Pociągnął ją na łóżko obok siebie. Znacznie później przewrócił się na bok i wsparł na łokciu, żeby na nią popatrzeć. Twarz miała zasłoniętą włosami. Znowu je zapuszczała - rozsypane na policzku wyglądały jak gruby, złoty koc. Odszukał wzrokiem kontury spuchniętych od płaczu oczu.

- Wiesz, musimy się nauczyć rozmawiać o tych sprawach. Nie chodzi mi o to, żeby się nie złościć, ale musimy sobie jakoś z tym radzić. Musisz ze mną rozmawiać.
- Ty również musisz ze mną rozmawiać.
- Uważam, że rozmawiam z tobą.
- Ale się przy tym złościysz.
- Nie złość się, nie jestem zły. - Zamilkł na chwilę. - Złość się?
- Czasami. Czasami ja... Boję się poruszyć ten temat. Dlaczego?
- Nie wiem... to bardzo trudne. Czasami wydaje mi się, iż to bez znaczenia, że ja jestem biała, a ty czarny. Jesteś po prostu sobą, Riithem, a ja sobą. Nie myślę o kolorze skóry.
- Daj spokój, de Zoete, nie możesz być aż tak bardzo naiwna. Wszyscy zwracają uwagę na kolor skóry. Trudno tego nie zauważyć.
- Wiem, wiem... Z tobą jest inaczej.
- Dlaczego? Dlaczego ze mną jest inaczej? Dlaczego wciąż to powtarzasz?
- Bo tak jest. Wy jesteście... silniejsi. Nadchodzą czasy waszych rządów.
- O czym ty mówisz? W kraju?
- Nie, nie tylko w kraju. - Odwróciła się i spojrzała w przestrzeń między zgiętym ramieniem. Głos miała stłumiony. - Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w szkole Świętej Anny, sytuacja była zupełnie inna. Ja byłam inna. Nic nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, jak być kimś innym, kiedy wyjechałam z Republiki Południowej Afryki. - Z trudem szukała właściwych słów. - Widzisz, w tym tkwi problem. Biali, ludzie tacy jak ja, nic nie wiedzą. Nie wiemy, jak stać się innymi. Jeżeli nie wyjeżdżamy z Republiki Południowej Afryki, wszystko jest w porządku... no, powiedzmy, było w porządku. Kiedy się jednak pojedzie w świat, widzi się, że to kłamstwo. Nigdzie indziej ludzie tak nie żyją. Nic się nie zgadza: wszystko, co ci mówiono o tym, jak świat jest urządzony, jak chcieliby, żeby był skonstruowany, to nieprawda. W tym rzecz. Chodzi o to, czego by chcieli ludzie, którzy to wszystko zaplanowali. A to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, z tym, jak jest naprawdę. Dlatego dopiero po wyjeździe można zauważyć, że żyło się w kłamstwie. Jest się tylko połową historii. Żyje się tylko w połowie. Istnieje druga połowa, brakująca połowa, połowa, której w naszym kraju nigdy nie widzieliśmy. - Zamilkła, Riitho głaskał ją po głowie. Słuchał bardzo uważnie. - Ty jesteś tą drugą połową - ciągnęła po chwili. - Sprawiasz, że powstaje całość. Dla mnie.
- Uważaj, Rianne. - Wykonał ostrzegawczy ruch ręką. - Nie jestem tutaj po to, żeby

cię zbawić.

- Wiem.

- Mówię poważnie.

- Wiem.

Ale nie wiedziała. Nie rozumiała. Widział to. Cokolwiek powiedziała, teraz łała wodę i czekała na jakiś znak, jakiś sygnał od niego, który wskazałby jej drogę, powiedział, jak postępować, jak się zachowywać. Milczał. Pytanie, jak mają żyć dalej, pozostało bez odpowiedzi. Ciężko zawisło w powietrzu.

## 59

Trzy miesiące później w Londynie Charmaine doskonale się bawiła. Pan Wyjątkowy okazał się rzeczywiście godny tego miana. Lubiła go niezależnie od prezentów, którymi ją obsypywał, doskonałego wina i sprawności seksualnej. Różnił się od wszystkich mężczyzn czy chłopców, z którymi sypiała. Był człowiekiem dojrzałym, a ona odruchowo do tego się przystosowała. Uwielbiała obserwować reakcje mężczyzny, kiedy go rozśmieszała albo - jeszcze lepiej - erotycznie podniecała. Robiła wszystko, żeby zasłużyć na aprobatę pana Wyjątkowego.

Pochyliła głowę nad jego łonem. Już po kilku sekundach szczytował, znalazł się na krawędzi. Wyczytała to w oczach mężczyzny, kiedy podniosła wzrok, jednocześnie muskając językiem żołądź prącia i przytulając bujne piersi do jego ud.

- Niestety - odezwał się po chwili ciszy - dzisiaj będę musiał wcześniej wyjść, skarbie.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego z kwaśną miną.

- Muszę załatwić milion spraw - wyjaśnił z żalem. - Ustalę z Jamesem termin następnego spotkania. Jak większość mężczyzn korzystających z „usług” Charmaine nawet nie pytał, czy będzie wolna. Tego dopilnuje James.

- Cieszyła się, że zdawał się doceniać, co dla niego robiła, była jednak również trochę rozczarowana. Szkoda - powiedziała przekornie i wyprostowała się. Lubiła obserwować, jak omiata ją wzrokiem.

- Dopiero przyjechałem - powiedział, sięgając po krawat i marynarkę. Zaaranżuję coś na jutro albo na weekend.

Charmaine w czarnym koronkowym pasie do pończoch stała tyłem do niego.

Pochyliła się do przodu, żeby wsunąć piersi w stanik i usłyszała, jak ze świstem łapie oddech.

- Jesteś piękna, wiesz? - Wstał i mocno przytulił się do niej z tyłu. - Piękna - powtórzył, obejmując dłońmi jej piersi. - Wrócę jeszcze dzisiaj wieczorem. Czekaj na mnie.

Żartobliwie zasalutowała. Sięgnął po spodnie.

Musiał szybko dotrzeć do mieszkania, w którym pozwolono mu się zatrzymać na

weekend, i zmienić spodnie. W kroku miał dużą plamę. Kiedy otworzył drzwi i poczuł zapach damskich perfum oraz dymu papierosowego, w pierwszej chwili pomyślał, że czasowo musi tu mieszkać Rianne. Lisette nic o tym nie wspominała, wiedział jednak, że jej bratanica prowadzi wędrowny tryb życia. Położył klucze na stoliku przy ścianie, krzyknął, oznajmiając swoje przybycie, i rozejrzał się po holu. Nikt mu nie odpowiedział.

Zapach wewnątrz był zdumiewająco znajomy. Dziwne. Takich perfum używała Charmaine. Trochę zirytowała go obecność Rianne w mieście. Planował zabrać Charmaine do mieszkania na weekend. Ciągnąc za sobą walizkę, przeszedł przez mieszkanie. Pomyślał, że Rianne zapewne zajmuje główną sypialnię, poszedł więc do jednego z pokoiów gościnnych. Łóżko było pościelone, na nocnym stoliku stały kwiaty. Lisette musiała uprzedzić sprzątaczkę o jego przyjeździe.

Zaczął się rozpakowywać, jednocześnie planując, jak najlepiej przekazać jej zdobyte informacje. Wypłaty z konta były coraz częstsze i coraz wyższe. Nie ulegało wątpliwości, że coś się szykuje; w ubiegłym miesiącu z konta zniknęło prawie trzysta pięćdziesiąt milionów randów. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy dwukrotnie był w Zurychu i za każdym razem niczego się nie dowiedział. Nie był w stanie wytropić, co się dzieje. Pan Schmidt z UMB, jednego z dyskretnych, anonimowych banków, z którego usług od dziesięcioleci korzystała korporacja de Zoete (Pty) Ltd, bardzo przepraszał, ale stanowczo odmawiał udzielenia informacji. Ktokolwiek założył ten rachunek, doskonale wiedział, co robi.

Godzinę później odłożył słuchawkę telefonu i oparł się wygodnie na kanapie. Biorąc pod uwagę okoliczności, Lisette stosunkowo dobrze przyjęła informacje. Pod koniec tygodnia miał wrócić do Kapsztadu. Zerknął na zegarek, było piętnaście po dziewiątej. Miał dość czasu na prysznic i przekąszenie czegoś, zanim znowu zadzwoni do Jamesa. Naprawdę szkoda, że Rianne była w Londynie. Chciałby wsadzić Charmaine do taksówki otuloną tylko płaszczem. Ponownie spojrzął na zegarek. Powinien zadzwonić do Stelli i dzieciaków. Właśnie miał sięgnąć po słuchawkę telefonu, kiedy usłyszał, że ktoś wchodzi do mieszkania. Rianne.

Poprawił krawat i podniósł się z kanapy. Od bardzo dawna jej nie widział, chociaż twarz znał doskonale. Bardzo niewiele osób z Republiki Południowej Afryki robiło międzynarodową karierę. W kraju codziennie widywał jej zdjęcia na okładkach czasopism. Usłyszał stukot obcasów po podłodze w holu i z uśmiechem na ustach ruszył do drzwi, żeby powitać dziewczynę. Kiedy weszła, ze zdziwienia opadła mu szczęka. To nie była Rianne, tylko Charmaine.

- Co, u... - Opanował zdumienie. - Kto, u diabła, podał ci ten adres? Jakim cudem...
- Bardzo przepraszam, ja tu mieszkam.
- Jak cholera! Wiesz, czyj to dom?
- Oczywiście, że wiem. Mojej najlepszej przyjaciółki, Rianne de Zoete.
- Co takiego? Kogo twojego?
- Przyjaciółki. Rianne de Zoete.

- Jezu! - jęknął Simon Kalen i ciężko osunął się na kanapę.

- Nie wyjaśniłeś mi, co ty tutaj robisz - powiedziała Charmaine, ciągle stojąc w drzwiach.

Podniósł wzrok. Nagle doznał olśnienia. Oczywiście. Sans Soucis. Przyjechała tam z Rianne, była jedną z koleżanek ze szkoły, do której odesłano bratanicę Lisette. Od początku odnosił wrażenie, że gdzieś już ją widział. Ile wobec tego miała lat? O Chryste! Czy Rianne wiedziała, jak jej koleżanka zarabia na życie?

Jestem starym przyjacielem rodziny - wyjaśnił spokojnie, modląc się w duchu, żeby go nie rozpoznała. Musiał się jej pozbyć, i to szybko. Spojrzał na dziewczynę. Stała w drzwiach i z otwartymi ustami gapiła się na niego. Ciągle miała na sobie długą sukienkę z jedwabiu, w której była po południu. Wyglądała dostatecznie dobrze, żeby... Myśli szybko przelatywały mu przez głowę. - Czy Rianne... no, czy wie, co ty...

- Co robię? Na Boga, nie. I proszę, nic jej nie mów. - W jej oczach dostrzegł strach. I wstyd.

- Oczywiście, że nie powiem. - W głowie miał gonitwę myśli. Zatem ona również miała tajemnicę, którą pragnęła ukryć. To zmieniało postać rzeczy. - Czy Rianne tutaj mieszka?

- Nie, ma swoje mieszkanie. Zamieszkałam tutaj po powrocie ze Stanów. Ciotka Lisette nie miała nic przeciwko temu. - Widział, że się denerwowała.

- Ależ tak, jestem pewien, że wszystko w porządku. Zastanawiam się tylko... Czy to znaczy, że tylko ty, że sama tutaj mieszkasz?

- Tak. Jest jeszcze Dinah. Przychodzi rano posprzątać i zrobić zakupy. - Dziewczyna gorączkowo porządkowała myśli i nagle szeroko otworzyła oczy. Simon zorientował się, że sobie przypomniała. Odwróciła wzrok. - No, ta., ty nie... nic nie powiesz? - zapytała przyciszonym głosem.

- Nie, jeśli i ty nic nie powiesz. - Uśmiechnął się do niej. - Chodź do mnie. -

Poklepał dłonią miejsce na kanapie obok siebie. Zaczęła iść w jego kierunku.

Wczesnym rankiem zadzwonił telefon. Simon wyciągnął rękę i niepewną dłonią ujął słuchawkę. Charmaine nawet nie drgnęła.

Telefonowała Lisette. Leżąc, słuchał poleceń szefowej. Charmaine lekko opierała nogę na jego członku. Podczas rozmowy poczuł wzwód. Ponownie skoncentrował uwagę na Lisette. Była niespokojna, źle spała. Czy Marius żył? A jeżeli tak, to gdzie się podziewał? Simon słuchał w milczeniu, dłonią wodził po ciepłym udzie dziewczyny. Sytuacja niebywale go podniecała: pieścił Charmaine, jednocześnie rozmawiając z Lisette. Fakt, że kobiety się znały - chociaż tylko pobieżnie - jeszcze wzmagił przyjemność doznań. Miał uczucie, że kocha się z nimi oboma.

Charmaine powoli się budziła. Skierował jej głowę w dół. Co za rozkosz poczuć, jak gorącymi wargami obejmuje członek, kiedy on uspokaja Lisette. Była w tym naprawdę dobra. Przeżył niesamowity orgazm. Odłożył słuchawkę i wziął

dziewczynę w ramiona. Spojrzał na zegarek: piąta dwadzieścia trzy. Mieli dużo czasu.

W wynajętym mieszkaniu na Buttes - Chaumont niespokojnie krążył po pokoju Riitho. Był zdenerwowany. Dochodziła szósta, a Rianne jeszcze się nie zjawiała. Czekał na nią od dwóch godzin. Nie widzieli się od ponad dwóch miesięcy. Dostała niespodziewane zlecenie pracy w Paryżu, z czego oboje się ucieszyli. Bardzo za nią tęsknił. Gdzież się podziewała? Już kilka godzin temu miała zjawić się w mieszkaniu. Chodził w tę i z powrotem po salonie, gorączkowo rozważając, co mogło się stać. Strach ścisnął mu żołądek.

Do kogo mógłby zatelefonować? Od swoich informatorów wiedział, że sytuacja w Republice Południowej Afryki stawała się coraz gorsza. Krajowi groził rozpad. Pojawiło się zbyt wiele odłamów ruchów politycznych, za dużo rozmaitych żądań trzeba było spełnić. De Klerk nie potrafił zapewnić spokoju. Był słabym przywódcą. Wokół niego powstała polityczna próżnia, którą wszyscy starali się wypełnić, a to stwarzało jeszcze większe zagrożenie.

Na początku tygodnia Lebohang szepnął mu, że jego zdaniem nie powinien razem z Rianne przebywać w mieszkaniu przy Buttes - Chaumont. Ochroniarz uważał, że to zbyt niebezpieczne. Krążyły pogłoski, dotychczas jeszcze niepotwierdzone, że ugrupowanie polityczne pod nazwą Ruch Wyzwolenia Narodowego Azanii planuje jakąś akcję. Nikt nie wiedział, co konkretnie chcieli zrobić, ale wymieniano nazwisko de Zoete'ów. Lebohang nie wiedział, czy chodziło o Rianne, czy też o jej kuzyna Henniego de Zoete - Koestlera - znieawidzonej postaci na scenie politycznej - czy też ciotkę Lisette, chyba najbardziej znieawidzoną kobietę w kraju. Dotarcie do Henniego czy jego matki byłoby trudne, oboje mieli całodobową ochronę. Z Rianne sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Jpheji namabinisi. Ostrzeż ją". Lebohang uważał, że spotykając się, oboje zbyt wiele ryzykują. Po pierwsze, wynajęli mieszkanie. Zdaniem ochroniarza pomysł był szalony. Nie mógł im stale towarzyszyć, mieszkanie było bowiem za małe. Nie miałby się gdzie podziać, żeby dyskretnie albo nawet niedyskretnie nad nimi czuwać. Riitho jednak nie ustępował. Musieli mieć dla siebie jakiś kąt, gdzie mogliby być sami. To Lebohang rozumiał. Każdy tego potrzebował, nawet czasami on sam. Ale nigdy nie zniknął na całą noc, a już zwłaszcza dopóki się nie upewnił, że Khotso, a ostatnio Moses zastąpią go na służbie. Zwijał się jak piskorz, kiedy próbował im wyjaśnić, gdzie raz lub dwa razy w miesiącu zniknął Riitho. „Proszę. Ungathathi ama 'chance (Nie ryzykujcie)". Riitho niecierpliwie kiwał głową. Nie lubił rozmawiać o Rianne z Lebohangiem. Już źle się stało, że ochroniarz się zorientował, kim była dziewczyna. Czuł się, jakby postępował niewłaściwie, spoufalając się z wrogiem, chociaż Lebohang nigdy słowa na ten temat nie powiedział. Raz stwierdził, że Rianne jest piękna, jeżeli ktoś lubi taki typ urody. To była jedyna uwaga, jaką ośmielił się zrobić. Riitho potem kilka dni się do niego nie odzywał.

Wyrzwał przez okno. Na ulicy panował spokój. Nikt tu nigdy nie przychodził.

Okolica była miła, co prawda budynki trochę zniszczone, ale miejsce to bardzo im odpowiadało. Widział każdy stojący na ulicy samochód. Ktoś, kto chciałby ich śledzić, nie miał gdzie się ukryć. Właśnie dlatego wybrał to mieszkanie. Znowu spojrzął na zegarek: trzynaście po siódmej. Musiał do kogoś zadzwonić. Równie dobrze może zacząć od Lebohanga.

Dziesięć minut później ze wściekle bijącym sercem odłożył słuchawkę. Lebohang już był w drodze. Za pół godziny dotrze do mieszkania.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Rianne wyszła z salonu wystawowego YSL. Szybko szła w dół Rue Rambuteau. Owinęła się płaszczem, włosy zwinęła w węzeł na czubku głowy. Doszła do Pól Elizejskich. Tutaj łatwiej było złapać taksówkę. Nie chciała skorzystać z samochodu, który zaproponowała jej recepcjonistka. Wołała, żeby nikt z pracowni YSL nie wiedział, dokąd jechała. Zbliżało się Boże Narodzenie, ozdobne lampki połyskiwały w deszczu, rzucając kaskadę czerwonych i złotych odblasków na ciemną powierzchnię mokrych ulic. Zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta. Była spóźniona. Obiecała Riithowi, że będzie o czwartej, tymczasem prawie godzinę zajmie jej przejazd przez miasto. Spojrzała na postój, taksówek nie było. Wypatrywała jej wśród nadjeżdżających pojazdów. Czarny samochód zatrzymał się tuż przed nią. Drzwi auta się otworzyły, zanim samochód stanął. Ktoś wysiadł i odwrócił się w jej kierunku. Ponad nim spojrzała na auto z przodu. Czy to była taksówka? Mężczyzna zbliżał się, zasłaniając jej widok na drogę. Próbowwała go wyminąć, ale wyciągnął do niej rękę.

- Rianne?

- Bruce Eastman? - spojrzała na niego zaskoczona. Był ostatnią osobą, której by się spodziewała. - Co ty tu robisz?

Właśnie miała mu podać rękę, kiedy usłyszała zatrzymujący się samochód, tupot butów i jakieś głosy za sobą z tyłu. Odwróciła się. Tuż przed nią stało dwóch czarnych mężczyzn. Zrobiła krok w tył. Nagle jeden z nich rzucił się w przód i chwycił ją za łokieć.

Zanim zdążyła krzyknąć, czyjaś dłoń w rękawiczce zakryła jej usta. Drugi mężczyzna otworzył drzwi samochodu i twarzą w dół została wepchnięta na tylne siedzenie, boleśnie uderzając się w głowę. Na policzku poczuła zimną stal pistoletu. Trzasnęły drzwi. Wrzeszczała, kiedy samochód ruszył, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, gdy kierowca przebijał się przez kilka pasów ruchu. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła zbliżającą się dłoń. Doszedł ją ostry zapach i nagle zapadła się w otchłań ciemności. Przez sen słyszała szmer głosów. Poruszyła się, nadal czuła senność, na siłę próbowała otworzyć oczy. W głowie jej dudniło. Co chwila przeszywał ją ostry ból. Poczuła strach, paniczny, zwierzęcy strach. Usiadła na łóżku. Przy łuku brwiowym głowa bolała ją najbardziej, palcami namacała rozcięcie. Było ciemno choć oko wykol. Gdzieś z oddali, zza zamkniętych drzwi, słyszała jakieś głosy, mężczyźni o coś się spierali. Gdzie była? Co się stało? Bruce...

Pamiętała, że zdziwiła się, widząc go w Paryżu, potem ktoś ją popchnął, ktoś brutalnie chwycił za włosy, uderzyła się w głowę, kiedy padała na tylne siedzenie... Usłyszała nagle za drzwiami hałas. Zamarła w bezruchu. Jakiś mężczyzna wszedł do pokoju i zapalił światło. Wydawało jej się, że patrzyli na siebie całe wieki. Była pewna, że nigdy wcześniej go nie widziała. Spoglądał na nią z pogardą, której nie mogła znieść.

- *Kom!* - Donośny głos wypełnił ponury pokój. - *Wstawaj!* - Nogi jej się trzęsły, kiedy podnosiła się z łóżka. Mężczyzna trzymał w ręku broń. Nie mogła oderwać od niej oczu, kiedy gestem kazał jej wyjść z pokoju.

\*

- Nie. Nie policję - stanowczo sprzeciwił się Lebohang. - Jeżeli została porwana, zabiją ją. Nie mają nic do stracenia. - Kątem ust wypuścił chmurkę dymu z papierosa. Stał z Riithem w salonie. - Poczekamy. Dwa dni, nie dłużej. Ktoś powinien nawiązać kontakt. Człowieku, kiedy to się dostanie do prasy, będzie znacznie trudniej.

- Kto ją porwał? Jakie są możliwości? - Riithowi ze strachu zaschło w gardle. Trudno powiedzieć. Może Ruch Narodowy Afryki. Mają tam kilku radykałów. Może RWNA, może ludzie Dixiego?

- Jezu! - Było tak dużo frakcji, tak wiele odłamów ugrupowań politycznych. - Kogo u nich mamy?

- Khotso zna kilku facetów... Dhladhla i paru innych z Turflopu.

Riitho skinął głową. W znanym więzieniu w Pretorii przebywało wielu bojowników o wolność z przeróżnych ugrupowań politycznych. Khotso musiał mieć kontakty jeszcze z czasów, kiedy nie było tak wielkiego rozdrobnienia, które wymuszało na bojownikach opowiedzenie się po jednej ze stron.

- On wie?

- Khotso? O niej? - Lebohang potrząsnął głową. - Człowieku, nie. Nie o niej. Nikt nie wie. - Zamilkł na chwilę. - Może to nawet lepiej. W pewnym sensie. Dlaczego? No, bo jeżeli będziemy starali się dowiedzieć czegoś o niej i o tym, co się stało, nikogo to nie zdziwi. Nikt nie powiąże tego z tobą. Może być problem, jeżeli zaangażowani są w to ludzie z rządu. Tamci nie mogą się o was dowiedzieć. W żadnym wypadku. Człowieku, za nic w świecie nie mogą się o was dowiedzieć. To by nas bardzo osłabiło. Osłabiłoby pozycję twojego ojca. Nie może siadać do negocjacji z takim obciążeniem. To byłoby samobójstwo. Jego samobójstwo. Riitho się skrzywił. Ochroniarz wymienił właśnie jedyny problem, który uparcie od siebie odsuwał przez cały czas związku z Rianne: Jakie stanowisko zajmie ojciec? Pewnego razu dziewczyna próbowała o tym z nim porozmawiać. Szybko i stanowczo zamknął jej usta.



- Nie wchodź na ten teren - ostrzegł ją. - Po prostu to zostaw. - Sam nie potrafił sobie na to pytanie odpowiedzieć.

- Kiedy? - niecierpliwił się. - Kiedy coś nam powiedzą? Jeżeli Khotso ma kontakty, trzeba je teraz uruchomić.

- Już niedługo. - Lebohang spojrział na zegarek. - Ludzie zaczną nad tym pracować jeszcze dzisiejszej nocy. Pojadę do domu, zadzwonię, jeżeli dostaniesz jakiś sygnał, jakikolwiek. Wrócę rano. - Lebohang spojrział na stężałą z napięcia twarz Riitha. - Nie denerwuj się, Bra - powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu.

Miał się nie denerwować? Niby jak? Nie był w stanie wytrzymać tutaj sam całą noc. Musiał z kimś porozmawiać. Widział, jak Lebohang otworzył furtkę i zniknął w ciemnościach. Podszedł do telefonu. Ręce mu drżały, kiedy wykręcał numer.

\*

Samolot Gabby wylądował w Paryżu punktualnie o dziewiątej rano. o jedenastej była już przed mieszkaniem. Sama nie mogła uwierzyć, że udało jej się dostać na lot. Riitho zadzwonił poprzedniego dnia o trzeciej po południu ze straszną wiadomością. Musiał z kimś porozmawiać, a jedyną osobą na świecie, która знаła ich sytuację, była Gabby. To ona chciała przylecieć do Paryża, Riitho protestował, przekonywał, że nie ma takiej potrzeby.

Żarty sobie robisz? - fuknęła dziewczyna. - Rano będę w Paryżu. - i była. Panował przeraźliwy ziąb. Zapłaciła taksówkarzowi i wbiegła po schodkach. Riitho stał przy oknie. Otworzył drzwi przyciskiem domofonu. Czekał na Gabby u szczytu schodów. Uściskali się w przejściu. Wyglądał, jakby całą noc nie zmrużył oka.

- Ree.

Jeszcze raz go uściskała. Fakt, że nie widzieli się od kilku dobrych lat, nie miał żadnego znaczenia.

- Wejdz, Gabby. - Wprowadził ją do salonu. - Napijesz się kawy? Może soku? - Dziewczyna wbiła w niego wzrok. Nie mogła teraz myśleć o kawie. - Nie daj się, Gabby - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Panika w takich sytuacjach nie pomaga.

- Jak możesz być taki spokojny? - zdziwiła się. Patrzyła za nim, kiedy poszedł do małej kuchni i włączył ekspres.

- Nie jestem - odparł, odmierzając porcję kawy. - Wierz mi, nie jestem. Ale ojciec nauczył mnie panować nad sobą, nie wpadać w panikę.

- Jak wygląda sytuacja? Wiesz coś?

- Jeszcze nie. Moi ochroniarze próbują się czegoś dowiedzieć. Mają... pewne kontakty. Wszystko zależy od tego, kto za tym stoi. - Popatrzył na swoje dłonie. - To bardzo skomplikowane. Akurat tobie, Gabby, nie muszę tego wyjaśniać. Najlepiej to rozumiesz.

Dziewczyna się zastanawiała, czy Riitho wiedział, czym się zawodowo zajmowała.  
- Tak - znowu zdawał się czytać w jej myślach - wiem, czym się zajmujesz. Jeżeli masz jakieś doświadczenia... jeśli ktoś przychodzi ci na myśl...

Gabby nie była pewna, jak mogła pomóc... przynajmniej dopóki nie dowiedzą się czegoś więcej.

Rozległ się brzęczyk przy drzwiach wejściowych, Riitho podszedł do domofonu. Przyszedł Lebohang; wchodząc do pokoju, skinął Gabby głową. Jeżeli był zdziwiony jej obecnością, nie dał tego po sobie poznać. Dziewczyna pamiętała go z czasów Malvern. Prawie się nie zmienił, był może nieco starszy i wyglądał na bardziej zmęczonego niż ostatnim razem, kiedy go widziała. Podszedł do stołu i przelotnie dotknął ramienia Riitha. Pytająco uniósł w górę brwi.

- Ona jest w porządku. Możemy rozmawiać - wyjaśnił Riitho.

- Nie mam dobrych wieści - odezwał się Lebohang i powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Gabby przełknęła ślinę. Kaburę z pistoletem przytrzymał pas przecinający tors.

Riitho zeszywniał. Szczęki mu pracowały.

- Dowiedzieliśmy się wczoraj wieczorem, ale chciałem sprawdzić informacje, zanim tu przyjdę. Zdobył je Khotso. Uważa, że za porwaniem stoi odłam Ruchu Wyzwolenia Narodowego Azanii - Narodowa Organizacja Azanii, NOA. Ich przywódcą jest kolorowy z Kapsztadu, Justin Groenewald. Przypuszczamy, że chcą zagwarantować sobie miejsce przy stole negocjacyjnym. Kilka lat temu zostali usunięci z Ruchu Wyzwolenia Narodowego Azanii. Nie wiemy, dlaczego ich wykluczono.

Riitho nie odzywał się, z jego oczu również nie można było niczego wyczytać.

- Kim są ci ludzie? Jak poważną stanowią siłę? - zapytała Gabby. Lebohang wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

- Pracuję dla Organizacji Narodów Zjednoczonych - wyjaśniła. - Zajmuję się prawami człowieka.

Ochroniarz wolno skinął głową i opuścił koniuszki warg. Zatem dziewczyna wiedziała, o czym mówi.

- Nie wiemy, co się stało. - Odpowiedź skierował do obojga. - Była spora grupa kolorowych z Regionu Szóstego. Zaczęli od Nowej Partii Narodowej, ale coś im nie wyszło. Też dokładnie nie wiemy, o co chodziło. Niektórym starszym członkom nie podobali się młodszy i tyle. Odeszli z partii. Ale czarni nie chcieli ich w Afrykańskim Kongresie Narodowym. Przykre. Musieliby zbyt wiele udowodnić innym. Weszli w spór z Dyanim i Chikamą. Miesiąc później odbyło się głosowanie i zostali wyrzuceni.

- Waszym zdaniem właśnie ci ludzie odpowiadają za porwanie Rianne? Co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

- Jest argumentem przetargowym - odparł Lebohang. - Będą próbowali wymusić na rządzie i organizacji twojego ojca, to znaczy Afrykańskiej Partii Ludowej, realizację

swoich żądań. Rianne jest dobrze znana, to kuzynka Koestlerów. Chcą pokazać, że potrafią dopaść każdego i w każdej chwili. Ona przecież nawet nie mieszka w Republice Południowej Afryki. Udowadniają, że nikt nie jest poza ich zasięgiem. W ten sposób się popisują, szukają poklasku.

- Czy... mogą zrobić jej krzywdę? - zapytała przerażona Gabby.

- To zależy - powiedział Lebohang.

- Od czego?

- Od tego, w jak bardzo rozpaczliwej znaleźli się sytuacji.

\*

Rianne leżała sztywno na wąskim łóżku i słuchała głosów dochodzących z sąsiedniego pokoju. Ręką ciągle dotykała karku. Niemal zemdląła ze strachu, kiedy mężczyzna pchnął ją na krzesło przy kuchennym stole i przyłożył jej nóż do gardła. Chwycił garść włosów i rznął, aż na blacie znalazło się długie pasmo. Potem wepchnął ją z powrotem do tego samego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Znowu usłyszała krzyki. Siedziała w ciemnościach bez ruchu, starając się zrozumieć, o czym rozmawiają. Była to mieszanina afrikaans, zulu i angielskiego. Z pojedynczych słów wywnioskowała, że mówili o niej, o Henniem... o Mandeli i Modisie, de Klerku... nawet o jej ojcu. Nie potrafiła zrozumieć sensu wypowiedzi. Zbyt często przechodzili z języka na język, nie była w stanie za nimi nadążyć. Ręce jej drżały. Riitho ciągle powtarzał, żeby uważała. Kwitowała jego ostrzeżenia wzruszeniem ramion. Teraz się przekonała, że nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Riitho jak zwykle dostrzegał zagrożenia, których ona nie widziała albo widzieć nie chciała. Przed oczami stanęła jej twarz młodego Modise'a, oczy zaszły łzami.

\*

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Riitho zerwał się na równe nogi, mięśnie miał napięte jak postronki. Dzwonił Khotso. Podał słuchawkę Lebohangowi, ochroniarz słuchał przez chwilę i odwrócił się do nich.

- To Narodowa Organizacja Tazanii. Porwali Rianne wczoraj wieczorem w centrum miasta. Trzymają ją gdzieś w Paryżu. - Sięgnął po marynarkę i sprawdził magazynek pistoletu. - Amatorzy. Nie wiedzą co robią. Bez problemu ich znajdziemy.

- Ruszamy. - Riitho już chwycił płaszcz i szalik.

Zdezorientowana Gabby patrzyła na mężczyzn, potem sięgnęła po płaszcz i pobiegła za nimi. Riitho i Lebohang zbiegali po schodach. Ochroniarz stanął we frontowych drzwiach i gestem ręki kazał im się zatrzymać. Lata treningu i dyscypliny kazały mu sprawdzić sytuację na ulicy, zanim pobiegł do zaparkowanego BMW.

- Ty prowadzisz! - krzyknął do Riitha i ponad dachem samochodu rzucił mu kluczyki.

- Najpierw pojedziemy po Khotsa - wydawał dyspozycje, kiedy Riitho wyjeżdżał potężnym samochodem na główną ulicę. - Potem do Sarcelles. Wiesz, gdzie mieszka Dumi?

Riitho wykrzywił twarz. Ostatnio widział Dumi na pierwszej randce z Rianne. Na myśl o niej ścisnęło go w żołądku. Gdzie jest teraz? Wiedział, że żyła, nie było żądania okupu, nikt nie nawiązał kontaktu. Prawdopodobnie mieli dzień lub dwa na jej odnalezienie.

Zatrzymali się w Marais i zabrali Khotsa. Czekał przed mieszkaniem, skryty w bramie. Wskoczył do samochodu, skinął głową Gabby. W aucie panowała napięta atmosfera, nikt nic nie mówił. Na tylnej kanapie siedzący obok Gabby Khotso wyjął pistolet, włożył do niego magazynek i zabezpieczył broń.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Odwróciła głowę i przez okno patrzyła na mijane ulice Paryża. Przy St Denis Riitho zjechał z Périphérique i skierował się na północ. Jechali przez nędzne przedmieście przemysłowe, w końcu zatrzymali się przed zniszczonym blokiem. Riitho wyłączył silnik. Trzej mężczyźni wysiedli z samochodu, Gabby poszła za ich przykładem. Skierowali się do jednego z wejść.

Czekał tam jakiś mężczyzna. Wprowadził ich do środka. W korytarzu stało kilku młodych Murzynów, żaden nie spojrzał na Gabby. Weszli do czyjś mieszkania. Młoda kobieta z dzieckiem na biodrze podniosła wzrok, kiedy tłoczyli się w malutkim przedpokoju. Zaprosiła ich do pokoju. Była ładna, miała gładką, ciemną skórę i długie warkocze, które kołysały się na strony, kiedy zwracała się do mężczyzn. Zaniepokojone zamieszanym dzieckiem zaczęło kwilić. Kobieta robiła zalotnie nadąsaną minę i wydymała umalowane wargi. Kręciła się po pokoju, podawała szklanki, otworzyła butelkę whisky, uspokajała płaczące niemowlę. Mężczyźni wyszli z pokoju i stłoczyli się w maleńkiej kuchni. Zamknęli drzwi. W pokoju zostały tylko Gabby oraz kobieta z dzieckiem.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła. Kobieta zignorowała jej nieśmiały uśmiech. Stolik do kawy z blatem z przydymionego szkła uginał się pod ciężarem książek, czasopism, starych gazet i szklaneczek niesprzątniętych po wczorajszych gościach. Po drugiej stronie pokoju stała stara kanapa z wysiedzianymi poduszkami.

Wyglądała, jakby rzadko pozwalano jej odpocząć. Kiedy ktoś zwalniał miejsce, natychmiast zajmowała je inna osoba. Gabby nigdy wcześniej nie była w takim mieszkaniu. Znajdował się tu aneks jadalny ze stołem na wysoki połysk i sześcioma krzesłami, z których jedno nie miało oparcia. Na podłodze leżał dywan w kwiatowy wzór, ściany pokrywały podobne tapety. Dostrzegła jeszcze sprzęt hi-fi, stół do kawy, który jednocześnie spełniał rolę biurka, oraz dwa niewygodne fotele z wysokimi oparciami jeszcze przykryte folią i zrobionymi szydełkiem narzutami, jakie można kupić w każdym sklepie z tanimi meblami. Każdy centymetr powierzchni pomieszczenia został wykorzystany, i to nawet dwukrotnie: sterty gazet

na podłodze spełniały rolę dywaników, stół obiadowy służył do spożywania posiłków i składowania różnych rzeczy. Ściany zdobiły portrety Mandeli, Modise'a, Gandhiego, Mao, Nkrumaha; kolejno rozpoznawała ich podobizny. Był to pokój dzienny w innym, głębszym znaczeniu tego słowa - miejsce, gdzie mieszkańcy spędzali dzień po dniu, symbol wspólnego działania na rzecz swoich ideałów. Otworzyły się drzwi do kuchni, mężczyźni wyszli, ciągle się ze sobą spierając. Rozmawiali w ojczystym języku, nawet Riitho używał nieznanego Gabby narzecza. Podniosła na niego wzrok. Był spokojny, skoncentrowany, bardzo pewny siebie. Swobodnie czuł się w niezwyklej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nigdy go takim nie widziała. Natychmiast zrozumiała, co przyjaciółkę w nim pociągało: nie chodziło o to, że jest przystojny, mądry i seksowny. Nie brała pod uwagę cech, którymi zazwyczaj w ocenie mężczyzn kierują się kobiety w wieku Rianne i o jej pozycji społecznej. W nim było coś innego - magnetyzującego. Wciągał na swoją orbitę wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu...

Emanowała z niego siła - tak, to właściwe określenie. Był silny, niemal teatralnie potężny. Moc i zdolność działania aż biły od Riitha, uwidaczniały się w każdym geście, stawały się wyczuwalne w każdym słowie. Gabby nigdy nie widziała jego ojca. Na ścianie wisiała kopia starego zdjęcia, zrobionego jakieś trzy, cztery lata przed procesem Rivonia i ocalałego przed cenzurą. Dziewczyna spojrzała na portret, szukając w nim podobieństw do dumnej, skupionej twarzy stojącego przed nią młodego człowieka. To samo stanowcze spojrzenie, kanciaste, kwadratowe szczęki, wysokie kości policzkowe. Jednak mężczyzna na zdjęciu wyglądał na Afrykanina, cokolwiek Gabby przez to rozumiała. Miał staromodną fryzurę, „przyzwoity” europejski garnitur i cienki, czarny krawat. Natomiast Ree... Ree wyglądał... jak? Wyglądał jak Ree. Równie swobodnie jak ona czuł się w świecie klasy średniej, angielskiej klasy średniej, klasy średniej całego świata. Był inny, różnił się nawet od swoich ochroniarzy, czy otaczających go w tej chwili mężczyzn, którzy nerwowo dotykali broni. Oni mieli coś z ojca Modise'a, może jakąś dziwną rezerwę starej daty. Riitho, chociaż pozornie równie płynnie posługiwał się ojczystym językiem, nie był nieufny. Ile miał lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć? Porównywała go z innymi znajomymi mężczyznami w podobnym wieku. Dominie? Giles? Nie było porównania.

Mężczyźni zajęli miejsca na kanapie, bardzo blisko siebie, inni w fotelach, reszta na podłodze. Pokój wypełniały ich głosy: rozmawiali po francusku, czasami po angielsku, przede wszystkim jednak w ojczystym języku. Dym papierosowy unosił się do sufitu i krążył wokół niczym nieosłoniętej żarówki nad niskim stolikiem, rzucającej na zgromadzonych dziwny, niepokojący krąg światła. Rozlewano drinki, mężczyźni wchodzili i wychodzili. Przyszły dwie młode kobiety i skinęły na dziewczynę z dzieckiem. Wyszła, ręką energicznie odganiając przed sobą dym i marszcząc nos. Papierosy. Dziecko.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Jeden z mężczyzn się podniósł. Gabby ze swoim szkolnym francuskim z wysiłkiem próbowała śledzić wypowiedzi. Czuła się całkowicie zagubiona w zupełnie nieznanym jej świecie: niezrozumiały język, zebranie, to miejsce. Mimo pewnego napięcia czuła się jednak dobrze w towarzystwie tych mężczyzn, jakby ich obecność gwarantowała bezpieczeństwo. Dookoła rozbrzmiewały głosy, do pokoju wpadł zapach przygotowywanego posiłku, kiedy ktoś otworzył drzwi do kuchni, żeby przynieść więcej szklanek, lodu i butelkę wody.

- Nie, Kanji? *C'est vrai?*

- Od dziesięciu lat im powtarzam...

- Ag, człowieku...

- Dajcie Spokój, ci ludzie? Nie mają litości dla nikogo, nikogo. Uwierzcie mi.

- Dla nikogo.

- *Prends pas...*

Gabby śledziła rozmowę, nie biorąc w niej udziału.

Minęła godzina. Kobiety wniosły jedzenie: kurczaka, ryż, coś, co wyglądało jak zastygła owsianka, i sos pomidorowy. Mężczyźni jedli w milczeniu, palcami z wprawą robili z masy owsiankowej małe kulki, maczali je w sosie, odrywali kawałki kurczaka. Nikt nie używał noża ani widelca. Jeden czy dwóch uśmiechnęło się lekko, widząc nieporadne próby Gabby jedzenia palcami. Podszedł Riitho i usiadł obok niej na podłodze. Pokazał dziewczynie, jak utoczyć kulkę z „kleiku”, jak kciukiem zrobić w środku niewielkie wgłębienie i jak nabrać w nie sosu. Spróbowała jeszcze raz i się poddała; musiała przyznać, że poniosła porażkę. Riitho powiedział coś do dziewczyny, która zaraz przyniosła nóż i widelec. Wszyscy pokazali zęby w uśmiechu.

Minęła kolejna godzina. I następna. Mężczyźni milczeli. Wszyscy czekali. Jeden czy dwóch drzemało. Gabby spojrzała na zegarek; minęła czwarta rano. Przebywali tu od prawie sześciu godzin. Była zmęczona, noga, na której siedziała, zdrętwiała i ją bolała. Riitho rozmawiał z Lebohangiem i mężczyzną, który przyszedł później. Znowu zadzwonił telefon. Dumi zerwał się, żeby go odebrać. Po wymianie zaledwie kilku zdań odwrócił się do Riitha. Znaleźli Rianne: numer 2 Rue d'Alençon, w dzielnicy Montparnasse. Kilka miesięcy temu mieszkanie wynajął jakiś biały. Klucze podrzucił do domu przy Barbès. Jeden z „chłopców” Khotso był tam w tym czasie. Twierdzili, że właśnie w tym Rianne jest przetrzymywana.

- *Masihambe*. Idziemy - rozkazał Lebohang. Mężczyźni wkładali płaszcze. Gabby się podniosła.

Riitho prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. Zauważyła, że ma pistolet, podobny do tego, który w samochodzie załadował Khotso.

- Gabby, zostaniesz tutaj. Nie możesz iść z nami. To zbyt niebezpieczne.

- Mowy nie ma. Idę. - Dziewczyna położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. - Przelotnie przykrył jej dłoń swoją i ucisnął palce.

- Mówię poważnie, Gabby. Zostaniesz tutaj.

Młoda kobieta z dzieckiem obrzuciła ją drwiącym spojrzeniem. Czyżby przypuszczała, że Gabby była sympatią Riitha? Usiadła na kanapie, mężczyźni, jeden po drugim, wychodzili z pokoju. Chwilę później usłyszała odgłos szybko odjeżdżających samochodów. Popatrzyła na butelkę whisky i szklaneczki, które wystawiła dziewczyna. Otworzyła butelkę i nalała sobie miarkę trunku. To była najdłuższa noc w jej życiu.

Walenie do drzwi, zgrzyt przesuwanych krzeseł, krótkie, urywane krzyki - Rianne w jednej sekundzie otworzyła oczy. Natychmiast całkowicie oprzytomniała. Leżała w ciemnościach, serce ze strachu waliło jej jak młotem. Jeszcze jeden krzyk, a potem trzask. Krótki, metalowy dźwięk... i głuchy odgłos. Seria strzałów i płacz kobiety. Przerazona, zsunęła się z łóżka i przycupnęła za nim na podłodze.

Drzwi otworzyły się z impetem, do środka wpadł mężczyzna. Słyszała, że się zatrzymał, potem dobiegło ją szuranie nóg po drewnianej podłodze i nagle pojawił się nad nią.

- Wstawaj, wstawaj... Chodź, kobieto, szybko! - syczał przez zęby. Nigdy w życiu go nie widziała. Był czarny, niski, miał rzadką brodę i wełniany kapelusz nasunięty głęboko na oczy.

- Rianne, wstawaj. Chodźmy! *Masihambe!* - Wyciągnął rękę i pociągnął ją w górę. - Przysyła mnie Riitho. Czeka na zewnątrz.

Potykając się, poszła za nim.

Wypadli przez drzwi, kątem oka zauważyła ciało rozciągnięte na stole i wściekłą minę młodego mężczyzny o jaśniejszej skórze z bronią przystawioną do skroni. Potem pociągnięto ją z sutereny schodami na górę i wepchnięto do czekającego samochodu.

Za kierownicą siedział jakiś mężczyzna, twarz ukrywał w podniesionym kołnierzu. Kilku innych wskoczyło za nią do samochodu, dookoła rozlegał się trzask zamykanych drzwi, odgłos biegnących ludzi, kilka strzałów, gdzieś w oddali rozspiewała się policyjna syrena. Wszyscy krzyczeli coś w języku ludu Khosa. Z piskiem opon samochody oderwały się od krawężnika i pognały w kierunku głównej ulicy. Wstrząśnięta przebiegiem wydarzeń Rianne płakała z przerażenia. Uderzyła się w kolano i zraniła w stopę. Nie miała czasu włożyć butów ani zabrać płaszcza.

Samochód zatrzymał się na czerwonych światłach. Mężczyzna za kierownicą spojrział we wsteczne lusterko i popatrzył Rianne prosto w oczy. To był Riitho. Nie odrywał od niej wzroku, dopóki światła się nie zmieniły, a potem ruszył z piskiem opon, kierując się z powrotem do Sarcelles. Odnalezienie dziewczyny zajęło im prawie sześć godzin, uwolnili ją w siedem minut. Za sobą zostawili trzy trupy i kipiącego ze złości Justina Groenewalda.

## CZĘŚĆ SZÓSTA

60

Grudzień 1990, Paryż

Rianne słyszała syreny policyjnych samochodów. Ich pojazdy posuwały się w przeciwnym kierunku i wtapiały w poranny ruch na Périphérique. Leżała wsparta na kimś, nawet nie wiedziała na kim, i histerycznie drżała. Mężczyzna okrył ją kocem i powiedział coś do Riitha. Mówili w języku plemienia Khosa, nie zrozumiała odpowiedzi. Ukryła twarz w kocu. Podróż zdawała się nie mieć końca. Każdy coś mówił, ale nikt nie odzywał się do niej. Samochód się zatrzymał. Otworzyły się drzwi i ktoś wsiadł do auta, osoba obok niej przesunęła się, żeby zrobić miejsce. Potem ktoś wysiadł, słyszała głos Riitha. Mówił szybko, z naciskiem. Trzasnęły drzwi i znowu zawarczał silnik. Siedzący obok mężczyzna - Lebohang, w końcu rozpoznała jego głos - coś powiedział. Avenue Foch, czyżby wieźli ją do domu? Próbowała usiąść prosto, ale Lebohang ją powstrzymał.

- Wszystko w porządku. Leż spokojnie. Jesteś ranna.

- *Rianne, calmes - toi* - odezwał się Riitho. — *Nous serons là dans quelques instants.*

- Opadła na siedzenie.

Dwie godziny później Riitho zamknął drzwi sypialni i poszedł do kuchni porozmawiać z zatrwożoną Aichą. Lebohang i Dlamini, nowy ochroniarz, byli w salonie. Czekali na detektywów. Sprawa już się rozniosła, chociaż do prasy jeszcze nie dotarła. Zawiadomiono Najwyższe Dowództwo. Riitho słusznie postąpił. Źle się stało... Jeśli chodzi o jego związek, tym jednak zajmą się później. Riithowi włosy stanęły na głowie. Źle się stało. Co to miało znaczyć? W tym momencie jednak nie było czasu nad tym się zastanawiać. Musieli załatwić bieżące sprawy. Dyani obiecał, że Riitho otrzyma wszelką pomoc, w tym prawników, którzy odpowiednio załatwią sprawę z policją. Negocjacje znalazły się w krytycznym punkcie i nie można było dopuścić, żeby cokolwiek je zakłóciło. Podczas telefonicznej rozmowy ze Sztokholmem Dyani mówił cichym, stanowczym głosem.

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Przyszli Benet i Kouao, prawnicy Afrykańskiej Partii Ludowej. Aicha wprowadziła ich do salonu. Riitho do nich dołączył. W piątkę nad słuchiwali kolejnego dzwonka.

Riitho czekał, aż prawnicy i policja złączą poważną rozmowę. Wiedział, że dojdą do porozumienia. Prawnicy udzielią policji pewnych informacji w zamian za zaniechanie przesłuchania świadków. Już wcześniej widział takie sytuacje.

Przeprosił obecnych i poszedł do sypialni, w której spała Rianne. Środki uspokajające przestawały działać, sennie poruszyła głowę, kiedy otwierał drzwi.

- Cześć - powiedział czule i usiadł na brzegu łóżka. Powoli podniosła powieki,



próbując skoncentrować wzrok. - Jak się czujesz? - Dotknął jej policzka. Lekarze oczyścili i założyli opatrunek na ranę na czole. Nie była taka groźna, na jaką wyglądała. Nie, nie trzeba zakładać szwów. Poglaskał ją po włosach. Z tyłu głowy brakowało grubego pasma. Widział, w którym miejscu po prostu obcięto je nożem. Pomyślał, iż właściwie powinien być wdzięczny, że obcięli jej tylko włosy. Czule popatrzył na dziewczynę. Zasypiała i budziła się na przemian.

- Która godzina? - zapytała chrapliwym głosem.

- Prawie południe. Nie przejmuj się czasem. Musisz się dobrze wyspać. Zamknęła oczy. Środki nasenne niezupełnie przestały działać. Znowu zasnęła. Riitho patrzył na nią jeszcze przez chwilę, potem wyszedł.

Otworzył drzwi do salonu, w którym mężczyźni ciągle rozmawiali. Wszedł, zamknął je za sobą i oparł się o framugę. Zasypywany pytaniami Kouao z wprawą tak kierował rozmową, żeby osiągnąć przewagę. Mówił szybko, spokojnym, przekonującym głosem. Detektyw Kassel i jego ludzie wpadli w zastawioną przez niego sieć. Prawnik dowodził, że w sprawę zaangażowane są wysokie, bardzo wysokie... najwyższej rangi osobistości. Od czasu do czasu przechodził na angielski. To była jego partia i rozgrywał ją koncertowo.

Kassel został przekonany, obiecał, że po południu zostanie wydany komunikat dla prasy. Rianne napadnięto, kiedy późnym wieczorem wracała do domu na Avenue Foch. Zabrano jej torebkę i zegarek. Jeden z napastników uderzył dziewczynę, miała rozcięty łuk brwiowy. To wydarzenie powinno stać się nauczka dla wszystkich młodych kobiet. Jeżeli takie rzeczy zdarzały się na St Germain-des-Pres, mogło do nich dojść wszędzie. Kouao i Benet odprowadzili policjantów do drzwi.

@@@Tego samego wieczora, nieco później, Riitho powiedział do Lebohanga: „Jeżeli chcesz rozbawić Pana Boga, opowiedz Mu o swoich planach”. Ochroniarz roześmiał się krótko.

Już po południu informacja jakoś przedostała się do publicznej wiadomości i przed apartamentem pojawili się przedstawiciele prasy. Kotary były zasłonięte, okiennice pozamykane. Riitho otrzymał jednoznaczne instrukcje: nikomu nie wolno rozmawiać z prasą. Historyjka, że Rianne została napadnięta, powinna przez pewien czas wydawać się prawdopodobna, jednak dziewczyna w żaden sposób nie mogła zostać powiązana z Afrykańską Partią Ludową. Jeszcze nie w tym momencie. Od porozumienia z de Klerkiem dzieliły ich zaledwie dni. Tę informację do chwili podpisania układu należało bezwarunkowo zachować w tajemnicy. Nikt nie mógł sobie pozwolić na osłabienie własnej pozycji przez ujawnienie jakichkolwiek powiązań syna Modise'a z córką de Zoete'a. To sprowokowałoby lawinę pytań na temat Mariusa de Zoete'a. Natomiast odkrycie związków tego ostatniego z Afrykańską Partią Ludową mogłoby doprowadzić do zerwania rozmów, a do tego nikomu nie wolno było dopuścić.

W Sztokholmie, Oslo i Johannesburgu wszyscy z zapartym tchem czekali na wynik rozmów i modlili się, żeby Groenewald trzymał buzię na kłódkę. Byli o włos od

zawarcia porozumienia.

W Paryżu wysłano Aichę do sklepu po artykuły spożywcze dla czterech osób. W wieczornych wiadomościach pokazano twarz Rianne, ofiary podejrzanego napadu. Po wypadku w południowej części miasta policja zatrzymała mężczyznę z Republiki Południowej Afryki, trzech innych znaleziono zabitych. Policja uważała, że był to napad rabunkowy, chociaż rozważano również możliwość związku tego wydarzenia ze szczególnym statusem społecznym Rianne: pochodziła z najbogatszej i najbardziej wpływowej rodziny w Republice Południowej Afryki. Szef policji wydał stosowne oświadczenie.

Rianne leżała w zaciemnionym pokoju, trzymając Riitha za rękę.

Następnego ranka pojawiła się kolejna informacja. Prasa donosiła, że młodsza recepcjonistka w salonie Yves'a Saint Laurenta poinformowała ich, że w dniu napadu dzwonił jakiś mężczyzna i chciał rozmawiać z Rianne de Zoete. „Qui” podał jej nazwisko. Następnego dnia zdjęcie recepcjonistki zamieścił dziennik „Le Figaro”. Mężczyzna, którego aresztowano w związku z napadem, nazywał się Justin Groenewald. Południowoafrykańskie źródła potwierdziły, że był przywódcą ugrupowania, które oderwało się od Afrykańskiej Partii Ludowej Livingstone'a Modise'a. Dziwnym zrządzeniem losu syn Modise'a, architekt Riitho Modise, mieszkał w Paryżu. Nie można się było z nim skontaktować. Od dnia napadu nie pojawił się w macierzystej pracowni. Nie udało się ustalić jakiegokolwiek związku między przystojnym i charyzmatycznym młodym mężczyzną oraz supermodelką, jednak czy nie nadszedł czas, żeby zweryfikować politykę Paryża? Czy Francja powinna dawać schronienie politycznym radykałom z całego świata? Dyani ze Sztokholmu przykazał Riithowi siedzieć cicho i bez słowa przeczekać burzę.

Pod koniec tygodnia do wiadomości publicznej prawie w tym samym czasie dotarły dwie informacje. Pierwsza, którą opublikował najpierw Reuter, ale natychmiast przedrukowały ją agencje prasowe na całym świecie, potwierdzała wiadomość, na którą czekali wszyscy: porozumienie między de Klerkiem, Mandelą i Modise'em zostało podpisane. Znaleziono wyjście z impasu i najdłużej na świecie więzieni działacze polityczni mieli odzyskać wolność. Oficjalne oświadczenie w tej sprawie następnego dnia miał wydać parlament Republiki Południowej Afryki. Po raz pierwszy od prawie trzydziestu lat w gazetach i na ekranach telewizorów na całym świecie mogły ukazywać się zdjęcia dotychczas wyjętych spod prawa przywódców politycznych, cytowano ich wypowiedzi. To była historyczna chwila.

Druga informacja ukazała się w Paryżu. Główny podejrzany w sprawie porwania córki de Zoete'a - już nie mówiono o napadzie, tylko o porwaniu - Justin Groenewald złożył zeznania. Riitho Modise i jego osobiści ochroniarze byli zaangażowani w strzelaninę i zabójstwo trzech członków NOA. Owszem, był w stanie udowodnić powiązania dziewczyny, którą porwali, z synem Livingstone'a Modise'a. Organizacja od miesięcy inwigilowała ich dwoje.

Sensacyjne oświadczenie Groenewalda nie schodziło z nagłówek gazet do końca tygodnia. Rianne de Zoete. Riitho Modise. Na stronach tytułowych prawie wszystkich dzienników i okładkach czasopism pojawiały się ich zdjęcia. Dramaturgii i tajemniczości całej sprawie dodawał fakt, że poza przypadkowym zdjęciem sprzed kilku lat, kiedy uwieczniono oboje wychodzących razem z hotelu na Manhattanie, nikt nie dysponował fotografiami, które potwierdzałyby ich bliskie kontakty. Jakim cudem udało im się zachować ten związek w tajemnicy? W Londynie Nathalie i Charmaine z niedowierzaniem wpatrywały się w „Evening Standard”.

W Johannesburgu Lisette de Zoete - Koestler odłożyła „Evening Star” i pomyślała, że zaraz zwymiotuje.

Z więzienia Victora Verstera w Kapsztadzie Livingstone Modise zatelefonował do syna. Riithowi krew uderzyła do głowy, kiedy usłyszał głos ojca. Modise poprosił de Klerka o odroczenie swojego uwolnienia o tydzień. Zarówno on, jak i Mandela potrzebowali czasu na przygotowanie rodzin oraz partii, którym przewodzili. De Klerk niechętnie wyraził zgodę.

Riitho razem z siostrą mieli przylecieć do Republiki Południowej Afryki po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat. Następnego ranka córka de Zoe - te'a musi polecieć do Oslo. Tam zajmą się nią przedstawiciele Ruchu. To był jedyny raz, kiedy ojciec wspomniał o Rianne podczas dwudziestominutowej rozmowy z synem. Córka de Zoete'a. Kiedy Riitho odkładał słuchawkę, wiedział, co zaszło. Ojcowie upomnieli się o swoje dzieci.

## 61

Rianne szła Frognerveien, długą, krętą ulicą jednej z najmodniejszych dzielnic Oslo. W mieście wszędzie jeszcze leżał śnieg, ciemna kora brzoź wyraźnie odcinała się od wszechobecnej bieli. Z kieszeni wyciągnęła mapę. Tidemansgate. Eckerbergsgate. To było tu. Skręciła w małą uliczkę. Domy były okazałe, majestatyczne, z pięknymi ogrodami okolonymi kamiennymi murami i pokrytymi śniegiem drzewami. Wsunęła ręce głębiej w kieszenie i szła dalej. Numer trzydzieści pięć. Elegancki, stary dom miejski, biały z pomalowanymi na szaro okiennicami i krytym dachówką, spadzistym dachem. Na sekundę zatrzymała się przed furtką, jakby się zastanawiała, czy nie odwrócić się na pięcie i uciec. Wyczyściła nos, wyprostowała ramiona i pchnęła furtkę. Ścieżką przez ogród poszła do frontowych drzwi. Otworzyły się, zanim przed nimi stanęła. Serce waliło jej jak młotem, każdą komórką mózgu czuła i słyszała jego bicie. Weszła do holu, poczuła, iż ogarnia ją radość, że niecierpliwie oczekuje spotkania. Zawsze kiedy stawała w obliczu czegoś tak wielkiego, że samej trudno jej było w to uwierzyć, wyślizgiwała się z własnej skóry i obserwowała siebie jakby z boku, z pewnej odległości. Teraz też tak zrobiła.

Słowa tłukły jej się po głowie. Ojciec żył. Riitho powiedział jej o tym prawie tydzień temu, ale ciągle nie mogła w to uwierzyć. Miała serce w gardle, kiedy odwróciła się do dwóch uzbrojonych po zęby Norwegów strzegących wejścia.

- Panna de Zoete? Zaraz zejdzie - powiedział jeden z nich, zarzucając karabin na ramię.

Rianne próbowała sobie przypomnieć twarz ojca. Widziała ją wyrywkowo, zrywami: Marius oczami sześciolatki i ośmiolatki. Pamiętała jego zapach, tak... kłucie zarostu, kiedy się pochylał, żeby pocałować córkę na dobranoc. Trudno dziewczynie było go sobie przypomnieć. Za długo żyła bez wspomnień, zbyt stanowczo odsuwała je od siebie, więc teraz, kiedy było to tak bardzo ważne, mogła przywołać w pamięci tylko jego zapach. Miała odczucia, a nie konkretne wspomnienia, przywoływała tylko ogólny obraz, nie szczegóły, dzięki którym zapamiętujemy człowieka.

Tętno miała przyspieszone. Zaraz się pojawi. Co miała mu powiedzieć? , Jak miała się zachować? Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Gdzieś na górze ktoś odchrząknął. Spojrzała na podest na pierwszym piętrze.

Mężczyzna powoli schodził na dół. Był wysoki, znacznie szczuplejszy, niż pamiętała. Grzywa niemal całkowicie białych włosów opadała mu na twarz. Dotarł do podnóża schodów i podszedł do niej. Stali twarzą w twarz, nie odrywając od siebie wzroku.

- Tato. - Rianne głos uwiązł w gardle.

- Rianne. - Chwyił ją za ramię. Chwyił, nie objął.

## 62

Powstawała historia. Kończył się trzystuletni okres panowania białej mniejszości w Afryce Południowej. Dotrzymując obietnic, złożonych przy stole negocjacyjnym, de Klerk zaczął systematycznie zmieniać prawo apartheidu: ustawę o segregacji rasowej, która na terenach miejskich i wiejskich nakazywała tworzyć osobne dzielnice dla białych i czarnych oraz nie dopuszczała do wspólnego przebywania ludzi różnych ras w miejscach publicznych, w restauracjach, na plażach czy w środkach komunikacji. Ludzie wszystkich ras mogli teraz korzystać z tych samych lokali, bibliotek, środków transportu, złagodzone także przepisy dotyczące zgromadzeń i spotkań politycznych. W dramatycznym przemówieniu otwierającym sesję parlamentu de Klerk jednym cięciem zniósł zakaz działalności trzydziestu kilku partii politycznych w Republice Południowej Afryki, w tym Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, Afrykańskiego Kongresu Narodowego Mandeli i Afrykańskiej Partii Ludowej Modise'a. W całym kraju zwalniano więźniów politycznych i częściowo zniesiono obowiązujący od dwóch lat stan wojenny. Przedstawiciele prasy światowej . zgromadzili się w niewielkim miasteczku Paarl, w pobliżu więzienia, z którego - zgodnie z planem - następnego

dnia mieli zostać uwolnieni dwaj przywódcy.

Dla Riitha był to czas pełen emocji. Siedział w sali dla oczekujących na lot pasażerów pierwszej klasy na londyńskim Heathrow. Czekał na dziewczynę - teraz kobietę - która była jego siostrą. Razem mieli polecieć z Londynu do Kapsztadu. Wydawało się, że każdy chce chociaż w małej części uczestniczyć w życiu najświetniejszej w świecie politycznym rodziny. Byli bardzo przystojnymi, inteligentnymi i wykształconymi osobami, a to jeszcze wzmagало szalone zainteresowanie. Riithowi towarzyszyli George i Chinbe, nowi ochroniarze. Czekaając na Mpho i jej ochroniarzy, czuł ucisk w żołądku. Nie widział siostry od prawie dwudziestu lat. Spotkali się na krótko, kiedy miał osiem lat, a ona dwanaście i przenosiła się do Stanów. Nie byli blisko ze sobą związani, na dobrą sprawę trudno tu w ogóle mówić o jakimkolwiek związku. Minęło zbyt dużo czasu, bardzo się od siebie oddalili. Siostra również zostawiła dom i dotychczasowe życie i nocami przemierzała kontynent, żeby tydzień później znaleźć się w chłodnym klimacie północnej Europy. Riitho pojechał do Genewy i zamieszkał z Jo Kotanem i jego żoną. Oboje byli członkami kierownictwa APL na wygnaniu. Mpho natomiast pojechała do Norwegii i zamieszkała na przedmieściach Oslo w rodzinie Torii i Per Sommerów. Sommerowie poznali Modise'a i jego żonę Njeri, kiedy Torii pracował dla Czerwonego Krzyża w Republice Południowej Afryki. Norweg już wtedy proponował ojcu Mpho, że jeśli to będzie konieczne, zaopiekuje się jego dziećmi. Rozwiązanie okazało się nie najszcześniejsze dla Mpho. Dziewczynka bardzo cierpiała po opuszczeniu rodziny i okropnie czuła się w obcym środowisku w otoczeniu wyłącznie białych. Riitho był za mały, żeby zrozumieć, co się działo. Poza tym jednym, niezręcznym spotkaniem rodzeństwo nie utrzymywało ze sobą kontaktu. Mpho w towarzystwie ochroniarzy podążała za naziemnym pracownikiem Brytyjskich Linii Lotniczych. Stewardesa prowadziła ich służbowym przejściem przez terminal lotniska, żeby uniknąć spotkania z fotografami. Czarna, wysoka, sprężysta, ładna dziewczyna z odważnym i pewnym siebie spojrzeniem myślała o dwóch rzeczach: o czekającym ją locie do kraju i o tym, że chętnie udusiłaby brata. Dom. Ojczyzna. Nie potrafiła sprecyzować, co właściwie czuje. W Stanach Zjednoczonych prowadziła normalne życie. Miała bardzo ładne mieszkanie w centrum Bostonu, chłopaków, z którymi się spotykała, pracę i trzy przyjaciółki - a także duże szanse na tytuł docenta i odpowiednie stanowisko na Harvardzie. Z ilu rzeczy musiała zrezygnować, żeby wrócić do „domu”? Nie miała pojęcia, jak długo tam zostanie. Nikt nic nie powiedział. Co właściwie wiedziała o Republice Południowej Afryki? Ojciec już dawno temu przestał być tym czułym, czasami zabawnym mężczyzną który późnym wieczorem przychodził do jej pokoju, lekko pachnąc dymem papierosowym. Zawsze, ale to zawsze, był bardzo zajęty. Stał się dla niej odległym wspomnieniem, ojcem tylko z nazwy. Zniknął po trzecim i ostatnim aresztowaniu. Wówczas, podobnie jak i teraz, należał bardziej do Sprawy niż do niej i Riitha.

Oczywiście, cieszyła się, że ojca w końcu mają wypuścić z więzienia. Nikt jednak nie wiedział, jak wielkie poczucie winy cały czas nosiła w sobie. Przez te wszystkie lata ścigało ją jak cień. Jak mogła cieszyć się życiem, wiedząc, że ojciec jest uwięziony? Jak mogła się śmiać, pływać, czytać, podróżować po świecie, kiedy on żadnej z tych rzeczy nie mógł robić? Kiedy zadzwonił, stała w bieliźnie w kuchni i rozplakała się. Nie posiadała się z radości. Jednocześnie jednak była zła. Nikt ich nie pytał, co myślą o wyjeździe, czy chcą opuścić kraj. Nie mieli czasu pożegnać się z bliźniakami, nawet z matką. Załadowano ich na tylną kanapę samochodu... ostatnie, rozpaczliwe machnięcie ręką na do widzenia i odjechali. Niczego ze sobą nie zabrali. Absolutnie niczego. Wszystko zniknęło, skończyło się - ot, tak po prostu. Tydzień później znaleźli się w Europie. Tutaj rozstała się z bratem, a tym samym pękło ostatnie ogniwo, jakie łączyło Mpho z przeszłością. Potem już wszystko robiła sama. Pomyślała o Riicie. Była na niego zła. O tak, nawet bardzo zła. Do furii doprowadzały ją wiadomości, jakie na pierwszych stronach gazet pojawiały się w Stanach Zjednoczonych od tygodnia. „Nowa Republika Południowej Afryki”, „Twarze przyszłości”, „Tęczowa Republika”. Jak mógł? Z Rianne de Zoete? Z tą głupią flądą? Mpho nauczyła się ukrywać swój stosunek do większości białych za dość przyjemną maską, ale tej granicy nigdy by nie przekroczyła.

- Dobra - powiedziała stewardesa BA, kiedy doszli do podwójnych drzwi. -

Przejdziecie tędy, a ja pójde tam, żeby odwrócić ich uwagę. Biegnijcie, tylko kilka metrów dzieli was od wejścia do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy.

Wszystkiego dobrego - życzyła im radośnie i poczekała, aż Mpho i dwaj towarzyszący jej mężczyźni przejdą przez drzwi. Kiedy sama pchnęła sąsiednie, rozległ się trzask zwalnianych migawek, błysk fleszy i krzyki przedstawicieli prasy, którzy rzucili się na nią jak rozjuszony stado dzikich bestii. Kątem oka ujrziała, jak za jej podopiecznymi zamykają się drzwi poczekalni. Odwróciła się do zawiedzionych dziennikarzy.

Mpho szła przez salę klubową pasażerów pierwszej klasy, jakby była właścicielką całego lotniska. Ludzie śledzili ją wzrokiem, ona jednak na nikogo nie zwracała uwagi. Zobaczyła go. Z ubiegłotygodniowej prasy doskonale знаła twarz brata. Nawet magazyn „People”, który czytała podczas lotu, publikował ich zdjęcia na okładce. Zmarszczył brwi i postukał palcem w zegarek. Nie wierzyła własnym oczom. Po dwudziestu latach beszał ją za spóźnienie! Ochroniarz Jerry rozpoznał charakterystyczne zaciśnięcie warg i uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu. Obsługa naziemna, zadowolona, że Mpho zdążyła na czas, od razu przeprowadziła rodzeństwo przez kilka bocznych wyjść. Wprowadzono ich bezpośrednio na pokład samolotu. Kilku rozczarowanych dziennikarzy z aparatami o zabawnie długich obiektywach zdołało uchwycić na taśmie moment, kiedy znikali w kabinie pierwszej klasy. Już po paru godzinach gazety na całym świecie dostały pierwsze odbitki. Wyglądało na to, że Rianne de Zoete mu nie towarzyszyła. Gdzie

więc była?

## 63

Tłumy, jakie zgromadziły się na międzynarodowym lotnisku w Kapsztadzie, nie zjawily się tutaj specjalnie na powitanie Riitha i Mpho Modise'ów. Niewiele osób, a może nawet nikt z witających nie wiedział, że przylatują rejsowym samolotem Brytyjskich Linii Lotniczych. Ludzie przychodzili na lotnisko witać każdego i wszystkich. Od tygodni trzy największe w kraju porty lotnicze przyjmowały samoloty z powracającymi z wygnania. Z każdym dniem w salach przylotów zbierały się coraz większe tłumy. Wiele z osób codziennie przychodzących na lotniska nie znało nikogo z powracających. Chodziło o okazanie poparcia dla Ruchu i nieodwracalnych zmian, do jakich doprowadził. Po wylądowaniu każdego samolotu do oczekujących wychodzili pasażerowie z pełnymi napięcia i oczekiwania twarzami. Były krzyki, łzy radości, wybuchy śmiechu, kiedy ten czy ów został rozpoznany:

„Czy to ty, Johnny? Patrzcie tylko! To Johnny, ludzie, Johnny". Powracający i czekający brali się w ramiona, witali z krewnymi, przyjaciółmi, partyjnymi kolegami. Wszyscy radośnie witali się ze wszystkimi, nawet ci, którzy znaleźli się po innych stronach politycznego spektrum. Panowała powszechna euforia. Na Riitha i Mpho czekał na lotnisku lśniący, czarny mercedes, który natychmiast oddalił się od wiwatujących tłumów. Serdeczny uścisk powitalny nie uświetnił ich powrotu do domu i ojczyzny. Pod osłoną nocy zostali przewiezieni do Bishopsgate, jednej z zamożnych, białych dzielnic na przedmieściach miasta. Tutaj od tygodnia mieszkała Njeri z dwojgiem młodszych dzieci. Podczas lotu Riitho i Mpho prawie ze sobą nie rozmawiali. Młoda kobieta była ciągle bardzo zła na brata za - jak uważała - najbardziej haniebną zdradę. Jak mógł włączyć się po świecie z tą białą suką wiedząc, kim jest i za jakimi wartościami się opowiada? Mpho nie mogła tego zrozumieć, tym bardziej że w tym samym czasie ojciec siedział w więzieniu, skazany za sprzeciw wobec ich zachłanności i osadzony przez reżim, który popierali. Co on właściwie sobie wyobrażał?

Riitho jednym uchem słuchał enigmatycznych uwag Mpho ledwie skrywających pogardę, która miała maskować złość. Uważał, że nie wszystko ogarniała rozumem. Zuchwała, ostra w słowach siostra nic nie pojmowała. Mimo doskonałych ocen na uczelni nie potrafiła ogarnąć umysłem całej złożoności sytuacji, w jakiej się znaleźli. Po prostu nie potrafiła. Spozstrzegł, że ochroniarze wymieniają spojrzenia. Doszedł go szept: „Zachowują się jak zepsute dzieciaki... zepsute białe dzieciaki". Doskonale rozumiał ironię. Wjechali na podjazd do domu arcybiskupa, w którym zatrzymała się rodzina Modise'a i gdzie mieli spędzić noc, zanim następnego ranka pojedą do więzienia. Dom był piękny, przestronny, skryty w purpurowym cieniu

liliowych kwiatów drzew. Kilku policjantów przed bramą wjazdową strzegło mieszkańców przed wścibskimi dziennikarzami i fotografami. Kilkanaście fleszów błysnęło oślepiającym światłem, kiedy przejeżdżali przez bramę. Riitho i Mpho siedzieli bez ruchu, oboje starali się nie myśleć o chwili, kiedy spotkają się z matką, której właściwie już nie pamiętali. Samochód zatrzymał się przed ładną werandą. Po obu stronach szerokich schodów wejścia strzegły dwa kamienne lwy. Ogród, chociaż w mroku ledwo było go widać, rozpościerał się na lewo od samochodu. Riitho czuł wieczorny zapach drzew pomarańczowych i jeszcze czegoś... czegoś słodkiego, intensywnie pachnącego... Nie mógł rozpoznać tej woni, to nie był zapach z okresu dzieciństwa w Soweto.

Z wnętrza domu rozległ się krzyk i zanim ktorekolwiek z nich zdążyło zareagować, Njeri Modise pędem zbiegła po schodach do dzieci. Tuliła do siebie to jedno, to drugie; ochroniarze taktownie odwrócili wzrok. Lebohang poczuł wilgoć pod powiekami. Będzie musiał poczekać do rana, aż pojedą do Soweto, do *gogo*, babki Mpho i Riitha. Dopiero potem zobaczy się ze swoją żoną i dziećmi.

Panowała głucha cisza, noc stłumiła nawet ćwierkanie świerszczy. Riitho i Mpho w czułych objęciach Njeri wspięli się po schodach i weszli do domu.

\*

W Londynie Gabby siedziała przyklejona do telewizora. Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali - dzień uwolnienia najbardziej znanych więźniów politycznych. O świcie ekipy wiadomości zaczęły relację na żywo. Obaj więźniowie mieli razem, ramię w ramię, opuścić więzienie Victora Verstera na przedmieściach Paarl w Prowincji Przylądkowej Zachodniej. Przedstawiciele prasy - krajowej i zagranicznej - wychodzili z siebie, żeby zdobyć najciekawsze materiały, najlepsze zdjęcia, najwięcej szczegółów. Do publicznej wiadomości podawano fakty błahe i najbardziej osobiste. Przez cały tydzień przed planowanym uwolnieniem więźniów oczy całego świata zwrócone były na ten śliczny, dotychczas niezauważany zakątek ziemi.

Bogu niech będą dzięki za BBC - mruknęła Gabby do Nathalie i uśmiechnęła się do Naela. Siedzieli w londyńskim mieszkaniu młodej mamy i oglądali serwis informacyjny. Nael pracował teraz dla BBC jako korespondent wojenny, latał z jednego niespokojnego regionu do drugiego. Niemal co tydzień można było oglądać jego twarz na ekranach telewizorów. Miał kontakty - i takie, które sam nawiązał, i takie, które zdobył dzięki matce - wolę dociekania prawdy i instynkt, który pomagał mu ją odkryć, a przy tym był fotogeniczny. Właśnie te cechy pozwoliły mu z nieznanego dziennikarza prasowego niemal błyskawicznie stać się wziętym reporterem telewizyjnym. Głos Naela był spokojny, wyważony, angielski. Młody korespondent opisywał wydarzenia, rozmawiał z ludźmi... zwykłymi ludźmi, takimi,



jakich widzowie spotykają w Cheltenham czy Nottingham, kiedy zajmują się swoimi codziennymi sprawami... idą po zakupy, wpadają do fryzjera... odprowadzają dzieci do szkoły. Miał egzotyczne imię... w trakcie wywiadów gładko przechodził na arabski czy francuski i nie zgadzał się, żeby BBC podkładała dubbing. Dzięki temu dla widzów był jednocześnie Arabem i Brytyjczykiem, człowiekiem Wschodu i Zachodu. Potrafił sprawić, że kontekst sprawy stawał się zrozumiały, widzowie mogli się z nim identyfikować i nagle już nie było mowy o „straconej sprawie”, powstawała więc między tymi na ekranie i tymi przed ekranem. Działanie nieco wyrachowane, ale odniosło zamierzony skutek. Od kiedy na antenie zaczęły pojawiać się reportaże Naela Kilaniego - Hughesa, ludzie znacznie lepiej rozumieli złożoność sytuacji, byli mniej skłonni do uproszczeń. Gabby znowu się do niego uśmiechnęła. Bardzo się cieszyła ze spotkania. Nael miał tydzień urlopu, była zachwycona, że mógł być tu razem z nimi.

Odwróciła się do telewizora. Wszyscy w Londynie oszaleli na punkcie Mandeli i Modise'a. Na Trafalgar Square, gdzie odbywały się najdłużej trwające demonstracje przeciwko polityce apartheidu, tłumy radośnie świętowały. Od Oxford Circus aż do Embankment w mdłym świetle słońca powiewały małe czarno - zielono - złote chorągiewki, pod South Africa House zgromadziły się tysiące ludzi. To miejsce od bardzo dawna było dla narodu brytyjskiego symbolem długiej i okrutnej wojny w Afryce Południowej. Dzisiaj stało się centralnym miejscem uroczystości.

Miszy, który zaczynał stawiać pierwsze, niepewne kroki, poranne spotkanie znajomych mamy sprawiło ogromną radość. Dorośli podawali go sobie z rąk do rąk. Nikt nie mógł się powstrzymać przed uściskaniem pulchnego ciała i ucałowaniem pyzaty policzków. Mały nie posiadał się z radości, ale nie spuszczał matki z oczu. Nathalie spojrzała na synka i westchnęła ze smutkiem. Po tak pełnym wrażeń poranku trudno jej będzie go uspić. Ktoś chce kawy? - To był Nael. Na'el. Nathalie i Charmaine nie potrafiły uporać się z tą zmianą, nadal wymawiały jego imię tak samo jak za czasów szkolnych.

Nathalie spojrzała na Naela. Również ona bardzo się cieszyła, że przyszedł. Choć Nael i Gabby pozostawali w kontakcie od czasu ukończenia szkoły, Nathalie i Charmaine od lat się z nim nie widziały. A teraz był popularnym reporterem telewizyjnym. Czuła się, jakby przyjmowała w domu jakąś znakomitość. Musiała wziąć Charmaine na stronę i powiedzieć jej, żeby przestała się gapić na Naela, przynajmniej w obecności Gabby. Nawet jeśli inni tego nie dostrzegali, Nathalie nie miała wątpliwości, że Gabby czuje do niego nie tylko koleżeńską sympatię. Miała to wypisane na twarzy. Nic dziwnego, musiał się wszystkim podobać. Wyglądał bosko - długie kręcone włosy miał zaczesane do tyłu i związane w koński ogon - i był bardzo miły. Za każdym razem, kiedy obok niego przechodziła, odczuwała nieodpartą chęć ściągnięcia mu gumki z włosów i... Przerwała myśl. Posuwała się za daleko. Przecież cały ranek upominała Charmaine, żeby się na niego nie gapiła. Zastanawiała się, dlaczego Nael i Gabby nie są razem. Przyjaciółka ostatnio

wyglądała fantastycznie. W niczym nie przypominała niezgrabnej dziewczyny z nadwagą z czasów szkolnych; była elegancką, obytą towarzysko kobietą, ale w głębi ducha pozostała tą samą dobrą, troskliwą Gabby. Bez wątpienia wiodła najbardziej z nich wszystkich interesujące życie. Z laptopem i notatnikiem w ręku jeździła do egzotycznych i niebezpiecznych miejsc na całym świecie. Z sześcioma ministrami i pewnie tyloma głowami państw była po imieniu. Nathalie z gorzkim uśmiechem pomyślała, że - w porównaniu z nią - Gabby żyje znacznie ciekawiej. Oczywiście, za nic na świecie nie chciałaby zamienić się z koleżanką. Spojrzała na synka, który próbował przemaszerować po twarzy Charmaine. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

W tym momencie z drugiego końca pokoju, gdzie usadowiła się Gabby, rozległ się krzyk. Chodźcie! Wychodzą! Patrzcie!

Wszyscy rzucili się do telewizora, łącznie z Miszą. Malec był zaskoczony, że dorośli nagle zupełnie stracili zainteresowanie jego osobą i skupili się na czymś innym.

- Boże, jakie tłumy! - powiedziała Charmaine, patrząc na morze twarzy wypełniających ulice Paarl. Gdzieś w tym tłumie był Riitho. Nael i Gabby leżeli na brzuchach przed telewizorem i machali w powietrzu nogami. Nawet z tej odległości czuli, jak rośnie podekscytowanie tłumu. W Londynie była godzina druga, w Republice Południowej Afryki trzecia. Zbliżała się chwila, kiedy dwaj mężczyźni przejdą przez bramę i opuszczą więzienne mury. W przypadku Mandeli po dwudziestu siedmiu latach; Modise został zamknięty na Robben Island cztery lata później. Na razie za bramą więzienia pozornie nic się nie działo.

Dziwne miejsce na więzienie - zauważyła Charmaine, rzucając się na kanapę.

Wygląda jak prywatna wiejska rezydencja.

- To otwart...

- To wzorco... - Gabby i Nael odezwali się jednocześnie. Spojrzeli na siebie i się roześmiali. Nael oddał pałeczkę Gabby. W końcu to ona zajmowała się Afryką Południową.

Dziewczyna wyjaśniła, że zakład Victora Verstera był otwartym zakładem karnym, miejscem przejściowym między prawdziwym więzieniem a wolnością. Tutaj Mandela i Modise w stosunkowo dobrych warunkach i w spokoju mogli prowadzić negocjacje z rządem. Nathalie i Charmaine słuchały z zainteresowaniem i podziwem dla wiedzy przyjaciółki. Wszyscy ponownie odwrócili się do telewizora.

Nael trącił Gabby stopą. Dobra robota - powiedział bezgłośnie. Zarumieniła się, z uwagą wpatrując się w ekran. Kamera pokazywała teraz Kapsztad, gdzie na Grand Parade zgromadziło się kilkaset tysięcy zwolenników Modise'a i Mandeli.

Komentator BBC mówił cichym, monotonnym głosem. W pewnym momencie zrobił głupią uwagę na temat twarzy nowej Republiki Południowej Afryki: „Syn Modise'a, znany architekt... i chociaż nie ma jej na obchodach, jego partnerka... śliczna południowoafrykańska supermodelka, Rianne de Zoete... ostatnie rewelacje na temat

zaangażowania jej ojca w walkę narodowowyzwoleńczą... wyrazy najwyższego uznania, ten związek między dwoma potomkami burzliwej historii Republiki Południowej Afryki... i może wielką nadzieją na przyszłość..." Komentator jednostajnym głosem mówił i mówił. Gabby uśmiechnęła się do siebie wiele znaczącym, tajemniczym uśmiechem. Ze wszystkich obecnych tylko ona jedna widziała Riitha w tym świetle. Od próby porwania Rianne, która ciągle jeszcze nie została dokładnie wyjaśniona opinii publicznej, darzyła młodego Modise'a jeszcze większym szacunkiem i sympatią. Dużo zaryzykował, pozwalając sobie - tak, to było właściwe określenie: pozwalając sobie - na zbliżenie się do jej przyjaciółki. Wiedziała również, że dzień dzisiejszy jest zaledwie początkiem. Dla Rianne odzyskanie ojca i rewelacyjne doniesienia o dokonywanych przez niego przez ponad szesnaście lat darowiznach na rzecz Ruchu były z jednej strony błogosławieństwem, z drugiej - katastrofą. Istniał wielki rozróż między społecznym postrzeganiem człowieka, który w równym stopniu wzbudzał miłość i nienawiść, a koniecznością zrozumienia przez Rianne, że dla sprawy gotów był poświęcić córkę i tym samym całkowicie zmienić jej życie. Prawda okazała się bolesna. Będzie musiała jakoś się z tym pogodzić. Riithem natomiast targwały przeróżne uczucia, a dręczyło go jedno istotne pytanie, które Gabby nazwałaby egzystencjalnym: „Kim jestem?" Do młodego mężczyzny powoli zaczynało docierać, że życie syna Livingstone'a Modise'a przestało należeć tylko do niego. Następny etap będzie zupełnie inny. Musi się nauczyć, co znaczy żyć w cieniu wielkiego ojca.

W oddalonym o dwadzieścia tysięcy kilometrów zakładzie karnym Victora Verstera obaj mężczyźni byli niespokojni. W domu, w którym przez ostatnie dwa lata mieszkał Mandela, nieustannie dzwonił telefon. To przedstawiciele rządu, członkowie Afrykańskiego Kongresu Narodowego oraz Afrykańskiej Partii Ludowej i znani dziennikarze usiłowali porozmawiać z przywódcą czarnych mieszkańców RPA. Słuchawka czasami tylko sekundę leżała cicho na mahoniowym biurku. Żona Mandeli, Winnie, gawędziła z Njeri. Ich dzieci, a w przypadku państwa Mandelów również wnuczeta, czekały w ratuszu. Modise'a przywieziono z jego domku, który znajdował się na tyłach terenu więzienia. Panowała atmosfera podniecenia, Mandelą uściskał swoich strażników. Nie było czasu na długie pożegnania, przed bramą więzienia tłum zaczynał się niecierpliwić. Helikoptery z ekipami telewizyjnymi, dziennikarzami i fotografami krążyły nad głowami.

Za kwadrans czwarta mężczyźni stanęli ramię w ramię z żonami u boku i drzwi domu zostały otwarte. Na zewnątrz czekały samochody i obstawa, która miała eskortować ich do bramy więzienia. Powinni zatrzymać się jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed nią żeby można było sfilmować, jak idą na wolność. Charmaine rozparła się na kanapie. Z przyjemnością przyglądała się leżącemu na podłodze Naelowi, ale tęskniła za Simonem. Była mocno zdezorientowana. Wrócił do Kapsztadu w grudniu, gdy tylko opinia publiczna dowiedziała się o związku Rianne i Riitha. Na pożegnanie podarował jej brylantowy naszyjnik. Włożył go pod poduszkę.

Był trochę pretensjonalny, ale bardzo ładny - i drogi. Oddała go do wyceny. Poza tym i jednym telefonem w styczniu nie dawał znaku życia. Nic dziwnego, że z zainteresowaniem przyglądała się Naelowi... znowu się nudziła.

Przyjaźń z Emily również się kończyła. Męczyło ją fałszywe wyrafinowanie dziewczyny, jej cynizm i postawa życiowa, jakby już wszystko widziała, wszystkiego próbowała. Czasami zastanawiała się, dlaczego Emily w ogóle bierze udział w tej grze; ciągle mówiła, że nie chodzi jej o pieniądze, wystawne życie, nawet nie o mężczyzn. Twierdziła, że może z tym w każdej chwili zerwać. Czemu więc nie zrywa? Charmaine zadawała sobie to pytanie sześć razy na tydzień. Poza tym cały czas była na haju. Bezwiednie pomacała ręką nos. Dzięki Bogu przestał codziennie krwawić. Jakimś cudem zawsze udawało jej się w ostatniej chwili powstrzymać przed całkowitym samozniszczeniem.

Bruce mijał kiosk z gazetami na rogu Hollywood i Devine. Jak zwykle szedł na poranną kawę i naleśniki do barku Denny'ego. Zauważył zdjęcie Rianne i Riitha na tytułowej stronie „New York Timesa”, kupił gazetę, wcisnął ją pod ramię i pół-idąc, pół-biegając, ruszył dalej. Padało i było raczej chłodno. Poszukał swojego zwykłego miejsca pod oknem, zamówił śniadanie u idiotycznie pogodnej kelnerki i usadowił się wygodnie.

Rozłożył gazetę. Jeszcze jedno doskonałe zdjęcie obojga i podpis: „Nowa Afryka Południowa”. Z plaśnięciem złożył dziennik. Nie był pewien, czy będzie w stanie o nich czytać. Właśnie to. Nowa Afryka Południowa. Czuł się jak głupek, był marionetką w rękach Justina. Po nieudanej próbie porwania Bruce mógł tylko stać z boku i z przerażeniem obserwować, jak cały plan się wali. Nie miał pojęcia, że Justin działa sam, na własny rachunek. Był przekonany, że odgrywa pewną rolę w procesie rewolucyjnym, że pracuje na rzecz Ruchu, tymczasem to nim manipulowano. Justin gnął w jakimś paryskim więzieniu, trzej inni nie żyli, cała grupa była skompromitowana. Dzisiaj Republika Południowej Afryki robiła pierwszy krok ku wolności, tymczasem on, targany lękiem, ukrywał się w barku kawowym w Los Angeles.

Czy powinien zgłosić się na policję i powiedzieć, co wie, czy może skontaktować z kimś z Ruchu? Z jednej strony pragnął wrócić do domu, do kraju i wyjaśnić, w co - jak sądził - był zaangażowany przez ostatnie dziesięć lat. Przecież chyba zostałyby to wzięte pod uwagę? Z drugiej strony bał się reakcji rodaków. Jak mógł być aż tak bardzo naiwny? W kraju stałby się jeszcze jednym białym młodzieńcem, który bawił się w rewolucjonistę. Tutaj był jeszcze jedną ofiarą walki o wolność. Popatrzył przez okno na spieszących ulicą mieszkańców Los Angeles z kubeczkami podwójnej kawy z mlekiem w dłoniach. Dla nich życie było proste. Mogli się cieszyć własnym miejscem na ziemi. Nie mieli pojęcia, co się dzieje w innych zakątkach świata. Rianne oglądała uroczystości w telewizji w pięknej willi na Eckerbergsgate. Marius wyszedł, ale nie wiedziała, dokąd. Jeszcze nie potrafiła się uporać z wydarzeniami

ostatniego miesiąca: porwanie, uwolnienie, dni oczekiwania w apartamencie na Avenue Foch, a potem wiadomość, że ma jechać do Oslo. Ma p o j e c h a ć! Kto tak zdecydował? Tę wiadomość przekazał jej Riitho: w Oslo był Marius.

- Co ty mówisz? - patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Ojciec nie żyje, przecież wiesz - podniosła głos.

- Riitho powiedział, że wszystkiego nie wie, dotarły do niego tylko strzępki informacji. Marius współpracował z Afrykańską Partią Ludową. Musiał zaaranżować swoje rzekome zniknięcie. Ich ojcowie działali w tej samej sprawie. Popatrzył na nią z niepokojem. Powoli potrząsała głową, nie mogąc uwierzyć. A zatem wszystko w porządku? To znaczy jeśli chodzi o nas... wszystko w porządku? - dopytywała się z wahaniem. Ze zdumieniem zauważył, że niepokój o nich, o sytuację, w jakiej się znaleźli, przyćmił rewelacje na temat ojca.

- Nie... Rianne - ujął ją za rękę - to będzie... to jest skomplikowane.

- Dlaczego? Co chcesz powiedzieć? Dlaczego skomplikowane? - Wyczuwała niepewność w jego głosie. - Przecież to dobrze, że działa razem z wami, prawda? Rianne, posłuchaj, to wcale nie jest takie proste. Jedź do Oslo. Porozmawiaj z nim. Ja muszę wrócić do kraju...

- Pojedziesz beze mnie? Zostawiasz mnie?

- Nie zostawiam cię. Nie bądź niemądra. Powinnaś spotkać się z ojcem, a ja muszę zobaczyć się ze swoim. Spotkamy się w Republice Południowej Afryki. Potrzebuję czasu, żeby wszystko jakoś pozłatwić.

- Z kim?

- Z rodziną.

Riitho nic więcej nie powiedział. Próbował ją objąć i przytulić.

- Wiem, co będzie. - Odsunęła się od niego. - Kiedy tylko wrócisz, powiedzą, że nie powinienes... że nie powinniśmy... - Wpatrywała się w niego z nadzieją, że zaprzeczy.

- Nie. - Trzymał ją w ramionach, gładził włosy, usta przyciskał do plastra na czole. - Tak się nie stanie. Nie znasz mojego ojca. Wszystko będzie dobrze. Przytuliła się do niego mocniej. Chciała mu wierzyć, pragnęła móc mu uwierzyć. Zażądała, żeby się z nią kochał, teraz, natychmiast. Następnego dnia rano miała wyjechać; miną tygodnie, zanim ponownie się zobaczą. Delikatnie odsunął jej rękę. Sza.

Potrzebowała odpoczynku, nie seksu. Była słaba i rozgorączkowana. Czoło miała zroszone potem. Zaczęła płakać. Przytulił ją mocniej i spełnił prośbę.

Leżała obok Riitha i pieściła jego dłonie. Palcem wodziła po krótko obciętych paznokciach, przytulała dłoń do gorącej, wilgotnej twarzy. Ciało młodego mężczyzny, jak zawsze po chwilach upojenia, płonęło niezwykłym żarem i powoli wciągało i ją w ogień namiętności. Przyłożyła rękę do jego dłoni. Bała się. Miała rację, teraz widziała to wyraźnie. Następnego ranka wszystko potoczyło się bardzo szybko. O ósmej przyjechał po nią samochód. Od stóp do głów była otulona płaszczem, włożyła okulary i chustkę na głowę. Stała przy oknie. Riitho spakował jej

kilka rzeczy i podszedł.

- Nie chcę jechać - powiedziała bliska łez.

- Sza.

Objął ją z tyłu ramionami, policzek przytulił do ramienia. W szybie widziała ich odbicie. Starła się zapamiętać ten obraz, sposób, w jaki na nią patrzył - nie mogła. W tej chwili nie potrafiła na niczym się skupić, zbyt wiele się zdarzyło. Zbyt wiele miało się zdarzyć.

- Ktoś zapukał do drzwi. Czas ruszać. Nie martw się, de Zoete. - Pocałował ją mocno. - Wszystko załatwię. - Znowu rozległo się pukanie do drzwi. Zaczynali się zbierać przedstawiciele prasy. - Chodźmy. - Poszła.

Wyprowadzono ją z domu, przeciskając się między dziennikarzami i fotoreporterami, i biegiem skierowano do czekającego przy krawężniku samochodu. Kierowca prowadził znakomicie. W pół godziny zgubił kilka skuterów, które za nimi ruszyły. Nikt jej nie rozpoznał, kiedy zatrzymali się przed terminalem na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. W ciągu kilku minut znalazła się w sali odlotów i została zaprowadzona do samolotu.

Teraz, oglądając jego przystojną twarz na ekranie telewizora i słuchając głosu komentatora, opowiadającego o niej, o nich, znowu zaczęła płakać. Mandela i Modise skończyli przemawiać do tysięcy ludzi zgromadzonych na Grand Parade. Kamera przesuwiała się po tłumie i zatrzymała na dwóch, stojących obok mężów, kobietach: Winnie Mandeli i Njeri Modise. Odkrycie, jak bardzo Riitho jest podobny do matki, było dla Rianne bolesnym wstrząsem. Jak wielu wiernych swojemu przywódcy stał po jednej stronie wejścia do ratusza. Jego twarz była dobrze znana, od kilku tygodni tysiące kamerzystów i reporterów w swoich materiałach pokazywało podobiznę syna Livingstone'a Modise'a. Rianne przyglądała mu się z uwagą, piksele na monitorze spłaszczwały twarz. Starła się zapamiętać ten obraz, zanim obiektyw kamery przesunie się dalej.

Co z nimi będzie? Zsunęła się z kanapy i żałośnie łkając, zwinęła w kłębek na podłodze. Nadal leżała na ziemi, kiedy Marius w końcu wrócił do domu.

## 64

Dochodziła północ, kiedy Nathalie zamknęła drzwi za Gabby i Naelem i stłumiła ziewnięcie. Wybierali się na przyjęcie gdzieś w Hammersmith do jednego z londyńskich znajomych Gabby. Nathalie zastanawiała się, skąd biorą na to siły. Zasunęła zasuwę w drzwiach. W salonie panował nieziemski bałagan, ale na szczęście następnego dnia miała przyjść Gloria. Misza spał smacznie na półpietrze, mały brzusek miał wypełniony do granic możliwości ostatnią butelką, którą udało jej się go nakarmić. Charmaine wyszła wcześniej. Jak niejasno powiedziała, miała randkę czy inne plany na wieczór.

Nathalie po cichu pozbierała zabawki Miszy i porozrzucane części garderoby, po czym pogasiła światła na dole. Zastanawiała się, co w tej chwili robią Rianne i Riitho. Co za życie! Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do siebie. Nie chodziło o to, że chciałyby się z nimi zamienić. Z Miszą jej życie stało się pełne.

Prawie natychmiast po przekroczeniu bramy na Fulham, Road Gabby i Nael zatrzymali taksówkę. Kierowca pochodził z Indii Zachodnich, ale nie wydawał się podzielać ich radości z powodu uwolnienia Mandeli i Modise'a. Wszystko jedno, dla nich nie miało to znaczenia. Obojgu kręciło się w głowie ze szczęścia i po szampanie. Gabby powiedziała kierowcy, gdzie chcą jechać.

Trochę w bok od Hammersmith Broadway - wyjaśniła - najszybciej, jak się uda. Kiedy przyjechali, przyjęcie trwało w najlepsze. W połowie ulicy słychać było śmiech gości. Gabby nacisnęła dzwonek i zostali wciągnięci do środka, powitały ich okrzyki radości i serdeczne pozdrowienia zebranych. Centymetr po centymetrze przedzierali się na górę wąskimi schodami. Gabby zatrzymywała się co chwila, żeby kogoś ucałować, przytulić czy ucisnąć dłoń. Wydawało się, że zna wszystkich. Byli tu sami przeciwnicy polityki apartheidu: demonstranci z Trafalgar Square, łącznie z tymi, którzy przez ponad dziesięć lat koczowali przed South Africa House, prawnicy zajmujący się problematyką praw człowieka, wolontariusze, działacze organizacji charytatywnych, Amnesty International, Komitetu Praw Człowieka. Nael rozpoznał Marwana Ahmata i kilka innych osób, które spotkał w Palestynie: czarnych, białych, Żydów i Arabów. Byli tu wszyscy i radośnie świętowali. Zwycięstwo Republiki Południowej Afryki okazało się zwycięstwem ich wszystkich, ważnym krokiem w walce ze światowym imperializmem.

Nael widział, jak Gabby zniknęła w gratulującym sobie nawzajem tłumie, ścisnęła dłonie dawnych kolegów z pracy, których nie widziała od wyjazdu do Nowego Jorku. Przyglądał się, jak serdecznie ją witali, jak mocno przytulali, chwyтали za ręce, całowali. Cieszyli się, że przyszła, że świętuje razem z nimi. Nie miał najmniejszych wątpliwości, Gabrielle Francis była osobą uwielbianą. Poczł dziwne ukłucie w sercu, widząc, jak wielu mężczyzn podchodzi do Gabby i odciąga ją na stronę. Do jego Gabby... Poszedł w kąt pokoju i obserwował radujących się wokół ludzi. Człł się wśród nich obcy.

- Masz papierosa, kolego? - zwrócił się do młodego czarnoskórego mężczyzny ubranego w togę w barwach Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Musiał zapalić. Nagle ktoś pogłócił muzykę. Nael wyszedł z pokoju i schodami udał się na górę. Znalazł niewielki gabinet, równie głośny, ale pusty. Oparł się o kaloryfer i przez okno patrzył na ulicę. Jeszcze jacyś ludzie przybywali na przyjęcie. Zerknął na zegarek. Druga rano.

W drzwiach pojawiła się Gabby z dwiema butelkami piwa w ręku. Radośnie roześmiała się na jego widok. Pochylił się w jej stronę. Nie mógł zrozumieć swojego nastroju. O co chodziło?

- Uciekasz? - Podała mu butelkę.

Wypił łyk piwa. Nagle doznał olśnienia. Był w niej zakochany, kochał ją. Zawsze kochał Gabby. Była najwspanialszą osobą, jaką znał. Sprawiała, że budziło się w nim wszystko, co najlepsze. Ze wszystkich wydobywała najbardziej pozytywne cechy.

- Chodźmy - zaproponował i dopił piwo.

- Teraz?

- Teraz.

Zbiegli na dół, nie zatrzymując się, żeby się pożegnać, potem bez słowa poszli w kierunku Broadwayu. Nael zatrzymał taksówkę, wsiedli. Wilton Crescent? Skinęła głową.

Wsparli się głowami. Dziewczyna czuła jego dłoń leżącą spokojnie tuż obok jej ręki. Palce Naela delikatnie muskały palce Gabby, a może było odwrotnie? W mrocznym wnętrzu taksówki dłonie leżały swobodnie splecione, naturalne przedłużenie podniecenia i radości, jaką przyniósł im ten wieczór. Dziewczyna z rozmarzeniem odwróciła się do Naela. Ich usta się spotkały i już nie oddaliły.

- To tutaj? - odwrócił się do nich taksówkarz.

Oderwali się od siebie, Nael cicho zaklął. Wetknął taksówkarzowi w dłoń banknot i otworzył drzwi. Pomógł wysiąść Gabby. Przez chwilę stali przed drzwiami, patrząc na siebie bez słowa. Dla Gabby noc miała surrealistyczny wymiar. Pocałunek, pieszczota? To, co zdarzyło się w taksówce, było po prostu potwierdzeniem tego, co zawsze do Naela czuła: poczynając od podręcznikowych fantazji uczennicy, poprzez trudny związek z Dominikiem, a nawet z Gilesem, który pomógł jej uwolnić się od koszmaru. Zawsze chodziło o Naela. Zawsze.

- Patrzył, jak wyślizguje się z džinsów i zsuwa z ramion jedwabną bluzkę. Stała przed lustrem toaletki tylko w czarnym staniczku i majteczkach. Biała, perłowa skóra błyszczała w przyćmionym świetle. Podszedł do dziewczyny od tyłu i śniadym ramieniem objął ją w talii. Spoglądał na ich odbicie w lustrze. Zsunął jej z ramion ramiączka stanika. Gabby stała bez ruchu. Jedną ręką go rozpiął. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy, kiedy staniczek opadł i stała przed nim prawie naga. Drugą ręką sięgnął do jednego sutka, potem drugiego. Opuszczał dłoń niżej, na brzuch, jeszcze niżej... Nael - szepnęła do odbicia w lustrze. Nie zatrzymał dłoni. Głaskał i drażnił śliskie ciało palcami jednej ręki, drugą pieścił sutki. Spod pół - przymkniętych powiek oboje obserwowali, jak doprowadza ją od jednego wstrząsającego orgazmu do drugiego.

\*

Charmaine obudziła się nagle. Usłyszała hałas, ktoś krzyczał. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta rano. Spuściła nogi z łóżka, wsunęła stopy w kaptcie i otworzyła drzwi. Przy Wilton Crescent nocowała Gabby. Poszła korytarzem do gościnnej sypialni.



- Gabs? - Pchnęła drzwi i zdążyła zauważyć znikające pod kołdrą śniade pośladki. Zamarła w bezruchu. Z pościeli wynurzyła się czerwona jak piwonia twarz przyjaciółki. - O cholera! Przepraszam, Gabs - wymamrotała, cofając się na korytarz. Była zakłopotana jak diabli. Gabby? A czyj to tyłek?

- Cześć, Charmaine - sucho powitał ją Nael. Wysunął głowę spod kołdry obok Gabby.

Dziewczyna ze zdziwienia otworzyła usta.

- Zamknij usta... i drzwi. Bardzo proszę - poleciła przyjaciółka. Charmaine odwróciła się na pięcie i pobięła korytarzem.

- Przepraszam. - Gabby odwróciła się do Naela. - Powinna zapukać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Nie gniewał się.

- Nie przejmuj się. Będzie musiała się przyzwyczaić. To znaczy przyzwyczaić do mnie.

Znowu wyciągnął ramiona do dziewczyny. Wyczerpani, zasnęli głęboko dopiero przed południem.

- Stało się - syczała Charmaine do słuchawki telefonu i niespokojnie oglądała w tył przez ramię.

- Co się stało? - zapytała Nathalie i przez ramię niespokojnie obserwowała Miszę. Siedział, kiwając się niebezpiecznie, na drugim stopniu i triumfalnie spoglądał na matkę. Gabby. Z Naelem. Są tutaj razem. W łóżku. - Charmaine umiejętnie dawkowała sensacyjną informację.

- Co? Teraz?

- Tak! Nakryłam ich dzisiaj rano. No, prawie nakryłam. Widziałam tylko jego pupcię.

- Charmaine! Och Misza... nie, nie! - Nathalie nie mogła skupić uwagi. Zadzwoń później! - Rzuciła słuchawkę i złapała synka, zanim upadł.

Charmaine weszła do jadalni. To nie w porządku. Każdy dostawał, co chciał, oprócz niej. Przede wszystkim Rianne i Riitho. Trudno uwierzyć, przecież byli zaprzysięgłymi wrogami. Potem Nathalie i Sasza. Co prawda Sasza nie należał do Nathalie, ale przynajmniej miała Miszę. Przyjaciółka długo nie chciała im powiedzieć prawdy o ojcu Miszy, ale Gabby kiedyś widziała Saszę z Nathalie w barze i od razu wiedziała, że chłopczyk nie jest synem Paula. Był dzieckiem Saszy. Przyjaciółka w końcu niechętnie wyznała im prawdę.

A teraz Gabby i Nael. Wszyscy dobierali się w pary. Tylko ona została sama.

Dlaczego Simon nie dzwonił? Problem w tym, że nie miała z nim kontaktu. Zawsze kiedy go o to prosiła, zapominał zostawić jej swój numer telefonu albo mówił, że lepiej będzie, jeżeli to on do niej zadzwoni. Nie chciał niepotrzebnie niepokoić żony. Załatwiał sprawy; zanim odejdzie, musi wszystko odpowiednio zaaranżować.

Obiecywał, że nie będzie długo czekać. Otworzyła szufladę w eleganckim stoliku na telefon. Między papierami i książkami telefonicznymi leżał czarny notes. Wyjęła go. Był oprawiony w skórę, litery miał inkrustowane złotem: „Adresy”. Otworzyła

notes i szybko przerzucała kartki. Bingo! Simon Kalen. Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer.

- Halo? - Po trzecim dzwonku zgłosiła się jakaś kobieta. Mówiła uprzejmym głosem dobrze ułożonej osoby.

- Czy mogę mówić z Simonem? - Charmaine nie podała nazwiska mężczyzny. Niech sam się potem wykręca.

- Mogę zapytać, kto dzwoni? - zapytała kobieta, tym razem ostrożnym tonem.

- Charmaine.

Zaległa chwila ciszy. Dziewczyna słyszała oddech kobiety.

- Chwileczkę - powiedziała.

Do uszu Charmaine dobiegł dźwięk odkładanej słuchawki, następnie stukotu obcasów po podłodze i otwieranych drzwi. Znowu cisza. Minęła minuta, potem następna. Ktoś poruszył słuchawką.

- Halo? - usłyszała spięty głos Simona.

- Gdzie jesteś? Dlaczego do mnie nie dzwonisz? - płaczącym głosem pytała dziewczyna. Brak odpowiedzi.

- Doskonale, dziękuję za telefon. Skontaktuję się z tobą za godzinę, żeby potwierdzić. Dziękuję, Charmaine. - Rozłączył się.

Wpatrywała się w słuchawkę w dłoni. No, przynajmniej sprowokowała jakąś reakcję. Zatelefonuje za godzinę. Była tego pewna.

W pięknym domu w Hout Bay Simon Kalen odłożył słuchawkę telefonu. Kiedy Stella weszła do salonu, oglądał migawki z wydarzeń z poprzedniego dnia. Jadł ostatni kawałek grillowanego kurczaka i sączył kieliszek wina, który zawsze wypijał w porze lunchu.

- Telefon - powiedziała krótko. - Zagraniczna rozmowa. Jakaś dziewczyna o imieniu Charmaine.

W pierwszej chwili gapił się na nią osłupiały ze zdumienia, potem odzyskał panowanie nad sobą. Stella nie miała pojęcia, kim jest Charmaine; mogła być kimkolwiek, na przykład nową sekretarką w kompleksie budowlanym nazwanym Królewskim Nabrzeżem.

- A tak - pomysł niespodziewanie przyszedł mu do głowy. - To nowa dziewczyna, którą zatrudniła Lisette. Dziękuję.

Wstał, włosy pod pachami stanęły mu dęba. Odebrał telefon i poinformował dziewczynę, że zadzwoni później. Teraz wkładał marynarkę i sięgał po kluczyki.

Krzyknął do żony, że musi pędzić do biura. Pilna sprawa.

- Nigdy więcej nie waż się tu dzwonić - ze złością pouczał Charmaine godzinę później. - Oszalałaś? Tęsknię za tobą - załkała. - Od tygodni się nie odzywasz.

- I co z tego? Jeszcze raz wykręcisz taki numer, a przysięgam, że... - Przerwał. Co zrobi? Powie Lisette, że w apartamencie przy Wilton Crescent trzyma rozrywkową dziewczynę? Charmaine pociągnie go za sobą. Głęboko odetchnął i spróbował się

uspokoić. - W porządku. Powinienem zadzwonić. Byłem bardzo zajęty. Za dwa tygodnie będę w Londynie. Dobrze? - Właściwie również za nią tęsknił. prostytutki, które od czasu do czasu wynajmował w Waterfront, nie miały ani wdzięku, ani umiejętności Charmaine. - Dobrze? - powtórzył. - Za dwa tygodnie się zobaczymy. - Dobrze się czujesz? - Gabby weszła do jadalni. Zaskoczona Charmaine podniosła wzrok.

- Tak, dobrze - wytarła oczy.

- Naprawdę? - dopytywała się Gabby, uważnie przyglądając się koleżance.

- Tak, tak. Przepraszam za rano - powiedziała dziewczyna, zmieniając temat. Poskutkowało. Gabby spłoszyła.

- Ach, to...

- Właśnie, t o. Fantastycznie, prawda?

- Nie, to znaczy tak... fantastycznie. To znaczy, ja...

- Jest najlepszą dziewczyną, jaką miałem - dokończył Nael, wchodząc do pokoju. Pochylił się i pocałował Gabby.

Cudownie! - roześmiała się Charmaine i klasnęła w dłonie. - Śniadanie! - Już zapomniała o iskierce zazdrości. Wystarczyło spojrzeć na twarz Naela i Gabby. Oboje promieniali. Nigdy nie widziała dwóch bardziej pasujących do siebie osób. Odnosiła wrażenie, że i oni teraz już to wiedzieli. - Śniadaniobiad z szampanem? - zaproponowała.

## 65

Dziesięć dni po uroczystościach Marius de Zoete z córką odlecieli do kraju. Rianne sztywno siedziała obok ojca. Ciągle jeszcze miała zamęt w głowie po rozmowie, jaką przeprowadzili rano przed wyjazdem na lotnisko. Tak bardzo się bała reakcji rodziny Riitha, że nawet się nie zastanawiała, jakie stanowisko może zająć jej rodzina, jak zareaguje ojciec. Marius mówił łagodnie, ale stanowczo. Wiedział, ile znaczy dla córki ten młody człowiek, widział to w jej oczach, ale przed młodymi stały przeszkody nie do pokonania. Żaden związek nie był w stanie wytrzymać tak silnej presji, jakiej zostaną poddani. Nie chciał, żeby córka cierpiała.

- Jak możesz tak mówić? - Rianne popatrzyła na niego ze złością.

- Mogę. Wiem, jak to jest, *skatjie*. Uwierz mi. To nie życie. Nikomu tego bym nie życzył.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz. Jakie życie? Riitho ma własne, może robić, co chce.

- I tu właśnie się mylisz, Rianne. Nie ma własnego życia, nie należy do siebie. Jego ojciec, jego naród mają w stosunku do niego pewne oczekiwania. Nie mówię, że cię nie kocha. Jestem pewien, że darzy cię prawdziwym uczuciem. Chodzi o coś innego. Będzie pod wielką presją. Ja tylko po prostu nie chcę, żebyś cierpiała.

- I ty śmiesz mi to mówić? W ogóle go nie znasz, nic o nim nie wiesz!  
- Wiem więcej, niż sądzisz, *skatjie*. Wierz mi, to nie jest dobry pomysł.  
- Dlaczego? - żądała wyjaśnień. - Nie masz racji. Zupełnie nie masz racji. Nie znasz go. - Zapanowała cisza. Patrzył na nią ze smytkiem w oczach, odwróciła wzrok. Sprawiał jej przykrość, ranił. - Co ci się w nim nie podoba? Dlaczego go nie lubisz?  
- Kochanie, to nie ma z tym nic wspólnego. Lubię go. W ogóle nie o to chodzi. Nie chcę tylko, żebyś cierpiała. Martwię się o ciebie.  
- To dlatego, że jest czarny, prawda? - Wymienili przerażone spojrzenia. - Prawda? Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać?  
- Rianne, nie bądź śmieszna. To nie ma nic wspólnego z kolorem skóry. Martwię się o ciebie i nie chcę, żebyś cierpiała.  
- Ty? Ty się o mnie martwisz? - Marius wiedział, co teraz będzie. Wyciągnął rękę i chciał jej dotknąć, ale wyrwała swoją dłoń. - Jesteś po prostu zazdrosny! - krzyknęła.  
- Jesteś zazdrosny, że ja... Rianne. Przestań! - powiedział cicho. Przestała.  
Wpatrywali się w siebie. Odezwał się pierwszy. - Wiem, co myślisz. Uważasz, że kiedy odszedłem, straciłem prawo do kierowania twoim życiem, radzenia ci, co robić. Ale zrozum. Wiem, przez co on przechodzi. Nie każ mu wybierać. Sama odejść. Znajdziesz kogoś innego.

Z tymi słowami Marius zostawił Rianne samą na środku jadalni. Ochroniarze dyskretnie patrzyli w innym kierunku. Powalił ją na ziemię. Jej własny ojciec! Jak mógł jej powiedzieć, żeby odeszła? Riitho taki nie był, nie mógłby ugiąć się pod presją, nawet bardzo silną. Przecież sam jej powiedział: Wszystko załatwię. Musiała tylko pojechać za nim do Republiki Południowej Afryki. I czekać.

W drzwiach samolotu na lotnisku Jana Smutsa powitał ich poważny czarnoskóry młody człowiek. Kilka osób obejrzało się z ciekawością, kiedy dwóch młodych ludzi eskortowało ich z samolotu. Obaj podczas lotu siedzieli rząd za nimi i nie odezwali się ani razu. Jeden czy dwaj biznesmeni rozpoznali Mariusa de Zoete'a, wiedzieli również, że towarzysząca mu młoda kobieta jest jego córką. No wiesz, to ta, która... Rozległ się szelest gazet, kilka osób odwróciło głowy. Obecność ochroniarzy i czujnych stewardes powstrzymała pasażerów przed komentarzami miłymi i nieprzyjemnymi.

Czarne BMW czekało na nich, kiedy wyszli z sali klubowej dla specjalnych gości. Kierowca zawiózł ich prosto do Houghton, do domu białego prawnika, którego wiele lat temu Marius poznał w okręgu Germiston. Podobnie jak Marius był Afrykanerem, który „zmienił poglądy”. Ich szesnastoletnia córka nie odrywała zachwyconego wzroku od Rianne. Najwyraźniej nie mogła uwierzyć, że oto Rianne de Zoete jest tutaj, w jej kuchni. Czy to prawda, że... matka ostrzegawczo zmarszczyła czoło. Dla Mariusa powrót do domu był wydarzeniem bardzo emocjonującym. Do późnej nocy rozmawiał z Theo de Vriesem. Rianne była zmęczona. Chociaż matka i córka czuły się zawiedzione, przeprosiła, gdy tylko uznała, że już wypada to zrobić, i poszła do łóżka. Chciała zatelefonować do Riitha, ale nie miała pojęcia, gdzie go

szukać. Ich sytuacja zmieniła się o absurdalne trzysta sześćdziesiąt stopni: wcześniej nie mogli do siebie dzwonić i spetykać się z obawy, że ktoś może się dowiedzieć o ich związku, teraz natomiast cały świat pragnął zobaczyć ich razem, tymczasem oni nie mogli się widywać. Rozbierała się powoli, zastanawiając się nad następnym dniem.

Wczesnym rankiem mieli pojechać do Bryanston, do Lisette. Marius poprosił Poppie, żeby uprzedziła siostrę o ich przyjeździe. Zapowiedział córce, że chwilowo zostanie u ciotki. Tak będzie dla niej najlepiej. Niejasne było jeszcze, jaką rolę on sam odegra w kraju. Kilka następnych miesięcy zajmą mu rozmowy z Modise'em i rządem. Nie wiedział nawet, czy zostanie w ojczyźnie. Rianne nie mogła mu towarzyszyć. Zawiezie ją do ciotki i tam zostawi, przynajmniej na pewien czas. Będzie musiała się zastanowić, co chce dalej robić. Jest dorosła.

Bała się spotkania z Lisette i kuzynami. Teraz już zdawała sobie sprawę, że żyli z Riithem otuleni swojego rodzaju kokonem, odcięci od reszty świata. Cztery lata byli razem, a jedynie Gabby wiedziała o ich związku. Z Lebohangiem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Uświadomiła sobie, że byli ślepi, przynajmniej ona: siła opozycji okazała się dla niej ogromnym zaskoczeniem. Obawiała się nie tylko reakcji krewnych. Kim właściwie była bez Riitha? Ojciec przerwał jej rozważania.

- Co? - poderwała się, zaskoczona.

- Zdenerwowana? - powtórzył pytanie.

Przecząco potrząsnęła głową. Kłamczucha. Oczywiście, że była zdenerwowana.

Spojrzała prosto przed siebie. Może nie będzie aż tak źle, jak się obawiała. Przecież jedzie z nią Marius. Zmieniła się. "Cały kraj się zmienił. Być może nawet oni się zmienili.

Nie zmienili się.

Drzwi otworzyła Poppie z twarzą zalaną łzami. Rzuciła się ku Rianne, tuliła ją i płakała. Dziewczyna również serdecznie objęła służącą, chciała powiedzieć, jak się zmieniła, wyznać wszystko o Riicie i to, jak wiele dla niej znaczy. Poppie odwróciła się do Mariusa. Padli sobie w ramiona, wysoki mężczyzna pochylił się, żeby przytulić służącą. Rianne ze zdziwieniem spostrzegła siwe włosy na jej skroniach, które doek tylko częściowo ukrywał.

Poppie wprowadziła ich do salonu, gdzie zgromadzili się pozostali członkowie rodziny: Lisette, Hennie i Marika. W sąsiednim pokoju przechadzał się młody człowiek. Ze spojrzeń, jakie wymieniał z Mariką Rianne domyśliła się, że to jej chłopak. Odwróciła się i popatrzyła na krewnych. Wściekłość na twarzy Lisette była niemal namacalna. Hennie również nie ukrywał złości. Tylko Marika, która siedziała nieco z boku, z miną jakby za chwilę miała się rozplakać, zdawała się cieszyć na widok kuzynki.

Panowała napięta atmosfera. Hennie z twarzą wykrzywioną złością z pogardą spoglądał na Rianne i Mariusa. Nikt się nie odzywał. Dziewczyna trzymała ojca za

rękę. Delikatny uścisk jego palców pomógł jej powstrzymać łzy.

Więc... wróciłeś. - Lisette odezwała się pierwsza. Popatrzyła na Mariusa, potem na Rianne. - I pewnie oczekujesz serdecznego powitania na łonie rodziny. - Sięgnęła po papierosa.

Niczego nie oczekuję, Lisette. - Marius ze smutkiem patrzył na siostrę. Przywiozłem Rianne do domu.

- To nie jest jej dom - cichym głosem odezwał się Hennie. Jasnoniebieskimi oczami bezczelnie mierzył kuzynkę. - *Geen kafflrboeties hier.* (Nie chcemy tu kochanek czarnuchów).

- Hennie! - krzyknęła Marika.

Rianne spojrzała na chłopaka, jej oczy lśniły wściekłością. Otworzyła usta, ale pierwszy odezwał się Marius.

- Nie masz prawa - powiedział wolno i stanowczo. - Nie masz prawa jej oceniać. Absolutnie żadnego prawa.

- Ma pełne prawo - podniesionym głosem wtrąciła Lisette. Podniosła się gwałtownie, papierosem w drżącym ręku machnęła w powietrzu. - Ma większe prawo niż ty, Mariusie. To ty nie masz żadnych praw. Żadnych, słyszysz? *Hoekom, Mariusie? Ek kan nie verstaan nie. Hoekom?* (Dlaczego, Mariusie? Nie rozumiem cię. Dlaczego?) - pytała łamiącym się głosem.

- Nie oczekuję, że to zrozumiesz, Lisette. Zawsze szliśmy różnymi drogami. - Marius nie odpowiedział siostrze po afrykanersku. Nie chciał, aby wciągnęła go w jałową dyskusję. - Nie przyjechałem tutaj, żeby o tym mówić czy rozważać dzielące nas różnice. Doskonale je znamy, prawda? Przywiozłem córkę do domu, do ciebie, jako wyraz szacunku...

- Szacunku? - przerwał Hennie. - Gdybyś miał dla nas odrobinę szacunku, skryłbyś się w mysiej dziurze, ty miłujący czarnuchów złodzieju. Wracaj, skąd przyszedłeś. Nie chcemy cię tutaj. *Voetsek.*

*Voetsek.* Tak odpędza się bezdomne psy. Won! Precz!

- Hennie! - Marika zerwała się na równe nogi. - Nie mów takich rzeczy. To nieprawda.

- Ależ tak - Marius odwrócił się do siostrzenicy. Na ustach błąkał mu się dziwny uśmiech.

Rianne popatrzyła na ojca. Rozpierała ją duma, myślała, że jeszcze chwila, a serce jej pęknie. Hennie spąsował na twarzy, zacisnął pięści. Jeszcze nigdy nie spotkała się z tak wielką nienawiścią. To on stracił godność i panowanie nad sobą, nie Marius.

- Więc odejdz, Mariusie. Nie masz wstydu, w ogóle nie macie wstydu. Żadne z was.

- Lisette odwróciła się do bratanicy. - Jeżeli nie kochasz swojej rodziny i ojczyzny, wyjedź - mówiła z białą jak papier twarzą. - Opuść ten dom!

- Nie, Lisette - stanowczym tonem odezwał się Marius. - Źle mnie zrozumiałaś.

Zupełnie na opak. Owszem, wstydzę się - ale za was, nie za siebie czy Rianne. Za

siebie wstydzilibym się, gdybym postępował tak jak wy, to znaczy nie zrobił nic. Zawsze tak się zachowywałaś. Bez względu na sytuację nie robiłaś nic i nadal nic nie robisz. Nie kochałbym swojej rodziny i ojczyzny, gdybym nic nie robił i nic nie zrobił. Rozumiesz? Nie będę stał beczynnym.

Lisette zamarła w bezruchu. Sprawiała wrażenie, że nie słyszy brata i nie rozumie języka, jakim on mówi. Stali naprzeciwko siebie, brat i siostra, ludzie tej samej krwi... stary porządek prawny i nowy ład społeczny.

- Wynoś się z mojego domu, Mariusie - wolno i wyraźnie powiedziała Lisette.

Wynoś się. Dla mnie jesteś martwy. Martwy.

Marika znowu zaczęła płakać. Marius zrobił ruch, jakby chciał dotknąć siostry. Był to tęskny, pełen miłości gest. Cofnęła się.

Rianne odwróciła wzrok. Ciotka zachowała się tak samo jak ona dziesięć lat temu, kiedy młody mężczyzna, którego nie miała powodów się bać czy nim gardzić, wyciągnął ręce, żeby ją podtrzymać. Przysunęła się do Mariusa. Jeżeli ojciec wyjdzie, pójdzie razem z nim. Przecząco pokręcił głową. To był jej dom. Miała tutaj zostać. Tam, dokąd on jechał, nie było miejsca dla pięknej, rozpieszczonej córki, bez względu na to, w kim się zakochała. Wszedł, nie oglądając się za siebie.

## 66

Riitho zszedł na dół wcześniej rano, kiedy jeszcze wszyscy spali. Tak przynajmniej sądził. Źle spał. Hałas wokół domu w Houghton był prawie tak uciążliwy jak wrzawa w Kapsztadzie pierwszej nocy po uwolnieniu ojca. Wiedział, że na zewnątrz kręcą się dziesiątki dziennikarzy z całego świata, polujących na zdjęcia nie tylko Livingstone'a, ale również i jego, a prawdopodobnie nawet Rianne de Zoete. Ale jej tutaj nie było.

Od powrotu nikt, poza Mpho, nie wspominał o dziewczynie. Życie w niczym nie przypominało tego, jakie za sobą zostawili. Wówczas informacje o ich związku konkurowały z wiadomościami o zbliżającym się uwolnieniu więźniów politycznych. Na niektórych rozkładówkach Mandela i Modise musieli ustąpić miejsca fotografiom pięknej pary, na którą cały świat nie mógł się napatrzeć. Bogaci, przystojni, znani... uwikłani w intrygę polityczną... porwanie i tajemnicze odbicie uprowadzonej... on czarny, ona biała... W tej historii było wszystko, co poruszało opinię publiczną. Przypominała scenariusz opery mydlanej. Miał tego dość.

Jednak w dziwny sposób cisza wokół Rianne stała się swego rodzaju błogosławieństwem. Miał czas, którego tak bardzo potrzebował, żeby wszystko sobie przemyśleć. Od chwili uwolnienia ojca jego życie całkowicie i bardzo gwałtownie się zmieniło. Nastąpił przeskok z cienia do życia na widoku publicznym. Był przyzwyczajony do zainteresowania mediów, nie stanowiło to dla niego nic

nowego, ale nie aż do tego stopnia. O ile zainteresowanie opinii publicznej wszystkim, co dotyczyło Rianne, ciągle wzrastało, o tyle w kręgu rodzinnym milczenie na jej temat stawało się coraz bardziej wymowne. Wiedział, że ojciec Rianne wrócił do kraju, poprzedniego dnia obito mu się o uszy jego nazwisko. O niej jednak nic nie słyszał. Odeszła w niebyt jak poprzednie życie i nikogo nie mógł o nią zapytać.

Prawie nie widywał się z ojcem. Od chwili przyjazdu do domu w Houghton jakiś tydzień temu rozmawiał z nim dwa, może trzy razy. Njeri zawsze była w pobliżu, zazdrośnie trzymała przy sobie całą czwórkę dzieci. Riitho czuł się z nią niezręcznie. Sytuacja wydawała mu się... osobliwa, niewłaściwa.

Pchnął drzwi do jadalni i wzniósł oczy do nieba. Mpho z filiżanką kawy w samotności przeglądała poranną prasę. Podniosła wzrok znad gazety, kiedy wszedł do pokoju. Podczas krótkiej, kłopotliwej chwili ciszy zwrócił uwagę na temat artykułu na tytułowej stronie. Znowu to samo - cholerne zdjęcie ich obojga, wychodzących razem z hotelu Sanderson na Manhattanie. A przecież nawet nie trzymali się za ręce. Mpho świadomie bardzo powoli odłożyła gazetę. Jej twarz wyrażała głęboką pogardę. Poczuł, że wzbiera w nim złość i jak plama rozlewa się po twarzy. Na rękę siostry zadźwięczały bransoletki, kiedy podnosiła filiżankę do ust.

- Dobrze spałeś? - wymamrotała.

- Dobrze - zbył ją krótko.

Właśnie miał zamiar powiedzieć coś o artykule, wymienić nazwisko Rianne, kiedy otworzyły się drzwi do kuchni. Z uśmiechem na ustach weszła Njeri.

- Zjesz coś? - zwróciła się do syna i przytuliła go do siebie. Poczuł się niezręcznie. Z trudem przestawiał się z niczego na coś takiego. Przez ponad dwadzieścia lat mieszkał sam. Instytucja matki czy ojca nie tylko była mu obca i nieznana - cała ta sprawa okazała się dla niego bardzo bolesna. W odróżnieniu od kilku chłopców w Malvern, którzy - powiedzmy - stracili jedno albo nawet oboje rodziców, Riitho swoich nie stracił: oboje żyli, ojciec w więzieniu, matka w areszcie domowym. Gdzieś tam. On nie stracił rodziców, on stracił wspomnienia o nich; nie pamiętał, jak to jest, kiedy czuje się dotyk matki, nie wiedział, co znaczy jej zapach. Podczas tych wszystkich długich lat na wygnaniu Njeri regularnie pisała do obojga dzieci i załączała fotografie młodszego brata i siostry, jednak listy i zdjęcia nie miały dla niego większego znaczenia. Nie potrafił powiązać drewnianych, grzecznie uśmiechniętych twarzy z fotografii z żadnymi wspomnieniami. Przytulał się teraz do niej jak do, osoby obcej. Matka. Ojciec. Siostra. Brat. W znaczeniu materialnym - jako realni ludzie - rodzina dla niego nie istniała.

- Nie, dziękuję - odpowiedział sztywno. Nie miał ochoty na mączną papkę, którą przygotowywała co rano, odkąd przyjechali.

- O co chodzi? - zapytała Mpho. - Papka ci nie odpowiada? A prawda, zapomniałam. Pewnie nie jadasz śniadań. One nie jadają, mam rację? Te modelki i włóczyki, z



którymi się prowadziłaś.

- Mpho! - ostro przerwała córce Njeri. - Dość tego.

Od razu, już pierwszego dnia, zauważyła napięcie między rodzeństwem. Westchnęła. Martwiła się o Riitha. Jeszcze nie miała czasu porozmawiać z Livingstone'em o tej dziewczynie, de Zoete... Oczywiście, czytała gazety i wiedziała, kim jest jej rodzina. Mpho powiedziała, że Rianne to modelka czy ktoś w tym rodzaju - kto prawie nic nie robi, a zarabia krocie. Po co komuś takiemu jak ona jeszcze więcej pieniędzy? Była piękna, miała splątane włosy i bezwstydnie pokazywała ciało. Mpho nie powiedziała tego dosłownie, ale wyraźnie dała do zrozumienia, jakie życie prowadzą tego typu dziewczyny. Czego taka panna szukała u jej syna? Wiadomo, przecież nie był pierwszym lepszym. To nie mężczyzna, który czułby się zaszczycony tym, że ładna, młoda, biała dziewczyna nagle odkryła, że... Właściwie nawet nie chciała o tym myśleć.

Njeri bardzo martwił fakt, że Riitho zdawał się pragnąć Rianne. Wiedziała, że o niej myśli. Obserwowała go, kiedy zapatrzył się w dal albo podskakiwał na dźwięk dzwonka telefonu. Nie miała czasu ani okazji poważnie porozmawiać o tym z Livingstone'em, będą jednak musieli to zrobić, i to dość szybko. Wiązali z Riithem inne plany. Nie było w nich miejsca dla białej dziewczyny bez kwalifikacji, o których warto wspomnieć. Bez względu na to, jak wiele dla Ruchu zrobił jej ojciec, ona się nie liczyła.

Matka zdawała sobie sprawę, że między Riithem i Mpho toczy się walka. Spędzili ze sobą zaledwie tydzień, a czasami sprawiali wrażenie, że chętnie by się pozabijali. Byli sobie obcy. Nawet mówili inaczej - Mpho gardłowym slangiem Afroamerykanów, Riitho z tymi... jak to napisali w gazecie? Kluskami w ustach? Njeri nigdy nie była w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych Ameryki. Tylko na podstawie tego, co widziała w telewizji, i kilku obejrzanych filmów mogła sobie wyobrazić, gdzie jej dzieci spędziły prawie całe życie. Wielka Brytania, kraj skąpany w deszczu, z czerwonymi autobusami i dżentelmenami w melonikach... Nie potrafiła wyobrazić sobie tam życia Riitha. Naturalnie, na początku przysłał jej kilka zdjęć. Jednak ze spokojnej twarzyczki małego chłopca w czapeczce i krótkich spodenkach nie potrafiła wyczytać nic, co miałoby dla niej jakieś znaczenie. Potem, z biegiem lat, oglądała inne zdjęcia. Ostatnio kontemplowała przystojną, całkowicie opanowaną twarz na tle Big Bena czy wieży Eiffla i czuła smutek. Wyglądał na zagubionego, wzrok miał pusty. Nie sposób było odgadnąć, o czym myślał, jakie miał zdanie na ten czy inny temat.

Minął tydzień, potem następny. Riitho towarzyszył ojcu w podróży po kraju i czuł, jak tonie pod ciężarem oczekiwań rodziców, a przez nich pośrednio również partii. Pewnego wieczora, prawie miesiąc po powrocie do ojczyzny, Livingstone zaprosił ich do gabinetu. Chciał rozmawiać tylko z ich trójką: Njeri, Riithem i Mpho, bez ochroniarzy, nawet bez Lebohanga. Bliźniaki zostały u krewnych w Durbanie.

Zamknął drzwi i z rękoma splecionymi z tyłu wolno przechadzał się po gabinecie. Czekał, aż wszyscy zajmą miejsca. Potem zaczął mówić. Kiedy skończył, w pokoju zapanowała cisza. Livingstone odchrząknął.

- To dobre posunięcie, tato - odezwała się Mpho.

Riitho popatrzył na nią w zamyśleniu. Nie był tego taki pewien. Czym innym jest połączenie dwóch partii w jedną, a zupełnie czym innym występowanie nowej, zjednoczonej partii pod znaną od dawna nazwą Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Livingstone wyjaśnił, że chociaż starsi działacze jednogłośnie opowiadali się za połączeniem, wyrzeczenie się własnej tożsamości i pozwolenie na to, żeby partia została wchłonięta przez liczniejszą organizację, może zostać odebrane jako wyrzeczenie się własnych wartości, kapitulacja, rezygnacja z wytyczonych celów, nawet zdrada. Przynależność polityczna czasami stoi w sprzeczności z logiką postępowania.

A jak zareagują na to szeregowi członkowie partii? - zapytał Riitho. Livingstone z uznaniem pokiwał głową. Córka, podobnie jak Njeri, od razu wyrażała aprobatę i równie szybko się obrażała. Riitho miał analityczny umysł, wypowiadał swoje zdanie po przemyśleniu problemu. Nie spieszył się, rozważał różne możliwości, rzadko myślał głośno. Jego milczenie ludzie często utożsamiali z małomównością i brakiem zainteresowania. Riitha uważano za osobę arogancką i niezaangażowaną politycznie. Czasami tylko uznawano, że w tym tkwi jego siła. Chociaż Livingstone przez ponad dwadzieścia lat nie widział siedzącego obok młodego człowieka, w pewnym sensie znał go bardzo dobrze. Był bardzo podobny do niego samego. Brzmiało to jak wyświechtany frazes, ale tak wyglądała prawda. Zastanowił się nad pytaniem syna.

- Jest w tym spore ryzyko. Młode kadry mogą mnie - nas - nie poprzeć.

- A co się stanie, jeżeli cię nie poprą? - zapytały jednocześnie Njeri i Mpho.

- Wówczas nastąpi rozłam w partii. Rozważaliśmy taką możliwość. Ryzyko istnieje, ale sądzimy, że warto je podjąć. Musimy przedłożyć interes kraju nad dumę partii.

- To słuszne i wskazane. - Riitho popatrzył na ojca. Obaj skinęli głowami. Tak, słuszne i wskazane. Z drugiej strony... oskarżenie o zdradę. Na pewno to duże ryzyko. Ale słuszne i wskazane. Mandela potrzebował Modise'a w takim samym stopniu jak Modise Mandeli. Na zbliżającym się zjeździe w Lusace przywódcy obu partii ogłoszą fuzję. Po prawie sześćdziesięciu latach Afrykański Kongres Narodowy i Afrykańska Partia Ludowa odłożą na bok dzielące je różnice i od tego momentu będą występowały razem pod wspólnym sztandarem. Mandela obejmie przywództwo po schorowanym Oliverze Tambo, Modise zostanie jego zastępcą. Po połączeniu sił dwóch największych w kraju partii politycznych czarnoskórych mieszkańców RPA Partia Narodowa nie będzie miała najmniejszych szans na wygraną wyborów, które - jak wszyscy wiedzieli - zbliżały się wielkimi krokami. Moment został bardzo dobrze wybrany. Drugiej takiej szansy nie będą mieli.

Poza wąskim kręgiem przywódców Afrykańskiej Partii Ludowej nikt nie wiedział, a

już na pewno nie de Klerk, jaką bombę polityczną planują zdetonować. W karierze politycznej Modise'a zbliżał się najważniejszy moment. I - jak to sformułował syn - było to posunięcie słuszne i wskazane. A to przede wszystkim się liczyło.

Livingstone ujął Njeri za rękę - gest dla niego niezwykły. Na ogół nie okazywali sobie czułości w obecności osób trzecich. Połączenie dwóch partii zostanie ogłoszone za tydzień na posiedzeniu komitetu wykonawczego Afrykańskiego Kongresu Narodowego w Lusace. Riitho miał towarzyszyć ojcu. Mpho zostawała w domu z matką. Czekali ich wiele pracy.

Riitho powoli poszedł schodami na trzecie piętro ogromnego budynku do pokoju, który wybrał dla siebie. Wcześniej na podstryszu kolonialnego domu mieścił się gabinet prawnika. Otworzył drzwi i z uczuciem bliskim zadowolenia rozejrzał się po przytulnym, przestronnym pomieszczeniu. Z pewną ironią pomyślał, że ideologia imperialistycznej architektury obecnie służyła tym, których próbowała wyrzucić poza nawias społeczeństwa.

Ta myśl rozbudziła w nim tęsknotę i wywołała poczucie straty. Czy miał szansę kiedykolwiek wrócić do Paryża i dawnego stylu życia, które tak starannie budował? Nie przez przypadek wybrał architekturę. Budował nie tylko obiekty materialne... tworzył miejsca nie dla klientów, ale dla siebie. Każdy pomysł, który najpierw stawał się szkicem, potem projektem, a w końcu budynkiem, był dla niego drogą wiodącą do realizacji przyszłości, na którą w danej chwili nie miał żadnego wpływu. Pracą próbował odzyskać kontrolę nad swoim dalszym życiem. Zwierzył się z tego Rianne. Pewne rzeczy w moim życiu dzieją się poza mną nie mam na nie żadnego wpływu - powiedział. Pomyślał o dziewczynie. Była gdzieś tam i nie dawała znaku życia. Czasami zaczynał wątpić, czy rzeczywiście kiedykolwiek istniała.

Podszedł do łóżka, położył się na wznak, ręce uniósł nad głowę. Przez świetlik w dachu wpatrywał się w błękitne niebo Transwalu. Myślami wrócił do rozmowy w gabinecie i przekazanej przez ojca informacji. Ojciec i przywódca Afrykańskiego Kongresu Narodowego łączyli siły. Mandela miał zostać prezydentem, Modise wiceprezydentem. W ten sposób Afrykański Kongres Narodowy zapewniał sobie zwycięstwo w wyborach. To było posunięcie mądre i z politycznego punktu widzenia słuszne. Tak sformułował swoją opinię podczas rozmowy w gabinecie i tym samym udzielił ojcu poparcia, którego ten potrzebował. Taki obrót rzeczy nie był dla niego zaskoczeniem. Przypuszczał, że tak się właśnie stanie. Jediną niewiadomą stanowił termin.

Pytania kłębiły mu się w głowie, pojawiały się jedno za drugim. Co to dla nich znaczyło? Jaki będzie miało wpływ na życie rodziny? Co się w nim zmieni? Miał towarzyszyć Livingstone'owi w podróży do Lusaki. Dlaczego? W jakim celu? Zostanie synem wiceprezydenta Republiki Południowej Afryki. Takiej możliwości nigdy nie brał pod uwagę. Jego tożsamość - jako mężczyzny i człowieka - dotychczas sprowadzała się do bycia synem jednego z najbardziej znanych w świecie

więźniów politycznych. To stanowiło jego znak firmowy, o tym szeptano, kiedy wchodził do pokoju, ta informacja była na ustach wszystkich, nawet jeśli głośno nikt o tym nie mówił. Tym był, synem więźnia politycznego. Kim będzie teraz? Jak to jest być synem głowy państwa? Czy będzie mógł wrócić do dawnego stylu życia, a co ważniejsze - do Rianne?

Teraz była tak bardzo daleko. Zrozumiał taktykę postępowania rodziny: spuściła na ten aspekt jego życia zasłonę milczenia. Nikt o niej nie wspominał. W kręgach, w których teraz się obracał, Rianne nie istniała. Dla wszystkich było samo przez się zrozumiałe, że jeśli nawet za granicą coś się wydarzyło, teraz, kiedy wrócił do kraju, musi zająć się innymi, pilniejszymi sprawami. Na przykład kim był. Kim była ona? To, kim byli, kim byli dla siebie przez te wszystkie lata, dla innych nie miało znaczenia, nie liczyło się - pytanie w ogóle nie istniało. Jak powiedział Lebohang, to przeszłość. Sprawa zamknięta, skończona. Przewrócił się na brzuch, twarz ' wtulił w poduszkę. Powoli docierało do niego, że teraz, w realnym świecie, stał się kimś, kim nigdy nie był: synem swojego ojca. Zamknął oczy i próbował ją sobie wyobrazić. Co się z nią działo? Czy w jej rodzinie było tak samo? Czy jeszcze się spotkają? Najgorzej, że sam nie bardzo wiedział, czy tego pragnie. W jego życiu nastąpił przełom, zaczął się nowy etap, do którego przez wszystkie lata na wygnaniu się przygotowywał. Rianne zdawała się należeć do nieodwołalnie i na dobre zamkniętego rozdziału życia. Czy mógł do niej pójść i związać dziewczynę z nowym Riithem? Nie wiedział, czy powinien to zrobić.

\*

Rianne siedziała sama w salonie w Bryanston i oglądała serwis informacyjny w telewizji. Marius zniknął, a ona nie wiedziała, co dalej robić. Nie miała pojęcia, jak skontaktować się z Riithem, a co gorsza, obawiała się, że on wcale tego nie chciał. Miała wrażenie, że wszystko, co ich łączyło, rozplynęło się we mgle, przestało istnieć. Tego właśnie się obawiała już wcześniej. W Paryżu próbował rozwiązać jej niepokój. Teraz znalazł się wśród swoich, a ona powinna być ze swoją rodziną. Jednak bez względu na to, co mówił, jak bardzo usilnie ją przekonywał, wiedziała, że on sam również się zmienia... a w zmianach, które w nim i wokół niego zachodzą, nie ma dla niej miejsca.

Nie miała pojęcia, jak sobie poradzi. Po raz pierwszy w życiu pragnęła kogoś tak bardzo, iż myślała, że umrze. Coraz bardziej rosła w niej panika, strach i poczucie straty, miała wrażenie, że tonie. Mogła wyjechać do Londynu czy Nowego Jorku, ale czy powinna to zrobić? Czy tego chciał? Czy chodziło mu o to, żeby zniknęła z jego życia? A jeżeli rzeczywiście właśnie tego sobie życzył, dlaczego nie miał odwagi po prostu jej powiedzieć? Czemu tak ją dręczył? Rozplakała się, łzy cichutko płynęły po policzkach. Przechodząca obok Poppie ze smutkiem powoli pokręciła głową.

Rianne oglądała konferencję prasową z wyłączonym dźwiękiem. Modise stał obok Mandeli. Kamera obiegała pokój. W pomieszczeniu było kilku Afrykanów w wojskowych mundurach; wyglądali na ważne osobistości. Sięgnęła po pilota. Komentator wymieniał nazwiska: Mugabe, Kaunda, Masire... Livingstone Modise... Riitho Modise. Stężała i usiadła prosto. Był tam! Obiektyw kamery na chwilę zatrzymał się na nim, potem przesunął dalej. Siedziała sztywno i wpatrywała się w ekran. Był w Lusace? Gdzie, u diabła, jest Lusaka?

Dwadzieścia minut później znała odpowiedź. Członkowie delegacji zatrzymali się w Centrum Kongresowym Carlton, w śródmieściu Lusaki w Zambii. Bogu niech będą dzięki za Gabby. Obudziła koleżankę w środku nocy, ale dziewczyna, oczywiście, nie miała jej tego za złe. Zatelefonowała do hotelu i zostawiła wiadomość dla Riitha Modise'a. Recepcjonistka miała dopilnować, żeby ją otrzymał. Cały dzień przesiadła w domu, pewna, że lada moment zadzwoni telefon i po drugiej stronie linii usłyszy głos Riitha. Leżała na kanapie i myślała o nim, o dźwięku jego głosu, spokojnej i niezawodnej postawie młodego mężczyzny.

W domu atmosfera była napięta. Lisette często wyjeżdżała w interesach. Hennie rzadko zaglądał. Jak mówiła Poppie, wykonywał jakieś ważne zadania dla wojska. Na widok Rianne robił szyderczą minę, nie było wątpliwości, jakie miał o niej zdanie. Dziewczynie nie zależało na opinii kuzyna, pragnęła tylko, żeby Riitho zadzwonił. Dni oczekiwania zamieniły się w tygodnie, przy każdej okazji zamykała się w swoim pokoju. Dlaczego nie telefonował? Miała jeszcze gorsze samopoczucie niż na początku. Czuła jego obecność wokół siebie, gdziekolwiek się obróciła. Z myślą o nim usypiała i się budziła. Zadzwoń. Błagam, zadzwoń.

Riitho z całą delegacją z Lusaki pojechał do Dar es - Salaam. Pół miliona ludzi witało ich na ulicach stolicy Tanzanii. Nyerere, polityczny mentor ojca, serdecznie uściskał każdego członka delegacji, łącznie z Riithem, który nieoficjalnie brał udział w rozmowach. O dobrą głowę wyższy od ojca, zawsze stał obok Livingstone'a. Jego obecność miała przypominać, jak długą drogę pokonała organizacja; zdawała się mówić: tylko spójrzcie na ich dzieci. Świat, który odziedziczą, w niczym nie przypomina tego, który ślubowali zniszczyć.

Niektórzy członkowie delegacji podejrzliwie patrzyli na Riitha. Czy można mu zaufać? Pamiętacie tę sprawę z dziewczyną de Zoete'ow. To mogło ich wszystkich drogo kosztować. Nieważne, co zrobił jej ojciec, była bratanicą Lisette de Zoete-Koestler. Nawet jeśli rzeczywiście jest ładna. Niektórzy starsi działacze, pamiętając długie, samotne lata na wygnaniu... a może coś jeszcze: głęboko skrywane wspomnienia ciepła i ukojenia, jakie mogli znaleźć w najzimniejszych miastach świata... niemal z czułością kręcili głowami.

- Dajcie mu spokój - mruzcili. - To już przeszłość. Wszystko skończone. Wrócił do ojczyzny, pomaga, jak może. Życie spędził na wygnaniu, było mu wystarczająco ciężko. Teraz jest chlubą swego ojca i rodaków.

Do Riitha docierały strzępki wypowiedzi na jego temat, żył jak we śnie. Z Dar

polecili przez cały kraj na południowy wschód, w kierunku Namibii. Podróżowali pożyczonym przez prezydenta Zambii Kennetha Kaunde prywatnym samolotem Boeing 747. Riitho spoglądał przez okno na rozpościerający się w dole ojczysty kontynent. Pilot, pierwszy czarnoskóry prywatny pilot, którego którykolwiek z pasażerów widział, mówił, nad czym przelatują, i wskazywał charakterystyczne punkty w dole. W milczeniu spoglądali na ziemię, którą mieli infiltrować latami szkoleni przez nich żołnierze. Tereny te znali wyłącznie z map, nie pamiętali ich, zbyt długo żyli na wygnaniu. Teraz widzieli, jak naprawdę wyglądają. Przelatywali nad północnymi krańcami kraju, nad Pietersburgiem w Transwalu, południową Botswanę i jej stolicą, Gaborone, a potem nad pustynią Kalahari. Widzieli parki narodowe, rezerwy fauny, oazy zieleni na suchej, czerwonej ziemi. Dalej były pasma górskie: Karaś i Zaris i w końcu wylądowali na lotnisku w Windhuk. W towarzystwie eskorty udali się do niewielkiego, ładnego miasta. Silniki motocykli ryczały, syreny wyły, a Riitho czuł, że coś mu kielkuje w sercu, rozjaśnia się w głowie. Nie znał nawet słowa w wielu językach, którymi mówiono, odkąd z Livingstone'em opuścił lotnisko w Johannesburgu. Czuł się tak samo obco wśród ludzi i w krajach, które odwiedzali, jak w Londynie, Bostonie czy Singapurze. Widział, jak ojca obejmują kolejni przywódcy. Wielu mężczyzn, których spotykali na różnych lotniskach, siedziało w więzieniu na wyspie z Mandelą i Modise'em. Byli braćmi, zjednoczyli się w niedoli i w walce. Niektórzy całe lata spędzili w jednej celi. Riitho przeżył również chwile pokory. Bardzo wielu rzeczy o sobie nie wiedział. Teraz zrozumiał uczucie ulgi, jakie ogarnęło go, kiedy odjeżdżali z lotniska. Poczucie własnej osobowości upomniało się o niego, tak jak kilka miesięcy wcześniej upomniał się ojciec.

Był zupełnie innym człowiekiem, kiedy po sześciu tygodniach wylądowali na lotnisku Jana Smutsa. Przebyli ponad trzydzieści pięć tysięcy kilometrów, odwiedzili dwanaście państw, przemawiali do ponad trzech milionów ludzi. Odkrył, że już nikt nie pamięta zamieszania, jakie towarzyszyło jego powrotowi do ojczyzny. Teraz na ustach wszystkich nie było już pytania o Rianne de Zoete. Pytano o niego. Chciano wiedzieć, jakie miał plany. Czy był skłonny przyjąć stanowisko w nowej partii? Nie odzywał się, kiedy triumfujący członkowie delegacji wyszli z terminalu lotniska do czekających na nich fotografów i dziennikarzy. Wślizgnął się na tylną kanapę jednego z czekających samochodów. Za kierownicą siedział Lebohang. Ich oczy się spotkały. W milczeniu skinął głową. Cudownie było być w domu.

## 67

Charmaine niecierpliwie czekała. Rano zatelefonował Simon z Johannesburga i powiedział, że następnego dnia będzie w Londynie. Wyrwała się z nudy i zaczęła

przygotowywać do odwiedzin. Poszła do fryzjera, zrobiła manicure, pedicure i depilację bikini. Żałosa kwoka - pomyślała o sobie, leżąc wieczorem w wannie. Nic nie robi, tylko się stroi dla tatusia. Wzdrygnęła się i usiadła wyprostowana jak struna. Chryste, skąd taka refleksja? Nie myślała o ojcu od... nigdy nie myślała o ojcu. Zanurzyła się w wannie, poruszona obrazem, jaki podsunęła jej wyobraźnia, mimo to czuła się podekscytowana. Poprosiła Dinah, żeby dokładnie posprzątała mieszkanie i zamówiła kwiaty do każdego pokoju. Służąca ze zdziwienia uniosła brwi.

Simon poczekał, aż zatrzasną się drzwi do mieszkania Dinah, potem zdjął płaszcz i rozluźnił krawat. Charmaine była czuła i słodko pachniała. Miała na sobie wyjątkowo ładną sukienkę, pończochy i pantofle na wysokich obcasach. Z przyjemnością zauważył, że zadała sobie trud, aby ładnie wyglądać. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio Stella wystroiła się dla niego.

Usiadł na kanapie i skinął na nią. Podeszła, uśmiechając się tym swoim figlarnym, tajemniczym uśmiechem. Poklepał kanapę obok siebie, ale pokręciła głową. Uklękła przed nim na jasnym dywaniku z owczej wełny i wsunęła ciało między jego kolana. Westchnął zmysłowo, oparł się wygodnie i przymknął oczy. Była niesamowita, doskonale wiedziała, czego potrzeba mężczyźnie. Uniósł powieki i obserwował, jak palcami zakończonymi czerwonymi paznokciami odpina pasek, rozpina suwak w spodniach i spogląda na niego tymi cudownymi, ogromnymi, niebieskimi oczami. Wzięła go do ust, natychmiast poczuł wzwód. W kilka sekund doprowadziła go do orgazmu. Żadne z nich nie słyszało, że z tyłu za nimi otworzyły się drzwi do kuchni, ani nie widziało przerażonej twarzy Dinah, kiedy ponownie je zamykała.

- Tęskniłeś za mną? - Charmaine tuliła się do niego później na kanapie.

- Jasne - odpowiedział swobodnie, zerkając na zegarek nad jej głową. Za mniej więcej godzinę miał spotkanie.

- Naprawdę? - zapytała, podnosząc głowę. Zmarszczyła czoło. Nawet na nią nie patrzył, spoglądał na zegarek. - Naprawdę? - powtórzyła.

- Tak, oczywiście. Charmaine, musisz iść. Siedzisz na mojej marynarce. -

Dziewczyna przesunęła pupę. - Wrócę wieczorem. Zapewne późno. Nie czekaj na mnie. Obudzę cię... on cię obudzi. - Wskazał na zwiotczały członek i wyszczerzył zęby.

Dziewczyna zrobiła kwaśną minę. Zapiął spodnie i wstał. Robiło się późno.

Przed domem handlowym Harroda zatrzymał taksówkę. Czuł się świeży, odprężony. Poranne pieścizoty Charmaine zrobiły swoje. Szedł na spotkanie z pierwszymi potencjalnymi najemcami właśnie ukończonego Królewskiego Nabrzeża. Był w znakomitej formie. Taksówka włączyła się w poranny ruch na Old Brompton Road, Simon myślami wrócił do rozmowy, którą na początku tygodnia odbył z Lisette.

- Chcę się wycofać z kopalni - oświadczyła pani de Zoete-Koestler. Siedzieli w jej gabinecie w Kapsztadzie. Spojrzał na kobietę kompletnie zaskoczony. Zaledwie

kilka dni wcześniej jasno dała wszystkim do zrozumienia, że chociaż Marius wrócił,

to ona nadal kieruje firmą. Brat mógł sobie wracać do Republiki Południowej Afryki, natomiast ona nie miała zamiaru tolerować jego obecności w korporacji de Zoete. Niestety, nie ona podejmowała decyzje. Marius postanowił wprowadzić do rady czarnoskórych udziałowców. Lisette uznała, że w tej walce nie mogła i nie chciała brać udziału. - Zwykle sprawy związane z codziennym zarządzaniem kopalniami przekazuję Henniemu - ciągnęła.

Simon milczał, nie mógł uwierzyć w to, co mówiła. Co to znaczyło dla niego?

- Ale... - zaczął ostrożnie. Lisette nie mogła zrezygnować. Zbyt dużo trudu w to włożyła.

- Wiem. Ostatnie szesnaście lat bardzo ciężko pracowaliśmy, Simonie, ale sytuacja się zmienia... i to wcale nie na lepsze. Jestem zmęczona nieustanną walką. Jeżeli Marius chce przekazać kontrolę czarnym - mówiła z rezygnacją - niech tak będzie. Chcę się skoncentrować na innych przedsięwzięciach.

- Na Królewskim Nabrzeżu?

- Właśnie - spojrzała mu prosto w oczy. - Jesteś ze mną?

- Oczywiście - odpowiedział bez chwili wahania.

- To dobrze. - Wstała zza mahoniowego biurka, podeszła do eleganckiej mahoniowej szafki, otworzyła drzwiczki i wyjęła dwa kryształowe kieliszki do szampana.

Interkomentem połączyła się z Sabinę w sąsiednim pokoju. Po kilku minutach przyniesiono schłodzonego szampana.

- Dziękuję ci, Simonie - powiedziała, podając mu kieliszek. - Byłeś wspaniały przez cały ten zwariowany okres. Wiem, nieczęsto to mówię, ale bardzo ci dziękuję. Twoja lojalność wiele dla mnie znaczyła. I nadal znaczy. Simon czuł, jak robi mu się ciepło na sercu.

- Twoje zdrowie, Lisette. - Podniósł kieliszek do góry. - Jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam. - Zarumienił się. Zachowywał się jak uczeń.

- Za nowe priorytety - powiedziała, podniosła kieliszek i upiła łyk.

- Lepsze - zawtórował. - Królewskie Nabrzeże. Co trzeba zrobić?

- Kilka rzeczy - natychmiast podchwyciła, chętnie wracając do interesów. Londyński oddział KdZK zajmował się ostatnim etapem budowy. Uroczystość zawieszenia wiechy na wieży odbyła się w obecności raczej miłego ministra Michaela Portilla. Okazał się znacznie lepszy od swojego poprzednika. Lisette miała ochotę spędzić popołudnie albo wieczór w jego towarzystwie. Poprzedni minister ochrony środowiska był szalenie nudny... nawet nie pamiętała jego nazwiska. Po uroczystości i przyjęciu w prasie ukazały się pochlebne artykuły. Cały projekt Królewskiego Nabrzeża stał się oczkiem w głowie premiera Wielkiej Brytanii Johna Majora. Jego poprzedniczka Margaret Thatcher również faworyzowała to przedsięwzięcie. Lisette była z nią w doskonałej komitywie: dwie przedsiębiorcze i ambitne kobiety w zdominowanym przez mężczyzn świecie. Pani de Zoete - Koestler sądziła również, że Thatcher dzieliła wiele z jej niepokojów dotyczących sytuacji w Afryce



Południowej. Nienawidziła związków zawodowych, obojętnie: czarnych czy białych. Zdawała się też należeć do grona nielicznych światowych przywódców, którzy gotowi byli opowiedzieć się przeciwko sankcjom.

- Coś mnie dręczy - wyznała Lisette, pochylając się do przodu. - Słyszałam plotki, że rząd za wyrażenie zgody oczekuje, iż KdZK przekaże poważne fundusze na przedłużenie linii metra Jubilee. Nie mają pieniędzy na budowę i spodziewają się je dostać od nas.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Mam przeczucie. Trzymają nas w garści, jesteśmy największymi inwestorami na tym terenie. Zbyt dużo władowaliśmy już w to pieniędzy, wiedzą, iż nie pozwolimy, żeby projekt upadł z powodu niemożności realizacji jednego z elementów składowych. A wierz mi, problem komunikacji jest słabym punktem. Widziałeś Docklands Light Railway? - Simon skinął głową. Miała rację. - Nie jest w stanie obsłużyć znacznie większej liczby ludzi. A skoro my to wiemy, wierz mi, nasi potencjalni najemcy również. - Wypiła szampana do dna. - Właśnie dlatego, że mamy najwięcej do stracenia, musimy być niezwykle ostrożni.

- Co masz na myśli? - Wiedział, że Lisette nigdy głośno nie rozważa problemu, jeżeli nie ma pomysłu na jego rozwiązanie.

- Wiesz, chcę zawrzeć układ z rządem Wielkiej Brytanii. Pożyczymy im pieniądze, ale nie jako KdZK, to byłby konflikt interesów. Musimy stworzyć inną firmę, której nie będzie można z nami powiązać, i udzielimy im pożyczki w zamian za udziały w sieci transportu miejskiego. Państwowo-Prywatne Partnerstwo - PPP. W Stanach Zjednoczonych jest to rozwiązanie bardzo popularne, ale w Wielkiej Brytanii jeszcze niczego takiego nie ma. Brytyjczycy nie wiedzą, co tracą. Pieniądze z prywatnych źródeł, transport publiczny, ale zyski do prywatnych kieszeni. Nie możemy na tym stracić.

Simon zaczął się uśmiechać. Lisette była wielka.

- Jedź w weekend do Londynu - powiedziała. - Rozejrzyj się, powęsz. Chcę, żebyś załatwił dwie sprawy. Poszukaj najemców i dowiedz się, co w kręgach rządowych mówi się na temat sieci transportu. Wszystko jedno, jak to zrobisz. Skinął głową i dopił szampana. Uwielbiał z nią pracować. Uwielbiał dla niej pracować. Miała w sobie siłę sprawczą. Wszystko w porządku, jeżeli chciała oddać kopalnie i odsunąć od siebie kłopoty, jakich przysparzał szczególnie ten sektor gospodarki w obecnej sytuacji politycznej. Niech Marius radzi sobie ze swoimi kochanymi czarnuchami. Lisette wolała pracować z Simonem. Bardzo mu to odpowiadało.

- Tutaj, szanowny panie? - zapytał taksówkarz.

Simon popatrzył na zniszczony budynek ze szkła i stali. Bostoński First International Bank. Miał spotkanie ze starym znajomym, Amerykaninem, którego poznał wiele lat temu na safari w Parku Krugera. Gość spędzał w Afryce długi miesiąc miodowy ze swoją trzecią żoną. Obecnie był głównym ekonomistą bostońskiego banku, który - jak słyszał - chciał zdobyć w Londynie nową siedzibę.

Simon mógł zaoferować odpowiedni lokal.

Dochodziła północ, kiedy taksówka podwiozła go do apartamentu na Wilton Crescent. Chwiejnym krokiem wszedł po schodach. Wieczór mógł uznać za udany, chociaż z trudem dotrzymywał kroku Billowi Myersowi i jego piątej żonie. Oni nie pili, ale chłonęli alkohol. We trójkę wykończyli prawie cztery butelki wina i chociaż miał wielką ochotę obudzić cudowną Charmaine, nie był pewien, czy potrafi sprostać jej oczekiwaniom. Alkohol zawsze osłabiał potencję, przynajmniej tak twierdziła Stella. Już od bardzo dawna nie zrobiła żadnej uwagi na temat jego sprawności seksualnej.

Niepewnym krokiem wszedł do salonu. Charmaine siedziała na jednym ze skórzanych foteli. Miała na sobie tylko jego bokserki. Poczuł, jak coś mu rośnie w spodniach. Może wcale nie był tak bardzo pijany, jak sądził.

- Jak trafiłaś... do Jamesa i jego grupy? - zapytał Simon dziewczyną godzinę później. Zasnęła z głową w zagięciu jego ramienia.

- Przez Emily.

- Ale dlaczego? Chodziłaś do szkoły z Rianne. Poszłaś potem do college'u?

- Nie, po szkole wyjechałam do Los Angeles. Mój chłopak mnie tam zabrał. Palant. Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Może jeszcze siedzi w Stanach.

- Pracowałaś?

- W pewnym sensie. Sprzedawałam narkotyki - zachichotała Charmaine.

- Co? - Bardzo go zaskoczyła.

- Uhm. Rozstałam się z Bazem, tym swoim chłopakiem, i zaczęłam pracować z facetem, którego poznałam w supermarkecie. Tyle że nas złapali. To znaczy mnie złapali. Drew zwiął. Nie wiem również, co i z nim się dzieje.

- Czy to znaczy, że...

- Tylko cztery dni. Potem przyjechała Nathalie i mnie wyciągnęła. Ona też była w Sans Soucis. To ta z kasztanowymi włosami.

- Pamiętam ją. I wtedy wróciłaś do Wielkiej Brytanii?

- Ciągle jestem winna Rianne furę pieniędzy. Razem z Nat opłaciły moich adwokatów. Nie mam pojęcia, jak oddam im dług - powiedziała posępnym tonem.

- Ile jesteś winna? - zapytał, przyjemność sprawiając mu dotyk jej piersi na ramieniu.

- Całą furę.

- Ile?

- Prawie dziesięć tysięcy funtów, wliczając bilet lotniczy.

- Ale czy nie zarabiałaś stosunkowo dobrze... u Jamesa?

- No tak, ale z Emily wszystko wydawałyśmy. Na kokę.

- Aha.

- Kiedyś im zwrócę. Przecież na razie wcale nie potrzebują tych pieniędzy.

- Zwrócisz im jutro - zdecydował spokojnie.

- Jakim cudem? - roześmiała się Charmaine. - W portmonetce mam ze dwadzieścia

funtów, a na koncie w banku też nie za wiele. Odkąd ciebie poznałam, prawie nie chodzę do Jamesa.

- Pożyczę ci.

- Ty?

- Tak. Gdybym spotykał się z tobą u Jamesa, prawie tyle samo by mnie to do dzisiaj kosztowało.

- Nie musisz tego robić. Lubię cię.

Charmaine wtuliła głowę w pierś Simona, głos miała stłumiony. Zastanawiał się, czy czuje się zawstydzona.

- Charmaine - powiedział, odsuwając od siebie jej twarz. W okolicy lewej brodawki poczuł wilgoć. Czyżby płakała? - To będzie pożyczka - zapewnił.

- Ale jak ci oddam te pieniądze? - pociągnęła nosem.

- Oddasz. Nie martw się, nie będę żądał zwrotu pieniędzy. Chcę, żebyś mi pomogła. Dobrze?

- Co ja mogę zrobić? Do głowy mi przychodzi wiele rzeczy - zapewnił i uśmiechnął się do siebie. Tego wieczora, kiedy ślaniając się na nogach, szedł do drzwi, Bill Myers postanowił go odprowadzić. W tym czasie żona zajęła się sprzątaniem ze stołu.

- Gdybyś był zainteresowany dobrą zabawą - konfidencjonalnym tonem szepnął Bill i znacząco potarł nos z boku - daj mi znać. Znam kilka świetnych dziewczyn. Simon jowialnie pokiwał głową. Pewnie, że znasz - pomyślał. Ale ja znam ich dwa razy więcej.

I dwa razy lepszych - dodał teraz w myślach, patrząc na krótkie blond włosy Charmaine na opalonym torsie. Pogłaskał ją po głowie, dłońmi przejechał po rozkosznie mięciutkich piersiach. Czuł, że członek znowu mu twardnieje. Podniecała go myśl, że zapłaci Charmaine za obsłużenie kogoś innego.

## 68

- Dlaczego nie? - Nael popatrzył na Gabby. Siedzieli w kawiarni w Hampstead. Odpoczywali po pokrzepiającym spacerze w Heath. Była niedziela, następnego dnia rano Gabby miała odlecieć do Nowego Jorku.

- Ale...

- Ale co?

- Czy z Londynu nie jest łatwiej?

- W jakim sensie?

- Jest bliżej.

- Dokąd?

- No, nie wiem... do pracy, Palestyny, twojej matki.

- Gabs, z lotniska Kennedy'ego odlatają samoloty do wszystkich zakątków świata -

łagodnie tłumaczył Nael. - Jeżeli tylko to cię niepokoi...

- Tak. Bardzo chciałabym, żebyś przyjechał - powiedziała nieśmiało. Naprawdę. Ale jeżeli potem będziesz żałował...

- Gabby, dziesięć lat upłynęło, zanim zrozumiałem, że osoba, z którą pragnę być, zawsze przy mnie była, tylko tego nie widziałem. Niczego nie będę żałował. Na pewno nie.

Gabby wyciągnęła rękę przez stół i uściśnęła jego dłoń. Chciał się przeprowadzić do niej. Nie mogła uwierzyć, że za niespełna miesiąc, kiedy Nael wróci z podróży, wsiądzie w samolot do Nowego Jorku, a ona przyjedzie odebrać go z lotniska, razem pojadą do jej mieszkania i wspólnie spędzą całe dwa tygodnie, zanim chłopak wyjedzie przygotowywać kolejny materiał. Zaciśnęła usta, z całych sił starała się nie okazać, jak bardzo się cieszy.

\*

Rianne uważnie przyglądała się twarzy w lustrze. Ciemne piwne oczy, martwe i bez wyrazu, odpowiadały spojrzeniem. Drżącą ręką nałożyła maskarę na rzęsy. Pół godziny zajęło jej zrobienie „twarzy”. Próbowwała przeobrazić się z bladej, przeciętnej osoby, jaką była od dwóch miesięcy, w kogoś, kto choćby troszkę przypominał światowej sławy modelkę. Pociągnęła usta szminką, ścisnęła wargi, żeby rozprowadzić nadmiar błyszczczyka.

Spojrzała na siebie. Wyglądała dobrze. W końcu otrząsnęła się z przygnębienia. Siedziała tutaj już prawie trzy miesiące. Przez cały ten czas ani słowa. Ani jednego cholernego słowa. Miotła nią cała gama najprzeróżniejszych uczuć: od strachu, poprzez złość, po ból i jeszcze raz od początku. Już nie podskakiwała za każdym razem, kiedy dzwonił telefon albo strażnik zapowiadał gościa. Już nie siedziała godzinami przed telewizorem, zastanawiając się, czy i kiedy znowu go zobaczy. Teraz była wściekła.

W ubiegły czwartek wzięła do ręki „Weekly Mail” i na okładce zobaczyła swoje zdjęcie. „Modise i de Zoete - to już koniec!” Przeczytała artykuł, ręce jej drżały, słowa zamazywały się przed oczami zachodzącymi łzami ze złości. Po raz drugi w życiu czytała wywiad z nim, który niespodziewanie wszystko zmieniał. Odmawiał odpowiedzi na pytania dotyczące ich dwojga. Oświadczył, że od pewnego czasu się nie widywali. Czas pokaże, co będzie dalej.

W domu w Bryanston Rianne nie odbierała telefonów. Wiedziała, co będzie dalej. Seria artykułów o tym, „co powiedziała ona, co mówi on”... cały jej ból i cierpienie na widoku publicznym. Nie. Zrobił jedyną rzecz, której była pewna, że nigdy nie zrobi... żył dalej. Bez niej. No więc dobrze, też będzie żyła dalej. Dobiegała trzydziestki. Miała mnóstwo pieniędzy. Mogła robić, co tylko jej się spodoba. Wiedziała, że najlepiej będzie wyjechać z Bryanston... tu jest zbyt przybita ciężarem

spraw, o których w tym domu nie można mówić.

Marika prawie natychmiast wyjechała do Kapsztadu. Wyglądało to tak, jakby nie mogła patrzeć na kuzynkę. Hipokrytka. Była dumna z siebie i swojej „dobrej roboty”, wykorzystywała pieniądze, żeby kupić sobie wiarygodność w kręgach liberalnej białej klasy, którą tak bardzo podziwiała. Wszystkie te bzdury, jak to świetnie, że Ree Modise chodził razem z kuzynką do szkoły, jaki był wspaniały, jaki fantastyczny okazał się jego ojciec... Wierutne brednie. Rianne wiedziała teraz, że zupełnie czymś innym było przyglądanie się tubylcom z bezpiecznej odległości. Prawie wszyscy członkowie jej rodziny i - jak przypuszczała - znajomi, z którymi już nie utrzymywała kontaktów, orzekli, że przekroczyła granicę, której nikt z nich nie chciał przełamać. Czarnych bezpiecznie można było kochać na odległość. Ale sypiać z nimi - o nie. To przesada. To niebezpieczne. Lisette była lodowato uprzejma. Nie rozmawiały o nim ani o Mariusie, właściwie o niczym nie rozmawiały. Dzięki Bogu ciotka więcej czasu spędzała poza domem niż w nim. Przeważnie siedziała w Kapsztadzie. Z tym idiotą wujkiem Simonem. Prawie słowem się do niej nie odezwał, kiedy raz odwiedził ich w domu. Patrzył na nią, jakby była trędowata albo coś w tym rodzaju.

W holu zegar z kukułką wydzwonił siódmą wieczór. Nerwowo drgnęła. Jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Była zdenerwowana. Podjęła decyzję, tak... wyjedzie z Republiki Południowej Afryki. Tym razem na zawsze. Zanim jednak to zrobi, chciała go zobaczyć - ten ostatni raz.

Wiedziała, że tego wieczora będzie w hotelu Carlton Hyatt. Udało jej się zdobyć zaproszenie przez jakiegoś znajomego Gabby. Kochana stara Gabby. Znowu zerknęła na zegarek. Powinna się pospieszyć. Zebrała włosy w garść, luźno zwinęła je na czubku głowy i przypięła węzeł spinką skrzydełkową. Włożyła naszyjnik z czarnych kryształków i brylantów. Żadnych ozdób więcej. Wstała. Wygładziła długą czarną suknię. Przylegała do ciała, dopiero od kolan rozchodziła się kloszowo do kostek. Pochyliła się i zapięła paseczki pantofelków. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi. Wyprostowała się. W wejściu stał Hennie.

- Nie potrafisz pukać? Dupek. - Ze złością popatrzyła na niego w lustrze. Zmierzył ją od stóp do głów tym swoim aroganckim, pełnym pogardy spojrzeniem. Odwróciła się. - Czego chcesz? - Denerwowała się w jego obecności. Od chwili przyjazdu zawsze się przy nim denerwowała. Miał zwyczaj się skradać, cichutko podchodził z tyłu, nie spuszczał z niej swych jasnych niebieskich oczu, kiedy przechodziła przez pokój, szła popływać, brała kluczyki od samochodu, aby tylko uciec z domu. Na jego widok robiło jej się niedobrze. Nie mogła uwierzyć, iż kiedyś myślała, że jest w nim zakochana. - Czego? Czego chcesz? - powtórzyła pytanie. Uśmiechnął się straszonym, kpiarskim uśmiechem.

- Dokąd się wybierasz, Rianne? - zapytał lodowatym tonem.

- Nie twój zasrany interes.

- Nie? - Wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Nerwowo przełknęła ślinę.

Lisette nie było w domu... słyszała, jak ciotka wychodziła wczesnym wieczorem. Poppie zaszyła się gdzieś w kuchni. Cóż to za myśli! Przecież to absurd. Na miłość boską, Hennie był jej kuzynem.

- Daj mi spokój. - Odwróciła się do niego tyłem, podeszła do łóżka i pochyliła się, żeby wziąć małą torebkę.

W jednej sekundzie znalazł się tuż za dziewczyną, objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Wpadła w panikę, próbowała się odwrócić i wyrwać, potknęła się. Chwycił ją za ramię, otworzyła usta do krzyku, ale dłonią od dołu gwałtownie i mocno przytrzymał jej szczękę. Pochylił głowę. Poczowała, jak wpycha jej język do ust, ręką na ślepo obmacuje piersi pod cienkim jedwabiem sukienki. Walczyła z nim jak szalona, kolanem próbowała kopnąć w jądra. Wolną ręką biła, gdzie popadło. Niespodziewanie ją puścił i odepchnął od siebie. Z trudem łapiąc oddech, upadła na łóżko. Ciężko oddychał.

Nie bój się, kuzynko. Nawet mi się n i e ś n i tknąć tego, czego on dotykał. Wyszedł z pokoju i z hukiem trzasnął drzwiami. Rianne leżała na łóżku, cała drżała. Była oszołomiona i przerażona nie tylko tym, co zrobił, ale jak to zrobił. Nienawidził jej. Wyraz obrzydzenia na twarzy Henniego był jeszcze gorszy niż mina na widok Mariusa, kiedy przyjechali do domu. Było jej niedobrze. Jak mogą aż tak bardzo jej nienawidzić? Zebrała się w sobie i usiadła na brzegu łóżka. Nie mogła opanować drżenia. Bolała ją szczęką. W ustach czuła niesmak. Wstała, chwiała się na nogach. Spojrzała w lustro. Mogła się tego spodziewać: z jednej strony ust miała czerwoną pręgę, szminka na wargach była rozmazana, policzki płonęły z wściekłości.

Za dwa dni wyjeżdża. Już kupiła bilety. Umyje twarz i pojedzie do Carltona. Nie pozwoli Henniemu zniszczyć jedynej możliwości definitywnego zamknięcia sprawy. Sala balowa w hotelu Carlton została zupełnie zmieniona na pierwszy organizowany przez Afrykański Kongres Narodowy charytatywny wieczór, w którym mieli wziąć udział również przedstawiciele białej społeczności. Hol udekorowano złotymi, zielonymi i czarnymi flagami. Wstęgi złotej satyny zdobiły kotary i drzwi prowadzące do hotelowych ogrodów. Personel hotelu, zarówno czarny, jak i biały, wspólnie zrobił wszystko, żeby zmienić niejako, surowe wnętrze w salę godną gościć biznesmenów i ich żony. Za możliwość spędzenia wieczoru w towarzystwie czarnoskórej elity zapłacili równowartość rocznych dochodów większości czarnych robotników w kraju. O szóstej prawie wszystko było dopięte na ostatni guzik.

Pierwszych gości spodziewano się o ósmej. Joachim Pieterse z dumą rozglądał się wokół siebie. Był zadowolony. Poprosił cztery dziewczyny, żeby uzupełniły dekorację ogromnymi aranżacjami kwiatowymi... liliami, kwiatami słoneczników, ciemnozielonymi liśćmi palm. Nie udało mu się zdobyć czarnych kwiatów, ale kwiaciarnie przysłały piękne ciemnopurpurowe tulipany. Dziewczęta szybko kręciły się po sali, dodawały do dekoracji po jednym lub dwa tulipany, ustawiały wazon z kwiatami. Lilie natychmiast nasyciły późnojesienne powietrze swoim zapachem.

\*

Riitho szedł przed rodziną. Nie chciał być niepokojony przez fotografów i reporterów, którzy ciągle zadawali to samo pytanie: „Rianne de Zoete. Czy potwierdza pan, że wasz związek...” Zdecydowanie odsunął dziennikarzy na bok. Rozpierzchli się na obie strony. Livingstone Modise i reszta rodziny byli prasie znacznie bardziej przychylni. Przed wejściem do sali, gdzie powitały ich burzliwe oklaski, pozwali do zdjęć z Mandelą i jego rodziną. Wielu gości już przybyło, siedzieli przy ustawionych po całej sali, przykrytych obrusami stolikach. W odległym końcu stał stół honorowy, gdzie mieli siedzieć Mandela i Modise ze swoimi rodzinami. Riitho przypomniał sobie, że tak samo wyglądała aranżacja uroczystości w szkolnym internacie; uśmiechnął się do siebie. Na przyjęcie przybył przewodniczący Południowoafrykańskiej Rady Kopalni, chociaż wiele przedsiębiorstw przemysłu górniczego nie było reprezentowanych. Obecny był Marius de Zoete. Riitho drgnął na jego widok. Oczami szybko omiótł salę... Nie, oczywiście, że nie. Nie została by zaproszona. Odwrócił się i patrzył, jak ojciec i matka wchodzi do sali. Njeri wyglądała prześlicznie. Miała na sobie tradycyjną zachodnioafrykańską czerwono-czarną kabą. Spod wyszukanej fryzury wyłaniały się proste brylantowe kolczyki. Nawet Mpho wyglądała oszałamiająco. Czerwone włosy ukryła pod turbanem w podobnym kolorze. Wyglądała elegancko - po prostu po królewsku. Bliźnięta były zachwycone nowymi, sztywnymi smokingami. Nieśmiało uśmiechały się do wszystkich. One również dorastały do swoich nowych ról. Ogarnęła go wewnętrzna radość, wszystko zaczynało się jakoś układać. Czekał, aż członkowie rodziny dojdą do stołu. Odsunął krzesło matce, potem siostrze. Uśmiechnęła się z wdzięcznością. W końcu zaczynali się ze sobą czuć swobodniej. Pierwsze szczeliny w lodowej tafli. Njeri dostrzegła zmianę i bardzo była losowi za to wdzięczna. Kelnerzy krzatali się wokół stolików. Kolacja miała rozpocząć się o ósmej. Zbliżała się godzina zero.

Spostrzegł ją sekundę wcześniej, niż ona zobaczyła jego. Obserwował pracowników biura public relations, które organizowało przyjęcie. Biegali w tę i z powrotem po sali, w ostatniej chwili usadzając i przesadzając gości, zanim rozpoczną się pierwsze przemówienia. Weszła dokładnie w jego pole widzenia. Na moment serce przestało mu bić. Rozmowy na chwilę przycichły, kilka osób odwróciło głowy, kiedy przechodziła.

Jezu! Zmierzała prosto do jego stołu. Riitho szurnął krzesłem w tył i wstał zza stołu. Wyraźnie zaskoczona Njeri spojrzała na syna. Właśnie mieli zaczynać. Mandela szukał okularów. Usłyszał, jak Mpho zakłęła i odwróciła głowę. Siedzący w drugim końcu sali Marius również dostrzegł córkę.

- Kryj mnie - syknął Riitho do siostry i zszedł z podwyższenia. Ruszył przez salę. Kątem oka widział, że Marius też zmierzał w kierunku Rianne. Jakiś fotograf zerwał

się na równe nogi z aparatem gotowym do zdjęć. Ojciec Rianne gestem kazał mu się cofnąć. „Mam ją” - zdawał się mówić. Wokół słychać było zaaferowane głosy gości. Spójrz, czy to nie jest... Co ona wyprawia? Jest pijana? O mój Boże, tak, to naprawdę... Popatrz! Ktoś głośno wciągnął powietrze.

Marius chwycił córkę za ramię, odwrócił i poprowadził przez salę do wyjścia.

Goście siedzący przy stolikach blisko drzwi obserwowali ich z otwartymi ustami.

Riitho spostrzegł dodatkowe wyjście po lewej stronie, za palmami w donicach.

Wyślizgnął się przez nie, zanim spostrzegł go jakiś fotograf albo ktoś inny; wszyscy z zainteresowaniem obserwowali główne wejście. Poszedł korytarzem w kierunku recepcji. Dostrzegł Mariusa wychodzącego z bocznego pokoju. Odczekał chwilę, aż ojciec Rianne zniknął mu z oczu, i szybko poszedł w tamtą stronę. Otworzył drzwi. Dziewczyna siedziała przy jednym ze stolików, twarz ukryła w dłoniach. Podniosła głowę. Patrzyli na siebie bez słowa.

Rianne serce waliło jak młotem. Wstała, nie spuszczać z niego wzroku. Nie mogła uwierzyć, że ukochany tu stoi i patrzy, jakby był na nią zły. Był na nią zły?

- Co ty tutaj, u diabła, robisz? - odezwał się pierwszy. Ciężko oddychał. - Czego chcesz?

- Czego ja chcę? - Była wściekła.

- Po co tutaj przyszłaś?

- A co miałam zrobić?! - krzyknęła. - Riitho, czekałam trzy miesiące! Trzy miesiące! Pojutrze wyjeżdżam. Wracam do Stanów Zjednoczonych. Nie zadzwoniłeś do mnie, nawet nie próbowałeś się ze mną skontaktować! Czego, do cholery, się po mnie spodziewałeś?! Odwróciła wzrok. Nie była w stanie tego wytrzymać. Dłużej nie mogła na niego patrzeć. Wyglądał tak samo, dokładnie tak samo, nic się w nim nie zmieniło, nic nie było inne. Tylko jego, jego jedyne, pragnęła w życiu. Dlaczego do tego doszło? Odwróciła się do niego plecami i objęła ramionami. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, słyszała, jak próbuje odchrząknąć.

- Rianne - odezwał się cicho. Uniósł w górę ręce, nie mógł mówić. Znowu otworzył usta i zawahał się. Spodziewała się, co powie, i miała ochotę zatkać sobie uszy. - Przepraszam - powiedział. - Chryste, Rianne, przepraszam. Już nie mogę. Nie możemy.

- My? My? Riitho, nas nie ma. Dałeś to jasno do zrozumienia. Milczał. Wzięła głęboki oddech. W mężczyźnie, który stał przed nią i unikał jej wzroku, nie mogła rozpoznać człowieka, którego kochała od czterech lat, a może nawet jeszcze dłużej, chociaż wiedziała to tylko ona. Nie chciał jej. Podobnie jak kiedyś ojciec dokonał wyboru. Zastanawiała się nad tym. Była ciekawa, co powoduje, że tacy mężczyźni jak Marius i Livingstone, a teraz Riitho dokonują takich wyborów. Podniosła torebkę i wyszła z pokoju. Dostała, co chciała. Zamknęła ten rozdział.

Kiedy wyszła, chwilę stał bez ruchu i głęboko oddychał. Odsunął krzesło i usiadł przy stole konferencyjnym, ukrywając twarz w dłoniach. Wszystko wróciło, gdy tylko ją zobaczył: Malvern, Paryż, Londyn, Nowy Jork. Każda drogocenna chwila,



którą spędzili razem. Zanim ją zobaczył, był pewien, tak pewien, jak tylko można być pewnym, że dla obojga lepiej będzie, jeśli przestaną się widywać. Presja, pod jaką się znajdował, naciski, jakie by wywierano na nią trudności, jakim musieliby stawić czoło już w najbliższej przyszłości, zniszczyłyby ich. Tego właśnie się obawiał. Republika Południowej Afryki nie była przygotowana na zaakceptowanie takiego związku, świat również nie.

Łączące ich uczucie nie miało nic wspólnego ze zwyczajną historią miłosną, oboje zbyt wiele symbolizowali. Zawsze w ich otoczeniu byli ludzie, którzy stawaliby między nimi lub za nimi stali: jego ojciec, jego ojczyzna, jej ojciec, jej sposób życia. Wszyscy dawali mu jednoznacznie do zrozumienia, że nie może jednocześnie utrzymywać znajomości z Rianne i pozostać wierny rodzinie. Kilometry, które pokonał od powrotu do kraju, rzeczy, które widział... Rianne de Zoete nie była częścią tego krajobrazu. On - tak. Co do tego nie miał wątpliwości.

Czy dobrze zrobił? Wstał i podszedł do okna. Z sali balowej dochodziły stłumione dźwięki aplauzu; Mandela musiał skończyć przemówienie. Teraz należał do tego świata. Chryste, Rianne... Przymknął oczy. Piękna, godna pożądania, zmysłowa - była wszystkim, co w niej dostrzegł, kiedy po raz pierwszy odwiedziła go w paryskim biurze. I jeszcze coś: fascynowała go, podobnie jak on fascynował ją. Pozornie byli swoim przeciwieństwem: ona - bogate, chronione dziecko uprzywilejowanej białej rasy; on - obiekt ucisku. Biali/czarni; bogaci/biedni; potężni/bezsilni. Proste porównanie. Tak wyglądało to jednak tylko z pozoru. Początkowo to właśnie ją w nim pociągało, zainteresowało. Chciała wiedzieć więcej, pragnęła zajrzeć głębiej, poznać istotę problemu, dowiedzieć się rzeczy, które całe życie przed nią ukrywano. Dlatego przyszła. I w pewnym sensie dlatego pozwolił jej zostać.

Ujęła go wrażliwością, podatnością na ciosy. A przecież niczego nie powinna się bać przynajmniej nie z jego strony. Każde z nich dostrzegło w drugim coś z siebie. On doskonale znał oba światy: ten, z którego - zdaniem dziewczyny - pochodził, i jej własny. Lepiej od Rianne poruszał się i czuł w jej świecie niż ona sama. Spostrzegła to - i to ją w nim pociągało. Kiedy przyszła do biura, otwarcie zaproponowała mu siebie. Nie istniała płaszczyzna, na której mogliby się przypadkiem spotkać i rozważyć ryzyko. Ona po prostu do niego przyszła. Fascynował Rianne, zauroczyły ją ich podobieństwa i różnice.

Skarżyła się, że są w nim pewne granice, których nie potrafiła przekroczyć. Chodziło jednak o coś innego: pragnęła, by dał jej jeszcze więcej, wskazał właściwą drogę. Wielokrotnie powtarzał: „Rianne, nie jestem tutaj, żeby cię ratować”. Twierdziła, że wie i że rozumie, ale nie rozumiała. Bez niego żyła tylko w połowie, przynajmniej tak twierdziła. Wiedział, że mówiła poważnie. Mimo to, przy całej pewności siebie Riitha, były chwile, kiedy sądził, że wątpliwości go zniszczą. Łączyło ich coś absolutnie szczególnego, a wyjątkowość tego związku polegała na tym, że nigdy nie

powinien się zdarzyć; między nimi nigdy nie powinno do niczego dojść. Uważał, że wiążąc się z Rianne, przekroczył wszelkie granice. To jednak nie wystarczyło. Postąpił słusznie. Musiał w ten sposób patrzeć na to, co się zdarzyło. Ale, Boże, jak to bolało!

\*

Rianne wybiegła z hotelu z oczami pełnymi łez. Zlekceważyła zaniepokojony wzrok portiera i skierowała się do samochodu. Została upokorzona i zraniona w niewyobrażalny sposób. Jechała do Bryanston i myślała tylko o jednym: czas wyjechać z Republiki Południowej Afryki. Musiała zostawić za sobą cały ból, jaki wiązał się z tym krajem, i gdzieś indziej zacząć wszystko od nowa. Nie bardzo wiedziała, dokąd się udać, ale miała pewność, że musi wyjechać. Nacisnęła pedał gazu. Przy odrobinie szczęścia zastanie Lisette w domu. Musiała porozmawiać z nią o pieniądzach. Rianne wydawało się, że w dniu swoich trzydziestych urodzin albo gdzieś w tym czasie miała przejąć część rodzinnej fortuny. Uznała, że nadszedł czas, aby zająć się swoim życiem. Potem pojedzie do Gabby i do Nowego Jorku. Krok po kroku. Zajmie się tym na miejscu.

Niestety, pierwsze kroki okazały się nie tak proste, jak to sobie wyobrażała. Lisette była w domu, kiedy przyjechała, ale spotkanie z ciotką przyprawiło dziewczynę o zawrót głowy.

- Ile mam pieniędzy? - zapytała. Ciotka obrzuciła ją lodowatym spojrzeniem.

- O co ci chodzi? - zapytała chłodno.

- Dokładnie o to. Ile mam pieniędzy?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, na co ci są potrzebne.

- Gówno prawda. Skończyłam dwadzieścia jeden lat. Mogę robić z pieniędzmi, co mi się tylko podoba - odparła Rianne równie chłodno.

Lisette wstała i zapaliła papierosa. Powoli wypuściła dym z płuc.

- I tu się mylisz - powiedziała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Bratanica miała niepewny wyraz twarzy.

- Bez mojej zgody nie dostaniesz żadnego spadku. Tak stanowi jeden z warunków twojego funduszu powierniczego. Powinnaś sprawdzić te rzeczy. - Lisette z uwagą oglądała paznokcie. - Dowiesz się wtedy, że również tylko za moją zgodą możesz korzystać z funduszu. A teraz - machnęła czerwonymi paznokciami w powietrze -

skoro już wszystko wyszło na jaw, wcale nie jestem pewna, czy dam taką zgodę. - W oczach dziewczyny błysnęły ogniki wściekłości. - Musisz mi coś obiecać, Rianne.

- W jakiej sprawie? Chcę, żebyś dała mi słowo, że sprawa z Modise'em jest

zakończona, że odzyskałaś rozum, że jest ci przykro, iż okryłaś nas hańbą...

- Idź do diabła! - Rianne wstała, policzki jej płonęły.

- Rianne! Jak śmiesz...

- Co? Tak się do ciebie odzywać? A kim ty jesteś? Będę widywała się, z kim chcę i kiedy chcę, a tobie nic do tego. Nic!

- Owszem, to dotyczy nas wszystkich! Jak śmiesz? Jak mogłaś okryć nas tak wielkim wstydem? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy?

- Wy? A co wy, do cholery, dla mnie zrobiliście?! - krzyknęła Rianne. - Nie opowiadaj mi tu o wstydzie i hańbie. Nie masz pojęcia, co te słowa znaczą! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

- Doskonale. - Papieros drżał w ręku Lisette. - Odejdź tak jak ojciec. Kiedy nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy, uciekasz. Wspaniale, zobaczymy, jak daleko zajdziesz, ty zepsuta pannico. Mogłaś mieć wszystko, zrobiliśmy dla ciebie tak dużo. Zła krew. Jesteś taka sama jak matka. Powinnam to wiedzieć.

Dzięki Bogu miała już bilet do Nowego Jorku - pomyślała z satysfakcją, z furją wrzucając ubrania do olbrzymiej walizki. Nie wiedziała jednak, co robić dalej. Nadal niezupełnie rozumiała i nie potrafiła właściwie ocenić, jakie wnioski powinna wyciągnąć z wymiany zdań z ciotką. Czy zostanie odcięta od kont bankowych? Ale przecież to na pewno były pieniądze Mariusa. Musiała tylko zatelefonować do ojca. On wszystko załatwi, da jej, co tylko będzie chciała.

Coś ją jednak powstrzymywało. Duma? Może. Pamiętała, że ojciec również radził jej zapomnieć o Modisie. Nie mogła teraz pójść do niego z płaczem. Była bardzo pewna Riitha i siły ich związku. Jak ma teraz czołgać się przed ojcem i przyznać mu rację? Marius się nie mylił, Riitho ją zostawił, dokonał wyboru, w którym nie było miejsca dla niej. Nie mogła prosić ojca.

Musiała znaleźć inny sposób. Wiedziała, że na koncie w banku w Nowym Jorku miała jakieś pieniądze. Dysponowała kartami kredytowymi i pieniędzmi zarobionymi na wybiegu, chociaż nie wiedziała, jaka to może być suma. Sama nie mogła uwierzyć, że była tak bardzo naiwna w sprawach finansowych. Jej księgowego oczywiście zatrudniła Lisette. Prawdę mówiąc, wszystko, co robiła czy miała, załatwiła ciotka: szkoła w Anglii, kariera modelki, mieszkania. Teraz musiało się to skończyć. Przerazające, jednym cięciem straciła wszystko. No, prawie wszystko. Jeżeli sądzili, że zwinie się w kłębek i zapłacze na śmierć, to się mylili. Była zrobiona ze szlachetniejszego materiału. Jeszcze im pokaże. I jemu.

## 69

Charmaine popatrzyła na Simona. Co miał na myśli? Wyciągnął rękę ponad restauracyjnym stolikiem i przykrył jej dłoń swoją.

- Nic niemiłego, kochanie - powiedział gładko. - Tylko tak... jak to robiłaś u Jamesa. Chciałbym, żebyś zrobiła na Billym dobre wrażenie. Może być naszym kluczowym

klentem.

- To znaczy twoim klientem - powiedziała, przygryzając wargi. Kiedy mówił o ich wspólnych planach, najwyraźniej widział je inaczej.

- Nie, nie, naszym. Widzisz, możemy razem pracować, a także być razem. Wypił łyk wina i uzupełnił jej kieliszek. To znaczy - takie ujęcie sprawy bardziej się Charmaine podobało - będę kimś w rodzaju szpiega? - zapytała z błyskiem w oku.

- Dokładnie tak. Chodzi o szpiegostwo przemysłowe. Ja znajduję klientów, ty wyciągasz z nich jak najwięcej informacji i wykorzystujemy je do naszych celów, do maksymalizacji zysków. Naszych. Twoich i moich.

- A Lisette? Jaka jest w tym jej rola? - Charmaine nie była głupia.

- Żadna - oświadczył. - To prywatna umowa między nami. Oczywiście, zdobyte informacje pomogą wszystkim, włącznie z Lisette. Jednak my organizujemy to na własną rękę. Tak jak ten tysiąc funtów, które ci dałem. Kupię ci także mieszkanie i, jeśli chcesz, samochód. Zostaniemy partnerami w interesach. W innych sprawach też. Charmaine z entuzjazmem pokiwała głową. Była przede wszystkim zainteresowana tymi „innymi sprawami”. Powiedział, że zostawi Stellę, kiedy tylko pozłatwia sprawy. Może ten ostatni pomysł był elementem prowadzącym właśnie do „załatwienia spraw”. Dotrzymał słowa, w kwestii obiecanych pieniędzy zadziałał szybko. Tego ranka telefonicznie zlecił przelanie konkretnej sumy na jej rachunek. Pieniądze i seks. Seks i władza. Dla Charmaine te trzy rzeczy się ze sobą wiązały. Jeszcze raz skinęła głową i wypiła duży łyk wina. Prawdę mówiąc, układ wydawał jej się nie tylko korzystny z finansowego punktu widzenia, ale również erotycznie podniecający.

Wysunęła stopę z pantofelka na wysokim obcasie i przesunęła nią po jego udzie. Zakrztusił się winem. Uśmiechnęła się i odwróciła głowę, aby popatrzeć na innych gości modnej restauracji w Knightsbridge. Pomyślała, że chciałaby już zawsze żyć na takim poziomie. Przystojny starszy mężczyzna, śliczne mieszkanie, pieniądze na koncie w banku i nic szczególnego do roboty. Musiałaby jedynie dbać o siebie, pielęgnować urodę, wzbudzać pożądanie, stawać się coraz bardziej niezastąpioną. Powoli, z premedytacją palcami stopy gładziła jego penisa. Oddychał ciężko. To było takie proste, takie proste.

Tym razem również dotrzymał słowa. Kilka dni później powiedział, że trzeba działać szybko, ponieważ pod koniec tygodnia musiał wyjechać na spotkanie do Nowego Jorku. Był wczesny ranek, Charmaine jeszcze leżała w łóżku. Simon już się ubrał i wychodził załatwiać sprawy zawodowe. Otworzył teczkę i rzucił na kołdrę kilka katalogów agencji nieruchomości.

- Wybierz coś - polecił. - Coś ładnego.

- A jak z ceną? - zapytała, ciesząc się, że sprawy toczą się w takim tempie. Lubiała mężczyzn, którzy podejmowali szybkie decyzje i mieli zdolność sprawczą.

- O cenę się nie martw. Wybierz coś, co ci się podoba. Nie przesadzaj, ale pamiętaj, że będziesz... spędzała tam dużo czasu. Poradzisz sobie. - Pocałował ją i podniósł

teczkę. - Wrócę po kolacji.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych, wyciągnęła ręce za głowę i ziewnęła. W co się ubrać? Miała różową garsonkę, podrabiany model Chanel, z białymi lamówkami i złotymi guziczkami. Był zbyt elegancki. Może brązowe spodnie z szyfonową bluzką? Raczej nieciekawe. Szare tweedowe spodnie z kaszmirowym blezerem z paskiem w talii? Dobry wybór. Klasycznie, ale nie nazbyt elegancko, w dobrym stylu, a nie przesadnie wytwornie. Może będzie musiała kupić nowe buty albo botki na wysokich obcasach, jakie teraz wszyscy nosili. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Dochodziła dziewiąta. Słyszała, że Dinah krząta się w kuchni, przygotowuje kawę i podgrzewa croissanty. Przeciągnęła się raz jeszcze i szeroko uśmiechnęła. Nie tylko chciała już zawsze prowadzić taki styl życia, ale zaczynała rozumieć, że było to zupełnie realne.

\*

-Tak? - Młody człowiek za biurkiem w agencji nieruchomości początkowo długo nie doceniał znaczenia wizyty Charmaine. Na pierwszy rzut oka wyglądała na miłą, ładną, ale zupełnie przeciętną dziewczynę. Jednak wyglądająca na zupełnie nową torebka Louisa Vuittona i skrzypiące botki wydawały się odrobinę nie na miejscu w tej eleganckiej części Kensington. - Dzwoniłam wcześniej - przypomniała Charmaine, uśmiechnęła się wdzięcznie i zajęła miejsce po drugiej stronie biurka. Skinął głową, starając się odtworzyć rozmowę. - Chciałabym obejrzeć mieszkanie przy De Vere Gardens - powiedziała bez zbędnej zwłoki z błyszczącymi oczami. - Rozumiem. - Młody człowiek natychmiast cały zamienił się w słuch. - Tak, naturalnie. - Bardzo ładne mieszkanie z dwiema sypialniami na południowym krańcu ulicy było jednym z elegantszych i droższych, jakie mieli w ofercie. Agent z każdą chwilą stawał się bardziej usłużny. - Czy chciałaby pani od razu je obejrzeć? - Tak, chętnie. - Charmaine wyciągnęła do niego dłoń. Podał jej rękę, siła uścisku odzwierciedlała wysokość jego prowizji.

Wyszła z agentem z biura na Kensington High Street. Tego dnia obejrzała już trzy inne mieszkania, to jednak było usytuowane najbliżej sklepów, i to jakich! Zachwyciła ją różnorodność butików, sklepów w starym stylu, magazynów z obuwem, restauracji i - naturalnie - jej najukochańszy w świecie sklep Harveya Nocholsa. Miała nadzieję, że mieszkanie nie będzie odbiegało standardem od tego, co przedstawiono w prospekcie. Wskoczyli do taksówki, do apartamentu dojechali w pięć minut.

- O raju, jest naprawdę ładne! - zachwyciła się Charmaine, kiedy młody człowiek wprowadził ją do salonu z aneksem jadalnym.

Właściciele wyjeżdżali na Daleki Wschód i chcieli szybko sprzedać mieszkanie. Apartament został odnowiony i odświeżony. Nabywca musiał tylko przenieść tu

rzeczy osobiste, wszystko inne, w tym ręczniki, wliczono w cenę sprzedaży.

Dokładnie obejrzała pokój dzienny. Ściany były ciemnoczerwone, obramowania okien i sufity kremowe. Na podłodze leżała bardzo modna wykładzina dywanowa z włókna kokosowego, co nadawało wnętrzu spokojny, bardzo elegancki charakter. Meble były ładne i wygodne. Stał tu bardzo piękny, stary stolik do kawy, a na nim bukiet czerwonych róż, których zapach czuło się w powietrzu. Tu i ówdzie porozrzucano ciemnoczerwone i złote poduszki, na obiadowym stole stała patera z różowymi jabłuszkami, całość sprawiała miłe wrażenie domowego szczęścia.

Charmaine przeszła do głównej sypialni. Ściany pomalowano na biało, nad głowami łoża z kutego metalu umieszczono listwę z małymi granatowymi światłami.

Sypialnia wyglądała bosko. Łazienka też była wspaniała: ciepła podłoga w piaskowym kolorze i szykowna wanna w starym stylu. Proszę mi przypomnieć, jaka jest cena? Zacisnęła wargi: dwieście pięć tysięcy funtów. Strasznie dużo pieniędzy.

- Tak, w tym tygodniu już kilka osób oglądało to mieszkanie. Myślę, że szybko znajdzie się na nie kupiec - powiedział agent.

Tak... - Charmaine myślała szybko. - Bierzemy. Mój... partner wraca wieczorem.

Tak, bardzo mi się podoba. - Po raz ostatni zajrzała do pokoju dziennego. Już wyobrażała sobie siebie leżącą na jasnoszarej kanapie albo przynoszącą z nieskazitelnie czystej kuchni lampkę wina, stawiającą ją na obiadowym stole, odsuwającą krzesło i obejmującą Simona z tyłu ramionami, kiedy z piekarnika w kuchni dochodził zapach przygotowywanej kolacji. Oczywiście, nie zamierzała gotować, ale z przyjemnością starała się wyobrazić sobie obraz domowego szczęścia. Z entuzjazmem klasnęła w dłonie. Douglas, agent nieruchomości, uśmiechnął się do siebie. Wolał, kiedy klientkami były kobiety. Miały niezwykłą łatwość wyobrażania sobie siebie we wnętrzach, które im pokazywał. Mężczyźni całe wieki potrafili mrużyć i marudzić, podczas gdy kobiety od razu widziały siebie w kuchni, w jadalni, kiedy gościły przyjaciół na kolacji, w sypialni, gdy kochały się w nowym łóżku. Z nimi łatwiej robiło się interesy. Zamknął mieszkanie. Miał szczerą nadzieję, że „partner” tej klientki, kimkolwiek jest, okaże się przyzwoitym facetem. Już kilka razy naciął się na młodych dziewczynach, które poniosło i zbyt wysoko oceniły możliwości finansowe swoich - jak ich nazywał - słodziutkich tatulków. Potem z żalem patrzył, jak jego prowizja rozwiewa się we mgle.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję. - Charmaine cmokała go, całowała wszędzie, wargami wytyczyła ścieżkę przez policzek, nos, oczy.

Pokaż, jak mi dziękujesz - rozkazał, chwytając dziewczynę za włosy i wpychając jej głowę między uda. Trzymał mocno, cisnął w dół i uderzał energicznie, wsuwając się i wysuwając z jej ust. Krztusiła się. To nie było bierne, niemal leniwe dochodzenie do orgazmu, co z reguły preferował, tylko silne, gwałtowne ruchy. Zakrztusiła się, kiedy miał wytrysk. Oczy zaszyły jej łzami, zachłysnęła się spermą i rozkaszała. Ciągle trzymał Charmaine za włosy; próbowała się wyrwać, ale udami ścisnął jej głowę.

- Och Simonie! Sprawiasz mi ból. Och! - jęknęła, próbując go odepchnąć. Popatrzył na nią przez chwilę, potem puścił.

- Przepraszam - powiedział z uśmiechem. - Trochę mnie poniosło. Co ty ze mną wyprawiasz? Widzisz, doprowadzasz mnie do szaleństwa. - Wziął ją w ramiona i głaskał po głowie. - Kochanie, przepraszam. Przy tobie nawet Jezus straciłby panowanie nad sobą - zapewniał, wykrzywając wargi.

Ależ był staromodny! Charmaine jednak wydawała się udobruchana. Wiedział, że uwielbiała wszelkie komplementy na temat jej zmysłowości. Można z nią było zrobić wszystko, a potem obarczyć winą, ponieważ jest zbyt piękna, zbyt namiętna, zbyt dobra w łóżku, i wszystko wybaczała. Co, na Boga, zdarzyło jej się w dzieciństwie? Dlaczego była tak żałośnie niepewna siebie? Był przekonany, że musiała przez jakiś czas wystawać pod latarnią. Mogła zajmować się czymkolwiek, a została kurwą. A tak przy okazji, Rianne wcale nie była lepsza. Tylko popatrzcie. Miała urodę, pieniądze i klasę, a co robiła? Pieprzyła się z kaffirami. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze.

## 70

Jak miała opisać swój stan? Czują się, jakby ziemia nagle usunęła jej się spod stóp, a ona ciągle stała w miejscu. Jakby temperatura otoczenia bez ostrzeżenia gwałtownie spadła. Jakby ściany świata zaciskały się wokół, uwięziwszy ją w ciasnej przestrzeni tylko z bólem. Tonęła. Rianne siedziała w zaciszu nowojorskiego mieszkania Gabby i była przekonana, że już nigdy nie wypłynie na powierzchnię. Tak, można było opisać jej stan słowami... wieloma, nic nieznaczącymi słowami. Słowa przychodziły łatwo, cała reszta okazała się trudna. Miała powiedzieć, że za nim tęskni, wcześniej nawet nie wiedziała, co to znaczy. Jego silna osobowość, którą poczuła już dwie sekundy po spotkaniu... która jej towarzyszyła od czasów Paryża... nagle zniknęła, odeszła, opuściła ją. Bez niej czuła się zagubiona. Żar, pasja, jaką ze sobą wnosił, nie tylko żar ciała, ale skupienia, koncentracji, czegoś, co ją od tak dawna pociągało... zniknęły, pozostał tylko lodowaty podmuch strachu. Mówiła, a Gabby słuchała.

W końcowym rozrachunku to nie Riitho ją uratował, tylko przyjaciółka. Nie dlatego, iż więcej niż ktokolwiek inny wiedziała o jej związku z Modise'em, ale że ją rozumiała. Zawsze - od samego początku. Kiedy Rianne zakochała się w Riicie, jej życie podzieliło się na dwa etapy: przed związaniem się z nim i później. Myślała, że ten drugi etap będzie trwał wiecznie, tak jak trwała była zmiana, jaka zaszła w niej samej. Teraz Riitha nie było. Co miała począć?

- Boję się, Gabby. Nie mogę bez niego żyć. Wciąż mam przed oczami jego twarz... - Przerwała.

- Wiem. Będzie bardzo ciężko, Rianne. Nie mogę go bronić, to ty jesteś moją

przyjaciółką, nie on, ale jemu też nie będzie łatwo.

- Obiecał, że tak się nigdy nie stanie. Obiecał. - Rianne znowu zaczęła płakać.

- Co masz zamiar robić? - zapytała Gabby, ujmując ją za rękę. Próbowwała zmusić przyjaciółkę do skupienia się na przyszłości. - Zostaniesz w Nowym Jorku?

- Nie mogę tam wrócić, Gabs. Ale co poza tym chcesz robić? - zapytała dziewczyna, wzdychając. Rianne popatrzyła na przyjaciółkę. Znowu to samo. Całe życie słyszała to pytanie. Co chciała robić? Jakie miała plany? Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Kiady była z Riithem, czekała, aż pewne rzeczy jemu się przydarzą - mówił, że tak zawsze się dzieje - i w ten sposób nawet nie spostrzegła, że odpowiedź stała się oczywista. Co robić? Nic nie musiała robić. Wystarczyło, że była - z nim.

- Nie wiem... już nic nie wiem.

Gabby spojrzała na przyjaciółkę. Wiedziała, co Rianne w tej chwili miała na myśli, chociaż z pewnością w tym właśnie tkwiło sedno problemu. Rianne nie musiała nic robić. Kiedy posypały się wióry, nie wiedziała, czego się chwycić: nie miała prawdziwej pracy, przynajmniej w tym sensie, w jakim Gabby rozumiała to pojęcie; nie miała domu, którego nie zapewniałby jej ktoś inny; nie miała mężczyzny, skoro Riitho odszedł. Nie była przygotowana do takiego życia. To, co się jej przydarzyło, okazało się prawdziwą tragedią a przyjaciółka nie dysponowała odpowiednimi instrumentami, aby się z nią uporać. Zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak wielkie straty poniosła w życiu.

Czy można kogoś nauczyć sztuki przetrwania? Wskazuje się mu właściwy kierunek i ma nadzieję, że nie utonie, ale utrzyma się na powierzchni. Podryfuje na fali, nie pójdzie na dno. Tego właśnie pragnęła dla Rianne. Chciała, żeby spokojnie żeglując, oddaliła się od bezpiecznego brzegu. Przyjaciółka nie chciała zrozumieć, że w życiu bywają ważniejsze sprawy niż szczęście osobiste. Dziwne, ponieważ właśnie tak postąpił Marius: zrezygnował z własnego dziecka dla sprawy przerastającej jego samego. A jednak nie potrafił wyjaśnić córce, dlaczego tak się zachował. Rianne uważała go za hipokrytę albo - jeszcze gorzej - maskującego się rasistę. Przecież w innym przypadku nie przekonywałby jej, że Riitho nie był odpowiednim partnerem. Gabby inaczej patrzyła na tę sprawę, widziała ją w innym świetle. Marius znał córkę. Nie była odpowiednią żoną dla takiego mężczyzny jak Riitho.

Próbowowała sobie wyobrazić, co by zrobiła, gdyby Nael ją zostawił. Byłaby przerażona. Rozumiała, co Rianne musi przechodzić. Jednak jej życie wcale by się przez to nie skończyło, tymczasem przyjaciółka uważała, że to koniec wszystkiego. Może tu właśnie tkwiło sedno sprawy. Jak na kogoś tak łaskawie traktowanego przez los Rianne była zdumiewająco słaba. Siłą inercji wpadała we wszystko, co dotychczas robiła. Przyjazd do Anglii, kariera modelki, wyjazd do Republiki Południowej Afryki i powrót do Nowego Jorku. Zawsze pozwalała ludziom kształtować swoje życie i nadawać mu kierunek. Jedynej rzeczy, którą zrobiła sama z siebie, to znaczy wsiadła w samolot do Paryża, żeby spotkać się z Rii - them, nie potrafiła wyjaśnić. Po prostu pojechała... Rozumowała w ten sam sposób jak wtedy,



kiedy wsiadła do pociągu do Londynu pewnego sobotniego popołudnia... była znudzona... w ogóle o tym nie myślała, po prostu tak zrobiła i czekała, co się dalej stanie. Potem wszystko wróciło do . normy Pozwoliła, żeby dalej prowadził ją Riitho i jego sprawa. Wydarzenia, które następowały, kierowały jego, nie jej życiem. Nadal występowała jako modelka, chociaż bez większego zaangażowania. Pracowała dla zabicia czasu, kiedy nie mogła być z nim, a nie dlatego, że pragnęła być kimś innym niż tym, kim on ją uczynił. Kim mógł ją uczynić. I to również było częścią istoty problemu. Pułapka, w którą bardzo łatwo wpaść; często myli się brak aspiracji do samorealizacji z miłością do drugiej osoby. Podobny błąd popełniało wiele kobiet, szczególnie zakochanych w mężczyznach, których idee - polityczne czy jakieś inne - zdawały się ważniejsze niż ich własne.

Czasami Gabby tak się czuła wobec Naela. Myślami wróciła do rozmowy w londyńskiej kawiarni, kiedy wyznał jej, kim jest naprawdę - a przynajmniej kim jest we własnym mniemaniu. Mówiąc szczerze, szok, jaki wówczas przeżyła, był podszyty zazdrością. Nael, stając się Na'elem, zdobył inną, bardziej symboliczną tożsamość. Odsunął się od Gabby, poszedł do przodu, opuścił jej zwyczajną, beznadziejnie angielską orbitę. Miał coś, czego ona nigdy mieć nie będzie; był kimś, kim ona nigdy nie zostanie. To był element osobowości Naela i Riitha, który przyciągał innych. Powiedział Rianne, że nie jest tu po to, by ją uratować. Sama powinna wiedzieć, jak się ratować. Miał rację.

Gabby wstała zza stołu i podeszła do okna. Zbliżało się lato. Na zewnątrz słońce świeciło ostro, mocno grzało, miasto zrzucało wiosenną powłokę. Zapaliła papierosa. Przy Naelu starała się tego nie robić, ale Rianne od przyjazdu kopciła jednego papierosa za drugim. Gabby mówiła cicho, w równym stopniu adresując myśli do siebie jak do Rianne. Ich przyjaźń się pogłębiała. Teraz mogła wyznać jej rzeczy, których normalnie by nikomu nie powiedziała.

- Tym nas zafascynowali, prawda? Chodzi o różnice - nie tylko zresztą dotyczące koloru skóry czy rasy. Oni są kimś, kim my nie jesteśmy... i nigdy nie będziemy. Rianne popatrzyła na koleżankę. Bardzo starała się zrozumieć, co chciała przez to powiedzieć. Gabby odwróciła się do niej twarzą. Z Naelem wyglądało to troszkę inaczej - wyjaśniła, ale i tak sprowadzało się do tego samego. Z pozoru nie było tego widać, nie tak jak w przypadku Riitha. Dystans, który dzielił Naela od niej - tak by to nazwała: dystans, nie różnica - był ukryty pod powierzchnią... nie można tego zobaczyć, dotknąć, poczuć. Czasami gubiła się w tym wszystkim. Czuła, jakby jednocześnie była z dwoma osobami. Gdy rozmawiał z matką po arabsku przez telefon albo kiedy widziała go w telewizji, prowadzącego wywiad z ludźmi w keffiyah na głowie, stawał się dla niej kimś obcym. A potem, gdy znowu byli razem i słuchała tego głosu, który znała całe życie, nie potrafiła tych dwóch ludzi ze sobą pogodzić. Wprawiał ją w zakłopotanie. Nie mogła powiedzieć tego Rianne. Ani jemu. Tylko wtedy, gdy się kochali, kiedy był najbardziej otwarty i nie miał się na

baczności, czuła, że ma ich obu: tego obcego i tego, którego znała całe życie. To było... podniecające?

Czy mogła się do tego przyznać? Zarumieniła się raptownie. Rianne poprzez łzy pokiwała głową. Gabby miała rację - wielką rację. Oczywiście. Ujęła w słowa to, czego jej samej nie udało się zwerbalizować.

- Rianne, jeśli chcesz odzyskać Riitha, będziesz musiała o niego walczyć. Zgasiła papierosa. Przyjaciółka podniosła wzrok.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jak? - zapytała łamiącym się głosem. Dokładnie to, co powiedziałam. A jak, sama będziesz musiała się zorientować. Kiedy znowu go spotkasz, powinnaś wiedzieć, kim jesteś. On próbuje się odnaleźć, odkryć, kim jest. To bolesne, ale miał rację, Rianne.

- Mylisz się, Gabby - odrzekła przyjaciółka ochrypłym głosem. - On odszedł, sam tak powiedział. Dokonał wyboru. To koniec.

- Może. - To wszystko, co Gabby mogła powiedzieć. Było gorzej, niż przypuszczała. Nic nie szło dobrze od momentu, kiedy weszła do banku na Piątej Alei i dowiedziała się, że ma niecałe pięć tysięcy dolarów na rachunku bieżącym i trochę mniej na depozytowym. Po tylu miesiącach pracy zostało jej wszystkiego dziesięć tysięcy dolarów. Z niedowierzaniem patrzyła na bankowego menedżera.

- Jest pan pewien? - zapytała, zdenerwowana. Dziesięć tysięcy dolarów? Co zrobiła z pieniędzmi? Jeszcze raz spojrzała na wyciąg. Powinna skontaktować się ze swoim księgowym, ale nie pamiętała jego nazwiska. - Wiem, że to dziwnie zabrzmiało - zaczęła z wahaniem - ale muszę porozmawiać ze swoimi księgowymi. Czy pan przypadkiem nie ma takich informacji?

- Informacji?

- Kto załatwiał moje sprawy?

- Ach tak, oczywiście. - Był przyzwyczajony, że piękne kobiety - głównie żony - nie mają pojęcia o finansach. - Pani pozwoli tędy. - Zaprowadził ją do prywatnego gabinetu. Nadal była klientką prywatnego banku Behrends, gdzie poleciła ją Ross Carter. Umieili tam odpowiednio traktować swoich klientów.

W ciągu godziny otrzymała numer telefonu, adres i gruby plik wyciągów z ubiegłych czterech lat. Może Gabby będzie wiedziała, co z tym dalej zrobić. Jedno było jasne, musiała znaleźć pracę. Rano zatelefonuje do Ross.

Ta jednak wcale nie była zachwycona telefonem od Rianne. Po porwaniu dziewczyna nie zadała sobie trudu i nie skontaktowała się z agencją Face! Nawet nie zawiadomiła ich, że jest cała i zdrowa, a przecież porwano ją kiedy wychodziła z próby w domu mody Yves'a Saint Laurenta. Gina musiała nieźle się gimnastykować, żeby załatwić zastępstwo; pokaz przecież musiał się odbyć. Potem przez wiele miesięcy nie dawała znaku życia! Rianne nie była gwiazdą miesiąca i Ross nie zamierzała udawać, że jest inaczej.

Dziewczyna przeżyła piętnaście boleśnie upokarzających minut przy telefonie. Ross spokojnie wyjaśniła, dlaczego nie zamierzała dalej z nią współpracować. Rianne

była coraz starsza, a do agencji zgłaszały się setki pięknych młodziutkich dziewcząt, które bardzo pragnęły otrzymać szansę, jaką ona miała i zaprzepaściła. Może spróbować swoich sił gdzie indziej, Ross jednak szukała kogoś, kto zachowywałby się bardziej... profesjonalnie. Kogoś, kto naprawdę potrzebował pracy.

- Potrzebuję pracy! - chciała krzyknąć Rianne. - Teraz potrzebuję pracy! Daj mi jeszcze jedną szansę! - Nie potrafiła jednak tego zrobić.

Gabby współczuła koleżance, ale nie wpadała w panikę. Rianne nigdy nie zostanie bez grosza ani też nie znajdzie się w sytuacji, że nie ma gdzie mieszkać.

Przynajmniej dopóki ona żyje. Ta kara - jak określała to Rianne - może wcale nie była taka zła. Nigdy nie wiadomo, a nuż to będzie cenna naučka. Gabby słuchała, czekała i obserwowała.

- Rianne, masz dziesięć tysięcy dolarów. To dla większości ludzi bardzo duża kwota. Musisz się zastanowić, jaki z nich zrobisz użytek. Poczekaj, najpierw idź do kilku agencji. Jeżeli któraś cię zatrudni, poszukaj mieszkania. Ale nie wcześniej. Musisz planować, nie tylko działać.

Rianne z przerażeniem patrzyła na Gabby. Przyjaciółka miała wyraźną hierarchię wartości, była dobrze zorganizowana, bardzo spokojna i w ogóle inna niż ona sama. Poczowała się bardzo marna, nic nieznacząca. Jeszcze tak wiele musiała się nauczyć.

\*

Po drugiej stronie Atlantyku Charmaine po raz pierwszy poważnie zastanawiała się nad całą tą operacją z nią w roli Maty Hari. Początkowo uważała, że to niezła zabawa. Zwróciła pieniądze Nathalie i Rianne, po czym wyprowadziła się z Wilton Crescent do mieszkania w Kensington. Teraz nerwowo przemierzała pokój dzienny. Chciałaby wszystkim znajomym pokazać nowe mieszkanie, ale nie wiedziała, jak mogłaby wyjaśnić kupno apartamentu. Uznaliby za dziwne, że takie piękne mieszkanie kupił jej przyjaciel, którego nigdy nie było. Gabby, chwala Bogu, większość czasu spędzała w Nowym Jorku, ale za dwadzieścia minut miała tu przyjść. Zatrzymała się w Londynie w drodze do Genewy i obiecała, że ją odwiedzi. Zabrział dzwonek domofonu.

- Jezu! - zachwyciła się Gabby, wchodząc do przedpokoju i zaglądając do pokoju dziennego. - Charmaine, mieszkanie jest przepiękne, ale jak możesz sobie na nie pozwolić? - zapytała zdumiona. Przyjaciółka przecież nadal nie miała pracy.

- Simon mi je kupił - odparła. Gabby odniosła wrażenie, że koleżanka od razu zajmuje pozycję obronną.

- Simon? - Nigdy o nim nie słyszała. Pytając spojrzęła na Charmaine.

- To mój chłopak. Nie przedstawiałam was sobie? - odpowiedziała pogodnie.

- No, nie, nie przedstawiłaś. - Gabby obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Czyżby kolejny spryciarz? Zapyta przyjaciółkę w dogodniejszej chwili. Trudno było śledzić

zawiłości i zmiany w jej życiu, szczególnie z tak dużej odległości. Oglądała mieszkanie. Zaniepokoił ją wystrój sypialni: aksamit i jedwab, czarna pościel na łóżku. Zmarszczyła nos. Wnętrze wyglądało jak parodia burdelu. Przy metalowym oparciu w głowach łóżka zauważyła długi jedwabny sznur. Natychmiast po wyjściu postanowiła zadzwonić do Nathalie.

Charmaine była podekscytowana. Paplała o Simonie i projekcie, nad którym pracował. Na Królewskim Nabrzeżu miał zostać wybudowany najwyższy budynek w Europie, zarobią na nim furę pieniędzy, inwestując w infrastrukturę komunikacyjną. Gabby była szczerze ubawiona. Od kiedy przyjaciółka interesowała się infrastrukturą komunikacyjną? Przerwała koleżance, kiedy Charmaine zaczęła coś pleść o PPP.

- Co ty mówisz? Co to jest PPP?

- Och, to coś... no wiesz, jak dostaje się pieniądze od rządu. - Charmaine nie potrafiła nic bliżej wyjaśnić.

- Państwowo - Prywatne Partnerstwo? - Gabby uważnie spoglądała na przyjaciółkę.

- O, właśnie tak! Pan Dorland, to jest Mike, mówił o tym któregoś wieczora.

Charmaine spłoszyła.

- Mike Dorland? Minister ochrony środowiska naturalnego? - Gabby zaczęła się denerwować. Na Boga, co Charmaine robiła w towarzystwie Mike'a Dorlanda? Jeszcze bardziej niepokojące było to, co minister robił w j e j towarzystwie.

- Tak, jest przyjacielem Simona. Pewnego wieczora poszliśmy razem... na kolację. Gabby знаła przyjaciółkę całe swoje życie, doskonale wiedziała, kiedy ona kłamie.

- Char, kim jest ten twój Simon? - zapytała, siadając w kremowym fotelu.

Charmaine bawiła się naszyjnikiem - wyszukanym łańcuszkiem wysadzonym brylantami, który nie był w jej stylu.

- On... pracuje w City - odparła wymijająco. - Jest bankierem.

- Mieszka tutaj? Z tobą?

- Nie, niezupełnie.

- Chyba nie jest żonaty, co? - delikatnie pytała Gabby. Przyjaciółka nie odpowiedziała. Dotknęła jej ramienia. - Och Charmaine. Co ci mówi? Że odejdzie od żony? - Było jej bardzo żal koleżanki. Próbowała sprawiać wrażenie dojrzałej i bywałej, ale w rzeczywistości wyglądała na zropaczoną.

- Wiem, że odejdzie, kiedy tylko...

- Kiedy co?

- Gabby, to wymaga czasu. To musi trochę potrwać, zanim się wszystko ułoży.

- Char...

Charmaine odwróciła wzrok i Gabby zamilkła. Nigdy nie widziała u koleżanki tak pustego spojrzenia. Martwiła się o nią. Aktualny „związek” różnił się od wszystkich poprzednich. Ten facet, kimkolwiek był... coś tu śmierdziało. I nie chodziło tylko o to, że miał żonę i rozkochanej w nim dziewczynie składał obietnice bez pokrycia. Było w tym coś znacznie bardziej... złowrogiego. Tak, Charmaine dryfowała w

niebezpiecznym kierunku. Spozstrzegła zaniepokojenie - oraz irytację - w oczach przyjaciółki i skuliła się w sobie. Nie chciała wyglądać na głupią czy zrozpaczoną szczególnie w oczach Gabby. Zawsze czuła się przy niej jak idiotka. Ona kontrolowała swoje życie, zawsze wszystko miała porządnie poukładane. Charmaine zupełnie nie pamiętała kłopotów koleżanki z Dominikiem czy heroicznej walki z nadwagą. Gabby zawsze udzielała praktycznych, rozsądnych, życzliwych rad. W oczach Charmaine to znaczyło, że potrafiła ułożyć sobie życie. Praca, pieniądze, mężczyzna - wszystko w życiu przyjaciółki było doskonałe. Natomiast jej życie... waliło się w gruzy. Robiło jej się niedobrze, kiedy tylko przypomniwała sobie, co robi. Jak może komukolwiek się zwierzyć? Nikt by tego nie potraktował serio. Jej samej trudno w to wszystko uwierzyć. Przypomniwała sobie straszne wydarzenia z ubiegłego tygodnia i zadrżała.

Był środowy wieczór, Simon przyjechał do Londynu na tydzień. Poprosił, żeby ubrała się szczególnie ładnie, wieczorem mieli iść na kolację z Mike'em Dorlandem, ministrem ochrony środowiska naturalnego, który - jak niosła plotka - miał zostać nowym szefem resortu transportu. Simon chciał uzyskać pewne informacje dotyczące rządowych szacunków kosztów i terminów przedłużenia metra linii Jubilee do Północnego Greenwich. Razem z Lisette założyli spółkę - córkę pod nazwą Zeus Investments Ltd z siedzibą w Jersey i na Kajmanach, którą trudno było z nimi powiązać. Teraz musieli się dowiedzieć, ile lukru trzeba będzie zaproponować instytucjom rządowym. Jeżeli Charmaine nie udałoby się wyciągnąć od niego tej informacji podczas rozmowy, wiedziała, co powinna zrobić dalej. Na półce naprzeciwko łóżka ukryta została kamera wideo. Wystarczyło, że wchodząc do sypialni, naciśnie przycisk. Był podłączony do nocnej lampki. Nawet jeśli niczego niepodejrzewający dżentelmen poprosiłby o zgaszenie światła, kamera pracowałaby dalej. Na taśmach było już dość materiału, żeby skompromitować pół tuzina ministrów i wpływowych przedstawicieli biznesu.

Charmaine ubierała się starannie, włożyła długą, przylegającą do ciała suknię. Obficie skropiła się perfumami, kilka razy pociągnęła skręta i poszła wezwać taksówkę. Czuła się trochę zmęczona.

Kiedy dotarła na miejsce, restauracja była pełna gości. Pracownikowi przy wejściu podała jedwabny szal i torebkę, po czym pozwoliła się poprowadzić do prywatnej łoży na tyłach sali, gdzie już nad prawie pustą butelką wina siedzieli Simon i Dorland.

Zauważyła, że Simon spojrzał na nią z uznaniem, kiedy w obłokach drogich perfum podeszła do stolika. Mike Dorland również wyglądał na zachwyconego. Był niskim, otyłym mężczyzną z krótkimi, serdelkowatymi palcami i nieustannie mówił, głównie o sobie. Dochodziła północ, kiedy w końcu podniósł się i poszedł do toalety.

O Jezu! - szepnęła Charmaine, przewracając oczami. - Jest okropny! Tylko nie mów,

że mam...

- Tak, moja słodka dziewczynko, masz - polecił Simon, przesuując dłoń w górę po jej udzie. - Jest już pijany, pewnie i tak nie będzie mógł wiele zdziałać.

Niecierpliwie skinęła głową. Chciała iść do domu, wciągnąć go do łóżka, załatwić sprawę i mieć to z głowy. Poczwała, że Simon wsuwa palec głębiej, i zacisnęła nogi. Cofnął rękę dokładnie w chwili, kiedy Mike wrócił z toalety. Ogromny brzuch trząsał się nad paskiem od spodni.

Wysiedli z taksówki przed apartamentem. Charmaine poszła przodem, prowokacyjnie kołysząc biodrami. Niedobrze jej się robiło na samą myśl, że będzie musiała dotykać pocącego się Dorlanda, uprawiać z nim seks czy robić cokolwiek. Powinna się wspomóc porcyjką albo nawet dwiema kokainy, zanim do czegokolwiek dojdzie. Poszli na górę, Dorland bardzo niepewnym krokiem. Wypił stanowczo zbyt dużo, mamrotał coś pod nosem, wzrok wbił w pupę dziewczyny.

Charmaine przyciemniła światła w salonie, przygotowała obu panom drinka i przeprosiła ich na chwilę.

W łazience otworzyła apteczkę, wyjęła małą plastikową torebkę, w której trzymała tygodniowy zapas, i wprawnie oddzieliła porcję, formując z proszku kreskę. Wytarła nos i poprawiła szminkę. Zdjęła sukienkę, przypudrowała nagie ciało i wyszła z łazienki. Włączyła kamerę, otworzyła szufladę z bielizną, wybrała czerwony szlafroczek z koronki i narzuciła go na siebie. Jeszcze raz przejrzała się w lustrze: była piękna; któż mógłby jej się oprzeć? Poszła do salonu.

Dorland nie mógł utrzymać pulchnych rąk przy sobie. Macał Charmaine po pupie, kiedy prowadziła go do sypialni. Położyła się na łóżku na wznak, ręce wyciągnęła nad głowę i starała się nie patrzeć na blade, sinawe ciało. Okropieństwo! Bardzo chciała, żeby się pospieszył. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco, poruszała rytmicznie, wprawnie. Wiedziała, jak to robić.

Dorland zwałił się na nią. Naturalnie poprosił o zgaszenie światła, tylko zapachowa świeca na parapecie okna rzucała słaby blask. Wiedziała jednak, że to wystarczy czułem obiektowi kamery; sprawdzali to wielokrotnie. Usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Idiota - pomyślała. Simon miał wejść dopiero, kiedy skończą. Dorland nic nie zauważył, był zbyt zajęty stękaniem i sapaniem.

Poczwała, że Simon siada na łóżku, i usłyszała, że coś do niej mówi. Potem poczuła dłoń sunącą w górę po udzie, druga ręka objęła jej pierś. Dorland zachichotał i wysunął się z niej, a Simon gotował się zająć jego miejsce. Najwyraźniej wcześniej ustalili to między sobą. Chciało jej się płakać. Leżała jak martwa, a obaj mężczyźni na zmianę zaspokajali swoje żądze. To było straszne. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak podle.

- Muszę już iść - oświadczyła Gabby. - Za dziesięć minut mam się spotkać z Nathalie.

Charmaine ocknęła się z zamyślenia.

- Tak szybko? - zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Wiem, ale jestem tutaj tylko na chwilę, przejazdem. W drodze powrotnej z Genewy też się zatrzymam w Londynie. Czy u ciebie naprawdę wszystko w porządku?

- Jasne. Trochę się nudzę. Nie mam nic do roboty. Gabby podniosła torebkę i uściskała przyjaciółkę.

- Przyjedź i odwiedź nas w Nowym Jorku - zaproponowała. - Nael skończy za mniej więcej miesiąc. Szukamy większego mieszkania.

Charmaine nie mogła się nadziwić, jak doskonale wszystko się układało w życiu przyjaciółki. Czasami wprost nie mogła w to uwierzyć. Kiedy przypominała sobie szkolne czasy... Zdziwiająco, jak zaskakująco potoczyły się ich losy.

Gabby popędziła do budki telefonicznej na końcu ulicy i wykręciła numer Nathalie. Koleżanka natychmiast podniosła słuchawkę.

- Co robisz? Mogę wpaść? - zapytała.

- Och, tak! Zapraszam! Koniecznie! Tęsknię za rozmową z kimś dorosłym! - Gdzieś w tle Gabby słyszała wołanie Miszy. - Wskakuj w taksówkę, zapłacimy po połowie. Metrem będziesz jechała całe wieki.

Gabby odwiesiła słuchawkę. Teraz zapewne zarabiała więcej niż Nathalie, ale stare nawyki nadal pokutowały. Jeszcze nie tak dawno to ona była wiecznie z trudem wiążącą koniec z końcem studentką - koleżankom wiodło się lepiej. Znowu pomyślała o Charmaine i zmarszczyła czoło. Może Nathalie znajdzie dla niej jakieś zajęcie. Potrzebuje czegoś, co uniezależniłoby ją od mężczyzny.

- Gabs! - Nathalie otworzyła drzwi na oścież. Cała była obsypana mąką. Misza.

Troszkę speszona, wzruszyła ramionami. Gabby uśmiechnęła się szeroko.

Przyjaciółka wyglądała na... bardzo szczęśliwą. Sterylnie czysta zazwyczaj kuchnia była po kostki w mące i cukrze, wszędzie widniały odciski malutkich rączek Miszy. Chłopczyk siedział na środku kuchni i gruchał z zadowoleniem.

- Rany boskie, co wy robicie?

- Pieczemy - sucho odparła Nathalie. - A raczej próbujemy. On chyba woli surowe.

Gabby pochyliła się i podniosła wierzące się dziecko. Misza przez moment wyglądał na zaskoczonego, potem rozdzierająco wrzasnął. Nathalie wzięła synka od koleżanki. Kiedy tylko znalazł się w ramionach matki, przestał płakać. W ogromnych czarnych oczach drżały łzy.

- Pajac - roześmiała się Gabby i delikatnie uszczypnęła go w nos.

- Co u Charmaine? - zapytała Nathalie.

- W porządku - odpowiedziała Gabby. Zastanawiała się, czy poruszyć temat Simona. Nathalie wyglądała tak, jakby i bez kłopotów Charmaine nie wiedziała, w co ręce włożyć.

- Poznałaś jej chłopaka? - zapytała przyjaciółka, jakby czytając w jej myślach.

- Nie. A ty?

- Nie. Wiedziałaś, że kupił jej mieszkanie?

- Tak. - Nathalie jedną ręką wyjęła z piecyka blachę słodkich bułeczek, drugą

trzymała Miszę. - Czym się zajmuje?

- Nie mam pojęcia. Charmaine stale opowiadała o Królewskim Nabrzeżu, on jest chyba jednym z przedsiębiorców budowlanych. Wiesz, że to projekt, który prowadzi Lisette?

- Tak, gdzieś o tym czytałam. Pracowała nad nim, kiedy byliśmy w Sans Soucis. Pamiętasz, kim był facet, który jej w tym pomagał? Też tam wtedy był.

- W Sans Soucis?

- Tak. Pamiętasz, jak się nazywał?

- Simon Kalen. To nazwa firmy Lisette... Kalen de Zoete Koestler. KdZK. Dlaczego pytasz? - zdziwiła się Nathalie.

- Czy nie tak właśnie nazywa się sympatia Charmaine?

- Simon? Tak... no, nie, to niemożliwe. Przecież to śmieszne. Simon Kalen jest stary. To prawda, ale ilu młodych facetów stać na kupno takiego mieszkania? Boże drogi, mam nadzieję, że się mylę.

- Nie, powiedziałyby nam. To niemożliwe, Charmaine jest w wieku jego córki! - Nathalie posadziła Miszę na podłodze. Zaczął raczkować w kierunku Gabby. Widocznie uznał, że może jej zaufać. Chwytał się nóg dziewczyny i patrzył w górę. Gabby uśmiechnęła się do malca. Był wierną kopią ojca. Widziała go tylko raz, w barze w Chelsea, ale takiego mężczyzny nigdy się nie zapomina. Spojrzała na przyjaciółkę. - Odzywał się do ciebie? - zapytała przyciszonym głosem.

- Nie. - Nathalie potrząsnęła głową. - I się nie odezwie. Nic nie wie o Miszy.

- Czy to w porządku? - łagodnie zapytała Gabby.

- Czy w porządku? - Młoda mama wzruszyła ramionami. - Czy nie w porządku? Wszystko mi jedno. Nic mi nie dał, Gabs, nic oprócz bólu głowy. Jest mi obojętne, czy to wobec niego w porządku.

Gabby wzięła Miszę na ręce.

- Mojej matce jest jednak bardzo ciężko - niespodziewanie dodała Nathalie.

Przyjaciółka spojrzała na nią z zaciekawieniem. - Pamiętasz, że straciła jego dziecko? Gabby wolno skinęła głową. Boże, co się z nimi wszystkimi stało?

Pomyślała o Charmaine i tym jej Simonie. Rianne i Riicie, porwaniu i dramatycznym końcu ich związku. O Nathalie i walce koleżanki z Saszą życiu ze świadomością, że sypiał z jej matką. Wszystko było tak bardzo skomplikowane. Kiedy się nad tym zastanowić, ona z Naelem stanowili najnormalniejszą parę w świecie. Spojrzała na zegarek. Mieli się spotkać za godzinę. Serce stopniało jej z miłości. Niedługo Nael przeprowadzał się do Nowego Jorku. Spędzą razem dwa tygodnie i poszukają większego mieszkania, w którym rozpoczną wspólne życie. Nael chciał się budzić obok niej w ich wspólnym domu. Już się nie mogła doczekać.



Nie było cudownie, a z całą pewnością nie zabawnie. To cholernie ciężka praca. Początkowo się wahała.

Zdjęcia do katalogów? Ja mam to robić? Z niedowierzaniem patrzyła na szefa agencji. Miała ochotę powiedzieć: Przecież jestem Rianne de Zoete. Robię rozkładówki i mam pokazy na wybiegach, a tu jakieś pieprzone katalogi... Już prawie miesiąc chodziła po całym Manhattanie i odbyła ze sto spotkań. Nie rozumiała, co się stało. Czyżby Ross Carter rozpuściła wieści, że na Rianne de Zoete nie można polegać? Nie znajdowała innego wyjaśnienia zimnego przyjęcia przez niemal każdego, kto liczył się w tej branży. Nie pominęła nikogo, była u Forda, Storma, w Models 1. Okazywało się, że jest za wysoka, zbyt szczupła, za gruba, za stara, zbyt znana, jej czas minął. Jeśli chciała ciągnąć karierę modelki, musiała zacząć wszystko od początku. A gdzie dokładnie był ten początek?

- Katalogi, skarbie. - Menedżer rozparł się w obrotowym fotelu. - Niezłe zarobki, stała praca. Nie powinnaś kręcić tym ślicznym noskiem. Kiedy możesz zacząć? Rianne popatrzyła na niego i się wzdrygnęła. Zostało jej tylko osiem tysięcy dolarów.

- Od razu?

- Mądra dziewczyna. - Bertie Muñoz wiedział, że wygrał los na loterii. Jest ładna... Może wyglądała na trochę zmęczoną, twarz miała wymizerowaną, ale poza tym wszystkie inne walory. Jak na jego gust była odrobinę zbyt szczupła... Niespecjalnie lubił chude dziewczyny z wystającymi kośćmi, ale, no cóż... musiał wkrótce rozpocząć zdjęcia do katalogu Marshalla Fielda, a ona świetnie się do tej pracy nadawała. Wysoka blondynka. Takiej właśnie potrzebowano. Nie przeszkadzało mu, że dobiegała trzydziestki. - Sesje zdjęciowe są w Newarku - powiedział jeszcze, ciężko podnosząc się zza biurka. Podał jej kartkę.

Rianne wzięła kawałek papieru. Newark w stanie New Jersey. W niczym nie przypominało to sesji zdjęciowych na Karaibach. Złożyła karteczkę i schowała do torebki. Udała, że nie dostrzega jego zachwyconego spojrzenia, kiedy się podniosła. Wyszła z gabinetu.

Starczy na pokrycie rachunków. Tylko tyle mogła powiedzieć. Praca okazała się nudna i mało wymagająca. Gdzie te zastępy fryzjerów, wizażystek, osobistych garderobianych czy przedstawicieli prasy? To było pozowanie przemysłowe. Jedna stylistka na trzy, cztery modelki, podła kawa z automatu i Bernie Muñoz z nieodłącznym telefonem komórkowym, organizujący następne zlecenie. Pracowała dla Marshalla Fielda, Hudsona i magazynu „Macy's”. Muñoz nie był wybredny, Rianne też nie grymasiła. Postanowiła zapanować nad własnym życiem i konsekwentnie zmierzała do celu. Inne dziewczyny, wiedząc, kim jest - albo kim była - trzymały się od niej na dystans. Nie potrafiły zrozumieć, co wśród nich robi ktoś tak sławny, wczorajsza supermodelka. Rianne nie próbowała się z nimi zaprzyjaźnić. Kiedy tygodnie stopniowo zmieniały się w miesiące od jej powrotu do Nowego Jorku, uświadomiła sobie, jak bardzo łatwo jest zniknąć, oderwać od dawnej

siebie. Żyła znacznie skromniej niż kiedyś - żadnych przyjęć, odwiedzin, telefonów, wizyt w salonach piękności. Poza Gabby nikt nie znał jej z dawnych czasów. Znalazła i wynajęła małe mieszkanie na East Side. Miało wielkość jej prywatnej łazienki w domu w Bryanston. Jeszcze nigdy nie gnieździła się na tak małej powierzchni. Była sama i to jej odpowiadało. Drżała na myśl o Lisette i Henniem, Olivierze albo Brusie i życiu, jakie wiodła przy Mulberry Place, Wilton Crescent czy w jakimkolwiek innym domu użyczanym przez Lisette.

Tylko kiedy pomyślała o Riicie, czuła ból: pałący, przeraźliwy, rozdzierający, jakby serce miało jej pęknąć. Zmierz się z nim - radziła Gabby. Nie zamykaj się przed cierpieniem, jak to zwykłaś robić w przeszłości, kiedy spotykało cię coś niemiłego. Zmierz się z tym bólem, a wyjdiesz silniejsza. Próbowwała pójść za radą przyjaciółki. Wczesnym rankiem leżała we łzach w łóżku i starała się go sobie wyobrazić... co robił, gdzie był. Czy można aż tak bardzo cierpieć? Bezskutecznie szukała odpowiedzi.

\*

- A gdzie ty byś chciała? - zapytał Nael, sięgając przez stół po dżem. Gabby wstała, podeszła do niego i pocałowała. Był początek września.

Tydzień temu przyleciał do Nowego Jorku, uwielbiała mieć go przy sobie w domu. Nie wiem. Myślę, że powinniśmy znaleźć mieszkanie gdzieś, skąd szybko i łatwo można się dostać na lotnisko. Ta okolica jest pod tym względem okropna. Nalała sobie drugą porcję kawy.

Wszystko dlatego, że podróżujesz pierwszą klasą - sucho skwitował Nael. Nie mówił poważnie, tak zazwyczaj sobie żartowali. BBC wolało raczej pokrywać koszty lotów klasą turystyczną które rozpoczynały się i kończyły na lotnisku Newark w stanie New Jersey, a nie w porcie lotniczym imienia Johna Fitzgeralda Kennedy'ego w Nowym Jorku. Gabby, w pewnym sensie będąc pracownikiem ONZ...

- Holender! Kiedy oglądali serwis informacyjny, żartował z głową na jej kolanach: - Ty to masz różne przywileje: przeloty lotnicze pierwszą klasą, limuzyna odwożąca na lotnisko i przywożąca do domu po podróży, artykuły spożywcze dostarczane bezpośrednio do domu, darmowa pralnia i na żądanie angielsko-palestyński kochanek. Nic dziwnego, że ONZ nigdy nie udało się rozwiązać żadnej sytuacji kryzysowej, organizacja była zbyt zajęta troszczeniem się o swoich pracowników. Natomiast korespondenci wojenni - ciągnął, machinalnie gładząc kciukiem wewnętrzną stronę ramienia dziewczyny - ci to dopiero mieli ciężko.

- Naprawdę? - Gabby spojrzała w dół. Piwne oczy Naela przysłaniały rzęsy. Był brązowy jak czekoladka, przed przyjazdem do Nowego Jorku spędził tydzień w pięknym słońcu Dubaju. Razem z grupą „kretynów do czarnej roboty” - jak nazywał młodych reporterów, fotografów i kamerzystów, którzy jeździli po całym świecie,

przygotowując materiały o wojnach, klęskach głodu, strajkach i przewrotach politycznych - pod wpływem chwili postanowili odpocząć w jednym z luksusowych hoteli w Dubaju, wypić kilka piw i popatrzeć na kobiety.

- I to robiłeś? - zapytała, lekko gryząc go w ucho.

- Co?

- Oglądałeś się za kobietami?

- Oczywiście, że nie. Za kogo mnie masz? - Czuła, że uśmiecha się gdzieś w okolicy jej żołądka.

- Kłamczuch. No dobra. Za jedną, może dwoma.

- I co?

- I co, co? - zapytał stłumionym głosem.

- Jak wypadło porównanie?

- Z tobą?

- Uhm.

- Była taka jedna... - Odwrócił głowę i z ukosa zerknął na jej twarz. Gabby się skrzywiła. - Hej... Przecież żartuję... Gabs, tylko żartowałem. - Otworzył oczy. Uśmiechnęła się blado. Dotknął jej policzka i uniósł się, opierając na łokciu, tak że ich twarze znalazły się niemal na tym samym poziomie. - Kocham cię - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Zarumieniła się i odwróciła w bok. Pieścił twarz dziewczyny swoją, gorącymi wargami szukał jej ust. - Mówię poważnie. Kocham cię. - Opuścił głowę i ponownie skrył twarz w jej brzuchu. - No to jak? - zapytał. Gabby gwałtownie zamruwała powiekami. Rozmarzyła się trochę, śniła na jawie.

- Może na Brooklynie? Tam jest taniej - zaproponowała.

- Mnie odpowiada. Poszukasz czegoś, kiedy wyjadę?

- Jasne. Kiedy wyjeżdżasz?

- Przecież wiesz. W piątek. - Uśmiechnął się szeroko.

Gabby skinęła głową. W piątek. Dopiero za cztery dni. Czuła się bardzo szczęśliwa, nie mogło zdarzyć się nic, co sprawiłoby jej większą radość.

Nie miała racji. W czwartek wieczorem poszli spacerem ulicą Fort Washington Parkway do Patchouli, ulubionej restauracji Gabby w tej okolicy. Nael wyjeżdżał następnego dnia wczesnym rankiem, nie miała ochoty się z nim żegnać. Zamówił butelkę wina, wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń.

- Uśmiechnij się. Wrócę za miesiąc. Szybko przeleci.

- Wiem. Poza tym będę bardzo zajęta. W przyszłym tygodniu mam być w Genewie. Mimo to wydaje mi się, że to bardzo długa rozłąka.

- Pomyślałem - powiedział, sięgając do kieszeni - że zostawię ci pamiątkę, żebyś o mnie nie zapomniała. - Trzymał coś w zaciśniętej pięści.

- Nawet tak nie mów - zrobiła ponurą minę. - To brzmi okropnie. Jakbyś miał już nie wrócić albo coś w tym rodzaju. - Roześmiała się sztucznie, próbując wszystko obrócić w żart.

- To nieodpowiednia chwila na takie rozważania, chociaż sytuacja rzeczywiście jest

napięta. Ale nie o tym chcę mówić. Proszę. - Wyciągnął rękę i otworzył dłoń. Gabby zamarła. Na otwartej dłoni leżało małe czarne pudreczko. . Z trudem przełknęła ślinę.

- No, proszę, weź. Otwórz.

Drżącymi palcami sięgnęła po pudełeczko. Jej oczy nagle napełniły się łzami. Otworzyła. W środku był pojedynczy brylant oprawiony w białe złoto. Wpatrywała się w pierścionek, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Takim dziewczynom jak ona to się nie zdarzało. Wyjęła pierścionek i włożyła na palec. Pasował jak ulał. Musiałem doprowadzić ci jeden z pierścionków - wyznał. - Ale nie byłem pewien, na którym palcu go nosisz. Wiesz, ten z niebieskim oczkiem. Cały ubiegły tydzień przyglądałem się twoim dłoniom, ale ani razu go nie włożyłaś. Podoba ci się?

- Jest cudny - powiedziała Gabby ze ściśniętym gardłem.

- Gabby, czy...? - Głos mu zamarł.

- Tak. Tak, zgadzam się.

Obudziła się w nocy, tuż przed świtem. Chwilę leżała bez ruchu i wsłuchiwała się w oddech Naela. Zapaliła nocną lampkę i przyglądała mu się uważnie. Nie poruszył się. Wyciągnęła rękę spod narzuty i w mdłym świetle popatrzyła na pierścionek; brylant skrzył się i połyskiwał.

Nael jak zwykle spał na brzuchu, jedną rękę przerzucił przez jej nogi. Oddychał równo, głęboko. Noc była ciepła, wyłączyła klimatyzację, kiedy się tylko położyli. Bardzo nie lubiła spać z włączonym klimatyzatorem. Rano budziła się zmarznięta, potem wychodziła na rozżarzoną upałem ulicę i zlewała się potem. Nic dziwnego, że połowę biura dopadło przeziębienie. Był nagi, pośladki i nogi miał przykryte lekką bawełnianą narzutą. Wzrokiem omiotła kontury jego ciała, zatrzymała się dłużej na opalonych, muskularnych plecach, usianych jaśniejszymi, drobnymi plamkami i ciemnymi pieprzykami na ramionach, spojrzała na jasnobrązowe włosy pod pachami, ostry zarys bicepsów i ciemniejsze włoski na rękach. Włosy miał rozpuszczone, falujące loki wiły się wokół szyi. Rozjaśnione słońcem końcówki były niemal złote. Policzek wtulił w poduszkę, pod oliwkową skórą widziała ciemny cień zarostu. Śledziła wzrokiem linię warg, płaską powierzchnię ppliczków, gęste, czarne rzęsy. Przy zewnętrznym kącie lewego oka miał malutki pieprzyk, przyglądała mu się, jakby widziała go po raz pierwszy.

Przeniosła wzrok na połyskujący na palcu brylant. Nael i pierścionek... dwa niezależne byty, każdy na swój sposób piękny, zmysłowy i godny pożądania. A jednak coś je z sobą łączyło: ona. W pewnym sensie posiadała je oba. Bawiła się tym wyrażeniem. Posiadać. Być w czyimś posiadaniu. Przypomniała sobie fragment wiersza Borgesa: „Bezsensowny świt zastał mnie na opustoszałym rogu ulicy: Przeżyłem noc". Zmarszczyła czoło. Jak to było dalej? „Jak mam cię zatrzymać?" No właśnie. Teraz miał ją przy sobie.

Ręką z pierścionkiem pogłaskała go po plecach, drugą wyłączyła nocną lampkę.

Mruknął coś przez sen, odwrócił się, objął ją ramionami i przytulił do siebie. Nawet podczas snu nie musiała prosić o bliskość, nie musiała pukać do jego serca, nie musiała wślizgiwać się do jego duszy.

Czasami miała ochotę się uszczypać, aby się upewnić, że nie śni, że kilka ostatnich miesięcy naprawdę miało miejsce. Niedawno przeprowadziła się do ich nowego mieszkania przy Park Slope na Brooklynie, z jednej strony przecnicę od Prospect Parku, z drugiej od Trzeciej Alei z uroczymi kawiarenkami i sklepami. Apartament mieścił się w budynku z piaskowca, jakich wiele w tej dzielnicy. Od frontu miał śliczne wykuszowe okna. Od strony podwórka na schodach awaryjnych powiesiła poruszane wiatrem dzwoneczki. Nael był w Kuwejcie i robił materiał na temat następstw wojny w Zatoce. Do Nowego Jorku powinien wrócić za miesiąc. Powiedział, że będzie miała dość czasu, by zaaklimatyzować się w nowej pracy. Popatrzyła na ekran monitora komputera. Napisała: „Przemoc wobec kobiet niszczy życie. Dzieli społeczeństwa i rozbija rodziny. Przemoc w domu, gwałty, niszczycielskie obrzędy kulturowe oraz inne formy ucisku kobiet w każdym narodzie uniemożliwiają równouprawnienie obu płci”. Postukała ołówkiem o zęby. Całkiem nieźle.

Uwielbiała nową pracę. Została doradcą do spraw praw człowieka w UNIFEM, oenzetowskiej fundacji, która od 1979 roku wspierała finansowo programy promujące prawa kobiet na całym świecie oraz zapewniała im pomoc organizacyjną i techniczną. Miała niewielki gabinet na piętnastym piętrze budynku przy ulicy Czterdziestej Piątej i zespół oddanych, zaangażowanych pracowników, w większości kobiet, które żyły tym, co robiły. Nadzorowała i pilotowała działania szesnastu regionalnych dyrektorów programowych w różnych krajach całego świata, którzy dwa razy w roku spotykali się w Nowym Jorku. Celem fundacji była zmiana społecznej percepcji przemocy wobec kobiet i dziewcząt. Chciano odejść od pojmowania tego problemu jako sprawy kobiet i uznać go za jeden z istotnych elementów praw człowieka.

Kiedy obejmowała to stanowisko, powiedziano jej, że musi przygotować się na liczne podróże do Europy, Afryki, Azji oraz Ameryki Łacińskiej i Południowej. Była młoda, bardzo sprawna, odpowiednio przygotowana i - jak zapewniła zarząd - nie miała zobowiązań rodzinnych. Jeszcze nie. Co za ironia! Żaden z mężczyzn z zarządu nie zauważył nietaktu. Dotychczas dwa razy wyjeżdżała do Genewy i raz do Nairobi. W Nowym Jorku dni upływały jej na służbowych spotkaniach. Po powrocie do domu musiała pisać sprawozdania. Jeszcze nigdy w życiu nie pisała aż tylu raportów. Zbyt krótko pracowała w ONZ i nie wiedziała, że taka jest tu powszechna praktyka: robili pewne postępy, ale jednocześnie pisali całe tony sprawozdań.

Nathalie siedziała w poczekalni z listem Josepha Sterna w ręku. Był głównym księgowym jej firmy i prosił o spotkanie. Miszę znowu zostawiła pod opieką Charmaine. Miała nadzieję, że nic mu nie będzie. Nathalie - Joseph Stern otworzył drzwi poczekalni i skinął na nią. Minę miał poważną, ale zawsze wyglądał poważnie. Wprowadził ją do swojego gabinetu, zaproponował kawę. Podziękowała. Wody również nie chciała. - Dobrze. To zaczynajmy. Możemy od razu przejść do interesów.

Wyjął kilka segregatorów, pootwierał je, a przed nią rozłożył arkusz z danymi finansowymi. Popatrzyła na liczby i z trudem przełknęła ślinę.

- Godzinę później z zawrotami głowy wyszła z biura prosto na pogrążoną w chaosie King's Road. Nie zwracała uwagi na spieszących rano do sklepów klientów, dłonie mocno wcisnęła w kieszenie płaszcza. G/D miała kłopoty. Wszystkie cztery sklepy. Koszty były zbyt wysokie, sprzedaż gwałtownie spadała, na rynku panowała recesja, którą najbardziej odczuwały sklepy z artykułami luksusowymi. Księgowy pokazał jej różne sprawozdania: „Analizę sprzedaży”, „Perspektywy rozwoju”, „Spadek sprzedaży detalicznej”. Zadrżała. Tytuły brzmiały jak nazwy śmiertelnych chorób. Najbardziej przerażające było to, że wcześniej sama nie dostrzegła niebezpieczeństwa. Nawet kiedy Joseph Stern mówił, gapiła się na jego usta, patrzyła, jak je otwiera i zamyka, otwiera i zamyka... pokasłuje, podnosi rękę... ale nie słuchała. Dopiero kiedy powiedział, że może stracić dom, usiadła prosto, poważnie zaniepokojona. Krótco wyjaśnił sprawę. Clive, ojczym, wpisał dom jako dodatkowe zabezpieczenie sytuacji finansowej firmy. Nie było to nic nadzwyczajnego, wręcz standardowa procedura, szczególnie kiedy interes dobrze się rozwijał. Teraz jednak sprawy miały się zupełnie inaczej. Jeśli pozwolisz - odchrząknął dyskretnie i wyjął Nathalie z ręki jeden z dokumentów - tutaj znajdziesz skromny plan... taki zarys albo - jeśli wolisz - kilka sugestii. Musimy rozważyć... program oszczędnościowy - ciągnął łagodnym tonem. - Przynajmniej do chwili, aż sytuacja na rynku ulegnie zmianie. Muszę ci jednak powiedzieć, że dobrze to nie wygląda.

Nathalie zamrużyła powiekami. Program oszczędnościowy?

Podsunał przez biurko jakiś inny dokument i otworzył jej przed oczami: „Wydatki osobiste”. Spojrzała. Jezu, czyżby naprawdę aż tyle wydała w tym miesiącu?

Podniosła wzrok na Josepha. Skinął głową. Zacisnęła usta. Podziękowała mu, najspokojniej jak potrafiła, i szybkim krokiem wyszła z biura.

- Mogę wpaść do ciebie wieczorem? - łamiącym się głosem zapytała Philippe'a. Zadzwoiła do niego z budki na King's Road.

- Oczywiście. Co się stało?

- Powiem ci, jak przyjdę - odparła, połykając łzy.

- Ale z Miszą wszystko w porządku? - dopytywał się z niepokojem w głosie.

- Tak, w porządku. Nie o to chodzi. To do zobaczenia. Około ósmej?

- Jasne, dobrze. Jak chcesz, przyjdź wcześniej i zabierz Miszę. Może spać w pokoju

Annelise. Będzie uszczęśliwiona.

Jenny ociężale krzątała się po kuchni, przynosiła naczynia na stół, zatrzymywała się, żeby zamienić kilka zdań czy pocałować Philippe'a w czoło. Była w ósmym miesiącu ciąży z trzecim dzieckiem i promieniała radością. Cięża jej służyła.

Nathalie niemal codziennie wymiotowała, kiedy chodziła z Miszą. Patrzyła na brata i bratową tak harmonijnie dobranych oraz szczęśliwych, i poczuła, że w gardle rośnie jej gula.

- Mów, o co chodzi - powiedział Philippe, napełniając dwa kieliszki winem. Jenny ze smutkiem spojrzała na stojącą przed nią szklankę gazowanej wody.

- O firmę. - Nathalie z przerażeniem poczuła, że ma oczy pełne łez.

- Och! - Brat podskoczył i objął ją ramieniem. - Jest aż tak źle?

- Tak - skinęła głową. - Dzisiaj rano widziałam się ze Sternem. Powiedział, że muszę... oszczędzać! - Czuła się bardzo słaba i głupia.

- Daj spokój. - Philippe przytulił ją mocniej. - Dzisiaj wszyscy oszczędzają nawet bogaci. Mamy recesję, Nat, nie wiedziałaś?

- Nie, właściwie nie - łkała. - Nie mam czasu, żeby chodzić do sklepów, nie mam czasu na czytanie gazet, nie mam... - Przerwała i rozplakała się głośniej.

- Philippe spojrzał na Jenny. Nathalie była na skraju hysterii. Brat mocniej ścisnął jej ramię. Nat, wszystko będzie dobrze. Daj spokój, nie martw się. Później pokażesz mi sprawozdania i coś wykombinujemy. Opracujemy jakiś plan ratunkowy. Daj spokój. Nathalie mocno się w niego wtuliła. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona, jak bardzo czuje się w środku wypalona. Od miesięcy nie płakała. Nie miała czasu. Philippe pozwolił się jej wypłakać, łagodnie tulił i dawał znaki żonie. Drinka. Nalej jej drinka. Mocnego. Łkanie powoli cichło, ramiona przestawały się spazmatycznie trząść. Naprawdę była wyczerpana. Czknęła.

- Dzięk... dziękuję - powiedziała drżącym głosem, kiedy Philippe podał jej szklaneczkę whisky. Podsunął pudełko jednorazowych chusteczek do nosa. - Dobrze mi robi.

- Nat, powinnaś wcześniej do mnie przyjść - strofował łagodnie siostrę.

Wydmuchwała nos.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że sytuacja jest aż tak poważna. Nie miałam czasu o tym myśleć.

- Jest ciężko - ze współczuciem przyznała Jenny. - Ja nie pracuję i ciągle pięć dni w tygodniu mam pomoc do dzieci.

- Ale ty masz dwójkę - zaprotestowała Nathalie. - Ja mam tylko Miszę. Nie rozumiem, dlaczego sobie nie radzę.

- Ja mam Philippe'a - szepnęła Jenny. - Nie chodzi o to, czy ma się jedno, dwoje, czy nawet troje dzieci. - Wskazała wielki brzuch. - Chodzi o to, czy ma się kogoś, kto ci pomaga, na kim możesz się oprzeć.

- Nawet nie próbuj się na mnie opierać z tym ogromnym ciężarem - zażartował

Philippe, pragnąc rozładować napiętą atmosferę. Jenny zrobiła zabawną minę. Nathalie z zazdrością obserwowała oboje.

- Pewnie masz rację - powiedziała wolno. - Ale... w moim przypadku to niemożliwe.  
- Może nie Sasza - cicho i powoli odrzekła Jenny, nie patrząc na Philippe.

Wiedziała, że tego imienia lepiej w rodzinie nie wymawiać. - Ale czy nie myślałaś o związaniu się z kimś innym? Niekoniecznie dlatego, aby mieć wsparcie, ale żeby...

- Ja? W mojej sytuacji? - roześmiała się Nathalie. Potrzebna jest ci pomoc - zdecydowanie oświadczyła Jenny. - Musisz zatrudnić niańkę. Jutro zadzwonię do Deirdre i zapytam, czy nie zna kogoś odpowiedniego. Jest genialna.

- Nie wiem, czy powinnam - wahała się Nathalie.

- Musisz, nie masz wyboru. Powinnaś dać mu więcej swobody - łagodnie perswadował Philippe. - Jest twoim największym skarbem i tak będzie do końca życia, ale nie możesz dzień i noc zajmować się wyłącznie nim. Musi się nauczyć od czasu do czasu radzić sobie sam, bez ciebie. Dla jego własnego dobra. Wszystkie dzieci tego potrzebują.

Nathalie milczała. Spojrzała na brata. Wiedziała, że miał rację.

- Chodźcie, siadajmy do stołu - zarządziła Jenny. Spostrzegła, że Nathalie dała się przekonać. Teraz będzie jeszcze tylko musiała przyzwycząić się do tej myśli. Wielka szkoda, że Cordelia nie mogła się przemóc i pomóc córce. Wspaniale zajmowała się Annelise i Jacques'em; ale nie była w stanie zbliżyć się do Miszy. Zrozumiało, a mimo to wielka szkoda.

Nathalie podniosła szklaneczkę i wypijała whisky do dna. Poczula palący płyn w żołądku i uświadomiła sobie, że jest głodna. Cały dzień nic nie miała w ustach.

- Przenocuj u nas - zaproponował Philippe, wracając do kuchni. Poszedł zajrzeć do dzieci. - Misza śpi jak suseł. Annelise nie spuszcza go z oka. Pyta, dlaczego on ma kręcone włosy, a ona nie. Najwyraźniej to ostatni krzyk mody wśród czterolatek. Nathalie się uśmiechnęła. W tym wieku życie było takie proste.

Kilka dni później otworzyła drzwi sympatycznej pani w średnim wieku, wygodnym obuwiu i z dużą torbą.

- Dzień dobry - kobieta wyciągnęła rękę na powitanie. - Jestem June Hargreaves. Jenny Maréchal prosiła, żebym do pani zajrzała.

Nathalie z zapałem pokiwała głową. Od razu polubiła kobietę.

- Dzień dobry. Jestem Nathalie, szwagierka Jenny.

W tym momencie rozległ się głośny krzyk. Misza nie cierpiał, kiedy mama poświęcała uwagę komuś innemu. June Hargreaves weszła do środka. Nathalie z jednej strony chciała wziąć synka na ręce, z drugiej sprawić wrażenie osoby zdecydowanej, zdolnej odeprzeć głośny atak.

- Proszę pozwolić.

June przejęła inicjatywę. Odstawiła torbę, postawiła czajnik na gazie, wzięła na ręce wrzeszczącego Miszę i wyrzuciła na talerzyk kilka herbatników. Chłopczyk przestał płakać, czajnik zaczął gwizdać i zanim Nathalie zdążyła się zorientować, siedziała



we własnej kuchni z filiżanką herbaty na stole. Z drugiej strony na kolanach June siedział Misza i z zadowoloną miną spoglądał na oszołomioną matkę. A to był zaledwie początek.

Po dwóch tygodniach po powrocie do domu zobaczyła, że Misza zbiera zabawki do jednego z dużych wiklinowych koszy, które kupiła June. Twierdziła, że dzięki nim łatwiej będzie utrzymać porządek. Nathalie przetarła oczy. Misza? Sam zbiera zabawki? Przecież niedawno skończył dopiero rok! Myślała, że dzieci potrafią cokolwiek zrobić dopiero w wieku trzech lat. Może czterech?

- Ależ nie - uśmiechnęła się June. - Mogą próbować w każdym wieku. Trzeba je tylko nauczyć. - Misza gaworzył radośnie. - Wystarczy nakreślić granice - dodała, wkładając płaszcz. - Sama pani zobaczy.

Nathalie wzięła synka na ręce i ucałowała.

- Nie wiem, jak pani dziękować - powiedziała, odwracając się do June. - Bardzo mi pani pomaga.

- Moja droga, pani kieruje znakomitą firmą, jak mi mówiła pani Maréchal. Ja mam pani pomóc spokojnie to robić. - Widzę - rzuciła, wyciągając parasol - że ciągle pada. - Nathalie miała mokry płaszcz. Skinęła głową i uśmiechnęła się. June Hargreaves była drugą Mary Poppins. - Do zobaczenia jutro. Cześć, mały łobuziaku. Nathalie rozejrzała się po kuchni. June przygotowała w trzech małych pojemnikach kolację dla niej i dla Miszy. Stół już został nakryty. Teraz, kiedy w domu wszystko było zrobione i pod kontrolą, mogła skoncentrować się na innych sprawach - na ratowaniu podupadającej firmy.

Rodzeństwo analizowało finansowe zestawienia. Nathalie marszczyła czoło, Philippe w zamyśleniu ssał wargę. Od czasu do czasu podnosił wzrok i zerkał na siostrę. Swoją małą siostrzyczkę. Miała na nosie okulary do czytania, których nie znosiła, włosy niedbale związała w koński ogon. Czerwonym długopisem zaznaczała coś na arkuszach, dodawała, skreślała, odejmowała, sumowała. Nieustannie podawali i zabierali sobie kalkulator, przerywali tylko po to, żeby ponownie napełnić filiżanki kawą.

W końcu, po przejrzeniu i zsumowaniu liczb po raz ostatni, Nathalie odsunęła od siebie papiery i odłożyła długopis.

- Skończyłam - powiedziała cicho. - Jesteśmy na krawędzi bankructwa. Wyliczenia Philippe'a prowadziły do tego samego wniosku. Nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko siostra pracuje. Sam od pięciu lat zajmował się księgowością, natomiast z tego, co wiedział, Nathalie o finansach nie miała bladego pojęcia. Tymczasem przedzierała się przez sprawozdania z wprawą zawodowca.

- Nie ma innego wyjścia, Nat - mówił Philippe z namysłem. - Musisz zamknąć sklepy. Zminimalizuj straty i zlikwiduj kramik. Przede wszystkim musimy zająć się rozwiązaniem umów najmu. Miesięczne czynsze cię rujnują. Jutro rano zatelefonuj do Clive'a. Ktoś z jego biura pewnie będzie mógł nam pomóc. W przypadku dwóch

sklepów umowy niedługo wygasają, tak że naprawdę musisz się martwić tylko o lokal w Notting Hill, ponieważ miałaś go wynajmować jeszcze przez dwa lata. Następnie powinnaś się zastanowić nad sprzedażą zapasów towarów. Możliwe, ale tylko możliwe, że w ten sposób uda ci się pokryć część strat. Anulujemy wszystkie już złożone zamówienia. Lim Soon będzie zawiedziony, ale nie ma innego wyjścia. Oczywiście będziesz musiała im zapłacić...

- Philippe. Nie - przerwała Nathalie. - Nie.

- Co nie? O co ci chodzi? - Zdezorientowany, spojrzął na siostrę.

- Nie zamknę sklepów - oświadczyła stanowczo.

- Nat - łagodnie znowu zaczął Philippe - nie ma innego wyjścia. Jesteś bliska bankructwa. Nie możesz dalej bezsensownie topić pieniędzy. Nie warto, nic z tego nie będzie.

- Philippe, stworzyłam G/D z niczego po zwyczajnej rozmowie podczas kolacji. Wszyscy budowaliśmy firmę. Teraz nie możemy pozwolić jej upaść. Zgoda, sytuacja gospodarcza w kraju nie jest dobra. I co z tego? Nie można podwijać pod siebie ogona i wycofywać się przy pierwszych trudnościach. Nie wolno nam tego zrobić.

- To nie są pierwsze trudności, Nat. Sytuacja jest poważna. Wszystko się zmieniło, w całym kraju panuje recesja. Nikt nie wie, kiedy nastąpi ożywienie gospodarcze i sytuacja na rynku się zmieni.

- Czy właśnie tego uczyli cię na uniwersytecie? - zapytała Nathalie, wstając od stołu.

- Kiedyś mi powiedziałaś, że jeśli coś się kołem toczy, wróci do punktu wyjścia.

Wzloty i upadki, pamiętasz?

- Tak, ale...

- Żadnego ale. Przeczekać ciężkie czasy. To może trochę potrwać, nie będę się oszukiwać, że sytuacja z dnia na dzień się zmieni. Ale się zmieni. Zająłam się tym, kiedy w ogóle nie wiedziałam, w co się pakuję. Żadne z nas nie wiedziało, byliśmy bardzo młodzi, nie mieliśmy doświadczenia. Od tamtego czasu dużo się nauczyłam, wiele się w moim życiu zmieniło, mam dziecko. Teraz muszę myśleć również o Miszy. Nie poddam się. Wprowadzimy zmiany, zmniejszymy nakłady, zrobimy, co się da. Ale się nie poddamy. Ja się nie poddam. Dobra, gdzie są te umowy najmu? Który sklep, twoim zdaniem, powinnam zatrzymać?

- Nat... - zaczął Philippe. O rany! Siostra została stworzona z materiału najwyższej próby.

- Philippe, po prostu mi doradź. Doradź jak człowiek, który się na tym zna. Notting Hill? Może Islington?

- Islington będzie mniej kosztować - w końcu odparł Philippe.

- Ale Notting Hill jest ładniejsze.

- I ciągle masz z nimi aktualną umowę.

- A więc postanowione. Na jutro rano zwołam zebranie z projektantami. Musimy opracować nową linię: praktyczną, wygodną, żadnych falbanek i bajerów; skromnie i tanio. Tylko biała i czarna bielizna. Może troszkę szarości. Wracamy do korzeni.

Czy nie tak mówił Major?

- O tak, tylko że jego kampania poszła na dno jak ołowiany balon. Chyba nie chcesz brać z niego przykładu.

- To nie jest kampania, skarbie, tylko majtki.

- Uhm.

Popatrzył na siostrę. Była gotowa do walki, nie chciała składać broni. Zawstydził się. Nie znał nikogo o tak silnym charakterze. Przyglądał jej się z podziwem, kiedy zbierała sprawozdania finansowe ze stołu.

- Mały toast. - Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę wina. Podąła bratu korkociąg.

- Toast - przystał z ochotą. - Gratulacje, Nat. Uważam, że to szaleństwo... ale, do diabła, działy się już znacznie dziwniejsze rzeczy. Może właśnie wygnasz tę bitwę.

- Na pewno. Na zdrowie!

\*

Nathalie przyglądała się uważnie mężczyźnie siedzącemu przy stoliku naprzeciwko niej. Doktor Erie Harris. Był znajomym Jenny i - szczęśliwym zbiegiem okoliczności pediatrą Miszy. Miły, średniego wzrostu i średniej budowy ciała, miał krótkie blond włosy i niebieskie oczy z kurzymi łapkami, nawet kiedy się nie uśmiechał. Bardzo różnił się od Saszy.

- Czego się napijesz? - zapytał, patrząc w kartę. Zaprosił ją do modnej japońskiej restauracji w Soho. Wiedziała, że długo i poważnie się zastanawiał, gdzie ją zabrać. Domyśliła się tego po sposobie, w jaki ukradkiem, nerwowo na nią zerkał, próbując odgadnąć, czy podoba jej się to miejsce. Nie miała serca powiedzieć mu, że nie cierpi sushi. Pochyliła się nad kartą.

- Może sake? - zaryzykowała, chcąc sprawdzić swoje domysły. Nazwa sugerowała dobry, mocny alkohol.

- Znakomity wybór. Wezmę to samo. - W głosie Erica słychać było wyraźną ulgę. Nathalie wróciła do obserwacji towarzysza znad karty dań. Była zadowolona. Jenny nagabywała ją prawie miesiąc, zanim w końcu zgodziła się umówić na randkę. To tylko randka! - powtarzała bratowej setki razy. Teraz była zadowolona, że się zgodziła. Dobrze czuła się w towarzystwie Erica. Odnosiła wrażenie, że naprawdę się nią interesuje, pytał o sprawy firmy, o Miszę, chciał wiedzieć, jak sobie ze wszystkim daje radę. Od lat nikt się nie interesował tym, jak sobie radzi w życiu. Zrobiło jej się przyjemnie. Uśmiechnęła się i spróbowała skierować rozmowę na Erica - pytała o jego pracę, jego zainteresowania, ulubione formy spędzania wolnego czasu.

Prawie oczyścili talerze sushi i zestawu różnych przysmaków, których nazw Nathalie zupełnie nie знаła, kiedy usłyszała, że z tyłu ktoś woła ją po imieniu. Głos był podobny... nie, to niemożliwe... owszem, możliwe! Charmaine.

- Nathalie?

- Charmaine? - Odwróciła się, żeby spojrzeć na koleżankę. Właśnie weszła do restauracji z mężczyzną w średnim wieku.

- Och... cholera! - Charmaine nagle zamarła w bezruchu z otwartymi z przerażenia ustami. Zapadła niezręczna cisza. Nathalie szerzej otworzyła oczy. Poznała mężczyznę... zaraz, gdzie go poprzednio widziała... niemal zakrztusiła się ostatnim kawałkiem surowego łososia i lepiałym się ryżem. To nie był... to nie mógł być... owszem, mógł! Był! To Simon. Wujek Rianne - Simon. Nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Co on, u diabła, robił w Londynie, i to z jej koleżanką? Charmaine była czerwona jak piwonia. Nathalie odsunęła krzesło i wstała, żeby ucałować przyjaciółkę na powitanie. Znowu zapanowała niezręczna cisza.

- Nat, to jest Simon - z wahaniem przedstawiła swojego towarzysza. Nathalie podała mu rękę i przedstawiła im Erica.

Wydaje mi się, że już się znamy - powiedziała lodowatym tonem do Simona, kiedy panowie już się przywitali. Charmaine wyglądała, jakby pragnęła, żeby ziemia się rozstąpiła i ją pochłonęła. Nathalie jęknęła pod nosem. Gabby miała rację. To Simon był ukrywanym partnerem przyjaciółki. Ale jakim cudem się spotkali? Dlaczego się spotykali? Simon i Charmaine przeprosili i odeszli w poszukiwaniu swojego stolika.

- Koleżanka? - zapytał Erie, kiedy ponownie usiedli przy stoliku. Nie spuszczał z niej zaskoczonego spojrzenia.

- Tak. Moja przyjaciółka - machinalnie odpowiedziała Nathalie. Patrzyła, jak Charmaine prześlizguje się między dwoma stolikami. Co ona, u diabła, ma na sobie? Czarna sukienka miała rozcięcie aż do bioder. Widziała kawałek paska do pończoch i błyszczące kryształki, kiedy Charmaine zajęła miejsce przy stoliku. Koleżanka wyglądała jak... kurtyzana.

- A jej towarzysz?

- Uhm... - Nathalie zawahała się chwilę. - To wujek Rianne.

- Rianne?

- Och... Rianne również jest moją przyjaciółką. - Wypiła łyk sake. - Niech no tylko Gabby się o tym dowie - powiedziała bardziej do siebie.

- A kim jest Gabby? - zapytał Erie z uśmiechem.

- Jest moją... naszą kolejną przyjaciółką. - Nathalie uświadomiła sobie, że wszystko, co mówi, brzmi absurdalnie. - Mieszka w Nowym Jorku - zachichotała.

- Ile masz przyjaciółek? - zapytał Erie, śmiejąc się w głos.

- Trzy. Jest nas cztery. Chodziłyśmy razem do szkoły. Pewnie myślisz, że to dziecinne.

- Nie, absolutnie - zaprzeczył Erie bez większego przekonania. - Czym zajmują się teraz twoje przyjaciółki?

- No, cóż... Charmaine właściwie nic nie robi. Była w Los Angeles... jakiś czas. - Nathalie uznała, że lepiej trochę wybielić tę przyjaciółkę. Nie była pewna, co Erie mógłby pomyśleć o jej barwnej przeszłości. - Gabby mieszka w Nowym Jorku. Jest

prawnikiem, zajmuje się prawami człowieka. Pracuje dla ONZ. Jest cudowna, na pewno byś ją polubił. I jeszcze jest Rianne. Rianne de Zoete. Modelka. W tej chwili również mieszka w Nowym Jorku.

- Czy to nie ta, która spotykała się z Riithem Modise'em?

- Ta sama.

- Znasz go? Nie, właściwie nie... ale znam kogoś, kto go kiedyś znał. Jeden z moich znajomych z londyńskiego uniwersytetu się z nim przyjaźnił. Był takim trochę playboyem. Wszystkie pielęgniarki się w nim kochały. Ale fajny facet - dodał pospiesznie, widząc, że Nathalie marszczy czoło.

- Jest cudowny! Trochę przerażający. Chodził do college'u dla chłopców w pobliżu naszej szkoły. Właściwie nigdy go dobrze nie poznałam.

- Wiesz, twoja koleżanka... przyjaciółka - poprawił się z uśmiechem - jest bardzo piękna. Zawsze uważałem, iż to wielka szkoda, że ze sobą zerwali. Bardzo do siebie pasowali.

- To prawda. - Nathalie zastanawiała się, jak Rianne sobie radziła. Kiedy ostatnio ze sobą rozmawiały, usłyszała nową nutę w głosie przyjaciółki: determinację. Miała nadzieję, że dobrze jej się wiedzie, że wszystko się ułożyło. Zerknęła na Erica, spojrzał jej prosto w oczy. Zarumieniła się.

Charmaine z zazdrością zerknęła na Nathalie z drugiego końca restauracji.

Przyjaciółka i Erie wyglądali na zwyczajną parę. Mężczyzna się z nią przekomarzał, a ze sposobu, w jaki Nathalie bawiła się włosami, Charmaine wiedziała, że jej się to podoba. Niepokojnie spojrzała na Simona i pomyślała, że właściwie nie wie, dokąd ich znajomość zmierza. Już nie mówił, że będą razem, to znaczy - naprawdę razem. Nie wspominał o rozwodzie ze Stellą ani przeprowadzce na stałe do Londynu czyjej wyjeździe do Kapsztadu. Mówił tylko o interesach, które załatwiają, chociaż Charmaine już nie bardzo wierzyła, że stanowi część tej liczby mnogiej, jakiej używał.

Od Dorlanda zdobył informacje, na których mu zależało. Poszło bardzo łatwo: kilka klatek z kamery wideo i minister wyśpiewał wszystko, co wiedział, a nawet więcej. Cokolwiek powiedział Simonowi, najwyraźniej warte było zachodu. Z przerażeniem myślała o nadchodzącej nocy. Ostatnio wieczorami godzinami gadał. Nie chciał się z nią kochać, stracił ochotę i zainteresowanie. Wolał bezwolnie leżeć i poddawać się jej pieszczotom.

Chwalił się, że trzyma Brytyjczyków za jaja. Nie będą nawet wiedzieli, z której strony spadnie cios. KdZK zostanie największym, najpotężniejszym przedsiębiorstwem budowlanym na świecie. Kieszonkowe zmniejszył jej o połowę; stwierdził, że o wiele za dużo wydawała. Tylko tyle mogła robić, żeby nie przespać życia. Może spostrzegł, że się nudzi: ostatnio mówił jej różne rzeczy, którymi - tego była pewna - z nikim nie powinien się dzielić. Żałowała, że później nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Znowu zaczęła częściej palić trawkę: skręt rano, dwa po

południu, kilka wieczorem i jeden przed pójściem do łóżka. Dzięki temu mniej myślała o swoim położeniu. No i skręty były tańsze od kokainy.

Miał jakąś manię wielkości, potrzebę poczucia władzy nad innymi. Już nie wystarczała mu miłość francuska. O nie, teraz spodobało mu się ją zmuszać, a ona musiała udawać, że nie chce brać penisa do ust. Chwytał ją za włosy, siłą przyginał głowę w dół, bił po twarzy - fakt, nie za mocno - nabrzmiwały członek wpychał głęboko do gardła, tak że aż się dusiła, szarpał za włosy, kiedy zadrasnęła go zębami. Okropieństwo. Było jeszcze gorzej, ostatnio żądał seksu, a raczej własnej odmiany seksu, w najdziwniejszych miejscach: na klatce schodowej w domu, gdy słyszał schodzących na dół ludzi, na tylnym siedzeniu taksówki, kiedy kierowca obserwował ich w lusterku, doskonale wiedząc, co robią. Wysiadając, dawał kierowcy sowity napiwek... i puszczał oko.

Kiedyś podczas kolacji w eleganckiej restauracji w South Kensington wstał od stolika i zaciągnął ją do toalety. Na szczęście nikogo tam nie było. Otworzył jedną z kabin, doskonale znanym już ruchem siłą przygiął jej głowę w dół. Była pewna, że spod niepełnych drzwi wystają obcasy jej butów. Usłyszała, że otwierają się drzwi zewnętrzne, potem ktoś jęknął, następnie się roześmiał, tymczasem ona jak szalona ssła jego penisa. Niemal natychmiast się spuścił. Chciało jej się rzygać. Jak jednak miała się z tego wywikłać? Co mogłaby robić? Sytuacja znowu - jak w Los Angeles - była przerażająca.

- Spróbowała oderwać się od tych myśli i znowu skupić uwagę na Simonie.

Wpatrywał się w nią uważnie. O co chodzi? - zapytała.

- Chodź ze mną. - Wstał i rzucił serwetkę na stół. Westchnęła. Jezu Chryste!

- Znowu. Nie!

Erie i Nathalie szykowali się do wyjścia. Charmaine i Simona nie było na sali.

Manewrując między stolikami, dotarli do drzwi i wyszli na zewnątrz. Wieczór był chłodny. W milczeniu podążali w dół ulicy do samochodu Erica. Nie próbował jej dotknąć, a Nathalie, ku swojemu zdumieniu, uświadomiła sobie, że chciałaby czuć jego ramię z boku albo dotyk palców na swojej dłoni. Od bardzo, bardzo dawna z nikim tak dobrze się nie czuła.

- Chcesz od razu wracać do domu? - zapytał, jakby czytając w jej myślach.

Uruchomił silnik.

- Czy ja wiem... Nie jestem dobrą partnerką do nocnego klubu. - Roześmiała się, żeby ukryć zakłopotanie. - Czuję się za stara na takie miejsca. Ale ty mógłbyś... może chciałbyś wstąpić do mnie na kawę - zaproponowała pospiesznie. - Misza nocuje u mojego brata. To bez znaczenia... chciałam powiedzieć... no, wiesz... - Zmieszła się i jeszcze bardziej zdenerwowała.

- Tak, bardzo chętnie - zgodził się z uśmiechem.

Nathalie znowu się zarumieniła. Co się z nią działo? Zachowywała się gorzej niż Gabby.

- Śliczne mieszkanie - pochwalił, kiedy weszli do środka. Bez Miszy w apartamencie

było niesamowicie cicho. Poszła przodem do salonu, Erie krok z tyłu za nią. Czowała na sobie jego wzrok. Nie spuszczał z niej oczu, kiedy zdejmowała płaszcz, zrzuciła z nóg pantofle i w pończochach poszła do kuchni. Wyjęła dwa kubki, potem zmieniła zdanie, wzięła dwa kieliszki i butelkę wina. Wróciła do salonu, Erie siedział na piętach na podłodze - przeglądał płyty i kompaktki.

- Masz dobry gust muzyczny - powiedział i podniósł w górę płytę kompaktową.

- Mogę? - Nathalie skinęła głową i postawiła kieliszki. W pokoju zabrzmiał głęboki, zmysłowy głos Anity Baker. Napełniła kieliszki i usiadła na miękkiej, białej kanapie. Nogi podwinęła pod siebie, ale nie wiedziała, co począć z rękoma, oczami... myślami.

Nie miała pojęcia, dlaczego, ale Erie wprowadzał ją w zakłopotanie. Przy nim ucisk, jaki czowała w dołku, nie był przeszywającymi lodowaty, jak zawsze wtedy, kiedy pojawiał się Sasza albo bodaj słyszała jego głos. Nie był też ledwie zauważalny, jak w przypadku Marcusa, czy odrobinę odpychający, jak to bywało przy Paulu. To było coś pośredniego. W Ericu wszystko zdawało się znajome: jego wypowiedzi, poczucie humoru, nawet wygląd. Typowy Anglik, zupełnie inny niż Sasza... podobny do Marcusa. A jednak i od niego się różnił. Czowała jego obecność w sposób, w jaki czowała tylko obecność Saszy. Czowała jego obecność obok siebie i wokół siebie. Patrzyła na kark Erica, na grube, ciemne włosy wymykające się spod wyciętego w serek podkoszulka, na jasną skórę po wewnętrznej stronie nadgarstka i miała ochotę go dotknąć.

- Cudowny wieczór - powiedział. Usadowił się obok Nathalie na kanapie, ale jej nie dotykał. Znowu się zarumieniła. Erie wziął kieliszek. - Ślicznie wyglądasz z kolorami na twarzy. - Dziewczyna jeszcze bardziej spąsowiała.

- Czy to ja, czy przy mężczyznach zawsze się rumienisz? - drażnił się z nią z uśmiechem.

- Nie, normalnie nie oblewam się pąsem co chwila - udało się jej wyksztusić. Sięgnęła po kieliszek i wypła duży łyk wina.

- Aha, to znaczy, że ja tak na ciebie działam.

- Nie... tak... nie.

- To znaczy: tak. Tak?

- Nie. - Oboje wybuchnęli śmiechem. Potem już było znacznie łatwiej. Pamiętał, żeby nastawić budzik. Był lekarzem, miał dyżur w ten weekend.

- Możesz pospać sobie do południa - szepnęła jej w szyję.

- Zwykle tak długo nie sypiam - odszepnęła i go pocałowała. Poczwała, że się uśmiecha.

- Panno Maréchal, wydaje mi się, że tego wieczora robiła pani okropnie dużo rzeczy, których zwykle pani nie robi. Proszę mi powiedzieć, co pani normalnie robi? Na pewno nie to.

- A to? - Roześmiała się. Erie był miły, dobrze się z nim czowała.

W Johannesburgu Riitho wcale nie czuł się lepiej. Nie przestawał o niej myśleć, wspomnienia nie opuszczały go nawet na chwilę. Dotychczas nie znał poczucia straty czy tęsknoty za kimś. Rodzinę porzucił dwadzieścia lat temu, nawet się za siebie nie oglądając. Całe młode życie starał się zbytnio nie zbliżyć do nikogo, żeby potem nie tęsknić. Teraz płacił za to wysoką cenę. Nitki łączącego ich związku strzępiły się, zniknęła z jego życia. Livingstone widział ból syna, martwił się o niego. Pewnego wieczora, podczas jednej z tych rzadkich chwil, kiedy byli sami, rozmawiał z Riithem. Njeri nie wiedziała, o czym mówili, co zaszło między ojcem i synem. Żaden nic jej nie powiedział.

Długa i jedyna rozmowa, jaką przeprowadzili tego wieczora, dotyczyła spraw osobistych. Riitho po raz pierwszy przedstawił ojcu swoje plany na przyszłość; Livingstone słuchał. Nie mówili o Rianne; obaj intuicyjnie czuli, że jeszcze było zbyt wcześnie, by poruszać ten temat. Riitho potrzebował czasu. Potrzebował więcej czasu, żeby pogodzić się z sytuacją i uporać z całym problemem. Natomiast Livingstone przez całe życie na coś czekał. Potrafił być cierpliwy. Miał nadzieję, że syn upora się z bólem. Rozmawiali na temat politycznej przyszłości Riitha, o tym, co może zrobić wspólnie z ojcem i dla niego. Wiedział, że Livingstone miał wobec niego inne plany. Jedną sprawą była rezygnacja z Rianne, zupełnie inną poświęcenie przyszłości na rzecz organizacji. Nie chciał siedzieć w gabinecie za biurkiem i trzy lata czekać na stanowisko w Ministerstwie Gospodarki Zasobami Lokalowymi, co było częścią porozumienia zawartego między rządem a Afrykańskim Kongresem Narodowym, i jeszcze być podejrzewanym, że otrzymuje je ze względu na polityczne dokonania ojca. Patrząc mu prosto w oczy, przyciszonym głosem powiedział, że zastanawiał się nad tym od chwili powrotu do kraju.

Wiem, iż wszyscy utrzymują, że taka grupa społeczna nie istnieje, jednak mamy czarną klasę średnią. Każdy, kto chce się trzeźwo przyjrzeć strukturze społecznej naszego społeczeństwa, musi to przyznać. Są ludzie, którzy mają i pieniądze, i dobry gust, i władzę. Niektórzy wiele lat spędzili na wygnaniu, mieszkali w Londynie i w Nowym Jorku. Teraz wrócili do ojczyzny, potrzebują architektów, dekoratorów wnętrz, specjalistów, którzy znają oba światy, i ten tutaj, i ten tam. Ja się właśnie na tym znam. - Livingstone w zamyśleniu spoglądał na syna. - Rozmawiałem z kilkoma osobami - ciągnął Riitho - pracy jest dość, jeśli tylko będę chciał się tym zająć. Ambasad, budownictwo mieszkaniowe, obiekty użyteczności publicznej.

Właściwie nie mamy tutaj czarnych architektów. Pozwól, żebyśmy stworzyli coś swojego, wypracował sobie własną markę.

Livingstone milczał.

- Zrobiłem to, czego sobie życzyłeś - cicho ciągnął Riitho. - Rozstałem się z nią. Ale teraz pozwól mi pójść własną drogą.



Livingstone popatrzył na syna. Młody człowiek miał rację. Oczywiście, że miał rację. Riitho zatelefonował do dwóch znajomych z Londynu. Obaj studiowali z nim w Bartlett. Jeden nazywał się Adrian Marshall, dla kolegów: Aido, drugi Rahesh Malik. Przedstawił im swój pomysł. Zapytał, czy nie zechcieliby przyjechać do Johannesburga. Chciał wiedzieć, czy nie zdecydowaliby się założyć z nim spółki. Aida i Rahesha nie trzeba było długo przekonywać. Po kilku tygodniach zjawili się na miejscu. Modise, Marshall, Malik. Tworzyli interesujący tercet: Aido - wysoki, potężny Anglik, rodem z Manchesteru, o złotym sercu i wielkiej miłości do Land-Roverów; Rahesh - niezwykle przystojny, zupełnie niezorganizowany geniusz studiów podyplomowych; i Riitho - przystojny, opanowany i znakomicie ustosunkowany. Nowi Południowoafrykańczycy. Mówiono o nich: czarny, biały i Hindus. Pisany im był sukces.

Wynajęli ogromne pomieszczenia po starym browarze na Isipingo Street w Yeoville. Cały miesiąc je sprząтали. Dla wszystkich trzech, dotychczas pracujących w ciasnych pracowniach w Londynie i Paryżu, tak wielka przestrzeń była niemałym luksusem. Renowację ograniczyli do koniecznego minimum. Pozostawili ściany pomalowane niechlujnie i w łaty, bardziej pragnęli podkreślić surowy, miejski charakter niegdyś przemysłowego pomieszczenia. Zainstalowali najnowocześniejsze oświetlenie, sprowadzili biurka o szklanych blatach, podłogę wyłożyli matami z włókna szałowego. Ich zdaniem pracownia wyglądała fantastycznie.

Njeri i Mpho uważały, że pomieszczenie jest niewykończone, jakby zabrakło środków na stworzenie pracowni architektonicznej z prawdziwego zdarzenia. „Dlaczego nie odnowicie ścian? Po co ta trawa na podłodze?” - pytały.

- To właśnie tak ma wyglądać - cierpliwie wyjaśniał Riitho.

Rahesh i Aido dusili się ze śmiechu.

Raz było lepiej, raz gorzej. Kiedy po dniu ciężkiej pracy, dyskusji i kłótni na temat jakiegoś projektu we trzech szli na piwo, niemal dawał się przekonać, że będzie lepiej. Wydawało się to nieprawdopodobne, a jednak chciał wierzyć, że nadejdzie czas, kiedy przestanie za nią aż tak bardzo tęsknić, że uda mu się o niej zapomnieć. Jak mawiał Rahesh, obaj koledzy chętnie pomogliby mu odnaleźć w sobie dawnego Riitha, pozeracza niewieścich serc. Rahesh martwił się jednak stanem kolegi i wcale tego nie ukrywał. Ten nowy, zamyślony Riitho w niczym nie przypominał kumpla, który podczas imprezy w Chelsea wyskakiwał z domu przez okno w łazience, ponieważ na przyjęciu pojawiła się nie jedna, ale trzy jego dziewczyny. Pamiętał innego Riitha, kolegę, który ciągnął go na imprezy w mroczne zakątki Londynu i nieraz zostawiał na przystanku nocnego autobusu przy Trafalgar Square, a sam zniknął z jakąś dziewczyną, czasem również z jej znajomymi. Bywało, że Rahesh nie bardzo wiedział, jak postępować z odmienionym kolegą, szczególnie kiedy podczas rozmowy Riitho nagle milkł i niewidzącym wzrokiem, czarnymi jak smoła oczami wpatrywał się w nieokreślony punkt w oddali.

Jeszcze jedno piwo, stary. Patrz, ta dziewczyna przy barze... przygląda ci się, słowo

dają... - W ten sposób Rahesh próbował zmienić nastrój. Aido z typowym dla siebie spokojem nie mówił nic, tylko od czasu do czasu klepał kolegę po ramieniu, w ten sposób okazując troskę. Riitho wiedział, że Aido był mu bardzo życzliwy. Poklepanie po ramieniu znaczyło: „głowa do góry”, nie padały żadne słowa. Aido z natury niewiele mówił.

Był wdzięczny kolegom za zrozumienie i pomoc. Ogólnie rzecz biorąc, mógł czuć się usatysfakcjonowany. Pracownia dopiero rozpoczynała działalność, a już mieli pełne ręce roboty. Zgodnie z przewidywaniami media robiły im reklamę, dzięki czemu otrzymywali dużo zleceń. Livingstone wiele podróżował, Riitho rzadko widywał go w domu. Mpho znalazła zatrudnienie - a raczej, jak żartowała matka, swoje powołanie - współpracowała z działaczami zajmującymi się sytuacją w bantustanach i wydzielonych dzielnicach miast, w związku z czym również mało czasu spędzała z rodziną. W ogromnym nowym domu w Houghton Njeri została sama, a raczej na tyle sama, na ile można być w towarzystwie krewnych, ochroniarzy, funkcjonariuszy organów państwowych i niezliczonych gości oraz dziennikarzy, którzy co rano pojawiali się przed bramą. Wcześniej nie było dnia, żeby nie robiła mu wymówek w związku z Rianne de Zoete, teraz nawet o niej nie wspominała. Syn niepokoił się tą zmianą. Takie zachowanie nie tylko było do matki zupełnie niepodobne, Riitho czuł, że nie kryje się za nim nic dobrego. Uważnie obserwował Njeri. Nie musiał długo czekać, niebawem dowiedział się, o co jej chodziło. A raczej o kogo.

Jej Książęca Wysokość księżniczka Moshidishi Madadeni Sifopamhene Motsame. Dla przyjaciół Shidi. Była dziewiątą córką króla Motsame, zuluskiego monarchy i najboleśniejszego ciernia pod paznokciem Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Riitho znał historię animozji. Napięcia między członkami zuluskiego Ruchu Inkatha a Afrykańskim Kongresem Narodowym nie były niczym nowym. U ich podstaw leżały uwarunkowania historyczne i przyczyny polityczne. Ponadto w trakcie dochodzenia do niepodległości doszło również do walk zbrojnych i aktów przemocy. Mandela i Modise mieli powody do niepokoju, kraj wykrawiał się na śmierć, istniało niebezpieczeństwo wybuchu wojny domowej. Musieli powstrzymać przemoc, nie chcieli otwartej konfrontacji, zanim zostaną zrobione konkretne kroki prowadzące do rozmów z rządem. Problem walki zbrojnej zawsze różnił działaczy Ruchu. Modise i Marius de Zoete zaliczali się do grona działaczy, którzy uważali, że konfrontacja militarna będzie politycznym i ideologicznym samobójstwem, byli jednak w mniejszości. Pacyfiści utrzymywali, iż tylko działaniami pokojowymi można osiągnąć sukces: trzeba powstrzymać przemoc, żeby stworzyć odpowiednią atmosferę do dalszych negocjacji z władzami. W czerwcu de Klerk zniósł stan wojenny, a w sierpniu Afrykański Kongres Narodowy podpisał z rządem porozumienie w Pretorii. Wszyscy mieli nadzieję, że w kraju zapanuje spokój. Niestety, tak się nie stało.

Njeri z boku, aktywnie się nie angażując, obserwowała, jak droga do wolności toczy się nad przepaścią, niebezpiecznie lawirując między sukcesem a porażką, i podjęła decyzję. W odróżnieniu od Livingstone'a traciła nadzieję, że kiedykolwiek uda się metodami politycznymi rozwiązać problemy przemocy i wzajemnego braku zaufania. Była przebiegła. Któregoś ranka przy śniadaniu zwróciła uwagę Livingstone'owi, że w ciągu sześciu miesięcy wolności w kraju zginęło pięć tysięcy ludzi. Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu nie udawało się przekształcić z nielegalnego podziemnego ruchu wolnościowego w legalnie działającą, wybraną w demokratycznych wyborach partię polityczną. Livingstone ze zdziwieniem uniósł w górę brwi. Po co mówiła takie komunały? Przecież sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Nie - upierała się przy swoim. - Chcę, żebyś mnie wysłuchał. Trzeba działać inaczej. Musi zostać zawarty sojusz innego rodzaju.

Njeri nie była głupia. Europejskie rodziny królewskie od wieków uciekały się do takich sposobów. Zresztą w Afryce bywało podobnie, weźmy, na przykład, rody Sobhuza i Shaka. To był jedyny sposób połączenia czegoś, czego inaczej nie dało się zjednoczyć. Moshidishi Madadeni Sifopamhene Motsame. Była młoda, wykształcona... i pochodziła z królewskiej rodziny. Gdyby Motsame wydał córkę za syna działacza opozycji, znalazłby się w sytuacji bez wyjścia, byłby zmuszony zaniechać wrogich działań wobec Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

- O co ci chodzi? - zapytał z irytacją pewnego wieczora po kolacji, podnosząc wzrok znad dokumentów, które przeglądał. - Chcesz się bawić w swatkę? Nie wiem, o czym mówisz - odparła, zaciskając usta. Livingstone westchnął. Te kobiety! - Nie mów mi, że podoba ci się... ta dziewczyna de Zoete'ów. - Zerknęła na męża. - Nie po to czekałam cierpliwie na ciebie przez dwadzieścia cztery lata, żeby teraz Riitho po powrocie z nią się związał. - Oczy jej błyszczały. - Nie przyłączyłam się do walki i nie poświęciłam wszystkiego po to tylko, żeby tu wrócił i zabawiał się z białymi dziewczynami. Tobie też nie o to chodziło.

Livingstone się nie odezwał. Njeri potrafiła być bardzo uparta. Pod tym względem wcale się nie zmieniła przez dwadzieścia cztery lata. Prychnęła i rozdrażniona odsunęła się od niego. Bardzo dobrze. Skoro mężczyźni w rodzinie nie zamierzają jej pomóc, sama będzie musiała zdwoić wysiłki. Postanowiła przejść do ataku. Riitho natychmiast przejrzał intencje matki. Początkowo nie robił nic, w ogóle nie zareagował. Doskonale wiedział, do czego Njeri zmierzała, i był niewyobrażalnie na nią wściekły. Nie chciał jednak ani się jej podporządkować, ani otwarcie sprzeciwić. Matka z synem prowadzili cichą wojnę. W konsekwencji Riitho jeszcze więcej czasu spędzał w pracowni architektonicznej i ponownie poważnie rozważał wyprowadzkę z przestronnego domu przy Briar's Avenue do jakiegoś własnego mieszkania. Mpho, naturalnie, była po stronie matki. Rahesh i Aido obserwowali rozwój wydarzeń z boku i bez komentarzy. Nie bardzo wierzyli w zastrzeżenia czy nawet sprzeciw Riitha. Sam twierdził, że związek z Rianne de Zoete od dawna jest skończony.

Jest fajna - powiedział Rahesh pewnego ranka, kiedy we trzech nad czymś pracowali.

- I co z tego? - mruknął Riitho. Stał pochylony nad modelem z nożykiem w ręku. Z wściekłością rąbnął nim w karton.

- Mówię tylko... - zaczął Rahesh, a Modise niszczył planszę, nad którą dwie godziny pracowali.

- Co?! - Riitho miał minę człowieka gotowego zniszczyć również model.

- No, nie wiem. Mogło być gorzej - stwierdził Rahesh żalonym tonem.

- To znaczy jak? Mogła być brzydka. - W oczach kolegi najwyraźniej byłaby to znacznie większa tragedia.

- Właśnie. - Aido podniósł wzrok znad swojej deski kreślarskiej i wyjątkowo również zabrał głos. - Niska i gruba.

- Jezu! - Riitho z irytacją popatrzył na kolegów. - Czy tylko to jest dla was ważne?

- Nie, oczywiście, że nie. Aż tak powierzchowni nie jesteśmy. Ale naprawdę mogło być gorzej. Naprawdę. Przynajmniej przyzwoicie wygląda - przekonywał Rahesh niemal błagalnym tonem.

Riitho już się nie odezwał. Nie mógł uwierzyć, że własna rodzina mu to robiła. Shidi Motsame diametralnie różniła się od Rianne. Rianne była bez zarzutu. Ładna, chociaż nie piękna, niezbyt wysoka, ale też nie niska. Niespecjalnie inteligentna, jednocześnie nie bezbarwna. Poważna, godna szacunku, poprawna. Shidi również była poprawna. Poprawnie ładna, poprawnie wykształcona, poprawnie kobieca. Nie chodziło o rasę, jak sugerowała Mpho. Shidi po prostu nie była w jego typie. Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Uważał, że jest nieatrakcyjna, nieciekawa, nawet niezbyt miła. Była zimna, sztywna i nigdy nie słyszała o Mies van der Rohem. Rianne również nigdy o nim nie słyszała - pouczył się natychmiast z poczuciem winy. Ale córka Mariusa w lot wszystko chwyciła. Błyskawicznie uczyła się jego świata, podobnie jak on bardzo szybko przystosowywał się do jej oczekiwań. I Rianne przynajmniej miała swój świat. Shidi spotkał dwa razy. W obu przypadkach zanudził się niemal na śmierć i wkurzył bezowocnymi próbami nawiązania rozmowy. Z niechęcią myślał o nadchodzącym weekendzie. Njeri organizowała przyjęcie na świeżym powietrzu, a Shidi miała być gościem honorowym. Nie mógł się z tego wykręcić.

## 74

- Siostra mówi, że niedawno wróciłaś ze Stanów Zjednoczonych.

Było przepiękne letnie popołudnie. Przez gałęzie drzew przenikały promienie słońca i jak płynny miód wślizgiwały się pod ogromną markizę, którą na tę okazję rozpięto w ogrodzie. Gdzieś w oddali słychać było grzmoty, nieomylną zapowiedź letniej burzy. Riitho stał z Moshidishi Motsame. Njeri oraz kilka elegancko ubranych

kobiet, które przyjechały z królewskimi gośćmi, obserwowały ich z zadowoleniem. Riitho nie zwracał uwagi na matkę, starał się skupić na odpowiedzi stojącej obok dziewczyny.

- Tak. - Shidi Motsame była nieśmiała. Młody Modise bardzo różnił się od mężczyzn, których znała, szczególnie pod względem sposobu mówienia. Gdyby zamknąć oczy, można byłoby pomyśleć, że jest biały.

- A dokładnie?

- Słucham?

- Gdzie dokładnie byłaś? W jakiej części Stanów Zjednoczonych?

- Aha. W Bostonie.

- Ładne miasto.

- Tak.

Znowu zapadła cisza. Riitho zastanawiał się, co powiedzieć. Spojrzał na ogród. Spokojnym krokiem szedł ku nim Aido z dwoma butelkami piwa w dłoniach. Zatrzymał się i podał butelkę koledze.

- Pragnienie może człowieka zabić...

- ...w tym gorącym, suchym klimacie. - Riitho ze śmiechem dokończył za niego zdanie. Wypił haust piwa. To było ich hasło podczas trzytygodniowego safari po południowym krańcu Afryki. Całe jedenaście tysięcy kilometrów Aido siedział za kółkiem półpijany. Riitho odwrócił się do kolegi i podjął wątek rozmowy, jaką prowadzili w pracowni. Aido spojrział na Shidi, zrobił bezradną minę, po czym odpowiedział koledze. Dziewczyna uśmiechnęła się grzecznie, z rezerwą.

Nie była przyzwyczajona do towarzystwa białych, a na pewno nie tak jak Riitho Modise. Trzej mężczyźni: biały, Hindus i Riitho, czuli się z sobą jak bracia, zawsze wszystko robili razem, mówili szybko, śmiali się, żartowali. Shidi trudno było to zrozumieć, nie mogła się w tym znaleźć. Poza tym nie mówiła dobrze ich językiem. Riitho wolał rozmawiać po angielsku albo - jeszcze gorzej - po francusku. Nie rozumiała nawet połowy tego, co mówili, a już na pewno nie chwyciła ich żartów. Upiła malutki łyk lemoniady i rozejrzała się po ogrodzie, szukając kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Spostrzegła, że pani Modise groźnie na nich spogląda. No cóż, próbowała być miłą dla młodego Modise'a, ale on nie miał ochoty na dotrzymanie jej towarzystwa.

W kuchni Riitho popatrzył na Njeri.

- Ale co ci się w niej nie podoba? - płaczkliwym tonem pytała matka.

- Nic. Jest OK. Po prostu nie życzę sobie, żebyś meblowała mi życie odpowiedział z kamienną twarzą.

- Nie mebluję ci życia - buntowała się Njeri. - Prosiłam tylko, żebyś był dla niej miły, żebyś z nią porozmawiał...

- Rozmawiałem. Ona nie ma nic do powiedzenia.

- Och ty! Jesteś taki... robisz mi na złość, Riitho. - Njeri uderzyła pięścią w blat kuchennej szafki.

- Dlaczego? - zapytał spokojnie. Wiedział, że ją prowokuje, ale doprowadzała go do szaleństwa tą idiotyczną grą.

- Nie mów do mnie takim tonem. - Matka zdenerwowała się jeszcze bardziej. Nie pozwolę... - Przerwała. - Dokąd idziesz?

- Wychodzę. Idę stąd. Mam dość. Sama porozmawiaj z Shidi, skoro uważasz, że jest interesująca.

Zanim matka zdążyła powiedzieć słowo, Riitho szybkim krokiem wyszedł z kuchni. Zdawał sobie sprawę, że był niegrzeczny. W ich środowisku takie zachowanie uznawano za niedopuszczalne.

Zignorował spojrzenia, jakie wymieniły między sobą elegancko ubrane kobiety i Njeri. Skinął na Lebohanga.

- Zmywajmy się stąd - zadysponował.

Riitho i ochroniarz poszli do samochodu. Podjazd wyglądał jak plac parkingowy u dealera Mercedesa. Wsiadli do BMW i szybko ruszyli.

- Dokąd jedziemy? - zainteresował się Lebohang, skręcając w kierunku szosy M1.

- Nie wiem. Wszystko jedno. Byle daleko stąd. Do Mama C? - Lebohang zaproponował nielegalny lokal w Mamelodi, jednym z osiedli na dalekich przedmieściach Pretorii. Riitho skinął głową. Wszystko jedno.

Milczał. Ochroniarz włączył się do ruchu i jechał na północ drogą wyjazdową z miasta. Mijali opuszczone wysypiska usuwanych z kopalni odpadów przemysłowych, demonicznie wyglądające żółte hałdy, jak pasmo wzgórz okalające północne przedmieścia. Było gorąco, w powietrzu wisiał deszcz; zaczął się gdzieś w oddali tuż nad linią horyzontu i wyglądał jak ciemniejszy siniak na jasnym, czystym niebie. Obserwował krajobraz z bólem w sercu. Czasami wydawało mu się niemożliwe, że jej z nim nie ma, że odeszła. W głowie się nie mieściło, że można być z sobą tak blisko... a potem nic. Ogarniała go straszna, wyniszczająca samotność zrodzona z wielkiej bliskości, jaka ich kiedyś łączyła.

Wszystko mu ją przypominało, cokolwiek robił, budziło wspomnienia wspólnie spędzonych chwil, nawet to, czego nie robił, miejsca, w których nie był - w których nigdy razem nie byli. Wiedział, że podróżowałyby po tej samej ziemi. Była wszędzie, w każdym zakątku tego kraju, którego nie znał, a tak bardzo bliskiego jego sercu. Przypominał sobie, jak opowiadała mu o plaży Shaka's Beach, daleko na południu, gdzie kiedyś z rodziną pojechali nurkować. Wspominała, że była daleko na północy, w Kosi Bay przy granicy z Mozambikiem, na wędrownym po zalesionym wybrzeżu. Znała każdy metr tej ziemi - ziemi białych, jak jej zwrócił uwagę. Sam nosił w pamięci wspomnienia innych miejsc: biednych osiedli miejskich, ośrodków nędzy, bantustanów, więzienia, w którym przetrzymywano ojca.

Wrócił pamięcią do czasów spędzonych w Londynie i w Paryżu. Czuł się, jakby zrobił ogromny krok wstecz. Rodzice zdawali się w ogóle nie rozumieć, że równie trudno było mu być z nimi teraz, jak wiele lat temu ciężko mu przychodziło ich

opuścić. Kierując się instynktem przetrwania w obcym świecie, musiał uzbroić się w tarczę, która chroniła go przed wszystkim, co mogło zboleć. Nie pozwalał sobie na uczucia, nie stać go było na taki luksus. Kiedyś ktoś mu opowiadał, że osoby w stanie depresji czasami unikają muzyki - nie chcą jej słuchać w obawie, że otworzy rany, o których starają się zapomnieć. W ten sam sposób on odcinał się od wszelkich uczuć. Nie pozwalał sobie na zbliżenie się do kogokolwiek, żeby nie utracić kontroli nad własnymi uczuciami. Tak było, zanim poznał Rianne. Nie stało się to od razu, ale jakimś cudem udało się dziewczynie rozbić skorupę i trwale się pod nią zagnieździć. Oddałby wszystko, żeby znowu z nią być.

# CZĘŚĆ SIÓDMA

75

*Kwiecień 1993, Nowy Jork*

Na niebie pojawiła się tęcza, obłe, świetliste pasmo barw, potem nieoczekiwanie spadł wiosenny deszcz. Lunął z nieba znad wieżowców Manhattanu, z sykiem spadał na jezdnie i mieszał się z parą, unoszącą się z otworów kanałów ściekowych, kiedy tylko dotknął ziemi.

Przeskakując kałuże, Rianne biegła Prince Street, osłaniając głowę rozłożoną gazetą. Skręciła w Mercer Street i dalej manewrowała między kałużami. Otworzyła drzwi do Space Unlimited, ulubionej kawiarenki - galerii, i otrząsnęła płaszcz z deszczu. W środku było prawie pusto.

Położyła teczkę na stoliku i rozejrzała się za Simim, właścicielem lokalu. Przyszła na spotkanie, reprezentowała Ninę Lindberg, fotografa ze Środkowego Zachodu, która zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie imienia Jessego Hemmense na najciekawsze zdjęcia krajobrazu. Nina Lindberg była już babcią, wierzyła w skuteczność akupunktury i medycynę alternatywną. Była też przyjaciółką, mentorką i pracodawczynią Rianne. Właśnie przyjechała do Nowego Jorku i poszukiwała miejsca na pierwszą wystawę swoich prac. Zdaniem Rianne Nina była najbardziej utalentowaną osobą, jaką знаła. Pracowała dla niej od sześciu miesięcy i uwielbiała to, co robiła.

Przez rok miała się najróżniejszych, okropnych zajęć: pozowała do zdjęć dla wydawnictw katalogowych, była sekretarką, nawet pomagała w kwiaciarni i w końcu znalazła pracę, którą szczerze lubiła. Zaczęła jako młodsza asystentka: nosiła sprzęt Niny, szukała pracowni fotograficznych, wydzwaniała do galerii, robiła rezerwacje i organizowała pokazy. W krótkim czasie zaczęła jednak wykonywać i inne zadania, przede wszystkim zajęła się tym, czego Nina nienawidziła i nie potrafiła dobrze robić sama: reklamą i marketingiem. Teraz pani Lindberg nie potrafiła sobie wyobrazić funkcjonowania firmy bez Rianne. Dziewczyna była bystra i zdecydowana, a chociaż słabo się orientowała w świecie sztuki, nie różnił się on - jak sama mówiła - aż tak bardzo od świata mody, który znała doskonale. Tacy sami rozkapryszeni, bystrzy, zdolni ludzie o wielkim poczuciu własnej wartości, takie samo zawracanie głowy.

- Nie mogę dużo ci płacić - oświadczyła Nina na samym początku rozmowy. - Wynagrodzenie będzie tylko nieco wyższe od stawki minimalnej, ale proponuję ci prowizję od sprzedanych prac.

Rianne nie pracowała dla pieniędzy. Była zadowolona z zarobków, jeśli tylko pozwalały na opłacenie rachunków i jakie takie życie bez konieczności sięgania do



niewielkich oszczędności. Nina nigdy nie słyszała o Rianne de Zoete, chociaż... czyżby dziewczyna pochodziła z Republiki Południowej Afryki? Czy nie była związana z tą rodziną właścicieli kopalni? Rianne potwierdziła, jednocześnie oświadczając, że jest finansowo niezależna. Sama się utrzymuje. Pani Lindberg uszanowała jej stanowisko.

- Witaj, Rianne. - Simi zauważył dziewczynę i podszedł do niej. Przywitali się uściskiem dłoni i usiedli. To Rianne wpadła na pomysł, żeby wykorzystać lokal Space Unlimited. Podobał jej się niewymuszony klimat okolic galerii. Poza tym fotografie Niny: zmysłowe, ogromne zdjęcia ziemi robione z góry, doskonale tu pasowały. Zaczęła wyjmować z teczek ich zmniejszone odbitki.

- Chcielibyśmy zrobić wystawę pod tytułem „Przekraczając granice” - wyjaśniała Simiemu. - Zaczęlibyśmy od najmniejszych przy wejściu - . może tych tutaj - potem przeszlibyśmy do większych.

- Przygotowała orientacyjny szkic wystawy - tak jak nauczył ją to robić Riitho - i wskazywała, gdzie chcieliby umieścić konkretne zdjęcia. Podniosła i pokazała mu jedną z fotografii. Było to zrobione z góry ujęcie uprawnych pól w ostępach Ameryki Środkowej. Obraz bardziej przypominał jednak abstrakcyjne malowidło. Zdumiewające, prawda? - mruknęła pod nosem.

Nina Lindberg w wieku pięćdziesięciu dwóch lat odkryła, że mąż wydał prawie wszystkie ich oszczędności na stroje i biżuterię dla swojej sekretarki, z którą miał romans. Wtedy właśnie zajęła się fotografią - był to jej sposób na uporanie się z bólem. Małym samolotem Cessna latała po całym kraju, zawsze z przygotowanymi do pracy aparatami Hasselblada i Nikona. Robiła najbardziej niesamowite zdjęcia ziemi, na której wszyscy żyjemy, a której nie widzimy. „Przekraczała granice”. Dokumentowała, ogarniała wzrokiem, pokazywała. Skoro Nina potrafiła tego dokonać, Rianne również musiało się udać. Niemal codziennie to sobie powtarzała i w tym przekonaniu znajdowała pewność oraz ukojenie.

Simi i Rianne spacerowali po lokalu i omawiali układ wystawy. Wernisaż miał się odbyć za dwa tygodnie. W ciągu godziny wszystko zostało dopięte na ostatni guzik i dziewczyna szykowała się na następne spotkanie. Spojrzała na zegarek. Tego wieczora była również umówiona na swego rodzaju randkę, pierwszą od ponad roku. Dobrze by jej zrobiła szybka wizyta u fryzjera. Spojrzała w niebo. Przestało lać. Poszła w kierunku stacji metra.

## 76

Charmaine otworzyła mały pakiecik i wyjęła pastylkę. Włożyła ją pod język, sięgnęła po szklanekę z wodą, popiła i połknęła. Po kolejnych czterech pigułkach była gotowa. Opłukała szklanekę i starannie odstawiła na suszarkę. Pół godziny później włożyła płaszcz i wzięła klucze do mieszkania. Zamknęła

wejściowe drzwi i zaczęła schodzić w dół. Zatrzymała się w pół drogi. Czy na pewno zamknęła drzwi na klucz? Biegiem puściła się schodami na górę. Zamknęła. Ledwo dyszała. Odwróciła się i znowu zaczęła schodzić w dół. Spojrzała na zegarek. Było trzynaście po dziewiątej, trochę późno. Bała się, że nie zdąży na autobus.

Ostatnio ciągle się czegoś bała: tego, że się spóźni, że nie zamknęła drzwi na klucz, że nie wy szcztokowała włosów. Niepokoiły ją drobne, głupie sprawy. Na szczęście, kiedy wyszła zza rogu, autobus właśnie nadjeżdżał. Wskoczyła do pojazdu, znalazła wolne miejsce. Serce biło jej szybciej niż zwykle. Starła się uspokoić. Nie spóźni się. Dzisiaj wszystko jest pod kontrolą. Odwróciła się i zaczęła wyglądać przez okno. Nie uśmiechnęła się do nikogo i do niczego. Poczowała się lepiej. Wysiadła na właściwym przystanku i ostrożnym krokiem poszła w dół ulicy do numeru pięćdziesiąt cztery. Zadzwoiła do drzwi.

Sylvia otworzyła niemal natychmiast.

- Od razu idź na górę - poleciła, zamykając za nią drzwi. - Zaraz przyjdę. Chodzę trochę wolniej.

Dziewczyna poszła na górę do gabinetu terapeutki na najwyższym piętrze.

- Powiedz, jak się dzisiaj czujesz - łagodnie zagadnęła Sylvia. Zachęcająco kiwała głową, a Charmaine ostrożnie opowiadała o minionym tygodniu. - Wspaniale pochwaliła terapeutka. - Wydaje się, że wszystko w porządku.

Dziewczyna twierdząco skinęła głową. Pastylki jej pomagały. Ukradkiem przejechała palcami po bliznach na wewnętrznej stronie nadgarstków. Rany się goiły. Powoli, bardzo powoli napięcie mijało. Łagodne pytania Sylvii i jej życzliwość powodowały, że lepiej się czuła, chętnie z nią rozmawiała. Kiedy po upływie pięćdziesięciu minut skończyły sesję, dziewczyna nadal była spokojna. Wstała, zapięła płaszcz i zeszła na dół. Pożegnała się z Sylwią, otworzyła drzwi i wyszła na ulicę.

Było niezwykle pogodne wiosenne przedpołudnie. Na tle błękitnego nieba oddech wirował zimnym obłoczkiem pary. Szła w dół ulicy. Ceglane mury domów i pomalowane na jaskrawe kolory drzwi migwały jej przed oczami, ale ich nie widziała. Czuła się tak, jakby od zewnętrznego świata oddzielał ją cienki jak mgiełka welon. Cierpliwie czekała na autobus. Podjechał, wsiadła, podała kierowcy odliczone pieniądze i wzięła bilet. Całe wyjście zajęło jej nieco ponad dwie godziny. Kiedy dotarła do swojego mieszkania, Nathalie już na nią czekała. Była w czwartym miesiącu ciąży i - jak pogodnie mawiała - rzygała jak norka. Uściskała przyjaciółkę i przygotowała dwie filiżanki herbaty.

- Jak się czujesz? - zapytała. OK. Dobrze. - Charmaine ostrożnie skinęła głową. Nathalie przyjrzała się jej uważnie. Niepokoiło ją działanie pastylek. Od czasu wyjścia ze szpitala przyjaciółka cały czas była bardzo przygaszona, jakby otumaniona.

Na co masz ochotę? Co będziemy robić? - zapytała Nathalie, odgryzając brzeg opakowania Kitkata. - Pójdziemy na spacer? Może do kina? Cokolwiek. Wszystko

jedno. Charmaine nie lubiła być sama, ale było 528jej wszystko jedno, co robi. Większość wieczorów spędzała u Nathalie, czasami zostawała na noc, kiedy czuła się zbyt zmęczona, żeby wrócić do własnego mieszkania. W niedziele odwiedzała matkę, ale cisza i wymuszone przemilczenia źle na nią wpływały. Mary Hunter rozpaczała nad losem córki. Winiła siebie, obwiniła Charmaine, oskarżała Simona, wszystkich obarczała winą. Dziewczyna wolała zostawać u Nathalie. Erie, mąż przyjaciółki, był cudowny. Jako lekarz, wiedział, kiedy należy przestać zadawać pytania, na które nie potrafiła udzielić odpowiedzi. A Misza... Charmaine wprost go uwielbiała. Zawsze wdrapywał się dziewczynie na kolana, upominając się o buziaka albo inną pieszczotę. Bardzo jej pomagał. Nazywał ją ciocią Shammie. To jedna z rzeczy, którą Cordelia zaszczepliła córcie: do przyjaciół któregośkolwiek z rodziców dzieci nie zwracają się po imieniu, tylko mówią: wujku lub: ciociu. Tak jest lepiej dla dzieci, wzajemne relacje są wyraźnie określone.

Już wiem - niespodziewanie odezwała się Nathalie. - Char, kiedy ostatnio byłaś na zakupach?

Charmaine lekko zmarszczyła czoło. Nie pamiętała. Straciła poczucie czasu. Niektóre rzeczy przypominała sobie bez trudu, tłukły jej się po głowie przez cały dzień. Również te, o których nie chciała pamiętać. Trudniej jej było przypomnieć sobie rzeczy ważne. Weźmy, na przykład, dwa ostatnie lata: właściwie nie pamiętała, co się kiedy zdarzyło. Nie była pewna, czy to w ostatnie święta Bożego Narodzenia, czy jeszcze rok wcześniej pojechała na narty z Simonem i jego trzema znajomymi, którzy okazali się klientami. Albo czy to ubiegłego lata, kiedy szli Kensington High Street, zeszła z krawężnika prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu. Nie wiedziała, czemu to zrobiła. Widziała szybko zbliżający się samochód i po prostu wyskoczyła na jezdnię. Jakiś przechodzień, idiota, w ostatniej sekundzie ją chwycił i rzucił na ziemię. Simon uznał, że po prostu była nieuwważna. Do końca pobytu w Londynie prawie się do niej nie odzywał.

- No jak? - łagodnie dopytywała się Nathalie.

- Co? - Charmaine gapiła się w przestrzeń.

- Zakupy... masz ochotę na zakupy?

- Dobrze. Będzie miło.

- Czy... - Nathalie przygryzła wargę - przynieść ci płaszcz? - zapytała. Charmaine podniosła się, żeby odnieść do kuchni filizanki. Po raz drugi tego dnia je umyła, starannie wypłukała i odstawiła na suszarkę. Rozejrzała się po kuchni. W pomieszczeniu panował idealny porządek. Zeszła za przyjaciółką na dół. Pomacała sukienkę, którą wybrała Nathalie. Była ładna, miała malutkie srebrne kwiatuszki na ciemnoniebieskim tle i cienkie satynowe ramiączka. Sukienka koktajlowa. Jaki koktajl?

- Wszystko w porządku? - usłyszała głos koleżanki.

- Właśnie przymierzam sukienkę - skłamała Charmaine. Jeszcze raz spojrzała na

suknię. Potem odłożyła torebkę i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wszystko wyglądało normalnie. Miała na sobie dzinsy, czarny wełniany sweter i czarne pantofle na płaskim obcasie. Wyglądała dobrze, normalnie. Popatrzyła na ręce. Takie same... jak kogokolwiek innego. Dopóki nie spojrzy się na nadgarstki. Przesiadła na małej ławeczce. Podciągnęła rękaw powyżej łokcia. Powoli odwracała ramię na zewnątrz, aż przed oczami ukazała się wewnętrzna strona dłoni. Patrzyła na zaczerwienioną, pofalowaną skórę na nadgarstku. Zamknęła oczy.

Nawet potem, gdy przerażona zadzwoniła do Nathalie, a przyjaciółka wezwała karetkę i ambulans na sygnale, migając niebieskim światłem ostrzegawczym, przyjechał zabrać ją do szpitala, nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Doskonale widać było, jak: nóż do krojenia cebuli leżał na podłodze w sypialni, cały zboczony krwią i z kawałkami jej skóry na ostrzu. Jeden z sanitariuszy podniósł go i umył, zanim przyjechała Nathalie. Co mogła powiedzieć? Jak to się stało?

Naprawdę nie wiedziała.

Próbowała połączyć fragmenty wydarzeń w rozmowie z lekarzem, który przyjął ją do szpitala, ale nie potrafiła. Wydawało jej się, że od wielu miesięcy prześladowały ją takie myśli - tak: myśli samobójcze, skoro tak chciał je nazwać. Prześladowały ją od zawsze. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek czuła się inaczej. To znaczy jak się pani czuła?

Słyszała jego głos z bardzo, bardzo daleka. Odwróciła się i ukryła twarz w poduszce. Przynalęła sobie krzesło i usiadł obok łóżka. Na kolanach trzymał otwarty notatnik, w dłoni pióro. Był przygotowany do spisania historii choroby z fragmentarycznych informacji, jakich mogła mu udzielić. To znaczy jak się pani czuła? Wzruszyła ramionami. Jak... śmieć. Czuła się pusta w środku. Obudziła się jak zwykle długo przed świtem.

Od jak dawna budziła się pani tak wcześnie? Od pewnego czasu. Co pani robiła po przebudzeniu? Nic. Myślałam. Próbowałam z powrotem zasnąć. Udało się? Czasami. A o czym pani myślała? O niczym. O wszystkim. Co się stało dzisiejszego ranka? Spojrzała na przeguby rąk. Nie pamiętała. Obudziła się... tak. Pamiętała, że obudziła się wcześnie. Było jeszcze ciemno. Poszła do kuchni, żeby podkręcić ogrzewanie. Zapaliła światło, chciała dobrze widzieć skalę termostatu. Wtedy zobaczyła nóż. Wzięła go do ręki. Właściwie nie zamierzała nic zrobić... po prostu wzięła go do ręki. Leżał na wierzchu. Palcem przejechała po ostrzu, był bardzo ostry. Palec zaczął krwawić. Dokładnie nie pamiętała, co się stało potem. Przypominała sobie, że siedziała na brzegu łóżka. Zostawiła w kuchni zapalone światło - to też pamiętała.

Nie wiedziała, dlaczego przyłożyła nóż do skóry u nasady wewnętrznej strony dłoni... najpierw prawej, potem lewej. Robiła to rytmicznie, naciskała mocno z jednej strony, jeszcze mocniej z drugiej i pociągała nożem z prawa w lewo i z powrotem. Krople krwi spływały po rękach. Właściwie nawet nie bolało, naprawdę. Ciągle wbijała nóż w ciało. Potem krew zaczęła kapać na piżamę, więc zdjęła ją z

siebie. Było dużo krwi, nie mogła jej powstrzymać. Poszła do łazienki i umyła ręce. Kiedy były czyste, znowu wzięła nóż i zaczęła wciskać ostrze w ciało. Potem pojawiło się dużo krwi, zrobiła się plama na dywanie, znowu umyła ręce, ale krew nie przestawała płynąć. Wszystko było zakrwawione: łóżko, dywan, całe jej ciało. Wpadła w panikę. Wtedy zatelefonowała do Nathalie.

- Czy była pani sama?
- Tak... mój narzeczony nie mieszka tutaj.
- A gdzie on mieszka?
- W Republice Południowej Afryki.
- Jak często się widujecie?
- Niezbyt często.
- Jak często?
- W tym roku... tylko raz.
- Kiedy się widzieliście?
- Czy ja wiem, jakieś trzy miesiące temu.
- A jak często jesteście ze sobą w kontakcie?
- Niezbyt często.
- Jak często? Kiedy ostatnio pani z nim rozmawiała?
- Trzy miesiące temu.
- Ale to jest pani narzeczony?
- Tak... tak. Tak myślę.
- Tak pani myśli?
- Tak, tak przypuszczam.
- Czy on panią kocha? Czy się o panią troszczy?
- Tak sądzę.
- Czym on się zajmuje?
- Jest biznesmenem.
- Od jak dawna się spotykacie?
- Około trzech lat... nie, cztery.
- I nigdy z panią nie mieszkał?
- Stale przebywał za granicą?
- Tak.
- A pani nigdy nie chciała zamieszkać z nim za granicą?
- Nie mogłam. Nie mogliśmy.
- Dlaczego?
- On jest żonaty.
- Aha. A co pani o tym sądzi?
- Nie wiem.
- Czy ma dzieci?
- Tak.

- W jakim wieku?
- Nie wiem, chyba trochę młodsze ode mnie... tak sędzę.
- Gdzie są pani rodzice?
- Kto?
- Rodzice... pani matka i ojciec?
- Och, moja matka jest tutaj, w Londynie. Ojca nigdy nie znałam. Odszedł, kiedy byłam małym dzieckiem.
- Rozumiem.

Na chwilę zapadła cisza. Potem psychiatra wypisał receptę i wezwał do pokoju Nathalie. Polecił sesje terapeutyczne i przekazał receptę na lek. Charmaine powinna od razu zacząć go brać. Cięcia na nadgarstkach pozszywano, blizny pozostaną. Zdiagnozował depresję kliniczną. Jednak przy właściwym leczeniu farmakologicznym i regularnych sesjach terapeutycznych powinna z tego wyjść. Uprzedził, że zajmie to trochę czasu, ale dziewczyna powinna dojść do siebie.

- Idź do psychologa, Charmaine - polecił, kiedy podnosił się do wyjścia. - Jestem pewien, że takie spotkania bardzo ci pomogą.

- Niech będzie. Znowu wtuliła głowę w poduszkę. Była zmęczona, bardzo, bardzo zmęczona. Nie słyszała, kiedy wyszedł.

- Char? - Usłyszała głos Nathalie. - Wszystko w porządku? - Poruszyła zasłonką przymierzalni.

Ocknęła się z zamyślenia. Sukienkę ciągle trzymała na kolanach.

- Tak. Nic mi nie jest.

Podniosła się z wysiłkiem. Sukienka. Trzeba ją włożyć. Zaczęła rozpinać pasek.

## 77

Gabby popatrzyła na Naela.

- Ruanda? Nawet nie była pewna, gdzie leży ten kraj - Kiedy? - zapytała, starając się ukryć irytację.

- Dzisiaj wieczorem. Behrends chce, żebym zabrał się z francuską ekipą jutro rano. Muszę więc wylecieć z Nowego Jorku o szóstej.

Przeczesał ręką włosy. Wiedział, że Gabby nie będzie zadowolona. Cały ranek zastanawiał się, jak jej powiedzieć, że wyjeżdża zaledwie trzy dni po powrocie.

- Co się dzieje w Ruandzie?

Nie bardzo wiem. Podobno wczoraj wieczorem został zestrzelony samolot prezydencki. Mówi się o masowych mordach. Zamieszki trwają tam od miesięcy. - Nael wyglądał na zaniepokojonego.

- Czy...? - Gabby nie potrafiła tego z siebie wykrztusić.

- Jest bezpiecznie? - Spojrzał jej prosto w oczy. - Ani mniej, ani bardziej niż w innych miejscach, w których byłem.

Było coraz gorzej. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał, serce podchodziło jej do gardła.

- Nie martw się - ciepłym tonem starał się ją rozchmurzyć. - Pewnie brzmi to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Znasz Behrendsa. Wrócę za miesiąc.

Mylił się. Wyjazd nie trwał miesiąc. Do domu z piaskowca przy Park Slope w Nowym Jorku wrócił dopiero po trzech miesiącach. A po powrocie nie mógł o tym mówić. Gabby ze ściśniętym sercem pojechała po niego na lotnisko. Wszystkie media publikowały doniesienia z Ruandy. Dzięki takim reporterom jak Nael i setki innych, którzy byli na miejscu, świat wiedział, co się tam dzieje, nawet jeśli celowo odwracał wzrok. Bała się o niego i wydarzeń, których był świadkiem. Oglądała reportaże Naela, uważnie przyglądała się jego twarzy na ekranie telewizora, starając się uchwycić różnicę między maską zawodowego sprawozdawcy a reakcją zwykłego, przeciętnego człowieka na dokonywane wokół zbrodnie ludobójstwa. Widziała, jak pokonał bramkę na lotnisku im. Kennedy'ego i oszołomiony wyszedł na rozżarzony piekącym słońcem terminal.

- Nael - pomachała do niego.

Odwrócił się na dźwięk swojego imienia. Zobaczył ją i uśmiechnął się z przymusem.

- Gabs.

Podszedł do dziewczyny, rzucił torbę na ziemię i objął ją ramionami. Twarz skrył w załamaniu jej szyi. Mocno tuliła go do siebie.

- Chodźmy - szepnęła. Skinął głową. Zachowywał się, jakby nie chciał wypuścić jej z objęć. Poprowadziła go do samochodu. - Tylko to masz? - Spojrzała na torbę. To nie ta, z którą wyjechał. Otworzył bagażnik i wrzucił ją do środka.

- Tamtą spaliłem. Wszystko spaliłem. Ten odór.

W zamyśleniu skinęła głową i uruchomiła silnik. Wyciągnął rękę, oparł dłoń na kolanie dziewczyny i już jej nie cofnął. Powiedział, że musi ją czuć, aby sobie przypomnieć. Do domu jechali w milczeniu.

- Zapomniałem, jak to miejsce wygląda - powiedział, kiedy parkowała przed apartamentem.

- Tęskniłeś za naszym domem, prawda? Powoli skinął głową, jakby odpowiadał sam sobie.

- Gabs - niespodziewanie odwrócił się do niej - jakie masz plany na resztę tygodnia?

- Pracuję. Dlaczego?

- Wyjedźmy gdzieś, tylko we dwójkę. Tam, gdzie jest ciepło... na plażę. Muszę się oderwać. Zaniepokoiła ją nuta rozpaczy w jego głosie. Coś się w nim zmieniło.

- Jasne. Dokąd chciałbyś pojechać?

- Nie wiem... do Kalifornii? Nigdy tam nie byłem.

- Ja też nie. San Francisco?

- Zacznijmy od San Francisco i jedźmy na północ. Muszę pobyć w miejscach, gdzie jest czysto... patrzeć na coś pięknego.

Zobaczyła łzy w jego oczach. Podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jutro wyjedziemy. Dzisiaj zarezerwuję bilety. - Chodź.

Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Kot Percy owinał się wokół kostek Naela i mruczał z zadowoleniem. Uwielbiał pana domu, który zawsze poświęcał mu wiele uwagi. Inaczej niż Gabby, która rano, przed wyjściem do pracy, szybciotko muskała go po karku i - jeżeli miał szczęście - podrapała pod brodą wieczorem, kiedy siedziała i czytała na wielkiej, czerwonej kanapie.

Kiedy w nocy się kochali, znowu poczuła na policzku łyzy Naela. Został w Gabby po wytrysku, leżał na niej bez sił i chęci wykonania jakiegokolwiek ruchu. Na twarzy miał słoną wilgoć, językiem wodziła po zarysie szczęki. Nic nie mówił, leżał bez ruchu, a nabrzmiała żołądź penisa wciąż w niej tkwiła. W ciemności gładziła dobrze znaną twarz, czuła łuk gęstych, teraz wilgotnych od łez rzęs, palcami wodziła po krótkich, kręconych włosach na karku. Całe ciało miał napięte, sztywne.

- Śpij - szepnęła. - Nic nie mów, nie teraz. Jeszcze nie. Porozmawiasz ze mną, kiedy będziesz gotowy.

Poczuła, że westchnął. Powoli napięcie zaczęło go opuszczać.

W końcu wysunął się, jego ciało opuściło jej wnętrze, została wilgoć na udzie. Leżał obok, twarz zasłonił ramieniem. Wsunęła rękę pod jego ramię.

- Jutro. Pojutrze. Kiedy będziesz gotowy.

Ciężko skinął głową. Nie sądził, żeby kiedykolwiek mógł mówić o tym, czego był świadkiem. Następnego wieczora wjeżdżali na podjazd przy hotelu Dancing Coyote Lodge. W tym momencie i w takiej okolicy trudno było uwierzyć, że takie miejsca jak Kigali, Goma czy Gitarama naprawdę istniały. Patrząc na falujące wzgórza Point Reyes i bezmiar potężnego oceanu, Nael czuł, że obrazy, które wbiły mu się pod powieki, tak że je widział zarówno we śnie, jak i na jawie, powoli zaczynają się zacierać.

Przypalił papierosa; znowu zaczął palić. Czasami myślał, że to jedyna rzecz, która chroni go przed szaleństwem podczas tego zstąpienia do piekła. Papierosy i od czasu do czasu piwo, nawet wino. Kiedyś natknęli się na porzuconą piwniczkę win w jednym z opuszczonych hoteli w Kigali. Nael, dwaj reporterzy z Associated Press i kamerzyści BBC co wieczór uszczuplali hotelowe zapasy, popijając dobre czerwone wina. O kacu nie było mowy. W tym miejscu człowiek budził się w ułamku sekundy z głębokiego snu całkowicie przytomny.

Zaproponował Gabby papierosa. Wzięła bez słowa. Palili w milczeniu. Pomyślał, że dziewczyna okazała się idealną towarzyszką. Była osobą niczym nieskażoną w sposób, w jaki nauczył się to rozumieć. Zawsze z przyjemnością pozostawała w towarzystwie Naela, siedziała obok, dotykając go ciepłym ciałem wszędzie, gdziekolwiek. Tego potrzebował: ciszy i ciepłego dotyku. Często się z nią kochał - tak często jak na początku ich związku. Nie spodziewał się, że za każdym razem, kiedy w nią wchodził, będą ogarniały go aż tak silne uczucia. Czystym wzrokiem patrzyła mu w oczy, ręką spokojnie i pewnie gładziła po plecach. Nie mógł mówić.



O nic nie pytała.

Trzymał ją za lewą rękę, tę z pierścionkiem z brylantem. Kciukiem potarł kanciaste brzegi kamienia. Trzy lata. Minęły trzy lata, odkąd poprosił ją, żeby za niego wyszła. Tymczasem jeszcze się nie pobrali. Ciągle był gdzieś w podróży służbowej, a Gabby pracowała, pracowała i pracowała. Snuli plany, o tak, wielkie plany: Gdzie wezmą ślub? Czy będzie to skromna uroczystość, tylko dla rodziny i przyjaciół, w Nowym Jorku? Może w Londynie? A może w Ramalli? Myśleli nawet o Cancun i jednej z tych koszmarnych ceremonii łączących ślub z miesiącem miodowym, których się nie zapomina do końca życia. Ale zawsze były jakieś ważniejsze sprawy. Jego matka znowu trafiła do więzienia, ojciec zachorował. A rodzice Gabby? Nieczęsto o nich mówiła, rzadko z nimi rozmawiała. Wzruszył ramionami. Nie musiała nikomu niczego udowadniać. Powoli, ale konsekwentnie wspinała się na szczyt. Była prawa i uczciwa, nawet więcej, stanowiła uosobienie prawości i uczciwości. Co z tego, że jej ojciec taki nie był? Nael sporo wiedział o nieszczególnych ojcach.

- Gabs. - Przekręcił pierścionek na jej palcu. - Zróbmy to. Teraz, zaraz, tylko we dwoje.

- Co mamy zrobić? - Oparła głowę na jego ramieniu. Miała teraz długie włosy. Pasma opadło mu na rękaw.

- Pobierzmy się. Możemy przekroczyć granicę i pojechać do Reno. Albo do Vegas. Zajmie to nam cztery godziny, może pięć. Moglibyśmy wyruszyć natychmiast. Podniosła głowę i spojrzała na morze. Ranek był przyjemny, od wody wiał lekki wietrzyk. W górze nad nimi nieustannie krążyły mewy, skrzecząc niemal po ludzku brzmiącymi głosami. Odwróciła się do niego. W oczach miała łzy.

- Dobrze. Czemu nie? - Delikatnie pogładził kącik jej oka, ścierając palcem widoczną łezkę.

- Wstawaj. - Zdusił papierosa. - Chodźmy, zanim się rozmyślimy, zanim któreś z nas się rozmyśli. - Podniósł się.

- W co się ubierzemy? - Gabby uśmiechnęła się nerwowo. Popatrzyła na siebie: szorty khaki i biały podkoszulek. Włosy swobodnymi lokami spływały wokół twarzy. Nie umyła ich po wczorajszym wieczornym pływaniu. W podróż nie zabrała ze sobą wiele, na pewno nie miała nic, w czym można wziąć ślub. Nael spojrzał na nią, potem na siebie: sprane niebieskie džinsy, obcięte na wysokości kolan, i ciemnoniebieski podkoszulek z logo Uniwersytetu Cambridge. Powinien się też ogolić. Roześmiali się.

- Zatrzymamy się po drodze przy jednym z tych dużych, podmiejskich centrów handlowych. Coś kupimy. Możemy wziąć pokój w hotelu, kiedy dojedziemy do Vegas. Wymeldowujemy się stąd? - Po chwili sam sobie odpowiedział. - Nie, przecież jutro rano pewnie tu wrócimy.

- Nael, cały urlop spędzimy w samochodzie - ze śmiechem protestowała Gabby.

- I co z tego? Mogę prowadzić, to żaden kłopot.

- Dobrze. - Spojrzała na niego niepewnie. Wziął ją za ramię i przyciągnął do siebie.  
- Kocham cię - powiedział powoli, wyraźnie oddzielając sylaby. Ko - cham - cię.  
- Ja też, *habibi* - szepnęła w odpowiedzi. - Chodźmy. Co powinniśmy ze sobą zabrać?  
- Chyba prawa jazdy. Gdzieś czytałem, że wystarczy mieć ze sobą prawa jazdy. Nawet o świadków sami się zatroszczą. No i, oczywiście, kartę kredytową. Bez tego nic się nie da załatwić. - Znowu się roześmiał.  
- Więc chodźmy. Po drodze powiemy w recepcji, że wracamy jutro.  
Wzięła kluczyki od samochodu i podniosła torebkę. Wezmą ślub. Kiedy jutro wróca, będzie już panią Naelową Kilani-Hughes. Nie, nie będzie. Nael wiedział, że nie może zmienić nazwiska. Ale... żona? Mój mąż. Bezgłośnie bawiła się nowym określeniem. Mąż. Podobał jej się dźwięk tego słowa. Brzmiało ślicznie, chociaż trudno jej było uwierzyć, że to się działo na prawdę.  
- Oczywiście. - Dziewczyna za ladą recepcji w hotelu Holiday Inn uśmiechnęła się do nich. Była bardzo miła. - Nie ma sprawy. - Powiedziała: sprawy. Gabby wpatrywała się w jej usta. Zastanawiała się, zresztą nie po raz pierwszy, jak to się dzieje, że Amerykanie zdają się mieć znacznie więcej zębów niż inni ludzie. Wszystkie idealnie proste i białe. Oderwała wzrok od ust biednej dziewczyny. - Zapewniamy usługi różnego rodzaju i w różnych cenach. Co tylko państwo sobie życzą. Organizujemy śluby w salach recepcyjnych, w ogrodzie, tradycyjne i oryginalne. Jaką sumę zamierzają państwo przeznaczyć na ten cel? - ciągnęła płynnie. Znała swój fach.  
Nael błagalnie popatrzył na Gabby. Pomocy! Uniosła ramiona.  
- Trzysta dolarów? - zaryzykowała. Odwrócili się do recepcjonistki.  
- Wspaniale! - Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Wewnątrz czy w ogrodzie? Polecam pakiet Gazebo. Ślub odbywa się na tarasie z szerokim widokiem. Nael z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. O rany! Nie tak to sobie wyobrażał. Gabby skinęła głową. Brzmiało świetnie. Dziewczyna pochyliła się, wybrała jedną z ulotek i pchnęła ją po ladzie w ich kierunku. „Śluby na tarasie w Las Vegas”. Gabby przełknęła ślinę. Zupełnie jakby kupowali samochód.  
Dla was najbardziej odpowiedni będzie trzeci wariant pakietu - odpowiedziała dziewczyna i niemożliwie długim paznokciem sunęła w dół strony. - O, tutaj. - Czerwony paznokiec postukał we właściwe miejsce. Nael i Gabby szybko przebiegli wzrokiem opis:  
Zamów prywatną ceremonię zaślubin na naszym przepięknym tarasie widokowym.  
W cenie gwarantujemy:  
\* Usługi pastora  
\* Rezerwację tarasu  
\* Oprawę muzyczną (można dostarczyć własne nagrania)  
\* Długą limuzynę, która przywiezie i odwiezie państwa do hotelu/domu

\* Grzecznościowo usługi fryzjera i wizażystki (tylko dla panny młodej)

\* Pamiątkowe zdjęcie w akrylowej ramce

\* Widokówki (3 sztuki)

\* Okolicznościową naklejkę „Nowożeńcy” na zderzak.

Limuzyna zabierze państwa z hotelu/domu. Pojedziecie państwo na Ślub Swego Życia. Zamawiając, prosimy wpłacić zaliczkę w wysokości 55 dolarów, całość sumy (plus VAT) należy uiścić w dniu ślubu. Dzwoncie, żeby zamówić Ślub Swego Życia. Dzwoncie już dziś!

- Czy to oryginalny patent? - zapytał Nael recepcjonistkę, przesuwając broszurę po błyszczącym marmurowym blacie.

- Słucham? - Dziewczyna wyglądała na zakłopotaną, przestała się uśmiechać. Zachowywała ostrożność wobec gości z Wielkiej Brytanii. Zawsze zadawali najdziwniejsze pytania.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - uśmiechnęła się Gabby. - Podoba się nam. Decydujemy się na tę wersję.

Recepcjonistka odpowiedziała uśmiechem, poczuła się pewniej.

- Co będzie nam potrzebne? - szybko zapytała Gabby. - Zezwolenie na ślub?

- Zezwolenia wydawane są dwadzieścia cztery godziny na dobę w Urzędzie Stanu Cywilnego hrabstwa Clark przy ulicy Trzeciej. Pokażę państwu na mapie, gdzie to jest. Opłata wynosi pięćdziesiąt dolarów. Trzeba mieć gotówkę, nie przyjmują ani czeków, ani kart kredytowych. Nie wymagają też badania krwi. Zajmie to państwu piętnaście minut. - Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. - Czy któreś z państwa już wcześniej było w związku małżeńskim? - Potrząsnęli głowami. - W porządku. Stan Nevada nie wymaga przedstawienia orzeczenia o rozwodzie.

Skończyliście osiemnaście lat? - Zachichotali, potem skinęli głowami. - Dobrze. To wszystko. Kiedy chcielibyście państwo wziąć ślub?

- Dzisiaj. Czy jest to możliwe? - zapytała Gabby.

- Żaden kłopot. Zaraz zadzwonię i sprawdzę. Pięć minut później wszystko było załatwione. Fryzjerka, wizażystka, jak ją recepcjonistka nazywała, miała przyjść do pokoju hotelowego z kilkoma sukniami do wyboru i niezbędnymi kosmetykami o szóstej trzydzieści. Ślub zaplanowano na ósmą. Z hotelu do miejsca, w którym miała się odbyć uroczystość, jechało się pięć minut. Cała ceremonia miała trwać około dwudziestu minut, potem dziesięć minut na zdjęcia. Do hotelu wrócą akurat na Weselną Kolację. Popatrzyli po sobie. Jeszcze nigdy w życiu Gabby aż tak bardzo nie chciało się śmiać. Udało jej się jednak dotrzeć do windy, dopiero wtedy wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

W ślubnej sukni wyszła z windy do hotelowego holu. Nael widział, jak podniosła rękę i z zakłopotaniem dotknęła kwiatu, który miała zatknięty za uchem. Wyglądała przepięknie. Zwrócił uwagę, że kilku mężczyzn śledziło ją wzrokiem, kiedy po marmurowej posadzce szła w kierunku baru. Nie zauważyła go. Usiadła na jednym z pokrytych skórą barowych stołków, fałdy długiej sukni spłynęły wokół nóg. Miała

bardzo jasną skórę. Wyróżniała się wśród ludzi o brązowych po samoopalaczach ciałach i rozjaśnianych blond włosach. Wyglądała porcelanowo... i prawdziwie. Obserwował, jak zamawia drinka, coś z lodem. Widział, jak płyn połyskuje w promieniach światła, kiedy podniosła szklaneczkę do ust i wychyliła jednym haustem. Była zdenerwowana. Wstał z miejsca, na którym siedział w odległym końcu sali, i poszedł w kierunku baru.

- Gotowa? - Usiadł na stołku obok. - Wyglądasz... przepięknie - powiedział, dotykając orchidei, na którą namówiła ją Mary-Jo.

- Pan też nieźle wygląda, panie Kilani-Hughes - odwzajemniła komplement i wzięła do ust kostkę lodu z posmakiem whisky.

- Chodźmy, *hamoudi* (skarbie).

Pomógł jej wstać ze stołka. Wyszli na zewnątrz, powietrze było suche, gorące.

Limuzyna rzeczywiście czekała. Kierowca wyskoczył z samochodu - jeszcze jeden z rzędem idealnie równych, śnieżnobiałych zębów - wsiedli i odjechali.

Pół godziny później stali na patio hotelu Imperial Palace, na którego terenie znajdował się taras widokowy. Para przed nimi prawie skończyła składanie przysięgi małżeńskiej. Nael odwrócił głowę, żeby popatrzeć na Gabby. Była spokojna, pierś równomiernie wznosiła się i opadała pod suknią w kolorze fuksji. Lekko dotknął jej łokcia. Rozległy się ciche brawa. Para odwróciła się i zaczęła iść dość zniszczonym czerwonym chodnikiem, prowadzącym prosto do hotelowego baru.

Nael uściskał ramię Gabby. Ruszyli.

- Kościelny czy cywilny? - uśmiechnął się do nich pastor.

- Kościelny.

- Cywilny - odezwali się oboje jednocześnie.

- Pastor roześmiał się. Był potężnym mężczyzną z gęstą, czarną brodą. Głos miał głęboki, niski. Gabby pomyślała, że jest wierną kopią karykatury typowego czarnego pastora upowszechnianą przez telewizję. To może połączymy jeden z drugim? - zaproponował. Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się. Taka właśnie była Ameryka. Każdy mógł mieć wszystko, co chciał i jak chciał.

- Boże Ojczy, drodzy przyjaciele - zaczął pastor. - Zebraliśmy się tutaj... - Gabby przelotnie pomyślała o rodzicach, o Rianne, Nathalie i Charmaine, o matce i ojcu Naela. Pod powiekami czuła łzy, coś ścisnęło ją w gardle. Nael wsunął jej na palec obrączkę, którą kilka minut wcześniej kupił w hotelowym sklepiku. Stłumiła szloch. Potem pocałował ją szybko i mocno. Pastor oraz wynajęci świadkowie złożyli im gratulacje. Szli pod rękę w promieniach zachodzącego słońca. Byli małżeństwem. Czerwonym chodnikiem dotarli do baru. Pan młody nie potrafił ukryć radości.

- Czego się pani napije, pani Kilani-Hughes? - zapytał.

- Proszę whisky, podwójną - roześmiała się Gabby.

- Właśnie wzięliście ślub? - zapytał barman.

- Tak - odparł Nael.

- I pan prosi o whisky? Nie o szampana?

- No, nie wiem. - Nael popatrzył na butelkę w ręku barmana. - Zapytam panią. Odwrócił się do Gabby. Swojej żony.

## 78

Dr Marshall miał rację. Charmaine rzeczywiście zaczynała dochodzić do siebie. Pewnego ranka obudziła się długo po wschodzie słońca. Leżała w łóżku i patrzyła, jak poranny wietrzyk porusza zasłonami. Spojrzała na radio przy łóżku.

Siedemnaście po ósmej. Była zaskoczona. Nie pamiętała, kiedy ostatnio przespała całą noc.

Machinalnie wyciągnęła rękę i włączyła radio. Nadawała rozgłośnia Capital FM. Pokój wypełniły dźwięki muzyki. Kiedy ostatnio sama, dla własnej przyjemności, słuchała muzyki? Nie umiała sobie przypomnieć. Rozejrzała się po pokoju.

Zobaczyła kwiaty na toaletce. Kto je tam postawił? Promyk słońca oświetlił flakonik perfum... Perfumy? Kiedy ostatnio czuła zapach perfum... jakkolwiek zapach?

Ostrożnie podniosła kołdrę i zsunęła nogi z łóżka. Pod stopami poczuła ciepło drewnianej podłogi. Podeszła do toaletki i małego wazonu z czerwonymi i różowymi różyczkami. To musiała być robota Nathalie. Albo Glorii, jej sprzątaczkę.

Przyjaciółka przysyłała ją raz na tydzień, żeby posprzątała mieszkanie Charmaine. Właściwie nie było takiej potrzeby. Utrzymywała mieszkanie w porządku i czystości, jakby w ten sposób próbowała zapanować nad własnymi uczuciami: wszystko starannie poskładane, posprzątane, pozamykane w szafkach.

Poza granice, jakie narzuciła swoim myślom, wychodziła wyłącznie podczas wizyt u Sylvii. U psychoterapeutki czuła się bezpiecznie. Podniosła jeden z flakoników i obracała w dłoniach. Był pełny, ciężki. Zerknęła na nazwę. Christalle. Chanel.

Zmarszczyła czoło. Nie przypominała sobie ani nazwy, ani zapachu. Odkręciła kwadratową, czarną zakrętkę i ostrożnie powąchała srebrną końcówkę rozpylacza.

Nic. Spryskała odrobiną wewnętrzną stronę ręki i z wahaniem podniosła ją do nosa.

W następnej chwili zalała ją fala uczuć tak silnych, iż myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. Upuściła flakonik i cofnęła się od toaletki, po czym ciężko usiadła na łóżku.

Chciało jej się płakać, łzy szczypały w oczy. Położyła się i łkała, z trudem chwytając powietrze, jęczała ze złości. Całe ciało ogarniała wściekłość, gorąca i gęsta, wdzierająca się w najciemniejsze zakamarki mózgu, wydobywając na wierzch obrazy i wspomnienia, które zakopała w mroku niepamięci.

Pochylający się nad nią Simon i uderzający ją po twarzy... tym. Czterej mężczyźni śmiejący się z niej, kiedy próbowała zadowolić ich wszystkich. Łkała. Dziwka, kurwa, zdzira. Simon patrzący na nią z góry trzymał przygotowane kajdanki. Podała mu rękę, odwróciła głowę. Z radia płynął radosny głos Kylie. Zagryzła zęby na dłoni i żałośnie płakała.

Sylvia domyśliła się wszystkiego, kiedy tylko w następną środę Charmaine weszła do pokoju na najwyższym piętrze. Dziewczyna była spięta, czujna, inna niż zwykle.

- Jak się czujesz? - zapytała ostrożnie. Dobrze - odparła i zamilkła. Bawiła się nitkami na podłokietniku fotela. - Ja... nie wiem... nie rozumiem tego... To...

Jestem... - Przerwała, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

- Powiedz. - Sylvia mówiła łagodnie, ale stanowczo.

- Zła? - Dziewczyna spojrzała na nią niepewnie. Psychoterapeutka uśmiechnęła się smutno. Dobrze. Nareszcie.

- Na kogo?

- Na... niego - powiedziała i wzięła głęboki oddech. - Nie wiem, dlaczego, ale jestem na niego zła.

- I słusznie. Zbyt długo byłaś zła na siebie.

- Nie, nie byłam zła... byłam... nie wiem... nieszczęśliwa?

- Charmaine, depresja często jest wynikiem tłumionej złości. Jeśli nie potrafimy wyrzucić czegoś z siebie oraz głośno i otwarcie obciążyć tym innych, obracamy to przeciwko sobie samym. Krzywdziłaś siebie, Charmaine, nie jego. Karałaś niewłaściwą osobę. - Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

Sylvia podsunęła jej pudełko z jednorazowymi chusteczkami.

Nareszcie.

Tak wyglądał przełom. Potem z każdym dniem było coraz lepiej. We wrześniu z Nathalie, Erikiem i Miszą siedziała na skąpanej w słońcu trawie w parku Waterlow, w pobliżu nowego gabinetu Erica. Jadła kanapkę z jajkiem i wyglądała na normalną, zdrową, radosną, młodą kobietę. Blizny na nadgarstkach bladły, trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby dostrzec pomarszczoną skórę. Rany wewnętrzne również się zablizniały. Dr Marshall sugerował, żeby jeszcze przez rok nie odstawiała pastylek. Lekarze chcieli całkowicie zlikwidować wszelkie ogniska choroby.

Rekonwalescencja nabrała tempa, kiedy Charmaine uwierzyła, że była chora, a nie tylko słaba czy głupia i dlatego nie potrafiła właściwie ułożyć sobie życia.

Leżała na trawie z Miszą i obserwowała przyjaciółkę z mężem. Nathalie wyglądała jak hipopotam, lada dzień miała rodzić. Erie leżał na plecach, jedną rękę trzymał na pękatym brzuchu żony, drugą zasłaniał oczy. Krążyła nad nim osa. Było ciepło.

Charmaine posadziła Miszę na swoim brzuchu. Chłopczyk wiercił się, szukając najwygodniejszej pozycji. Z całą powagą poinformował ją, że nie mógł sypiać na mamy brzuszku. Tam była jego mała siostrzyczka. Mógł jej zrobić krzywdę.

Charmaine pogłaskała malca po główce. Kilka dni później siedziała zdecydowana przy kuchennym stole i przeglądała gazety. Bezmyślnie ssała brzeg paznokcia.

Ciągle to samo: praca sekretarki, recepcjonistki, personel do baru, fryzjerka... z palcem na kolumnie przejechała do końca szpalty. Nic, co by jej odpowiadało.

Podniosła wzrok znad gazety i westchnęła. Była zdecydowana podjąć pracę. Nie bardzo wiedziała, co chciałaby robić. Jednak, jak z ożywieniem wyznała Nathalie, po rocznej terapii jednego była pewna: jeżeli nie znajdzie sobie zajęcia, choćby

tymczasowego, znowu w coś się wplącze. W coś albo z kimś. Podczas ostatniego spotkania Sylvia radziła: „Zajmij czymś głowę, znajdź sobie jakieś zajęcie, coś, co lubisz. Idź do pracy, zapisz się na kurs”. Terapeutka dawała jej mnóstwo rad. Dziewczyna wróciła do gazety.

- Może to? - palec wskazujący zatrzymała na ogłoszeniu. - „Potrzebna recepcjonistka do pracy w popularnym czasopiśmie o stylu życia. Doświadczenie niekonieczne. Dobrze widziana orientacja w świecie mody i wycucie w dziedzinie dekoracji wnętrz” - przeczytała na głos i spojrzała na przyjaciółkę.

- Zadzwoń do nich. Nic nie tracisz. Boże, która godzina? - Nathalie spojrzała na zegarek. - Muszę się zbierać. - Wzięła torebkę, kluczyki od samochodu i ciężko podniosła się z krzesła. - Daj mi znać, co powiedzą.

Charmaine automatycznie skinęła głową. Intensywnie myślała. Zastanawiała się, w co się ubierze na rozmowę kwalifikacyjną i czy uda jej się namówić Mary na finansowe wsparcie. Musiała kupić sobie coś nowego i modnego. To było czasopismo o modzie i stylu życia, powinna więc się odpowiednio zaprezentować. Pomachała ręką Nathalie na do widzenia i sięgnęła po telefon.

Kiedy tylko weszła do biura przy Farrington Road, wiedziała, że bardzo chce dostać tę pracę i że ją dostanie. Redakcja „Styl Życia” była dokładnie takim miejscem, w jakim chciała pracować. Nawet stanowisko recepcjonistki wyglądało imponująco. Charmaine już sobie wyobrażała, jak siedzi za biurkiem, błyszczące włosy falują kiedy odbiera telefony czy gawędzi z miłymi, ciekawymi ludźmi, którzy tutaj pracują. Z zachwytem rozejrzała się po holu wejściowym. Czasopismo było na rynku od niedawna, proponowało czytelnikom nowy typ magazynu. „Moda + dekoracja wnętrz + podróże + uroda = «Styl Życia»”. Prosta recepta się sprawdzała. Sprzedaż rosła, dochody z reklam płynęły wartkim strumieniem, wszystko szło zgodnie z planem.

Przed rozmową kwalifikacyjną przeprosiła na chwilę i wślizgnęła się do damskiej toalety. Pomieszczenie było wykończone elementami ze szkła i chromowanymi, ściany wyłożono lustrami, podłogę czarną terakotą. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała dobrze, znacznie lepiej niż ostatnio. Oczy nabrały blasku, włosy lśniły, twarz miała jasną, szczerą. Nikt by nie uwierzył, co przeszła w ciągu ubiegłego roku. Teraz sprawy miały się inaczej: sięgnęła dna i stopniowo wypływała na powierzchnię. Już niedaleko. Bardzo chciała dostać tę pracę. Poprawiła szminkę, wyszła z łazienki i udała się na górę.

- Kiedy możesz zacząć?

Zza mahoniowego biurka Tyson Berkeley patrzył na siedzącą naprzeciwko ładną, roziskrzoną dziewczynę. Po jednej stronie miał Camerona, dyrektora artystycznego, po drugiej Suzi, redaktor naczelną pisma. Spojrzał na współpracowników.

Charmaine wyglądała świetnie i doskonale wypadła w rozmowie. Reprezentowała sobą doskonałe połączenie absolwentki dobrej szkoły, może przyklaszkowej, i

królowej dobrego smaku. Miała na sobie długą karmelową spódnicę, czarne rajstopy w rybią łuskę, wycięty w serek czerwony sweterek i krótki żakiecik z drelichu. Prawie nie nosiła biżuterii, natomiast na nogach miała nowy model butów. Nazywały się „campersy”. Były ostatnim krzykiem mody, sklepy sprowadzały je z kontynentalnej Europy. Najwyraźniej dziewczyna śledziła tendencje w modzie. Właśnie kogoś takiego potrzebowali.

- W poniedziałek? - zaproponowała Charmaine. Dawało jej to trzy dni na zakupy i przygotowanie do pracy. Po wyglądzie pracowników, z którymi się zetknęła, wiedziała, że przywiązuje się tu duże znaczenie do odpowiedniego stylu. Weźmy, na przykład, siedzącego vis-à-vis Tysona Berkeleya. Był przystojny, ubrany ze smakiem, modnie. Na nosie miał okulary w grubej, czarnej oprawce, włosy niedbale opadały mu na oczy. Ubrany był w marynarkę w paski i ciemnozielone spodnie z aksamitu. Z aksamitu!? Kiedy ostatnio widziała mężczyznę ubranego w coś z aksamitu? Pod marynarką Tyson nosił jasnożółtą koszulę bez krawata. Siedząca obok niego Suzi wyglądała nie mniej oryginalnie. Spódnica i bluzka z delikatnej wełny o dwóch różnych barwnych deseniach, przezroczyste rajstopy, na stopach sportowe adidas - niebywale: sportowe? - a włosy splecione w warkocze.

Wyglądała bardziej na studentkę Akademii Sztuk Plastycznych niż naczelną przypuszczalnie dużego czasopisma, odnoszącego sukcesy na rynku czytelnictwa.

- W takim razie do poniedziałku. - Tyson podniósł się z fotela i podał Charmaine rękę. - Wspaniale. Witamy w „Stylu Życia”.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Wypląnęła na powierzchnię. I czuła się tam pewnie. Zeszła na dół z Suzi poznać pozostałych członków zespołu. Mili ludzie. Od razu poczuła się jak w domu.

## 79

- Masz. - Nina podała Rianne jeden z aparatów fotograficznych. - Cudo, prawda? Jej entuzjazm był zaraźliwy. Stremowana dziewczyna niepewnie wzięła ciężki aparat. - To Leica. Całe wieki jej szukałam - wyjaśniła. - Popatrz przez wizjer, no, popatrz. Zobaczysz niezwykły obraz.

Rianne podniosła aparat do oczu, tak jak setki razy robiła to przy niej Nina, i spojrzała przez obiektyw. Kobieta miała rację. Szerokokątny obiektyw obejmował większe pole widzenia, pokazywał świat inaczej, piękniej.

- Fantastycznie - przyznała Rianne. - Jest film w środku?

- Tak. Rano go włożyłam. Zrób kilka zdjęć. Jakich chcesz. O, sfotografuj mnie.

Widziałas te okropne portretowe zdjęcia, które zrobił fotograf „New York Timesa”? Rianne roześmiała się, odwróciła aparat, z przyjemnością wając go w rękę, i skierowała obiektyw na twarz Niny. Nacisnęła wyzwalacz migawki. Raz, dwa i przewijała film w taki sam sposób, jak robiła to jej pracodawczyni. Pstryknęła



jeszcze kilka zdjęć. Nina siedziała z pochyloną głową, zajęta układaniem filmów. Światło przebijało przez przesłone i tworzyło aureolę wokół jej siwej głowy... znowu nacisnęła spust migawki. Oddała kobiecie aparat.

- Szkoda filmu - roześmiała się. Nina uśmiechnęła się i pokręciła głową.

Dziewczyna miała znacznie lepsze oko, niż sądziła. Widziała i słyszała, jak wybierała fragmenty fotografii oraz omawiała i eksponowała wybrane zdjęcia, żeby sprostać szczególnym wymaganiom właścicieli galerii. Chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, miała zmysł estetyczny.

Rianne wróciła do kalendarza. Sprawdziła kilka terminów - szukały nowej galerii - i sięgnęła po telefon. Obserwowała, jak Nina pakuje aparaty fotograficzne i obiektywy. Pomyślała, że miło było trzymać Leicę w ręku, kierować obiektyw na wybrany przedmiot i robić zdjęcia tak jak Nina. Sprawilo jej to przyjemność. Po ciągłym obracaniu w dłoniach kalendarza i telefonu aparat fotograficzny stanowił miłą odmianę. Z przyjemnością patrzyła również przez obiektyw na twarz Niny - niezwykłą, kwadratową, niemal męską. Starła się uchwycić sposób, w jaki kobieta trzyma głowę, jakby nieco odsuniętą od ciała, z podbródkiem napastliwie skierowanym do przodu. Ciekawe, jak wyjdą zdjęcia.

Ku jej zaskoczeniu fotografie były dobre.

- Spójrz - zachęcała ją Nina, kiedy tydzień później przeglądała stykówki. - To mi się podoba. To chyba moje najlepsze zdjęcie.

Rianne układała slajdy Niny; podniosła głowę i podbiegła, żeby zerknąć na odbitki stykowe. Popatrzyła na zakreślone przez kobietę kadry. Miała rację. Zdjęcia były dobre. Ninie najbardziej się podobał nietypowy portret osoby stojącej trochę z boku, ale świetnie komponującej się z widocznymi w promieniach słońca szczegółami w zadymionym powietrzu. To było piękne zdjęcie kobiety zatopionej w swoim świecie i uchwyconej podczas aktu tworzenia. Może rzeczywiście miała oko.

- Dobre, prawda? - jeszcze raz powtórzyła Nina.

Dziewczyna poczuła się zakłopotana, odłożyła stykówki i wróciła do opisywania oraz układania slajdów. To należało do jej obowiązków, za to jej płacono. To Nina była fotografem, artystką, nie ona.

Kilka dni później odbierała nowy obiektyw w sklepie z używanymi aparatami Zlatka, gdzie Nina kupowała większość sprzętu. Niespodziewanie na półce spostrzegła starego Nikona. Zafascynowana, wpatrywała się w aparat. Zapytała starszego pana za ladą o cenę.

- Trzysta dwadzieścia pięć dolarów. Prawdziwa okazja - odpowiedział Tomas Zlatek. Wahala się. Czy powinna? Mogła sobie na to pozwolić? Wzięła aparat do ręki. Był ładny, ciężki. Spojrzała przez wizjer. Obiektyw nie dorównywał temu w Leice, ale jej się podobał. Kupiła aparat. Będzie miała frajdę, nawet jeśli wykorzysta go tylko do robienia zdjęć Ninie i Gabby. Będzie miała zajęcie do czasu, aż... Aż co? Tego nie potrafiła sprecyzować.

Zakłopotana, drżącymi rękoma odebrała od sprzedawcy torbę z aparatem. Miała

dziwne wrażenie, że postąpiła słusznie. Całą drogę do domu przebyła biegiem. Czowała się z aparatem jak ryba w wodzie - żartowała radośnie Nina. Wiedziała, że straciła najlepszą asystentkę, jaką kiedykolwiek miała, kiedy Rianne po raz pierwszy weszła do studia ze zdjęciami stykowymi. Popatrzyła na fotografie, które dziewczyna nieśmiało jej pokazała, i wygięła usta w uśmiechu pokonanej konkurentki. Zauważyła, że miały one zupełnie inny charakter - chwała Bogu - i nie były w jej guście. Sama niewiele czasu poświęcała ludziom. Tysiąc razy dziennie wyjaśniała wszystkim, którzy chcieli słuchać, iż woli bezmierne, potężne piękno natury i krajobrazu, niemniej musiała przyznać, że Rianne w ciekawy sposób fotografowała swoje modele. Podniosła kliszę do światła, zdjęcia były wyraźne. Nietypowe portrety zwykłych ludzi: koreańscy rzeźnicy ze sklepu na rogu ulicy, przy której dziewczyna mieszkała, dwie sędziwe Greczynki w barku przy kawie i ciasteczkach, młoda kobieta czekająca na autobus, na której twarzy widać tęsknotę i oczekiwanie. Żadna z osób nie wiedziała, że jest fotografowana. Nina nie potrafiła odgadnąć, jak Rianne udało się zrobić takie zdjęcia. Mogła jedynie powiedzieć, że były dobre. Dzięki niecodziennemu spojrzeniu dziewczyny zwykli ludzie stali się niezwykli.

- Są naprawdę dobre, Rianne. Serio.

- Naprawdę tak uważasz? - Dziewczyna nie potrafiła ukryć zadowolenia.

- Oczywiście. Są fantastyczne. Mówiłam ci, że masz dobre oko. Wyjątkowe.

Fotografuj dalej, nie zrzucaj tego.

Rianne odebrała od niej stykówki i ostrożnie włożyła do cienkiej czarnej teczki, którą ze sobą przyniosła. Bardzo się starała nie uśmiechnąć z radości, ale, do diabła... czuła się wspaniale! Ktoś, w tym przypadku Nina, chwali ją za coś, co zrobiła, nie za to, kim była. Czowała się bardziej niż wspaniale, fantastycznie.

## 80

Nael cichutko otworzył drzwi. Miał nadzieję, że nie obudzi śpiącej żony. Właśnie przyleciał z Kampali, niespodziewanie dostał tydzień urlopu. Świtało i - w co trudno uwierzyć - Nowy Jork spał. W apartamencie było zimno, szczególnie po tropikalnych upałach, z których przyleciał. Postawił walizkę i pochylił się, żeby podrapać uszczęśliwionego Percy'ego. Sza, pokazał na migi mruczącemu kotu. Zdjął kurtkę, buty i w samych skarpetkach przeszedł przez salon do sypialni.

Gabby smacznie spała. Słyszał jej oddech, widział czubek kasztanowej głowy, wystający spod białej kołdry. Zatrzymał się w drzwiach i obserwował ją przez chwilę. W przedpokoju zrzucił z siebie resztę ubrania i nagi wsunął się do niej pod kołdrę. Niespodzianka.

Nie było to mądre posunięcie. Gabby prawie wyskoczyła ze skóry.

- Ty... idioto! - wrzasnęła, kiedy uspokoiła się na tyle, żeby coś powiedzieć. f

- Chciałem zrobić ci niespodziankę. - Był zaskoczony jej gwałtowną reakcją.

- Niespodzianka? - Usiadła na łóżku z kołdrą przyciśniętą do piersi. - O mało nie umarłam ze strachu. Co ty tutaj robisz? - Nie zawiadomiłeś mnie, że przyjeżdżasz.

- Dostałem tydzień wolnego - wyjaśnił Nael, coraz bardziej niezadowolony. - Jezu, Gabby, myślałem, że się ucieszysz.

- Cieszę się, tylko... chodzi o to, że spałam. Nie miałam pojęcia, kto jest w łóżku. Myślałam, że to włamywacz - tłumaczyła, a łzy płynęły jej po policzkach. Nael patrzył na nią przerażony. Gabby? Płacze?

- Hej, hej... - Objął ją i przyciągnął do siebie. - Przepraszam, nie chciałem... Gabs, daj spokój... przytul się. - Pociągnęła nosem i wtuliła się w niego. - Sza. Otarł jej łzy z policzków. Zdumiał go nagły wybuch żony. To było zupełnie do niej niepodobne. Kojące pieszczoty po chwili stały się podniecające, Gabby przestała płakać. Dotyk Naela powoli wyzwał w niej przyjemniejsze odczucia.

- Cztery godziny później obudził go odgłos wymiotów. Słyszał szum spłuczki, a potem wody z kranu nad umywalką. Gabby wróciła bardzo blada. w m Co się stało? - zapytał, unosząc się na łokciu.

- Nie wiem. - Trzymała się za żołądek. - Musiałam coś zjeść. Wczoraj też mi było niedobrze.

- Wracaj do łóżka. Za dużo pracujesz. Kiedy mnie nie ma...

- Spokojnie przespałam osiem godzin - słabo uśmiechnęła się Gabby, wsuwając się pod kołdrę. - Nie pracuję tak dużo, jak ci się wydaje - mruknęła, ciągle trzymając się za żołądek.

- Oczywiście - wymamrotał w szyję żony. Był zmęczony. Wprawdzie przyleciał z Kampali, ale nie lotem bezpośrednim, tylko do Kairu, z Kairu do Frankfurtu i dopiero z Frankfurtu do Nowego Jorku. Przysnął.

Następnego dnia Gabby znowu rano wymiotowała. Czuła się bardzo źle i nie poszła do biura. Poza tym chciała się nacieszyć Naelem. Wieczorem jej stan poprawił się na tyle, że mogli wyjść na kieliszek wina i przedyskutować śliski temat biurokracji w ONZ. Gabby była górą.

W nocy kochali się, jakby nadal ścierali się argumentami w dyskusji. Rozkoszowali się sobą z radosną świadomością że wspólnie spędzą jeszcze cztery dni. Jednak czwartego dnia rano obudziła się z już znajomym niesmakiem w ustach i skurczem żołądka. Pokuśtykał za nią do łazienki i podtrzymał, kiedy wymiotowała. Podniosła głowę i wytarła usta wierzchem dłoni. Nael z troską spoglądał na żonę i nagle go olśniło.

- Boże, co mi jest? - jęknęła, podnosząc się z klęczek. - To już czwarty dzień z rzędu. Co ja, u diabła, takiego zjadłam? - Pochyliła się nad umywalką.

- Co ci jest? - zmarszczył czoło i skrzywił usta w półuśmiechu. - Nie wiesz?

- Co tak szczerzysz zęby? Czuję się okropnie.

- Gabby - zaczął się śmiać. - Nie wierzę. Jak możesz nie wiedzieć?

- Czego nie wiedzieć?

- Jesteś w ciąży, wariatko.

W małej łazience nagle zapanowała cisza. W lustrze nad umywalką oczy Gabby spotkały wzrok Naela. Stała bez ruchu. To stwierdzenie, jego intuicja... oczywiście, że miał rację. W lustrze za sobą widziała twarz męża. Popatrzyła na siebie i na niego. Odpowiedział spojrzeniem. Wsunęła rękę pod pasek spodni od pizamy i dotknęła brzucha. Nic. Wszystko. Ona, która całe życie wszystkim matkowała, teraz naprawdę zostanie matką. Ta myśl ją przerażała. Nie była w stanie się poruszyć ani oderwać wzroku od odbicia w lustrze. W porannych promieniach słońca stali bez ruchu.

- Gabs, o nic się nie martw - szepnął Nael. - Będiesz wspaniałą matką.

Jakimś cudem wiedział. Nie wiadomo skąd, nie miała pojęcia, jak to się działo, ale zawsze wiedział. Rozumiał to, czego nie była w stanie wyrazić słowami. Objął ją ramionami, zanim spostrzegła, że się w ogóle poruszył.

Przyzwyczała się do myśli o ciąży, zanim pod koniec tygodnia Nael wyjechał.

Nikommu się nie zwierzyła, mężowi kazała przysiąc, że również nie piśnie słowa.

Następnego dnia po wyjeździe Naela zamknęła drzwi do gabinetu i podwinęła sweter. Wpatrywała się w białą skórę brzucha... żadnej różnicy. Popatrzyła na zarzucone papierami biurko: stosy książek, sprawozdań, dokumentów. Jak znajdzie czas na macierzyństwo? Spojrzała na regały z książkami. Była teraz bardzo

zaangażowana w sprawy kobiet, począwszy od ich praw w ramach oenzetowskiej Karty praw człowieka, którą sama pomagała stworzyć, aż po przypisane tylko tej płci prawa naturalne, biologiczne: rodzinne, seksualne, do decydowania w kwestiach rodzenia dzieci. W ciągu dnia pisała w biurze o interesujących jej działach problemów, uczestniczyła w spotkaniach, pomagała przygotowywać projekty uchwał.

Wieczorem w domu oglądała się w dużym lustrze na drzwiach łazienki. Nie wiedziała, jak to wyrazić, ale była pewna, że osiągnęła równowagę, której całe życie poszukiwała, między życiem osobistym i zawodowym albo - jak by powiedział mąż - politycznym.

Pierwszym sukcesem był związek z Naelem i zamknięcie w przeszłości ducha Dominica, drugim odkrycie, że była w ciąży. Zamykała rozdział związany z nieszczęśliwym dzieciństwem i rozpoczynała nowy, pełen nadziei, co będzie mogła dać własnemu dziecku. Spojrzała na siebie jeszcze raz i jeszcze raz. Nael miał wrócić za trzy miesiące. Wtedy będzie wyglądała już zupełnie inaczej.

## 81

Charmaine była w swoim żywiole. Pewna siebie, uśmiechnięta recepcjonistka w wydawnictwie przy Farringdon Road 119 w niczym nie przypominała dziewczyny przyjętej na ostry dyżur w Kensington i Chelsea, która potem zupełnie obojętnie siedziała na brzegu łóżka, gdy badał ją szpitalny psychiatra. Każdego ranka, kiedy wybierała strój do pracy, malowała rzęsy czy szła Kensington High Street do stacji

metra, sama nie mogła się nadziwić, jak wiele osiągnęła w tak krótkim czasie. Praca nie była absorbująca: odbierała telefony, umawiała spotkania, robiła herbatę, dbała, żeby na szklanym stoliku zawsze stały świeże kwiaty, a skórzano - chromowe krzesła - jak się dowiedziała, projektu Le Corbusiera - stały równiusieńko. Była etatową hostessą magazynu „Styl Życia” i uwielbiała swoją pracę. Nauczyła się odróżniać krzesła barcelońskie od Chaiselonaque, tak zwanych leżanek Corbusiera, Eileen Gray - od Robin Day, o których mówili Charles i Ray, oraz jak zrobić kompozycję kwiatową z torebki kamyków i pojedynczego liścia palmy. Po miesiącu pracownicy redakcji zastanawiali się, jak sobie radzili, kiedy jej nie było. Czasami, naprawdę tylko od czasu do czasu, uśmiechała się szerzej, niż wymagały tego okoliczności, ale cóż, taka właśnie była Charmaine; zawsze troszkę przesadzała. W firmie mówiło się, że wiele przeszła. Jedną z szefowych działu mody, Tania, zaprzyjaźniła się z nową recepcjonistką i zauważyła wiele mówiące blizny na jej nadgarstkach. Wkrótce między wspólnie wypijanymi filiżankami kawy w kawiarence na dole poznała całą przerażającą historię. Rozbitek, któremu udało się przeżyć. Tak ją określiła Tania. Wszyscy lubili Charmaine, szczególnie mężczyźni.

- Uhm, przepraszam... czy mógłbym... czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest łazienka?

Charmaine podniosła wzrok na opaloną twarz w słonecznych okularach z ciemnymi włosami i głośno przełknęła ślinę. Przed nią stał przystojny doręczyciel w przylegającym do skóry, czarnym kombinezonie cyklisty i pomarańczowych okularach słonecznych na gumkę. Miał australijski albo nowozelandzki akcent - nigdy nie potrafiła ich rozróżnić. W ręku trzymał dużą paczkę adresowaną do Tysona.

- Tak, oczywiście. Schodami w dół, potem w lewo.

Uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała, i z przyjemnością patrzyła, jak najwspanialsze na świecie uda i pośladki przechodziły przez hol i ginęły na schodach. Wciąż jeszcze się uśmiechała, kiedy pięć minut później doręczyciel wrócił.

- Dzięki. Bardzo przepraszam, ale na zewnątrz jest cholernie zimno. Poza tym cały dzień to piłem. - Podniósł do góry pustą butelkę po wodzie mineralnej. Charmaine poczuła skurcz żołądka. Chłopak był fantastyczny. Zsunął okulary na czoło, miał piękne zielone oczy, gęste rzęsy... na brodzie lekki zarost. Kurczę, co za facet!

- Nie ma za co. - Przyglądała mu się przez chwilę. Nie mogła wykrztusić słowa.

- Uhm, kim pan jest... czy pan...?

- Czy mam to tutaj zostawić? Tak, właśnie - roześmiał się. - Dla Tysona Berkeleyya.

- Tak, to tutaj. Może pan to u mnie zostawić.

Charmaine wyciągnęła rękę przez ladę. Poczuła lekki dreszcz, kiedy biorąc przesyłkę, palcami dotknęła jego dłoni.

- Jest ciężka - oświadczył i pomógł jej położyć pakunek.

- Rzeczywiście. No, tak... dziękuję. - Charmaine ciągle stała.

- OK. No, to do zobaczenia. - Zatrzymał się tuż przed drzwiami wyjściowymi. - Cholera, musi pani podpisać odbiór. Zupełnie zapomniałem. - Podał jej arkusz pokwitowań odbioru. - Proszę podpisać, a tutaj wyraźnie wpisać swoje nazwisko i numer telefonu. To bardzo ważne, musi być czytelnie.

- Domowy czy do pracy? - Charmaine bezwstydnie flirtowała i cudownie się bawiła. Od wieków nic takiego jej się nie przydarzyło. Dokładnie mówiąc, od dwóch lat.

- Proszę o domowy telefon. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Dziewczyna znacząco uniosła brew i wpisała swój domowy numer. - Do zobaczenia... Charmaine.

- Z uśmiechem zerknął na podpis na arkuszu.

- Będzie mi miło - odpowiedziała. Usiadła i starannie skrzyżowała nogi. Doskonale wiedziała, co widać przez szklany blat recepcyjnej lady. Pomachała mu na do widzenia, kiedy wsiadł na rower i odjechał. Sięgnęła po telefon. Musiała natychmiast wszystko opowiedzieć Nathalie.

Tego wieczora nie zatelefonował. Nie zadzwonił też następnego dnia. Pod koniec tygodnia miała dość. Nic jej się nie chciało. W piątek wieczorem nie poszła jak zwykle z kolegami z pracy na drinka do pubu Eagle po drugiej stronie ulicy, ale przybita pomaszerowała prosto do domu. Dlaczego nie zadzwonił? Czyżby źle wpisała swój numer? Czuła się, jakby leciała w otchłań. Sylvia przestrzegala ją przed gwałtownymi zmianami nastroju. Próbowwała wziąć się w garść, nie dać się owładnąć rozpacz. Ogarnęło ją przerażenie. Od miesięcy nie była aż tak rozdygotana. Zsunęła się z tapczanu na podłogę i kiwała jak małe dziecko. Płakała tak głośno, że w pierwszej chwili nie usłyszała dzwonka telefonu. Kiedy zorientowała się, że dzwoni, na złamanie karku pognała podnieść słuchawkę.

- Halo? - Była bez tchu i mówiła przez nos. Wierzchem dłoni próbowała wytrzeć nos.

- Czy to... cześć, czy mówię z Charmaine? Poczwała prąd przeszywający całe ciało, aż do palców stóp. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiej ulgi.

- Tak... mówi Charmaine.

- Cześć... Nie wiem, czy mnie pamiętasz. Jestem doręczycielem... W poniedziałek byłem u ciebie w biurze.

- O tak. - Miał wspaniały głos, dokładnie taki, jakim go zapamiętała. - Pamiętam. Co słyhać? - Bardzo starała się mówić spokojnie.

- Dziękuję. Dobrze. A u ciebie?

- Wszystko w porządku - skłamała, energicznie trąc oczy wolną ręką.

- To dobrze. - Zapadła chwila ciszy. - Uhm - chrząknął. Wydawał się zdenerwowany. Charmaine się to podobało. - Chodzi o to... zastanawiam się... czy nie zechciałabyś... oczywiście, jeśli nie masz innych planów... może chciałabyś gdzieś wyjść? Na przykład do kina? Albo na kolację?

- Fajnie. Będzie mi miło. A kiedy?

- No, powiedzmy, jutro. A może to za wcześnie?

- Ależ nie. Jutro bardzo mi pasuje. Nie jestem z nikim umówiona. Wyjątkowo - dodała pośpiesznie. Nie chciała, żeby sobie pomyślał, iż sobotnie wieczory spędza samotnie w domu.

- Wspaniale. Gdzie się spotkamy? Gdzie mieszkasz? To znaczy: gdzie ci będzie najłatwiej dojechać? Nie znam dobrze Londynu. Jeszcze nie.

Wychodził z siebie, żeby nie okazać, iż bardzo mu zależy. Charmaine natychmiast się na tym poznała.

- Może w Soho? - W tej dzielnicy było mnóstwo kin i barów.

- OK. Dobrze. Znasz restaurację u Eda na Old Compton Street?

- Tak. Tam się spotkamy?

- Wspaniale, o siódmej? Możemy przejść się do Leicester Square. Cudownie. A zatem...

- Do zobaczenia jutro.

- Tak. Do zobaczenia, Charmaine.

Dopiero kiedy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że nie miała pojęcia, jak się chłopak nazywał. Dzięki Bogu musiała wytrzymać tylko jeden dzień. Jutro się dowie.

- Cześć.

Czekał na nią na zewnątrz, kiedy siedem minut po czasie zbliżała się do restauracji. Prawdę mówiąc, piętnaście minut kręciła się bez celu wokół Foyles. Nathalie udzieliła jej dokładnych instrukcji: powinna się spóźnić minimum pięć minut.

- Cześć. - Posłała mu promienny uśmiech.

W normalnym ubraniu, bez kombinezonu cyklisty, prezentował się jeszcze lepiej. Pochylił się i ucałował ją w oba policzki. Podniosła dłoń do twarzy. Broda trochę kłuła.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedział.

- Ty też - odparła z rumieńcami na policzkach. Przez chwilę stali, przypatrując się sobie i uśmiechając. Po minucie Charmaine sobie przypomniała. - Wiesz co? - rzuciła, kiedy zaczęli iść w kierunku Shaftesbury Avenue.

- Co? - Wydawało się, że nie może zdecydować, czy podać jej ramię, czy nie.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz! - roześmiała się głośno.

- O rany! - Otwartą dłonią uderzył się w ciemię. - Jess. Powinienem się przedstawić.

- Jess. To zdrobnienie od...

- Jocelyn. Ale nikt tak mnie nie nazywa - dodał szybko.

- Jess, a jak dalej?

- Dalton. A ty?

- Charmaine Hunter.

- No to, pani Charmaine Hunter, bardzo miło mi panią poznać. Nawet jeśli nasze pierwsze spotkanie odbyło się pod hasłem pełnego pęcherza. - Znowu się roześmiał.

- Bardzo mi miło, panie Dalton - zrewanżowała się Charmaine. Jess Dalton.

Charmaine Dalton. Myśli jak rakiety przelatywały jej przez głowę. Uspokój się - powtarzała sobie w duchu, zwolnij. Przecież dopiero go poznałaś!

- Co chciałabyś zobaczyć? Nie wiem. A ty?

- Też nie wiem.

- Wiesz co, może najpierw czegoś się napijemy i dopiero wtedy zdecydujemy, na co iść?

- Świetna myśl, pani Hunter. - Uśmiechnął się do niej. Stali przed f wejściem do czegoś, co wyglądało na bar. - Wchodzimy? - wskazał ręką drzwi.

- Jestem zakochana - powiedziała Charmaine do swojego odbicia w lustrze, kiedy poprawiała szminkę. Po uszy, bez granic, na zabój zakochana. Jess Dalton był najmiłym, najśłodszym, najzabawniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek znała. Kiedykolwiek, kiedykolwiek, kiedykolwiek. Zaciśnęła wargi, troszkę zbyt dużo błyszczyka, i pognęła na górę. Jess siedział dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Obserwował ją, kiedy szła przez salę. Była zakłopotana, czując na sobie jego wzrok. Wślizgnęła się na miejsce obok. Ich uda się dotykały.

Wspaniale było czuć czyjeś ciepło i bliskość oraz rozważać, co się stanie później.

- Masz dość? - zapytał.

Zastanowiła się nad pytaniem. Dość czego? Siedzenia w zatłoczonym barze, oddychania powietrzem gęstym od papierosowego dymu i zapachu taniej wody kolońskiej, przekrzykiwania hałasu, żeby być słyszaną? Pewnie tak. Siedzenia obok Jessa Daltona, patrzenia w ciemnozielone oczy chłopaka, wdychania delikatnego aromatu wody po goleniu, kiedy poruszał głową, i czucia jego uda obok swojego? Zdecydowanie nie!

- A ty? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- To zależy. - Przejechał ręką po włosach, odgarniając je znad oczu. - Tego miejsca tak, ale ciebie nie.

Charmaine niemal zemdląca z radości. Nie wierzyła własnym uszom. Jess Dalton powiedział dokładnie to, co chciała usłyszeć. Cały wieczór była nim oczarowana. Pochodził z Australii - co do tego się nie myliła - z miejscowości o nazwie South Yarra, gdzieś na przedmieściach Melbourne. Był studentem antropologii, przyjechał na wymianę studencką do SOAS - cokolwiek by to było. W Londynie mieszkał od trzech miesięcy, podjął się pracy doręczyciela, żeby upiec trzy pieczenie przy jednym ogniu: utrzymać dobrą formę, zarobić parę groszy i poznać miasto. Charmaine uważała, że chłopak jest wspaniały.

- Na pewno jest, Char - zgodziła się Nathalie trzy tygodnie później. Charmaine słyszała, jak próbuje utrzymać jednocześnie dwumiesięczną córeczkę i słuchawkę telefonu. - Ale nie trać głowy, dobrze? Bierzesz proszki?

- Sylvia mówiła, że nie powinnam przerywać, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale to nie dzięki proszkom jestem szczęśliwa, Nat. To dzięki niemu. Jessowi. Musisz go poznać, naprawdę. Sama zobaczysz. To nie tylko moje zdanie. Jest fantastyczny.



Naprawdę.

- Tak, dobrze. Na kiedy się z nim umówiłaś?

- Na dzisiaj wieczór. Przychodzi na kolację.

- Char, nie rób niczego... nie spiesz się, obiecujesz?

- Nat! Czy ty słyszysz, co mówisz? Zachowujesz się jak moja matka! - buntowała się Charmaine. Była niezwykle podekscytowana. Cały ranek sprzątała mieszkanie, szczególnie dokładnie sypialnię. Odkurzała, zamiatała, polerowała i wypachniła pokój, jakby od tego miało zależeć jej życie. Nie było takiego miejsca, którego by nie dotknęła, żeby uczynić je jeszcze bardziej uwodzicielskim. Spryskała nawet pościel czymś, co nazywało się - pochyliła głowę, żeby przeczytać nalepkę „Śpij dobrze”, wodą toaletową, którą skrapiało się poduszki. A wcale nie myślała dosłownie o spaniu. Pożegnała się z przyjaciółką. Była czwarta. Jess miał przyjść o pół do ósmej. Czas zacząć przygotowywać kolację.

Otworzyła butelkę wina. Dr Marshall ostrzegwał, iż biorąc prozac, nie powinno się pić alkoholu i należało zachować wstrzemięźliwość, ale, do diabła, była zdenerwowana. A nie chciała tego po sobie pokazać.

- O rety! - Jess nie odrywał od niej wzroku. Charmaine stała w drzwiach wejściowych, opierając się o futrynę, z jedną ręką wspartą nad głową. Miała na sobie najbardziej obcisłą sukienkę, jaką kiedykolwiek na kimkolwiek widział.

- Cześć - uśmiechnęła się do niego. Dwie godziny zastanawiała się, co na siebie włożyć. Wyrzuciła na łóżko zawartość szafy i przerzucała stroje jeden po drugim, zanim zdecydowała się na wąską sukienkę z czarnego jedwabiu z głębokim dekoltem w szpic i szerokim, błyszczącym paskiem. Była troszkę zbyt elegancka jak na kolację w domu, za wszelką cenę chciała jednak pokazać Jessowi, co - przynajmniej na razie - traci.

Okazał się dzentelmenem w każdym calu. Oczywiście ją pocałował. Był to długi, rozkoszny pocałunek, który dla Charmaine mógłby trwać wiecznie. Trzymał ją za rękę, wargami skubał płatek ucha, a raz czy dwa dłońią musnął brodawki, a potem... nic. Do tego nie była przyzwyczajona. Mężczyźni, z którymi wcześniej się spotykała, bardzo szybko przechodzili od dzień dobry do łóżka. To - jak mawiał Jess - „poznawanie się” dezorientowało dziewczynę i psuło jej szyki. A nakładały się na to jeszcze zmiany nastroju. Było coraz gorzej. Stany euforii, silniejsze niż kiedykolwiek, występowały na zmianę z równie głębokim przygnębieniem jak w najgorszych momentach w przeszłości. Kiedy spóźniał się dziesięć minut na spotkanie albo telefonował pół godziny później, była przekonana, że to już koniec, że jej życie się wali, i kompletnie się załamywała. Nathalie mogła tylko z boku uważnie obserwować rozwój wydarzeń. Co do jednego Charmaine miała rację: Jess był naprawdę miłym facetem. Przyjaciółka poznała go tydzień temu i natychmiast bardzo polubiła. Miała szczerą nadzieję, że im się uda. Charmaine sobie na to zasłużyła.

- Nie oddałbym.... - szepnęła jej do ucha, całując na powitanie.

- Naprawdę? - zachichotała Charmaine.
- Naprawdę. Zwaliłaś mnie z nóg w pół kroku. Poza tym cudownie pachniesz.
- Wchodzisz czy masz zamiar cały wieczór stać w drzwiach? - Uśmiechnęła się do niego przez ramię. Miała nadzieję, że dostatecznie prowokująco. Wpadła na wieszak na płaszcz. Kurczę, musi uważać, wino uderzyło jej do głowy. Wchodzę, zdecydowanie wchodzę - Jess zamknął za sobą drzwi. - Najlepsze australijskie - powiedział, stawiając na kuchennym blacie zawiniętą w papier butelkę wina. - Ładne mieszkanie - dodał, rozglądając się wokół. - Sama tu mieszkasz?
- Tak. Mieszkam tutaj od dwóch lat.
- Jakim cudem możesz sobie pozwolić na takie mieszkanie? Przepraszam, że pytam - usprawiedliwił się szybko. - Londyn jest cholernie drogi.
- Aha. Uhm... Kupił mi je przyjaciel. Dawno temu.
- Ho, ho! To mi dopiero przyjaciel!
- Prawdę mówiąc, raczej wujek.
- Aha.

- Lampkę wina? - Charmaine podała mu kieliszek, potem podeszła do odtwarzacza stereo i paznokciem dużego palca stopy pomalowanym czerwonym lakierem włączyła muzykę.

Dowiedział się, kiedy Charmaine przypadkowo zostawiła proszki w kuchni na blacie. Tak bardzo starała się uważać. Nigdy, przenigdy nie trzymała ich na wierzchu. Była jeszcze bardziej ostrożna, od kiedy Jess dwa, trzy razy w tygodniu zostawał na noc. Wiedziała, że czasami jest zaskoczony jej zachowaniem. Dziwnie uważnie przyglądał się dziewczynie, kiedy czasami śmiała się zbyt głośno albo płakała w kinie. Gdy dyskusja niebezpiecznie przekształcała się w kłótnię, ze strachu, że może odejść, wpadała w histerię. Chłopak tego nie pojmował. Bywała wówczas tak bardzo do siebie niepodobna, iż miał wrażenie, że patrzy na zupełnie inną osobę. Nic nie mówił, ale był zaniepokojony. Pewnej nocy okazywał, co miał na myśli, kiedy mówił, że jest piękna od stóp do głów. Zaczął od koniuszków palców u ręki, potem przejechał językiem po wewnętrznej stronie dłoni i zanim wyrwała rękę, poczuł zgrubienie. Dopiero tydzień później udało mu się ukradkiem zerknąć na nadgarstki dziewczyny i wyraźnie zobaczył cięcie ostrym narzędziem - cienką, różową bliznę. Dobry Boże! Nie miał pojęcia, przez co przeszła, ale jedno było pewne: podcinała sobie żyły.

Kiedy znalazł małą, pomarańczową fiolkę z kapsułkami z napisem: „Fluoxetine - jedna kapsułka dziennie”, jeszcze bardziej zaczął się niepokoić. Epilepsja?

Następnego dnia zasięgnął języka na uczelni. Prozac. Charmaine brała środki antydepresyjne. Czy to również wyjaśniało, gdzie znikła w każdą środę rano?

- To było dawno temu - płaczliwym głosem wyjaśniała Charmaine. Czowała ssanie w dołku, było jej słabo. Odnosiła wrażenie, że nadeszła chwila, kiedy Jess spojrzy na nią i mruknie, że musi już iść do domu. I tak skończy się ich znajomość.

- Jak dawno, Char? - pytał łagodnym głosem. Czułe też były dłonie chłopaka na jej ramionach. Charmaine spojrzała na niego zapłakanymi oczami. Wiedziała. Chciał się z nią łagodnie rozstać, potem... nastąpi serdeczny, pełen troski, przyjacielski uścisk.

- W ubiegłym roku. - Dziewczyna głośno płakała. - Ale teraz czuję ' się dobrze, naprawdę dobrze.

- Wiem. Tylko... martwię się o ciebie. Nie musisz się wstydzić tego, przez co przeszłaś.

Pociągnęła nosem. Co on mówił?

Mocniej przytulił ją do siebie. Czuła na czole ciepło jego warg.

- Daj spokój, nie masz się czym martwić. Ja...

- Nie musisz o tym opowiadać, skarbie. Nie mów, jeśli nie chcesz. - Jess głaskał ją czule po głowie, palcami przeczesał włosy.

Była zdezorientowana. Nie sprawiał wrażenia, jakby szykował się do wyjścia. Wręcz odwrotnie, wygodniej usadowił się na łóżku, wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. Pozwoliła sobie troszeczkę osunąć się w ciepło objęć chłopaka i przytuliła mokłą twarz do jego piersi. Dochodziła północ. Leżała, wdychała jego zapach i czuła kojący ciężar męskiej ręki na karku. Gładził ją czule, rytmicznie, aż zapadła w sen. Następnego ranka obudzili się przed świtem. Kochał się z nią z takim żarem, że od razu wiedziała, iż nigdzie się nie wybiera - nie teraz, jeszcze nie. Poczowała, że w środku coś jej pęka, a rodzi się jakieś ciepło, dobro. Ostatni element układanki trafił na właściwe miejsce. Popatrzył na nią zaspanymi zielonymi oczami i już - rozradowana - wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

## 82

Nael denerwował się coraz bardziej. Od wielu dni nie mógł znaleźć bezpiecznego połączenia z Nowym Jorkiem. Do rozwiązania Gabby pozostał miesiąc, bardzo chciał być z nią przy porodzie. Kiedy widział ją ostatnio, prawie pięć tygodni temu, miała olbrzymi brzuch, czuła się zmęczona, w każdej pozycji było jej niewygodnie, z byle powodu zalewała się łzami. Pragnął pomóc żonie, ale nie wiedział, jak. Czuł się, jakby jej przeszkadzał. Opiekowała się nią Rianne - dogadzała Gabby, rozpieszczała ją i chroniła jak kwoka. Cieszył się z tego. Przyjaciółka fantastycznie sobie z nią radziła. Kto by pomyślał?

Na wspomnienie Rianne uśmiechnął się do siebie. Młodzieńcze zauroczenie odeszło w przeszłość razem z dzinsami z nogawkami w dzwony i płytami adapterowymi. Teraz interesowała go wyłącznie Gabby. Obiecał, że za miesiąc wróci, i już nie dotrzymał słowa. Był z powrotem w Kigali i jeździł za siłami RPF po pustynnych terenach w centrum kraju. Czasami nie mógł pogodzić dwóch skrajnie różnych obliczy własnego życia: komfortu domowego ciepła w Brooklynie i okropnych

zniszczeń, jakich dzień po dniu był świadkiem w Afryce Środkowej. Pewnego wieczora Paul Kagame, przywódca RPF, przemówił do żołnierzy i dziennikarzy z całego świata. Okazja była wyjątkowa, ponieważ nie lubił on zagranicznych mediów i rzadko pozwalał się filmować czy robić zdjęcia. Nael bardzo się starał śledzić tok wystąpienia, ale głowę zaprzętały mu zupełnie inne sprawy. Wielu kolegów reporterów pracujących z nim w Afryce było ojcami. Oni również z ciężkim sercem oglądali ciała zabitych dzieci, wielu w tym samym wieku co ich własne, które zostawili w St Albans, Edynburgu, Brukseli i Lyonie. Zdarzało się, że maska zawodowego reportera spadała i zastawał ich zalanych łzami, podczas gdy kamera cicho rejestrowała obraz. Niekiedy nad głową dostrzegał smugę dymu samolotu południowoafrykańskich linii lotniczych lecącego do Europy albo Ameryki. Tęsknie spoglądał wtedy w niebo, żałując, że nie ma go na pokładzie.

Gabby siedziała przy biurku, jadła jabłko i czytała dokumenty, kiedy poczuła pierwszy silny skurcz. Zmarszczyła czoło. Do porodu pozostało jeszcze kilka tygodni. Ból był tępy, podobny do bólów menstruacyjnych. Przyzwyczała się do dziwnych ostrych szarpnięć, kiedy dziecko kopało. Ten ból był inny. Pół godziny później skurcze stały się silniejsze. Niezdarnie poprawiła się na krześle. Dochodziła ósma rano, Janice, jej nowa sekretarka, jeszcze nie przyszła. Próbowwała się skupić. O ósmej trzydziści wiedziała, że coś się dzieje. Zadzwoiła do swojego położnika. Powiedział, iż nie ma powodu do niepokoju, i zalecił, żeby mierzyła częstotliwość skurczów. Miała do niego zadzwonić, kiedy zaczną się powtarzać co pół godziny. W szpitalu mieli przygotować wszystko do porodu. Tak, akcja porodowa się rozpoczęła. Potem nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, coś źle poszło.

Jazda karetką z ulicy Czterdziestej Piątej do Mercy General Hospital zajęła około dwudziestu minut. Jak przez mgłę zdawała sobie sprawę z bólu w dole brzucha, w uszach słyszała głośnie dzwonienie. Głowę miała 'ciężką. Nie pamiętała dokładnie, co się stało. Widziała krew na sukience i na krześle. Przypomniała sobie, że krzyczała, wzywając Janice czy kogokolwiek. Próbowwała zatelefonować do hotelu w Kigali, w którym zatrzymał się Nael, ale nie mogła się połączyć. Potem zadzwoniła do doktora Fineberga i zaczęła się panika. Przyjechała karetka, sanitariusze wbiegli do gabinetu, posadzili ją na wózku, coś ostrego przebiło jej ramię. Potem wszystko ogarnęła ciemność.

Sanitariusze szybko wwieźli ją do szpitala. Pomyślała, że wszystko dzieje się jak w serialu Ostry dyżur. Lekarze w zielonych fartuchach coś krzyczeli, pielęgniarki w niebieskich uniformach uwijały się wokół. Słyszała nad sobą ich słowa: preeclampsia, żyły się zamykają... Wielokrotnie próbowała otworzyć usta i zadać pytania, które kołatały jej się po głowie, ale mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Z ust Gabby wydobył się tylko cichy jęk. Ostatnią osobą, jaką pamiętała, był anestezjolog. Pochylił się nad nią i zapytał, czy tego ranka coś jadła. Słyszała, jak jego głos się oddala, słowa zastygają w powietrzu wokół niej, a potem... już nic. Kiedy otworzyła oczy, nie wiedziała, gdzie jest, dlaczego leży w pokoju z ostrym

światłem nad głową a w rogu miga obraz telewizyjny bez dźwięku. W dole brzucha czuła tępy ból. Zamknęła oczy. Kiedy je ponownie otworzyła, wokół jej łóżka stało kilka osób.

- Gabrielle? Słyszysz nas, Gabrielle? - ktoś pytał.

- Gabby - szepnęła i poruszyła głową. - Nie Gabrielle. - To nagle wydało jej się bardzo ważne.

Mężczyzna w zielonym fartuchu skinął głową.

- Musieliśmy zrobić cesarskie cięcie, Gabby. Czy mnie rozumiesz? Gwałtownie zamrugała powiekami. Oczywiście - dziecko. Dziecko!

- Gdzie jest... moje dziecko?

Z dzieckiem wszystko w porządku. Jest malutka, urodziła się o miesiąc wcześniej. Leży w inkubatorze - poinformował ją inny lekarz.

Wyczerpana Gabby osunęła się na poduszki. Zaczęła płakać. Pielęgniarka ujęła ją za rękę i uścisnęła.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - powiedziała kojącym głosem. - Podamy ci coś na uśmierzanie bólu i troszkę się prześpisz. To była poważna operacja. Kiedy będziesz silniejsza, zawieziemy cię do dziecka.

Gabby milczała, po policzkach płynęły jej łzy. Przecież miała siedzieć na łóżku z dzieckiem w ramionach i mężem obok. Gdzie był Nael?

Przyleciał. Trzy dni później. Wszedł do szpitalnego pokoju Gabby w momencie, kiedy robiła coś z piersiami - ściągała mleko? - i płakała. Skrzywił się z rozpaczy, widząc, jak bardzo jest wyczerpana i zboląła. Nie mógł uwierzyć, że stało się to bez niego, że nie zdążył na czas. Odłożyła ściągaczkę i opuściła głowę na piersi.

- Powiedzieli, że muszę to robić - łkała - inaczej stracę mleko.

- Sza. Gabs, wszystko w porządku. Gdzie jest dziecko? Zdrowe?

- Dziewczynka. To dziewczynka. Jest zdrowa. Leży w inkubatorze, ale nie możesz tam pójść. Musisz poczekać na pielęgniarkę. Nael, to miało być zupełnie inaczej... Ja nie... - zachłysnęła się łzami. Ścisnął jej ramiona. Czuł się jak ostatni łajdak. Biedna Gabby. Ucałował słone policzki.

- Cicho. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Objęła go i przytuliła do siebie, łzy i mleko w równych ilościach spływały mu na koszulę. Drzwi uchyliły się, do pokoju zajrzała jedna z pielęgniarek.

- Dzień dobry państwu. Pan pewnie jest ojcem. - Nael ciągle jeszcze był odrobinę oszołomiony. On - ojcem? - Jestem Cindy. Żona niedługo poczuje się lepiej. Cierpi, wie pan, to troszkę smutne. Ale dziewczynka czuje się wspaniale. Chce pan ją zobaczyć? - Skinął głową. - Proszę iść. Betsy pana wpuści. Ja pomogę Gabrielle się umyć. Chodź, kochanie, będziemy się kąpać. Czy doktor Fineberg powiedział ci, że dzisiaj twoją córeczkę wyjmujemy z inkubatora?

Nael wpatrywał się w maleńką, czerwoną istotkę w inkubatorze. Miała gęste kasztanowe włosy i była owinięta w białą bawełnianą pieluszkę. Jak miliony

mężczyzn przed nim pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie widział nic równie wyjątkowego i pięknego. Była cudowna. Zakochał się w niej od pierwszego spojrzenia. Odwrócił się i popatrzył na Betsy. Uśmiechnęła się i skinęła głową. Już to widziała. Cud narodzin. Obserwowała setki mężczyzn, którzy tutaj przychodzili i z miejsca zakochiwali się po uszy. Szczęśliwy tatuś odwrócił się z powrotem do dziecka. Dziewczynka była cudowna. Bardziej niż cudowna. Obraz zaczął mu się zamazywać przed oczami.

Zgadzał się na wszystko. Jak ją nazwiemy? Ty wybierz imię. Yasmeen. Yasmeen Kilani-Hughes. Oboje popatrzyli na malutką czerwoną twarzyczkę. Rozanielone dziecko spało z pełnym brzuszkiem. Gabby nie mogła wyjść ze zdumienia, jak naturalnie wszystko jej przychodziło: wiedziała, jak trzymać córeczkę, jak ją karmić, jak do niej mówić. Sama miała tylko urywkowe wspomnienia z dzieciństwa - matki nigdy przy niej nie było. Tymczasem teraz odkryła w sobie studnię tajemniczych zdolności. Chyba nazywa się to instynktem. Pochyliła głowę, żeby pocałować gładziutkie, delikatne, jasnobrązowe czółko. Yasmeen miała ciemną skórę - jak ojciec.

Nael przyglądał się żonie trzymającej w ramionach jego córkę. Rude kręcone włosy opadały na twarze ich obu. Zrozumiał, że teraz wszystko się zmieni. Już nie może prowadzić pełnego niebezpieczeństw, podniecająco intensywnego trybu życia. Teraz ma kogoś, kim musi się opiekować, chronić za wszelką cenę i ponad wszystko. Patrzył na matkę i córkę. Przecież w końcu życie właśnie na tym polega.

## CZĘŚĆ ÓSMA

83

*Jacy będziemy, kiedy wzejdzie słońce?  
Mongane Wally Serote Październik 1994, Londyn*

Londyn. Wilgotny, wietrzny i ponury. Nadszedł październik. Mokra liście i wcześniej zapadający zmierzch oznaczały koniec lata. Rianne z portfolio pod pachą szła Regent Street w kierunku Piccadilly Circus. Mimo parszywej pogody promieniała szczęściem. Bryson Mowbray, jedna z najbardziej prestiżowych galerii w mieście, właśnie podpisała z nią kontrakt na autorską wystawę, pierwszą w jej karierze. Sally Bryson powiedziała, że prace Rianne bardzo im się spodobały.

Rok zajęło jej przygotowanie kolekcji zdjęć, których jakości artystycznej i technicznej była dostatecznie pewna. Dopiero potem wsiadła w samolot do Londynu i legitymując się tylko własnym nazwiskiem, przykładami swoich prac i listem polecającym Niny Lindberg, wkroczyła do gabinetu Sally Bryson. Rekomendacja Niny miała ogromne znaczenie, dzięki niej niemal natychmiast zaprowadzono ją na górę do legendarnej właścicielki galerii. Rianne zaczęła się odprężyć dopiero wtedy, kiedy zdjęcia zostały rozłożone na ogromnym dębowym biurku Sally.

- A więc... znudziła ci się praca w charakterze modelki? - zapytała Sally, oglądając białe-czarne fotografie. Myślą wybiegała już daleko w przyszłość. Stojąca przed nią młoda kobieta była przykładem przemiany w najlepszym stylu: sprzed obiektywu przeszła za niego. Rianne de Zoete. Sława, majątek, tragedia, talent. Wspaniale. Doskonałe nazwisko. - Uznałaś, że czas na zmiany? - Spojrzała na Rianne znad okularów.

- No, tak. Od jak dawna się tym zajmujesz?

- Od dwóch lat pomagam Ninie. Nie jako fotograf - dodała szybko. - To... to tylko moje hobby, naprawdę.

- Zdjęcia są doskonałe. Masz tytuł?

- A... nie, jeszcze nie.

- Pomyśl nad tym.

Rianne zamrugała powiekami. Dość dawno nie była w Anglii, musiała ponownie przywyknąć do brytyjskiej sprawności działania.

- „Migawki”?

- Dobry Boże, nie. - Sally pochyliła głowę na bok i czekała, aż wpadnie do niej jakiś pomysł. Wpadł. - „Depesze” - oświadczyła stanowczym tonem.

- „Depesze”?

- Aha. Są dość niezwykłe. Łączą w sobie artyzm i reporterskie obserwacje. - Sally uniosła w górę ciężkie od pierścionków i bransoletek ręce i złożyła dłonie,

przyciskając do siebie opuszki palców. - Dobra. Zatem kiedy?

- Kiedy? - Rianne próbowała nadążyć za zawrotnym tempem rozwoju wydarzeń.

- Wystawa. Kiedy ją robimy?

- Och. Właściwie, w każdej chwili. - Nie mogła uwierzyć, że wszystko potoczyło się aż tak szybko.

- W marcu? - Sally spojrzała na duży kalendarz na ścianie za nią. - Będziemy miały pięć miesięcy na przygotowania. Zorganizujemy niewielką wystawę, potrwa miesiąc. Ekspozycje przygotowujemy w galerii od frontu, tej, do której wchodzi się wprost z ulicy. Skontaktuję cię z Gideonem Crowtherem. Zajmuje się stroną organizacyjną naszych wystaw. We dwójkę ustalicie układ i kolejność prac, rodzaj ram, takie tam rzeczy.

Usiadła w obrotowym skórzanym fotelu i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Rianne natychmiast rozpoznała znajomy gest: dokładnie tak samo sięgała po telefon Ross Carter. Obie kobiety wspięły się na szczyt w swoim zawodzie, obie były ambitne i kierowały się tą samą dewizą: sukces polega na tym, aby sprawiać, żeby inni pracowali. Sally była taka sama jak Ross. Rianne wyciągnęła wnioski: tym razem niczego nie schrzani. Zebrała zdjęcia z biurka i schowała do teczki. Zostawiła pani Bryson swój londyński numer telefonu - zatrzymała się u Nathalie i jej coraz większych dzieciaków - po czym pożegnała silnym uściskiem ręki.

\*

- Próbując wyminąć tłum zdenerwowanych rodziców i ich rozradowanych dzieci wchodzących i wychodzących ze szkoły, przy Hamley przeszła na drugą stronę ulicy. Jechała do Nathalie spotkać się z Charmaine, która właśnie wróciła z trzytygodniowego pobytu w Australii, gdzie odwiedziła rodziców Jessa. Tydzień temu Charmaine zadzwoniła do Nowego Jorku z Melbourne. Rozentuzjowana krzyczała, że ma dla nich niespodziankę. Wielką niespodziankę! Rianne i Gabby, które siedziały w kuchni w mieszkaniu tej pierwszej na Washington Heights, popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się szeroko. Doskonale wiedziały, o co chodziło. Rianne tydzień później wyjeżdżała do Londynu. Gabby nie mogła z nią jechać. Była bardzo zajęta, z trudem godziła obowiązki zawodowe z opieką nad Yasmineen. Nael starał się o pracę w stacji telewizyjnej CNN, co oznaczało przeniesienie się na stałe do Nowego Jorku. To był jedyny powód, dla którego w ogóle rozważał zmianę stacji oświadczył Gabby ponurym głosem. Nie przejęła się. Bardzo chciała mieć go w domu, przy sobie i Yasmineen. Kiedy już będą razem, może w trójkę polecą do Londynu. Tymczasem obarczyła przyjaciółkę całą stertą prezentów.

- To bez sensu - śmiała się Rianne, kiedy z trudem próbowały zamknąć walizkę.

- Przecież nawet nam nie powiedziała, że jest w ciąży.



- Daj spokój, są już małżeństwem. To jaką inną niespodziankę może mieć dla nas? - fuknęła Gabby, walcząc z suwakiem. Przypomniała sobie ślub Charmaine i roześmiała się na to wspomnienie. Była to zupełnie wariacka, pospiesznie odprawiona ceremonia w ratuszu w Chelsea, na której Charmaine wystąpiła w czerwonej sukni. Mary Hunter wyglądała na oszołomioną, ale i zadowoloną. W końcu córka zrobiła, co należy, a Jess wydawał się miłym chłopcem...

Fakt. Ale czy z taką nowiną nie trzeba poczekać do trzeciego miesiąca czy coś takiego?

Ty możesz czekać, ale nie Charmaine - stanowczo oświadczyła Gabby. - Poza tym ona może być już w czwartym miesiącu. Kto to wie?

Rianne się zamyśliła. Niewinna uwaga Gabby trafiła ją prosto w serce. „Ty możesz czekać”. Mało prawdopodobne. Trzej mężczyźni, z którymi ostatnio się spotykała, zdecydowanie nie byli kandydatami na ojców. A i ona sama nie dojrzała jeszcze do macierzyństwa.

- O co chodzi? - Gabby spojrzała z podłogi w górę, potem wyciągnęła rękę i dotknęła przyjaciółki. Żadna się nie odezwała.

Minęły trzy lata, odkąd Rianne porzuciła poprzednie życie, trzy lata, odkąd ostatni raz go widziała czy z nim rozmawiała. Ją samą zdumiewał nawet nie ból, jaki wciąż w związku z tym czuła, ale jego siła. Trzy lata. Można by przypuszczać, że powinien nieco złagodnieć. Nie złagodniał. Zwierzyła się Gabby, że czasami czuje się, jakby ktoś lub coś sięgnęło jej do wnętrza i porozdzierało na kawałki, a potem złożyło z powrotem tak, że z zewnątrz wyglądała tak samo, ale w środku wszystko zostało poprzerastawiane. Pozornie była tą samą osobą, może troszkę szczuplejszą i starszą miała krótkie, nie długie włosy, ale wewnętrznie w niczym nie przypominała dawnej Rianne. Zabawne, naprawdę zabawne. Kiedyś to Riitho, nie ona, z trudem próbował się pogodzić z tym, kim był, zaakceptować własną tożsamość. I w końcu to właśnie ich rozdzieliło: to, kim był on, nie ona. Poszłaby za nim wszędzie, zostałyby, kim tylko by chciał, zrobiłaby wszystko. Chciała tylko z nim być. Dla niego jednak to było za mało. Skarżył się, że nie rozumiała, przez co musiał przechodzić, kim był zmuszony się stać. Twierdził, że jej sytuacja jest zupełnie inna. Była bezpieczna w swoim zamożnym, chronionym świecie białych, nic nie musiała. No cóż, straciła ten świat. Chociaż Riitho sądził, że to niemożliwe, straciła wszystko.

Mimo to, jeden Bóg wie, jakim cudem, przetrwała. I wcale nie tonęła, wręcz odwrotnie, nauczyła się pływać. „Płyn z prądem, nie toń” - lubiła przypominać jej Gabby. Był to wers z jej ulubionego wiersza; Rianne wcale nie chciała znać dalszego ciągu.

- Halo - odezwała się znowu przyjaciółka i szturchnęła Rianne. - Może zrobimy sobie coś do jedzenia, zanim Yassie się obudzi.

Energicznie potrząsnęła głową. Był to stary sposób na otrząśnięcie się z natrętnych myśli.

Dobra. Na co masz ochotę? Resztki chińszczyzny? Może sałatka? - Wzrokiem badała zawartość lodówki.

- Wszystko jedno. Kiedy się karmi piersią, człowiek jest wiecznie głodny. Nigdy nie stracę nadwagi, jeśli w tym tempie będę tyć. - Gabby ze smutkiem popatrzyła na piersi.

- Gabs, przecież dopiero co urodziłaś dziecko! - zaprotestowała Rianne.

- Cztery miesiące temu. Nic się nie martw, pozbędę się niepotrzebnych kilogramów. Już nigdy nie będę gruba. Nigdy.

W tym momencie, jak na zawołanie, obudziła się córeczka Gabby i zaczęła głośno krzyczeć. Młoda mama żartowała, że mała w mgnieniu oka przechodzi ze snu w stan ogromnego głodu. Rianne przyglądała się, jak przyjaciółka bierze dziewczynkę na ręce i sadowi się wygodnie na kanapie. W kilka sekund krzyki Yasmeen ucichły.

- Rianne! - pisnęła Charmaine, kiedy zobaczyła wychodzącą zza rogu przyjaciółkę. Siedziała we wnęce kuchennego okna w pięknym, nowym domu Nathalie.

- Char, sza! Obudzisz Annę - skrzywiła się gospodyni. Sakramencka Charmaine. Nathalie ponad godzinę usypiała córkę. Przyjaciółka nie miała pojęcia o dzieciach... no, cóż, niedługo wszystkiego się dowie. Już po dwóch minutach od wejścia wyrzuciła z siebie nowinę.

- Przepraszam - z poczuciem winy bezgłośnie wymamrotała Charmaine. Zsunęła się z siedzenia przy oknie i pobiegła na dół schodami do frontowych drzwi. Od ponad roku nie widziała Rianne i Gabby. Wielka szkoda, że ta druga nie mogła przyjechać.

- Wyglądasz fantastycznie! - krzyknęła, kiedy przyjaciółka stanęła w drzwiach. Zawtórował jej krzyk Anny. Nathalie zrobiła minę do Charmaine i poszła na górę po swoją trzynastomiesięczną córeczkę.

- Ty też! - odwzajemniła komplement Rianne.

Od ostatniego spotkania Charmaine odrobinę przybrała na wadze i było jej z tym bardzo dobrze. Trzy tygodnie w australijskim słońcu sprawiły, że wyglądała zdrowo, była odprężona, szczęśliwa i zadowolona z siebie. Sprawiała również wrażenie silniejszej.

- Nigdy nie zgadniesz - zaczęła podekscytowana Charmaine. Rianne udała zaskoczenie. To przecież była jej wielka tajemnica. - Jestem w ciąży! - oświadczyła triumfalnym tonem.

- Nie! - Rianne zaczęła się śmiać.

- Nathalie ci powiedziała? - Charmaine popatrzyła podejrzliwie na przyjaciółkę.

- Ależ skąd, oczywiście, że nie. My, to znaczy Gabby i ja, domyśliłyśmy się. - Objęła i przytuliła koleżankę. - Gabby bardzo żałuje, że nie mogła przyjechać, przysłała ci mnóstwo rzeczy, a ja je przewoziłam przez cały cholerny Atlantyk. Chodź, rozpakujemy prezenty. Gdzie jest Nat?

Trzy godziny przekopywały się przez prezenty, książki i rady dotyczące niemowląt,

które przesłała Gabby. Jednocześnie zajmowały się Anną i słuchały opowiadań Miszy, kiedy wrócił ze szkoły.

Rianne wyciągnęła się na kawowym dywanie i obserwowała całe towarzystwo. Wyjęła aparat fotograficzny i wśród gromkich protestów wypstrykała całą rolkę filmu, uwieczniając szczęście rodzinne, pocztówkowy obraz dwóch młodych kobiet w kwiecie wieku, otoczonych dziećmi, wśród kochających je osób. Charmaine lśniła tym niezwykłym, nieziemskim blaskiem, niebiańską zmysłowością, jaka czasami rozświetla kobiety w pierwszych tygodniach ciąży, zanim jeszcze nadejdą poranne mdłości, wymioty i depresyjne nastroje. Rianne z przyjemnością patrzyła na przyjaciółki przez bezduszny obiektyw aparatu fotograficznego i wyszukiwała wyjątkowe klimaty w rozgrywających się przed jej oczami scenach.

Mimo surowej elegancji dom Nathalie emanował ciepłem i wygodą. Na zewnątrz był chłodny jesienny wieczór. Erie jeszcze przyjmował pacjentów w gabinecie, a Nathalie wzięła sobie wolne popołudnie. Codziennie bardzo ciężko pracowała. Po trzech chudych latach sytuacja w sklepie G/D zaczynała się w końcu poprawiać. Miała rację, decydując się na utrzymanie na rynku: kobiety traktowały G/D jak starego przyjaciela, markę znaną już od pewnego czasu, do której można mieć zaufanie. W odróżnieniu od wielu innych przedsiębiorstw, które podczas recesji upadły, G/D się utrzymała. Teraz lojalność klientek zaczynała przekładać się na zyski. Nathalie była w dobrej sytuacji: jak wyjaśniła przyjaciółkom, musiała tylko przedłużyć umowę najmu, uaktualnić swój wizerunek i wprowadzić z powrotem do kolekcji bieliznę troszkę bardziej elegancką, troszkę bardziej zmysłową.

- Słuchaj, gdzie jest Jess? - zapytała Rianne Charmaine. Nie mogła uwierzyć, że była jedyną osobą która jeszcze go nie widziała. Nawet Gabby poznała męża przyjaciółki. Ubiegłej wiosny, w drodze na konferencję, przejeżdżał przez Nowy Jork. W tym czasie Rianne była z Niną w Nowym Orleanie, a Gabby i Nael zabrali Jessa na kolację. Bardzo go polubili. Rianne męczyło to, że jako jedyna nie wiedziała, jaki Jess był wyjątkowy, cudowny, śliczny itd. itp.

- Zaraz przyjdzie - zapewniła Charmaine.

- Lepiej niech nas nie zawiedzie - sucho oświadczyła Nathalie. - Zamówiłam opiekunkę do dzieci, wychodzimy na kolację. To będzie moje pierwsze wyjście... Boże, nawet nie wiem, od jak dawna. Char, już się do tego przyzwyczajaj - dodała. - Nie będziesz mogła późno chodzić spać, skarbie. Zaczнеш również obywać się bez seksu - wyjaśniła i roześmiała się, widząc sceptyczny wyraz twarzy przyjaciółki. Może tak było z tobą - stanowczo oświadczyła Charmaine. - Ze mną i Jessem będzie zupełnie inaczej.

- Aha. Porozmawiamy za rok - skwitowała krótko Nathalie.

- Char - odezwała się nagle Rianne. Chciała powiedzieć coś przyjaciółce, dopóki były tylko we trzy. Charmaine podniosła wzrok znad Przewodnika do wychowania dzieci: wydania uaktualnionego doktora Spocka. - Ja... my bardzo się cieszymy.

Naprawdę.

- Przestań. - Charmaine popatrzyła na przyjaciółki rozświetlonymi oczami. - Nie jestem w stanie się wam odwdziaczyć - powiedziała ochryłym głosem. - Nawet nie umiem powiedzieć, jak wiele znaczyło dla mnie wasze wsparcie.

- Nie bądź niemądra, Char, jesteśmy twoimi przyjaciółkami. Taka jest nasza rola.

- No cóż, niewielu przyjaciół zrobiłoby tyle, ile wy dla mnie zrobiłyście.

- Ależ, Ch&r, wystarczy widzieć cię tutaj, słyszeć wielkie nowiny... Nie mogę w to uwierzyć. To cudowne.

- Tak, dobrze się skończyło, prawda? Dla nas wszystkich. - Charmaine popatrzyła na Nathalie z drugim dzieckiem w ramionach. - A ty? Nie chciałybyś...? - Machnęła ręką w kierunku Nathalie.

- Tak... tak, oczywiście, że bym chciała. Ale jeszcze nie teraz. - Rianne czuła, iż się rumieni. Jak miała im powiedzieć, że szczerze zazdrości Ericowi i Nathalie? Jak miała się przyznać, że czuje niewypowiedzianą tęsknotę w sercu na widok bliskości Gabby i Naela? Jak głośno wyznać, że mimo starań ciągle nie przestała Riitha kochać? Podniosła się gwałtownie. - Idę do łazienki. Zaraz wracam. - Zignorowała zaskoczoną minę Charmaine i pobiegła korytarzem.

Zasunęła rygielek w drzwiach i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Odkręciła kurek i spryskała twarz. Czuła, że zimna woda miesza się ze łzami. Głęboko odetchnęła. Potem jeszcze raz głęboko zaczerpnęła powietrza. Kilka minut stała bez ruchu. Czekala, aż ból złagodnieje. Starala się o nim nie myśleć. Ciężko jej było patrzeć na bardzo szczęśliwą Charmaine i Nathalie pławiącą się w rodzinnym ciepłe. Wszystkie się odnalazły, znalazły również szczęście. Tymczasem ona wróciła do punktu wyjścia, znowu była wśród nich obca, inna niż pozostałe. W Nowym Jorku bardzo się pilnowała, nie pozwalała sobie na wspomnienia, na rozmyślanie o nim. W zasadzie się udawało. Dzień po dniu unikała wszystkiego, co mogło jej przypominać o poprzednim życiu, jak je obecnie określała. Teraz żyła zupełnie inaczej - bez niego. Jeszcze raz spryskała twarz zimną wodą, żeby ochłodzić płonące policzki. Dzwonek zabrzmiał, kiedy właśnie wychodziła z łazienki. Z powitalnych okrzyków wywnioskowała, że przyszedł Jess. Przygotowała się psychicznie na scenę szczęścia i radości, jaką z pewnością zobaczy na dole, i zesłała poznać ostatnio dokooptowanego do grupy członka. Kiedy witała się z Jessem, pomyślała, że przynajmniej raz Charmaine nie tylko miała rację, ale też i szczęście.

## 84

W Johannesburgu dochodziła dziewiąta wieczór. Kończył się długi mozolny dzień. Riitho był sam w pracowni, kończył wykresy do projektu. Podszedł do lady w małej kuchence i nalał sobie niedużą porcję whisky - czystej, tak jak lubił. Przełknął trunek, czuł, jak pali mu gardło i gładko przepływa przez przełyk. Spojrzał na

zegarek. Od rana nic nie jadł. Wziął kluczyki od samochodu. Postanowił, że zatrzyma się przed mieszkaniem Aida i zobaczy, czy uda mu się wyciągnąć kolekę na kolację. Sięgnął po marynarkę, kiedy zabrzączał telefon. Zdziwiony, kto może dzwonić o tej porze, sięgnął po słuchawkę.

- Ree. Mówi Nael.

- Nael? - To była bardzo miła niespodzianka. - Gdzie jesteś, chłopie? Chryste, tak się cieszę, że cię słyszę!

- Trudno w to uwierzyć, ale jestem tutaj, w Johannesburgu. W Carlton Centre.

- Zaraz przyjadę. Jak długo zatrzymasz się w mieście?

- Dwa dni. Wracam do Nowego Jorku. Nie mogliśmy załatwić lotu z Kampali, więc przyjechaliśmy na południe.

- Czekaj na mnie. Spotkamy się w barze?

- Dobra.

- Co pijesz? - zapytał Nael, wchodząc do baru. Spóźnił się, ponieważ próbował dodzwonić się do Gabby. Przyłączył się? - Riitho podniósł do góry szklaneczkę whisky z lodem. - Piję już drugą. Co za dzień! Cieszę się, że cię widzę, Ree. - Nael uśmiechnął się szeroko i skinął głową. Świetnie wyglądasz.

To była prawda. Wyglądał na szczuplejszego i bardziej sprawnego niż w przeszłości. W markowym czarnym swetrze i spodniach bardziej przypominał wysportowanego kulturystę niż architekta, żyjącego na kawie, whisky i zadowolającego się niewielką ilością snu.

- Ty też. Och, a tak przy okazji, moje gratulacje. - Riitho uśmiechnął się do kolegi.

- Z jakiej okazji?

- Dziecka. Przysłałaś mi kartkę, pamiętasz?

- Prawdę mówiąc, wysłała ją Gabby. Znasz mnie, nie dzwonię, nie piszę...

- No tak, sam jestem niewiele lepszy. - Stuknęli się szklankami.

Nie widzieli się od dwóch lat. Gdzieś w tle pianista grał coś lekkiego, banalnego. W barze było wielu grubych biznesmenów w ciemnych garniturach i krzykliwych krawatach. Opijali wcześniej - zanim cały kraj dostanie się do żłobu - potajemnie pozawierane kontrakty. Wśród białych przedsiębiorców byli i tacy, którzy inaczej widzieli niepodległość niż ci, którzy o nią walczyli. W pomieszczeniu brzmiała cicha, dźwięczna muzyka, w powietrzu unosił się zapach perfum. Zupełnie inne miejsce niż hałaśliwe bary, w których kilka ostatnich razy się spotykali.

- No, mów, co u ciebie nowego.

- Ech, nic wielkiego. Pracuję, żyję, wszystko normalnie.

- Jak radzi sobie pracownia?

- Doskonale. Mamy dużo roboty. - Upił łyk trunku. - W ubiegłym miesiącu wygraliśmy parę konkursów, tak że mamy pracę co najmniej na najbliższy rok. Udało się, mieliśmy szczęście. Nie możemy narzekać.

- A inne sprawy?

- O co pytasz?

- Życie... kobiety... Masz kogoś?

- Nie. - Riitho zamilkł. Podniósł szklaneczkę, obracał ją w dłoniach i obserwował, jak złocisty trunek rozlewa się po kostkach lodu. Daj spokój, to do ciebie niepodobne - roześmiał się Nael i także wypił łyk whisky. Wyczekująco popatrzył na koleżkę.

Nie, nie mam nikogo. - Twarz paliła go ogniem. Czuł się jak za szkolnych czasów, kiedy rozmawiali z Naelem o tym, co robili lub mieli zamiar robić wieczorem. - A ty? Jesteś z Gabby szczęśliwy? - zapytał.

- Jesteśmy bardzo szczęśliwi. - Nael niespodziewanie umilkł. - Związek z Gabby jest najlepszą rzeczą jaka mnie w życiu spotkała.

- Szczęściarz. Nawet nie wiesz, jak wielkim jesteś farciarzem. Chciałbym... Przerwał.

- Co? - Nael przyglądał mu się uważnie. Usłyszał dziwną nutę w głosie Riitha. Zabrzmiało to tak, jakby kolega mu... zazdrościł?

- A, nic takiego. Cieszę się twoim szczęściem, to wszystko - szybko odpowiedział Riitho. Sam był zdziwiony swoją reakcją. Widoczne zadowolenie Naela z życia poruszyło go, wzbudziło wewnętrzny niepokój. Nie przywykł mówić o sobie, nie w taki sposób. Od dawna z nikim naprawdę szczerze nie rozmawiał.

- Nie... co chciałeś powiedzieć? Chciałbyś... - łagodnym głosem Nael zachęcał koleżkę do zwierzeń. ,

Zapadła długa chwila ciszy. Riitho ciągle obracał w dłoniach szklaneczkę whisky. Westchnął.

- Nie wiem. Chryste, Nael, jest mi coraz ciężej.

- Dlaczego?

- Nie umiem żyć bez niej.

- Bez kogo?

- Rianne.

- Aha.

Trudno było coś więcej powiedzieć.

## 85

Charmaine była spóźniona na wizytę u lekarza. Biegła Oxford Street, walcząc z wiatrem i deszczem oraz przeklinając siebie za godzinę - i niemąłą sumkę - jaką straciła w sklepie dla dzieci. Pomyślała, że Jess ją zabije, kiedy przyjdzie wyciąg z karty kredytowej. Niemal wszystkie pieniądze wydali na podróż do Melbourne. Jess był młodszym wykładowcą jego zarobki nie pozwalały na utrzymanie życia na poziomie, jakiego życzyłaby sobie Charmaine.

Pracę w „Stylu Życia” rzuciła, kiedy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży. Jess nie mógł tego zrozumieć. Większość znanych mu dziewcząt w Australii pracowała do

odejścia wód, Charmaine jednak inaczej na to patrzyła - tak samo zresztą jak jej matka. Obie całe godziny spędzały w maleńkim mieszkanku nad książkami o dzieciach, niemowlęcymi ubrankami, dziecięcym tym, tamtym i owym. Mieszkanie również stało się poważnym powodem sprzeczki. Jess nie chciał zamieszkać u niej. Powiedział, że chyba powinna to zrozumieć. Nie drążył sprawy, ale było dla niego jasne, że mężczyzna, który je kupił Charmaine, nie był wujkiem, przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Nie dbał o to, co robiła, zanim się poznali, ani w jaki sposób zasłużyła sobie na elegancki apartament, ale na pewno nie zamierzał czerpać z jej wcześniejszego życia żadnych korzyści. Dlatego sprzedali mieszkanie - to znaczy Charmaine je sprzedała, Jess tylko twardo przy tym obstawał. Potem kazał jej złożyć pieniądze na rachunku, którego nie mogła ruszyć. Ponuro pomyślała, że znają lepiej niż ona sama. I tak teraz miała okrągłą sumkę na funduszu powierniczym dla dziecka, którego się spodziewali.

Jednak w takie dni jak dzisiejszy, kiedy chodziła od sklepu do sklepu, żałowała, że nie mogła odrobiny uszczknąć z tego rachunku, naprawdę tylko odrobiny. Nie potrafiła się oprzeć tym maleńkim sukieneczkom z różowymi wstążeczkami. Już się zastanawiała, jak złagodzić oburzenie Jessa na kolejne przekroczenie sumy wydatków. Mąż nie mógł się na nią długo gniewać. Nie, skoro była w odmiennym stanie. Zakłęła, kiedy ktoś znowu na nią wpadł. Była w piątym miesiącu ciąży i miała wyraźny brzusek. Przedzieranie się przez tłum z trzema dużymi torbami zakupów i wielką torebką stanowiło nie lada wyczyn. Nikt jej nie ustępował miejsca, nikt nie zwracał na nią uwagi. Świnie - pomyślała, manewrując i uparcie posuwając się do przodu. Zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta, spóźniła się już godzinę. Z naprzeciwka zbliżała się liczna grupa japońskich turystów. Trzymali się za ręce, aparaty fotograficzne kierowali na wszystkie strony. Zeszła na jezdnię, żeby ich wyminąć, ale zapomniała obejrzeć się za siebie. Potem wszystko wydarzyło się naraz.

Usłyszała straszny krzyk, długi, przeraźliwy dźwięk nadchodzący gdzieś z oddali, brzmiący jak długi wydech, wyciągnęły się ku niej jakieś ręce i poczuła uderzenie. Usłyszała ogłuszający ryk, potem tyłem głowy silnie rąbnęła o ziemię. Świat wokół niej zamarł. Widziała twarze ludzi. Odwracali się od niej przerażeni, zszokowani. Próbowwała coś powiedzieć, chwycić wyciągające się do niej ręce, ale ramiona miała bardzo ciężkie, nie mogła ich unieść. Słyszała krzyki i płacz, jakaś kobieta trzymała jej głowę, ktoś inny chwycił za rękę. Całe ciało ogarnęły czarne mdłości, wszędzie czuła ból, wiła się i z trudem łapała oddech. Coś przygwałdzowało ją do ziemi. Próbowwała się oderwać, bardziej czuła, niż słyszała gwałtowne bicie własnego serca, krew napłynęła jej do uszu. I syrena, słyszała wycie syreny. Chciała odwrócić głowę, żeby spojrzeć w tamtym kierunku, ale nie mogła się ruszyć. Płakała... Czuła lzy płynące jej po policzkach prosto do rozchylonych warg... otwartymi ustami z trudem usiłowała złapać oddech. Potem, kiedy jej się wydawało, że nie zniesie tego hałasu ani chwili dłużej, nagle zapanowała cisza. Miła, błoga cisza. Znużenie zaczęło

ogarniać całe ciało, wydostawało się zza powiek, spływało w dół na szyję, zatrzymało się na chwilę na gardle, następnie przygniotło piersi. Poczła, że się osuwa... Zmęczenie ogarnęło ją bez reszty. Chciała krzyknąć, ale miała wypełnione usta. Po smaku wiedziała, że to coś gęstego i ciepłego. Na tylnej ścianie gardła czuła słodczy spokoju. Trudna do wytrzymania, wywołująca mdłości słodczy... światło istnienia... Trudne do wytrzymania światło życia. To zdanie Kundery. Czła, że się uśmiecha. Cholera. Kto by pomyślał? - powiedziała, nie poruszając wargami, i w wyobraźni obracając słowa na języku. Kundera. Nawet nie wiedziałam, że znam to nazwisko.

## 86

- Otworzysz? - Ktoś dzwonił do drzwi. Nathalie spojrzała na Rianne. Siedziała na podłodze i niemal udało jej się uspić Annę. - To pewnie Charmaine. Wcześniej wróciła.

Rianne zerwała się na równe nogi i pobiegła schodami w dół. Przez , szybkę w drzwiach widziała dwie osoby - dwóch mężczyzn. Otworzyła.

Zobaczyła dwóch policjantów i od razu pomyślała, że zaparkowała wynajęty samochód w niedozwolonym miejscu. Nathalie nieustannie mówiła o parkowaniu w Londynie. Uważała, że jest bardzo „niebezpieczne”. Dziewczyna uśmiechnęła się przepraszająco. Policjanci nie odwzajemnili uśmiechu.

- Pani Marechal? - zapytał jeden z nich. Nie. - Serce Rianne zaczęło szybciej bić. - Jestem jej przyjaciółką. Pani Maréchal jest na górze. Co się stało?

- Możemy wejść? - poprosił starszy z policjantów, zdejmując czapkę. Skinęła głową. W żołądku czła chłodną próżnię.

- Kto przyszedł?! - krzyknęła Nathalie z jadalni.

- Policja. - Rianne odchrząknęła. - Chcą z tobą rozmawiać.

- Pani Maréchal? - zapytał policjant, patrząc w górę. U szczytu schodów pojawiła się Nathalie ze śpiącą Anną w ramionach.

- Tak. Jestem Nathalie Maréchal. Co się stało?

- Bardzo nam przykro, ale przynosimy złe wieści - odezwał się młodszy z funkcjonariuszy. - Może lepiej pani usiądzie?

- Proszę mi powiedzieć, co się stało. - Nathalie zbiegła na dół, Rianne wzięła od niej Annę. Dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Słowa policjanta, kiedy wreszcie zaczął mówić, niemal zagłuszyły płacz małej.

- Charmaine? - powtórzyła Rianne, wpatrując się w policjanta. - To niemożliwe. Dopiero tutaj była. Rano wyszła po zakupy.

- Proszę pani, bardzo mi przykro. To musi być dla was szok. Przy... niej znaleźliśmy tylko pani adres.

- Nie, nie... - Rianne głos uwiązł w gardle.



- Nie - wtórowała jej Nathalie. Z białą jak kreda twarzą i szeroko otwartymi oczami czepiała się ramienia przyjaciółki. - Błagam. Błagam, nie.

- Czy pani Dalton miała... ma jakichś krewnych? Męża? Rodziców? - pytał policjant. Setki razy bywał w podobnych sytuacjach. Szok, niedowierzanie, łzy, czasami wściekłość. Za każdym razem przeżywał to tak samo boleśnie. Skipał ręką na młodszego kolegę. Podaj jej coś do picia. Szybko.

Nathalie zwinęła się w kłębek na podłodze.

Rianne ciągle trzymała w ramionach płaczące niemowlę. Mogła tylko patrzeć w przepaść, jaka znowu otworzyła się przed nią. Céline, Marius, Riitho. Zabierano jej wszystkich, których kochała. Dopóki jej nie zabrakło, nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo kochała Charmaine.

Była późna jesień. Co pewien czas z nieba zaczynał padać rzęsimy deszcz i moczył kondukt pogrzebowy. Rianne, Nathalie i Gabby kluczyły po niewielkim cmentarzu, aż dotarły do czarnej dziury w ziemi, gdzie przygotowano grób. Świeża, otwarta rana na łanie soczystej zieleni. Nathalie popłakiwała, Gabby milczała.

Rianne widziała, że chmury nad głowami stają się ciemniejsze i cięższe od gromadzącego się deszczu. Starła się skupić na tym, co się działo. Mężczyźni stawiali trumnę, opuszczali ją niezgrabnie na dół, aż spoczęła na ziemi obok wykopanego dołu. Widziała, że Mary Hunter wspierała się na ojcu Jessa i wtulała twarz w fałdy jego marynarki, jednocześnie nie puszczać ręki zięcia.

Mężczyźni z trudem opuszczali trumnę do dołu. Skończyli, drewniana skrzynia pewnie stanęła na ziemi na dnie grobu. Panowała cisza, słychać było tylko szum poruszanych wiatrem drzew. Wszystko wstrzymało oddech. Niebo znowu się otworzyło, spadł rzęsimy deszcz i zaraz przestało padać. Wikary coś czytał, nikt potem nie potrafił powiedzieć, co. Ciągle jeszcze byli w szoku, oszołomieni tragedią. W drodze powrotnej do Londynu Gabby siedziała w samochodzie z Yasmeeen w ramionach i patrzyła na jesienny krajobraz za oknem. Charmaine odeszła? To niemożliwe. W High Wycombe zaorana ziemia i ciemne pola ustąpiły miejsca częściowo przemysłowym przedmieściom. Śledziła srebrną wstęgę rzeki wzdłuż drogi. Wartki strumień po pewnym czasie zniknął w martwych stawach przy kępach drzew, których nazwy nie pamiętała. Zielony obraz przed oczami chwiał się i coraz bardziej zamazywał.

## 87

Każda reagowała inaczej. Gabby, co do niej niepodobne, kurczowo trzymała się Naela, jakby się bała, że mógłby zniknąć, gdyby tylko spuściła go z oczu. Biorąc pod uwagę charakter jego pracy, sytuacja nie była łatwa. Zrezygnował z jednego zlecenia, potem z drugiego, kiedy zapłakana Gabby znajdowała się na skraju hysterii. Bardzo jej brakowało Charmaine. Śmierć przyjaciółki wydawała się taka

niesprawiedliwa, i to nawet nie z zazwyczaj podawanych powodów, ale dlatego, że spotkała właśnie ją. Charmaine sama była kwintesencją życia; lekceważyła zasady, których inni, nawet Rianne, przestrzegali. Niewiarygodne i niesprawiedliwe, że właśnie jej odebrano życie.

Nael był przy niej - tak jak obiecywał, że zawsze będzie. Czuwał nad żoną, opiekował się Yasmineen, rezygnował ze zleceń i znosił jej przygnębienie oraz zmienne nastroje. Na dobre i na złe - powtarzał, głaszcząc ją po głowie, kiedy rano leżała w łóżku i nie mogła wstać. To jest zły czas, ale nadejdzie lepszy. Gabby trzymała go za rękę i czuła wdzięczność.

W londyńskim mieszkaniu Nathalie przeżywała w samotności katusze. Czuła się winna. Nikomu nie powiedziała i nigdy nikomu nie powie, ale przez ułamek sekundy, jedną chwileczkę po tym, jak policjant wymienił nazwisko Charmaine, poczuła ulgę, że nie chodziło o Erica. Sekundę później niemal zemdląła z powodu strasznych wieści, ale też zaszokowana myślą, jaka przemknęła jej przez głowę, tym, że w ogóle mogła pomyśleć... dzięki Bogu, dzięki Bogu, to nie Erie. Nadal, tak jak wszyscy, była wstrząśnięta śmiercią przyjaciółki, jej uczucia jednak przeplatały się z poczuciem winy. Dzień po dniu robiła, co do niej należało: odprowadzała Miszę do szkoły, opiekowała się Anną, chodziła do sklepu, ale myślami była gdzie indziej. Z Charmaine.

W pewnym sensie dziękowała losowi, że Jess tak bardzo jej się trzymał przez pierwsze tygodnie, a potem miesiące po wypadku. Przebrnął przez pogrzeb, jego rodzice niemal natychmiast przylecieli z Australii, wszyscy jednak wiedzieli, że nie mógł - i nie powinien - zostać sam. Po wyjeździe rodziców przez kilka dni mieszkał u Nathalie i Erica. Chciał mieć czas na zastanowienie się, co dalej. Wyznał Nathalie, że tylko dla Charmaine został w Londynie. Teraz, kiedy jej... Dalszy ciąg nie mógł mu przejść przez usta.

Przez kilka tygodni po pogrzebie Nathalie i Jess dużo czasu spędzali razem. Czasami towarzyszył im Erie, czasami tylko Anna. Jess opisywał Nathalie inną Charmaine, szczęśliwszą, bardziej zrównoważoną, osobę z planami na przyszłość i szczerą miłością darzącą przyjaciółki, które pomogły jej się taką stać. Tego sama Charmaine nie powiedziałaby koleżankom. To powodowało, że Nathalie czuła się jeszcze gorzej. Jednak, podobnie jak Gabby, mogła liczyć na wsparcie męża, nie była sama w smutku. Erie z zawodowego doświadczenia wiedział, że wstrząs i przygnębienie kiedyś miną. Minie też poczucie winy. Był pewny, chociaż mu nie powiedziała, jaka myśl przemknęła żonie przez głowę. Czytał to w jej oczach.

Rianne nie miała nikogo. Sama w nowojorskim mieszkaniu myślała o Charmaine i znaczeniu ich przyjaźni. We cztery tak długo trzymały się razem. Od czasów internatu w szkole Świętej Anny minęło trzynaście lat, jednak doskonale pamiętała, że to właśnie Charmaine pierwsza wyciągnęła do niej rękę. Przypomniała sobie pierwsze, niefortunne wyjście do herbaciarni Serendipity i - oczywiście - spotkanie z Riithem. Stała przy oknie w kuchni, patrzyła na maleńki skrawek nieba, jaki było

przez nie widać, i przysłuchiwała się szumowi ulicznego ruchu. Miała poczucie podwójnej straty: siostry i przyjaciółki. Charmaine kochała jak siostrę. Wszystkie były dla siebie siostrami. Czuła się bliższa nim niż komukolwiek innemu na całym świecie. Tak długo była razem z nimi, że żyła problemami przyjaciółek, ciągle miała przed oczami ich twarze i rozmowy, nawet kiedy los rozrzucił je po świecie. Gabby, Nathalie, Charmaine. Były przy niej, były jak rodzina, „po prostu” były. Ale teraz zabrakło Charmaine. Pomyślała jednak, że nie tylko ona pochowała przyjaciółkę, wszystkie poniosły tę stratę. Dzięki temu cierpienie po jej śmierci stawało się znośniejsze, natomiast ból po stracie Riitha jeszcze bardziej dotkliwy. A jeżeli coś mu się stało? Czym innym było nie móc z nim być, a zupełnie czym innym mieć świadomość, iż nigdy nie będą razem, że taka możliwość w ogóle nie istnieje. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo o nim myśli, jak często w myślach z nim „rozmawia”... bierze pod uwagę jego punkt widzenia. Był częścią jej samej. Zawsze będzie. Gwałtownie zamknęła okno i otrząsnęła się z myśli.

## 88

Riitho wyłączył komputer i utkwiał wzrok w oknie. Dochodziło pół do jedenastej wieczorem. Zdjął okulary, odsunął na bok żółty papier milimetrowy oraz kartonowe modele, które zawały biurko, i podrapał się w nos. Słyszał głosy Rahesha i Aida, spierających się o coś w sali konferencyjnej. Pracowali nad projektem na konkurs. Gdyby go wygrali, firma weszłaby do pierwszej ligi pracowni architektonicznych. Od dziesięciu dni prawie nie wychodzili z biura i nerwy zaczynały im puszczać. Popatrzył na szkice na biurku. Myślami wciąż wracał do wstrząsającej rozmowy telefonicznej. Dzwonił Nael, żeby mu powiedzieć o Charmaine Hunter. Riitho dobrze jej nie pamiętał, prawie nie znał. Ale Gabby była załamana. Rianne również. Nael powiedział, że zginęła w strasznym wypadku. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Gabby dopiero teraz zaczynała wracać do równowagi. Przetarł oczy i ponownie włożył okulary. Wpatrywał się w telefon. W tej chwili bardzo chciał porozmawiać z Rianne, powiedzieć, że dowiedział się od Naela i jest mu bardzo przykro, że współczuje jej - im wszystkim - straty przyjaciółki. Sięgnął ręką po słuchawkę telefonu. Zatrzymał się w pół ruchu. Nie do wiary, ale nawet po tak długim czasie nie znał jej numeru. Siedział ze wzrokiem utkwionym w aparat, przez głowę przebiegały mu obrazy z przeszłości. Rianne z twarzą pełną bólu i złości, kiedy widział ją po raz ostatni. Rianne, kiedy spotkali się po raz pierwszy, wyniosła i arogancka. Wyraz jej twarzy, kiedy weszła do jego pracowni w Paryżu. Rianne pełna zachwytu, kiedy tego samego wieczora chodziła z nim po Vauxle-Vocomte. Dotyk jej warg, kiedy pocałował ją po raz pierwszy. Ukrył twarz w dłoniach i ciężko oddychał. Drżał na całym ciele.

Miesiąc później w brooklyńskim mieszkaniu Gabby leżała na kanapie i łagodnie spierała się z Naelem.

- Nie możemy jej tego zrobić. Ani jemu - powiedziała, poprawiając pozycję Yasmineen.

- Jeżeli jej - powiemy, nie przyjdzie. Ani on.

- Nael, nie mogę jej tego zrobić.

- Inaczej przecież nie możemy postąpić, jeżeli chcemy...

- Wiem. Ale ja... japo prostu nie mogę. Nie po tym, co zaszło.

- Sama przecież mówiłaś, że o nim nie zapomiała.

- I co z tego?

- To może wyjdzie na dobre: albo pomoże jej o nim zapomnieć, albo...

- Albo co?

- Nie wiem. On też o niej nie zapomniał.

- Nael, nie bądź niemądry. Nie odgrywaj Pana Boga.

- Wcale nie chcę. Ja tylko...

- Tylko co? To nie od nas zależy, tylko od nich.

- Wiem. Mówię tylko, że przydałaby się im... pomocna dłoń.

- Daj spokój, Nael. Pomocna dłoń? Kim próbujesz być? Swatem? Bądź poważny. - Gabby uśmiechnęła się z przymusem.

- Jestem poważny. Nie ma innego wyjścia.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. - Podniosła się i poszła do kuchni. Zbliżał się czas kolacji, o tej porze Yasmineen robiła, co mogła, aby jak najwięcej jedzenia porzrzucać po ścianach, podłodze, śliniaku, matce - dosłownie po wszystkim, żeby tylko nie włożyć łyżeczki do ust. Nael z rozbawieniem przyglądał się żonie i córce. Gabby nie uważała, że pomysł jest dobry. Ale też się i nie sprzeciwiła.

\*

Rianne leżała w wannie i leniwie obserwowała wyłaniające się spod wody i znowu chowające pod pianą nogi. Skórę miała bladą, bledszą niż kiedykolwiek. Wróciła z Londynu, gdzie właśnie została otwarta wystawa „Depesz”. Wernisaż odbył się miesiąc później, niż planowano; jak wyjaśniła Sally Bryson, z powodów osobistych. Rianne dedykowała wystawę Charmaine; dołączyła do niej ostatnie zdjęcie, jakie zrobiła przyjaciółce. Charmaine leżała na dywanie z owczej wełny w salonie Nathalie, włosy miała rozrzucone, na twarzy, zwróconej wprost do obiektywu, leniwy, zmysłowy uśmiech. Tak Rianne chciała ją pamiętać: pogodzoną ze sobą. Wysłała Jessowi oprawione zdjęcie, otrzymała od niego list z podziękowaniem. Widziała w nim łzy męża przyjaciółki.

Spojrzała na mały srebrny zegar na półce nad wanną. Jedenasta rano. Chrzest był o drugiej. Niechętnie wyszła z wanny, owinęła się ogromnym ręcznikiem i poszła do sypialni. Wycierała się powoli, zastanawiając się jednocześnie, w co się ubrać. Otworzyła drzwi szafy. Przeglądając wieszaki, pomyślała, że w niczym nie przypominała garderoby, jaką miała w domu Lisette. W ciągu ubiegłych kilku lat drastycznie zmniejszyła również liczbę ubrań. Uznała, że miała zbyt dużo rzeczy. Teraz wszystko, co posiadała, musiało się zmieścić w mieszkaniu z jedną tylko sypialnią, a ubrania w niewielkiej szafie.

Wyjęła długą do ziemi jedwabną spódnicę w kolorze kości słoniowej oraz długi kaszmirowy blezer i położyła na łóżku. Dobrze. Do tego czarne skórzane botki i szeroki srebrny pasek. Chwilę zajęło jej wyjęcie bielizny, rajstop i dobranie kolczyków. Potem wysuszyła suszarką włosy i skończyła makijaż. Popatrzyła na siebie w lustrze i uśmiechnęła się przelotnie, blado: wyglądała dobrze. Wzięła torebkę, prezent, który kupiła chrześnicy, i zamknęła za sobą frontowe drzwi.

\*

Riitho stał w kruchcie kościoła i głęboko oddychał. Serce waliło mu jak młotem, powolny, silny puls odmierzał mijające minuty. Obrócił srebrny sygnet, który nosił na wskazującym palcu. W małym, mrocznym pomieszczeniu po raz pierwszy od tygodnia został sam z własnymi myślami. Nie mógł uwierzyć, że przyjechał. To był pomysł Naela.

Kolega namówił go, żeby razem z nim poleciał do Nowego Jorku. Dwa tygodnie nagrywał materiały w Johannesburgu. Wbrew jego woli - jak wyjaśnił przyjacielowi z ponurym uśmiechem - Yasmeen miała zostać ochrzczona. Gabby stanowczo nalegała na chrzest. Nael zgodził się pod warunkiem, że ojcem chrzestnym zostanie Riitho. W takiej sytuacji po prostu nie mógł odmówić. Dopiero w połowie drogi nad Atlantykiem przyjaciel powiedział mu jeszcze coś. Wyjawiał inny powód, dla którego prosił go na ojca chrzestnego. Riitho z trudem wytrzymał na miejscu. W zasadzie, jak słusznie zauważył Nael, niewiele mógł zrobić. I tak nie miał gdzie uciec. Nie na wysokości trzydziestu dziewięciu tysięcy stóp nad ziemią.

Zanim dolecieli do Nowego Jorku, Riitho zdołał się uspokoić i kiedy lądowali na lotnisku Kennedy'ego, potrafił skwitować sprawę wzruszeniem ramion. Wielka mi rzecz! Rianne ma swoje życie. Ja też. Nie zauważył spojrzeń wymienianych między Naelem a jego żoną.

Teraz, pięć minut przed jej planowanym przyjazdem do kościoła, zrozumiał, jak bardzo się mylił. To była wielka rzecz. Bardzo wielka rzecz. Jeszcze raz obrócił sygnet na palcu i wyrzwał na ulicę. Wtedy ją zobaczył. Dokładnie tak samo jak przy ich ostatnim spotkaniu ujrzał ją pierwszy. Wysiadała z taksówki, wysoka, pełna wdzięku, piękna. Dokładnie taka, jaką ją pamiętał. Obserwował, jak płaci

taksówkarzowi, odrzuca włosy w charakterystyczny dla siebie sposób i kieruje się do wejścia do kościoła. Gabby czekała na przyjaciółkę. Chciała ją uprzedzić o obecności Riitha, zanim Rianne zobaczy go sama i w popłochu ucieknie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Nael, podchodząc do niego z córeczką na rękę.

- Tak. W porządku.

- Ksiądz właśnie wszedł. Za kilka minut zaczynamy. Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

- Tak. Chodźmy. - Riithowi serce omal nie wyskoczyło z piersi. W mrocznym wejściu do kościoła wyłonił się z cienia i stanął przed nią. Krew uderzyła mu do głowy, nie mógł powiedzieć słowa.

- De Zoete - wykrztusił. Słowa wyrwały mu się z ust, lapsus był oczywisty, niekontrolowany. Wstrzymał oddech.

Rianne przymknęła oczy. Na dźwięk jego głosu całe ciało ogarnęła przemożna tęsknota. Gabby i Nael taktownie się odwrócili.

- Riitho.

Chwilę wpatrywali się w siebie, żadne nie miało odwagi się odezwać. Pochylił się i ucałował ją w oba policzki. Dłonią mocno ujął za ramiona. Odsunęła się krok w tył. Oboje czuli wielkie napięcie, ożyły wspomnienia, ból, gniew.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło się odezwać, usłyszeli za sobą dyskretne chrząknięcie. Cała czwórka odwróciła się w tamtą stronę. Przyszedł ksiądz.

Przywitał się z nimi uściskiem dłoni i kołyszac śnieżnobiałą komżą, poprowadził ich w stronę ołtarza. W kościele panowały cisza i mrok. Na puste ławki przez witrażowe okna padały kolorowe snopy światła. Zatrzymali się na moment, ojciec O'Leary odmówił modlitwę.

Rianne nie dowierzała samej sobie, bała się patrzeć na Riitha, wzrok utkwiała w podłodze. Gabby i Nael wymieniali nerwowe spojrzenia. Oboje - Riitho i Rianne - wyglądali równie nieszczęśliwie. Nael iv duchu sam siebie przeklinał. Nie mógł sobie darować, że okazał się aż tak bardzo niewrażliwy wobec uczuć przyjaciół. Na szczęście dla wszystkich Yasmineen zaczęła głośno płakać i między utulaniem dziecka a słuchaniem słów księdza dalsza część ceremonii minęła jak we śnie.

Potem, kiedy na schodach kościoła czekali na samochód, który miał ich zawieźć z powrotem do apartamentu Gabby i Naela, Rianne wyrwała się ze stanu odrętwienia i rzuciła okiem na stojącego obok mężczyznę. Nie mogła uwierzyć, że Riitho rzeczywiście jest w Nowym Jorku; wspomnienie ich ostatniego spotkania paliło młodą kobietę żywym ogniem. Wprowadził ją do hotelowej sali konferencyjnej. Powiedział wyraźnie: nigdy więcej, to koniec, ich związek to przeszłość. Rzucił ją, odwrócił się od niej, zrobił to wszystko, czego obiecywał nigdy nie zrobić. Wtedy myślała, że umrze.

Dzień po dniu, kiedy czekała przy telefonie, kamień w piersiach stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, w końcu sądziła, że udusi się pod jego ciężarem.

Obserwowała, jak Riitho rozmawia z księdzem, żartuje, zwraca się do Naela.

Widziała, jak się śmieje, cała twarz mu się rozjaśniła radosnym uśmiechem. Niebawem, ale uśmiech wcale mu się nie zmienił. Ze wszystkich sił musiała się powstrzymać, żeby nie wsunąć ręki w dłoń Riitha, nie stanąć bliżej bijącego od niego ciepła. Niewiele się zmienił, wyglądał może nieco poważniej, postura pod czarną marynarką wydawała się potężniejsza. Zauważyła, że sweter wyraźnie rozciągał się na bicepsach i swobodnie opadał na spodnie po płaskim, umięśnionym brzuchu. Zauważył, że mu się przygląda, dziewczyna spąsowiła. Znowu to samo, znowu dała się przyłapać. Wróciło dawne, znajome uczucie, jakby przyglądała się z boku sobie samej.

Gdzieś z oddali widziała siebie: rozmawiała z Gabby, odwracała się do Naela, żeby odpowiedzieć na pytanie, trzymała w ramionach Yasmeen. A Riitho nawet na chwilę, nawet na jedną sekundę nie spuszczał z niej wzroku. Czowała obok jego obecność, kiedy wyciągnął ramiona, żeby wziąć od niej dziecko.

Dziesięć minut później w taksówce doskonale czuła bliskość jego ciała: linię uda przy swojej nodze, ramię wsparte na oparciu siedzenia, głos. Rozmowa toczyła się obok, bez jej udziału. Zamknęła się w swoim własnym świecie. Zatopiona w prywatnej walce z sobą, wyglądała przez okno.

Domy z piaskowca i kościoły zostawały w tyle, kiedy taksówka mknęła Flatbush Avenue. Z trudem znosiła bliskość Riitha. Był uprzejmy, ale roztargniony, wzrok miał zamglony, nieobecny. Rianne wzięła jego zachowanie za obojętność i to ją rozżłościło. Postanowiła, że za nic w świecie nie pozwoli mu się do siebie zbliżyć. Po południu Riitho przez okno obserwował, jak Gabby i Rianne z powrotem jechały na Manhattan. Widział, że Rianne ręką zwinęła włosy i przerzuciła je przez ramię, potem zapięła pas bezpieczeństwa. Całe popołudnie minęło w wielkim napięciu. Pozornie wydawał się spokojny. Jak zawsze sprawiał wrażenie, że wszystko ma pod kontrolą, w głowie jednak czuł wielki zamęt. Od chwili, kiedy ją zobaczył, wiedział, że jej pragnie z całej duszy. Lata rozstania sprawiły, że pożądał Rianne jeszcze bardziej, jeszcze dotkliwiej. Kiedy patrzył na odjeżdżające dziewczyny, poczuł, jakby oczekiwania rodziny spadały z niego jak skóra z węża. Nie potrafił przypomnieć sobie nawet jednego powodu, dla którego nie mógłby z nią być. Cały sprzeciw, zamieszanie, wszelkie naciski nieoczekiwanie w obliczu siły oddziaływania ukochanej rozsypały się w perzynę. Nic z nich nie zostało. Nic. Absolutnie nic.

## 90

Kiedy wieczorem zabręczał telefon, Rianne wiedziała, kto dzwoni. Była również pewna, że jeżeli nie odbierze, Riitho już nigdy tego nie zrobi. On natomiast wiedział, że Rianne jest w domu i czeka na jego telefon. Ona wiedziała tyle samo o nim, co on o niej. Chwilę się wahała, potem podniosła słuchawkę. Tym razem odezwała się,

zanim cokolwiek powiedział.

- Riitho.

- Spotkajmy się. Dobrze?

Z sercem w gardle przyjechała do hotelu na Mercer Street. Dlaczego zgodziła się z nim spotkać? Co mógł jej powiedzieć? Albo ona jemu? Prosiła się o kłopot. Czy jednak mogła mu odmówić? Igrała z ogniem. Kiedyś mu powiedziała, że nie może żyć bez namiętności, jaką w niej rozpałał, i tak rzeczywiście było. Przypomniała sobie fragment tekstu, który dawno temu jej pokazał. Otworzył książkę i wodząc palcem po tekście, czytał: „Nikt mi nie powiedział, że miłość jest ciepła. Takie ciepło wydaje mi się, że je pamiętam i że po urodzeniu o nim zapomniałem. Jest w nim żar wszelkiego rodzaju: ciepło matczynego łóżka i pieszczota słonecznych promieni”. Zaraz następnego dnia kupiła tę książkę. Wciąż ją miała. Czytała i wspominała, co jej odebrano. Teraz miała nadzieję na powrót tej namiętności - tylko po to, żeby znowu ją stracić. Niestety, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Rozejrzała się po eleganckim wnętrzu z tapicerowanymi czarną skórą meblami i udekorowanym egzotycznymi roślinami, ale nie zobaczyła Riitha. Poczowała wzbierającą złość. Niech go szlag! Chciał, żeby na niego czekała. Jeszcze się nawet nie spotkali, a już prowadzi z nią jakieś gierki. Pieniła się ze złości, kiedy siadała na kanapie w holu. Zamówiła drinka, coś na uspokojenie. Po dwóch minutach kokieteryjny kelner przyniósł jej whisky. Popijała trunek małymi łykami. Postanowiła dać mu pięć minut. Ani sekundy więcej.

- Cześć. - Podeszedł z tyłu. Niemal się zakrztusiła. Zła na siebie odwróciła się do niego. Planowała przywdziać chłodną, wyniosłą maskę, ale wystarczyły dwie sekundy, a odkryła swoje prawdziwe oblicze.

- Cześć - odpowiedziała spiętym głosem. Usiadł naprzeciwko i nawet nie starał się udawać, że się jej nie przypatruje.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział.

- Dziękuję - krótko skwitowała komplement. Miała na sobie długą suknię z czarnego jedwabiu i żakiet z miękkiej owczej wełny. Spojrzała na Riitha. On patrzył na nią. Żadne się nie odzywało.

Znowu pojawił się kelner.

- Co pijesz? - zapytał Riitho, zerkając na jej w połowie opróżnioną szklaneczkę.

- Whisky - odpowiedział za nią kelner. - Najlepszą na całym Manhattanie.

- Brzmi nieźle. - Riitho skinął głową. Kelner oddalił się od stolika. Oboje oparli się wygodnie w fotelach, znowu zapadła cisza. Po chwili kelner przyniósł zamówionego drinka.

- A zatem... - Riitho pochylił się do przodu i podniósł szklaneczkę. Nagle opuścił go cały podniecający niepokój, który wcześniej kazał mu do niej zatelefonować.

Wszystko wyparowało. Rianne de Zoete siedziała naprzeciwko niego i mieli dla siebie całe życie. - A zatem - powtórzył, nie odrywając od niej czarnych jak smoła



oczu - Nael powiedział mi, że zajmujesz się fotografią? - Znowu odchylił się w fotelu, ale nie spuścił z niej wzroku.

- Nie... no, tak... właściwie tak - odpowiedziała, nieco się odprężając. Pod jego gorącym spojrzeniem... trudno jej było zachować chłód. Uświadomiła sobie również, że chciała mu opowiedzieć, czego dokonała, kim udało jej się zostać. Ważne, żeby wiedział. Zdawała sobie sprawę, dlaczego było to dla niej tak bardzo ważne. - Niedawno miałam wystawę w Londynie.

- „Depesze”. Nael mi mówił. Wspaniale, pokazałaś zupełnie inne oblicze. - W jego głosie słychać było niekłamany podziw.

Wolno skinęła głową. Mam jeszcze wiele innych oblicz, których nie znasz - miała ochotę powiedzieć, ale się nie odezwała. Upiła łyk whisky.

- A mnie Gabby mówiła, że doskonale sobie radzisz, to znaczy w pracowni.

- Tak, właśnie wygraliśmy konkurs. Jest nas trzech... mam dwóch partnerów. Znowu zapadła chwila ciszy. Rianne podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- A jakieś partnerki? - zapytała.

- Nie. - Bawił się szklaneczką. - A u ciebie? - zapytał po chwili. Dziewczyna powoli pokręciła głową i odwróciła wzrok. Uśmiechnął się blado. - Co takiego? Nie masz nikogo? Trudno uwierzyć.

- To samo powiedziałaś, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Pamiętasz? Znowu spojrzała mu w oczy.

- Pamiętam. Dlaczego nikogo nie masz?

Rianne już chciała odpowiedzieć, ale najpierw głęboko odetchnęła i popatrzyła mu prosto w oczy.

Widział, jak świadomie opuszcza powieki, następnie z powrotem je podnosi i patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Żrenice miała ciemne, błyszczące. Odnosił wrażenie, jakby nie patrzył na dziewczynę, ale zaglądał do samego jej wnętrza.

Rozchyliła wargi. Widział koniuszek języka wsparty na zębach, kiedy zastanawiała się nad odpowiedzią. Wypuściła powietrze i dopiero wtedy się odezwała.

- Przez ciebie - powiedziała po prostu bez cienia kokieterii.

Cisza dźwięczała w uszach. Popatrzył na swoje dłonie, na szklaneczkę w rękę.

Potem ostrożnie postawił ją na szklanym blacie stolika.

- Chodź - zaproponował równie otwarcie. Zaczęło ogarniać ją ciepło, jakże inne od spowodowanego przez whisky. Poczula je najpierw na karku, potem spłynęło w dół, stopniowo rozchodząc się na całe ciało. Wstał i wyciągnął rękę. Ujęła jego dłoń.

Minęli recepcję i skierowali się do wind. Nacisnął przycisk, wsiedli i pojechali na górę.

Drzwi się otworzyły, wyszli na hotelowy korytarz.

- De Zoete - zaczął, odwracając się do niej. W rękę trzymał klucz do pokoju.

Popatrzyła na klucz, potem na niego. - To... wszystko zmieni. Zdajesz sobie z tego sprawę? - Skinęła głową. Wziął ją za rękę i poprowadził korytarzem. Zatrzymała się

przed drzwiami, które nagle się za nią zamknęły. Znalazła się w ramionach Riitha z głową mocno wtuloną w jego pierś.

Wdychała znajomy zapach, oplatała Riitha rękoma, wszystkimi zmysłami chłonęła jego bliskość. Ciało reagowało na swój sposób na bliskość młodego mężczyzny.

Zaczęła się o niego ocierać.

- Rianne... - szepnął napiętym głosem prosto w ucho. - Ja... To jest... Położyła mu palec na wargach. Nic nie mów. Podniosła głowę, ich usta się spotkały. Miał miękkie wargi, czuła żar jego języka, delikatne ssanie dolnej wargi, kiedy wciągał ją do swoich ust. Zamknęła oczy. Riitho. Nic i nikt nie mógł się z nim równać.

Jakiś czas później - nie potrafił powiedzieć kiedy - otworzył oczy. Czuł, jak gęsia skórka na jej ciele wygładza się, zaczyna równiej oddychać. Leżała obok, włosy rozrzucone na jego ramieniu falowały w rytm uspokajającego się oddechu. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś moim największym skarbem.

Nie wiedział, czy powiedział to głośno.

# EPILOG

*Maj 1996, Johannesburg, Republika Południowej Afryki*

Rianne stoi przed lustrem. Jest w pokoju sama, nic nie rozprasza jej uwagi. Przerzuca wąskie ramiączko przez bark i lekko drżącymi palcami je przymocowuje. Słyszy bicie własnego serca, dźwięk wręcz dudni w uszach. Patrzy na odbicie w lustrze: jest poważna, zupełnie spokojna. Jasna jedwabna suknia dobrze na niej leży, jest dopasowana do ciała, od bioder swobodnie opada ku ziemi. Wianek z jasnożółtych róż zdobi włosy, w rękę trzyma bukiet z takich samych kwiatów. Słyszy kroki za drzwiami, po chwili również głosy. Njeri beszta Riitha. Mówi w ich dialekcie, Rianne ciągle jeszcze nie rozumie tego języka. Rozlega się głos Mpho - po angielsku stwierdza, że brat ma źle zawiązaną muchę. Rianne uśmiecha się do siebie. Dwa lata. Dwa lata zajęło im zdobycie aprobaty i zaufania rodziny Riitha. Zastanawia się przez moment: tak, do tego sprowadza się cała ich historia. Do czekania. Poznali się piętnaście lat temu. Teraz jest zupełnie inną osobą, Riitho również. Słyszy, że ojciec idzie schodami na górę. Coś mówi da Njeri. Dobiegają stłumiony chichot i drzwi się otwierają.

Do sypialni wchodzi Marius i szybko zamyka za sobą drzwi. Spełnia prośbę Njeri, która w tym momencie zirytowana mówi do syna: „Nie możesz jej zobaczyć...” Głos cichnie, kiedy drzwi zostają zamknięte. Rianne odwraca się do ojca.

- Przepięknie wyglądasz - mówi Marius z uśmiechem. Rianne oblewa się pąsem. Stoi przed nim i niecierpliwie czeka. Obraz córki zamazuje mu się przed oczami, jest bardzo podobna do matki. - Gotowa? - pyta zaskakująco ochrypłym głosem. Rianne kiwa głową. Ojciec podaje jej ramię.

Rzuca ostatnie spojrzenie w lustro. Wie, że przed domem czekają dziennikarze. Setki aparatów fotograficznych zostaną w nich wymierzone jak lufy pistoletów. To ślub i związek stulecia w Republice Południowej Afryki - i na całym świecie. Z Houghton jest niedaleko do wytwornego, murowanego kościoła na Jeppe Street, gdzie arcybiskup udzielił im ślubu. Dłońmi wygładza suknię, sekundę dłużej zatrzymuje rękę na brzuchu. To jej sekret, jeszcze nikt nie wie. Nawet Riitho. Prostuje plecy.

Marius otwiera drzwi. Na zewnątrz, ku niezadowoleniu Njeri, stoi Riitho.

- Ten - mówi matka, niby to odwracając się do córki - nigdy nikogo nie słucha. Riitho nadal nie słucha. Patrzy, jak Rianne wychodzi z pokoju, trzymając ojca pod rękę. Dla niego jest tak, jak zawsze było. Wszystko i nic. Nie miała racji: miłość nie jest tylko przeżywaną w życiu chwilą. To szczególny stan, który dla nich trwał będzie wiecznie. Wszystko i nic. Uśmiecha się i bierze ją za rękę.